

BB

IRVING
STONE

Pasja życia



BB

IRVING
STONE

Pasja życia

Przełożyła
WANDA KRAGEN



Prolog

LONDYN

I

– Monsieur van Gogh, czas wstawać! Niechże się pan zbudzi! – Vincent już przez sen oczekiwał głosu Urszuli.

– Nie spałem, mademoiselle Urszulo – odkrzyknął.

– Nieprawda – zaśmiała się dziewczyna – dopiero teraz pan się obudził.

Vincent posłyszał, jak zbiega ze schodów na dół i idzie do kuchni. Wsunął ręce pod siebie, oparł się na nich całym ciężarem i wyskoczył na podłogę. Pierś i barki miał masywne, ramiona grube i potężne. Włożył spodnie, wylał trochę zimnej wody z dzbana i naostrzył brzytwę.

Vincent rozkoszował się codziennym rytuałem golenia: najpierw w dół po szerokim policzku, od prawej skroni do kąta zmysłowych ust, później prawa strona górnej wargi od nosa począwszy, potem lewa strona, wreszcie broda – potężna, zaokrąglona płyta ciepłego granitu.

Zanurzył twarz w pęku brabanckiej trawy i dębowych liści na komodzie. Jego brat Theo zebrał je na wrzosowiskach niedaleko Zundert i przysłał mu do Londynu. Z wonią Holandii Vincent szczęśliwie zaczął nowy dzień.

– Monsieur van Gogh – zawołała znów Urszula pukając do drzwi – listonosz przyniósł list do pana.

Rozerwawszy kopertę poznał opanowane pismo matki. „Drogi Vincencie – czytała – chciałam napisać do ciebie parę słów”.

Poczuł na twarzy zimno i wilgoć, wsunął więc list do kieszeni, postanawiając przeczytać go w spokojnej chwili u Goupilów. Szesał do tyłu długie, gęste, rude włosy, włożył białą sztywną koszulę, niski kołnierzyk i szeroki czarny krawat, po czym zszedł do jadalni, na śniadanie – i do uśmiechu Urszuli.

Urszula Loyer i jej matka, wdowa po pastarze z Prowansji, u których mieszkał Vincent, prowadziły przedszkole dla chłopców w małym domku w ogrodzie. Dziewiętnastoletnia Urszula była uśmiechniętym stworzeniem o dużych oczach, delikatnej, pociągłej, pastelowej twarzy, o drobnej i smukłej figurze. Vincent lubił widzieć błysk uśmiechu na jej interesującej twarzy, podobny do odbłasku, jaki rzuca barwna parasolka.

Urszula szybko i z gracją podała mu śniadanie, szczebiocąc przy tym z ożywieniem. Vincent miał lat dwadzieścia jeden i kochał po raz pierwszy. Życie stało przed nim otworem. Wierzył, że będzie szczęśliwy, jeśli aż do śmierci wolno mu będzie jeść śniadanie siedząc naprzeciw Urszuli.

Urszula przyniosła boczek, jajko i filiżankę mocnej, ciemnej herbaty. Kręciła się na krześle vis a vis Vincenta, poprawiała kasztanowe loki i uśmiechała się do niego podając mu kolejno sól, pieprz, masło i tosty.

– Pańska rezeda urosła troszkę – oznajmiła. – Chce ją pan obejrzeć przed wyjściem?

– Tak – odparł. – Czy pani chce... to jest, czy pani zechciałaby... pokazać mi ją?

– Co za śmieszny człowiek! Sam zasiał rezedę i teraz nie wie, gdzie jej szukać. – Urszula miała zwyczaj mówienia o ludziach w taki sposób, jak gdyby ich przy tym nie było.

Vincent przełknął ślinę. Maniery miał dosyć niezdarne, nie potrafił, zdawało się, znaleźć słów odpowiednich dla Urszuli. Zeszli na podwórze. Był chłodny poranek kwietniowy, ale jabłonki stały już w rozkwicie. Mały ogródek dzielił dom Loyerów od przedszkola. Przed kilkoma dniami Vincent posiał w nim mak i groszek pachnący. Rezeda wschodziła. Vincent i Urszula przykucnęli z obu stron grządki, ich głowy stykały się niemal. Włosy Urszuli miały mocny, naturalny zapach.

– Panno Urszulo – powiedział.

– Słucham... – cofnęła głowę, lecz uśmiechała się pytająco.

– Ja... ja... to jest...

– O Boże, co tam pan mruży? – zawołała zrywając się.

Poszedł za nią w stronę przedszkola.

– Moje brzdące wnet się zjawią – powiedziała. – Czy nie spóźni się pan do sklepu?

– Mam czas. Idę na Strand czterdzieści pięć minut.

Urszula nie wiedziała, co odpowiedzieć; podniosła rękę do góry i zaczęła poprawiać niesforne pasemko włosów. Sprawiała wrażenie bardzo wysmukłej, a przecież była pełna.

– A co się stało z tym brabanckim obrazem, który mi pan obiecał dla przedszkola? – spytała.

– Posłałem reprodukcję jednego ze szkiców Cezara de Cock do Paryża z prośbą o dedykację dla pani.

– O, to cudownie! – klasnęła w dłonie i obróciła się tanecznym ruchem. – Niekiedy potrafi pan być doprawdy czarujący.

Uśmiechnęła się oczami i ustami i chciała odejść. Przytrzymał ją za rękę.

– Wczoraj w nocy myślałem o jakimś odpowiednim dla pani przezwisku – powiedział.

– I nazwałem panią *l'ange aux poupons*¹.

Urszula odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– *L'ange aux poupons* – zawołała – muszę to zaraz powiedzieć mamie.

Wyrwała mu się, roześmiała głośno i pobiegła przez ogródek do domu.

II

Vincent włożył cylinder, wziął rękawiczki i wyszedłszy z domu skierował się drogą prowadzącą przez Clapham. W dzielnicach tych, położonych w znacznej odległości od centrum Londynu, domy stały z dala od siebie, w ogrodach pełnych kwitnących bżów, głogu i „złotego deszczu”.

Było kwadrans po ósmej; u Goupilów miał być o dziewiątej. Był dobrym piechurem; w miarę jak zbliżał się do centrum, mijał coraz więcej ludzi idących do pracy. Czuł serdeczną przyjaźń dla nich wszystkich; oni z pewnością także wiedzieli, jaka to wspaniała rzecz być zakochanym.

¹Anioł dzieciarni.

Szedł bulwarem nad Tamizą, minął most Westminster, Opactwo Westminster i Parlament i skręcił w ulicę Southampton w dzielnicy Strand, przy której pod numerem 17 miała swój skład firma Goupil et Co. Galeria Dzieł Sztuki i Wydawnictwo Rycin.

Przechodząc przez główny salon sklepu, zasłany dywanami i zdobny w portiere, zobaczył obraz przedstawiający coś w rodzaju ryby czy smoka długości sześciu metrów, nad którym unosił się mały człowieczek. Podpis brzmiał: *Archanioł Michał zabija szatana*. Jeden z urzędników zawiadomił Vincenta, że nadeszła dla niego paczka z Paryża. Drugi pokój za salonem, w którym wystawiano dzieła Turnera, Millaisa i Boughtona, zawierał litografie i akwaforty². Dopiero w trzecim pokoju, wyglądającym bardziej handlowo niż poprzednie, odbywała się większość transakcji handlowych. Vincent roześmiał się na myśl o kobiecie, która poprzedniego dnia kupowała obrazy. „Nie podoba mi się ten obraz, Harry – powiedziała do męża. – Ten pies wygląda kubek w kubek tak samo jak ten, który ugryzł mnie zeszłego roku w Brighton”. „Słuchaj pan – rzekł Harry – czy musimy mieć obraz z psem? Psy denerwują moją panią”.

Vincent zdawał sobie sprawę, że sprzedaje tandetę. Większość klientów nie miała najmniejszego pojęcia o tym, co kupuje. Płacili wysokie ceny za marny towar. Ale czyż to była jego sprawa? Jedynym jego obowiązkiem było starać się o to, aby handel reprodukcjami szedł.

Otworzył paczkę od Goupilów z Paryża. Zawierała szkic Cezara de Cock z dedykacją: „Vincentowi i Urszuli Loyer. *Les amis de nos amis sont nos amis*”³.

„Zapytam ją dziś wieczór... wręczając obraz – mruzczał sam do siebie. – Za parę dni skończę dwadzieścia dwa lata, zarabiam pięć funtów miesięcznie. Nie ma sensu czekać dłużej”.

Czas mijał spokojnie w bocznym pokoju firmy. Vincent sprzedawał przeciętnie około pięćdziesięciu reprodukcji dziennie i jakkolwiek wolałby pracować w salonach frontowych wśród obrazów olejnych i akwareli, rad był, że jego obrazy przynoszą zysk firmie. Lubił swych kolegów i oni go lubili. Wiele miłych chwil spędzili razem dyskutując o sprawach europejskich.

Jako młody chłopak Vincent był dziki i unikał towarzystwa. Ale Urszula odmieniła go zupełnie. Sprawiała, że starał się być miły i lubiany, pomogła mu wyzwolić się z pęt własnej osobowości, nauczyła widzieć piękno w zwyczajnych sprawach powszedniego życia.

O szóstej zamykano sklep. Mr Obach, szef londyńskiej filii, zatrzymał Vincenta, gdy ten zabierał się do odejścia.

– Dostałem od pańskiego stryja, Vincenta van Gogha, list dotyczący pana. Chciał wiedzieć, jak pan daje sobie u nas radę. Z przyjemnością odpisałem, że jest pan jednym z najlepszych pracowników firmy.

– Jest pan bardzo uprzejmy.

– E, nie. Po feriach przejdzie pan z tylnego pokoju na front, do działu litografii i akwafort.

– Bardzo się cieszę, że nastąpi to właśnie teraz, ponieważ... ponieważ mam zamiar się żenić.

²Akwaforta. – 1) Technika graficzna wykonywania rysunku igłą na werniksie pokrywającym płytę metalową. Płytę poddaje się następnie działaniu kwasu azotowego, który trawi metal w miejscach odsłoniętych przez igłę. Z powstałej w ten sposób formy drukuje się ryciny techniką druku wklęsłego. 2) Rycina wykonana wyżej wspomnianą techniką.

³Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi.

- Doprawdy? To mi nowina. A kiedy?
- Sądzę, że tego lata. – Nie myślał jeszcze o dacie.
- Dobrze, mój chłopcze, doskonale. Dostał pan wprawdzie podwyżkę z początkiem roku, ale sądzę, że gdy pan wróci z podróży poślubnej, pomyślimy o nowej.

III

– Przyniosłem obraz dla pani, panno Urszulo – rzekł Vincent po obiedzie, odsuwając krzesło.

Urszula miała na sobie modną haftowaną sukienkę w kolorze grynszpanu.

– A czy artysta napisał mi coś miłego? – spytała.

– Tak jest. Jeśli pani da lampę, zaraz powiesimy obraz w przedszkolu.

– Tak jest. Jeśli pani da lampę, zaraz powiesimy obraz w przedszkolu.

Ściągnęła wargi w kokieteryjnym grymasie i zerknęła na niego z ukosa:

– Muszę teraz pomóc matce. Zrobimy to za pół godziny, dobrze?

Vincent stanął przed komodą w swoim pokoju i przejrzał się w lustrze. Bardzo rzadko myślał o swojej powierzchowności; w Holandii te sprawy wydawały mu się nieważne. Teraz spostrzegł, że w porównaniu z Anglikami miał twarz i głowę masywną i ciężką, oczy osadzone głęboko, jakby w szczelinach skalnych, nos o wielkim garbie. Wysokość jego sklepionego czoła równała się odległości od gęstych brwi do zmysłowych ust, szczęki miał szerokie i mocne, szyję grubą i krótką, a wydatna broda była żywym obrazem holenderskiego charakteru.

Odwrócił się od lustra i usiadł na brzegu łóżku. Wyrósł w surowym klimacie rodzinnego domu. Nigdy dotychczas nie kochał dziewczyny, nigdy nawet nie spojrzął ani nie zażartował z żadną. W jego miłości do Urszuli nie było pożądania. Był młody, był idealistą. Kochał po raz pierwszy.

Rzucił wzrokiem na zegarek; minęło dopiero pięć minut. Dalsze dwadzieścia pięć minut wydało mu się wiecznością. Z listu matki wyjął dopisek brata Thea i odczytał go po raz drugi. Theo był o cztery lata młodszy od Vincenta i niedawno objął stanowisko po nim w firmie Goupil w Hadze. Theo i Vincent, podobnie jak ich ojciec Theodorus i stryj Vincent, kochali się najbardziej z całego rodzeństwa.

Vincent położył na książce kawałek papieru i napisał krótko do brata. Z górnej szuflady komody wyjął parę surowych szkiców zrobionych na wybrzeżu Tamizy i wsunął je do koperty wraz z fotografią *Młodej dziewczyny z mieczem* Jacqueta.

– Na Boga! – wykrzyknął – zapomniałem o Urszuli.

Znów spojrzął na zegarek. Spóźnił się o kwadrans. Porwał grzebień, spróbował uporządkować gmatwaninę wijących się rudych włosów, chwycił leżący na stole obraz de Cocka i wypadł z pokoju.

– Myślałam, że pan o mnie zapomniał – powiedziała Urszula, gdy wszedł do salonu. Kleiła właśnie tekturowe zabawki dla dzieci. – Czy przyniósł pan obraz? Mogę go zobaczyć?

– Chciałbym go wpierw powiesić. Czy ma pani lampę?

– Jest u matki.

Gdy wrócił z kuchni, Urszula podała mu granatowy szal, aby go jej zarzucił na ramiona. Dreszcz go przeszedł od tego jedwabistego dotknięcia. W ogrodzie unosił się

delikatny zapach kwiecia jabłoni. Po ciemku nie było widać ścieżki. Urszula końcami palców trzymała go lekko za rękaw szorstkiego czarnego okrycia. W pewnej chwili potknęła się, chwyciła go mocniej za rękę i zaniósła się wesołym śmiechem z powodu własnej niezgrabności. Nie rozumiał, co ona w tym widzi śmiesznego, ale przyjemnie mu było opiekować się nią i słuchać, jak śmieje się w ciemnościach. Przytrzymał otwarte drzwi przedszkola. W przejściu Urszula musnęła go lekko i zajrzała głęboko w oczy. Vincentowi zdawało się, że odpowiada mu na pytanie, którego jeszcze nie zadał.

Postawił lampę na stole i spytał:

– Gdzie mam powiesić obraz?

– Chyba nad moim stołem, dobrze?

W pokoju tym – dawnym letnim pawilonie – znajdowało się około piętnastu małych krzesłek i stolików. W głębi, na małym podwyższeniu znajdował się stół Urszuli. Stanęli obok siebie na podwyższeniu, szukając odpowiedniego miejsca na obraz. Vincent był podniecony, pluskiewki wypadały mu z rąk, gdy próbował wbić je w ścianę, Urszula śmiała się z niego cicho i przyjaźnie.

– Proszę pozwolić, niezdaro, ja to zrobię.

Podniosła ramiona do góry i zaczęła zręcznie przybijać pluskiewki. Vincent pragnął chwycić ją w ramiona, tutaj, w mdłym świetle lampy, i jednym mocnym uściskiem położyć kres udreće. Trzymał lampę wysoko w górze, gdy Urszula odczytywała napis na obrazie. Uradowana klasnęła w dłonie i przegięła się do tyłu. Wciąż była w ruchu. Stał bezradnie.

– Więc teraz jest on także moim obrazem? – spytała.

– Zawsze chciałam poznać artystę.

Usiłował powiedzieć coś czułego, co by mu utorowało drogę do oświadczyń. Urszula w półcieniu zwróciła ku niemu twarz. Blask lampy zapalał skry w jej oczach, a mrok zacierał owal twarzy. Vincent czuł, że na widok jej czerwonych wilgotnych warg odbijających od białej cery dzieje się z nim coś dziwnego, coś, czego nie umiał nazwać.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Vincentowi zdawało się, że dziewczyna czeka na coś – może na słowa, choć te są zbyteczne w miłości. Kilkakrotnie zwilżył językiem wargi. Urszula obróciła głowę, przez ramię spojrzała mu w oczy i wybiegła.

Przerażony, że sposobność minie, ruszył za nią. Przystanęła na chwilę pod jabłonią.

– Urszulo... chciałbym pani coś powiedzieć.

Odwróciła się i spojrzała na niego, lekko dygocąc.

Noc była czarna, pełna zimnych gwiazd. Vincent nie zabrał z sobą lampy, tylko przez okno kuchenne sączyło się mętne światelko. Zapach włosów dziewczyny bił mu w twarz. Otuliła się szczelnie szalem i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Zimno pani? – spytał.

– Tak. Lepiej wejdźmy.

– Nie! Proszę... Ja... – zagroził jej drogę.

Ukryła podbródek w ciepłym szalu i spojrzała na niego szeroko otwartymi, zdziwionymi oczyma:

– Zdaje się, monsieur van Gogh, że nie rozumiem pana.

– Chciałbym pani tylko powiedzieć... Ja... to znaczy... Nie teraz. Zimno mi.

– Pani powinna o tym wiedzieć. Awansowałem dziś, przechodzę do działu litografii... to moja druga podwyżka w tym roku...

Urszula odwróciła się i przystanąła. Szal zsunął się jej z ramion, ale nie czuła nocnego chłodu.

– Dlaczego właściwie pan mi to mówi, monsieur van Gogh?

Wyczuł chłód w jej głosie i przeklinał swoją niezręczność.

Napięcie opadło nagle, poczuł się spokojny i opanowany. Zastanowił się przez chwilę, jakim tonem zacząć, wreszcie zdecydował się.

– Chciałbym pani powiedzieć coś, o czym pani już wie zapewne. Kocham panią całym sercem i mogę być tylko wtedy szczęśliwy, gdy pani zostanie moją żoną.

Zauważył jej zdziwienie. Czy dlatego, że nagle mówił z taką pewnością siebie? Wahał się, czy wziąć ją w ramiona.

– Pańską żoną? – podniosła głos. – Ależ, monsieur van Gogh, to niemożliwe.

Widziała wyraźnie jego oczy wpatrzone w nią w ciemnościach.

– Teraz to chyba ja nie rozumiem...

– Jak to? Czyż pan nie wie o niczym? Od roku jestem zaręczona.

Nie wiedział, jak długo stoi bez ruchu na ciemnej ścieżce, ani czy coś myśli lub czuje.

– Kto jest tym człowiekiem? – zapytał wreszcie głucho.

– Czyż nigdy pan nie widział mojego narzeczonego? Zajmował przedtem pański pokój. Myślałam, że pan wie.

– Skąd miałbym wiedzieć?

Stała na palcach i rzuciła okiem w stronę kuchni.

– Sądziłam, że ktoś panu o tym powiedział.

– Dlaczego ukrywała to pani przede mną przez cały rok, chociaż pani wiedziała, że ją kocham? – teraz w głosie jego nie było wahania. Czy to moja wina, że pan zakochał się we mnie? Chciałam żyć z panem po prostu w przyjaźni.

– Czy odwiedził panią, odkąd ja tu mieszkam?

– Nie. Jest teraz w Walii. Dopiero latem przyjedzie do mnie na wakacje.

– Nie widziała go pani cały rok! W takim razie zapomniała pani o nim! Teraz kocha pani tylko mnie!

Stracił panowanie nad sobą, porwał ją w ramiona i brutalnie całował oporne usta. Poczł wilgoć warg, słodycz ust, zapach włosów i nowy przypływ uczucia.

– Urszulo, ty go już nie kochasz! Nie pozwalam ci! Zostaniesz moją żoną. Nie mogę cię stracić. Musisz zapomnieć o nim i poślubić mnie!

– Poślubić pana! – krzyknęła. – Nie mogę wychodzić za mąż za każdego, kto się we mnie zakocha. Proszę mnie natychmiast puścić, słyszy pan, bo zawołam o pomoc.

Wyrwała mu się, bez tchu pobiegła przez ciemny ogród. Na progu domu odwróciła się, jej cichy szept uderzył go jak okrzyk:

– Rudy głupiec!

IV

Nazajutrz rano nikt go nie budził. Podniósł się ciężko z łóżka i niedbale ogolił pozostawiając tu i ówdzie na twarzy resztki zarostu. Urszula nie zeszła na śniadanie. Poszedł do Goupilów. Mijając tych samych ludzi co wczoraj, zauważył w nich zmianę.

Sprawiali dziś na nim wrażenie osamotnionych istot śpieszących do jałowej, bezużytecznej pracy.

Nie dostrzegął dziś kwitnącego „złotego deszczu” ani kasztanów wzdłuż drogi. Słońce świeciło promienniejsz niż poprzedniego dnia, lecz Vincent tego nie widział. W ciągu dnia sprzedał dwadzieścia barwnych reprodukcji *Venus Anadyomene* Ingesa. Goupilowie mieli z tego duży zysk, lecz Vincenta przestało cieszyć zarabianie dla firmy. Nie miał cierpliwości dla klientów. Ci ludzie nie tylko nie potrafili odróżnić sztuki złej od dobrej, ale mieli wręcz talent wyszukiwania rzeczy najgorszych, tandetnych i pozbawionych artyzmu.

Koledzy nigdy nie uważali Vincenta za wesołego chłopca, ale widzieli, że starał się usilnie być miły i przyjemny.

– Jak ci się zdaje, czemu przedstawiciel czcigodnej rodziny van Goghów jest dziś taki zafrasowany? – zapytał swego kolegi jeden z pracowników.

– Pewnie wstał dziś rano z łóżka lewą nogą.

– Chciałbym mieć jego troski. Vincent van Gogh, jego stryj, jest współwłaścicielem wszystkich galerii goupilowskich w Paryżu, Berlinie, Brukseli, Hadze i Amsterdamie. Staruszek jest chory i bezdzietny; wszyscy mówią, że swoją połowę przedsiębiorstwa zostawi w spadku Vincentowi.

– Niektórzy ludzie mają szczęście.

– To jeszcze nie wszystko. Jego drugi stryj, Hendrik van Gogh, jest właścicielem wielkich sklepów z obrazami w Brukseli i Amsterdamie, a trzeci z kolei, Kornelius van Gogh, jest szefem największej firmy w Holandii. Cóż, van Goghowie są najbardziej znaną rodziną handlarzy obrazów w Europie. Pewnego dnia nasz rudowłosy przyjaciel z sąsiedniego pokoju będzie dyktatorem sztuki na całą Europę.

Kiedy wieczorem Vincent wszedł do jadalni Loyerów, Urszula i jej matka rozmawiały z sobą półgłosem. Na jego widok umilkły w pół słowa. Urszula pobiegła do kuchni, pani Loyer przywitała go z dziwnym błyskiem w oczach.

Vincent sam zjadł obiad przy wielkim stole. Odmowa Urszuli ogłuszyła go, lecz nie uważał jej za ostateczną, po prostu nie przyjmował jej do wiadomości. Musi tylko wypędzić tego drugiego z serca dziewczyny.

Upłynął tydzień, nim nadarzyła się sposobność ponownej rozmowy z Urszulą. Przez ten tydzień jadł i spał bardzo mało; jego ośpienie przerodziło się w nerwowość. W sklepie miał o wiele mniejsze obroty niż do tej pory. W jego pogodnych dotąd oczach czaiła się teraz rozpacz. Wysławiał się z jeszcze większym trudem niż zwykle.

W niedzielę po sutym obiedzie poszedł za nią do ogrodu.

– Panno Urszulo – powiedział – przykro mi, że panią wtedy przestraszyłem.

Spojrzała na niego chłodnymi, wielkimi oczami, jak gdyby zdziwiona, że poszedł za nią.

– O, to drobnostka, to nie ma znaczenia. Zapomnijmy o tym, dobrze?

– Chciałbym zapomnieć, że zachowałem się wobec pani jak brutal. Ale to, co mówiłem, jest prawdą.

Zbliżył się do niej o krok. Urszula cofnęła się.

– Po co wracać do tych spraw? – spytała. – Już zapomniałam o wszystkim.

Odwrociła się, chcąc odejść. Vincent pośpieszył za nią.

– Ale ja muszę o tym mówić! Czy pani nie pojmuję, jak bardzo ją kocham? Pani nie może sobie nawet wyobrazić, jak bardzo nieszczęśliwy byłem przez ten tydzień. Dlaczego pani mnie unika?

– Może wejdziemy do domu? Zdaje się, że matka oczekuje gości.

– To nie może być prawdą, że pani kocha innego. Poznałbym to po oczach pani.

– Obawiam się, że niewiele mam już czasu. Kiedy zaczyna pan urlop?

Vincent przełknął ślinę.

– W lipcu.

– To się świetnie składa. Mój narzeczony chce spędzić swój urlop lipcowy ze mną i jego dawny pokój będzie nam potrzebny.

– Przenigdy nie oddam mu pani, Urszulo.

– Pan musi z tym skończyć. W przeciwnym razie matka wypowie panu mieszkanie.

Następne dwa miesiące spędził Vincent na przekonywaniu jej. Wrócił do dawnego sposobu bycia. Jeżeli nie mógł widywać Urszuli, to chciał być przynajmniej sam, by nikt nie przeszkadzał mu myśleć o niej. W sklepie odnosił się nieuprzejmie do klientów. Świat obudzony przez miłość zapadł się i Vincent był znów ponurym chłopakiem, jakim znali go rodzice w Zundert.

Nadszedł lipiec i urlop. Vincent niechętnie opuszczał na dwa tygodnie Londyn. Miał uczucie, że póki on jest przy niej, Urszula nie może kochać nikogo innego.

Zszedł na dół, do saloniku. Zastał tam Urszulę z matką. Ujrzawszy go zamieniły znów znaczące spojrzenia.

– Zabieram z sobą tylko małą walizkę – rzekł. – Wszystko inne zostawiam w pokoju. Tu jest czynsz za dwa tygodnie z góry.

– Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby pan zabrał wszystko, monsieur van Gogh – odparła pani Loyer.

– Dlaczego?

– Pański pokój jest już wynajęty od poniedziałku rano. Obie sądzymy, że będzie lepiej, gdy pan się stąd wyprowadzi.

– Obie? Obie panie tak sądzą?

Obrócił się i patrzył spode łba na Urszulę. Jego wzrok wyrażał pytanie, a nie przyjęcie tego faktu do wiadomości.

Tak. My obie – odparła matka. – Narzeczony mojej córki nie życzy sobie, aby pan tu mieszkał. Lepiej byłoby, gdyby się pan był nigdy u nas nie zjawiał.

V

Theodorus van Gogh przyjechał bryczką po syna na stację Breda. Miał na sobie ciężki czarny surdut pastorski, kamizelkę o szerokich wyłogach, koszulkę ze sztywnym gorsem i szeroki czarny krawat, spod którego zaledwie wystawał wąski rąbek wysokiego kołnierza. Szybkim spojrzeniem odnalazł Vincent w twarzy ojca to, co było dla niej charakterystyczne: prawa powieka opadała niżej niż lewa, zakrywając pół oka; lewa strona warg tworzyła cienką, sztywną linię, prawa była pełna i zmysłowa. Wyraz oczu był bierny. Stwierdzały po prostu: taki jestem.

Parafianie w Zundert nieraz robili uwagi, że pastor Theodorus nawet dobre uczynki spełniał w sposób wyniosły.

Do końca życia nie pojmował pastor Theodorus, dlaczego nie powiodło mu się lepiej. Uważał, że już przed laty powinien być zostać powołany do Amsterdamu lub Hagi. „Piękny pastor”, jak mawiali jego parafianie, był człowiekiem wykształconym, miłym w obejściu, miał wielkie zalety duchowe i niestrudzenie pełnił służbę bożą. A tymczasem od dwudziestu pięciu lat siedział zagrzebany i zapomniany w małej mieścinie Zundert. Był jedynym z sześciu braci van Gogh, który nie osiągnął nigdy ważnego społecznie stanowiska.

Drewniany domek plebanii w Zundert, gdzie urodził się Vincent, stał przy drodze idącej od placu targowego i merostwa. Z tyłu, za kuchnią, leżał piękny ogród; rosły w nim akacje, małe ścieżki wiły się między starannie pielęgnowanymi rabatami. Kościół był maleńki, drewniany, ukryty w drzewach za ogrodem. Z każdej strony miał dwa wąskie gotyckie okna bez witraży, tuzin twardych ławek, drewnianą podłogę i kilka grzejników na węgiel, przytwierdzonych do desek podłogi. Kręte schody prowadziły z tyłu do małej fisharmonii. Było to poważne, niemal surowe miejsce kultu, tchnące duchem Kalwina i reformacji.

Matka Vincenta, Anna Kornelia, oczekiwała syna stojąc w oknie i otworzyła drzwi, nim jeszcze bryczka stanęła przed domem. Przyciskając go z matczyną czułością do wydatnej piersi spostrzegła od razu, że jej chłopca spotkało coś złego.

– Mój drogi synu – szepnęła – mój Vincencie.

Jej oczy, szeroko otwarte, niebieskie i zielone na przemian, domyślne, choć łagodnie pytające, nie sądziły ludzi zbyt surowo. Delikatna bruzda idąca od nozdrzy do kąćków ust pogłębiała się z każdym rokiem, a im głębsze były te bruzdy, tym silniej pogłębiały wrażenie, jakie sprawiała twarz rozjaśniona słabym uśmiechem.

Anna Kornelia Carventus pochodziła z Hagi, gdzie jej ojciec miał tytuł „Królewskiego Introligatora”. Przedsiębiorstwo Wiliama Carventusa rozwijało się doskonale, a gdy mu powierzono oprawę Pierwszej Konstytucji Holenderskiej, zasłynął w całym kraju. Jego trzy córki były *bien levees*⁴; druga z nich zaślubiła Vincenta, brata Theodorusa, trzecia – znanego i poważanego pastora Strickera z Amsterdamu.

Anna Kornelia była złą kobietą. Nie dostrzegała w świecie zła, nie uznawała jego istnienia. Widziała jedynie słabość, pokusę, nędzę i cierpienie. Theodorus van Gogh był również dobrym człowiekiem, lecz zdawał sobie w pełni sprawę z istnienia zła i potępiał najmniejszy jego przejaw.

Jadalnia była ośrodkiem domu van Goghów; wokoło wielkiego stołu po uprzątnięciu talerzy koncentrowało się całe życie rodzinne. Wszyscy członkowie rodziny zbierali się tutaj wieczorem, w przyjaznym świetle lampy naftowej. Annę Kornelię martwił wygląd Vincenta; chłopak był chudy i nerwowy, w jego zachowaniu było coś nienaturalnego.

– Czy spotkała cię jakaś przykrość, Vincencie? – spytała po kolacji. – Nie wyglądasz dobrze.

Vincent powiódł wzrokiem po stole, przy którym siedziały Anna, Elżbieta i Wilhelmina – troje młodych, obcych dziewcząt, które przypadkiem były jego siostrami.

– Nie – odparł. – Wszystko w porządku.

– Czy podoba ci się w Londynie? – spytał z kolei ojciec.

⁴Dobre wychowanie.

– Jeśli nie czujesz się tam dobrze, pomówię ze stryjem Vincentem. Sądzę, że będzie cię mógł przenieść do jednej ze swych firm paryskich.

Vincenta opanowało podniecenie.

– Nie, nie, nie rób tego! – zawołał. – Nie chcę opuścić Londynu... Ja... – pohamował się.

– Jeśli stryj Vincent zechce mnie przenieść, jestem pewien, że sam to uczyni.

– Jak sobie życzysz – rzekł ojciec.

„To ta dziewczyna – pomyślała matka. – Teraz rozumiem, dlaczego jego listy nie podobały mi się”.

Na wrzosowiskach dokoła Zundert stały sosny i kępy dębów. Vincent spędzał całe dni na samotnych wędrówkach po polach, wpatrując się w liczne, tu i ówdzie rozsiane stawy. Jedyłą jego rozrywką było rysowanie. Zrobił sporo szkiców ogrodu, narysował targowisko widziane z okna plebanii i frontowe drzwi domu. Pozwalało mu to na krótkie chwile zapomnieć o Urszuli.

Theodorus ubolewał zawsze nad tym, że najstarszy syn nie poszedł w jego ślady. Pewnego dnia, odwiedziwszy razem chorego chłopca, w drodze powrotnej wysiedli z bryczki i szli pieszo. Słońce zachodziło czerwono za czubami sosen, wieczorne niebo odbijało się w stawach, wrzosowiska i żółte piaski tworzyły wspaniałą harmonię barw.

– Mój ojciec był pastorem, Vincencie. Zawsze miałem nadzieję, że i ty pójdziesz tą drogą.

– Dlaczego sądzisz, że chcę zmienić zawód?

– Powiedziałem tylko, że w wypadku gdybyś chciał... Mógłbyś mieszkać u stryja Jana w Amsterdamie, gdybyś zdecydował się tam studiować. A wielebny pastor Stricker przyrzekł, że zajmie się twą edukacją.

– Czy radzisz mi opuścić Goupilów?

– Ależ nie, stanowczo nie. Lecz gdybyś tam czuł się niedobrze... ludzie nieraz zmieniają zawód.

– Wiem o tym. Ale nie mam zamiaru rzucać Goupilów.

Matka i ojciec odprowadzili go na stację w dniu wyjazdu do Londynu.

– Czy mamy pisać do ciebie pod tym samym adresem?

– spytała Anna Kornelia.

– Nie, wyprowadziłem się stamtąd.

– Rad jestem, żeś opuścił Loyerów – rzekł ojciec. – Te panie nie podobały mi się. Zbyt były tajemnicze.

Vincent zeszywniał. Matka położyła czule rękę na jego dłoni i powiedziała cicho, tak aby Theodorus nie dosłyszał:

– Nie martw się, synku. Będzie ci lepiej z jakąś miłą dziewczyną holenderską – później, gdy staniesz mocno na nogach. Ta Urszula nie byłaby dla ciebie na pewno dobrą żoną. Ona do ciebie nie pasuje.

Zdziwił się, skąd matka wie.

VI

Wróciwszy do Londynu wynajął sobie umeblowane mieszkanie na Kensington New Road. Jego gospodyni, mała staruszka, kładła się spać codziennie o ósmej wieczór. Nigdy najłżejszy dźwięk nie zakłócał ciszy domu. Co noc staczał Vincent z sobą zaciekłą walkę;

ciągnęło go pod dom Loyerów. Zamykał drzwi swego pokoju i przysięgał sobie, że pójdzie spać. W ciągu kwadransa jednak znajdował się w tajemniczy sposób na ulicy i śpieszył pod dom Urszuli.

Męką było odczuwanie bliskości dziewczyny i zarazem świadomość, że jest niedosiężna. Ale tysiąc razy okrutniejszą męką było zostać w domu, poza urzekającym kręgiem jej osobowości.

Cierpienie dziwnie go odmieniło. Uczyniło go wrażliwym na cierpienie innych i nietolerancyjnym wobec wszystkiego, co miało tani i krzykliwy sukces w świecie. Firma nie miała teraz z niego żadnego pożytku. Kiedy klienci pytali go, co sądzi o jakiejś reprodukcji, odpowiadał w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że jest ohydna – i kupno nie dochodziło do skutku. Jedynie w obrazach, w których artysta wyraził cierpienie, odnajdywał prawdę i głębię uczucia.

W październiku zjawiała się w sklepie tęga matrona z okazałym biustem, w sobolowym płaszczu, wysokim koronkowym kołnierzyku i okrągłym aksamitnym kapeluszu z niebieskim piórkiem. Chciała wybrać obrazy do swego nowego mieszkania w mieście. Obsługiwał ją Vincent.

– Żądam najlepszych rzeczy, jakie macie na składzie – oświadczyła. – Cena nie gra roli. Oto wymiary. W salonie są dwie ściany długości pięćdziesięciu stóp, trzecia przebita jest dwoma oknami, przestrzeń między nimi...

Całe niemal popołudnie starał się Vincent wmówić jej parę akwafort według Rembrandta, doskonałą reprodukcję jednej ze scen weneckich Turnera, parę litografii Thys Marisa i artystyczne reprodukcje obrazów Corota i Daubigny'ego. Kobieta miała niezawodny instynkt wybierania za każdym razem rzeczy najgorszych. Miała również taki sam talent odrzucania od razu, na pierwszy rzut oka, wszystkiego, co tchnęło prawdziwą sztuką. W miarę jak godziny mijały, ta kobieta ze swymi banalnymi rysami, ze swym łaskawym mizdrzeniem się stała się dla niego doskonałym symbolem drobnomieszczańskiej tępoty i handlarskiego nastawienia.

– Oto są! – wykrzyknęła wreszcie z zadowoloną miną.

– Sądzę, że wybór mój jest trafny.

– Gdyby pani wybrała z zamkniętymi oczami, nie mogłaby pani wybrać gorzej – odparł Vincent.

Kobieta wstała ciężko, zgarniając tren aksamitnej sukni. Vincent dojrzał, jak krew pulsując podchodzi coraz wyżej na jej szyi aż do koronkowego kołnierzyka.

– Co? Co takiego?... Jest pan... ordynarnym gburem!

Wypadła ze sklepu jak burza, pióro chwiało się na jej aksamitnym kapeluszu.

Mr Obach był wściekły.

– Mój drogi Vincencie – zawołał – co się z panem dzieje? Sfuszerował pan najlepszą sprzedaż tego tygodnia i w dodatku obraził pan tę kobietę.

– Mr Obach, czy zechce mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie?

– Słucham. Ale to raczej ja miałbym prawo zadać panu parę pytań.

Vincent odsunął na bok reprodukcje wybrane przez kobietę i obiema rękami oparł się o stół.

– Proszę, niech mi pan powie, jak może człowiek usprawiedliwić sam przed sobą fakt, że swoje jedyne i niepowracalne życie spędza na sprzedawaniu głupcom złych obrazów?

Obach nie próbował nawet odpowiadać.

– Jeśli tak ma być dalej – rzekł tylko – napiszę do pańskiego stryja i poproszę go o przeniesienie pana do innej filii. Nie mogę pozwolić na to, aby pan rujnował mój interes.

Vincent machnął ręką.

– Jakim prawem ciągniemy tak wielkie zyski ze sprzedaży kiczów, Mr Obach? I jak się to dzieje, że jedynymi ludźmi, którzy mogą sobie pozwolić na wejście tutaj, są ci, którzy nie znoszą widoku prawdziwej sztuki? Czy to dlatego, że pieniądze zabiły w nich wrażliwość? I dlaczego biedacy, którzy mogliby ocenić dobrą sztukę, nie mają ani jednego pensa w kieszeni, aby kupić bodaj odbitkę na ścianę swej izby?

Obach spojrział nań z ukosa: – Co to takiego? Socjalizm?

Powróciwszy do domu wziął Vincent ze stołu tom Renana i otworzył go na zaznaczonej stronie: „Aby czynić dobro na tym świecie – czytał – człowiek musi umrzeć dla samego siebie. Człowiek nie po to jedynie żyje na ziemi, aby być szczęśliwym, nie po to, aby być po prostu uczciwym, ale po to, aby zrealizować dzieło wielkie dla całej ludzkości, aby osiągnąć szlachectwo ducha i wznieść się nad pospolicą, która podmywa istnienie wszystkich niemal jednostek”.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem Loyerowie ustawili w oknie frontowym małą, przystrojoną choinkę. Dwa wieczory później, znalazłszy się znów przed ich domem, Vincent dostrzegł światła w oknach, zobaczył sąsiadów wchodzących do wnętrza, dosłyszał wesołe głosy i śmiech; Loyerowie urządzali przyjęcie z okazji świąt. Vincent pobiegł z powrotem na Kensington New Road, ogolił się prędko, włożył świeżą koszulę i krawat i pogalopował po raz drugi do Clapham. Musiał odczekać parę minut przed schodami, aby zaczerpnąć tchu.

Było Boże Narodzenie, czas przebaczenia i pojednania. Wszedł po schodach na górę, zastukał do drzwi kołatką. W holu usłyszał znajome kroki, znany mu dobrze głos zawołał coś do gości w salonie, potem drzwi otwały się. Światło lampy padło mu na twarz. Przed nim stała Urszula w zielonej sukni polskiego kroju, bez rękawów, przybranej kokardami i pianą koronek. Nigdy nie widział jej tak pięknej.

– Urszulo – powiedział.

Przez jej twarz przemknął wyraz, który jasno powtarzał wszystko, co powiedziała mu wówczas w ogrodzie. Patrząc na nią przeżył raz jeszcze tę scenę.

– Idź precz! – zawołała i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Następnego dnia odpłynął do Holandii.

Największy ruch w galerii Goupilów panował w okresie świąt Bożego Narodzenia. Mr Obach doniósł stryjowi Vincentowi tylko tyle, że bratanek wziął urlop nawet nie spytawszy o pozwolenie. Stryj Vincent postanowił umieścić bratanek w głównym składzie firmy w Paryżu.

Vincent oszacował jednak spokojnie, że ma już dosyć handlu obrazami. Stryj Vincent był zdumiony i głęboko dotknięty. Oświadczył, że w przyszłości umywa ręce od spraw bratanek. Po świątach jednak ruszyło go sumienie i wystarał się swemu imiennikowi o posadę w księgarni Blusse et Braam w Dordrecht. Od tego czasu dwaj Vincentowie van Gogh nie mieli z sobą więcej nic wspólnego.

Vincent pozostał w Dordrechtie niemal cztery miesiące. Nie był ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy, nie powodziło mu się ani dobrze, ani źle. Po prostu nie było go tam. Pewnej soboty wieczorem wsiadł do ostatniego pociągu jadącego z Dordrechtu do Oudenbosch i powędrował do domu, do Zundert. Noc była piękna i rześka, wrzosowiska pachniały mocno i orzeźwiająco. Mimo ciemności odróżniał Vincent tu i ówdzie kępy sosen i ciągnące się daleko łąki pokryte wrzosem. Niebo było przesłonięte, ale przez chmury przeświecały gwiazdy. O świcie Vincent doszedł do cmentarza w Zundert; śpiew skowronków rozlegał się nad czarnymi teraz, porośniętymi świeżą runią polami.

Rodzice rozumieli, że Vincent przeżywa ciężkie chwile. Latem cała rodzina przeniosła się do Etten, małego miasteczka targowego położonego kilkanaście kilometrów od Zundert; Theodorus został tam mianowany pastorem. Etten miało szeroki, wysadzany wiązami plac i połączenie kolejowe z najważniejszym ośrodkiem, Bredą. Nominacja oznaczała dla Theodorusa pewien krok naprzód w karierze.

Kiedy jesienią liście zaczęły opadać, przed Vincentem znów stanęła konieczność decyzji. Urszula wciąż jeszcze nie była zameżna.

– Nie jesteś stworzony do tych zajęć w sklepie, Vincencie – rzekł ojciec. – Twoje serce skłania się do służby bożej.

– Wiem o tym, ojcze.

– W takim razie może pojedziesz do Amsterdamu na studia?

– Chciałbym, ale...

– Czy wciąż jeszcze się wahasz?

– Tak jest. Nie mogę ci teraz tego wytłumaczyć. Zostaw mi jeszcze trochę czasu do namysłu.

Stryj Jan przejeżdżał właśnie przez Etten.

– W moim domu w Amsterdamie czeka na ciebie pokój, Vincencie – powiedział.

– A pastor Stricker pisał, że wystara ci się o dobrych nauczycieli – dodała matka.

Odkąd z rąk Urszuli spłynęło na niego cierpienie, sprawa wszystkich wydziedziczonych stała się jego sprawą. Wiedział, że najlepszą drogą do służenia tej sprawie były studia teologii na uniwersytecie w Amsterdamie. Rodziny van Goghów i Strickerów przyjęłyby go i zachęcały, pomagałyby mu finansowo i moralnie. Ale nie mógł jeszcze zerwać zupełnie z przeszłością; Urszula żyła w Anglii – i była wolna. W Holandii stracił z nią wszelki kontakt. Sprowadził sobie dzienniki angielskie, odpowiadał na oferty i w końcu otrzymał posadę nauczyciela w Ramsgate, mieście portowym, oddalonym o cztery i pół godziny jazdy koleją od Londynu.

VII

Szkoła Mr Stokesa stała na placu, pośrodku którego znajdował się rozległy trawnik, ogrodzony żelaznymi sztaketami. W szkole przebywało dwudziestu czterech chłopców w wieku od lat dziesięciu do czternastu. Vincent miał ich uczyć francuskiego, niemieckiego i holenderskiego, nadto miał pilnować uczniów po godzinach lekcji i podczas sobotniej kąpieli. Dostawał za to wikt i pokój, płacy żadnej.

Ramsgate było smutną miejscowością, lecz to właśnie odpowiadało nastrojowi Vincenta. Nie uświadamiając sobie tego nawet, kochał swoje cierpienie jak drogiego towarzysza: dzięki niemu Urszula była z nim związana. Skoro nie mógł być razem z

ukochaną dziewczyną, nie miało znaczenia to, gdzie się w ogóle znajduje. Pragnął jedynie, aby nic nie stało pomiędzy nim a uczuciem, jakim Urszula wypełniła go całego – jego ciało i duszę.

– Czy mógłby mi pan płacić choćby małą sumę miesięcznie, Mr Stokes? – zapytał pewnego dnia. – Abym miał na tytoń i ubranie?

– Nie, nie ma mowy o płaceniu – odparł Stokes. – Mogę mieć nauczycieli, ilu zechcę, za wikt i pokój.

Pierwszej soboty o brzasku Vincent wybrał się pieszo z Ramsgate do Londynu. Była to daleka droga, nadto do późnego wieczora trwał dokuczliwy upał. Po długiej wędrówce dotarł do Canterbury i zatrzymał się w cieniu starych drzew otaczających średniowieczną katedrę. Odpocząwszy nieco, poszedł dalej aż do bukowego zagajnika nad małym stawem. Tam przespał się do czwartej nad ranem; o świcie obudził go śpiew ptaków. Koło południa przybył wreszcie do Clapham; już z daleka dojrzał między nisko położonymi, częściowo zalanymi łąkami Tamizę, pełną statków. Pod wieczór przemierzał znajome przedmieścia Londynu i pomimo zmęczenia poszedł żwawo pod dom Loyerów.

Sprawa, dla której wrócił do Anglii – kontakt z Urszulą – opanowała go na nowo w momencie, w którym dostrzegł z daleka jej dom. W Anglii Urszula należała wciąż jeszcze do niego, ponieważ mógł odczuć jej bliskość.

Serce waliło mu jak młotem. Oparł się o drzewo, przejęty głuchym, tępym, niewyraźnym bólem. W końcu zgaszono lampę w saloniku, potem rozbłysła i zgasła lampa w pokoju Urszuli. Dom pograżył się w mroku. Vincent oderwał się od drzewa i do cna wyczerpany powlókł się z powrotem. Ale skoro tylko jej dom ' zniknął z oczu, uczuł, że traci ją ponownie.

Teraz, kiedy wyobraźnia malowała mu małżeństwo z Urszulą, nie myślał o niej już jako o żonie zamożnego kupca. Widział ją jako wierną, cichą towarzyszkę, zwiastuna ewangelii, pracującą bez skargi u jego boku – w slumsach, w służbie biedaków.

W każdy niemal weekend wędrował pieszo do Londynu, lecz trudno mu było wrócić rano na godziny lekcji. Niekiedy więc wybierał się już w piątek wieczór i wędrował dwie noce, aby z daleka zobaczyć Urszulę wychodzącą w niedzielę z domu do kościoła. Nie miał pieniędzy na żywność w drodze ani na pokój, a gdy nastąpiła zima, mróz dawał mu się dotkliwie we znaki. W poniedziałek rano wracał do Ramsgate, drżący z zimna, wyczerpany i głodny. Przez cały tydzień musiał potem odzyskiwać siły.

Po kilku miesiącach znalazł lepszą posadę w szkole metodystów Mr Jonesa w Isleworth. Mr Jones miał w swej pieczy wielką parafię. Zatrudnił zrazu Vincenta jako nauczyciela, lecz wkrótce zrobił go swym pomocnikiem.

Teraz w wyobraźni swej, żywej i zmiennej, widział Vincent Urszulę raczej jako żonę wiejskiego proboszcza, pomagającą mu w jego pracy, jak jego matka pomagała ojcu. Widział Urszulę patrzącą na niego z uznaniem i szczęśliwą, że porzucił ciasne życie kupca i pracuje dla dobra ludzkości.

Starał się nie myśleć o tym, że termin ślubu Urszuli zbliża się nieubłaganie. Tamten drugi mężczyzna nie istniał nigdy w jego duszy jako rzeczywistość. Sądził raczej, że Urszula odtrąciła go z powodu jakiegoś szczególnego braku w nim samym, który musi naprawić. Czyż istniała po temu lepsza droga aniżeli służba Bogu?

Ubodzy uczniowie Jonesa pochodzili z Londynu. Pastor dał Vincentowi adresy rodziców i posłał go pieszo do nich, aby pobrał należność za naukę. Wielu z nich mieszkało w sercu Whitechapel. Ostry, przykry zapach unosił się tu na ulicach, rodziny z licznym potomstwem gnieździły się w zimnych, pustych izbach, z każdej pary oczu wзираł głód i choroba. Wielu z tych ludzi handlowało pokątnie mięsem zakażonych zwierząt, którego nie wolno było sprzedawać na targach. Vincent natknął się na rodziny drżące w łachmanach; posiłki ich składały się z wodzianki, skórek suchego chleba i zepsutego mięsa. Aż do zapadnięcia nocy musiał wysłuchiwać ich opowiadań o nędzy i nieszczęściach.

Powitał z radością wycieczkę do Londynu, bo dawała mu sposobność przejścia obok domu Urszuli w drodze powrotnej. Slumsy Whitechapel wygnały myśl o niej z jego serca. W powrotnej drodze nie poszedł przez Clapham i wrócił do Isleworth bez jednego miedziaka dla Mr Jonesa.

W pewien czwartek wieczorem, podczas nabożeństwa pastor pochylił się ku swemu wikaremu udając zmęczenie.

– Czuję się strasznie wyczerpany dziś wieczór, Vincencie. Pan nieraz opracowywał kazania, prawda? Proszę więc wygłosić kazanie. Chciałbym wiedzieć, czy pan ma po temu zdolności.

Vincent wszedł na ambonę dygocąc z podniecenia. Krew uderzyła mu do głowy, nie wiedział, co począć z rękami.

Ochryplym, zacinającym się głosem potykał się o okrągłe zdania, które tak zgrabnie rzucił był na papier. Czuł jednak, że duch jego przebija się poprzez niezgrabne gesty i urywane słowa.

– Ładnie pan mówił – zawyrokował Mr Jones. – W przyszłym tygodniu pošlę pana do Richmond.

W przejrzysty dzień jesienny spacer nad Tamizą z Isleworth do Richmond był prawdziwą przyjemnością. Błękitne niebo i wielkie kasztany z koronami żółtych liści odbijały się w wodzie. Ludzie z Richmond donieśli pastorowi, że podobał im się młody holenderski kaznodzieja. Pocziwy zwierzchnik postanowił dać Vincentowi okazję wybicia się. Kościół w Turnham Green był ważną placówką, gmina wiernych dość liczna i wyrobiona. Jeśli Vincent wygłosi tam dobre kazanie, będzie to znaczyć, że posiada kwalifikacje, aby mówić z każdej ambony.

Vincent wybrał jako motto psalm 119, werset 19: „Jestem ja gościem na ziemi: nie kryj przede mną mandatów Twoich”. Mówił z zapałem, prosto i bezpośrednio. Jego młodość, ogień, siła utajona w ciężkich rękach, masywna głowa i przenikliwe oczy – wszystko to wywarło ogromne wrażenie na słuchaczach.

Wielu z nich podeszło do Vincenta, aby mu podziękować za zwiastowanie słowa bożego. Ścisnął im ręce i uśmiechał się do nich, oszołomiony. Po wyjściu wszystkich wysliznął się z kościoła bocznym wyjściem i pomaszerował do Londynu.

Nadciągnęła burza. Vincent zapomniał kapelusza i płaszcza. Tamiza toczyła zmacone, żółte wody. Na horyzoncie iskrzyły się błyskawice, nad nimi stały olbrzymie ołowiane chmury, z których płynęły ukośne strugi deszczu. Przemókł do nitki, ale maszerował dalej w radosnym podnieceniu.

Nareszcie odniósł sukces! Nareszcie odnalazł siebie! Mógł złożyć triumf u stóp Urszuli, podzielić się z nią szczęściem.

Deszcz ubijał piasek białej ścieżynki i گیاł ku ziemi krzaki głogu. W pewnej odległości ukazało się stare miasteczko – istny sztych Dürera: miasteczko z wieżyczkami, młynami, gontowymi dachami i domami w stylu gotyckim.

W wichurze i ulewie torował sobie Vincent drogę do Londynu. Woda spływała mu po twarzy i chlupotała w trzewikach. Późnym popołudniem dotarł do domu Loyerów. Zapadł szary, posępny zmierzch. Już z dala dobiegły go dźwięki muzyki, jakieś skrzypce... Zdziwił się... We wszystkich pokojach płonęły lampy. Przed domem w kałużach deszczu stał szereg powozów. Ujrzał pary tańczące w salonie. Jakiś stary dorożkarz siedział skulony na koźle pod olbrzymim parasolem.

– Co się tu dzieje? – zapytał Vincent.

– Wesele – przecież pan widzi.

Vincent oparł się o powóz, z rudych włosów ciekły mu na twarz strużki wody. Po pewnym czasie drzwi domu otwarły się. Urszula i jakiś wysoki, smukły mężczyzna stanęli w progu. Tłum ludzi wysypał się z wnętrza domu do sieni śmiejąc się, krzyżąc i obrzucając ryżem państwa młodych.

Vincent skrył się w cieniu powozu. Urszula i jej mąż wsiedli do środka. Dorożkarz śmignął biczem nad łbami koni. Ruszyły z wolna. Vincent pobiegł parę kroków naprzód i przycisnął twarz do ociekającej deszczem szyby. Urszula leżała w ramionach męża, z ustami na jego ustach. Powóz odjechał.

W tej chwili coś załamało się w sercu Vincenta – od razu i nagle. Czar prysnął. Nie wiedział, że to się stanie tak łatwo.

W tnącym deszczu powlókł się z powrotem do Isleworth. Spakował manatki i opuścił Anglię na zawsze.

Księga pierwsza

BORINAGE

I

Wiceadmirał Johannes van Gogh, najwyższy rangą oficer liniowy marynarki holenderskiej, stał na progu swej obszernej siedziby służbowej położonej z tyłu za stoczną. Na cześć przybywającego bratanka włożył galowy mundur ze złotymi epoletami. Nad masywnym podbródkiem vangoghowskim sterczał potężny garbaty nos, łączący się ze skalistą wypukłością czoła.

– Rad jestem, żeś przyjechał, Vincencie – rzekł. – Mój dom jest bardzo spokojny, odkąd opuściły go dzieci.

Weszli po szerokich, krętych schodach i stryj Jan otworzył drzwi jednego z narożnych pokojów. Vincent wszedł do środka i wniósł walizkę. Wielkie okno wychodziło na dziedziniec stoczni. Stryj Jan usiadł na brzegu łóżka i starał się wyglądać tak nieoficjalnie, jak na to zezwalały złote galony munduru.

– Ucieszyłem się słysząc, że zdecydowałaś się studiować teologię na tutejszym uniwersytecie – powiedział. – W każdym pokoleniu van Goghów jeden członek rodu poświęcał się służbie bożej.

Vincent sięgnął po fajkę i starannie nabił główkę tytoniem. Nieraz robił to, gdy chciał zyskać na czasie.

– Chciałbym zostać kaznodzieją i od razu zabrać się do pracy.

– Niepodobna, abyś chciał zostać zwykłym kaznodzieją – obruszył się stryj. – To są ludzie bez edukacji i Bóg jeden wie, jakiego rodzaju zniekształconą teologią posługują się w swoich kazaniach. Nie, chłopcze, pastory z rodu van Goghów mieli zawsze dyplom uniwersytecki. Ale z pewnością chcesz teraz rozpakować walizę. Obiad jemy o ósmej.

Zaledwie szerokie plecy wiceadmirała zniknęły za drzwiami, łagodna melancholia opanowała Vincenta. Rozejrzał się po pokoju. Łóżko było szerokie i wygodne, komoda obszerna, niski gładki stół zapraszał do pracy. Ale mimo to czuł się w tym pokoju nieswojo, podobnie jak w obecności obcych ludzi. Porwał czapkę i zszedł w stronę grobli. Tam znalazł jakiegoś księgarza-Żyda, który w zwykłej skrzynce wystawił na sprzedaż piękne sztychy i druki. Po długim szukaniu wybrał Vincent trzynaście sztuk, wziął je pod pachę i poszedł szybko do domu, z rozkoszą wdychając ostry zapach smoły unoszący się nad całą dzielnicą.

Przybijał właśnie swoje sztychy ostrożnie, aby nie uszkodzić ścian, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł pastor Stricker, wuj Vincenta; jego żona i matka Vincenta były siostrami. Pastor Stricker był duchownym znanym w Amsterdamie i cieszył się opinią mądrego człowieka. Miał na sobie elegancko skrojone czarne ubranie z dobrego materiału.

Po przywitaniu pastor rzekł:

– Zapewniłem ci pomoc Mendesa da Costa, jednego z najlepszych filologów klasycznych; będzie ci dawał lekcje łaciny i greki. Mieszka w dzielnicy żydowskiej; w poniedziałek o trzeciej masz się do niego zgłosić na pierwszą lekcję. Ale nie w tej sprawie

przychodzę, tylko żeby cię zaprosić do nas na jutro na obiad. Twoja ciotka Wilhelmina i kuzynka Kay oczekują cię z niecierpliwością.

– Przyjdę chętnie. O której mam się stawić?

– O dwunastej, po ostatnim nabożeństwie rannym.

– Proszę złożyć wszystkim w domu u państwa ukłony ode mnie – powiedział Vincent, gdy wielebny Stricker sięgnął po swój czarny kapelusz i Biblię.

– A więc do jutra, Vincencie – rzekł wychodząc.

II

Keisersgracht, gdzie mieszkali Strickerowie, była jedną z najelegantszych ulic Amsterdamu. Stanowiła część bulwaru nad kanałem, który biegł w kształcie podkowy od południowej strony portu, okrążał centrum miasta i dochodził do portu od północy. Bulwar był szeroki i jasny, woda w kanale czysta. Nie zarastała go rzeża, ów tajemniczy, zielony nalot, jaki od setek lat osiadał gęstą warstwą na kanałach dzielnic uboższych.

Domy po obu stronach ulicy były w stylu czysto flamandzkim: wąskie stylowe fasady, stykające się z sobą niby rząd sztywnych purytańskich żołnierzy wyprężonych na baczność.

Nazajutrz, po wysłuchaniu kazania wuja Strickera, Vincent wybrał się do jego domu. Promienne słońce przegnało popielate chmury, które płyną wiecznie po niebie Holandii, i na krótką chwilę świat pojaśniał. Na wizytę było jeszcze za wcześnie. Przeszedł zamyślony nad kanałem i przypatrywał się łodziom pchanym w górę, pod prąd.

Były to przeważnie wielkie, podłużne barki z piaskiem, o lekko ściętych końcach; czarna farba burt zrudziała już od wody, w środku barek ciemniały głębokie luki do ładowania. Długie sznury z bielizną rozciągały się od dzioba łodzi do steru. Piaskarz wpychał drąg w grząski muł na dnie, opierał go o swe ramię i naciskał z takim wysiłkiem, że aż skręcał się wpół. Łódź ślizgała się pod nim naprzód. Jego żona, przysadzista, jędrna i rumiana kobieta, siedziała bez ruchu z tyłu łodzi i obsługiwała niezgrabny, drewniany ster. Dzieci bawiły się z psem na pokładzie, zbiegając co chwila na dół do nędznej kajuty, która stanowiła ich mieszkanie.

Dom pastora Strickera był, podobnie jak inne, w stylu typowo flamandzkim. Miał wąską fasadę, trzy piętra, a na szczycie wieżyczkę z okienkiem. Faliste ornamenty wiły się między oknami. Z okna na poddaszu sterczała belka z długim żelaznym hakiem.

Ciotka Wilhelmina przywitała Vincenta i poprowadziła go do jadalni. Na ścianie wisiał tu portret Kalwina pędzla Ary Scheffera, na bufecie błyszczała srebrna zastawa. Ściany wyłożone były ciemną boazerią.

Zanim Vincent zdołał się oswoić z mrokiem panującym w pokoju, z kąta wysunęła się gibka, smukła dziewczyna i powitała go serdecznie.

– Oczywiście nie znasz mnie – powiedziała dźwięcznym, wibrującym głosem. – Jestem twoją kuzynką Kay.

Vincent ujął wyciągniętą rękę i po raz pierwszy od miesiący poczuł znowu ciepły dotyk młodej kobiety.

– Nie spotkaliśmy się dotąd nigdy – ciągnęła Kay serdecznym tonem – i uważam to za rzecz dziwną, ponieważ mam już lat dwadzieścia sześć, a ty chyba...

Vincent patrzył na nią w milczeniu. Upłynęło kilka chwil, nim uświadomił sobie, że musi coś powiedzieć. Chcąc zatrzeć wrażenie niezręczności, wypalił ostrym, szorstkim głosem:

– Dwadzieścia cztery. Jestem młodszy od ciebie.

– Tak, prawda. Zresztą mimo wszystko to nie jest znów takie dziwne. Nie odwiedzałeś dotąd nigdy Amsterdamu, a ja nie byłam nigdy w Brabancji. Ale obawiam się, że nie grzeszę gościnnością. Może usiądziesz?

Usiadł na brzegu twardego krzesła. Pod wpływem jednej z osobliwych swych metamorfoz nieokrzesany dzikus stał się nagle swobodny i rozmowny; powiedział:

– Matka moja nieraz pragnęła, abys nas odwiedziła. Sądzę, że Brabancja spodobałaby ci się. Okolica jest bardzo piękna.

– Wiem o tym. Ciotka Anna pisała i zapraszała mnie niejednokrotnie. Muszę w istocie jak najrychlej się tam wybrać.

– Tak jest – odparł Vincent – koniecznie.

Słuchał i odpowiadał półprzytomnie, rozkoszując się przede wszystkim piękną dziewczyny. Czuł namiętne pragnienie mężczyzny, który zbyt długo był sam. Kay miała śmiałe rysy kobiet holenderskich, lecz wypolerowane jakby i wycyzelowane, drobniejsze i bardziej delikatne. Włosy jej nie miały płowej barwy zboża ani brutalnej czerwieni włosów jej rodaczek; miały raczej ton pośredni między tymi dwoma, jak gdyby płomień jednego nasiąknął subtelnym ciepłem drugiego. Nie wystawiała widać nigdy twarzy na wiatr i słońce. Biel podbródka przepływała w lekki róż policzków z artyzmem godnym holenderskiego mistrza. Oczy miały kolor głębokiego błękitu, skrzyła się w nich radość życia, pełne usta były lekko rozchylone.

Zauważywszy milczenie Vincenta spytała:

– O czym myślisz, kuzynie? Wydajesz się taki zadumany.

– Myślałem, że Rembrandt chętnie by cię malował.

Kay roześmiała się cicho i gardłowo.

– Rembrandt malował chętnie tylko stare, brzydkie kobiety, prawda, kuzynie?

– Nie – odparł Vincent. – Malował stare, piękne kobiety, kobiety biedne albo nieszczęśliwe, które dzięki cierpieniu pozyskały duszę.

Po raz pierwszy Kay spojrzała uważnie na Vincenta. Gdy wszedł, rzuciła nań tylko przelotne spojrzenie, dostrzegła chaos rudych włosów i masywną twarz. Teraz ujrzała pełne usta, głęboko osadzone płomienne oczy, wysokie, foremne czoło van Goghów i samowolny, uparty podbródek.

– Wybacz to głupie odezwanie – powiedziała prawie szeptem. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Rembrandt odtworzył istotę piękna malując starych, wyniszczonych ludzi, których twarze rzeźbiło cierpienie i klęski życiowe.

– O czym to rozmawiacie tak poważnie? – zapytał od drzwi pastor Stricker.

– Poznaliśmy się ze sobą – rzekła Kay. – Dlaczego nie mówiłeś mi nigdy, że mam tak miłego kuzyna?

W tej chwili wszedł wysoki, smukły mężczyzna z uśmiechem na ustach. Kay zerwała się i gorąco go ucałowała.

– Kuzynie – zwróciła się do Vincenta – to mój mąż, mijnheer Vos.

Zniknęła na chwilę i wróciła z żywym, jasnowłosym, dwuletnim chłopczykiem, o poważnej skupionej twarzy i oczach tak niebieskich jak oczy matki. Podniosła go. Vos uściśnął oboje.

– Może usiądziesz tu przy mnie, Vincencie? – ciotka Wilhelmina wskazała krzesło.

Naprzeciw Vincenta siedziała Kay, obok niej z jednej strony Vos, z drugiej, na podłożonych poduszkach, dziecko. Teraz, kiedy jej mąż był obecny, zdawała się zapominać o Vincencie. Radość zabarwiła jej twarz. A gdy mąż nachylił się ku niej, aby jej powiedzieć coś szeptem, przytuliła się i pocałowała go. Vincent wyczuł promieniejącą od nich miłość. Po raz pierwszy od owej fatalnej niedzieli stare cierpienie związane z Urszulą wypelzło z jakiejś tajemniczej kryjówki i zalało go całego wraz z mózgiem i ciałem. Widok małej rodziny ściśle zespolonej radosnym uczuciem przypomniał mu własny głód, głód miłości w ciągu tych miesięcy udreki i to, że ten głód tak trudno zwalczyć.

III

Vincent wstawał codziennie przed świtem i czytał Biblię. Słońce wschodziło około piątej. Zbliżał się wtedy do okna i patrzył na leżącą poniżej stocznia, na robotników idących przez bramę – długi nierówny szereg czarnych postaci. Małe parowce pływały po Zuidersee, w dali, w pobliżu wioski, widoczne ponad stocznia, ślizgały się brunatne żagle kutrów rybackich.

Gdy słońce wytoczyło się na niebo i wessało mgłę, odwracał się od okna, zjadał kawał suchego chleba i wypijał szklanekę piwa. Po śniadaniu rozpoczynała się siedmiogodzinna zacięta walka z łaciną i greką.

Po czterech, pięciu godzinach skupionej pracy głowa mu ciążyła, czaszka piekła, mąciły się myśli. Zdawało się wręcz niepojęte, że po tych wszystkich latach siedzi oto tutaj, pochylony nad książką jak uczeń. Wkuwał reguły gramatyczne, póki słońce nie przeszło na drugą stronę nieba i nie nastąpiła pora, kiedy miał iść na lekcję do Mendesa da Costa. Po drodze przechodził wzdłuż Buitenkant, mijając kaplicę Oudezydów, szedł przez kręte uliczki pełne kuźni, warsztatów bednarskich i sklepów z obrazami. Mendes przypominał Vincentowi *Naśladowanie Chrystusa* Ruypereza; był klasycznym typem Żyda o przepaścistych oczach, zapadniętej, uduchowionej twarzy i rzadkiej, rozwianej bródce pierwszych rabinów. W dzielnicy żydowskiej, gdzie mieszkał, powietrze było ciężkie i stęchłe. Z głową nabitą siedmioma godzinami łaciny i greki i jeszcze dokuczliwszym wkuwaniem holenderskiej historii i gramatyki, Vincent rozmawiał chętnie z Mendesem o litografiach. Pewnego dnia przyniósł swojemu nauczycielowi studium Thys Marisa *Chrzest*.

Mendes trzymał studium w długich kościstych palcach, tak że na obraz padał przez okno ostry, wibrujący pyłkami promyk słońca.

– To jest dobre – rzekł z gardłowym, żydowskim akcentem. – Jest tu coś z ducha religii uniwersalnej.

Vincent natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Z zapalem zaczął opisywać sztukę Marisa. Mendes niedostrzegalnie kiwał głową; pastor Stricker płacił mu dobrze za lekcje łaciny i greki dawane Vincentowi.

– Vincencie – powiedział spokojnie – Maris jest dobrym malarzem, lecz czas ucieka i powinniśmy zabrać się do nauki.

Vincent zrozumiał. W drodze do domu, po dwugodzinnej lekcji, przystawał chętnie przed domami i zaglądał do wnętrza, gdzie krzątali się przy pracy drwale, stolarze i sprzedawcy prowiantu okrętowego. Drzwi wielkiej winiarni stały otworem, w mrocznej piwnicy kręcili się ludzie z latarkami.

Stryj Jan wyjechał na tydzień do Helvoort. Wiedząc, że Vincent jest zupełnie sam w wielkim domu za stoczną, Kay i Vos przyszli do niego kiedyś po południu, by go zabrać z sobą na kolację.

– Póki stryj Jan nie wróci, musisz przychodzić do nas co wieczór – zapraszała go Kay. – Mama chce również wiedzieć, czy zechcesz przychodzić do nas w niedziele na obiad.

Po kolacji grano w karty. Vincent nie umiał grać, usiadł więc w kącie i zaczął czytać *Historię wypraw krzyżowych* Augusta Grusona. Ze swego miejsca mógł śledzić niepostrzeżenie Kay, jej zmienny wyraz twarzy i uśmiech, który miał w sobie coś wyzywającego. Podniosła się i podeszła do niego.

– Co czytasz, kuzynie?

Wymienił tytuł książki. Potem dodał: – To subtelna książka. Powiedziałbym, że jest w niej ten sam ton uczuciowy co u Thys Marisa.

Kay uśmiechnęła się. Zawsze robił te śmieszne literackie aluzje.

– Jak to, u Thys Marisa? – spytała.

Masz, przeczytaj. Czy nie przywodzi ci na myśl obrazu Marisa ten ustęp, w którym autor opisuje stary zamek wysoko na skale, jesienne drzewa o zmierzchu, a na pierwszym planie ciemny zagon i orzącego chłopca z białym koniem? Kay czytała stojąc. Vincent podał jej krzesło. Spojrzała na niego zamyślona. Niebieskie oczy powlekła zaduma.

– Tak jest – rzekła – to jest doprawdy jak obraz Marisa. Malarz i pisarz używają tylko odmiennych środków, aby wypowiedzieć to samo.

Vincent wziął z jej rąk książkę i rzekł z ożywieniem:

– Ten wiersz mógłby pochodzić od Carlyle'a lub Micheleta.

– A wiesz, kuzynie, jak na człowieka, który miał tak mało czasu na naukę, jesteś zadziwiająco wykształcony. Czy wciąż jeszcze tyle czytasz?

– Nie, chciałbym, ale nie mogę. Chociaż właściwie nie powinienem tak tęsknić za tym, gdyż wszystko mieści się w słowie Chrystusa – piękniejsze i doskonalsze niż w jakiegokolwiek książce.

– Och, Vincencie! – zawołała Kay zrywając się – to takie niepodobne do ciebie!

Spojrzał na nią zdumiony.

– Mam na myśli, że jesteś o wiele miłszy, gdy widzisz Thys Marisa w *Historii wypraw krzyżowych* – chociaż ojciec powiada, że powinieneś skupić się na nauce i nie myśleć o takich sprawach – niż gdy przemawiasz jak tępy kaznodzieja z prowincji.

Vos zbliżył się do nich i powiedział:

– Zaczynamy nową partię, Kay.

Kay spojrzała raz jeszcze w żywe, jarzące się pod krzaczastymi brwiami oczy Vincenta, potem ujęła męża pod ramię i odeszła z nim do grających.

IV

Mendes da Costa wiedział, że Vincent chętnie rozmawia z nim o ogólnych sprawach życia. Toteż niejednokrotnie znajdował pretekst, aby po lekcji odprowadzić go do domu.

Pewnego dnia prowadził go przez ciekawą część miasta ciągnącą się od portu wzdłuż Parku Vondel do Dworca Holenderskiego. Tutaj, w tej gęsto zaludnionej dzielnicy, stały tartaki i domki robotnicze z małymi ogródkami. Liczne wąskie kanały przecinały ulice.

– Wspaniała rzecz być duchownym w takiej dzielnicy – odezwał się Vincent.

– Z pewnością – odparł Mendes. Nabił fajkę i podał Vincentowi woreczek z tytoniem. – Tym ludziom tutaj Bóg i religia bardziej są potrzebne aniżeli naszym przyjaciółom w zamożnych dzielnicach.

Przechodzili właśnie przez mały drewniany mostek, delikatny jak mostki na japońskich drzeworytach. Vincent zatrzymał się.

– Co pan ma na myśli, mijnheer?

– Robotnicy – odrzekł Mendes wyciągając ramię – mają ciężkie życie. Gdy zachorują, nie starcza im pieniędzy na doktora. Na jutrzejszy posiłek zarabiają dzisiejszą pracą. A praca ta jest ciężka. Ich domy są, jak widzisz, małe i ubogie, nędza i niedostatek czyhają zawsze w pobliżu. Nie wygrali szczęśliwego losu. Potrzebna im na pociechę myśl o Bogu.

Vincent zapalił fajkę i rzucił zapałkę do kanału.

– A tamci – w dzielnicach wytwornych?

– Tamci mają dostatnie odzienie, pewne stanowiska i rezerwy na czarną godzinę. Dla nich Bóg jest dobrze znanym starszym panem, zadowolonym z siebie, bo podoba mu się świat, który stworzył.

– Słowem – rzekł Vincent – są tępi i głupi.

– Boże uchowaj! – wykrzyknął Mendes. – Nigdy tego nie powiedziałem.

– Nie, ja to powiedziałem.

Tej nocy rozłożył przed sobą greckie podręczniki, po czym długo wpatrywał się w przeciwległą ścianę. W pamięci ożyły slumsy londyńskie, ich brudna nędza i cierpienia. Przypomniał sobie, jak gorąco pragnął zostać kaznodzieją i pomagać tym ludziom. Potem powędrował myślą do kościoła wuja Strickera. Wierni jego gminy byli zamożni, wykształceni, zdolni do odczucia i przyjęcia najlepszych stron życia. Kazania wuja Strickera były piękne i krzepiące, ale kto w tym kościele potrzebował pokrzepienia?

Sześć miesięcy minęło, odkąd przybył do Amsterdamu. Zaczął wreszcie pojmować, że twarda praca nie zastąpi wrodzonych zdolności. Odsunął na bok podręczniki greckiego i otworzył algebrę. O północy stryj wszedł do jego pokoju.

– Dostrzegłem przez drzwi światło – rzekł – a dozorca powiedział mi, że widział cię spacerującego o czwartej z rana po dziedzińcu. Ile godzin dziennie się uczysz?

– To zależy. Od osiemnastu do dwudziestu.

– Dwadzieścia godzin? – stryj potrząsnął głową, niezadowolenie jeszcze wyraźniej odmalowało się na jego twarzy. Trudno było wiceadmirałowi pomyśleć nawet, że ktoś w rodzinie van Goghów zawiódł. – Nie powinno ci to zabierać tyle czasu.

– Muszę zdać egzamin, stryju.

Stryj Jan ściągnął gęste brwi.

– Przynależę twoim rodzicom opiekę nad tobą. Będiesz więc tak dobry i pójdiesz zaraz do łóżka, a na przyszłość nie pracuj tak długo po nocach.

Vincent odsunął zeszyty. Nie czuł potrzeby snu. Nie czuł potrzeby miłości, współczucia ani rozrywki. Pragnął jedynie uczyć się łaciny i greki, algebry i gramatyki, aby zdać egzaminy, dostać się na uniwersytet, zostać sługą bożym i czynić dzieło Boga na ziemi.

V

W maju, akurat w rok po przybyciu do Amsterdamu, począł zdawać sobie jasno sprawę, że jego nieudolność w przyswajaniu książkowej wiedzy pokona go ostatecznie. Nie było to stwierdzenie faktu, lecz przyznanie się do porażki. Ilekroć uświadomił sobie ową porażkę, zmuszał się do ciężkiej pracy niosącej zapomnienie.

Gdyby szło jedynie o prostą sprawę trudności w nauce, rozterka jego nie byłaby tak wielka. Ale nocą i dniem gnębiło go pytanie: czy chce zostać człowiekiem roztropnym, pastorem-dżentelmenem podobnym do wuja Strickera?... Co stanie się z jego ideałem służby biednym, chorym, zdeptanym przez życie, jeśli będzie musiał myśleć o deklinacjach i formułkach jeszcze przez lat pięć?

Pewnego popołudnia w maju, po ukończeniu lekcji z Mendesem, Vincent zapytał:

– Mijnheer da Costa, czy miałby pan czas i ochotę pójść ze mną na spacer?

Mendes wyczuwał wzbierającą w Vincencie walkę. Domyślał się, że młody człowiek doszedł do punktu, w którym musi powziąć decyzję.

– Owszem, miałem właśnie zamiar przejść się trochę, powietrze jest tak czyste po deszczu; chętnie będę panu towarzyszył.

Owinął szyję parokrotnie wełnianym szalikiem i włożył czarny surdut z wysokim kołnierzem. Zeszli na ulicę, przeszli obok synagogi, w której z górą trzysta lat temu wyklęto Barucha Spinozę, i minawszy kilka bloków, doszli do starego domu Rembrandta na Zeestraat.

– Umarł w nędzy i zapomnieniu – powiedział Mendes spokojnym tonem, gdy przechodzili obok starego domu.

Vincent rzucił na niego szybkie spojrzenie. Mendes zwykł był sięgać do samego sedna problemu, zanim ktoś jeszcze ten problem postawił. W tym człowieku był jakiś tajemniczy rezonans; rzeczy, o których się mówiło, zdawały się pogrążyć u niego w bezdennej głębi i tam ulegać analizie. W rozmowie ze stryjem Janem lub wujem Strickerem słowa uderzały o mur skrupułów i wracały prędko uproszczone do „tak” lub „nie”. Mendes zawsze zanurzał myśl rozmówcy w głębokiej studni swej dojrzałej mądrości, zanim ją zwrócił.

– Mimo to nie umarł nieszczęśliwy – rzekł Vincent.

– Tak – odparł Mendes – wyraził w pełni siebie samego i znał wartość tego, co stworzył. Był jedynym człowiekiem w tym czasie, który tę wartość znał.

– Czy w takim razie fakt znania swej wartości sprawił, że nie czuł się nieszczęśliwy? Przypuśćmy, że się mylił. Co byłoby, gdyby świat miał słuszność opuściwszy go?

– Opinia świata nie miała znaczenia. Zadaniem Rembrandta było malowanie. Nie grało roli, czy malował dobrze czy źle; malarstwo czyniło z niego pełnego człowieka. Istotna wartość sztuki, Vincencie, leży w tym, że pozwala ona człowiekowi na wyrażenie siebie. Rembrandt dokonał tego, co uważał za cel swego życia. To go usprawiedliwia. Nawet gdyby jego dzieło było bez wartości, odniósłby i tak sukces tysiąckrotnie większy, niż gdyby zdławił swe pragnienie i został bogatym kupcem amsterdamskim.

– Rozumiem.

– Fakt, że dziełem Rembrandta zachwyca się dziś cały świat – ciągnął Mendes snując dalej własny tok myśli – jest już czymś ubocznym. Jego życie było dokonane i pełne ziszczenia w chwili, gdy umierał, mimo że zaszczyto go na śmierć. Księga jego życia była

już wtedy zamknięta, a była to cudowna księga. Jego wytrwałość i lojalność wobec własnego ideału miały znaczenie, nie jakość jego dzieła.

Przystanęli, aby przyjrzeć się robotnikom wożącym taczki z piaskiem w pobliżu portu, potem zapuścili się w wąskie ulice pełne ogrodów osnutych powojem.

– Ale w jaki sposób młody człowiek może się przekonać, czy obrał słuszną drogę? Przypuśćmy, że sądzi, iż musi zrobić w życiu coś szczególnego, a potem widzi, że się do tego całkiem nie nadaje.

Mendes wyciągnął brodę z kołnierza płaszcza, jego czarne oczy błyszcząły.

– Patrz, Vincencie – zawołał – jaki żar szkarłatny rzuca zachodzące słońce na te szare chmury!

Doszli do portu. Maszty statków, rzędy starych domów i drzew nadbrzeżnych stały w świetlistej purpurze i wraz z nią odbijały się w Zuidersee. Mendes nabił fajkę i podał Vincentowi woreczek z tytoniem.

– Dziękuję, już palę, mijnheer.

– Ach, rzeczywiście. Może przejdziemy wałem do Zeeburg? Jest tam cmentarz żydowski. Usiądziemy na chwilę w miejscu, gdzie leżą pochowani moi przodkowie.

Szli w przyjaznym milczeniu, wiatr rozwiewał dym fajki.

– Nigdy niczego nie może pan być pewny na zawsze, na całe życie – odezwał się Mendes. – Może pan tylko mieć odwagę i wolę, aby czynić to, co pan raz uznał za słusne. Może się ta rzecz nawet potem okazać błędna, ale w końcu dokona jej pan i tak, to zaś jest najważniejsze. Musimy działać zgodnie z głosem naszego rozsądku i pozostawić Bogu sąd ostateczny o wartości naszej pracy. Jeśli jest pan w tej chwili pewny, że chce pan służyć swemu Stwórcy w ten czy inny sposób, to pańska wiara jest jedynym drogowskazem, co pan ma czynić. Z całą ufnością należy to właśnie czynić.

– Więc przyjąć, że mam kwalifikacje?

– Aby służyć Bogu? – Mendes spojrzał na niego z nieśmiałym uśmiechem.

– Nie, aby zostać jednym z takich duchownych, jakich kształci uniwersytet.

Mendes nie chciał się wypowiadać na temat swoistego problemu Vincenta. Pragnął jedynie przedyskutować ogólnie pewne zagadnienia i pozostawić decyzję młodzieńcowi. Doszli tymczasem do cmentarza żydowskiego. Był on bardzo prosty, pełen dzikiego bzu, płyt nagrobnych z hebrajskimi napisami, tu i ówdzie zarośnięty wysoką ciemnozieloną trawą. Obok działki zarezerwowanej dla rodziny da Costa stała kamienna ławka. Usiedli na niej; Vincent odłożył fajkę.

O tej godzinie przedwieczornej cmentarz był pusty; nic nie mąciło ciszy.

– Każdy człowiek posiada własną, odrębną indywidualność i określony charakter – rzekł Mendes patrząc na groby ojca i matki leżące tuż obok siebie – i jeśli postępuje stosownie do tego, wszystko, co robi, obróci się w końcu na dobre. Gdyby pan został handlarzem obrazów, indywidualność, która czyni pana tym, kim pan jest, sprawiłaby, że byłby pan dobrym handlarzem obrazów. To samo odnosi się do pańskiej nauki. Pewnego dnia wypowie się pan w pełni, bez względu na środki, jakich pan użyje.

– A gdybym nie został w Amsterdamie, nie kształcił się na zawodowego pastora?

– To nie ma znaczenia. Czy pan wróci do Londynu jako kaznodzieja, czy będzie pracował w sklepie, czy zostanie chłopem w Brabancji – do czegokolwiek się pan weźmie, będzie pan robił dobrze. Wyczułem, że ulepiony pan jest z dobrej gliny. Nieraz jeszcze w

życiu będzie się panu zdawało, że poniósł pan klęskę. Ale w końcu znajdzie pan wyraz dla siebie – i to usprawiedliwi pańskie życie.

– Dziękuję panu, mijnheer da Costa. Pańskie słowa podniosły mnie na duchu.

Mendes poczuł lekki dreszcz. Kamienna ławka, na której siedział, była zimna i słońce zaszło za morze. Wstał.

– Pójdziemy, Vincencie? – spytał.

VI

Nazajutrz o zmierzchu stał Vincent w oknie wychodzącym na dziedziniec stoczni. W alei, na tle szarych niebios, rysowały się smukłe topole o cienkich gałęziach.

„Czy fakt, że nie nadaję się do studiów, oznacza, że nie mogę się na nic przydać w świecie? – pytał w duchu Vincent.

– Co łacina i greka mają wspólnego z miłością bliźnich? Życzeniem moim była zawsze służba boża w praktyce, nie rysowanie trójkątów i kół. Nie myślałem nigdy o tym, aby mieć wielki kościół i głosić pięknie ułożone kazania. Przynależę tam, gdzie są biedni i cierpiący, i to od zaraz, nie dopiero za pięć lat”.

W tej chwili dzwon wydzwonił godzinę i robotnicy zwartym nurtem zaczęli płynąć przez bramę stoczni. Nadszedł latarnik, zapalił latarnię na podwórzu. Vincent odwrócił się od okna.

Zdawał sobie sprawę z tego, że ojciec, stryj Jan oraz wuj Stricker poświęcili mu w ciągu ubiegłego roku wiele czasu i pieniędzy. Jeśli teraz porzuci studia, osądzą na pewno, że ich trud był daremny.

Pracował uczciwie. Nie mógł pracować więcej niż dwadzieścia godzin dziennie. Oczywiście, nie nadawał się do studiów. Widocznie zaczął za późno. I jeśli jutro pójdzie między ludzi ze słowem bożym, czy to również będzie porażką? Jeśli będzie pielęgnował chorych, pocieszał grzeszników, dodawał otuchy zmęczonym, nawracał niewierzących – czy to wszystko będzie porażką?

Rodzina będzie to uważała za porażkę. Będą twierdzili, że nigdy do niczego nie dojdzie, że jest niezdolny i niewdzięczny – czarna owca w rodzie van Goghów.

„Cokolwiek będzie pan robił – powiedział Mendes – będzie pan robił dobrze. W końcu odnajdzie pan właściwy wyraz i treść swego życia. To usprawiedliwi pańskie życie”.

Kay, która zrozumiała wszystko, odkryła już w nim załączek na ograniczonego kaznodzieję. Tak, stałby się nim, gdyby został w Amsterdamie, gdzie głos prawdy cichł z każdym dniem. Wiedział, gdzie jest jego miejsce w świecie. I Mendes natchnął go odwagą, aby poszedł w tym kierunku. Rodzina wzgardzi nim, lecz to nie ma znaczenia. A jego pozycja społeczna jest tak nieznacząca, że może ją poświęcić Bogu.

Zapakował pośpiesznie kuferek i bez pożegnania opuścił dom stryja.

VII

Belgijski Komitet dla Krzewienia Ewangelii, złożony z wielebnych pastorów van den Brinka, de Jonga i Pietersena, otworzył nową szkołę w Brukseli. Nauka była bezpłatna, studenci opłacali jedynie drobną kwotę za wikt i mieszkanie. Vincent zgłosił się i został przyjęty na ucznia.

– Po trzech miesiącach – oświadczył pastor Pietersen – damy panu posadę gdzieś w Belgii.

– Pod warunkiem, że pan się nada – wtrącił pastor de Jong zwracając się do Pietersena.

– Czego żądamy przede wszystkim od naszych kandydatów, monsieur van Gogh – dodał pastor van den Brink to umiejętności wygłoszenia popularnego i zajmującego wykładu. Pastor Pietersen towarzyszył Vincentowi po wyjściu z kościoła, w którym odbyło się spotkanie. Gdy szli przez zalane słońcem ulice, wziął Vincenta pod ramię.

– Cieszę się, że się pan znalazł między nami – rzekł.

– W Belgii jest wiele rzetelnej pracy do zrobienia, a wnosząc z pańskiego entuzjazmu sędzę, że pan ma wszelkie dane po temu, aby sobie z nią poradzić.

Vincent nie wiedział, co grzeje go bardziej – gorące słońce czy nieoczekiwana życzliwość. Szli ulicą niby wąwozem między sześciopiętrowymi kamienicami. Vincent daremnie szukał odpowiedzi. Pastor Pietersen zatrzymał się:

– Muszę już wracać. Oto moja wizytówka; gdy pan będzie miał wolny wieczór, proszę mnie odwiedzić. Chętnie porozmawiam z panem.

Razem z Vincentem było w szkole tylko trzech uczniów. Oddano ich pod opiekę mistrza Bokmy, małego, żyłastego człowieczka o dziwnych rysach twarzy – pion spuszczonej od jego czoła do podbródka, nie dotknąłby ani nosa, ani ust. Dwaj towarzysze Vincenta byli chłopskimi synami, w wieku lat dziewiętnastu. Zawarli z sobą wnet przyjaźń, a dla jej scementowania natrzęsali się wspólnie z Vincenta.

– Moim celem – rzekł nieostrożnie pewnego dnia Vincent do jednego z nich – jest poniżyć samego siebie, *mourir a moi-meme*⁵.

Odtąd, ilekroć zastali go przyswajającego sobie z trudem kazanie francuskie albo udręczonego nad jakąś akademicką księgą, pytali zawsze: „Co robisz, van Gogh, czy umierasz dla samego siebie?”

Ale największa udręka spotykała Vincenta ze strony Bokmy. Nauczyciel chciał zrobić z nich przede wszystkim dobrych mówców; co wieczór musieli opracować wykład, który nazajutrz wygłaszali w klasie. Dwaj chłopcy zestawiali gładkie, młodzieńczo naiwne kazania i recytowali je bez zająknięcia. Vincent opracowywał swoje kazania z trudem, wkładając całe serce w każdy wiersz. Czuł w głębi duszy, co chce powiedzieć, ale gdy wstawał podczas lekcji, słowa więzły mu w gardle.

– Jak pan może myśleć o zawodzie kaznodziei, van Gogh – pytał Bokma – skoro nie umie pan nawet mówić? Kto zechce pana słuchać?

Gniew Bokmy osiągnął punkt szczytowy, kiedy Vincent wzdragał się mówić *ex tempore*⁶. Pracował do późnej nocy, by ułożyć kazanie pełne treści, zapisywał każde słowo w starannej, dokładnej francuszczyźnie. Nazajutrz dwaj młodzieńcy mówili na lekcji bez trudu o Chrystusie i zbawieniu, tylko od czasu do czasu zerkając do notatek. Bokma kiwał głową z uznaniem. Potem przyszła kolej na Vincenta. Położył rękopis przed sobą i zaczął czytać. Bokma nie słuchał nawet.

– Czy w ten sposób uczą pana w Amsterdamie, van Gogh? – powiedział. – Nigdy dotąd nie ukończył mojej klasy uczeń, który by nie umiał mówić bez przygotowania i nie potrafił zająć i wzruszyć słuchaczy swym wykładem.

⁵Umrzeć dla samego siebie.

⁶Bez przygotowania.

Vincent usiłował mówić bez rękopisu, lecz nie mógł sobie przypomnieć logicznego toku myśli utrwalonych wieczorem na papierze. Współuczniowie śmiali się głośno z jego jåkania. Bokma śmiał się wraz z nimi. Vincent miał nerwy stargane do ostateczności w ciągu roku spędzonego w Amsterdamie.

– Panie Bokma – oświadczył – będę wygłaszał kazanie w sposób, jaki uznam za stosowny. Moja praca jest dobra i wypraszam sobie pańskie obraźliwe uwagi!

Bokma nie panował nad sobą.

– Będzie pan robił tak, jak ja żądam albo zabronię panu uczęszczać na moje lekcje.

Odtąd wybuchła między nimi otwarta wojna. Vincent przygotowywał cztery razy więcej kazań, niż od niego żądano, pracował po nocach, nie mógł spać. Stracił apetyt, schudł i stał się nerwowy.

W listopadzie wezwano go, aby stawił się przed Komitetem; miały być ogłoszone nominacje. Nareszcie zostały usunięte wszystkie przeszkody i Vincent mimo zmęczenia czuł satysfakcję. Gdy zjawił się w kościele, byli tam już obecni dwaj uczniowie. Pastor Pietersen nie spojrzał na wchodzącego, za to Bokma zmierzył go osobliwym wzrokiem.

Pastor de Jong powińszował dwóm młodzieńcom owocnej pracy i zawiadomił, że będą pracować w Hoogstraeten i Etiehoeve. Ramię w ramię wyszli z kościoła.

– Monsieur van Gogh – zwrócił się de Jong do Vincenta.

– Komitet odniósł niestety wrażenie, że pan nie jest dostatecznie przygotowany do niesienia między lud słowa bożego. Ku naszemu ubolewaniu muszę oznajmić, że nie mamy dla pana zajęcia.

Upłynęła długa chwila, zanim Vincent do głębi wstrząśnięty wykrztusił:

– Co można zarzucić mojej pracy?

– Odmówił pan posłuszeństwa, pierwszym zaś nakazem kościoła jest absolutne posłuszeństwo. Nadto pan nie umie wygłaszać kazań ex tempore. Pański nauczyciel jest zdania, że pan nie posiada uzdolnień koniecznych dla kaznodziei.

Vincent rzucił wzrokiem na pastora Pietersena, lecz życzliwy mu pastor wpatrywał się uporczywie w okno.

– Co mam teraz począć? – rzucił w przestrzeń.

– Jeśli pan chce, może pan przejść dalszy sześciomiesięczny kurs w szkole – odparł van den Brink. – Może po upływie tego czasu...

Vincent popatrzył na swoje ciężkie, niezdarne buciory i zauważył, że skóra ich jest popękana. Żadna odpowiedź nie przychodziła mu na myśl, odwrócił się więc i wyszedł w milczeniu.

Biegł szybko ulicami miasta, aż znalazł się w Laeken. Nie wiedząc, czemu tak się śpieszy, szedł dalej ścieżką holowniczą prędkimi, długimi krokami. Z warsztatów niósł się zwyczajny zgiełk roboczej krzątania. Wkrótce pozostawił za sobą ostatnie domy i znalazł się w otwartym polu. Stał tutaj stary siwek, zabiedzony i sterany ciężką pracą. Miejsce było opustoszałe i samotne. Na ziemi leżała końska czaszka, a nieco dalej pod barakiem oprawcy poniewierał się zbiegły szkielet zwierzęcia.

Z wolna opuszczało Vincenta głuche przygnębienie, wracała zdolność odczuwania. Sięgnął po fajkę, lecz smak jej wydał mu się gorzki. Usiadł na kłodzie, stary siwek zbliżył się i zaczął ocierać pysk o jego plecy. Vincent odwrócił się i poklepał konia po wychudłej szyi.

Po jakimś czasie wykwitła w jego duszy myśl o Bogu i pokrzepiła go. „Jezus był spokojny w czasie burzy – powiedział do siebie. – Nie jestem sam, bo Bóg mnie nie opuścił. Pewnego dnia odnajdę drogę do niego”.

Wróciwszy do domu zastał w swoim pokoju pastora Pietersena.

– Przyszedłem, aby zabrać pana do siebie na kolację – oświadczył pastor.

Szli ulicami pełnymi robotników wracających po pracy do domu. Pietersen mówił o codziennych sprawach, jak gdyby nic nie zaszło. Vincent słyszał każde jego słowo straszliwie wyraźnie. Pastor zaprowadził Vincenta do pokoju frontowego, zamienionego w atelier. Na ścianach wisiało kilka akwarel, w kącie stały sztalugi.

– Pan maluje? – zdziwił się Vincent. – Nie wiedziałem o tym.

Pietersen zmieszał się.

– Jestem tylko dyletantem. Rysuję trochę w wolnych chwilach – tak sobie, dla wytchnienia. Może lepiej nie wspominać o tym moim kolegom.

Zasiedli do stołu. Pietersen miał piętnastoletnią córkę, nieśmiałą, małomówną dziewczynę, która ani razu nie podniosła oczu znad talerza. Pietersen mówił dalej o rzeczach obojętnych. Vincent zmuszał się z grzeczności do przełknięcia paru kęsów. Nagle wyteżył słuch.

– Borinage – mówił właśnie gospodarz – jest okręgiem górniczym. Cała niemal ludność pracuje tam w kopalniach. Czyha na tych ludzi tysiące niebezpieczeństw, a na domiar złego płaca jest tak marna, że z trudem wystarcza na zaspokojenie potrzeb ciała i duszy. Mieszkają w zapadniętych rudach. Kobiety i dzieci spędzają w nich większą część życia, głodując i trzęsąc się z zimna i gorączki.

Vincent zastanowił się, z jakiej przyczyny Pietersen mu to opowiada.

– Gdzie leży Borinage? – zapytał.

– W południowej Belgii, w pobliżu Mons. Spędziłem tam niedawno czas jakiś... Vincencie, jeśli kiedykolwiek ludzie potrzebowali człowieka, który by ich pocieszał i głosił słowo boże, to tymi ludźmi są na pewno mieszkańcy Borinage.

Kęs utkwiał Vincentowi w gardle. Odłożył widelec. Dlaczego Pietersen torturował go tak okropnie?...

– Vincencie – powiedział znów pastor – czemu nie jedzie pan do Borinage? Z pana siłą i entuzjazmem mógłby pan tam zdziałać wiele dobrego!

– Ale w jaki sposób?... Przecież Komitet...

– Tak jest, wiem o tym. Przed kilkoma dniami pisałem do pańskiego ojca i przedstawiłem mu jasno stan rzeczy. Dziś po południu dostałem odpowiedź. Ojciec pisze, że gotów jest wspierać pana materialnie w Borinage, póki nie znajdę panu stałej posady.

Vincent zerwał się:

– Pan chciałby mi zatem dać posadę?!

– Oczywiście, musi tylko minąć pewien czas. Skoro Komitet zobaczy, jaka jest wartość pańskiej pracy, ustąpi z pewnością. A jeśli by nawet nie... Pewnego dnia de Jong i van den Brink przyjdą do mnie na pewno prosić o jakąś przysługę. Wtedy jako rewanżu zażądam... Nędzarzom w tym kraju potrzeba człowieka pańskiego pokroju, Vincencie. Bóg jest moim sędzią. Każda droga, która pana tam zaprowadzi, jest dobra.

VIII

Kiedy pociąg podjeżdżał do stacji, zza horyzontu ukazała się grupa niskich pagórków. Po monotonnej płaszczyźnie flandryjskiej Vincent patrzył na nie z przyjemnością. Lecz po pewnym czasie spostrzegł, że góry te są bardzo dziwne; każda z nich stała całkiem z osobna, wyrastając nagle i bez przejścia z rozpościerającej się dookoła płaszczyzny.

– Czarny Egipt – szepnął patrząc przez okno na długi łańcuch fantastycznych piramid. Zwrócił się do sąsiada i zapytał:

– Czy może mi pan powiedzieć, w jaki sposób powstały te góry?

– Owszem – odrzekł zapytany. – Są one z kamieni, które wydobywa się z ziemi wraz z węglem. Widzi pan tam ten mały wagonik, który właśnie podjeżdża pod wierzchołek wzgórza? Niech pan nie traci go z oczu.

Wagonik przechylił się na bok, czarna chmura zawirowała i stoczyła się po zboczu.

– Oto, jak powstawały – dodał sąsiad. – Od pięćdziesięciu lat obserwuję codziennie, jak stale narastają.

Pociąg zatrzymał się w Wasmes i Vincent wysiadł. Miasteczko leżało głęboko w pustej dolinie. Anemiczne słońce chyliło się ku zachodowi; między Vincentem i niebem unosiła się gruba warstwa dymu. Wasmes wspinało się uciążliwie pod górę dwoma rzędami szerniałych domów ceglanych. Tam zaś, gdzie przed ostatnim wzniesieniem kończyły się domy, zaczynało się Petit Wasmes.

Idąc stromą drogą pod górę Vincent dziwił się, że osada sprawia wrażenie tak opustoszałej. Nigdzie na ulicy nie było widać mężczyzn, tu i ówdzie tylko w drzwiach domów stały kobiety o tępych i posępnym wyrazie twarzy. Petit Wasmes było małą osadą górniczą. Mogło się poszczycić tylko jednym jedynym murowanym budynkiem – domem piekarza Jean Baptiste Denisa, stojącym na samym szczycie wzgórza. Do tego domu skierował się Vincent. Denis uprzedził pastora Pietersena, że w razie przysłania do Petit Wasmes nowego kaznodziei da mu mieszkanie i wikt.

Madame Denis powitała serdecznie Vincenta. Przez ciepłą kuchnię i zarazem piekarnię, woniejącą świeżym chlebem, zaprowadziła go do małej izdebki na poddaszu, z której okien roztaczał się widok na ulicę Petit Wasmes. Pokoik był czyściutko wyszorowany zapobiegliwymi rękami madame Denis. Vincent poczuł się od razu zadomowiony. Był tak podniecony, że nie miał cierpliwości rozpakować nawet rzeczy – zbiegł na dół do kuchni po drewnianych wydeptanych schodach i oświadczył pani Denis, że wychodzi, aby rozejrzeć się nieco po osadzie.

– A niech pan nie zapomni o wieczerzy – rzekła pani Denis. – Jemy o piątej.

Madame Denis przypadła Vincentowi od razu do serca. Czuł, że ta kobieta pojmuje wiele rzeczy, nie potrzebując długo zastanawiać się nad nimi.

– Wróć na pewno – odparł – chciałbym tylko poznać nieco moje nowe otoczenie.

– Będzie u nas wieczorem jeden z naszych przyjaciół, którego pan powinien poznać. Jest sztygarem i potrafi panu opowiedzieć wiele rzeczy, które mogą się panu przydać w pracy.

Tego dnia padał gęsty śnieg. Idąc drogą w dół Vincent widział, że nawet kolczaste żywopłoty okalające pola i ogrody poczerniały od dymu z kominów kopalni. Na wschód od domu Denisów znajdował się głęboki wąwóz, tam stała większość domków górników.

Po drugiej stronie rozciągało się szerokie, otwarte pole, a na nim wznosiła się hałda. Dokoła sterczały kominy kopalni, w której pracowała większość górników z Petit Wasmes. Za polem leżał jar zarosnięty tarniną i pełen wykrotów.

„Marcasse” było jedną z siedmiu kopalni, należących do towarzystwa Charbonnage Belgique, ale była to kopalnia najstarsza i najniebezpieczniejsza w Borinage. Miała kiepską opinię: wielu ludzi straciło w niej życie, bądź przy zjeździe i wyjeździe, bądź wskutek trujących gazów, eksplozji, zalania wodą lub zawalenia się starego przekopu. W dwóch niskich ceglanych budynkach stały maszyny wywożące węgiel na powierzchnię, tu go sortowano i ładowano na wagony. Z wysokich kominów, niegdyś żółtych, unosił się dniem i nocą czarny dym i kładł się na wszystkim w pobliżu. Dookoła „Marcasse” stały domki ubogich górników, trochę obumarłych drzew czarnych od dymu, cierniste żywopłoty, leżały kupy śmieci, popiół, usypiska odpadków węgla i górująca nad wszystkim czarna hałda. Posępne było to miejsce. Vincent od razu odczuł nastrój opuszczenia i smutku.

„Nic dziwnego, że zwą ten kraj «Czarnym Egiptem»” – pomyślał Vincent.

Po jakimś czasie z bram kopalni zaczęli wysypywać się górnicy. Byli w grubych, podartych ubraniach, na głowach mieli skórzane kapelusze. Kobiety odziane były zupełnie podobnie. Wszyscy byli całkiem czarni od węgla i wyglądali jak kominiarze; białka oczu błyskały osobliwie w twarzach przeżartych pyłem węglowym. Nie bez racji mówiono o górnikach „czarne twarze”. Słabe, matowe światło popołudnia kłuło ich w oczy, od świtu bowiem pracowali w mrokach ziemi. Oślepieni, potykali się w bramie i rozmawiali z sobą szybko, niezrozumiałym dialektem. Byli przeważnie niskiego wzrostu, o wąskich pochyłych plecach i chudych, kościstych kończynach.

Teraz pojął Vincent, dlaczego przedtem osada był prawie wymarła. Prawdziwe Petit Wasmes to nie była ta grupka domków w wąwozie, lecz rozgałęzione miasto położone siedemset metrów pod ziemią, gdzie cała niemal ludność spędzała większą część życia.

IX

– Jacques Verney sam się dopracował swego stanowiska – opowiadała Vincentowi przy kolacji madame Denis – lecz mimo to pozostał wiernym przyjacielem górników.

– Czy to takie dziwne? – zapytał.

– O tak, monsieur Vincent. Nie wszyscy awansujący dochowują robotnikom wierności. Zaledwie z Petit Wasmes przeniosą się do Wasmes, zaczynają patrzeć na tutejsze sprawy innymi oczami. Za pieniądze bronią interesów posiadaczy i zapominają, że sami harowali jak niewolnicy w kopalniach. Ale Jacques pozostał wierny i prawy. Gdy wybucha strajk, jego jednego górnicy słuchają. Ale biedak długo już nie pożyje!

– Dlaczego? Co mu jest? – zapytał Viricent.

– Zwykła rzecz: choroba płuc. Każdy niemal, kto pracuje pod ziemią, nabawia się tego. Prawdopodobnie nie przeżyje zimy.

Nieco później przyszedł Jacques Verney. Był niskiego wzrostu, miał pochyłe ramiona i głęboko osadzone, melancholijne oczy ludzi z Borinage. Z uszu i nosa sterczały mu kępki włosów, a nad zaczerwienionymi powiekami krzaczaste brwi, głowę natomiast miał łąsą. Posłyszawszy, że Vincent jest kaznodzieją i chce dopomóc górnikom, westchnął ciężko:

– Och panie, już niejednego tego próbował. Tutaj jednak nic się nie da odmienić.

– Czy doprawdy stosunki w Borinage są tak złe? – dopytywał się Vincent.

Jacques milczał chwilę, potem rzekł:

– Nie dla mnie osobiście. Matka nauczyła mnie za młodu czytać, tak że w końcu zrobiono mnie sztygarem. Mam mały murowany domek przy drodze do Wasmes i nie głodujemy. Nie mogę się więc uskarżać.

Atak kaszlu przerwał mu mowę. Vincent miał wrażenie, że gwałtowne wstrząsy rozerwą Verneyowi jego płaską klatkę piersiową. Wreszcie mógł mówić dalej.

– Pan pojmuje, miałem lat dwadzieścia dziewięć, gdy zostałem sztygarem; z płucami moimi było już wówczas źle. Mimo to nie wiodło mi się w ostatnich latach najgorzej. Ale górnicy...

Spojrzał na madame Denis i zapytał:

– Jak pani sądzi? Czy mam go wziąć z sobą do Henryka Decrucq?

– Czemu nie? Nic mu się nie stanie, jeśli usłyszy prawdę.

Verney zwrócił się jakby z usprawiedliwieniem do Vincenta:

– Ostatecznie jestem sztygarem i winienem „tamtych” pewną lojalność. Lecz Henryk... już on panu powie, jak tu jest naprawdę.

Vincent i Jacques wyszli w zimną noc. Zeszli do parowu, w którym stały chaty górników.

Proste, jednoizbowe drewniane klatki stanowiły ich mieszkania. Osada zbudowana była całkiem bezplanowo, domki stały porozrzucane byle jak, w najbardziej nieoczekiwanych pozycjach względem siebie, tworząc labirynt brudnych uliczek, w którym jedynie ktoś wtajemniczony mógł znaleźć drogę. Idąc za Verneyem Vincent potykał się o kamienie, pniaki i śmietniki. Chata Decrucq stała w połowie wysokości wąwozu. W małym okienku w głębi pobłyskiwało światło. Pani Decrucq otworzyła im drzwi.

Chata Decrucqów nie różniła się niczym od innych w wąwozie. Podłogę stanowiło klepisko, dach kryty był mchem, a szerokie szpary w deskach zatłkane były gałganami, by wiatr nie mógł hulać swobodnie po izbie. W głębi, w każdym kącie stało łóżko. W jednym z nich spało już troje dzieci. Umeblowanie składało się nadto z pękatego pieca, stołu, ławek i jednego krzesła. Do ściany przybita była skrzynia służąca za kredens. Decrucqowie, jak wszyscy niemal mieszkańcy Borinage, hodowali kozę i – aby od czasu do czasu mieć mięso – króliki. Kozą spała pod łóżkiem dzieci, a króliki miały za piecem legowisko ze słomy.

Madame Decrucq wyjrzała przez drzwi, chcąc zobaczyć, kto stoi przed domem i zaprosiła ich obu do środka.

Madame Decrucq przed ślubem pracowała całe lata razem z mężem w jednym pokładzie; pchała wózki z węglem. Była przedwcześnie postarzała, blada i zmizerowana, chociaż nie miała jeszcze dwudziestu sześciu lat.

Na widok wchodzącego Verneya Decrucq zerwał się z ławki.

– Patrzcie – zawołał – dawno cię tu nie było! To ładnie, żeś się znów pokazał. A to twój przyjaciel? Sercem witamy!

Decrucq twierdził z dumą, że jest jedynym człowiekiem w Borinage, którego kopalnia nie zmoże. „Umrę w łóżku ze starości – powtarzał nieraz – nie zabije mnie, nie dopuszczę do tego!”

Na głowie, z prawej strony, miał wielką czerwoną bliznę, podobną do okna w strzesze. Była to pamiątka po wypadku, kiedy winda, którą zjeżdżali do kopalni, runęła nagle z wysokości stu metrów w dół. Dwudziestu dziewięciu towarzyszy poniosło śmierć na miejscu. Kiedy indziej zawaliły się stropnice w komorze, gdzie pracował, i przez pięć dni odcięty był od świata; od tego czasu kulał i powłóczył jedną nogą. Potem, podczas eksplozji gazów i przerwania tamy przeciwoogniowej, rzuciło go na wagonik z węglem – złamał trzy żebra, które nigdy nie zrosły się z powrotem. Lecz był prawdziwym szermierzem, niespożytym i niepokonanym. Zawsze wyznaczano mu miejsce tam, gdzie praca była najcięższa i niebezpieczeństwo największe. Im bardziej go wyzyskiwano, tym namiętniejszym gniewem gorzał przeciw „nim” – nieznanym i niewidzianym, ale stale obecnym wrogom. Drobną twarz sprawiała wrażenie nieco krzywej z powodu wgłębienia znajdującego się z boku na szorstkim podbródku.

– Monsieur van Gogh – powiedział – wybrał pan właściwe miejsce. My tutaj w Borinage nie jesteśmy nawet niewolnikami, jesteśmy bydłem. O trzeciej rano zjeżdżamy do „Marcasse”, piętnaście minut odpoczynku lub przerwy obiadowej, potem znów harówka do czwartej po południu. Tam w dole, panie, jest czarno i gorąco. Musimy pracować nago; w powietrzu pełno pyłu węglowego i gazów trujących, nie można oddychać. Na kolanach musimy się czołgać, by wydobyć węgiel, bo nie ma miejsca na stanie. Zaczyna się to piekło w ósmym, dziewiątym roku życia – obojętne, chłopiec czy dziewczyna. W dwudziestym roku zjawia się gorączka i choroba płuc. O ile nie zmiecie nas wcześniej gaz lub wypadek przy zjeździe, możemy dożyć lat czterdziestu, a potem umrzeć na gruźlicę. Czy to kłamstwo, czy prawda, Verney?

Vincent z wysiłkiem łowił słowa, gdyż Decrucq mówił dialektem, wskutek podniecenia i szybkiego wyrzucania słów jeszcze mniej zrozumiałym. Oczy pociemniały mu z gniewu.

– Masz rację, Decrucq – oświadczył Verney.

Pani Decrucq przycupnęła w kącie na brzegu łóżka. Słaby blask lampki naftowej prawie do niej nie docierał; na pół pograżona w cieniu słuchała w napięciu słów męża, chociaż słyszała je już tysiąc razy. Lata popychania wózka z węglem, trzy porody, mroźne zimy w chacie, po której świstał wiatr mimo gałganów w szparach, zabiły w niej wszelką chęć walki.

Decrucq zwrócił się znów do Vincenta:

– A co my mamy za to wszystko, panie? Ta klitka i akurat tyle do żarcia, byśmy mieli siłę machać kilofem. A co za jadło? Chleb, kwaśny ser, czarna kawa. Raz, dwa razy może do roku kawałek mięsa! Gdyby nam odebrano bodaj pięćdziesiąt centymów na dzień, zdechlibyśmy z głodu. Nie moglibyśmy wówczas dobywać im węgla; oto jedyna przyczyna, dla której nie płacą nam mniej. Jesteśmy na krawędzi śmierci – przez wszystkie dni życia. Jeśli chorujemy, wyrzucają nas bez grosza, zdychamy więc jak psy, a sąsiedzi muszą karmić nasze żony i dzieci. Od ósmego do czterdziestego roku życia – trzydzieści dwa lata – tkwimy w czarnej ziemi, a potem kopią nam dół tam z tyłu, za drogą. Wtedy możemy zapomnieć o wszystkim.

X

Vincent zorientował się szybko, że górnicy są ciemni i niewykształceni i że większość z nich nie umie czytać. A jednak byli inteligentni i energiczni przy swojej ciężkiej pracy,

dzielni, szczerzy i otwarci. Wyglądali na niedożywionych i przemęczonych, byli bladzi i wychudli od gorączki.

Jedynie w niedzielę wychodzili ze swoich mieszkań na słońce. W pory skóry wżarł się im pył węglowy, mieli bladą, niezdrową cerę i głęboko osadzone, smutne oczy uciskanych, którzy nie potrafią się bronić. Vincent polubił górników; byli prości i dobrzy. Przypominali mu dobrze znany typ ludzi z Brabancji, z Zundert i Etten. Uczucie pustki, jakim natchnął go krajobraz, rozwiało się. Pojął, że Borinage posiada wyraźny i swoisty charakter, który do niego przemawiał.

Po kilku dniach Vincent wygłosił pierwsze kazanie. Gmina zebrała się w dużej szopie za piekarnią. On sam posprzątał ją przedtem gruntownie i ustawił ławki. O godzinie piątej zjawili się górnicy z rodzinami. Jeden jedyny pożyczony kaganek rzucał skąpe światło. Ludzie siedzieli w mroku na nie heblowanych ławkach, spoglądając na Vincenta, który stał przed nimi pochylony nad Biblią. Czapki nie zdjęli z głów, szyje owinęli mocno wełnianymi szalami, gdyż szopa była nie opalana. Słuchali uważnie z rękami skrzyżowanymi na piersi, a dłońmi ukrytymi dla ciepła pod pachami.

Vincent szukał długo, nim znalazł odpowiedni werset jako motto dla swego kazania. W końcu wybrał historię z *Dziejów Apostolskich* XVI, 9: „I ukazało się Pawłowi w nocy widzenie: Mąż niektóry Macedończyk stanął i prosił go, i mówił: przyszedłszy do Macedonii, ratuj nas”.

– Musimy wyobrazić sobie owego Macedończyka jako prostego robotnika, bracia moi – zaczął – jako robotnika, którego twarz naznaczyły troski, cierpienie i zmęczenie. Nie jest on pozbawiony blasku i wielkości, albowiem ma duszę nieśmiertelną. Czego mu brak, to pożywienia, które nie może zniszczyć: słowa bożego. Bóg chce, aby człowiek wziął sobie na przykład Chrystusa, aby żył skromnie jak On, nie marnotrawił czasu na wyniosłe i dumne cele, lecz zawsze miał w pamięci te słowa Pisma Świętego: „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie”.

W osadzie było wielu chorych i Vincent odwiedzał ich codziennie jak lekarz. Gdy tylko mógł, przynosił im trochę mleka albo chleba, dla jednego znalazł parę wełnianych skarpetek, dla innego – ciepły koc. Potem wybuchła epidemia tyfusu i złośliwa gorączka, sprowadzając dręczące koszmary i widzenia, które doprowadzały ludzi niemal do obłędu. Liczba chorych, wynędzniałych i słabych rosła z dnia na dzień.

Całe Petit Wasmes nazywało Vincenta przyjaźnie „monsieur Vincent”, choć mieszkańcy nie wyzbyli się jeszcze w stosunku do niego resztek rezerwy. W całej osadzie nie było domku, do którego nie wszedłby przynosząc żywność i słowa pociechy, w którym by nie pielęgnował chorych, nie modlił się z nieszczęśliwymi.

Na krótko przed Bożym Narodzeniem odkrył Vincent w pobliżu „Marcasse” wielką pustą stajnię, mogącą pomieścić ze stu ludzi. Było to pomieszczenie nagie, zimne i smutne, lecz górnicy wypełnili je po brzegi. W skupieniu słuchali Vincenta, który opowiadał o Betlejem i pokoju na ziemi. Od sześciu tygodni przebywał w Borinage; na własne oczy widział, jak stosunki pogarszają się z dnia na dzień. Ale teraz, tutaj, w tej opuszczonej stajni, rozświetlonej zaledwie paroma kopącymi lampkami, mógł marznącym górnikom przynieść Chrystusa i ogrzać ich serca zwiastowaniem zbliżającego się Królestwa Niebieskiego.

Jedna tylko rzecz martwiła go i mąciła radość pracy: wciąż jeszcze zdany był na materialną pomoc ojca. Co wieczór modlił się, aby nastał czas, kiedy będzie mógł zarobić kilka franków niezbędnych na skromne utrzymanie.

Pogoda zepsuła się. Czarne chmury stały nad całą okolicą. Deszcz lał strugami, wąwozy zamieniły się w muliste potoki. W dzień Nowego Roku Jean Baptiste udał się do Wasmes wrócił z listem dla Vincenta. Na kopercie widniało nazwisko pastora Pietersena. Drżąc z podniecenia pobiegł Vincent na górę. Deszcz tłukł o dach, lecz Vincent tego nie słyszał. Niezdarnie rozdarł kopertę i czytał:

„Drogi Panie Vincencie,

Komitet dla Krzewienia Ewangelii dowiedział się o Pańskiej owocnej pracy i proponuje panu na razie posadę na przeciąg sześciu miesięcy, to jest od pierwszego stycznia nowego roku.

Jeśli do końca czerwca wszystko pójdzie gładko, zostanie pan zaangażowany na stałe. Tymczasem będzie Pan pobierał płacę w wysokości pięćdziesięciu franków miesięcznie.

Proszę do mnie często pisać i być dobrej myśli!

Oddany Pietersen”.

Pełen radości rzucił się Vincent na łóżko, ściskając gorączkowo list. A więc dopiął celu mimo wszystko! Znalazł nareszcie pracę, której się poświęcił! Tego właśnie cały czas pragnął, brakowało mu tylko siły i odwagi. Pięćdziesiąt franków miesięcznie – więcej nie trzeba, aby opłacić mieszkanie i strawę. Nigdy już, nigdy nie będzie od nikogo zależny!

Usiadł przy stole i napisał do ojca chaotyczny, triumfujący list. Donosił, że odtąd nie trzeba mu jego pomocy, że odtąd będzie przynosił rodzinie tylko zaszczyt i radość. Zmierzchało już, gdy skończył; nad „Marcasse” szalały grzmoty i błyskawice. Vincent zbiegł na dół, przebiegł kuchnię i wypadł radośnie na dwór, w deszcz. Madame Denis pobiegła za nim.

– Monsieur Vincent! Dokąd tak śpieszno? Zapomniał pan płaszcz i kapelusza!

Pędził dalej nie odpowiadając nawet. Dopadł najbliższego wzdórza.

Mógł stąd zobaczyć w dali wielki szmat Borinage: kominy, hałdy, chaty górników i wychodzące z bramy kopalni czarne postacie, uwijające się tu i tam jak mrówki. Na tle ciemnych sosen na widnokregu rysowały się wyraziście małe, białe domki, jeszcze dalej wznosiła się wieża kościelna i stary młyn. Wiotka mgła spowijała krajobraz. Przemykały po nim cienie chmur. Gra światła i cieni sprawiała fantastyczne wrażenie. Po raz pierwszy w Borinage musiał pomyśleć o obrazach Michela i Ruysdaela.

XI

Ponieważ został obecnie płatnym kaznodzieją, musiał się rozejrzeć za pomieszczeniem, gdzie mógłby organizować zebrania. Po długim szukaniu znalazł głęboko w parowie, przy dróżce wiodącej przez sosnowy lasek dość obszerny dom (zwano go ogólnie *Salon du Bebe*⁷, ponieważ dzieci z gminy uczyły się tam niegdyś tańczyć). Gdy rozwiesił na ścianach wszystkie posiadane reprodukcje, izba czyniła wrażenie dość przytulne. W każde

⁷Salon dziecka.

popołudnie gromadził tu dzieci w wieku od lat czterech do ośmiu, uczył je czytać i opowiadał im historie biblijne. Dla większości dzieci była to jedyna nauka, jaką w życiu pobierały.

– Ale skąd wziąć węgiel? – spytał Vincent Verneya, który mu pomógł w wynajęciu domu. – Dzieci nie powinny marznąć. Zresztą w opalanej izbie nasze wieczorne zebrania mogłyby trwać dłużej.

Jacques pomyślał chwilę i rzekł:

– Proszę tu być jutro w południe, a pokażę panu, w jaki sposób można zdobyć węgiel.

Kiedy nazajutrz o oznaczonej porze Vincent stawiał się w domu zebrań, zastał tam już gromadkę żon i córek górników. Były w czarnych bluzkach i długich czarnych spódnicach, głowy obwiązały niebieskimi chustkami. Wszystkie miały worki.

– Monsieur Vincent, przyniosłam panu worek – zawołała córka Verneya – pan też musi jeden nappełnić.

Krętymi uliczkami wydostali się pod piekarnię, przeszli pole okalające „Marcasse”, minęli zabudowania kopalni i zbliżyli się do hałdy. U jej podnóża rozdzielili się. Każde z nich poczęło się piąć w górę z innego miejsca, niby maleńkie chrząszcze włązili ze wszystkich stron po stokach.

– Musi pan wejść na samą górę, zanim pan znajdzie węgiel, monsieur Vincent – powiedziała panna Verney. – Na dole wybraliśmy już wszystko w ciągu tych lat. Proszę iść za mną, pokażę panu jak wygląda węgiel.

Skakała jak młoda kózka w górę po czarnym zboczu. Vincent natomiast musiał się czołgać na rękach i kolanach, gdyż kamienie hałdy osuwały mu się spod nóg. Panna Verney była ładną dziewczyną o świeżej cerze, żywą i ruchliwą. Miała lat siedem, gdy ojciec został sztygarem, nie musiała przeto nigdy pracować w kopalni. Dla niej była to przyjemna wyprawa; jej ojciec dostawał z kopalni węgiel po niższej cenie.

Do samego szczytu nie mogli dotrzeć, ponieważ wagoniki z mechaniczną dokładnością wypróżniały tam ciągle swą zawartość najpierw na jedną, potem na drugą stronę. Szukanie węgla na hałdzie nie było zgoła rzeczą łatwą. Panna Verney pokazała Vincentowi, jak się bierze pełną garść odpadków i przez luźno złączone palce przesiewa kawałki zeschniętego błota i gliny; węgla w tych odpadkach było bardzo niewiele. Zostawiano kobietom jedynie wybrak, który mimo najlepszej chęci nie nadawał się na sprzedaż. Hałda była mokra od śniegu i deszczu. Vincentowi wkrótce popękała skóra na rękach, lecz udało mu się nappełnić zaledwie czwartą część worka czymś, co mu się przynajmniej wydawało węglem. Kobiety nappełniły przez ten czas swoje worki prawie w całości.

Zaniesiono worki do domu zebrań, po czym kobiety pobiegły spiesźnie do domów ugotować wieczerzę. Przedtem przyrzekły jednak, że wrócą wieczorem na nabożeństwo. Panna Verney zaprosiła Vincenta na posiłek; chętnie przyjął zaproszenie. Mieszkanie Verneyów składało się z dwu izb; w jednej stał pękaty piec z wszelkimi niezbędnymi statkami kuchennymi, w drugiej łóżka. Mimo że Verneyowie żyli w warunkach względnie dostatnich, w domu nie było mydła, uchodziło ono bowiem – jak się Vincent dowiedział – za zbytek, na jaki mieszkańcy Borinage nie mogli sobie pozwolić. Od dnia, w którym młodzieniec zjeżdża po raz pierwszy do kopalni, a dziewczyna zaczyna się wspinać na hałdę, pył węglowy nie znika nigdy doszczętnie z ich twarzy.

Panna Verney postawiła przed drzwiami miskę z zimną wodą. Vincent szorował twarz, jak się dało, nie wiedział jednak, czy stał zupełnie brud. Ale usiadłszy naprzeciw młodej dziewczyny i zobaczywszy czarne smugi na jej twarzy, domyślił się, że sam także nie wygląda lepiej. Podczas posiłku panna Verney mówiła z ożywieniem.

– Wie pan – odezwał się Jacques – żyje pan już od dwóch miesięcy w Petit Wasmes, a mimo to nie zna pan właściwego Borinage.

– To prawda, monsieur Verney – odparł Vincent. – Ale zdaje mi się, że z wolna zaczynam rozumieć tutejszych ludzi.

Nie to mam na myśli – rzekł Jacques – lecz to, że pan widział dotąd tylko nasze życie nad ziemią. Ono jednak jest nieważne. Na ziemi śpimy tylko. O ile pan chce widzieć, jak żyjemy naprawdę, musi pan zjechać z nami do kopalni i zobaczyć, gdzie i jak pracujemy od trzeciej rano do czwartej po południu.

– Chciałbym to zrobić koniecznie – odparł Vincent. – Ale czy pan sądzi, że dyrekcja zgodzi się na to?

– Już o to pytałem – powiedział Jacques trzymając w ustach kawałek cukru i pijąc jednocześnie gorzką, letnią kawę. – Jutro zjeżdżam do „Marcasse”, gdzie mam zbadać urządzenia bezpieczeństwa. Niech pan czeka za piętnaście trzecia przed piekarnią, zabiorę pana z sobą.

Cała rodzina odprowadziła Vincenta do domu zebrzań. Lecz w drodze Jacques, który w ciepłej izbie wyglądał całkiem dobrze i zdrowo, dostał gwałtownego ataku kaszlu i musiał wrócić. W domu zebrzań zastał Vincent Decrucq, który powłócząc chorą nogą zabierał się do palenia w piecu.

– Dobry wieczór, monsieur Vincent – zawołał i uśmiech rozpromienił mu twarz. – Ja jeden w całym Petit Wasmes umiem palić w tym piecu. Znam go z dawnych czasów, gdyśmy tu mieli zebrania. To złośliwa bestia, ale umiem ją poskromić.

Zawartość worków była wilgotna, węgla w niej było niewiele, lecz Decrucq dokonał tego, że brzuchaty piec począł wkrótce promieniować dobrotliwym ciepłem.

Tego wieczoru nie brakowało niemal nikogo z rodzin górniczych z Petit Wasmes. Wszyscy chcieli posłuchać pierwszego kazania Vincenta w jego własnym kościele. Gdy pozajmowano wszystkie ławy, rodziny mieszkające w pobliżu przywlekły skrzynie i stołki; przeszło trzysta osób wypełniło salę. Vincent czuł błogie ciepło w duszy, życzliwość kobiet tego dnia usposobiła go radośnie. A poza tym dane mu było mówić po raz pierwszy we własnym domu bożym. Wygłosił kazanie tak pełne wiary i z serca płynące, że rozjaśniły się twarze ludzi z Borinage.

– Stara to i dobra wiara – mówił do swej gromady – że jesteśmy obcy na tej ziemi. Ale nie jesteśmy osamotnieni, albowiem z nami jest nasz Ojciec. Jesteśmy pielgrzymami i życie nasze podobne jest długiej pielgrzymce z ziemi do nieba. Troska jest lepsza aniżeli radość – nawet w wesołości serce pozostaje smutne. Lepiej jest iść do domu żałoby aniżeli do domu zabawy, albowiem przez smutek serce się oczyszcza. Dla tych, co wierzą w Chrystusa, nie ma smutku, który by nie ukrywał w sobie nadziei. Wciąż na nowo rodzimy się. Nieustannie wędrujemy z ciemności ku światłu... Ojcze, prosimy Cię, strzeż nas od złego! Nie zsyłaj nam nędzy ani bogactwa, daj nam tylko chleb, którego nam trzeba! Amen.

Madame Decrucq podeszła pierwsza do niego. W oczach jej błyszczały łzy, wargi drżały.

– Monsieur Vincent – rzekła – życie moje było tak ciężkie, że zagubiłam Boga. Pan dał mi go z powrotem. Dziękuję panu!

Gdy wszyscy się rozeszli, Vincent zamknął salę i powędrował w zadumie na wzgórze do Denisów. Po wszystkim, co go tego dnia spotkało, mógł śmiało rzec, że cieszy się zaufaniem tych ludzi, że rozwiąła się ich dawna nieśmiałość i powściągliwość. Górnicy uznali w nim teraz w pełni sługę bożego. Co było tego przyczyną? Nie mogło to się stać dlatego, że miał teraz nowy dom boży, takie rzeczy były bez znaczenia w oczach górników. Nie wiedzieli również, że dopiero teraz dostał oficjalne mianowanie na kaznodzieję, nie zdradził się bowiem z tym, że dotychczas go nie miał. I chociaż wygłosił piękne, płomienne kazanie, równie dobre wygłaszał w ubogich chatkach i w stajni.

Denisowie udali się już na spoczynek. W piekarni unosiła się jeszcze woń świeżego chleba. Vincent zaczerpnął wiadro wody z głębokiej studni wpuszczonej w podłogę kuchni, wlał ją do miski i poszedł do swej izdebki po mydło i lustro. Oparł lustro o ścianę i przyjrzał się swemu obliczu. Oczywiście: powieki i broda były jeszcze wciąż czarne, u Verneyów obmył tylko z grubsza pył węglowy. Roześmiał się na myśl, że z tą okopconą twarzą poświęcił nowy dom boży. Jak przerażony byłby wielebny wuj Stricker i ojciec, gdyby go tak widzieli.

Zanurzył ręce w zimnej wodzie, spienił obficie mydło przywiezione z Brukseli i już podnosił je do twarzy chcąc ją wyszorować, kiedy coś przyszło mu na myśl. Wilgotne ręce zatrzymały się w pół drogi. Spojrzał powtórnie do lustra i zobaczył, że wszędzie – w bruzdach na czole, na powiekach, policzkach i wystającym podbródku – osiadły czarne smugi.

– Jasne, że to dlatego – powiedział głośno – mnie uznali. Nareszcie zostałem jednym z nich.

Splukał pianę z rąk i poszedł spać, nie tykając twarzy. Od tego dnia, dopóki przebywał w Borinage, rozcierał sobie co dzień na twarzy pył węglowy, aby wyglądać jak wszyscy.

XII

Nazajutrz Vincent wstał o wpół do trzeciej rano, zjadł w kuchni kawałek czerstwego chleba i piętnaście minut przed trzecią spotkał się przed domem z Verneyem. W nocy spadł obfity śnieg i droga do „Marcasse” była zasypana. Gdy śpieszyli na przełaj polami w stronę czarnych kominów i hałd, Vincent widział górników brodzących po śniegu, małe czarne postacie śpieszące ze swych legowisk. Mróz chwycił tęgi, górnicy podnieśli kołnierze wiatrem podszytych czarnych płaszczy dla ochrony przed przenikliwym zimnem.

Jacques wprowadził go naprzód do pomieszczenia, w którym wisiała moc lampek naftowych, każda opatrzona numerem.

– Kiedy na dole zdarzy się wypadek – objaśnił Verney – wiemy od razu, kogo złapało. Wystarczy stwierdzić, czyjej lampy brak.

Górnicy wchodzili do izby, chwyтали lampy i śpieszyli przez zaśnieżony dziedziniec ku ceglanemu budynkowi, w którym znajdował się szyb. Vincent i Jacques przyłączyli się do nich. Winda składała się z sześciu leżących nad sobą klatek; w każdej można było wywieźć na powierzchnię wózek z węglem. W klatce było miejsce zaledwie na dwóch

przykucniętych ludzi, do każdej wpychano jednak pięciu robotników i zwożono ich na dół niby kupę węgla.

Ponieważ Jacques był sztygarem, tylko ci trzej: Vincent, on i jeden z jego pomocników, weszli do najwyższej położonej klatki. Przykucnęli z podwiniętymi nogami, na wyciągnięcie ich nie było miejsca. Głowami uderzali o drucianą siatkę.

– Trzymaj pan ręce tuż przy sobie! – ostrzegł Jacques.

– Jeśli dotkną ścian szybu, już po nich.

Dano sygnał i winda pognała w głąb na dwóch stalowych prowadnicach. Szyb, którym zjeżdżali, był zaledwie o ułamek cała szerszy od pędzącej windy. Mimowolny dreszcz wstrząsnął Vincentem, gdy uświadomił sobie, że mrok rozściela się na pół kilometra pod nim. Wiedział, że najmniejsze niedociągnięcie w funkcjonowaniu windy oznacza niechybną śmierć. Runęliby w niezmierną czeluść czarnej gardzieli i zostaliby zmiażdżeni. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tak bardzo się obawiać, gdyż od dwóch miesięcy przeszło nie było wypadku przy zjeździe, ale słabe migocące światełka lamp naftowych nie sprzyjały spokojnej rozwadze.

Zwierzył się Verneyowi z trwogi, jaka nawiedziła go mimo woli. Jacques uśmiechnął się wyrozumiale.

– To czuje każdy górnik – oświadczył.

– Ale z czasem przyzwyczajają się chyba?

– Nie. Nigdy! Nieprzewyciężone uczucie lęku i grozy jest do końca życia związane z myślą o windzie.

– U pana również?

– Drżałem w duszy tak samo jak pan – a przecie zjeżdżam już od trzydziestu trzech lat.

W połowie drogi, na głębokości trzystu pięćdziesięciu metrów, winda przystanęła na chwilę, potem z szumem ruszyła dalej. Woda spływała strugami po ścianach szybu. Vincent znów zadrzał. Nad sobą widział tylko przebłyskujący strzęp światła – nie większy od gwiazdy. Na głębokości sześciuset pięćdziesięciu metrów wysiedli, górnicy zjeżdżali jeszcze niżej. Vincent znalazł się w szerokim przekopie, z torami wyrąbanymi w kamieniu i glinie. Oczekiwał piekielnego żaru, tymczasem w przekopie było raczej chłodno.

– Nie jest wcale tak źle, panie Verney! – zawołał.

– Nie, ale na tym poziomie nikt nie pracuje... Te pokłady są od dawna wyczerpane. Powietrze dostaje się z góry, to jednak nie pomaga tym, co pracują głębiej.

Szli przeszło ćwierć kilometra przekopem.

– A teraz proszę iść tuż za mną, monsieur Vincent – ostrzegł Jacques – tylko ostrożnie, jeden fałszywy krok, a katastrofa gotowa!

Nagle Jacques zniknął Vincentowi z oczu. Potykając się brnął Vincent dalej, znalazł w ziemi jakiś otwór i domacał się drabiny. Otwór był na tyle szeroki, że szczupły człowiek mógł się od biedy prześliznąć. Przez pierwsze pięć metrów można było posuwać się jako tako; w połowie drogi jednak Vincent musiał się obrócić, na pół w powietrzu, i schodzić na dół twarzą do drabiny. Z kamieni ciekła woda, śliski ił oblepiał szczeble drabiny. Vincent czuł kapiącą z góry wodę.

Wreszcie dotarli na dół. Na rękach i kolanach poczołgali się teraz długim chodnikiem wiodącym do komór położonych najdalej od wyjścia. Komory szły rzędem za sobą, ściany podparte były nie ociosanymi stropnicami. W każdej komorze pracowała grupa pięciu

ludzi; dwóch wyrąbywało węgiel kilofami, trzeci zgarniał im urobek sprzed nóg, czwarty ładował na małe wózki, piąty zaś popychał wózki wąskim chodnikiem.

Rębacze pracowali w zgrzebnym odzieniu, sztywnym od brudu i potu. Ładowaczem był zazwyczaj młody chłopak, całkiem nagi, przepasany tylko na biodrach grubą szmatą. Wózek popychały szerokim na trzy stopy przejściem dziewczęta, podobnie ubrane jak mężczyźni i tak samo czarne. Ze stropów komór sączyła się woda, co nadawało im wygląd grot stalaktytowych. Mała lampa z przykręconym dla oszczędności knotem rzucała nikły blask. Wentylacji nie było. Powietrze przesycił pył węglowy. Gorąco było tak, że górnikom pot spływał strugami po ciele. W pierwszych od wejścia komorach robotnicy mogli jeszcze stać prosto; im dalej, tym komory były niższe. W ostatnich mogli już tylko leżeć na brzuchu i wsparci na łokciach rąbać kilofami. W miarę upływu godzin temperatura komór podnosiła się do temperatury ciała, a pył węglowy gęstniał w powietrzu do tego stopnia, że oddychali z trudem, łykając gorącą, czarną sadzę.

– W tych komorach ludzie zarabiają po dwa i pół franka dziennie – powiedział Jacques.
– Oczywiście pod warunkiem, że inspektor w punkcie kontrolnym jest zadowolony z jakości dobytego węgla. Przed pięciu laty zarabiali po trzy franki, lecz odtąd co rok obniżano płace.

Jacques zbadał stropnice, których zły stan oznaczał dla górników śmierć. Zwrócił się do rębaczy:

– Wasze stropnice są przegniłe – oświadczył. – Uginają się coraz bardziej. Przy pierwszej sposobności sklepienie runie wam na głowy.

Jeden z rębaczy, przodowy, zaczął kląć i złorzeczyć. Vincent pojmował niewiele z szybko wyrzucanych słów.

– Jeśli zapłacą nam za to – krzyczał górnik – doprowadzimy je do porządku! Ale jeśli będziemy tracić darmo czas na naprawianie stropnic, to nie dobędziemy węgla. Równie dobrze możemy tu zginąć pod ziemią, jak zdechnąć w domu z głodu!

Za ostatnią komorą znajdował się znów otwór w ziemi. W tym miejscu nie było nawet drabiny. Otwór zakryty był luźno deskami, aby węgiel i ziemia nie spadały na dół i nie zasypywały górników. Jacques wziął lampę Vincenta i przywiązał ją sobie do pasa. „Ostrożnie – powtarzał. – Proszę mi nie stąpnąć na głowę, bo spadnę”. Zleźli jeszcze pięć metrów w głąb, stawiając kolejno to jedną, to drugą nogę na desce, podczas gdy ręce czepiały się błotnistych ścian.

Znajdował się tu inny pokład, nie było w nim jednak nawet komór. Ludzie czołgali się na kolanach, opierali się plecami o kamienne sklepienie i wyrąbywali węgiel wprost ze ściany. Górne komory wydały się Vincentowi teraz, w porównaniu z tymi, chłodne i wygodne niemal. Panowało tu gorąco niczym w piecu piekarskim. Powietrze było gęste, choć nożem krajać. Vincent miał wrażenie, że nie wytrzyma ani minuty dłużej w tym gorącu i pyle. A przecież przyglądał się tylko beczynnemu, górniczy natomiast ciężko pracowali, zużywając tysiącrotnie więcej energii. Nie mogli przy tym przerwać pracy ani na chwilę dla ochłody i wypoczynku, nie wydobyliby bowiem wymaganej ilości węgla, a więc nie otrzymaliby swoich dwu i pół franka dziennego zarobku. Podobni byli do umęczonych zwierząt z wywieszonymi językami, ich nagie ciała pokrywała lśniąca warstwa potu i pyłu węglowego.

Vincent i Jacques pęzali na czworakach chodnikiem, który łączył poszczególne liczne komory. Co kilka sekund musieli przywierać na płask do ścian, by przepuścić wagonik z węglem. Przejście tu w dole było jeszcze ciaśniejsze niż w górze. Dziewczęta popychające wózki były bardzo młode, żadna nie miała więcej niż dziesięć lat. Wagoniki były ciężkie, toteż dziewczynki z trudem pchały je po szynach. Przy końcu chodnika znajdowała się spadzista rynna metalowa, po której spuszczano wózki w dół na linach.

– Chodź pan – rzekł Jacques – pokażę panu najniższy pokład leżący siedemset metrów pod ziemią. Zobaczysz pan tam coś, czego nie ma poza tym nigdzie na świecie.

Ześliznęli się około trzydziestu metrów wzdłuż rynny i znaleźli się w przestronnym przekopie o dwóch torach. Szli nim około pół kilometra. Dotarłszy do końca, wciągnęli się w górę na przegrodę, potem przeczołgali się wąskim korytarzem i opuścili po drugiej stronie do świeżo wykopanej komory.

– To nowy pokład – objaśniał Verney – najtrudniejszy pokład świata.

Z komory, do której się dostali, rozchodziło się dwanaście wąskich czarnych chodników. Jacques wsunął się do jednego z nich wołając: „Chodź pan za mną!” Vincent wcisnął się do otworu i musiał pęzać jak wąż na brzuchu, rękami torując sobie drogę. Nie widział nawet butów Verneya w odległości trzech cali przed sobą. Przekop wykuty w tej skale był zaledwie pół metra wysoki i niecały metr szeroki. Już w komorze, do której się spuścili, niewiele było powietrza, ale w porównaniu z tym chodnikiem było tam chłodno.

– W końcu doczołgali się do niewielkiej, okrągło sklepionej jamy, w której dorosły człowiek mógł od biedy stać. Ciemno tu było i Vincent nie rozeznawał zrazu niczego. Potem rozbłysnęły na ścianie przed nim cztery małe, niebieskawe światełka. Pot perlił mu się na ciele, pył węglowy wciskał się do oczu, które piekły okrutnie. Vincent dyszał ciężko, usiłując złapać oddech po długim czołganiu się na brzuchu. Ale to, co wdychał, nie było powietrzem, lecz ogniem, płynnym ogniem, który palił płuca. Było to najgorsze miejsce w całym „Marcasse”, istna komora tortur, której nie powstydziliby się średniowiecze. Patrzcie, patrzcie! – wykrzyknął znany mu głos Decrucą – pan Vincent! Pan chce zapewne widzieć, w jaki sposób zarabiamy nasze dwa i pół franka dziennie, prawda?

Jacques podszedł szybko do lamp i skontrolował je. Siny łuk wokół płomienia pożerał światło.

– Nie powinien był tu przyjść – szepnął Decrucą Vincentowi na ucho; białka jego oczu błyszcząły w ciemności – w tym chodniku może dostać krwotoku.

– Decrucą – zawołał Verney – czy wasze lampy palą się tak już przez cały ranek?

– Aha – odparł obojętnie Decrucą – coraz więcej jest gazu. Pewnego pięknego dnia nastąpi wybuch... i skończą się nasze wszystkie kłopoty.

– Przecie dopiero zeszłej niedzieli wypompowano gaz z tego przekopu.

– Ale gaz wraca, gaz wraca – rzekł Decrucą drapiąc ze złośliwą uciechą czarną bliznę na głowie.

– W takim razie musicie przerwać pracę na jeden dzień w tym tygodniu, abyśmy mogli znów usunąć gaz.

Wśród górników podniosła się burza protestów.

– Już teraz brak nam chleba dla dzieci! I bez tego nie możemy żyć z tej głodowej płacy! Co, mamy tracić jeszcze całodzienny zarobek! Pompować możecie wtedy, kiedy nas tu nie ma! Musimy jeść jak wszyscy!

– Wszystko w porządku – roześmiał się Decrucq – mnie kopalnia nie zmoże, już nieraz tego próbowała. Umrę w łóżku ze starości. A że właśnie mowa o jedzeniu, która godzina, Verney?

Jacques zbliżył zegarek do błękitnego płomyka lampy.

– Dziewiąta.

– Dobra. W takim razie możemy zjeść śniadanie.

Czarni, zlani potem górnicy, łyskający białkami oczu, przestali pracować i oparłszy się o ścianę sięgnęli po koszyczki z prowiantem. Nie mogli przeczołgać się do chłodniejszego miejsca, by zjeść, ponieważ użyczali sobie tylko piętnastu minut odpoczynku. Jedli łąpczywie i prędko suchy chleb z kwaśnym serem, popijali go czarną kawą z butelek. Kawa, chleb, kwaśny ser – oto cena, za którą harowali trzynaście godzin dziennie pod ziemią.

Vincent znajdował się już od sześciu godzin w kopalni. Brak mu było tchu, zdawało mu się niepodobieństwem, aby mógł bodaj chwilę dłużej znieść tę mękę. Był więc wdzięczny, gdy Jacques powiedział, że muszą już iść.

– A uważaj na gaz, Decrucq – ostrzegął Jacques wpełzając do chodnika. – Jeśli się pogorszy, uważaj, byście na czas stąd zwiali.

Szyderczy śmiech zabrzmiał w odpowiedzi.

– Wówczas wypłacą nam oczywiście dwa i pół franka dla przyjemności, prawda?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Decrucq znał ją równie dobrze jak Verney, który wzruszył tylko ramionami i wczołgał się do tunelu. Vincent za nim. Oślepił go kłujący, brudny pot spływający mu po twarzy.

Musieli iść dobre pół godziny do miejsca, skąd winda wywoziła na ziemię ludzi i węgiel. Jacques wszedł do komory, gdzie trzymano konie, i odpluł czarną flegmę.

W klatce windy wystrzelającej w górę jak wiadro ze studni, Vincent zwrócił się do Verneya:

– Proszę mi powiedzieć tylko jedno: jak to jest możliwe, że ci ludzie zjeżdżają wciąż jeszcze do kopalni? Dlaczego nie pójdą gdzie indziej? Nie poszukają innej pracy?

– Mój drogi panie, po pierwsze nie ma tu innej pracy. A poza tym nie możemy pójść gdzie indziej, gdyż nie mamy pieniędzy. Nie ma ani jednej rodziny górniczej w całym Borinage, która by zdołała uciulać choć dziesięć franków. Ale nawet gdybyśmy mogli stąd odejść, nie zrobilibyśmy tego. Marynarz wie również, że na statku czyhają na niego wszelkie niebezpieczeństwa, a jednak ilekroć znajdzie się na lądzie, nawiedza go tęsknota za morzem. Tak samo jest z nami. Kochamy nasze kopalnie, wolimy siedzieć w nich głęboko pod ziemią, niż kręcić się w górze, nad nimi. Czego jedynie żądamy, to zarobków, które by starczyły na zaspokojenie głodu oraz znośnych godzin pracy i urządzeń gwarantujących bezpieczeństwo.

Winda dotarła na górę. Vincent przeszedł przez zaśnieżony dziedziniec; słabe światło słońca oślepiło go. W lustrze umywalni ujrzał, że twarz ma czarną jak smoła. Nie tracił czasu na mycie. Na pół przytomny, zataczając się, szedł na ukos przez pola i wdychał chciwie świeże powietrze. Zastanawiał się, czy nie zachorował nagle i czy to wszystko nie było gorączkowym przywidzeniem. Z pewnością Bóg nie pozwoliłby swoim dzieciom cierpieć w tak okropnej niewoli. Z pewnością wszystko mu się przywidziało tylko.

Przez labirynt brudnych uliczek, omijając zasobne stosunkowo domostwo Denisów, bezmyślnie powędrował do chaty Decrucqą. Zrazu nikt nie odpowiadał mu na pukanie; po chwili dopiero wyjrzał sześciolatek. Był niski, blady i anemiczny, ale tliło się w nim coś z nieustraszonej odwagi ojca. Za dwa lata i on miał zejść do „Marcasse”, aby od trzeciej rano do czwartej po południu ładować węgiel na wózki.

– Matka wyszła na hałdę – oznajmił wysokim, cienkim głosem. – Musi pan poczekać. Ja pilnuję dzieci.

Dwoje małych dzieci Decrucqów bawiło się na podłodze paroma patyczkami i sznurkiem. Miały na sobie tylko krótkie koszulki i były sine z zimna. Najstarszy chłopak palił w piecu, lecz rezultat tego palenia był marny. Vincent patrzył na dzieci i dreszcz nim wstrząsnął. Ułożył dwoje młodszych w łóżku i nakrył po szyje kocem.

Sam nie zdawał sobie sprawy, po co przyszedł do tej smutnej chaty. Czuł, że musi coś zrobić, chciał powiedzieć coś miłego jej mieszkańcom, dopomóc im w jakiś sposób.

Pani Decrucq wróciła do domu z czarnymi rękami i umazaną twarzą. Prędko pobiegła do małej skrzynki, w której trzymała zapasy, i postawiła na piecu garnuszek z kawą. Podała Vincentowi filiżankę; kawa była letnia, gorzka i pachniała drzewem, lecz Vincent wypił ją nie chcąc sprawić przykrości zacnej kobiecie.

– W ostatnich czasach odpadki nic nie są warte – żaliła się pani Decrucq. – Towarzystwo nie przepuszcza ani odrobiny węgla. Nie wiem już doprawdy, co zrobić, aby mi dzieciśka nie pomarły. Do włożenia na siebie nie mają też nic więcej jak koszulę i tych parę płóciennych łachów. Płótno zgrzebne rani i zdiera im skórę. A jeśli będę je trzymać cały dzień w łóżku, to jak wyrosną?

Vincent zachłysnął się od łez, nie mógł słowa wykrztusić. Nigdy nie widział tak strasznej nędzy. Po raz pierwszy zastanowił się nad tym, jaką korzyść mogą przynieść modły i ewangelia tej kobiecie, której dzieci marły na śmierć. Czyż nie było Boga w niebiesiach, aby się ulitował? Miał w kieszeni kilka franków. Wręczył je pani Decrucq.

– Proszę kupić dzieciom wełnianą bieliznę.

Zdawał sobie sprawę, że jest to tylko gest. Prócz tych dzieci tutaj marły w Borinage setki innych. Ciepłe rzeczy, które pani Decrucq kupi za te pieniądze, wnet się podrą i cała nędza zacznie się na nowo.

Szedł pod górę do Denisów. W piekarni było ciepło i przytulnie. Madame Denis przygotowała mu miskę ciepłej wody do mycia. Z resztek króliczej pieczeni z poprzedniego dnia przyrządziła mu posilne danie. A widząc, jak bardzo wyczerpały go przeżycia dnia, dodała jeszcze do chleba spory kawałek masła.

Potem Vincent udał się na górę do swej izdebki. Był syty, miał ciepły dach nad głową, szerokie i wygodne łóżko, czyste prześcieradła, poduszkę obleczoną białą poszewką. Na ścianach wisały reprodukcje dzieł największych mistrzów świata. Wyciągnął szuflady komody – leżały w nich starannie ułożone koszule, spodnia bielizna, skarpetki i kamizelki. Podeszedł do szafy i zobaczył trzewiki, ciepły płaszcz, ubrania. I nagle zrobiło mu się na duszy tak, jak gdyby był tchórzem i kłamcą. Głosił górnikom cnotę ubóstwa, a sam żył w dostatku i wygodzie. Był tylko hipokrytą i zonglerem słów. Religia jego była pusta i bezużyteczna. Górnicy powinni nim wzgardzić, wyrzucić go z Borinage. Udawał, że dzieli ich los, a tymczasem tutaj miał ciepłe, porządne ubrania i wygodne łóżko i w czasie jednego posiłku zjadał tyle, ile górnicy jedli przez cały tydzień. I nawet nie pracował na tę

wygodę i zbytek! Po prostu mówił gładkie kłamstwa i udawał dobrego człowieka. Mieszkańcy Borinage nie powinni mu wierzyć, nie powinni przychodzić na jego kazania ani uznawać jego duchowego kierownictwa. Wygodne życie zadawało kłam jego wzniosłym słowom. Zawiódł znowu, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Miał tylko dwie drogi do wyboru: opuścić Borinage, uciec pod osłoną nocy, nim ludzie zdadzą sobie sprawę, jak słaby jest i tchórzliwy, lub też skorzystać z tego, że mu się otwarły teraz oczy, i zostać prawdziwym sługą bożym.

Wyjął wszystkie rzeczy z komody i zapakował je prędko do kufra. Włożył tam też ubrania, trzewiki, książki i obrazy, po czym zamknął kufer. Na razie postawił go na krześle i z ulgą w sercu wybiegł z domu.

W głębi parowu płynął mały potok. Na zboczu za potokiem był las sosnowy, a w nim tu i ówdzie stały domki górników. Po długim rozpytywaniu Vincent dowiedział się, że jeden z nich jest nie zamieszkanym. Była to buda z desek i bez okien. Podłogę stanowiło klepisko, stwardniałe od długiego użytku. W górnej części ściany sączyła się przez deski woda z tającego śniegu. Nie ociosane belki wspierały dach. Przez całą zimę nikt tu nie mieszkał, toteż wiało przez wszystkie dziury i szczeliny.

– Do kogo należy ten dom? – zapytał kobiety, która mu pomagała w szukaniu.

– Do pewnego kupca w Wasmes.

– Czy pani nie wie, ile wynosi czynsz?

– Pięć franków miesięcznie.

– Dobrze, wynajmuję go.

– Ależ, monsieur Vincent, pan nie może tu mieszkać!

– Dlaczego?

– Bo ta chata jest zbyt nędzna. Gorsza od mojej... To najnędzniejszy domek w Petit Wasmes.

– Dlatego właśnie mi odpowiada.

Wspiał się z powrotem na wzgórze. Nowe uczucie spokoju przeniknęło mu serce. Podczas nieobecności Vincenta pani Denis weszła z jakiegoś powodu do jego pokoju i zobaczyła spakowany kuferek.

– Co się stało, monsieur Vincent? – zawołała, gdy wrócił.

– Dlaczego pan tak prędko wraca do Holandii?

– Nie odjeżdżam stąd, madame Denis. Zostaję w Borinage.

– Czemu więc... – bąknęła zaskoczona.

Posłyszawszy odpowiedź Vincenta, rzekła serdecznie:

– Proszę mi wierzyć, monsieur Vincent, pan nie może tak żyć! Pan nie jest do tego przyzwyczajony. Odkąd Pan Jezus wędrował po ziemi, czasy się zmieniły. Dzisiaj powinniśmy wszyscy żyć tak, jak możemy. Ludzie wiedzą i bez tego, co pan zrobił, i że jest pan dobrym człowiekiem.

Nie potrafiła jednak odwieść Vincenta od jego zamiaru. Odszukał kupca w Wasmes, wynajął nędzną chatę i wprowadził się do niej. Gdy po kilku dniach nadeszła jego pierwsza pensja – czek na pięćdziesiąt franków – kupił sobie wąskie łóżko drewniane i używany piecyk. Po tych wydatkach zostało mu akurat tyle, że mógł żyć przez resztę miesiąca chlebem, kwaśnym serem i kawą. Wyżej położoną ścianę domu okopał ziemią, aby woda nie sączyła się do wnętrza, szpary i dziury zatkał gałganami. Teraz mieszkał tak

samo jak górnicy. Miał to samo do jedzenia co oni, spał tak samo niewygodnie. Był jednym z nich. Miał prawo głosić im słowo boże.

XIII

Dyrektor Towarzystwa Charbonnage Belgique, do którego należały cztery kopalnie w okolicy Wasmes, nie był zgoła okrutnym drapieżnikiem, jak go sobie Vincent wyobrażał. Sprawiał wrażenie człowieka dobrze odżywionego, ale oczy miał łagodne i życzliwe, a z jego zachowania się można było wyczuć, że sam dużo w życiu wycierpiał.

– Wiem dobrze, monsieur van Gogh – powiedział wysłuchawszy uważnie sprawozdania Vincenta – jest to wciąż ta sama historia. Górnicy wmawiają sobie, że pozwalamy im ginąć z głodu, aby zagarnąć większe zyski. Proszę mi wierzyć, monsieur, że to bynajmniej nie odpowiada prawdzie. Pan pozwoli, że przedłożę mu kilka tabel Międzynarodowego Biura Górniczego w Paryżu.

Rozłożył na stole wielką tabelę i powiódł palcem po niebieskiej kresce u dołu.

– Widzi pan – rzekł – jesteśmy na ostatnim miejscu. Beligijskie kopalnie węgla są najuboższe w świecie. Dostęp do węgla jest w nich utrudniony, wskutek czego mamy tak wielkie wydatki, że z biedą tylko możemy konkurować na rynkach. Koszty produkcji własnej są tak wysokie, jak nigdzie indziej w Europie; nasz zysk zaś jest niższy, ponieważ nie możemy sprzedawać drożej od kopalni, które pracują z mniejszym nakładem kosztów. Stoimy zawsze na skraju bankructwa. Czy pan idzie za tokiem moich myśli?

– Zdaje mi się, że tak.

– Gdybyśmy chcieli dołożyć górnikom choćby po jednym franku dziennie, nasze koszty własne przekroczyłyby rynkową cenę węgla. Musielibyśmy zamknąć kopalnię. A wówczas górnikom nie pozostałoby doprawdy nic innego, jak śmierć głodowa.

– Czy właściciele kopalni nie mogliby zadowolić się mniejszym zyskiem? Wtedy zostałyby więcej dla robotników?

Dyrektor potrząsnął ze smutkiem głową.

– Czy pan wie, co jest motorem każdego przedsiębiorstwa górniczego? Kapitał. Podobnie jak wszędzie w przemyśle. A zainwestowany kapitał musi przynosić dywidendy, inaczej powędruje do innego przemysłu. Akcje Charbonnage Belgique przynoszą dziś zaledwie trzy procent dywidendy! Pół procent mniej, a zabraknie akcjonariuszy, którzy by tu chcieli inwestować pieniądze. A co wtedy? Oczywiście, bez kapitału nie możemy pracować, górnicy znów siedzieliby bezczynnie i marli z głodu. Widzi pan więc, monsieur van Gogh, że to nie właściciele kopalni ani nie dyrektorzy winni są nędzy w Borinage. Winę ponosi jedynie i wyłącznie złe położenie pokładów. A o to możemy mieć, jak sądzę, pretensję tylko do Pana Boga.

Vincent powinien był czuć się zgorszony tym bluźnierstwem, ale nie był. Myślał o tym, co mu powiedział dyrektor.

– Ale czy nie mógłby pan skrócić przynajmniej czasu pracy? Trzynaście godzin dziennie pod ziemią! Pewnego dnia wymrze cała osada.

– Niestety, nic się nie da zrobić. Skrócenie czasu pracy oznaczałoby to samo, co podwyżka płacy. Jeżeli górnicy będą pracowali krócej, wydobędą za swój dzienny zarobek dwu i pół franka o tyle to i tyle ton węgla mniej. To zaś znaczy, że koszty naszej produkcji wzrosną.

- Ale jedna rzecz da się na pewno odmienić na lepsze.
- Pan ma na myśli niebezpieczne warunki pracy?
- Tak jest. Liczbę nieszczęśliwych i śmiertelnych wypadków można chyba zmniejszyć? Dyrektor potrząsnął głową pełen wyrozumiałości.

- Nie, monsieur van Gogh. Nic nie da się zrobić, nie możemy sprzedać akcji, gdyż nasze dywidendy są zbyt niskie. Nie mamy czystego zysku, który by można pakować w ulepszenia. Położenie jest beznadziejne, mój panie. Jest to błędne koło, nie sposób wydostać się z niego, sam próbowałem już wiele razy. To właśnie sprawiło, że z wierzącego katolika stałem się w końcu zaciekłym ateistą. Nie może mi się pomieścić w głowie, że istnieje w niebie Bóg, który stworzył te warunki i dopuszcza do tego, aby ludzie przez całe wieki żyli jak niewolnicy, bez jednej godziny zmiłowania!

Vincent nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Jak ogłuszony powrócił do domu.

XIV

Luty był w tym roku najgorszy ze wszystkich miesięcy. Gwałtowne wichry hulające po wzgórzach i równinie uniemożliwiały niemal przejście przez wąskie uliczki. Górnikom potrzebny był teraz opał bardziej niż kiedykolwiek, aby utrzymać choć trochę ciepła w izbach, lecz lodowaty wiatr kłuł i siekł z taką mocą, że kobiety nie mogły chodzić na hałdę w poszukiwaniu węgla. Gruba spódnica, bluzka, bawełniane pończochy, chustka na głowie – to wszystko, co posiadały dla obrony przed zimnym wiatrem.

Po całych dniach trzymano dzieci w łózkach, żeby nie zamarzły. Rzadko zjawiało się na stole ciepłe jadlo, bo nie było węgla do pieca. Po wyjściu z gorejących trzewi ziemi górników obejmował natychmiast siekący mróz, w tnącej wichurze musieli brodzić po ośnieżonych hałdach. Gruźlica i zapalenie płuc zabierały co dzień nowe ofiary. W tym miesiącu odprawił Vincent wiele nabożeństw żałobnych.

Dzieciom siniały z zimna twarzyczki. Vincent poniechał zwyczajnych lekcji czytania. Spędzał dni na Mont Marcasse, zbierał węgiel i rozdzielał w najbiedniejszych chatkach. Nie potrzebował obecnie smarować sobie twarzy pyłem węglowym – była zawsze umazana. Gdyby ktoś obcy zawitał do Petit Wasmes, powiedziałby: to przecie górnik jak inni.

Po wielogodzinnej pracy na stożkowatych usypiskach zebrał zaledwie pół worka węgla. Ręce miał sine z mrozu, pokaleczone przez lodowate i ostre kamyki. Na krótko przed czwartą postanowił zaprzestać zbierania i zanieść węgiel do wsi. Niech przynajmniej parę kobiet zagrzeje kawę swoim mężom! Przybył przed bramę „Marcasse” w chwili, gdy górnicy poczynali wychodzić z kopalni. Kilku z nich poznało go i mruknęło *bojou*⁸, inni przeszli z rękami w kieszeniach, z obwisłymi ramionami i wzrokiem wbitym w ziemię.

Ostatni wyszedł z bramy niski, stary człowiek. Kaszel szarpał nim tak silnie, że z trudem mógł iść, kolana uginały się pod nim. Ilekroć trafiał weń lodowaty zryw wichru z zaśnieżonych hałd, staruszek zataczał się jak pod ciosem. Wyglądało, że lada chwila upadnie twarzą na lód. Przez moment zbierał siły, po czym włókł się dalej przez pola, bokiem do wiatru. Na ramiona miał zarzucony worek, który wytrzasnął widać w jakimś

⁸Zniekształcone *bon jour* – dzień dobry.

sklepie w Wasmes. Vincent dostrzegł z daleka napis na worku. Wytężył wzrok i odczytał: *Fragile!*⁹

Rozdawszy węgiel w chatach górników pośpieszył do swej własnej, nędznej budy i rozpostarł na łożku cały zapas posiadanej bielizny i odzienia. Było tego pięć koszul, trzy pary kalesonów, cztery pary skarpetek, dwie pary butów, ubranie i ciepły płaszcz. Jedną koszulę, parę skarpetek i parę kalesonów zostawił na łożku, wszystko inne wpakował do walizki.

Ubranie zaniósł staremu, którego widział okrytego workiem. Ciepłą bieliznę przeznaczył dla dzieci; skarpetki ofiarował chorym na gruźlicę górnikom, którzy mimo choroby musieli zjeżdżać do kopalni. Zimowy płaszcz podarował ciężarnej kobiecie, której mąż zginął przed kilkoma dniami wskutek zawalenia się stropnic. Musiała objąć po nim pracę w kopalni, by móc wyżywić dwoje dzieci.

Salon du Bebe został zamknięty, gdyż Vincent nie chciał zabierać węgla gospodyniom. Poza tym ludzie mieli dość brodzenia w roztopach i moczenia nóg. Vincent odprawiał zatem krótkie nabożeństwa w chatach, które kolejno obchodził. Wkrótce zresztą doszedł do wniosku, że powinien poświęcić się praktycznym obowiązkom, pielęgnowaniu chorych i ich leczeniu. Potrzebne im były nacierania, należało przygotowywać gorące napoje i leki. W końcu zostawiał Pismo Święte w ogóle w domu; nie miał wcale czasu na otwieranie go. Słowo boże stało się zbytkiem, na jaki górnicy nie mogli sobie teraz pozwolić.

W marcu mróz zelżał, ale wzmogły się choroby i gorączka. Vincent oddał czterdzieści franków ze swej pensji lutowej na zakup lekarstw i żywności dla chorych. Sam głodował i chudł coraz bardziej. Dawaly mu się we znaki lekkie przypadłości nerwowe, zimno podcinało jego siły żywotne; chodził z gorączką. Niby ognie gorzały oczy w głębokich oczodołach, potężna głowa van Goghów zdawała się kurczyć. Pod oczami i w zapadniętych policzkach utworzyły się doły, ale wysuniętą brodę cechował ten sam upór, co zawsze.

Najstarsze dziecko Decruców zachorowało na tyfus. Nie wiedziano jak urządzić się ze spaniem; w chacie były tylko dwa łożka. W jednym spali rodzice, w drugim troje dzieci. Jeśli zdrowe dzieci zostaną w tym samym łożku, gdzie leżał chory brat, mogą się zarazić. Jeśli pościele się im na podłodze, nabawią się niechybnie zapalenia płuc, a niepodobna, aby rodzice spali na ziemi, gdyż wówczas nie mogliby rano pójść do pracy. Vincent pojął natychmiast, co należy zrobić.

– Decrucq – powiedział, gdy górnik wrócił z kopalni do domu – czy chce mi pan w czymś pomóc, nim pan zasiądzie do kolacji?

Decrucq był zmęczony i chory, bolała go stara rana, ale poszedł bez słowa za Vincentem, powłócząc bezwładną nogą. Gdy doszli do chaty Vincenta, ten zrzucił z łożka jeden z koców i powiedział:

– Bierz pan z jednej strony, zaniesiemy łożko do pana, dla chorego chłopca.

Decrucq zgrzytnął zębami:

– Mamy troje dzieci – możemy stracić jedno, jeśli taka jest wola boska. Ale jest tylko jeden monsieur Vincent, który pielęgnuje chorych w osadzie, i nie pozwolę, aby on się zmarnował!

⁹Kruche!

Kuśtykając z trudem, wyszedł z chaty. Vincent rozebrał wówczas łóżko na części, wpakował je sobie na plecy i zaniósł do Decruców; tutaj złożył je z powrotem. Decruc i żona siedzieli przy wieczerzy składającej się z kawy i chleba. Przyglądali się w milczeniu, gdy Vincent prznosił chore dziecko na swoje łóżko i zajął się nim.

W drodze powrotnej wstąpił do Denisów i zapytał, czy nie mogliby dać mu wiązki słomy na posłanie. Madame Denis przerażała się posłyszawszy co uczynił.

– Monsieur Vincent – zawołała – pański pokój jest jeszcze wolny. Musi pan wprowadzić się do nas z powrotem!

– Pani jest bardzo dobra, ale nie mogę...

– Wiem, idzie panu o zapłatę, ale to nie ma znaczenia. Jean Baptiste i ja zarabiamy dosyć na porządne życie. Może pan u nas mieszkać za darmo jak brat. Czy pan nie głosi zawsze, że wszyscy ludzie stworzeni przez Boga są braćmi?

Vincent marzył i dygotał z zimna. Męczył go głód, gorączka trawiła go od tygodni. Osłabł z niedożywienia i braku snu. Był udręczony i bliski obłędu z powodu nędzy i cierpienia całej osady. Tam na poddaszu czekało na niego ciepłe, miękkie i czyste łóżko. Pożywne jadło madame Denis przegnałoby z jego żołądka uczucie ssącego głodu, gorące napoje rozpuściłyby ten straszliwy lód w szpiku jego kości. Dygotał cały, chwiał się, jakby miał za chwilę upaść na czerwone cegły podłogi. Wielkim wysiłkiem woli opanował się.

Była to ostatnia próba zesłana nań przez Boga. Jeśli teraz zawiedzie, wniwecz obróci się wszystko, co zrobił dotąd. Teraz, gdy cała osada nawiedzona została najokrutniejszym cierpieniem i męką, on miałby zawieść, okazać się słabym, godnym pogardy tchórzem, korzystającym przy pierwszej okazji z komfortu i zbytku?!

– Bóg widzi pani dobroć, madame Denis – rzekł – i wynagrodzi ją. Ale proszę mnie nie kusić i nie sprowadzać z drogi obowiązku. Jeśli nie może mi pani dać wiązki słomy, będę musiał spać na gołej ziemi. Ale proszę nie przynosić nic więcej, nie będę tego bowiem mógł przyjąć.

Rzucił słomę w kąt chaty, na wilgotną podłogę i nakrył się cienkim kocem. Przez całą noc nie zmrużył oka. Rano chwycił go silny kaszel, oczy zapadły się jeszcze głębiej w oczodoły. Gorączka wzmożła się, niezupełnie był świadom tego, co robi. W worku obok pieca nie było ani garści węgla: wszystko, co uzbierał na hałdzie, oddał górnikom. Przełknął z trudem parę kęsów razowego, suchego chleba i ruszył do codziennej pracy.

XV

Marcowe burze wyszalały się z wolna; w kwietniu położenie stało się znośniejsze. Wiatr ucichł, promienie słońca padały bardziej prostopadle, zaczęło tajać, czarne pola wyłoniły się spod śniegu, rozdzwoniły się skowronki, w lesie dziki bez wypuścił pączki. Grypa ustąpiła, w ciepłe dni kobiety wychodziły znów całymi gromadami na hałdę po węgiel. Wkrótce żar ognia w pękatych piecach przegnał zimno z nędznych chat, czyniąc je bardziej przytulnymi. Dzieci nie musiały już leżeć w ciągu dnia w łóżkach i Vincent otworzył na nowo swój „salon”. Na pierwsze kazanie przybyła cała osada. Niedostrzegalny niemal uśmiech błąkał się znowu w posępnych oczach górników, głowy podnieśli do góry. Decruc, który mianował się palaczem i odźwiernym „salonu”, robił dowcipy przy paleniu w piecu drapiąc się energicznie w głowę.

– Idą lepsze czasy – wołał Vincent radośnie z ambony.

– Bóg was doświadczył i okazaliście się wierni. Najgorsze zło minęło, na polach dojrzewać będzie zboże i słońce was ogrzeje, kiedy po pracy siądziecie przed domami. Dzieci wybiegną z izby, by widzieć skowronki, by zbierać jagody w lesie. Podnieście oczy ku Bogu, albowiem dobre rzeczy przygotowane są dla was. Bóg jest miłosierny, Bóg jest sprawiedliwy. Wynagrodzi was za waszą wiarę i czujność. Dziękujcie Mu, idą lepsze czasy!

I górnicy dziękowali z głębi wzruszonych serc. Radosny gwar napełnił izbę, każdy powtarzał sąsiadowi: „Monsieur Vincent ma słuszość. Nasze cierpienia minęły. Zima przeszła. Idą lepsze czasy”.

Parę dni później Vincent z kilkorgiem dzieci zbierał węgiel za „Marcasse”. Nagle dostrzegł małe, czarne postacie; wyroili się ze znaczkowni i rozproszyły na wszystkie strony po polu.

– Co się stało? – zawołał – nie ma przecie jeszcze trzeciej! Słońce stoi wysoko na niebie.

– Wypadek! – krzyknął któryś ze starszych chłopców.

– Widziałem ich już kiedyś tak biegnących. Na dole musiało stać się nieszczęście!

Szcołgali się co tchu z góry, ostre kamyki rozdzierały im ręce i odzież. Całe pole dookoła „Marcasse” roilo się jakby od czarnych mrówek, które szukały osłony. Lecz zanim Vincent z dziećmi zszedł na dół, wszczął się już ruch w odwrotnym kierunku. Zewsząd nadbiegały wystraszone kobiety i dzieci. Matki dźwigały na rękach najmłodsze, starsze dreptały za nimi.

Dotarłszy pod bramę usłyszał Vincent gorączkowe głosy: „Gaz, gaz! Nowy pokład! Odcięci! W pułapce!”

Jacques Verney, który przeleżał w łóżku okres najsroźszych mrozów, pędził teraz przez pole. Schudł w ciągu zimy jeszcze bardziej i piersi miał głębiej zapadnięte. Vincent zatrzymał go i spytał:

– Co się stało?

– Pokład Decrucqa. Pamięta pan niebieskie płomyki lamp? Wiedziałem, że tak się skończy.

– Ilu? Ilu ich tam jest? Czy nie można dostać się do nich?

– Dwanaście komór, widział pan przecie. Po pięciu ludzi w komorze.

– Nie można ich uratować?

– Nie wiem. Ochotnicza drużyna ratunkowa zjeżdża za chwilę ze mną.

– Weź mnie pan z sobą! Pozwól mi pan pomóc!

– Nie, muszę mieć ludzi doświadczonych – Verney pobiegł przez podwórze do szybu.

Wózek zaprzężony w siwego konia podjeżdżał pod bramę. Ten sam wózek, który już tyłu martwych i rannych zawiózł do domków na zboczu. Górnicy uciekający przez pola wracali z wolna wraz z rodzinami. Kilka kobiet płakało histerycznie, inne patrzyły martwo przed siebie osłupiałymi z bólu oczami. Dzieci jęczały, sztygarzy uwijali się nawołując donośnie; organizowali drużyny ratownicze.

Nagle nastąpiła cisza. Ze znaczkowni schodziła powoli po stopniach niewielka gromadka. Niesiono coś owiniętego w koce. Przez mgnienie oka trwała wymowna cisza. Potem wszyscy naraz jęli krzyczeć i zawodzić:

– Kto to?... Martwi?... Czy żyją?... Na miłość boską, powiedzcie nazwiska! Pokażcie nam ich! Mój mąż jest na dole!... Moje dzieci! Dwoje moich dzieci pracuje na tym pokładzie!...

Grupa zatrzymała się przy wózku z siwkami. Jeden z tragarzy powiedział:

– Troje dzieci wożących węgiel zostało uratowanych. Ale są straszliwie poparzone.

– Kto?... Przez miłość Chrystusa, powiedzcie, kto? Dajcie obejrzeć, pozwólcie obejrzeć!

Moje dziecko jest na dole! Moje dziecko! Moje dziecko!

Niosący uniósł koce z oparzonych twarzy dwóch dziewczynek, najwyżej dziewięcioletnich oraz dziesięcioletniego chłopczyka. Wszyscy troje byli nieprzytomni. Rodziny ich rzuciły się ku nim z krzykiem radości i trwogi. Ułożono na wozie trzy ciała i siwy koń pociągnął wózek przez pole. Rodziny i Vincent biegli za nim ciężko dysząc. Krzyki rozpacz i trwogi rosły. Vincent słyszał je wyraźnie. W biegu obejrzał się. Na horyzoncie stał długi łańcuch hałd.

– Czarny Egipt – zawołał dając unieść się nurtującemu go bólowi – Czarny Egipt! Lud wybrany znowu w niewoli! Jak mogłeś, jak mogłeś, Boże!

Dzieci były prawie śmiertelnie poparzone. Skóra i włosy w miejscach wystawionych na płomień, były spalone. Vincent wszedł do pierwszego domku. Matka łamała z rozpacz rękę. Vincent rozebrał dziecko i zawołał: „Oliwy, prędko!” Kobieta miała trochę oliwy w domu. Vincent zalał nią oparzeliny.

– A teraz bandaż!

Kobieta stała jak wrośnięta w ziemię i patrzyła na niego bezradnie. Lęk czał się w jej oczach. Vincenta ogarnął gniew:

– Bandaże, prędkiej! Czy pani chce, aby dziecko umarło?

– Nie mamy nic – załkała – ani skrawka płótna. Przez całą zimę nie mieliśmy takich rzeczy.

Dziecko poruszyło się z jękiem. Vincent zdarł z siebie marynarkę, zerwał koszulę i podkoszulek. Marynarkę włożył z powrotem, koszulę i podkoszulek podał w pasy i obandażował całe ciało dziecka. Chwycił bańkę z oliwą i pobiegł do drugiego dziecka. Opatrzył je tak samo jak pierwsze. Dla trzeciego nie miał już nic. Chłopczyk leżał w agonii. Vincent ściągnął spodnie i kalesony, spodnie wciągnął z powrotem, kalesony pociął na bandaż.

Potem zapiął marynarkę na nagiej piersi i pognął polem do „Marcasse”. Przez cały czas słyszał za sobą nie kończący się płacz i lament.

Górnicy skupili się dokoła bramy. Na dole mogła pracować tylko jedna drużyna ratownicza, przejście było ciasne. Inni czekali, aż na nich przyjdzie kolej. Vincent zwrócił się do jednego ze sztygarów:

– Czy jest nadzieja, że ich uratują?

– Nie żyją już z pewnością.

– Nie można dostać się do nich?

– Są zasypani głazami.

– Jak długo potrwa, nim się utoruje przejście?

– Tygodnie, może miesiące.

– Ale dlaczego, dlaczego?

– Zawsze trwało tak długo.

– W takim razie zginęli? Wszyscy?

– Tak. Pięćdziesięciu siedmiu górników, między nimi dziewczęta!

– Wszyscy zginęli?

– Nie zobaczymy ich więcej.

Przez trzydzieści sześć godzin zmieniały się drużyny ratownicze. Nie można było odciągnąć spod bramy kobiet, których dzieci i mężowie zginęli w zasypanym przekopie. Szttygarzy pocieszali je wciąż na nowo, że ratunek jest pewny. Lecz one wiedziały, że to kłamstwo. Żony górników, które nie straciły nikogo z bliskich, przyniosły gorącą kawę i chleb. Ale dotknięte nieszczęściem kobiety nie wzięły nic do ust. Koło północy wywieziono na powierzchnię Verneya owiniętego w koc. Dostał krwotoku. Zmarł następnego dnia.

Po czterdziestu ośmiu godzinach udało się Vincentowi nakłonić panią Decrucq, aby wróciła z dziećmi do domu. Dwanaście dni bez przerwy pracowały ochotnicze załogi ratowników. Pracę w kopalni przerwano. Ponieważ nie dobywano węgla, zarobki ustały. Wkrótce zużyto znikome oszczędności osady. Pani Denis piekła chleb i rozdawała go na kredyt. Ale i jej kapitał wkrótce się wyczerpał, musiała więc zamknąć piekarnię. Towarzystwo nie udzielało żadnej pomocy. Dwunastego dnia wieczorem wezwano górników, aby zaprzestali poszukiwań. Posłano ludzi do pracy. Petit Wasmes nie miało ani centyma. Głód groził wszystkim.

Górnicy zastrajkowali.

Vincent otrzymał kwietniową pensję. Udał się do Wasmes, zakupił żywności za całe pięćdziesiąt franków i rozdał ją we wsi między rodziny górników. Osada żyła z tego przez sześć dni. Potem ludzie poszli do lasu zbierać jagody, trawę i liście. Nie przepuszczono niczemu, co żyło: zjadano szczury, ślimaki, jaszczurki, żaby, koty, psy – słowem wszystko, co mogło zaspokoić głód skrecający wnętrzności. W końcu i tego zabrakło. Vincent zwrócił się o pomoc do Brukseli. Pomoc nie przyszła. Kobiety i dzieci górników ginęły z głodu na oczach mężów.

Poprosili Vincenta, aby odprawił nabożeństwo żałobne za owych pięćdziesięciu siedmiu towarzyszy, którzy pomarli przed nimi. Około stu mężczyzn, kobiet i dzieci stłoczyło się w ciasnej chacie Vincenta. Już od kilku dni Vincent żywił się wyłącznie kawą. Od czasu wypadku nie jadł nic pożywnego. Z osłabienia nie mógł utrzymać się na nogach; gorączka i rozpacz znów wgryzły mu się w serce. Oczy zmieniły się w dwie czarne, kłujące szpileczki, policzki zapadły, pod oczami ostro sterczały kości policzkowe, nie golona ruda broda obrastała twarz. Zamiast bielizny otulił się zgrzebnym workiem. Jedna jedyna latarnia wisząca na połamanej krokwi rozświetlała nędzną izbę. Światło migotało. W kącie na słomie leżał Vincent, z głową opartą na łokciu. Latarnia rzucała fantastyczne cienie na szorstkie, nie heblowane deski ścian i na stu ludzi, cierpiących w milczeniu.

Vincent gorączkował i gardło miał wyschnięte. Lecz gdy zaczął mówić, każde słowo rozbrzmiewało wyraźnie w ciszy. Górnicy, wychudli, udręczeni głodem i poniesioną klęską, wpatrywali się w niego jak w Boga. Albowiem Bóg był od nich bardzo daleko...

Nagle przed chatą rozległy się jakieś obce, podniecone, pełne oburzenia głosy. Drzwi otworzyły się na oścież i dziecięcy głosik zawołał: – Pan Vincent jest tutaj, *messieurs!*

Vincent umilkł. Ludzie zwrócili się w stronę drzwi. Weszło dwóch dobrze ubranych panów. Płomień lampy przez chwilę zamigotał żywiej. Vincent dojrzał na twarzach obcych lęk i osłupienie.

– Witajcie, wielbny panie de Jong i wielbny panie van den Brink – powiedział nie podnosząc się ze swego posłania. – Odprawiamy nabożeństwo za pięćdziesięciu siedmiu

górników zasypanych żywcem w kopalni. Może panowie przemówią do tych ludzi, powiedzą im kilka słów pocieszenia.

Pastorzy ze zdumienia dłuższy czas nie mogli głosu wydobyć.

– Niesłychane! To wręcz niesłychane! – krzyknął de Jong klepiąc się głośno po tłustym brzuchu.

– Można by sądzić, że się jest w dżungli – oświadczył van den Brink.

– Bóg wie, co on tu znów nabroił.

– Potrwa lata, nim się tych ludzi zrobi z powrotem chrześcijanami.

De Jong skrzyżował ręce na wydatnym brzuchu i zawołał:

– A mówiłem od razu, żeby mu nie dawać nominacji.

– Wiem, ale przecież... Pietersen... Kto by uważał podobne rzeczy za możliwe, bodaj we śnie? Ten człowiek jest całkiem zwariowany!

– Zawsze podejrzewałem, że brak mu piątej klepki. Nigdy nie miałem do niego zaufania.

Wielebni panowie mówili z sobą tak szybko doskonałym językiem francuskim, że ludzie z Borinage nie rozumieli ani słowa. Vincent zaś był zbyt słaby i schorowany, by pojąć sens ich mowy.

De Jong przepchał się przez ciżbę ku Vincentowi i powiedział z okrutnym spokojem:

– Odeślij pan tę brudną hałastrę do domu.

– Ale nabożeństwo żałobne! Jeszcze nie skończyliśmy.

– Przerwij pan nabożeństwo! Odeślij ich pan natychmiast!

Górnicy jeden po drugim opuszczali izbę. Nie pojmowali, co zaszło. Dwaj pastory stanęli przed Vincentem.

– Co u licha zrobił pan z siebie? Co to ma znaczyć? W takiej norze odprawia pan nabożeństwo! Co za nową barbarzyńską sektę pan stworzył? Czy doprawdy nie posiada pan ani odrobiny zrozumienia dla tego, co się godzi? Czy takie zachowanie przystoi chrześcijańskiemu kaznodziei?!

Oszalał pan chyba z kretelem! Czy chce pan ściągnąć hańbę na nasz kościół?!

Pastor de Jong zatrzymał się na chwilę i rozejrzał po nędznej chacie. Zobaczył podściółkę ze słomy, na której leżał Vincent, zgrzebny worek, którym się owinął, zapadnięte, błyszczące gorączkowo oczy.

– Szczęście dla kościoła, panie van Gogh – oświadczył – że daliśmy panu posadę tylko warunkowo. Jest pan zwolniony. Nigdy odtąd nie wolno panu będzie pracować dla nas. Pańskie zachowanie jest oburzające i poniżej godności. Nie otrzyma pan więcej pensji. Przysłemy tu natychmiast nowego kaznodzieję, który zajmie pańskie miejsce. Gdybym nie miał pobłażania i nie uważał pana za wariata, nazwałbym pana najgorszym wrogiem chrześcijaństwa, jakiego kiedykolwiek znał Belgijski Kościół Ewangelicki.

Długo panowała cisza.

– No i cóż, monsieur van Gogh, nie powie pan nic na swoje usprawiedliwienie?

Vincent przypomniał sobie ów dzień w Brukseli, kiedy nie chcieli mu dać posady. Teraz nie był w stanie nic odczuć, a cóż dopiero powiedzieć.

– Chodźmy stąd, bracie de Jong – odezwał się po chwili pastor van den Brink – nie mamy tu czego szukać, wypadek zupełnie beznadziejny. Jeśli nie znajdziemy w Wasmes dobrego hotelu, będziemy musieli wrócić jeszcze dzisiaj do Mons.

XVI

Nazajutrz rano grupa starszych górników stawiała się przed Vincentem.

– Monsieur – oznajmili – obecnie, gdy Jacques Verney zginął, pan jest jedynym człowiekiem, do którego mamy zaufanie. Pan musi nam powiedzieć, co mamy robić. Nie chcemy umrzeć z głodu, o ile to nie jest konieczne. Może pan potrafi „ich” zmusić do tego, aby spełnili nasze życzenia. Po pańskiej rozmowie z nimi podejmiemy na nowo pracę, jeśli pan tak każe. A jeśli pan powie: „Umierajcie z głodu!” – zrobimy to. Pana posłuchamy, monsieur, nikogo więcej.

Biura Towarzystwa stały opustoszałe i wymarłe. Dyrektor ucieszył się ujrzawszy Vincenta i wysłuchał uważnie jego słów.

– Wiem, monsieur van Gogh – oświadczył – że górnicy są oburzeni, ponieważ nie dotarliśmy do zwłok. Ale czy to by pomogło? Towarzystwo postanowiło nie wydobywać węgla z tego pokładu, nie opłaca się. W przeciwnym razie musielibyśmy prowadzić jeszcze cały miesiąc prace ratownicze, a jaki byłby rezultat? Po prostu ten, że zasypanych przeniosłoby się z jednego grobu do drugiego.

– Ale jak ma się sprawa z żyjącymi? Czy pan nie może nic uczynić, aby poprawić warunki pracy? Czy przez wszystkie dni życia muszą tak pracować twarzą w twarz ze śmiercią?

– Tak, panie, niestety muszą. Towarzystwo nie posiada pieniędzy na urządzenia zabezpieczające. W tym sporze górnicy muszą być poszkodowani. Nie mogą w żaden sposób wygrać, przeciw sobie bowiem mają żelazne prawa gospodarcze. Gorzej: o ile w ciągu tygodnia nie podejmą pracy, kopalnia „Marcasse” zostanie na zawsze zamknięta. Wówczas Bóg raczy wiedzieć, co się z nimi stanie.

Vincent czuł się pobity. Długą, krętą ulicą szedł w górę do Petit Wasmes. Powtarzał z goryczą: „Może Bóg raczy wiedzieć – a może nie wie...”

Jasne było, że nie mógł w niczym więcej pomóc górnikom. Musiał im powiedzieć, że mają zejść z powrotem do kopalni i pracować po trzynaście godzin dziennie po to, aby w końcu nie móc się nawet wyżywić, aby zginąć nagłą śmiercią tam w dole lub zdychać powoli na gruźlicę. Poniósł klęskę na całej linii. Nie potrafił im pomóc w żaden sposób. Nawet Bóg nie potrafił im pomóc. Przybył do Borinage, aby nieść im słowo boże, ale co mógł powiedzieć, skoro okazało się, że odwiecznym wrogiem górników jest nie właściciel kopalni, lecz sam Bóg Wszechmogący!

Od chwili kiedy musiał nakłonić górników, aby podjęli pracę, aby wzięli na siebie jarzmo niewoli, nie był już nic wart dla nich. Nigdy już nie potrafiłby wygłosić kazania – choćby mu nawet Komitet zezwolił – bo cóż teraz pomóc mogła Ewangelia? Bóg głuchy był na prośby górników i Vincentowi nie udało mu się Go wzruszyć.

Nagle uświadomił sobie jasno coś, co przeczuwał od dawna. Całe to gadanie o Bogu było dziecinną wymówką, rozpaczliwym kłamstwem, jakim pociesza się strwożony śmiertelnik w zimnej, ciemnej, wieczystej nocy. Nie ma żadnego Boga! Tak, tak ma się sprawa, po prostu Bóg nie istnieje! Istnieje tylko chaos. Nabrzmiały nędzą i cierpieniem, okrutny, zagładą zionący, ślepy, nieskończony chaos.

XVII

Górnicy podjęli pracę. Theodorus van Gogh, powiadomiony o wszystkim przez Komitet, posłał Vincentowi pieniądze i prosił go w liście, aby wrócił do Etten. Zamiast tego Vincent przeprowadził się z powrotem do Denisów. Odwiedził „salon” po raz ostatni, zdjął reprodukcje ze ścian i porozwieszał je w swojej mansardzie.

Było to nowe bankructwo. Czas wreszcie sporządzić duchowy bilans. Ale czego? Nie miał posady, nie miał pieniędzy ani zdrowia, stracił siły i ideały, stracił ambicje i pragnienia. Najgorsze zaś było to, że życie jego nie miało punktu zaczepienia. Liczył lat dwadzieścia sześć, pięć razy poniósł klęskę. Brak mu było odwagi, aby zaczynać od nowa.

Przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. Rudawa, zmierzwiona broda okalała twarz. Włosy przerzedziły się, usta dawniej czerwone i pełne, tworzyły teraz cienką, zaciśniętą linię. Oczy niknęły nieomal w głębokich, mrocznych oczodołach.

Cała jego osobowość, całe jego „ja” zdawało się skurczone, zastygłe, jak gdyby martwe.

Pożyczył sobie od madame Denis kawałek mydła i wyszorował się od stóp do głów, stojąc w wielkim cebrze. Spozierał po swym ciele, dawniej krzepkim i muskularnym – teraz wychudłym i wynędzniałym. Ogolił się starannie, dziwiąc się kościom rysującym się teraz pod skórą. Po raz pierwszy od wielu miesięcy uczesał się, tak jak dawniej. Madame Denis przyniosła mu koszulę i bieliznę męża. Ubrał się i zszedł na dół do przytulnej kuchni. Zasiadł z Denisami do stołu. Po raz pierwszy od czasu katastrofy w kopalni jadł ciepłą strawę. Wydawało mu się osobliwe, że zadaje sobie w ogóle trud, aby jeść. Strawa miała posmak ciepłej miazgi drzewnej.

Nie wspomniał górnikom ani słowem, że zabroniono mu kazań. Nie prosili go o to; kazania przestały ich widocznie interesować. Rzadko rozmawiał teraz z nimi; krótkie boju w przejściu – to wszystko. Nie odwiedzał ich już także, nie brał udziału w ich codziennych troskach i kłopotach. Górnicy nie mówili o nim. Było to jakby ciche porozumienie, milcząca zmowa. Przejęli od niego zdawkową uprzejmość, lecz nie skarżyli się na zmianę wzajemnego stosunku. Rozumieli Vincenta bez słów. Życie w Borinage toczyło się dalej.

Z domu otrzymał krótką wiadomość o nagłej śmierci Vosa, męża Kay. Był jednak tak wyczerpany przebyłym cierpieniem, że przyjął ten fakt dziwnie obojętnie.

Mijały tygodnie. Vincent nic nie robił, jadł i spał. Godzinami siedział jakby zamroczony, z oczyma wbitymi martwo w przestrzeń. Powoli gorączka ustępowała, przybyło mu na wadze, nabrał sił. Ale oczy pozostały szklane, puste i skierowane do wewnątrz, jak gdyby patrzyły na pobojuwisko. Nadeszło lato. Czarne pola, kominy i hałdy lśniły w słońcu. Vincent wałęsał się całymi dniami po okolicy, nie po to, by zażyć ruchu, nie dla przyjemności. Nie szedł w żadnym oznaczonym kierunku, nie widział nic dokoła. Spacerował, ponieważ zmęczony był siedzeniem, leżeniem, staniem. A gdy zmęczyło go chodzenie, siadał lub kładł się, lub znowu wstawał.

W kilka dni po wydaniu ostatnich pieniędzy otrzymał list od brata Thea z Paryża. Theo prosił go, aby nie marnował czasu w Borinage, lecz zużył załączone banknoty na rozpoczęcie nowego życia. Vincent dał pieniądze madame Denis. Nie dlatego siedział w Borinage, że był do tego miejsca przywiązany, tylko dlatego, że nie miał dokąd pójść i że odejście wymagałoby zbyt wiele wysiłku.

Zgubił Boga i zgubił samego siebie. Teraz tracił jeszcze to, co dotąd było dla niego najważniejsze na świecie: jedyne go człowieka, który z nim zawsze współczuł, który go zawsze tak rozumiał, jak człowiek może rozumieć człowieka. Theo zerwał z bratem. Przez całą zimę pisywał dwa, trzy razy tygodniowo długie, rozweselające listy, pełne miłości i zainteresowania. Obecnie listy przestały przychodzić. Theo również stracił wiarę w brata, porzucił wszelką nadzieję. Tak więc był Vincent sam, zupełnie sam, bo i wiarę w swego Stwórcę zagubił. Był jak ktoś, kto zmarł i po śmierci błąka się po opuszczonym świecie, i pyta, co właściwie robi na nim jeszcze.

XVIII

Lato przepłynęło w jesień. Wraz z obumieraniem skąpej roślinności coś w Vincencie ocknęło się do nowego życia.

Nie miał jeszcze sił, aby stanąć oko w oko z własnym życiem, zwrócił się więc ku życiu innych. Powrócił do książek. Czytanie było dla niego zawsze jedną z najpiękniejszych i niezawodnych radości. Teraz w historiach, które opowiadały o wzlotach i upadkach innych, o ich radości i cierpieniu, znalazł pociechę i spokój przed prześladowającym go nieustannie widmem własnej klęski.

O ile pogoda pozwalała, szedł z książką w pole i czytał aż do zmierzchu. Gdy deszcz padał, leżał na łóżku w izdebce na poddaszu lub przystawiał krzesło do ciepłej ściany w kuchni Denisów i siedział godzinami pogrążony w lekturze. W ciągu paru tygodni poznał losy setek zwykłych ludzi, podobnych do niego.; Wszyscy trudzili się, odnosili tu i ówdzie triumfy, przeżywali wiele porażek i zawodów. Poprzez nich nauczył się spoglądać na siebie samego z pewnego rodzaju obiektywizmem. Męcząca go stale myśl: „Zawiodłem, zawiodłem”, ustąpiła innej: „Co teraz czynić? Do jakiej pracy nadaję się najbardziej? Gdzie jest najwłaściwsze dla mnie miejsce na świecie?” W każdej czytanej książce szukał czegoś, co mogłoby nadać znów kierunek jego życiu.

W listach z domu nazywano jego tryb życia oburzającym. Zdaniem ojca jego próżniacze życie przekreślało wszelkie zasady przyzwoitości, obrażało moralność społeczną. „Kiedy zamierzasz znowu – pytał ojciec – poszukać sobie zajęcia, dbać samemu o swoje utrzymanie, stać się pożytecznym członkiem ludzkiej społeczności i wnieść swoją część do pracy ogółu?”

Vincent sam chciał znaleźć odpowiedź na te pytania.

W końcu czytanie znużyło go, nie mógł tknąć książki. W tygodniach, które nastąpiły po jego załamaniu się, był zbyt oszołomiony, zbyt chory, aby cokolwiek odczuwać. Później zwrócił się do książek, szukając zapomnienia. Udało mu się to na jakiś czas. Obecnie jednak wrócił do zdrowia i fala bólu, która wzbierała w nim przez całe miesiące, zalała go dzikim odmętem, wtrącała w otchłań rozpacz i męki. Duchowy dystans, jaki w sobie wywalczył, nie zdał się na nic.

Był to najniższy punkt jego życia; zdawał sobie z tego sprawę. Czuł, że jest w nim coś wartościowego, że nie jest tylko głupcem i nicponiem, że ma coś do ofiarowania światu. Ale co? Nie nadawał się do handlu, a wszystkiego innego, do czego mógł mieć zdolności, już próbował. Czy doprawdy skazany był na to, aby zawsze ponosić klęski i cierpieć? Czy życie naprawdę skończyło się dla niego?

Podobne pytania nawiedzały go często, lecz nie znajdował na nie odpowiedzi. I tak niosły go fale dni, toczące się ku zimie. Od czasu do czasu ojciec, rozgniewany, przestawał przysyłać pieniądze. Vincent nie mógł wówczas jadać u Denisów, musiał zaciskać pasa. Potem znów Theo, tknięty wyrzutami, przysyłał parę banknotów przez Etten. I znów, gdy jego cierpliwość się skończyła, ojciec poczuwał się do pewnej odpowiedzialności. W ten sposób przynajmniej czasami Vincent mógł jeść.

W pewien jasny, pogodny dzień listopadowy Vincent z pustą głową i pustymi rękami powlókł się bez celu w stronę „Marcasse”. Usiadł na zardzewiałym żelaznym kole pod murem. Z bramy wyszedł stary górnik. Czarną czapkę nacisnął na czoło; ramiona miał obwisłe, ręce w kieszeniach; kościste kolana sterczały wyraźnie pod spodniami. Coś w tym człowieku – Vincent nie potrafiłby powiedzieć dokładnie co – przykuło jego uwagę. Od niechcenia, bez szczególnego zainteresowania, sięgnął do kieszeni, wyciągnął kawałek ołówka i list z domu i na odwrocie koperty naszkicował szybko niepokazną postać starego, który ciężkim krokiem szedł przez czarne pole.

Potem otworzył list ojca i zobaczył, że zapisany jest tylko z jednej strony. Po kilku chwilach drugi górnik wyszedł z bramy – tym razem młody, siedemnastoletni chłopak. Był wyższy od tamtego, nie tak zgarbiony, w prostej linii jego ramion było coś radosnego, gdy szedł wzdłuż kamiennego muru „Marcasse” w stronę toru kolejowego. Vincent miał dobrych parę minut czasu na naszkicowanie go, nim zniknął mu z pola widzenia.

XIX

U Denisów znalazł kilka arkuszy czystego białego papieru i gruby ołówek. Położył dwa surowe szkice na biurku i zaczął je kopiować. Rękę miał sztywną i oporną. Linie, które utrzymał w głowie, nie dawały się przenieść na papier; używał więcej gumy niż ołówka. Wciąż na nowo trudził się, by oddać widziane postacie. Był tak pochłonięty pracą, że nie zauważył zapadającego zmierzchu. Wzdrygnął się, kiedy madame Denis zapukała do drzwi.

– Monsieur Vincent – zawołała – kolacja na stole.

– Jak to? Chyba nie jest jeszcze tak późno?

Przy stole rozmawiał z ożywieniem, oczy mu błyszczały.

Denisowie zamienili z sobą porozumiewawcze spojrzenie. Po lekkim posiłku Vincent przeprosił ich i udał się natychmiast na górę. Zaświecił lampę, przybił oba rysunki do ściany i stanął jak najdalej, aby ocenić je z odpowiedniej odległości.

– Są złe – zawyrokował – bardzo złe. Ale może jutro powiedzie mi się nieco lepiej.

Położył się i postawił naftową lampę na podłodze przy łóżku. Wzrok jego spoczywał długo na dwóch szkicach, potem powędrował ku wiszącym na ścianach reprodukcjom. Widział je naprawdę po raz pierwszy od owego dnia przed siedmiu miesiącami, kiedy zdjął je ze ścian „salonu”. I nagle pojął, że tęsknił za światem obrazów. Wiedział niegdyś, kim jest Rembrandt, Millet, Jules Dupre, Delacroix i Maris. Przyszły mu na myśl wszystkie piękne ryciny, które posiadał, litografie i akwaforty, które posyłał bratu lub rodzicom. Przyszły mu na myśl obrazy, które widywał w muzeach Londynu i Amsterdamu. I gdy o tym myślał, zapomniał o własnej nędzy i opuszczeniu, zapadł w głęboki, kojący sen. Naftowa lampka zamigotała, rozbłysła niebieskawym płomykiem, zgasła...

Obudził się rano o wpół do trzeciej, wypoczęty i pełen energii. Jednym susem wyskoczył z łóżka, ubrał się, chwycił ołówek i blok papieru, wyszukał w piekarni deszczułkę mogącą służyć za rysownicę i wybrał się do „Marcasse”. Usiadł znowu na zardzewiałym kole i czekał na górników śpieszących do kopalni. Było jeszcze zupełnie ciemno.

Szkicował śpiesznie i z grubszą; chciał pochwycić jedynie pierwsze wrażenie. Kiedy po godzinie wszyscy górnicy zjechali na dół, miał pięć szkiców postaci bez twarzy. Pobiegł prędko do domu, wziął filiżankę kawy i poszedł z nią do swego pokoju, a gdy rozjaśniło się, zaczął rysować na podstawie nowych szkiców. Usiłował utrwalić to wszystko, co charakteryzowało ludzi z Borinage i odróżniało od innych: drobne, swoiste rysy, tak dobrze mu znane, których jednak w zmierzchu i pośpiechu nie potrafił uchwycić, gdyż modele jego znikały zbyt szybko z pola widzenia.

Pod względem anatomicznym rysunki były błędne, proporcje ciał groteskowo przesadzone, sposób rysowania tak prymitywny, że aż śmieszny. A jednak to, co tu przed nim leżało, to byli ludzie z Borinage. Vincent roześmiał się wesoło z własnej niezręczności i podarł rysunki. Potem usiadł na brzegu łóżka i próbował skopiować obraz Allebego, wiszący naprzeciwno. Był to obraz starej, zniszczonej życiem kobiety z wiadrami, idącej przez zaśnieżone ulice. Samą kobietę zdołał mniej więcej naszkicować, ale nie udało mu się odtworzyć tła – domów i ulic – oraz powiązać ich z postacią. Zmiał arkusz, cisnął go w kąt i przysunął krzesło do studium Bosbooma. Prosty obraz: samotne drzewo na tle zachmurzonego nieba. Uchwycenie właściwego tonu zdawało się tak łatwe. Lecz Bosboom posiadał precyzyjny i wytworny sposób rysowania i Vincent zrozumiał, że właśnie prostota w sztuce, wymagająca dyscypliny i odrzucenia wszelkich nieważnych szczegółów, jest najtrudniejsza do naśladowania.

Przedpołudnie zbiegło mu niepostrzeżenie. Zużywszy ostatni arkusz papieru przeszkukał starannie swoje rzeczy, chcąc stwierdzić, ile ma pieniędzy.

Znalazł dwa franki; starczy może na zakup w Mons dobrego papieru i węgla do rysowania. Powędrował piechotą do odległego o dwanaście kilometrów miasta. Schodząc ze wzgórza między Petit Wasmes i Wasmes widział tu i ówdzie żony górników stojące przed drzwiami. Był w tak dobrym humorze, że do zwykłego machinalnie rzuconego *bonjour* dodawał dziś jeszcze serdeczne *comment ca va?*¹⁰ W Paturages, małym miasteczku, w połowie drogi do Mons, spostrzegł za oknem piekarni ładną dziewczynę. Wszedł do sklepu i kupił bułkę za pięć centymów po to tylko, aby się z bliska przyjrzeć sprzedawczyni.

Pola między Paturages a Cuesmes po długotrwałych deszczach miały barwę jaskrawej zieleni. Vincent postanowił wrócić tu i narysować je, gdy tylko będzie sobie mógł pozwolić na kupno zielonej kredki. W Mons kupił blok gładkiego żółtego papieru rysunkowego, parę shtyftów węglowych i gruby ołówek. Przed sklepem stała skrzynka ze starymi shtychami. Parę godzin grzebał w nich, chociaż wiedział, że nic nie kupi. Właściciel sklepu zbliżył się do niego. Zaczęli dyskutować z zapałem o obrazach. Patrzyli, mówili i znów przyglądali się jak starzy przyjaciele, którzy razem zwiedzają muzeum.

Jak się macie?

¹⁰Jak się macie?

– Muszę pana przeprosić, nie mam pieniędzy na kupno żadnego z pańskich sztychów
– powiedział Vincent po dłuższym oglądaniu.

Właściciel wzruszył ramionami z wymownym galickim gestem:

– Nie szkodzi, monsieur, proszę przyjść znowu, nawet bez pieniędzy.

Powoli, w zadumie, szedł Vincent dwanaście kilometrów z powrotem do Petit Wasmes. Zapadające za widnokretem słońce obwiodło delikatnym różem płynące chmury, hałdy wznosiły pod niebo czarne sylwety. Ze szczytu wzgórza Vincent obserwował małe kamienne domki Cuesmes wyglądające jak na sztychu i spokojnie, daleko za nimi rozciągniętą zieloną dolinę. Czuł się szczęśliwy, sam nie wiedząc czemu.

Nazajutrz rano udał się pod hałdę leżącą za „Marcasse” i rysował kobiety i dziewczęta wybierające kawałki węgla. Po obiedzie poprosił Denisów, aby chwilę jeszcze posiedzieli przy stole. Pobiegł do swej izdebki, przyniósł papier i węgiel i w ciągu kilku chwil utrwalił na papierze swych przyjaciół. Madame Denis spojrzała mu przez ramię na rysunek i krzyknęła:

– Ależ, monsieur Vincent, pan jest artystą!

Vincent zmieszany odparł:

– Nie, bawię się tylko.

– Ależ to całkiem ładne – zaprzeczyła madame Denis.

– Jestem tu trochę podobna.

– Trochę – roześmiał się Vincent – ale niezupełnie.

Nie pisał do domu o swym nowym zajęciu, wiedział z góry, co na to powiedzą – i słusznie: „Aha, Vincent ma nowego konika. Kiedyż wreszcie się ustatkuje i weźmie do przyzwoitej pracy?” Poza tym jego nowe zajęcie było pasją wielce osobliwą: należało wyłącznie do niego, do nikogo więcej. Nie mógł się zdobyć na to, aby mówić lub pisać komukolwiek o swych szkicach. Czuł wobec nich jakąś powściągliwość, przedtem nie znaną, chęć ukrycia swych prac przed cudzym wzrokiem. Były one w jakiś niezrozumiały i tajemny sposób uświęcone, chociaż zdawał sobie dobrze sprawę z ich dyletanckiej niedoskonałości.

Znów wchodził do nędznych chat górników, teraz jednak nie z Pismem Świętym w rękę, lecz z ołówkiem i papierem. Odwiedziny jego cieszyły ludzi tak samo jak przedtem. Szkicował dzieci podczas zabawy, kobiety pochylone nad pękatymi piecami, rodziny zgromadzone przy posiłku po dniu pracy. Rysował „Marcasse”, wysokie kominy, czarne pola, las sosnowy za wąwozem, orzących chłopów. A gdy pogoda się psuła, zostawał w swoim pokoiku i kopiał surowe szkice wykonane onegdaj lub obrazy mistrzów wiszące na ścianie. Idąc na spoczynek miał nieraz wrażenie, że ten czy ów rysunek zrobiony tego dnia nie był taki zły. Następny już jednak ranek, kiedy budził się po upojeniu twórczym wysiłkiem, przynosił trzeźwą świadomość, że wszystko, co zrobił, jest złe i nieudane. I bez żalu niszczył te próby.

Zduślił w sobie mękę i ból – szczęśliwy, gdyż nie myślał już o swym nieszczęściu. Wiedział, że powinien się wstydzić, iż bierze pieniądze od ojca i brata, nie czyniąc żadnego wysiłku, aby się samemu utrzymać. Lecz to zdawało mu się bez znaczenia; toteż nadal rysował.

Kiedy po paru tygodniach wielokrotnie skopiował wszystkie będące w jego posiadaniu obrazy, zdał sobie sprawę, że musi mieć nowe wzory, i to wzory nie byle jakie, aby móc

uczyć się dalej. Chociaż więc Theo od roku nie pisał, Vincent przewyciężył dumę i posłał mu kilka słabych rysunków, załączając list tej treści:

„Drogi Theo!

Jeśli się nie mylę, posiadasz jeszcze *Les Travaux des Champs*¹¹ Milleta. Czy mógłbyś mi pożyczyć ten album na czas jakiś i przesłać go tu pocztą?

Chcę Ci również donieść, że skopiowałem kilka wielkich rysunków Bosbooma i Allebeego. Gdybyś zobaczył te kopie, nie uważałbyś ich może za najgorsze.

Poślij mi, co tylko możesz, i nie lękaj się o mnie. Jeśli tylko będę mógł kontynuować pracę, wszystko inne będzie w porządku.

Tkwię po uszy w rysowaniu i nie chcę sobie przerywać. Stąd ten krótki list. A więc bądź zdrow i przyslij mi obrazy jak najprędzej.

Ściskam mocno Twoją dłoń

Vincent”.

Z wolna budziła się w nim nowa tęsknota. Pragnął mówić z innym artystą o swej pracy, pragnął się dowiedzieć, czy jest na właściwej drodze. Wiedział, że w jego rysunkach niejedno jest błędne, lecz był nimi zbyt pochłonięty, aby poznać istotną tego przyczynę. Potrzebne mu było koniecznie obiektywne, nie zaślepione dumą ojcostwa oko obcego.

Do kogo miał się zwrócić? Wiedział i czuł, że są na świecie ludzie jemu podobni, którzy mają do pokonania te same techniczne problemy, którzy myślą tymi samymi kategoriami. Jego tęsknota była bardziej przemożna niż głód dręczący go zimą, kiedy żył tylko suchym chlebem. W świecie żyli ludzie tacy, jak Maris czy Mauve, poświęcający całe życie malarstwu. Tutaj, w Borinage, trudno było w to uwierzyć.

W pewne deszczowe popołudnie, gdy rysował w swojej izdebce, wyłonił się przed nim nagle obraz pastora Pietersena stojącego w swoim gabinecie w Brukseli i mówiącego: „Proszę nie wspominać o tym moim kolegom!” Nagle pojął: to jest właściwy człowiek. Przejrzał swoje rysunki i wybrał z nich kilka: postać górnika, szkic kobiety pochylonej nad brzuchatym piecem oraz rysunek staruszki zbierającej okruchy węgla. Po czym wybrał się w drogę do Brukseli.

Miał zaledwie trzy franki w kieszeni, nie mógł więc nawet myśleć o jeździe koleją. Musiał przejść około osiemdziesięciu kilometrów. Szedł niestrudzenie całe popołudnie, potem całą noc i większą część następnego dnia; do Brukseli pozostawało jeszcze trzydzieści kilometrów. Byłby wędrował bez odpoczynku dalej, gdyby nie to, że cienkie trzewiki podarły się zupełnie, w jednym z nich palce wyzierały przez popękana skórę. Surdut, który nosił przez cały rok w Petit Wasmes, pokryty był warstwą kurzu, a ponieważ nie zabrał ani koszuli na zmianę, ani grzebienia, mógł nazajutrz rano obmyć tylko twarz zimną wodą. Włożył do butów tekturę i skoro świt powędrował dalej. But zaczął mu tak mocno obcierać palec u nogi, że wkrótce całą stopę miał we krwi. Tektura zniszczyła się, porobiły mu się pęcherze pełne najpierw wody, potem krwi, a wreszcie pękły. Był zmęczony i spragniony – ale zarazem tak szczęśliwy, jak człowiek tylko być może. Miał przecież wkrótce zobaczyć drugiego artystę i mówić z nim!

¹¹Prace w polu.

Bez centyma w kieszeni dotarł po południu do przedmieść Brukseli. Zapamiętał sobie dobrze mieszkanie Pietersena i pośpieszył prosto do celu. Przechodnie odsuwali się na bok, gdy ich mijał, a gdy przeszedł, gapili się za nim z ciekawością, potrząsając głowami. Vincent nie zauważył tego nawet. Szedł tak prędko, jak na to pozwalały poranione nogi.

– Młoda córka pastora otworzyła mu drzwi. Obrzuciła przerażonym spojrzeniem umęczoną, zakurzoną twarz przybysza, rozczochrane włosy, zabłocone spodnie, czarne pokrwawione stopy i z krzykiem uciekła. Pastor Pietersen podszedł do drzwi, przypatrywał się chwilę Vincentowi, zanim go poznał, po czym uśmiechnął się serdecznie: Vincencie, synu mój – zawołał – jak to miło, że pana znów widzę! Wchodź pan prędko!

Zaprowadził Vincenta do swej pracowni i podał mu wygodne krzesło. Napięcie, które podtrzymywało wędrowca w trudach podróży, opuściło go nagle. Teraz, u kresu, poczuł dotkliwie osiemdziesiąt kilometrów przewędrowanych o chlebie i serze w ciągu dwóch dni. Muskły mu zwiotczały, ramiona obwisły, zgarbił się dziwnie, oddychał z trudem.

– Pewien znajomy w pobliżu ma wolny pokój, Vincencie – powiedział Pietersen. – Zapewne chciałby pan się umyć i wypocząć po podróży?

– O, tak! Nie wiedziałem, że jestem tak bardzo zmęczony. Pastor wziął kapelusz i poszedł z Vincentem ulicą, nie zwracając uwagi na ciekawe spojrzenia sąsiadów.

– Prawdopodobnie zechce się pan dobrze wyspać – rzekł – ale jutro w południe proszę przyjść do mnie na obiad, dobrze? Mamy z sobą wiele do pomówienia.

Vincent wyszorował się stojąc w żelaznym cebrzyku i chociaż była dopiero szósta, położył się natychmiast spać, nic nie jedząc. Obudził się dopiero nazajutrz o dziesiątej i to tylko dlatego, że głód mu niemiłosiernie dokuczał. Właściciel pokoju pożyczył mu brzytwę, szczotkę do ubrania i grzebień. Vincent doprowadził się wreszcie do przyzwoitego wyglądu, jedynie trzewiki psuły całość.

Nie wstydząc się wściekłego apetytu zajadał, ile się zmieściło, Pietersen opowiadał mu tymczasem nowinki brukselskie. Potem przeszli obaj do pracowni.

– Pracował pan pilnie – stwierdził Vincent – te szkice na ścianach są niemal wszystkie nowe.

– Tak jest – odparł Pietersen – malowanie zaczyna mi z wolna sprawiać większą przyjemność niż wygłaszanie kazań.

– A czy nie ma pan wyrzutów sumienia, że to odciąga pana od właściwej pracy? – zapytał Vincent z uśmiechem.

Pietersen roześmiał się i rzekł:

– Zna pan tę historyjkę o Rubensie? Nie? – to proszę posłuchać. Jako ambasador holenderski w Hiszpanii zwykł był Rubens spędzać popołudnia w królewskich ogrodach przed sztalugami. Pewnego dnia jakiś dowcipny dworzanin zauważył: „Jak widzę, dyplomata zabawia się czasami w malarza”. Na co Rubens odparł: „O nie, to malarz zabawia się niekiedy w dyplomate”.

Pietersen i Vincent spojrzeli na siebie z porozumiewawczym uśmiechem. Vincent rozpakował tobołek.

– Ja również rysowałem co nieco. Przyniosłem trzy szkice. Rad bym wiedzieć, co pan o nich sądzi.

Pietersen zawahał się, gdyż wiedział, że krytykować początkującego to niewdzięczne zadanie. Mimo to ustawił trzy studia na sztalugach i cofnął się, aby je obejrzeć z pewnej

odległości. Vincent ujrzał nagle swoje rysunki oczyma przyjaciela. W tej chwili pojął, jak bardzo są dyletanckie.

– Hm – mruknął po chwili Pietersen – moje pierwsze wrażenie jest takie, że pan stoi bardzo blisko modelu podczas pracy. Czy tak?

– Tak. Przeważnie rysowałem w ciasnych izbach.

– Aha. To tłumaczy braki perspektywy. Czy nie może pan wystarać się o jakieś obszerniejsze pomieszczenie, w którym mógłby pan ustawić swych modeli nieco dalej od siebie? Sądzę, że wtenczas widziałby ich pan o wiele lepiej i wyraziściej.

– W Petit Wasmes jest kilka stosunkowo dużych domków. Mógłbym za niewielką kwotę wynająć jeden z nich i użyć jako atelier.

– Wspaniała myśl! – Pietersen znów zamilkł na chwilę, potem z trudem wykrztusił pytanie:

– Czy pan uczył się kiedykolwiek rysunku? Rysuje pan twarze na pokratkowanym papierze? Studiował pan proporcję?

Vincent zaczerwienił się:

– O tych rzeczach nie mam pojęcia. Nie uczyłem się nigdy rysunku. Sądziłem, że wystarczy zabrać się do roboty i po prostu rysować.

– Ach, nie – westchnął Pietersen – przede wszystkim musi pan opanować elementarną technikę, a umiejętność rysowania przyjdzie potem. Proszę uważać, pokażę panu, co w tej kobiecie jest nie w porządku.

Wziął linię, pokratkował postać i głowę, pokazał Vincentowi, jak błędne są jego proporcje. Potem rysował coś koło głowy, objaśniał, znów rysował; w końcu po godzinie odsunął się, aby spojrzeć na swe dzieło, i powiedział:

– Tak, teraz postać jest narysowana poprawnie.

Vincent cofnął się wraz z nim w drugi koniec pokoju i stamtąd spojrzął na rysunek. Bez wątplenia, proporcje były teraz właściwe. Ale nie była to już żona górnika, nie była to kobieta z Borinage szukająca węgla na hałdzie. Była to pierwsza lepsza pochylona postać kobieca, dobrze narysowana, o właściwych proporcjach, ale...

Bez słowa podszedł do sztalug i postawił drugie studium obok pierwszego. Był to szkic kobiety krzątającej się koło pieca. Cofnął się i stanął obok Pietersena.

– Hm, tak – rzekł Pietersen – widzę już, co pan ma na myśli. Dałem rysunkowi proporcje, ale odpadło to, co charakterystyczne.

Długo stali w milczeniu przed sztalugami. Potem Pietersen odezwał się nagle:

– A wie pan, Vincencie, ta kobieta przy piecu nie jest wcale zła... nie, doprawdy nie jest zła. Wprawdzie sam rysunek jest błędny... źle rozegrany walorowo... twarz okropna... właściwie twarzy w ogóle nie ma. A jednak jest coś w tym obrazie... Wydobył pan tu coś, trudno określić, co takiego. Może pan wie, co? – zwrócił się wprost do Vincenta.

– Ja również nie wiem. Narysowałem ją tak, jak widziałem, to wszystko.

Tym razem Pietersen zbliżył się szybko do sztalug. Wrzucił poprawiony przez siebie rysunek do kosza ze słowami: „Nie ma pan chyba nic przeciw temu, już i tak go zepsułem”, po czym ustawił jeszcze raz na sztalugach drugie studium i obaj usiedli przed nim.

Pietersen parę razy zaczynał mówić, ale trudno mu było się wysłowić. Wreszcie rzekł z wahaniem:

– Mówię to wprawdzie niezbyt chętnie, Vincencie, ale chyba ta kobieta mi się podoba. Naprzód wydawała mi się okropna. Teraz jednak... coś w niej jest...

– A dlaczego mówi pan to niezbyt chętnie? – zapytał Vincent.

– Ponieważ to studium nie powinno mi się właściwie podobać. Postać jest ujęta z gruntu fałszywie. W szkole sztuk pięknych żądano by, aby pan natychmiast zniszczył ten rysunek i zaczął na nowo, a mimo to ta kobieta ma coś, co mnie pociąga. Mógłbym prawie przysiąc, że skądś ją znam, że musiałem ją kiedyś już widzieć.

– Może widział ją pan w Borinage? – rzekł prostodusznie Vincent.

Pietersen obrzucił go szybkim spojrzeniem, by upewnić się, czy to nie żart. Potem powiedział:

– Myślę, że ma pan słusność. Ta kobieta nie ma twarzy, nie jest jakimś określonym człowiekiem. Żyją w niej wszystkie kobiety z Borinage. W niej jednej, Vincencie, uchwycił pan owo „coś”, co charakteryzuje wszystkie kobiety osady górniczej. A to jest tysiącokrotnie ważniejsze aniżeli poprawny rysunek. Tak, podoba mi się ta postać. Przemawia do mnie.

Vincent drżał, ale bał się odezwać. Pietersen to doświadczony artysta, nie żaden dyletant; gdyby poprosił o ten rysunek, gdyby mu się na tyle podobał, aby...

– Czy może pan obejść się bez tego szkicu, Vincencie? Chętnie zawiesiłbym go tutaj, w tym pokoju. Ufam, że ta kobieta i ja zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

XX

Przed powrotem Vincenta do Petit Wasmes Pietersen podarował mu parę starych, lecz mocnych butów i dał mu pieniądze na bilet kolejowy. Vincent przyjął te dary bez sprzeciwu. Czuł, że między ludźmi takimi jak on i Pietersen dawanie i branie nie powinno stanowić kwestii.

W pociągu uświadomił sobie jasno dwie ważne sprawy. Po pierwsze, Pietersen nie wspomniał ani słowem, że Vincent zawiódł jako kaznodzieja. Po wtóre, uznał go wartościowego kolegę i artystę. Szkic kobiety przypadł mu tak bardzo do serca, że zapragnął go mieć na własność. Przeszedł więc pierwszą próbę!

– To początek – mówił do siebie Vincent. – Jeżeli jemu podoba się moja praca, to inni też ją uznają.

Przybywszy do domu zastał *Les Travaux des Champs*, przysłane przez Thea; listu jednak nie było. Spotkanie z Pietersenem umocniło go na duchu, wziął się zaraz do pracy i z przyjemnością przestudiował album. Theo przysłał mu również dobry, gruby papier rysunkowy. W ciągu kilku dni Vincent skopiował wszystkie obrazy pierwszego tomu. Zdawał sobie sprawę, jak ważne jest dla niego rysowanie aktu, lecz wiedział dobrze, że w Borinage nikt nie zgodzi się na pozowanie nago. Napisał zatem list do swego starego znajomego Tersteega, kierownika Galerii Goupil w Hadze, z prośbą, aby mu wypożyczył *Exercices au Fusain* Bague'a¹². Tymczasem wzięwszy sobie do serca radę Pietersena, wynajął za dziewięć franków miesięcznie domek stojący w najwyższym niemal punkcie ulicy Petit Wasmes. Tym razem wynajął nie najgorszy, lecz najlepszy domek, jaki znalazł; miał podłogę z surowych desek, dwa duże okna, przez które wpadało wiele światła, łóżko, stół, krzesło i piec. Był dostatecznie przestronny, aby Vincent mógł ustawić modela w

¹²Ćwiczenia w rysunku węgłem.

pewnej odległości i uzyskać odpowiednią perspektywę. Nie było w Petit Wasmes żony czy dziecka górnik, którym nie pomógłby zimą w ten czy inny sposób, wszyscy gotowi mu więc byli pozować. W niedzielę górnicy napływali gromadami, aby Vincent mógł ich rysować. Bawiło ich to. Dom był zawsze pełen ludzi, którzy ze zdumieniem i ciekawością zerkali przez ramię „malarza” na sztalugi.

W końcu nadeszły z Hagi Exercices au Fusain i Vincent skopiował w ciągu dwóch tygodni około sześćdziesięciu studiów z tego dzieła, pracując od wczesnego rana do zmierzchu. Tersteeg przysłał mu również *Cours de Dessin*¹³ Bargue’a. Vincent zabrał się do tej pracy z wielkim zapałem.

Wszystkie dotychczasowe porażki życiowe zostały wymazane z jego pamięci. Nawet służba boża nie dawała mu takiej rozkoszy i trwałego zadowolenia jak sztuka. I kiedy przez dni jedenaste nie miał ani centyma w kieszeni i musiał żyć jedynie paru bochenkami chleba wziętymi na kredyt od pani Denis, nie skarżył się ani razu – nawet sam przed sobą. Cóż znaczył głód ciała, gdy duch był zaspokojony?

Przez cały tydzień zjawiał się codziennie o pół do trzeciej nad ranem przed bramą „Marcasse” i robił szkice do wielkiego obrazu: górnicy – mężczyźni i kobiety – spieszący do pracy. Zaśnieżoną ścieżką, wzdłuż żywopłotu, prześlizgują się niby cienie w niepewnym świetle wczesnego poranka.

Jako tło naszkicował wielkie masywy budynków kopalnianych i wielkie kupy cegieł. Ukończywszy szkic przesłał bratu kopię w liście.

Tak minęły bite dwa miesiące. Szkicował gorączkowo od rana do wieczora, a potem kopiował przy świetle lampy. Znowu poczuł gwałtowną tęsknotę, by pomówić z drugim artystą, usłyszeć jego sąd o swojej pracy. Myślał, że zrobił pewne postępy, że ręka jego nabrała wprawę, ale chciał się co do tego upewnić. Tęsknota przybrała tym razem kształty bardziej określone. Marzył teraz o mistrzu, który weźmie go pod swe skrzydła, stopniowo i troskliwie wprowadzi w techniczne arkana sztuki. Czuł, że nie było rzeczy, której nie zrobiłby za taką naukę; gotów byłby czyścić mu buty i myć podłogę w pracowni po dziesięć razy dziennie.

Jules Breton¹⁴, którego prace od dawna podziwiał, mieszkał w Courrieres, odległym o sto siedemdziesiąt kilometrów. Póki starczyło pieniędzy, jechał Vincent koleją, potem szedł pięć dni pieszo, po nocach znajdując schronienie w stogach siana. Żywił się wyżebranym chlebem, za który płacił rysunkami. Kiedy stanął wreszcie pod drzewami Courrieres i zobaczył nowe, obszerne atelier z czerwonej cegły, które Breton właśnie sobie wybudował, opuściła go odwaga. Dwa dni błąkał się i kluczył po mieście; nie zdobył się jednak na to, aby przestąpić próg tego chłodnego, niegościnnego i wspaniałego atelier. Zmęczony i osłabiony kilkudniowym postem, wybrał się w długą drogę powrotną. Nie miał ani grosza przy duszy, buty podarowane przez Pietersena zdarły się na strzępy.

Chory i zrozpaczony, dowlókł się do swego domku. Nie zastał ani listu, ani pieniędzy. Położył się do łóżka. Żony górników przychodziły i pielęgnowały go. Przynosiły od czasu do czasu parę kęsów stawy – wszystko, co mogły odjąć od ust dzieciom i mężom.

Podczas wędrówki Vincent stracił mocno na wadze, policzki mu znowu zapadły, gorączka płonęła w głębokich, ciemnozielonych oczach. Ale duch pozostał jasny i jasna

¹³Nauka rysunku.

¹⁴Breton Jules (1827-1906) – francuski pejzażysta i poeta.

była świadomość, że dotarł do tego punktu życia, w którym musi powziąć zasadniczą decyzję.

Jakież był cel i sens jego życia? Zostać nauczycielem, księgarzem, handlarzem obrazów? Gdzie miał mieszkać? U rodziców w Etten? Z bratem w Paryżu? Ze stryjami w Amsterdamie? Lub w bezimiennej pustce, zdany na przypadek, utrzymując się z dorywczej pracy?

Pewnego dnia, kiedy czuł się nieco lepiej i wsparty na poduszce kopiował *Le Four dans les Landes* Teodora Rousseau¹⁵, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie sobie mógł pozwolić na tę niewinną rozrywkę, drzwi otwały się nagle i ktoś wszedł bez pukania.

Przed nim stał brat Theo.

XXI

Theo rozwinął się w ciągu tych paru lat. Miał dopiero dwadzieścia trzy lata, ale już wyrobił sobie opinię doskonałego handlarza obrazami; był ceniony przez kolegów i rodzinę. W jego manierach, stroju i rozmowie było coś wytwornego i ujmującego zarazem. Nosił elegancką, czarną marynarkę z szerokimi wyłogami obramowanymi satynową bortą, wysoki, sztywny kołnierzyk i biały krawat związany w gruby węzeł. Miał sklepione, zbyt wielkie czoło van Goghów, ciemnokasztanowe włosy, delikatne, kobiece niemal rysy, łagodne, smutne oczy i twarz o bardzo pięknym owalu.

Theo zatrzymał się przerażony w drzwiach. Przed kilkoma godzinami zaledwie opuścił Paryż, kilka godzin temu otaczała go harmonijna atmosfera jego domu; piękne meble Louis Philippe, puszyste dywany, zasłony tłumiące światło, biurko, półki z książkami, łagodny blask lampy, ładne tapety... A tutaj jego brat leżał na brudnym sienniku, nakryty starym, zniszczonym kocem. Podłoga i ściany były z nie heblowanych desek, jedyne umeblowanie stanowił koślawy stół i krzesło. Vincent był nie umyty i nie uczesany; rudy, gęsty zarost pokrywał mu twarz i szyję.

– Theo – szepnął Vincent.

Theo podszedł prędko i pochylił się nad nim:

– Vincent, na miłość boską, co się dzieje? Coś ty z sobą zrobił?

– Już wszystko w porządku. Byłem trochę chory.

– Ale... to... ta nora tutaj? Chyba tu nie mieszkasz? Chyba to nie twój dom?

– Jak to? Mam tu wszystko, czego mi potrzeba. Używam tego pokoju jako pracowni.

– Ach, Vincencie! – Theo przesunął ręką po rudych włosach brata. Nie mógł mówić, gardło miał ściśnięte.

– Dobrze, żeś przyjechał, Theo.

– Vincencie, proszę, powiedz mi, co się z tobą dzieje? Dlaczego byłeś chory? I co ci było?

Vincent opowiedział o swej wyprawie do Courrieres.

– Jesteś po prostu wyczerpany. A czy po powrocie odżywiałeś się należycie? Czy dbałeś o siebie?

– Żony górników przynosiły mi jedzenie.

¹⁵Rousseau Theodore (1812-1867) – jeden z największych pejzażystów francuskich XIX wieku; realista nie uznawany przez akademików. (Nie mylić z występującym w powieści Henri Rousseau.)

– Dobrze, ale co właściwie jadłeś? – Theo rozejrzał się po izbie. – Gdzie chowasz prowianty? Nic tu nie widzę.

– Kobiety przynosiły mi codziennie po trochu. To, co mogły: chleb, kawę, kawałek sera lub pieczeni króliczej. Ależ z kawy i chleba siły ci nie wróca. Czemu nie kazałeś sobie kupić jaj, jarzyn i mięsa?

– To kosztuje tutaj, w Borinage, podobnie jak wszędzie...

Theo przysiadł na łóżku.

– Vincencie, wybacz mi... Nie wiedziałem... nie pojmowałem...

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś... Jest mi teraz o wiele lepiej, jeszcze parę dni, a będę zupełnie zdrow.

Theo przesunął ręką po oczach, jak gdyby chciał zetrzeć pajęczynę, która je przesłaniała.

– Nie... że też o tym nie miałem pojęcia... Sądziłem, że ty... Ach, Vincencie, nie pojmowałem, nie pojmowałem nic!

– Już dobrze, dobrze. A co w Paryżu? Dokąd się wybierasz? Czy byłeś w Etten?

Theo zerwał się nagle.

– Czy w tym nieszczęsnym mieście są jakieś sklepy? Czy można tu coś dostać?

– Tak, na dole w Wasmes. Ale teraz przysuń tu do mnie krzesło, chcę pogadać z tobą. Mój Boże, Theo, dwa lata prawie minęły...

Theo delikatnie głaskał wychudłą twarz brata mówiąc:

– Naprzód uraczę cię najlepszym jedzeniem, jakie można wytrzasnąć w Belgii. Jesteś wygłodzony, oto co ci dolega. Potem zażyjesz coś, aby gorączka opadła. Potem wyśpisz się i to na miękkiej poduszce. Jak to dobrze, że się zjawilem w porę. Gdybym miał bodaj najśłabsze przeczucie... A teraz leż cicho, póki nie wrócę!

Wypadł z izby. Vincent wziął ołówek i przyjrzawszy się dokładnie obrazowi *Le Four dans les Landes* zabrał się z powrotem do roboty. Po pół godzinie Theo wrócił. Dwaj mali chłopcy dźwigali za nim zakupione rzeczy: dwa prześcieradła, poduszkę, garnki, patelnię, talerze, miski oraz wielkie paczki z żywnością. Ułożył Vincenta na chłodnej, czystej pościeli.

– Tak, a teraz jak się pali w tym piecu? – zdjął wytworną marynarkę i zakasał rękawy koszuli.

– Tam w kącie leży papier i chrust. Trzeba to naprzód podpalić, a potem sypać węgiel.

Theo wytrzeszczył oczy:

– To ma być węgiel?

– Tym się u nas pali. Zaraz ci pokażę, jak to się robi.

Chciał wstać z łóżka, ale Theo poskoczył ku niemu:

– Nie waż się ruszać! Zastługujesz doprawdy na lanie!

Po raz pierwszy od kilku miesięcy Vincent roześmiał się.

Pod wpływem tego uśmiechu twarz jego niemal straciła chorobliwy wygląd.

Theo włożył dwa jajka do jednego z garnków, do drugiego wrzucił zieloną fasolkę. Postawił na piecu mleko i przyrumienił grzanki z bułki. Vincent patrzył na krzątającego się brata i ów widok bardziej go krzepił niż jakiegokolwiek jadło.

W końcu posiłek był gotów. Theo przysunął stół do łóżka i nakrył go białym, czystym ręcznikiem wyjętym ze swej walizy. Włożył do fasolki spory kawał masła, ugotowane na miękko jaja wyrzucił na miseczkę i wziął łyżkę do ręki.

– Tak – a teraz otwórz usta! Pierwszy przyzwoity posiłek od Bóg wie jak dawna.

Zjadłszy wszystko z apetytem Vincent oparł głowę na poduszce. Z westchnieniem zadowolenia rzekł:

– Jedzenie jest piękną rzeczą! Zapomniałem już o tym.

– Nieprędko będziesz miał sposobność zapomnieć znowu, mój drogi.

– A teraz, Theo, opowiedz mi o wszystkim, co się przez ten czas wydarzyło. Jak ci się wiedzie u Goupila? Tak bardzo tęsknię za nowinami ze świata.

– Tę tęsknotę musisz znieść jeszcze czas jakiś. Tutaj masz środek nasenny. Musisz teraz poleżeć całkiem spokojnie, aby jedzenie wywarło skutek. Ależ Theo, ja nie chcę spać! Chcę rozmawiać z tobą! Spać mogę kiedy indziej!

– Nikt się ciebie o zdanie nie pyta. Słuchać i basta! Tu masz, bądź grzeczny i wypij. Potem, gdy się wyśpisz, zjesz świetny stek z kartoflami. To cię postawi na nogi.

Vincent spał twardo do wieczora. Obudził się cudownie świeży i wypoczęty. Theo siedział przy oknie i oglądał jego rysunki. Vincent śledził go długą chwilę w milczeniu, spokój i cisza owładnęły jego sercem. Spostrzegłszy, że brat już nie śpi, Theo zerwał się z uśmiechem.

– No, jak się czujesz? Lepiej? Spałeś mocno?

– Co sądzisz o tych szkicach? Czy podoba ci się któryś z nich?

– Zaraz, chwileczkę, muszę postawić mięso na ogniu. Kartofle są już obrane.

Krzątał się chwilę przy piecu, po czym przyniósł miskę ciepłej wody. Ogolił, umył, uczesał Vincenta i zmusił go do włożenia czystej koszuli.

– No, teraz przynajmniej wyglądasz znów jak van Gogh.

Nakrył do stołu, podał gotowane kartofle z masłem, soczysty, gruby befsztyk i mleko.

– Na Boga, Theo, nie sądzisz chyba, że ja to wszystko zjem!

– Wcale nie. Połowa należy do mnie. A teraz bierzmy się do jedzenia. Zamknijmy oczy i wyobraźmy sobie, że jesteśmy w domu, w Etten.

Po posiłku Theo nabił fajkę brata dobrym tytoniem paryskim.

– Masz, zapal! Nie powinienem właściwie na to pozwolić, ale dobry tytoń nie może ci zaszkodzić.

Vincent palił z zadowoleniem. Theo palił również. Siedział pogrążony w zadumie i patrzył w dal. Myśli jego wędrowały do Brabancji, do lat dziecięcych spędzonych z Vincentem. Tak, Vincent był dla niego zawsze najważniejszym człowiekiem na świecie, ważniejszym nawet od ojca i matki, dzięki niemu Theo miał dobre i szczęśliwe dzieciństwo. Zapomniał o tym ostatniego roku w Paryżu, nie wolno mu jednak o tym nigdy więcej zapominać. Bez Vincenta jego własne życie było jak gdyby połowiczne. Brat był częścią jego samego, on zaś był częścią brata. We dwóch znajdowali w życiu sens i cel. Vincent był mu potrzebny, jeżeli jego życie miało być pełne. Vincent zaś potrzebował go, gdyż w sercu pozostał dzieckiem. Tak jest, musi postarać się o to, by brat wy dostał się z tej nory, by znów stanął pewnie na nogach. Musi dopomóc bratu odnaleźć siebie samego.

– Vincencie – odezwał się – daję ci jeden, dwa dni do wyzdrowienia. Potem zabieram cię z sobą do domu, do Etten.

Vincent pykał przez chwilę fajkę w milczeniu. Wiedział, że ta cała historia musi zostać omówiona i że porozumieć się można niestety jedynie za pomocą słów. Musiał dopiąć tego, aby go Theo zrozumiał. Potem wszystko da się jakoś ułożyć...

– Theo, nie wiem, czy byłoby dobrze, abym powrócił do domu. Wbrew mojej woli doszło do tego, że uważają mnie tam za indywiduum niemożliwe i podejrzane. Nie mają do mnie już zaufania. Wydaje mi się, że najrozsądniej byłoby żyć w pewnym oddaleniu, aby o mnie zapomnieli. Jestem człowiekiem porywczym, zdolnym nieraz do rzeczy szalonych. Mówię i działam zbyt pochopnie, chociaż nieraz lepiej byłoby cierpliwie czekać. Czy dlatego mam się uważać za człowieka niebezpiecznego, niezdatnego do czegokolwiek? Nie sędzę. Idzie o to, aby moje namiętności skierować na właściwy tor. Teraz na przykład mam nieprzemyślany pociąg, namiętność wręcz, do obrazów i książek, wciąż chcę się kształcić, tak jak chcę jeść. Ty to rozumiesz, prawda, Theo?

– Tak jest, rozumiem cię. Lecz w twoim wieku oglądanie obrazów i czytanie książek jest jedynie rozrywką. Z właściwym, praktycznym życiem nie ma to nic wspólnego. Jesteś obecnie już niemal od lat pięciu bez stałego zajęcia, błąkasz się tu i tam. I mimo woli staczasz się, mój kochany.

Vincent wytrząsnął na dłoń nieco tytoniu i roztarł go między palcami, aby zwilgł, po czym nabił fajkę. Zapomniał ją jednak zapalić.

– To prawda – powiedział – od czasu do czasu zarabiałem sam na kawałek chleba, od czasu do czasu otrzymywałem go od przyjaciół w jałmużnie. Prawda, że straciłem zaufanie niejednego człowieka, że moje materialne warunki wyglądają rozpaczliwie, a przyszłość przedstawia się w ciemnych barwach. Ale czy to znaczy, że się staczam? Theo, muszę teraz wytrwać na drodze, którą obrałem. Jeśli nie zostanę przy moich książkach i obrazach, jeśli nie będę mógł kształcić się, poszukiwać – jestem stracony.

– Chcesz mi widocznie coś powiedzieć, mój stary, ale niech mnie kule biją, jeśli coś z tego rozumiem.

Vincent zapalił fajkę.

– Pamiętasz – rzekł – ów czas, kiedy spacerowaliśmy koło starego młyna w Ryswyk? Wtedy zgadzaliśmy się z sobą.

– Tak, Vincencie. Ale od tego czasu zmieniłeś się bardzo.

– To niezupełnie odpowiada prawdzie. Życie moje było wówczas łatwiejsze; lecz mój sposób myślenia i moje poglądy nie zmieniły się wcale.

– Chciałbym w to wierzyć przez wzgląd na ciebie.

– Theo, nie wolno ci myśleć, że straciłem wiarę w życie. W niewierze mojej jestem wierny i jedynym moim pragnieniem jest przydać się na coś w świecie. Czy nie mógłbym służyć i przynieść pożytek jakiejś sprawie?

Theo wstał, chwilę manipulował koło naftowej lampy i wreszcie ją zapalił. Napełnił szklanekę mlekiem:

– Wypij to: nie chcę, żebyś się zmęczył.

Vincent pił łapczywie, zachłystując się niemal doskonałym mlekiem. Nie otarłszy nawet warg ze śmietanki, ciągnął dalej:

– Czy nasze myśli zawsze się uzewnętrzniają? W naszej duszy może płonąć wielki ogień, a nikt nie przystanie, by się przy nim ogrzać. Przechodzień widzi tylko dym

snujący się z komina i idzie dalej. Co zatem należy czynić? Czy podtrzymać ten żar wewnętrzny, aż przyjdzie ktoś i przystanie, aby się przy nim ogrzać?

Theo wstał i przysiadł na łóżku.

– Czy wiesz, co mi się właśnie przypomniało?

– Nie.

– Stary młyn w Ryswyk.

– Piękny był, prawda?

– Tak.

– I całe nasze dzieciństwo również...

– Dzięki tobie moje dzieciństwo było piękne, Vincent. Moje pierwsze wspomnienia krążą wszystkie dokoła ciebie.

Zapadło długie milczenie.

– Vincencie – zaczął Theo. – Ty chyba wiesz, iż oskarżenie, jakie przed chwilą postawiłem, pochodzi od rodziny, nie ode mnie. Nakłonili mnie, abym pojechał po ciebie; sądzili, że ze wstydu przede mną oświadczysz gotowość powrotu do Holandii i poszukania sobie jakiejś pracy.

– Już dobrze, dobrze, Theo! Wszystko, co mówią, jest słuszne, ale nie mogą zrozumieć motywów mojego postępowania. Nie wiedzą, jakie znaczenie dla całego mojego życia ma okres, w którym się obecnie znajduję. Zresztą, jeśli ja stoczyłem się, ty za to wspiąłeś się. Jeśli ja straciłem ich życzliwość, ciebie cenią jeszcze bardziej. I to mnie cieszy. Mówię to z całego serca i zawsze będę to mówił. Jedno mam tylko pragnienie: abyś ty nie widział we mnie darmozjada i próżniaka!

– Zapomnijmy o tamtych słowach. Jeśli nie pisałem przez cały rok, przyczyną było raczej lenistwo, aniżeli niechęć i nagana. Już w najwcześniejszym dzieciństwie, kiedy wędrowaliśmy razem po zielonych łąkach koło Zundert, ufałem ci i wierzyłem w ciebie. I dziś także nie jest inaczej. Wystarczy, abym się znalazł przy tobie, a wiem natychmiast, że wszystko, co robisz, jest ostatecznie słuszne i dobre...

Na twarzy Vincenta rozlał się szeroki, szczęśliwy uśmiech – taki, jaki można spotkać jedynie w Brabancji.

– Jak to dobrze słyszeć takie słowa, Theo!

W jego bracie ocknął się nagle człowiek czynu.

– Słuchaj, Vincencie, doprowadzimy całą tę sprawę do ładu, od razu tutaj. Mam wrażenie, że poza całym twoim gadaniem kryje się coś zupełnie określonego. Zamierzasz uczynić coś, o czym sądzisz, że to jedynie ci odpowiada, że z tej strony uśmiecha się do ciebie szczęście i powodzenie. A więc śmiało! W ostatnim roku otrzymałem dwukrotnie podwyżkę u Goupila; mam więcej pieniędzy niż mi trzeba. Jeśli zatem chcesz wziąć się do czegoś, co wymaga na początek pomocy, powiedz mi po prostu: odnalazłem wreszcie swoje życiowe zadanie, idzie o to i o to, a ja zostanę twoim cichym współnikiem. Ty dostarczysz pracę, ja – kapitał. Kiedy ta rzecz okaże się rentowna, będziesz mi mógł wypłacić włożony kapitał wraz z odsetkami. A więc mów śmiało! Co zamyślasz, jakie masz zamiary? Z pewnością już dawno powziąłeś decyzję, już wiesz, co chcesz zrobić z resztą twojego życia.

Vincent rzucił okiem na plik rysunków, które Theo przedtem oglądał. Twarz mu się rozjaśniła, promieniał błogo, niczym słońce w słońcu.

– Jakie to dziwne – szepnął – to chciałem powiedzieć przez ten cały czas... Nie zdawałem sobie tylko sprawy.

Spojrzenie Thea pobiegło za wzrokiem Vincenta ku rysunkom.

– To sobie pomyślałem – rzekł cicho.

– Vincent dygotał z radosnego podniecenia. Miał wrażenie, że zbudził się nagle z głębokiego snu. Theo, wiedziałeś o tym wcześniej ode mnie! Nie chciałem sobie tego uświadomić. Lękałem się. Oczywiście, muszę coś zrobić! Ku temu zatem zwrócone było całe moje życie, a ja nie przeczuwałem tego nawet! Już podczas studiów w Brukseli i Amsterdamie czułem nieodpartą chęć, żeby rysować, przenosić na papier wszystko, co widzę. Nie pozwalałem sobie na to. Bałem się, że będzie mi to przeszkadzało w mojej prawdziwej pracy. W mojej prawdziwej pracy! Jaki ślepy byłem! Przez te wszystkie lata coś we mnie przebijało się na zewnątrz, a ja nie pozwalałem na to, spychałem to w głąb.

I oto teraz stoję, dwudziestosiedmioletni mężczyzna, który nic nie stworzył! Jakimże głupcem byłem, ślepym, nierozsądnym głupcem!

– O to teraz mniejsza – uspokajał go Theo. – Z twoją siłą i uporem zdasz stokroć więcej niż każdy początkujący. Przecież całe życie leży przed tobą.

– Mam przed sobą co najmniej dziesięć lat życia. W tym czasie dokonam chyba czegoś dobrego.

– Oczywiście. A mieszkać możesz, gdzie chcesz: w Paryżu, Brukseli, Amsterdamie, Hadze. Zdecyduj się, a będę ci posyłał miesięczną pensję. Nie przejmuj się, choćby nauka miała ci zająć całe lata. Nigdy nie stracę nadziei i wiary w ciebie, jeśli ty ich nie stracisz.

– Ach, Theo, w ciągu tych wszystkich ciężkich miesięcy sterowałem do jednego celu, usiłowałem odgadnąć, w czym leży sens i zadanie mojego życia. I nic, nic nie wiedziałem! Teraz jednak wiem, teraz już nigdy nie poddam się zniechęceniu! Wreszcie, wreszcie po tych wszystkich straconych latach odnalazłem siebie! Będę artystą! Muszę być artystą! Do tego jestem powołany i dlatego wszędzie indziej zawiodłem! Teraz znalazłem coś, w czym nie zawiodę! O, Theo, nareszcie otwiera się więzienie i to ty, ty rozwarłeś przede mną bramę!

– Nic nas odtąd nie rozdzieli, prawda, Vincencie?... Odnaleźliśmy się z powrotem?

– Tak, Theo, na całe życie.

– Teraz musisz wypocząć i wrócić do zdrowia. Za parę dni, gdy będziesz się czuł lepiej, zabiorę cię z powrotem do Holandii czy Paryża, lub dokąd zechcesz.

Vincent wyskoczył z łóżka aż na środek pokoju.

– Za kilka dni, co u licha! – zawołał. – Jedziemy natychmiast. O dziewiątej mamy pociąg do Brukseli.

Z szaleńczym pośpiechem zaczął wciągać ubranie.

– Co tobie, Vincencie! Ty nie możesz dziś jechać! Jesteś chory.

Chory! Ależ skąd! Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze jak teraz. Chodźże, Theo, mamy z dziesięć minut, aby zdążyć na dworzec. Wrzuć te piękne białe prześcieradła do twojej torby i jazda!

Księga druga

ETTEN

I

Theo i Vincent spędzili razem jeden dzień w Brukseli, po czym Theo wrócił do Paryża. Nadeszła wiosna, wabił krajobraz brabancki, ojczyzna zdawała się czarodziejską przystanią.

Vincent kupił sobie ubranie z czarnego grubego sztruksu, jakie zwykli nosić robotnicy, oraz trochę szarego papieru rysunkowego i pierwszym pociągami pojechał do Etten.

Anna Kornelia nie pochwałała życia, jakie wiódł Vincent, gdyż wiedziała, że przynosi mu ono więcej cierpienia niż radości. Theodorus miał obiektywne przyczyny niezadowolenia; gdyby Vincent nie był jego własnym synem, nie chciałby się z nim w ogóle stykać! Był pewien, że tryb życia Vincenta nie podoba się Bogu – z drugiej jednak strony przeczuwał, że Bogu podobałoby się jeszcze mniej, gdyby ojciec odtrącił syna.

Vincent zauważył natychmiast, że ojciec posiwiiał i że prawa powieka zasłania mu jeszcze bardziej oko niż dawniej. Lata ściągnęły mu jak gdyby rysy; nie nosił brody, która zakryłaby braki, a wyraz twarzy zmienił mu się z dumnego w niepewny. Matkę zastał żwawszą i jeszcze miłszą niż dawniej. Starość ukształtowała ją nie naruszając i nie niszcząc. Jej uśmiech pełen był przebaczenia za wszystkie błędy i słabości. Każdy rys szerokiej, pełnej i dobrotliwej twarzy potakiwał radośnie pięknu życia.

Rodzina psuła Vincenta w pierwszych dniach pożywnym jadłem i serdecznością. Poszło jakby w zapomnienie, że Vincent nie ma pieniędzy ani przyszłości. Wałęsał się po wrzosowiskach, koło rozrzuconych tu i tam, krytych strzechą chat, przyglądał się drwalom ścinającym drzewa, spacerował w stronę Roozendaal, mijając cmentarz i uprawne pola. Wspomnienie Borinage zacierało się z wolna. Nabierał zdrowia i sił i już po krótkim czasie czuł, że musi znów wziąć się do pracy.

W pewien deszczowy ranek Anna Kornelia zeszła do kuchni wcześniej niż zwykle; w piecu już trzeszczał ogień. Vincent siedział przed piecem z nogami opartymi o ruszt i trzymał na kolanach nie wykończoną kopię obrazu *Les Heures de la Journee*¹⁶.

- Dzień dobry, synu – zawołała.
- Dzień dobry, mamó – pocałował ją czule w szeroki policzek.
- Co cię wyгнаło tak wcześnie z łóżka, synku?
- Chciałem pracować.
- Pracować?

Anna Kornelia spojrzała na szkic na jego kolanach, potem na ogień w piecu.

– Ach tak, chciałeś napalić. Ale po to doprawdy nie potrzebujesz zrywać się tak wcześnie.

- Nie, mamó, chciałem rysować.
- Rysować? – wydało jej się to dziecinną zabawką. – Chcesz się zajmować rysowaniem?
- Tak.

¹⁶Godziny dnia (fr.).

Vincent wytłumaczył jej swą decyzję dodając, że Theo jest gotów mu pomóc. Wbrew oczekiwaniu Anna Kornelia zdawała się aprobować jego zamiar. Poszła szybko do swego pokoju i po chwili wróciła z listem w rękę.

– Nasz krewny, Anton Mauve, jest także malarzem... i zarabia pono nieźle. Onegdaj dostałam list od siostry; wiesz przecie, że Mauve poślubił jej córkę Jet. Otóż donosi, że mijnheer Tersteeg sprzedaje u Goupilów każdy obraz Antona za pięćset, sześćset franków.

– Tak, Mauve stał się jednym z naszych najwybitniejszych malarzy.

– Ile czasu potrzeba na wymalowanie takiego obrazu, Vincencie?

– To zależy, mamó. Niektóre wymagają tylko kilku dni, na inne potrzeba paru lat.

– Paru lat! Wielki Boże!

Anna Kornelia zastanawiała się chwilę, potem spytała:

– A czy umiesz rysować ludzi tak, aby byli do siebie podobni?

– Nie wiem. Mam na górze kilka szkiców, przyniosę je, to sama zobaczysz.

Gdy wrócił, matka, przepasana już białym fartuchem kuchennym i w czepku na głowie, stawiała właśnie na piecu duży sagan z wodą. Błyszczące biało-niebieskie kafle ścian nadawały kuchni wygląd radosny.

– Piękę twój ulubiony sernik, Vincencie. Czy pamiętasz?

– Czy pamiętam? O mamó!

Objął ją ramieniem. Spojrzała na niego uśmiechając się w zadumie. Był jej najstarszym i najbardziej ukochanym dzieckiem. Jego niepowodzenia były jej jedyną troską.

– Czy cieszysz się, że jesteś w domu, u matki?

Uszczypnął ją wesoło w pomarszczony, lecz czerstwy policzek.

– Tak, kochana – odparł.

Wzięła szkice przedstawiające ludzi z Borinage i długo się im przyglądała.

– Ależ, Vincencie, coś ty zrobił z twarzami?

– Jak to?

– Przecie ci ludzie nie mają w ogóle twarzy!

– Wiem o tym. Interesowały mnie tylko ich postacie.

– Ale umiesz chyba rysować twarze? Jestem pewna, że wiele pań tu, w Etten, chciałoby mieć swoje portrety. Mógłbyś żyć z tego.

– Sądzę, że tak. Muszę jednak poczekać, aż zupełnie opanuję technikę rysunku.

Matka wbijała właśnie jaja do miski z kwaśnym serem przetartym przez sito. Odwróciła się od pieca, ze skorupką w każdej ręce.

– Sądziś, że musisz tak dobrze rysować, aby twoje portrety można było sprzedawać?

– Nie – odparł Vincent nie przestając szkicować – muszę opanować technikę po prostu po to, aby rysunek był bez zarzutu.

Matka zamyślona mieszała żółtka z serem; po chwili rzekła:

– Nie rozumiem tego.

– Ja też nie – powiedział Vincent – ale tak być musi.

Przy śniadaniu, nad pulchnym, złotym, zrumienionym sernikiem, zdała Anna Kornelia mężowi sprawę z tej rozmowy. Oboje mieli już niejedną chwilę troski i niepokoju z powodu Vincenta.

– A jak się przedstawiają twoje widoki na przyszłość, Vincencie? – zapytał ojciec. – Czy będziesz mógł żyć z tego?

– Z początku nie. Theo chce mi pomóc, póki nie stanę na własnych nogach. Skoro nauczę się dobrze rysować, będę mógł tym zarabiać. Rysownicy zarabiają w Paryżu i Londynie od dziesięciu do piętnastu franków dziennie, również ilustratorzy czasopism są dobrze płatni.

Theodorus odczuł ulgę słysząc, że syn myśli o przyszłości i nie ma zamiaru pędzić nadal próżniaczego życia.

– Spodziewam się, Vincencie, że tym razem okażesz większą wytrwałość. Nic nie osiągniesz, jeśli wciąż się będziesz przerzucał.

– To się skończyło, ojczy, tego nie porzucę.

II

Po pewnym czasie deszcz przestał padać, nastąpiła pogoda. Vincent wziął sztalugi i przybory rysunkowe i począł rozglądać się po okolicy. Najchętniej pracował na wrzosowiskach, w pobliżu Seppe, niekiedy szedł w stronę wielkiego moczaru w Passievaart, aby rysować lilie wodne. Etten było małą, ciasno zabudowaną miejsciną; niedługo zaczął zwracać na siebie uwagę. Czarne ubranie sztruksowe było pierwszym tego rodzaju w miasteczku; dotąd nie widziano tu również dorosłego człowieka, który by spędzał dnie na polach z ołówkiem i papierem. Dla parafian ojca był na swój sposób uprzejmy, ale oni woleli go unikać. Wszystko w nim było osobliwe i śmieszne: strój, szorstkie maniery, rudawa broda, to, że nic nie robił, tylko siedział na polach i patrzył. Budził w mieszkańcach nieufność i lęk, chociaż nikomu nic złego nie uczynił i pragnął jedynie, by go zostawiono w spokoju. Był po prostu inny. Sam nic nie zauważył, nie przeczuwał, że ludzie go nie lubią.

Pracował nad wielkim studium lasu sosnowego, który wycinano. Uwagę skupił na samotnym drzewie na skraju wąwozu. Jeden z karczujących podchodził niekiedy i spoglądał mu przez ramię na papier szczerząc bezmyślnie zęby lub chichocząc.

Szkic zajął Vincentowi trochę czasu. Śmiech pracującego w lesie chłopca był co dzień głośniejszy. Vincent postanowił wy badać, co go tak śmieszy.

– Uważa pan to za śmieszne – spytał grzecznie – że rysuję drzewo?

Chłop ryknął śmiechem.

Tak, tak, to strasznie zabawne. Pan jest z pewnością wariatem. Vincent zastanowił się chwilę, po czym zapytał:

– Czy byłbym wariatem, gdybym sadził drzewo?

Chłop spoważniał natychmiast.

– O nie, na pewno nie!

– A czy byłbym wariatem, gdybym hodował drzewo?

– Nie, rzecz prosta, że nie.

– A gdybym zrywał jego owoce?

– Pan kpi sobie ze mnie!

– A gdybym ścinał drzewo, tak jak wy?

– Nie, drzewa trzeba ścinać!

– Więc mógłbym posadzić drzewo, hodować je, zrywać owoce, ściąć je, ale gdy je rysuję, jestem wariatem, prawda?

Chłop znów wyszczerzył zęby.

– Oczywiście jest pan wariatem, jeżeli pan siedzi tu i rysuje. Całe miasteczko tak mówi.

Wieczory spędzał wraz z rodziną przy ogromnym stole w pokoju bawialnym. Szyto tam, czytano, pisano listy. Kor, najmłodszy brat, był cichym, małomównym dzieckiem. Z siostr Vincenta Anna wyszła już za mąż i opuściła dom rodzicielski. Elżbieta nienawidziła go i zachowywała się rozmyślnie tak, jak gdyby go wcale nie było. Wilhelmina była życzliwa i wyrozumiała, pozowała bratu i odnosiła się do niego z bezkrytyczną przyjaźnią, ale mówili z sobą tylko o codziennych sprawach.

Vincent pracował również przy stole w świetle dużej żółtej lampy, stojącej pośrodku. Ćwiczył się w kopiowaniu reprodukcji i własnych rysunków wykonanych w dzień pod gołym niebem.

Ojciec obserwował go, jak kilkanaście razy kopiował coś i za każdym razem odrzucał skończony rysunek, gdyż go nie zadowalał. W końcu nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– Vincencie – zapytał nachylając się nad szerokim stołem – czy nigdy nie wychodzi ci dobry rysunek?

– Nie – odparł Vincent.

– W takim razie wydaje mi się, że znów popełniłeś błąd.

– Popełniłem wiele błędów, ojcze. Co masz na myśli?

– Sądzę, że gdybyś był naprawdę utalentowany, gdybyś był urodzonym artystą, rysunek udałby ci się od razu.

Vincent spojrział na studium chłopca, który klęczał nad workiem i wkładał do niego kartofle. Nie umiał znaleźć właściwej linii ramienia.

– Możliwe, ojcze.

– Sądzę, że nie musiałbyś rysować setki razy tego samego bez rezultatu. Gdybyś miał wrodzone zdolności, rysunek udałby ci się od pierwszego rzutu.

– Natura zawsze stawia artyście z początku opór – odparł Vincent nie odkładając ołówka. – Ale ten opór nie powinien mnie zniechęcać, jeżeli istotnie mam poważny stosunek do pracy. Przeciwnie, winien mi dodawać bodźca.

– To mi się nie mieści w głowie – rzekł Theodorus.

– Podobnie jak ze zła nie może nigdy narodzić się dobro, tak z kiepskiej roboty nie może nigdy wyjść dobra.

– To jest może słuszne w teologii, ale nie w sztuce – rzekł Vincent.

– Nie masz racji, synu. Praca artysty jest albo dobra, albo zła. W tym drugim wypadku nie jest on artystą. Powinien to sam pojąć od razu i nie tracić czasu ani sił.

– Ale jeśli tworzenie złego malarstwa daje mu szczęście? Co wtedy?

Theodorus przetrząsnął skarbiec swej teologicznej wiedzy, lecz na to pytanie nie znalazł odpowiedzi.

– Nie – rzekł Vincent. Wymazał wór z kartoflami, lewe ramię chłopca zawisło teraz sztywno w powietrzu. – W gruncie rzeczy natura i prawdziwy artysta są ze sobą w zgodzie. Trzeba walczyć i zmagać się może całe lata, zanim natura się podda. Lecz w końcu zła, bardzo zła praca zmieni się w dobrą i zrehabilituje artystę.

– A jeśli do końca nie będzie w ogóle postępu? Już od kilku dni rysujesz tego klęczącego chłopca i rysunek wciąż jest zły. A jeśli tak dalej pójdzie całe lata?

Vincent wzruszył ramionami.

– Artysta musi pracować licząc się nawet z tym niebezpieczeństwem.

- Czy wynagrodzenie warte jest wtedy trudu?
- Jakie wynagrodzenie?
- Zapłata i stanowisko społeczne.

Vincent oderwał oczy od rysunku i spojrzał zdziwiony w twarz ojcu, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

- Myślałem, że mówimy o dobrej i złej sztuce – odparł tylko.

III

Vincent pracował dniem i nocą. Jeśli myślał w ogóle o przyszłości, to jedynie, aby sobie wyobrazić, że nie będzie już bratu ciężarem i że dzieło jego zbliży się do doskonałości. Gdy był zanadto zmęczony, aby rysować, czytał. A gdy zmęczyło go rysowanie i czytanie, spał.

Theo przysłał mu gruby papier rysunkowy, tablice anatomiczne konia, krowy i owcy ze szkoły weterynaryjnej, kilka reprodukcji obrazów Holbeina ze zbioru *Wielcy mistrzowie jako wzory*, ołówki, pióra gęsie, model ludzkiego szkieletu, sepię i tyle pieniędzy, ile udało mu się zaoszczędzić. Zachęcał przy tym brata, aby pracował nieustępliwie i nie został miernym artystą. Na tę radę Vincent odpowiedział: „Uczynię, co będę mógł, lecz nie gardzę bynajmniej przeciętnością w zwykłym tego słowa znaczeniu. Gardzenie przeciętnością nie oznacza jeszcze wcale, że się stoi ponad nią. To jednak, co powiadasz o pracy, jest całkiem słuszne. «Ani dnia bez linii», jak przestrzegał Gavarni”.

Odczuwał coraz silniej, że rysowanie postaci kształci go i pośrednio wpływa dodatnio na ujęcie krajobrazu. Kiedy rysował wierzbę w taki sposób, jak gdyby była żyjącą istotą – w gruncie rzeczy była nią przecie – reszta obrazu nie sprawiała mu już potem żadnych trudności. Musiał tylko skoncentrować uwagę na tym drzewie i tak długo pracować, póki nie przepoił go życiem. Kochał krajobraz, lecz stokroć bardziej kochał owe zdumiewająco nieraz realistyczne studia życia, jakie dali Gavarni¹⁷, Daumier, Dore¹⁸, de Groux¹⁹, Felicien Rops²⁰. Rysując typy robotników miał nadzieję, że będzie kiedyś ilustrował czasopisma i dzienniki. Pragnął zarabiać sam na życie w ciągu długich lat, gdy będzie doskonalił swą technikę i szedł ku wyższym formom ekspresji.

Pewnego dnia ojciec, któremu zdawało się, że syn czyta wyłącznie dla przyjemności, powiedział:

- Vincencie, opowiadasz ciągle, że tak bardzo musisz pracować. Dlaczego więc tracisz czas na te głupie francuskie książki?

Vincent wsunął palec między kartki czytanej książki i podniósł oczy. Wciąż jeszcze ufał, że ojciec zrozumie go kiedyś.

- Widzisz – rzekł powoli – rysowanie postaci i scen z natury wymaga nie tylko fachowej umiejętności, ale również poważnych studiów literackich.

- Muszę przyznać, że nie rozumiem tego. Jeżeli chcę przygotować dobre kazanie, to nie spędzam czasu w kuchni patrząc, jak twoja matka marynuje ozory.

¹⁷Gavarni Sulpice-Guillaume Chevalier (1804-1866) – francuski rysownik, malarz, grafik, ilustrator i karykaturzysta, autor licznych scen rodzajowych.

¹⁸Gustaw Dore (1832-1883) – francuski rysownik, malarz, ilustrator.

¹⁹Chales de Groux (1825-1870) – belgijski malarza, autor scen z życia wsi.

²⁰Felicien Rops (1833-1898) – belgijski malarz i grafik.

– Jeżeli już mówimy o ozorach – rzekła Anna Kornelia – to te świeżo zrobione powinny być gotowe na jutrzejsze śniadanie.

Vincent nie starał się przekonać ojca, lecz ciągnął dalej przerwane rozważania.

– Podobnie jak nie potrafię narysować postaci bez znajomości szkieletu, mięśni i ścięgien, tak nie mogę narysować głowy, o ile nie wiem, co się w niej dzieje. Po to, by odtworzyć życie, potrzebna jest nie tylko anatomia, lecz i wiedza o tym, co ludzie czują i myślą o świecie, na którym żyją. Artysta, który zna jedynie swoje rzemiosło i nic ponadto, będzie zawsze tylko powierzchownym artystą.

– Vincencie – westchnął ojciec – obawiam się, że kształcisz się na teoretyka.

Vincent powrócił do swej książki Ojciec Goriot Balzaka.

Innym razem był bardzo podniecony dostawszy książki Cassagne'a, które Theo przysłał, by mu pomóc w opanowaniu perspektywy. Vincent przejrzał je z czułością i pokazał Wilhelminie.

– Nie znam lepszego lekarstwa na moje niedomagania – rzekł do niej. – Jeżeli się z nich wyleczę, będę to zawdzięczał tej książce.

Wilhelmina uśmiechnęła się do niego jasnymi oczami ich matki.

– Czy chcesz wmówić we mnie, Vincencie – spytał Theodorus, który nie dowierzał wszystkiemu, co pochodziło z Paryża – że możesz nauczyć się prawidłowo rysować przez czytanie książek o sztuce?

– Tak.

– Cudeńka.

– To znaczy, jeśli zastosuję w praktyce zawartą w nich teorię. Jakkolwiek praktyki niepodobna kupić razem z książkami. Gdyby tak było, miałyby większy zbyt.

Pracowite, szczęśliwe dni przechodziły w lato. Teraz nie deszcz, lecz upał trzymał Vincenta z dala od wrzosowisk.

Szkicował siostrę Wilhelminę siedzącą przed maszyną do szycia, skopiował po raz trzeci ćwiczenia według Bague'a, pięć razy narysował człowieka z łopata w różnych pozach, dwa razy – siewcę, dwa razy dziewczynę z miotłą; potem kobietę w białym czepku obierającą kartofle, pasterza opartego na lasce, wreszcie starego, biednego chłopca siedzącego na stołku przy piecu, z głową ukrytą w rękach, a łokciami wspartymi o kolana. Rysował kopaczy, oraczy, siewców, kobiety i mężczyzn; czuł, że musi rysować właśnie ich. Czuł potrzebę obserwacji i utrwalania na papierze wszystkiego, co ma związek z życiem wiejskim. Nie był już tak bezradny wobec przyrody jak dawniej. Dawało mu to rozmach i polot, jakiego do tej pory nie znał.

Mieszkańcy miasteczka nadal uważali go za dziwaka i omijali z daleka. Mimo że matka i Wilhelmina, a nawet ojciec – na swój sposób – odnosili się do niego życzliwie i przyjaźnie, w najtajniejszej, niedostępnej głębi serca był przerażająco samotny.

Z czasem jednak chłopci, których rysował, zbliżyli się do niego, poczęli go lubić i ufać mu. W ich postaciach odnajdował Vincent coś podobnego do ziemi, którą uprawiali. Usiłował dać temu wyraz w swych rysunkach. Jego rodzina nie mogła nieraz poznać, gdzie kończy się człowiek, a zaczyna ziemia. Vincent nie wiedział, w jaki sposób to się dzieje, lecz czuł, że to właśnie jest słuszne.

– Nie powinno być wyraźnej granicy między nimi – rzekł kiedyś do matki, gdy go o to pytała. – Są to tylko dwa rodzaje ziemi, które do siebie przynależą i przechodzą jeden w drugi. Dwie formy tej samej materii, nie do rozróżnienia w swej istocie.

Matka doszła do przekonania, że ponieważ Vincent nie ma żony, ona musi wziąć jego sprawy w swoje ręce, jeśli chce, aby syn zyskał powodzenie.

– Vincencie – powiedziała pewnego razu – chciałabym bardzo, abyś poszedł dziś ze mną do sąsiadów na herbatę.

– Ależ, mam, nie mogę tracić na to czasu.

– Jak to, tracić?

– Przecie na takim przyjęciu nie ma nic do rysowania.

– Właśnie, że jest! Będą tam wszystkie damy nadające ton w Etten.

Vincent zerknął na drzwi kuchenne; najchętniej zwałby od razu. Ale przemógł się i próbował tłumaczyć. Mówił powoli i z trudem dobierał słowa.

– Mam na myśli, mam, że panie na takim przyjęciu nie mają indywidualnych charakterów.

– Co ty mówisz! Mają wspaniałe charaktery. Nic im nie można zarzucić.

– Ależ tak, kochana, nie to mam na myśli. Ale to, że wszystkie są do siebie podobne. Życie ukształtowało je wszystkie na jedną modłę.

– Ale co znowu! Ja odróżniam z łatwością jedną od drugiej.

– Tak, kochana, ale miały tak łatwe życie, że nie wyryło na ich twarzach żadnego interesującego rysu.

– Niezupełnie rozumiem cię, synu. Rysujesz przecież każdego robotnika i każdego chłopca za pługiem.

– No tak.

– Czy ci się to opłaca? To ludzie biedni, oni nie mogą nic kupić. Damy z towarzystwa zapłacą ci za portrety.

Vincent objął matkę ramieniem i ująwszy pod brodę, podniósł jej twarz. Jej niebieskie oczy były takie przejrzyste, takie łagodne i kochające. Dlaczego nie rozumiały go?

– Droga mam – rzekł spokojnie – miej do mnie trochę zaufania. Wiem, jak ta praca powinna być zrobiona i jeśli zostawisz mi czas, na pewno do czegoś dojdę. Jeśli będę pracował niestrudzenie nad rzeczami, które teraz wydają ci się nieważne, uda mi się może sprzedawać moje rysunki tak dobrze, że będę mógł żyć z tego.

Anna Kornelia równie gorąco pragnęła zrozumieć syna, jak on sam pragnął być przez nią rozumiany. Przytknęła usta do jego rudej, ostrej brody i myślą cofnęła się w przeszłość, do owego dnia pełnego lęku i troski na plebanii w Zundert, kiedy to urodziła tego silnego mężczyznę, którego w tej chwili trzymała w ramionach. Jej pierwsze dziecko urodziło się nieżywe, toteż kiedy Vincent długim i głośnym krzykiem oznajmił swoje przybycie na świat, jej radość i wdzięczność nie miały granic. W jej miłości do Vincenta kryła się zawsze odrobina żalu za pierwszym dzieckiem, które nigdy nie otworzyło swych oczu, i wdzięczności za wszystkie następne.

– Jesteś dobrym chłopcem, Vincencie – odparła – idź swoją własną drogą. Sam chyba wiesz, co jest dla ciebie najlepsze. Chciałam ci tylko pomóc.

Tego dnia Vincent nie poszedł w pole jak zwykle, lecz uprosił ogrodnika Pieta Kaufmana, aby mu pozował. Musiał go długo namawiać, wreszcie jednak Piet zgodził się.

– Po obiedzie, w ogrodzie – przyrzekł.

Gdy Vincent wszedł do ogrodu, zastał Pieta starannie umytego i w sztywnym garniturze odświętnym.

– Zaraz – zawołał Piet podniecony – muszę sobie tylko przynieść krzesło. Potem będę gotów.

Postawił krzesło i usiadł na nim. Siedział sztywno, jakby kij połknął, twarz przybrała wyraz głupawy i bezduszny, jak gdyby pozował do dagerotypu.

Vincent roześmiał się mimo woli.

– Ależ Piet, nie mogę cię przecie rysować w tym stroju.

Zdziwiony Piet powiódł wzrokiem po swoim ubraniu:

– Czy coś jest nie w porządku? – spytał. – Miałem je na sobie zaledwie parę razy.

– Wiem. Właśnie o to idzie – odrzekł Vincent. – Chcę cię rysować w starym, roboczym ubraniu, pochylonego, z motyką w rękę. Tylko w ten sposób wyjdzie twoja sylwetka. Chcę widzieć twoje kolana, łokcie i łopatki. Teraz widzę jedynie twój garnitur.

„Łopatki” – tego było za wiele dla zacnego Pieta.

– Moje stare ubranie jest łatane i brudne – upierał się. – Jeśli pan chce, abym pozostał, musi mnie pan rysować tak, jak jestem.

Tak więc Vincent powędrował znów w pole i rysował chłopów pochylonych nad ziemią przy kopaniu. A kiedy lato miało się ku końcowi, pojął, że sam nie potrafi się niczego więcej nauczyć. Odezwało się w nim znów pragnienie zetknięcia się z drugim malarzem i kontynuowania pracy w porządnym atelier. Czuł, że musi koniecznie mieć dostęp do dobrych dzieł i możliwość śledzenia innych malarzy przy robocie. Jedynie w ten sposób mógł uświadomić sobie jasno, czego mu brak i jak te braki usunąć.

Theo zaprosił go do Paryża, lecz Vincent czuł, że nie jest jeszcze wewnętrznie dojrzały do tej wielkiej próby. Jego praca była jeszcze zbyt surowa, niezręczna i dyletancka. Haga leżała zaledwie o parę godzin jazdy koleją, tam mógł udać się po pomoc do swego znajomego Tersteega, kierownika firmy Goupil et Co; mógł zwrócić się również do swego krewnego, Antona Mauve. Może byłoby lepiej, aby na następny okres powolnej, żmudnej nauki osiadł w Hadze? Napisał do Thea z prośbą o radę. Theo odpowiedział przysłaniem pieniędzy na bilet kolejowy.

Przed osiedleniem się na stałe w Hadze, Vincent chciał się upewnić, czy Tersteeg i Mauve zechcą się nim zająć. Jeśliby nie zechcieli, udałby się gdziekolwiek indziej. Starannie zapakował wszystkie swoje szkice, wziął tym razem zmianę bielizny i wyruszył do stolicy, zgodnie z tradycją wszystkich młodych prowincjonalnych artystów.

IV

Mijnheer Herman Gijsbert Tersteeg był założycielem haskiej szkoły malarstwa, a zarazem najpocześniejszym handlarzem obrazów w Holandii. Z całego kraju ściągali do niego ludzie prosząc o radę przy kupnie obrazów. Jego zdanie uważano za wyrok.

Kiedy mijnheer Tersteeg po stryju Vincencie van Gogh został kierownikiem firmy Goupil et Co, wszyscy młodzi malarze holenderscy, w których pokładano nadzieję, rozproszeni byli po kraju. Anton i Józef Mauve mieszkali w Amsterdamie, Jacob i Willem Maris – na prowincji, a Józef Israels, Johannes Bosboom i Blommers nie mieli stałego

miejsca pobytu i mieszkali to w tym, to w innym mieście. Tersteeg napisał do wszystkich po kolei w tym mniej więcej duchu:

„Dlaczego nie mielibyśmy zjednoczyć naszych sił tu w Hadze i uczynić tego miasta ośrodkiem kultury holenderskiej. Moglibyśmy sobie wzajemnie pomagać, uczyć się jeden od drugiego i dzięki wspólnej pracy zdobyć dla holenderskiej sztuki takie miejsce na świecie, jakie zajmowała za czasów Fransa Halsa i Rembrandta”.

Trwało czas jakiś, nim artyści odpowiedzieli na ten apel, ale ostatecznie w ciągu kilku lat wszyscy młodzi malarze, których Tersteeg uznał za utalentowanych, przenieśli się do Hagi. W tym czasie nie kupowano jeszcze wcale ich obrazów. Tersteeg wybrał ich nie dlatego, żeby ich dzieła móc łatwo sprzedawać, lecz dlatego, że w pracach ich widział zapowiedź przyszłej wielkości. Całe sześć lat kupował obrazy Israelsa, Mauve'a, Jacoba Marisa, zanim udało mu się przekonać do nich publiczność.

Rok za rokiem skupował prace Bosbooma i Neuhuysa i ustawiał je w tylnej części składu, płótnem do ściany. Rozumiał, że należy poprzeć ich twórców w okresie zmagania o artystyczną dojrzałość. Jeśli publiczność holenderska była zbyt ślepa, by uczcić geniusz własnego kraju, to on, krytyk i sprzedawca, winien dbać o to, aby te talenty nie przepadły dla świata wskutek ubóstwa, opuszczenia i zniechęcenia. I nie tylko skupował ich obrazy: krytykował również ich pracę, stykał ich z innymi malarzami i zachęcał do wytrwania w ciężkich okresach. Dzień w dzień walczył o wychowanie publiczności, by otwarła oczy na piękno i siłę wyrazu własnych twórców.

W tym czasie, kiedy Vincent odwiedził go w Hadze, jego starania przynosiły już rezultaty: Mauve, Neuhuys, Israels, Jacob i Willem Marisowie, Bosboom i Blommers sprzedawali nie tylko swoje wszystkie dzieła po wysokiej cenie firmie Goupil et Co, ale byli też na najlepszej drodze do zyskania sławy klasyków.

Mijnheer Tersteeg był przystojnym mężczyzną w typie prawdziwie holenderskim. Miał śmiałe, wyraziste rysy, wysokie czoło, kasztanowe, do tyłu zaczesane włosy, pięknie zaokrągloną, szeroką brodę i oczy przejrzyste jak odbicie holenderskiego nieba w jeziorze. Chodził zwykle w czarnym surducie a la książę Albert, w szerokich sztuczkowych spodniach spływających na wyglansowane trzewiki, w wysokich pojedynczych kołnierzykach i czarnych „gotowych” krawatach, które żona przypinała mu co rano.

Tersteeg darzył zawsze sympatią Vincenta i kiedy ten wstąpił do londyńskiej filii Goupilów, skierował do tamtejszego kierownika serdeczny list polecający. Posłał mu do Borinage Exercices au Fusain, a potem, dla dalszej pomocy, Cours de Dessin Bague'a. Chociaż przypadek zrządził, że firma Goupil et Co w Hadze była własnością stryja Vincenta, to jednak bratanek miał wszelkie powody do sądenia, że Tersteeg lubi go ze względu na niego samego; nie był bowiem pochlebcą.

Galeria Goupil et Co mieściła się przy Plaats 20, w najelegantszej i najdroższej dzielnicy Hagi. W odległości zaledwie rzutu kamieniem stał zamek S'Graven Haghe, najstarsza budowla w mieście. Dziedziniec zamkowy zachował się od czasów średniowiecza, fosę zamieniono na piękny staw. Po drugiej stronie znajdowało się Mauritshuis, gdzie obok Rubensa, Halsa i Rembrandta wisiały płótna pomniejszych mistrzów holenderskich.

Vincent szedł z dworca wąską, krętą, ruchliwą Wagenstraat, przeciął Plein i wewnętrzny dziedziniec zamku i stanął na Plaats. Osiem lat minęło, odkąd opuścił

tutejszą galerię Goupilów. Myśl o wielu cierpieniach, które wypełniły ten krótki okres, obezwładniła go.

Osiem lat... Wszyscy go lubili, wszyscy byli dumni z niego. Był ulubionym bratankiem stryja Vincenta. Dla nikogo nie było tajemnicą, że zostanie jego sukcesorem i właścicielem firmy. Mógł być obecnie potężnym i zamożnym człowiekiem, podziwianym i poważanym przez wszystkich, a z czasem właścicielem znaczniejszych w Europie galerii obrazów.

Co się z nim stało?...

Nie miał czasu na roztrząsanie tego. Już przeszedł Plaats i wszedł do sklepu. Zapomniał, jak wspaniałe jest jego wnętrze; nagle poczuł się nędzny i zaniedbany w swym roboczym ubraniu z czarnego sztruksu. Na parterze znajdowała się długa sala o ciężkich beżowych kotarach. Trzy stopnie wyżej leżał mniejszy salon, kryty szkłem, w głębi za nim, jeszcze wyżej – mały zamknięty pokój wystawowy dla wybranych klientów. Szerokie schody prowadziły na drugie piętro, gdzie Tersteeg miał swoje biuro i mieszkanie. Ściany zawieszane były obrazami niemal po sufit.

Czuło się tu kulturę i dostatek. Pracownicy byli znakomicie ubrani, mieli gładkie maniery. Obrazy w kosztownych ramach wisiały na drogich tkaninach. Grube puszyste dywany ugięły się miękko pod stopami, antyczne fotele rozmieszczone dyskretnie po kątach miały, jak pamiętał, nieocenioną wartość. Pomyślał o swoich rysunkach: górnikach w nędznym odzieniu wyjeżdżających z szybu, kobietach zgiętych na hałdzie, oraczach i siewcach z Brabancji.

Zastanawiał się, czy te proste rysunki przedstawiające biednych, skromnych ludzi będą kiedykolwiek sprzedawane w tym wspaniałym pałacu sztuki.

Nie wydało mu się to zbyt prawdopodobne.

Stał zakłopotany i pełen podziwu oglądał obraz Mauve'a, przedstawiający głowę owcy.

Pracownicy firmy rozmawiający po cichu za stołem z akwafortami, spojrzawszy na postawę i strój przybysza nie raczyli zapytać nawet, czego sobie życzy. Tersteeg, zajęty właśnie urządzaniem wystawy w małym pokoju na górze, szedł do głównego salonu. Vincent nie zauważył go.

Tersteeg stanął na ostatnim stopniu i przyglądał się swemu dawnemu pracownikowi. Zauważył jego krótko obcięte włosy, szczecinę zarostu na twarzy, ciężkie buciory, robocze ubranie zapięte pod szyję, brak krawata, nieforemne zawiniątko pod pachą. W całej postaci Vincenta było coś niezgrabnego, co raziło szczególnie na tle eleganckiego salonu.

– Dzień dobry, Vincencie – rzekł Tersteeg zbliżywszy się cicho po miękkim dywanie. – Podziwiasz nasze obrazy, jak widzę.

Vincent odwrócił się:

– Tak, są w istocie piękne. Dzień dobry, mijnheer Tersteeg! Przywożę ukłony od ojca i matki.

Podali sobie ręce poprzez nieprzekraczalną otchłań ośmiu lat.

– Wygląda pan bardzo dobrze, mijnheer Tersteeg. Lepiej nawet niż wówczas, kiedy widziałem pana po raz ostatni.

– Owszem, owszem. Jestem zadowolony z życia, jakie wiodę, Vincencie; konserwuje mnie. Może przejdziemy do biura?

Vincent poszedł za nim. Potknął się i o mało nie upadł na schodach, tak żarliwie wpatrywał się w obrazy na ścianach. Od owej krótkiej godziny z bratem w Brukseli po raz pierwszy znów widział dobrą sztukę. Był oszołomiony.

Tersteeg otworzył drzwi biura i poprosił go, aby wszedł. Vincent stanął jak urzeczony przed płótnem Weissenbrucha, którego prac nie znał do tej pory. Usiadł, położył obok siebie przyniesiony tobołek, znów podniósł go i podszedł do lśniącego politurą biurka.

– Oddaję książki, które mi pan swego czasu łaskawie pożyczył, mijnheer Tersteeg. – Rozpakował swój tobołek, odsunął na bok koszulę i parę skarpetek, wyjął Exercices au Fusain i położył je na stole. – Pracowałem bardzo ciężko nad rysunkiem. Wyświadczył mi pan wielką przysługę przysyłając to.

– Proszę pokazać, coś skopiował – powiedział Tersteeg, przechodząc od razu do sedna sprawy.

Vincent zaczął szukać w pliku rysunków, które przywiózł. Wydobył najpierw pierwszą serię kopii, zrobionych w Borinage. Tersteeg zachował kamienne milczenie. Kiedy Vincent pokazał mu śpiesznie drugą serię, zrobioną w Etten, Tersteeg mruknął kilkakrotnie „hm”. Zainteresował się dopiero przy trzeciej serii, wykonanej niedługo przed przyjazdem.

– To ma dobre pociągnięcia – orzekł. – Cieniowanie podoba mi się. To ci się dość udało.

– Ja też uważam, że są niezłe – odparł Vincent.

Podał mu resztę kopii i czekał na ocenę.

– Tak jest, Vincencie – powiedział Tersteeg, kładąc długie, wąskie ręce na stole i bębniąc po nim palcami – zrobiłeś postępy. Niewielkie, co prawda, ale bądź co bądź. Przy pierwszych pracach byłem przerażony... Ale widać przynajmniej, że sobie zadałeś trud.

– To wszystko? Tylko trud? Żadnych zdolności?

Wiedział, że nie powinien o to pytać, lecz nie potrafił się przemóc.

– Czy nie za wcześnie o to pytać, Vincencie?

– Może. Przywiozłem także parę oryginalnych szkiców. Chciałby je pan obejrzyć?

– Bardzo chętnie.

Vincent rozłożył przed nim kilka rysunków przedstawiających górników i chłopów. Tersteeg natychmiast popadł w swoje straszliwe milczenie, osławione w całej Holandii, znane setkom młodych artystów; oznaczało, że ich praca jest nic niewarta. Tersteeg przejrzał wszystko, nie mruknąwszy nawet ani razu „hm”. Vincent czuł, że serce zamiera mu w piersiach. Potem Tersteeg przechylił się w tył, wyjrzał przez okno i poprzez Plaats patrzył na pływające po stawie łabędzie. Vincent wiedział z doświadczenia, że o ile nie przemówi pierwszy, milczenie trwać będzie wiecznie.

– Czy pan nie widzi w ogóle żadnego postępu mijnheer Tersteeg? – zapytał. – Czy moich szkiców brabanckich nie uważa pan za lepsze od tych z Borinage?

– No tak – odparł Tersteeg odwracając się wreszcie od okna. – Są lepsze. Ale nie są dobre. Coś w nich jest z gruntu błędnego, co takiego, nie potrafiłbym zdefiniować na poczekaniu. Sądzę, że powinieneś jeszcze kopiować czas jakiś przed przystąpieniem do rysowania z natury. Musisz najpierw opanować lepiej zasady techniki.

– Chciałbym tutaj studiować. Czy pan to uważa za słuszne?

Tersteeg nie chciał wziąć na siebie żadnych zobowiązań.

Talent Vincenta wydał mu się bardzo wątpliwy.

– Haga ma bezsprzecznie swoje zalety – powiedział. – Mamy dobre muzea i sporo młodych malarzy. Trudno jednak orzec, czy jest lepsza od Antwerpii, Paryża lub Brukseli.

Vincent wyszedł od Tersteega niezadowolony. Mimo wszystko Tersteeg, najsurowszy krytyk w Holandii, dostrzegł w jego pracach postęp. Bądź co bądź odezwał się.

Vincent wiedział, że jego szkice z natury nie są całkiem dobre, lecz wierzył mocno, że długą i usilną pracą osiągnie kiedyś pożądane wyniki.

V

Haga jest może najczystszy i najbardziej uporządkowanym miastem Europy. Zbudowana w stylu czysto flamandzkim, jest prosta, surowa i piękna. Przy wypielegnowanych ulicach stoją rozłożyste drzewa, mury domów są z ładnych, czystych cegieł, przed domami leżą małe, starannie utrzymane ogródki, w których kwitną róże i geranium. Nie ma tu slumsów, dzielnic nędzy, nie widać zaniedbania, które by przykro rzuciło się w oczy. Wszystko jest wygładzone iście po holendersku. Przed wielu laty Haga przyjęła do swego herbu bociana. Od tego czasu zaludnienie znacznie wzrosło.

Vincent poczekał do następnego dnia z odwiedzeniem Mauve'a w jego mieszkaniu przy Uileboomen. Jego teściowa, z domu Carventus, była siostrą Anny Kornelii, a że więzy rodzinne w tych kołach były silne, malarz przyjął Vincenta serdecznie.

Mauve był człowiekiem potężnej budowy o zwisających, lecz olbrzymich ramionach i szerokiej piersi. Głowa jak bryła, podobnie jak u Tersteega i wszystkich van Goghów, była istotniejsza dla wyrazu niż rysy twarzy. Mauve miał błyszczące, nieco sentymentalne oczy, wielki, prosty, grecki nos, wysokie kwadratowe czoło, płaskie uszy i szpakowatą brodę przesłaniającą doskonały owal twarzy. Włosy przedzielone nisko z prawej strony, leżały równoległe do czoła.

Był to człowiek pełen energii, której nie marnował. Malował dużo; gdy czuł się zmęczony, malował mimo to dalej, a gdy zmęczył się jeszcze bardziej, malował tym zacieklej.

Potem z wolna odzyskiwał rzeźkość i malowanie rozpoczynało się na dobre.

– Jet nie ma w domu – powiedział. – Może pójdziemy do atelier? Myślę, że tam będzie nam najwygodniej.

– Chętnie. – Vincent płonął chęcią zobaczenia pracowni malarskiej.

Mauve zaprowadził go do dużego, drewnianego domku w ogrodzie. Wejście było od strony domu, lecz w pewnej od niego odległości. Ogród okolony żywopłotem zapewniał malarzowi spokój i odosobnienie.

Od progu już owiała Vincenta rozkoszna woń dymu tytoniowego, starych fajek i terpentyny. Pracownia była dość obszerna. Połowę północnej ściany zajmowało okno. Sztalugi z obrazami stały na grubym dywanie. Ciepłe barwy biły od studiów porozwieszanych na ścianach; w jednym kącie stał antyczny stół, przed nim leżał niewielki perski dywan. Każde wolne miejsce wypełniały przybory malarskie i książki. Mimo nagromadzenia żywych kolorów i pewnego przepełnienia Vincent wyczuł, że porządek i ład są istotnymi rysami Mauve'a.

Po kilku zdawkowych pytaniach o zdrowie krewnych zeszli od razu na jedyny temat, który ich pasjonował. Mauve od dłuższego czasu trzymał się z dala od innych artystów,

wychodząc z założenia, że można albo malować, albo mówić o malarstwie; poza tym rozsadzał go nowy pomysł. Chciał namalować zamglony krajobraz o zmierzchu. Nie omawiał tego nowego projektu z Vincentem, lecz po prostu zasypał go słowami.

Pani Mauve wróciła do domu i zaczęła nalegać, aby Vincent pozostał na kolacji. Po miłej wieczerzy Vincent siedząc przy kominku, rozmawiał z dziećmi. Czuł przy tym wyraźnie, jak ogrania go tęsknota za własnym domem, za kochającą i pełną ufności żoną, za dziećmi nadającymi mu najpiękniejszy na świecie tytuł „ojciec”. Czy ten radosny dzień zaświta kiedyś dla niego? Obaj mężczyźni przeszli wkrótce z powrotem do pracowni. Vincent wyciągnął swoje kopie. Mauve przejrzał je prędkim, bystrym spojrzeniem fachowca.

– Jako ćwiczenie są niezłe – oświadczył – ale nie pojmuję ich znaczenia.

– Znaczenia?... Sądziłem...

– Odrysowałeś je po prostu jak uczniak. Prawdziwie twórczą pracę wykonał przed tobą kto inny.

– Sądziłem, że przez kopiowanie dojdę prędzej do istoty rzeczy.

– Nonsens. Jeśli chcesz tworzyć, natura jest jedynym nauczycielem. Żadnych naśladownictw. Nie masz własnych szkiców?

Vincentowi przyszła na myśl opinia Teresteega o jego oryginalnych pracach. Zastanawiał się, czy je pokazać. Przybył do Hagi po to, aby prosić Mauve'a o przyjęcie na ucznia.

O ile przedłoży mu rzeczy bezwartościowe...

– Owszem – odparł z wahaniem – w ciągu tych lat robiłem też studia ludzi.

– To dobrze!

– Mam trochę szkiców przedstawiających górników z Borinage i chłopów z Brabancji. Nie są to dobre rysunki, ale...

– Nic nie szkodzi – powiedział Mauve – pokaż mi je, uchwyciłeś w nich chyba prawdziwy nastrój.

Serce biło mu jak młotem, gdy pokazywał szkice malarzowi. Mauve usiadł i przeglądał je uważnie, przesuwając wciąż lewą ręką po szpakowatych włosach. Niekiedy śmiał się cicho, to znów rzucał Vincentowi spojrzenie wyrażające dosadnie naganę. W pewnej chwili podniósł się z rysunkiem robotnika w ręce i ustawił surowy szkic na sztalugach obok swego nie dokończonego obrazu.

– Teraz widzę, na czym polega błąd w moim obrazie!

– wykrzyknął. Chwycił ołówek i nie odrywając wzroku od szkicu Vincenta poprawiał coś w swoim rysunku; zrobił parę kresek, potem cofnął się i rzekł:

– Tak, teraz poznać po tym biedaku, że to człowiek związany z rolą.

Podszedł do Vincenta i położył mu rękę na ramieniu.

– Dobrze, dobrze – rzekł – jesteś na właściwej drodze. Twoje szkice są niezdarne, ale prawdziwe. Mają w sobie siłę żywotną i rytm, jakie nieczęsto zdarzało mi się spotkać. Rzuć kopiowanie, Vincencie! Kup sobie porządną kasetę z farbami, im prędzej weźmiesz się do farb, tym lepiej. Rysunek nie jest wcale zły, a z czasem będzie coraz lepszy.

Vincent uznał moment za odpowiedni.

– Mam zamiar przenieść się do Hagi, kuzynie Mauve, chciałbym tu dalej pracować. Czy mógłbyś mi czasem pomagać? Potrzeba mi pomocy człowieka takiego jak ty. Każdy

młody artysta potrzebuje opieki mistrza. Nie liczę na nic więcej, jak na dobrą radę od czasu do czasu lub pokazanie mi twoich prac, jak dzisiaj. Byłbym ci ogromnie wdzięczny.

Mauve powiódł wzrokiem po nie wykończonych płótnach. Krótkie chwile, które mógł uszczknąć robocie, spędzał chętnie w kręgu rodzinnym. Stał się natychmiast powściągliwy. Vincent, ogromnie wrażliwy, wyczuł od razu zmianę w jego nastroju.

– Jestem bardzo zajęty, Vincencie – rzekł Mauve – i nie mam kiedy pomagać innym. Artysta musi być samolubny, musi strzec zazdrośnie każdej minuty należnej wyłącznie jego pracy. Wątpię, czy potrafię nauczyć cię czegokolwiek.

– Nie oczekuję też zbyt wiele – odparł Vincent. – Pozwól mi tylko pracować tutaj od czasu do czasu, pozwól mi patrzeć, jak malujesz. Mów ze mną o twojej pracy, jak mówiłeś teraz. A kiedy przyjdzie chwila, że zechcesz wypocząć, przejrzyj moje rysunki i wytkniesz błędy, to wszystko.

– I to ma być mało? Wierz mi, niełatwo jest przyjąć kogoś na naukę.

– Nie będę ci ciężarem, na pewno nie!

Mauve rozważał długo; nie miał dotąd nigdy ucznia, nie lubił mieć nikogo w pobliżu podczas pracy. Nie lubił na ogół mówić o swej twórczości, a nadto młodzi malarze, którym pomógł swą radą, odpłacili mu niewdzięcznością. Ale Vincent był jego kuzynem, stryj zaś Vincenta i Goupilowie kupowali jego obrazy. Poza tym pociągało go i podobało mu się w tym młodym człowieku owo szorstkie, namiętne oddanie, przebijające również z jego prac.

– Dobrze, Vincencie, spróbujemy.

– Och, kuzynie...

– Proszę tylko, abyś nie zapomniał, że ci nic nie obiecałem. Może cała rzecz zawiedzie. Jeśli doprawdy chcesz osiąść w Hadze, przyjdź do mnie, zobaczymy, czy możemy sobie wzajemnie być pomocni. Jesień spędzam w Drenthe. Najlepiej tedy, abyś tu przyjechał z początkiem zimy.

– I ja tak myślałem. Potrzeba mi jeszcze parę miesięcy na pracę w Brabancji.

– A więc postanowione!

Gdy Vincent powracał pociągiem do domu, coś radośnie śpiewało mu w sercu: „Mam nauczyciela, mam mistrza! Za parę miesięcy wielki malarz przyjmie mnie na naukę – będę się uczył malarstwa! Będę pracował! O, jak będę pracował w ciągu najbliższych miesięcy! Niech się zdziwi, jakie postępy zrobię do tego czasu!”

Przybywszy do Etten zastał w domu Kay Vos.

VI

Wielkie cierpienie uduchowiło Kay. Kochała swego męża miłością pełną oddania – teraz, po jego śmierci, coś w niej zamarło. Zniknęła wspaniała żywotność, radość życia i werwa. Nawet jej piękne, ciepłej barwy włosy straciły dawny połysk. Twarz zaostrzyła się, błękitne oczy ściemniały, stając się niemal czarne, skóra zmatowiała, straciła dawną świeżość i koloryt. Kay miała teraz w sobie mniej żywotności niż wówczas, gdy Vincent poznał ją w Amsterdamie, ale więcej dojrzałego piękna oraz prawdziwej głębi, zrodzonej ze smutku.

– Ładnie, żeś do nas wreszcie przyjechała, Kay – przywitał ją Vincent.

– Dziękuję, Vincencie.

Po raz pierwszy opuścili przed imionami słowa „kuzyn” i „kuzynka”, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Przywiozłaś z sobą oczywiście Jana?

– Tak, jest w ogrodzie.

– Po raz pierwszy bawisz w Brabancji. Cieszę się, że jestem w domu i mogę ci wszystko pokazać. Będziemy robili dalekie spacery po wrzosowiskach.

– Chętnie, Vincencie.

Odpowiadała przyjaźnie, lecz bez entuzjazmu; głos jej stał się głębszy i bardziej wibrujący. Vincent przypomniał sobie, jak życzliwie odnosiła się do niego w Amsterdamie. Czy powinien jej złożyć kondolencje po ciężkiej stracie, mówić o śmierci męża?... Wiedział, że wypada to zrobić, lecz czuł, że to niedelikatnie przypominać jej o cierpieniu.

Kay oceniła jego takt. Pamięć męża była dla niej święta, nie potrafiła o nim mówić z nikim. Ona również pamiętała miłe wieczory zimowe na Keizersgracht, gdy przy kominku grała w karty z Vosem i rodzicami, a Vincent siedział zaczytany w kącie przy lampie. Wezbrał w niej głuchy ból, mgła zasnuła oczy. Vincent ujął serdecznie jej dłoń, spojrzała na niego z głęboką wdzięcznością. Widział, jak cierpienie odmieniło ją i uszlachetniło. Jeszcze niedawno była po prostu szczęśliwą dziewczyną – teraz dojrzała, stała się kobietą. Gdy na nią patrzył, przyszło mu na myśl stare powiedzenie: „Z cierpienia wyrasta piękno”.

– Spodoba ci się tutaj na pewno, Kay – rzekł spokojnie.

– Spędzam całe dni na dworze i rysuję. Musisz mi towarzyszyć i zabierać z sobą Jana.

– Będziemy ci tylko przeszkadzać.

– O, nie! Cieszę się, że będę miał towarzystwo. Pokażę ci niejedną interesującą rzecz podczas naszych wędrówek.

– W takim razie chętnie będę z tobą chodziła.

– Janowi także się to przyda, świeże powietrze go wzmocni.

Ścisnęła Vincenta leciutko za rękę.

– Będziemy dobrymi przyjaciółmi, prawda?

– Tak, Kay.

Puściła jego rękę i wpatrzyła się w kościół naprzeciwko, nie widząc go wcale.

Vincent zszedł do ogrodu, ustawił ławkę dla Kay i pomógł Janowi w budowaniu domku z piasku. W tej chwili zapomniał o ważnych nowinach przywiezionych z Hagi.

Wieczorem przy kolacji opowiedział, że Mauve przyjął go na ucznia. Nie było zwyczajem Vincenta powtarzanie słów dla niego pochlebnych, ale ponieważ Kay znajdowała się pośród słuchaczy, opowiedział o uznaniu i zachęcie zarówno ze strony Tersteega, jak i Mauve'a. Matka uradowała się szczerze.

– Musisz robić wszystko, co ci każe kuzyn Mauve – powiedziała. – On osiągnął powodzenie.

Nazajutrz rano Kay, Jan i Vincent wybrali się wcześniej w stronę Liesbosch, gdzie Vincent chciał rysować; matka przygotowała tym razem sporą paczkę z prowiantem, choć syn zwykle nic nie zabierał.

Przechodzili obok cmentarza i Vincent pokazał gościom gniazdo sroki na wysokiej akacji; przyrzekł rozgorączkowanemu chłopcu, że przy sposobności znajdzie dla niego jajeczka. Wędrowali przez las sosnowy, gdzie igły skrzypiały im pod nogami, przez żółte,

białe i szare piaski wrzosowisk. Potem przyszedli na pole, gdzie stał opuszczony pług i wóz. Vincent rozstawił sztalugi, posadził Jana na wozie i prędko go naszkicował. Kay stała opodal, wpatrzona w rozradowanego chłopczyka. Cały czas milczała. Vincent nie chciał się jej narzucać. Wystarczyło mu, że czuje ją blisko. Nigdy nie przypuszczał, że tak miło mu będzie odczuwać podczas pracy obecność kobiety.

Przechodzili później koło chat krytych strzechą. W końcu znaleźli się na drodze wiodącej do Roozendaal. Kay odezwała się wreszcie:

– Wiesz, Vincencie, kiedy widzę cię przed sztalugami, muszę wciąż myśleć o tym, co nasuwało mi się już wówczas w Amsterdamie.

– Co to było?

– A nie obrazisz się?

– Na pewno nie.

– No więc, prawdę mówiąc, uważałam, że nie nadajesz się na duchownego. Wiedziałam, że to była strata czasu. Nie masz mi chyba za złe, że ci to mówię?

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego przedtem?

– Sądziłam, że nie mam do tego prawa, Vincencie.

Wsunęła pod czepek pasmo rudozłotych włosów. Przy tym potknęła się i oparła o niego; Vincent wsunął rękę pod ramię Kay, aby ją podtrzymać i już dalej poszli pod rękę.

– Myślałam – ciągnęła Kay – że sam dojdiesz do takich wniosków.

– Aha, teraz przypominam sobie – odparł. – Ostrzegałaś mnie, że stanę się ograniczonym duchownym. Dziwne tylko, że mówiła to właśnie córka pastora.

Uśmiechnął się do niej, lecz oczy Kay posmutniały.

Być może, lecz Vos nauczył mnie patrzeć na niejedno inaczej. Jej słowa ugodziły Vincenta. Miał wrażenie, że nazwisko Vosa wzniosło pomiędzy nimi niewidzialny mur.

Po godzinnej wędrówce dotarli do Liesbosch i Vincent znów ustawił sztalugi; chciał naszkicować moczary. Jan bawił się w piasku. Kay siedziała z tyłu na małym składanym krzeselku zabranym z domu. Trzymała w rękach otwartą książkę, ale nie czytała. Vincent rysował pośpiesznie, z nowym, nieznanym rozmachem. Linie „siedziały” od razu, od pierwszego rzutu. Czy dlatego, że czuł za sobą Kay – czy że uznanie Mauve'a dodało mu bodźca? Wykonał prędko kilka szkiców. Nie patrzył w stronę Kay. Kay milczała. Wiedział jednak, że jest blisko – i czuł w sercu błogie ciepło. Pragnął, by jego praca była tego dnia specjalnie udana i wzbudziła w niej podziw.

W południe poszli dalej. W małej dąbrowie zatrzymali się i Kay rozłożyła zawartość koszyczka pod cienistym drzewem. Żaden dźwięk nie mącił ciszy południa; woń lilii wodnych z pobliskich moczarów mieszała się ze słabym zapachem dębów. Usiedli na trawie. Kay przygotowała przekąskę i podała Vincentowi. I znów przed oczami stanął mu mimo woli kuzyn Mauve siedzący z rodziną przy stole.

Nigdy jeszcze – tak mu się zdawało – nie widział czegoś równie pięknego jak Kay. Vincent nie mógł jeść, choć tłusty żółty ser matki był wyborny, a chleb smaczny. Zbudził się w nim nowy, straszliwy głód. Nie mógł oderwać wzroku od subtelnej twarzy Kay, od jej rzeźbionego owalu, od głębokich, smutnych oczu i pełnych, słodkich ust.

Po posiłku mały Jan zasnął z głową na kolanach matki. Vincent widział, jak Kay przesuwa ręką po jasnych lokach dziecka, patrząc badawczo na niewinną twarzyczkę. Czuł, że w twarzy dziecka widzi odbicie męża, że myśli jej są teraz przy ukochanym

człowieku, w domu na Keizersgracht i nie pamięta, że jest z kuzynem Vincentem na brabanckim wrzosowisku. Szkicował całe popołudnie. Chwilami chłopczyk siedział mu na kolanach; zdawał się lubić Vincenta. Vincent dał mu nawet parę arkuszy dobrego papieru rysunkowego i ucieszony malec gryzmołił coś na nim. Śmiał się i krzyczał, biegał po żółtym piasku i wracał z tysiącem pytań do Vincenta, przynosił mu drobne przedmioty, wciągał w rozmowę. A jednak mimo to nie przeszkadzał Vincentowi, któremu miło było czuć to małe, żywe i ciepłe stworzenie, wdrapujące mu się z czułością na kolana.

Jesień stała za pasem i słońce zachodziło wcześniej. W drodze powrotnej zatrzymywali się kilkakrotnie i przyglądali zachodowi słońca rozpostartemu niby motyle skrzydła w bajorkach. Potem barwy zmętniały i przeszły z wolna w pomrokę. Vincent pokazał Kay swoje szkice. Przejrzała je pobieżnie; wydały jej się niezdarne i surowe. Ale Vincent był tak dobry dla Jana... Zresztą dobrze wiedziała, co znaczy cierpienie.

– Podobają mi się, Vincencie.

– Naprawdę?

Jej pochwała rozwarła w nim jak gdyby tamę. Już w Amsterdamie okazywała mu Kay tyle zrozumienia – tak, ona go pojmie, ona zrozumie wszystko, co zamierzał. Była jedynym człowiekiem, do którego mógł się zwrócić ze swymi planami i pragnieniami. Z własną rodziną nie mógł nawet mówić o tym, nie pojęłaby ani słowa. W obecności Mauve'a i Tersteega musiał zachowywać się z pokorą początkującego, choć nieraz wcale jej nie czuł.

Zaczął mówić szybko i beładnie, otwierając przed nią całe serce. Wraz z rosnącym zapalem wzmagало się tempo jego zamaszystych, długich kroków; Kay nadażala z trudem. W podnieceniu tracił wszelki umiar, coś gwałtownego, niespokojnego było w każdym jego ruchu. Nie pozostało nic z cichego, opanowanego dżentelmena, którego Kay widziała w ciągu dnia. Jego chłopskie, nieco rubaszne maniery przeraziły ją. Ten wybuch uczucia wydał jej się dziecinny i bez oglądy; nie wiedziała, że Vincent ofiarowuje jej najbardziej wartościowy i najrzadszy dar, jaki mężczyzna może ofiarować kobiecie. Opowiedział jej o wszystkim, co czuł, co nosił w sobie, odkąd Theo wyjechał do Paryża. Zwierzał się ze swych planów i ambicji, mówił o duchu, jakim stara się przepoić swoje dzieło. Kay dziwiła się jego podnieceniu. Nie przerywała mu, ale i nie słuchała go. Żyła wyłącznie dniem wczorajszym, toteż zdumiewało ją, że ktoś może z taką radością i zapalem kroczyć w przyszłość.

Vincent sam był tak zapalony i zgorączkowany, że nie zauważył wcale jej powściągliwości. Mówił dalej gestykulując przy tym zamaszycie, póki pewne nazwisko, przypadkiem rzucone, nie przykuło uwagi Kay.

– Neuhuys? Masz na myśli malarza, który mieszkał w Amsterdamie?

– Tak. Obecnie mieszka w Hadze.

– Był zaprzyjaźniony z Vosem. Mój mąż nieraz przyprowadzał go do nas.

Vincent urwał nagle.

Vos! Zawsze tylko Vos! Dlaczego? Ostatecznie Vos umarł! Minął już przeszło rok, czas, by o nim zapomniała. Należał do przeszłości, podobnie jak Urszula. Dlaczego musiała każdą rozmowę pokierować tak, aby padło jego nazwisko? Już za czasów amsterdamskich nie lubił męża Kay.

Szły jesienne dni. Iglasty pokrowiec w lesie przybrał odcień rudobrunatny. Kay i Jan towarzyszyli co dzień Vincentowi, gdy szedł w pole malować. Twarz Kay nabrała dzięki spacerom żywszych kolorów, krok jej stał się pewniejszy i bardziej sprężysty. Zabierała teraz zawsze koszyczek z przyborami do szycia i ręce jej pracowały tak samo pilnie jak ręce Vincenta. Opowiadała nieraz swobodnie o swym dzieciństwie, o książkach, które czytała, o interesujących znajomych z Amsterdamu.

Rodzina Vincenta patrzyła chętnie na ich przyjaźń. Towarzystwo Vincenta budziło w Kay na nowo zainteresowanie życiem, a jej obecność w domu czyniła go o wiele uprzejmiejszym. Anna Kornelia i Theodorus dziękowali Bogu, że tak się składa, i czynili wszystko, co mogli, aby dwoje młodych zbliżyć jeszcze bardziej do siebie.

Vincent kochał wszystko w Kay: jej smukłą, subtelną postać w surowej czarnej sukni, czarny czepek, który wkładała idąc na spacer, zapach ciała, sposób, w jaki ściągała usta, gdy prędko mówiła, badawcze spojrzenie głębokich niebieskich oczu, delikatne muśnięcie jej ręki, gdy zabierała od niego syna; pełny, dźwięczny głos, który poruszał go do głębi i wibrował w nim jeszcze długo po rozmowie, nawet we śnie; połysk skóry, do której pragnął przylgnąć zgłodniałymi ustami.

Zdał sobie teraz jasno sprawę, że lata całe nie żył pełnią życia, że nagromadziła się w nim wielka czułość i serdeczność i że ominął go dar miłości. Sama bliskość Kay wystarczyła, aby go uszczęśliwić. Odczuwał jakiś dziwny brak, kiedy jej nie było. Gdy szła z nim w pole, praca zdawała mu się radosną igraszką, gdy zostawała w domu – każda linia była udręką. Kiedy wieczorami siedział naprzeciw niej przy wielkim stole i kopiował zrobione rano szkice, czuł zawsze jej delikatną twarz między sobą i papierem. A gdy odrywał chwilami wzrok od rysunku, by spojrzeć na Kay siedzącą w bladym świetle żółtej lampy, napotykał jej wzrok. Kay uśmiechała się do niego z słodką melancholią. Nieraz czuł, że nie wytrzyma już ani chwili z dala od niej, że na oczach całej rodziny schwyci ją w ramiona, wpije się gorącymi, suchymi wargami w jej chłodne usta.

Kochał nie tylko jej piękność, ale to wszystko, co stanowiło jej istotę: cichy, spokojny chód, doskonały spokój i dobre wychowanie, widoczne w każdym najdrobniejszym geście.

Nie odczuwał dotychczas, jak bardzo był samotny w ciągu tych siedmiu długich lat, odkąd stracił Urszulę. Żadna kobieta nie szepnęła mu nigdy tkliwego słowa, nie spojrzała na niego oczami zasnutymi pożądaniem, nie musnęła palcami jego twarzy, nie pokryła jej pocałunkami.

Nigdy dotąd nie kochała go kobieta – zaiste trudno to było nazwać życiem. Wówczas kiedy kochał Urszulę, nie było tak źle; był bardzo młody – chciał dawać i odepchnięto to, co dawał. Teraz jednak, w swej dojrzałej miłości, pragnął dawać i przyjmować. Wiedział, że nie potrafi żyć dalej, jeśli wzajemność Kay nie zaspokoi tego nowego głodu i tęsknoty. Pewnego wieczoru czytając Micheleta trafił na takie zdanie: „*Il faut qu me femme souffle sur toi pour que tu sois homme*²¹”.

Michelet miał rację. Nie był mężczyzną. Nie przyszedł jeszcze na świat, choć miał już lat dwadzieścia osiem. Piękność Kay i uczucie do niej zbudziły w nim wreszcie mężczyznę.

Pożądał Kay. Pożądał rozpaczliwie i namiętnie. Kochał również Jana, dziecko było bowiem częstką umiłowanej kobiety. Natomiast całym sercem nienawidził Vosa, gdyż czuł własną bezsilność, czuł, że nic nie potrafi wygnać go z pamięci Kay. Ale obojętna mu była

²¹Trzeba tchnienia kobiety, aby się stać mężczyzną.

dawna miłość Kay, podobnie jak lata własnych cierpień z powodu Urszuli. Dzięki cierpieniu oboje stali się czysti i godni miłości. Uda mu się na pewno zmusić Kay, aby zapomniała o mężu, który należał do przeszłości. Jego miłość musi być tak płomienna, aby wobec niej zatarło się wszystko inne. Wkrótce miał pojechać do Hagi i studiować u Mauve'a. Weźmie Kay z sobą i założą gniazdo rodzinne podobne do tego, które widział na Uileboomen. Chciał pojąć Kay za żonę, pragnął ją mieć zawsze w pobliżu, chciał mieć własny dom i dzieci do niego podobne. Dojrzał, stał się mężczyzną. Czas, by się ożenił i zaprzestał wędrówek. Nie wiedział do tej pory, ile rzeczy w nim było martwych wskutek braku miłości; gdyby wiedział, pokochałby namiętnie pierwszą lepszą kobietę. Miłość była solą życia. Bez niej niepodobna wydobyć z niego całego smaku.

Był teraz rad, że Urszula nie odwzajemniła jego uczuć. Jakie powierzchowne było jego ówczesne uczucie, jak głębokie i bogate było dzisiejsze. Gdyby ożenił się z Urszulą, nigdy nie dowiedziałby się, czym jest prawdziwa miłość. Nigdy nie mógłby pokochać Kay! Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że Urszula była płytkim, niemądrym dzieciakiem. I pomyśleć, że lata cierpiał z powodu takiej lalki! Jedna godzina z Kay warta była więcej niż całe życie z Urszulą. Przebył ciężką drogę, ale zawiodła go ona w końcu do Kay i to wyrównywało wszystko. Odtąd życie będzie piękne. Będzie pracował, będzie kochał, będzie sprzedawał swoje rysunki. I będą z sobą szczęśliwi. Życie każdego człowieka ma jakiś cel czy wzorzec, według którego należy je układać.

Mimo silnego napięcia uczucia i impulsywnej natury udawało mu się zachować opanowanie. Po tysiąc razy, gdy był sam na sam z Kay na spacerze i gdy rozmawiali o sprawach obojętnych, Vincent chciał zawołać: „Dość już, dajmy spokój udawaniu i obojętności! Chciałbym przytulić cię, całować i całować twoje usta! Chcę, żebyś była moją żoną! Moją na zawsze! Należymy do siebie, oboje jesteśmy tacy samotni i tak rozpaczliwie potrzebujemy jedno drugiego”.

Jakimś cudem panował jednak nad sobą. Nie mógł przecież ni stąd, ni zowąd mówić z nią o swej miłości. Kay nie ułatwiała mu tego niczym, unikała tematu miłości i małżeństwa. Jak i kiedy nadarzy się sposobność do pomówienia z nią o tych sprawach? Czuł, że musi się to stać wkrótce, zbliżała się bowiem zima, a wraz z nią przeprowadzka do Hagi.

Wreszcie nie potrafił przemóc się dłużej; pękła napięta struna woli. Pewnego dnia wybrali się w stronę Bredy. Przed południem Vincent szkicował robotników kopiących torf. Potem usiedli nad strumykiem, w cieniu kilku wiązów i zaczęli jeść zabrane z domu śniadanie. Jan spał w trawie; Kay siedziała koło koszyka z prowiantem. Vincent ukląkł obok i pokazywał jej rysunki. Nie umiał sobie potem zdać sprawy, jak się to stało, ale gdy klęczał przy niej, mówiąc prędko i gwałtownie, przypadkiem musnęła go ramieniem. Żywe dotknięcie wyzwoliło w nim długo powściągany żar, stracił panowanie nad sobą. Szkice wypadły mu z rąk, chwycił Kay w ramiona, przytulił do siebie, zasypał gwałtownymi, płomiennymi słowami:

– Nie potrafię już dłużej milczeć, Kay! Muszę ci to wreszcie powiedzieć! Kocham cię, Kay! Kocham bardziej niż siebie samego! Kochałem zawsze, już wtedy, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy w Amsterdamie. Muszę cię mieć zawsze przy sobie! Kay, powiedz, że mnie kochasz, że mnie choć trochę kochasz! Pojedziemy do Hagi, będziemy żyć wyłącznie dla siebie. Będziemy mieli swój dom, będziemy szczęśliwi! Kochasz mnie, Kay, prawda? Powiedz, że chcesz być moją żoną, Kay, najdroższa!

Kay nie próbowała nawet oswobodzić się z jego ramion. Wstręt i przerażenie obezwładniły ją. Nie słyszała wcale tego, co mówił. Przeczuwała tylko znaczenie słów i ogarnął ją straszliwy lęk. Jej niebieskie oczy, w których pełgały czarne błyski, spojrzały na niego okrutnie. Podniosła rękę do ust, aby zdusić krzyk.

– Nie, nigdy, nigdy! – krzyknęła dziko.

Wyrwała się z jego uścisku, schwyciła śpiące dziecko i jak szalona rzuciła się do ucieczki. Vincent pobiegł za nią, nie mogąc pojąć, co się stało.

– Kay! Kay! – wołał – nie uciekaj!

Jego krzyk przynaglił ją do tym większego pośpiechu. Vincent pędził za nią bez tchu, wymachując jak wariat rękami i próbując dawać znaki. Nagle Kay potknęła się i upadła w brudę między zagonami. Jan zaczął płakać. Vincent rzucił się przed nią na kolana i chwycił ją za rękę.

– Kay, dlaczego uciekasz przede mną, przecież ja cię kocham! Nie widzisz, że nie mogę żyć bez ciebie! Nie bój się, mówię przecież tylko, że cię kocham. I ty mnie kochasz także. Zapomnijmy o przeszłości, zaczniemy nowe życie!

Przestрах w oczach Kay zamienił się w nienawiść. Siłą wyrwała rękę z jego dłoni. Jan tymczasem całkiem rozbudził się. Strwożony okrzykami i dzikim wyrazem twarzy Vincenta, zarzucił matce ramiona na szyję i znów zaczął płakać.

– Kay, najdroższa, powiedz, że kochasz mnie chociaż trochę!

– Nie, nigdy, nigdy!

Pobiegła dalej, przez pola ku drodze. Vincent opadł na miękki piach, ogłuszony ciosem. Kay dotarła do drogi i zniknęła mu z oczu. Podniósł się i pobiegł za nią, wołając ją głośno. Dobiegłszy do drogi ujrzał ją daleko w dole; biegła pędem, tuląc dziecko do piersi. Zatrzymał się i patrzył za nią, aż zniknęła za zakrętem. Długo stał bez ruchu, potem wrócił na pole, pozbierał rozsypane rysunki, zapakował do koszyka resztki prowiantu, zarzucił sztalugi na plecy i zgnębiony powlókł się do domu.

Na plebanii panowała atmosfera przesycona burzą. Wyczuł to już od progu. Kay zamknęła się z Janem w swoim pokoju. Matka i ojciec siedzieli sami. Rozmawiali z sobą, ale na widok syna urwali w pół słowa. Vincent zamknął drzwi za sobą. Ojciec musiał być bardzo rozgniewany, gdyż prawa powieka zwisała bardziej niż zwykle.

– Jak mogłeś, Vincencie? – żaliła się matka.

– Jak co mogłem?... – nie był pewien, co mają mu do zarzucenia.

– Obrazić w ten sposób twoją kuzynkę!

Vincent nie umiał dać na to odpowiedzi. Zdjął z pleców sztalugi i postawił je w kącie. Ojciec był jeszcze zbyt zdenerwowany, by mówić.

– Czy Kay opowiedziała dokładnie, co zaszło? – zapytał Vincent.

Ojciec rozluźnił wysoki, sztywny kołnierz, który zdawał mu się wpijać w kark. Prawą ręką trzymał się kurczowo za kant stołu.

– Powiedziała nam, że zachowałeś się jak wariat, żeś ją porwał w ramiona i gadał od rzeczy.

Vincent odparł spokojnie:

– Powiedziałem jej, że ją kocham. Nie pojmuję, dlaczego to ma być obrazą.

– Czy to wszystko coś jej powiedziało? – indagował ojciec lodowatym głosem.

– Nie. Prosiłem ją, aby została moją żoną.

- Twoją żoną!
- Tak. Czy to takie dziwne?
- Ach, Vincencie, Vincencie – biadała matka – jak mogłeś myśleć o czymś podobnym?
- Zdaje się, że wy też myśleliście o tym.
- Ale czy mogło mi wpaść do głowy, że się w niej zakochasz!
- Vincencie – wtrącił ojciec – czy wiesz, że Kay jest twoją siostrą cioteczną?
- Tak. I cóż z tego?
- Nie możesz się żenić z kuzynką. To byłoby... byłoby...

- pastor nie mógł wypowiedzieć tego słowa.

Vincent podszedł do okna i wpatrzył się w ogród.

- Byłoby czym? – zapytał.

- Kazirodztwem.

Vincent opanował się z wysiłkiem. Jak śmieli bezcześcić jego wielkie uczucie!

- To nonsens, ojcze. I ciebie niegodne!

- Powtarzam, to byłoby kazirodztwem! – krzyknął Theodorus. – Nie pozwolę na coś podobnego w rodzinie van Goghów.

- Mam nadzieję, że nie cytujesz Biblii, ojcze. Tam bowiem stale mówi się o małżeństwach między kuzynami.

- Ach, Vincencie, Vincencie – jęczała matka – jeśli ją kochasz, dlaczego nie czekałeś? Jej mąż zmarł dopiero przed rokiem. Kay kocha go wciąż jeszcze. A nadto wiesz dobrze, że nie masz pieniędzy na utrzymanie żony.

- Moim zdaniem to, coś uczynił, jest wielkim nietaktem i świadczy o twej niedojrzałości – odezwał się ojciec.

Vincent aż się cofnął. Poszukał nerwowo fajki, potrzymał ją chwilę w ręku i wetknął z powrotem do kieszeni.

- Ojcze, muszę cię prosić stanowczo i kategorycznie, abyś poniechał podobnych wyrażeń. Moja miłość do Kay jest najpiękniejszą rzeczą w moim życiu. Nie pozwolę, abyś nazywał to uczucie „nietaktem” i „niedojrzałością”.

Chwycił sztalugi i poszedł do swego pokoju. Usiadł na brzegu łóżka i pytał sam siebie: „Co się właściwie stało? Co złego uczyniłem? Powiedziałem Kay, że ją kocham – a ona uciekła. Dlaczego? Czy mnie nie znosi?”

„Nie, nigdy, nigdy!”

Całą noc męczył się przypominaniem sobie i przeżywaniem sceny ubiegłego dnia. Za każdym razem dochodził do tego samego punktu: do tych trzech słów Kay. Huczały mu w uszach niby dzwon pogrzebowy.

Kiedy nazajutrz zdecydował się wreszcie zejść na dół, był już późny ranek. Napięcie zelzało. W kuchni zastał matkę. Gdy do niej podszedł, ucałowała go i poklepała serdecznie po twarzy.

- Spałeś, mój chłopcze? – spytała.

- Gdzie Kay?

- Ojciec pojechał z nią do Bredy.

- Po co?

- Na dworzec. Wraca do domu.

- Do Amsterdamu?

- Tak.
- Rozumiem.
- Sądziła, że tak będzie lepiej, Vincencie.
- Czy zostawiła coś dla mnie? Jakiś list – albo polecenie?
- Nie, mój kochany. Usiądź, zjedz śniadanie.
- Ani słowa w związku z dniem wczorajszym? Czy jeszcze wciąż była zła na mnie?
- Nie, oświadczyła tylko, że powinna pojechać do domu, do rodziców.

Anna Kornelia postanowiła nie powtarzać wszystkiego, co Kay naprawdę powiedziała.

Włożyła jajka do gotującej się wody.

- O której godzinie odchodzi pociąg z Bredy? – spytał Vincent.
- Dziesiąta dwadzieścia.

Vincent spojrział na niebieski zegar kuchenny.

– To właśnie teraz odjeżdża.

– Tak.

– W takim razie już nic nie zrobię.

– Chodź, siadaj tutaj. Przygotowałam ci świeży, smaczny ozór.

Uprzątnęła stół z jednego końca, nakryła serwetą i przyniosła śniadanie. Stała nad nim i namawiała go do jedzenia; zdawało jej się, że wystarczy, aby dobrze zjadł, a wszystko będzie w porządku. Vincent zmuszał się do jedzenia, widząc, że matkę to cieszy. Ale każdy kęs miał posmak goryczy, przepojony był krótkim, stanowczym: „nigdy, nigdy!”

VII

Vincent wiedział, że pracę swoją kocha bardziej niż Kay. Gdyby miał między nimi wybierać, nie zawahałby się ani chwili.

Mimo to po jej odjeździe stracił zupełnie chęć do pracy. Przejrzał szkice z Brabancji wiszące na ścianach – tak jest, od czasu miłości do Kay zrobił postępy. Wprawdzie wciąż jeszcze rysunki jego miały pewną szorstkość i surowość, lecz miłość Kay odmieniłaby i to także. Jego uczucie było poważne i dostatecznie głębokie na to, aby nie dać się odstraszyć tym, choćby nie wiem jak często powtarzonym: „Nie, nigdy, nigdy!” Odmowa Kay legła mu na duszy niby bryła lodu. Ale czuł w sobie dosyć siły, aby stopić tę bryłę w żarze serca. Kiełkujące w nim zwątpienie przeszkadzało mu w pracy. A jeśli nie potrafi wpłynąć na nią, aby zmieniła swą decyzję? Wydawało mu się, że Kay ma jak gdyby skrupuły na samą myśl o nowej miłości. Pragnął oduczyć ją chorobliwego grzebania się w tym, co przeszło.

Siedział w swoim pokoju i pisał do Kay namiętne, błagalne listy. Dopiero po tygodniach dowiedział się, że ich w ogóle nie czytała. Pisał również codziennie do Thea, zaufanego przyjaciela i brata, dodając tym sobie ducha w chwilach zwątpienia i walki ze zjednoczonymi atakami rodziny i pastora Strickera, ojca Kay. Cierpiał niewymownie i nie zawsze udawało mu się ukryć ból. Matka starała się go pocieszyć, współczuła mu całym sercem.

- Vincencie – powiedziała raz – głową muru nie przebijesz. Wuj Stricker powiada, że jej „nie” jest nieodwołalne.
- To, co on mówi, nie jest dla mnie miarodajne.
- Ależ ona mu to powiedziała, kochany!
- Że mnie nie kocha?...

- Tak, i że nigdy nie zmieni swego zdania.
- Zobaczymy jeszcze!
- To sprawa beznadziejna, Vincencie. Wuj Stricker oświadczył, że gdyby nawet Kay cię kochała, on przenigdy nie da zezwolenia na to małżeństwo, zanim nie będziesz zarabiał co najmniej tysiąca franków rocznie. A do tego czasu jeszcze wiele wody upłynie.
- Nie, matko! Kto kocha, ten żyje. Kto żyje, ten może pracować. A kto pracuje, ten zdobędzie chleb!
- To brzmi ładnie, mój synu. Ale Kay wyrosła w luksusie, przyzwyczajona jest do wygodnego i dostatniego życia.
- Nie jest bynajmniej przez to szczęśliwsza.
- Jeślibyście oboje postąpili nierozsądnie i sentymentalnie i pobrali się mimo wszystko, groziłaby wam nędza, gdyż jej rodzina nie dałaby wam ani franka.
- Głód, chłód i nędza nie są dla mnie niczym nowym, mamó, nie potrafią mnie odstraszyć. Nawet w tym wypadku byłoby nam lepiej razem niż z osobna.
- Ależ, synu, jeśli Kay cię nie kocha...
- Gdybym tylko mógł pojechać do Amsterdamu! Wierz mi, że potrafiłbym odmienić jej „nie” na „tak”.

Uważał za jedną z najdokuczliwszych *petites miseres de la vie humaine*²², że nie mógł nawet widzieć ukochanej, bo nie potrafił zarobić paru marnych franków na bilet do Amsterdamu. Bezsilność, na którą był skazany, doprowadzała go do szału. Miał lat dwadzieścia osiem. Od dwunastu lat pracował ciężko, odmawiał sobie wszystkiego, a mimo to nie potrafił teraz zdobyć nędznej kwoty na bilet. Od biedy mógłby przewędrować pieszo tych sto kilometrów. Ale wówczas przybyłby do Amsterdamu brudny, głodny i zmęczony. Nie lękał się tego ze względu na siebie, lecz nie mógł pokazać się w domu wielbnego pastora Strickera w takim stanie, w jakim zjawił się. niegdyś u wielbnego pastora Pietersena. W końcu napisał do brata dwa listy – jeden rano, drugi tego samego dnia wieczorem:

„Drogi Theo!

Jestem w rozpaczliwej sytuacji. Muszę wystarać się w jakiś sposób o pieniądze na podróż do Amsterdamu. Posyłam ci kilka rysunków. Napisz mi, dlaczego nie możesz ich sprzedać i co muszę uczynić, aby je chciano kupować. Muszę zarobić na bilet do Amsterdamu, muszę dociec, co kryje się za jej słowami «Nie, nigdy, nigdy»”.

W następnych dniach poczuł przyływ nowych sił i otuchy. Miłość dodała mu pewności siebie. Stłumił nurtujące go dawniej wątpliwości. Wierzył teraz, że jeśli tylko zobaczy Kay, jeśli pomoże jej zrozumieć, jakiego rodzaju człowiekiem jest w rzeczywistości, będzie mógł zmienić to: „Nie, nigdy, nigdy!”, na: „Tak, tak – na zawsze”.

Gorliwie zabrał się znów do roboty. Rękę miał jeszcze trochę ociężałą, lecz ufał, że uda mu się to przemóc, podobnie jak uda mu się pokonać opór Kay.

Napisał do pastora Strickera długi list, w którym raz jeszcze przedstawił jasno stan rzeczy. Nie ukrywał zgoła swoich uczuć i uśmiechał się w głębi serca, wyobrażając sobie okrzyki wuja podczas lektury tego listu. Ojciec zakazał mu pisania do wuja; na plebanii przygotowywała się po cichu prawdziwa walka. Według pastora van Gogha należało podporządkować życie zasadom ścisłego posłuszeństwa i surowego pełnienia

²²Drobne niedole życia ludzkiego.

obowiązków. Nie chciał widzieć ułomności ludzkiej natury. Jeżeli jego syn nie potrafi się poddać ustanowionym formom życia, syn ponosi winę, nie te formy.

– To wina tych francuskich książek, które czytasz – powiedział Theodorus do syna przy kolacji. – Jeżeli zadajesz się ze złodziejami i mordercami, nie możesz zachowywać się jak posłuszny syn i džentelmen.

Vincent oderwał oczy od Micheleta²³ i podniósł je na ojca w łagodnym zdumieniu:

– Złodziejami i mordercami? Czy masz na myśli Hugo i Micheleta?

– Nie, ale oni piszą o takich ludziach. Ich książki są pełne zła.

– Nonsens, ojcze! Michelet jest czysty jak Biblia.

– Nie pozwolę na bluźnierstwa, młokosie – uniósł się Theodorus w szlachetnym oburzeniu. – To książki niemoralne! To te francuskie idee zrujnowały cię!

Vincent wstał, obszedł stół dokoła i położył przed ojcem *L'Amour et la Femme*²⁴.

– Jest tylko jeden sposób przekonania cię – rzekł. – Przeczytaj po prostu kilka stron. Sprawia na tobie wielkie wrażenie. Michelet pragnie tylko pomóc nam w rozwiązaniu naszych trosk i problemów.

Theodorus zrzucił książkę ze stołu gestem człowieka cnotliwego, odrzucającego grzech.

– Nie potrzebuję tego czytać! – krzyknął. – Mieliśmy w rodzie van Goghów stryjecznego dziadka, który na skutek lektury książek francuskich został pijakiem.

– *Mille pardons*²⁵ – ojcze Michelet – szepnął Vincent podnosząc książkę.

– A czemu to „ojcze Michelet”, jeśli wolno spytać? – rzucił Theodorus lodowatym tonem. – Czy chcesz mnie obrazić?

– Nie miałem zamiaru, lecz powiem ci szczerze, ojcze, że gdybym potrzebował rady, zwróciłbym się raczej do Micheleta niż do ciebie. Miałbym z niego znacznie więcej pociechy.

– Nie mów takich rzeczy, Vincencie – błagała matka.

– Dlaczego zrywasz więzy rodzinne?

Tak, to właśnie czynisz – zawołał Theodorus. – Zrywasz więzy rodzinne. Twoje postępowanie jest niewybaczalne. Lepiej, żebyś opuścił ten dom i zamieszkał gdzie indziej! Vincent poszedł do swego pokoju i usiadł na łóżku, leniwie zastanawiając się, dlaczego ilekroć go coś żywo zaboli, siada na łóżku, nie na krześle. Rozejrzał się dokoła, popatrzył na szkice kopaczy, siewców, oraczy, szyjącej dziewczyny, drwali, sprzątaczk. Tak jest, postęp był widoczny. Szedł naprzód! Ale jego praca tu nie była jeszcze skończona. Maure wróci dopiero za miesiąc z Drenthe. Nie chciał jeszcze opuszczać Etten. Musiał mieć jeszcze trochę czasu, aby przewyciężyć opór formy i uchwycić istotę ludzi Brabancji, zanim stąd odejdzie. Ojciec wygnał go z domu, lecz zrobił to w gniewie. Gdyby tak naprawdę myślał... Czy rzeczywiście postąpił tak źle, że zasłużył na wyrzucenie z domu?

Nazajutrz z rana otrzymał Vincent dwa listy. Jeden był odpowiedzią na jego polecony list do wuja Strickera z dopiskiem ciotki. List był utrzymany w takim tonie, że nie było wątpliwości co do ich stanowiska. Donosili, że Kay kocha innego, że ten inny jest zamożnym człowiekiem i że go proszą, aby zaniechał wreszcie swych dzikich ataków na ich córkę.

²³Michelet Jules (1798-1874) – wybitny historyk francuski i pisarz, wykładowca w College de France, przyjaciel Daumiera i Mickiewicza.

²⁴Miłość i kobieta.

²⁵Najmocniej przepraszam.

„Na całym świecie nie ma ludzi tak oschłego serca, tak światowych i pozbawionych wiary jak duchowni” – powiedział do siebie Vincent i podarł list z taką pasją, jak gdyby zadawał tym ból samemu pastorowi.

Drugi list był od Thea:

„Rysunki Twoje posiadają wiele wyrazu. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby je sprzedać. Tymczasem załączam dwadzieścia dwa franki na bilet do Amsterdamu. Wszystkiego dobrego, mój stary!”

VIII

Mrok zapadł, gdy Vincent wychodził z dworca amsterdamskiego. Spieszył przez dobrze znane ulice, zatrzymując się tylko na chwilę na moście przy Heerengracht, by przyjrzeć się barkom napełnionym kwiatami i ludziom jedzącym na pokładzie chleb i śledzie. Potem skręcił na lewo w Keizersgracht, minął długi rząd wąskich, typowo flamandzkich domów i po chwili znalazł się przed żelaznymi sztachetami i kamiennymi schodami domu pastora Strickera. Przemknęło mu przez głowę, że właśnie tutaj, w tym samym miejscu, stał przed swą pierwszą wizytą w tym domu. Miałyby istnieć miasta, gdzie pewnych ludzi spotyka tylko nieszczęście? Całą drogę odbył niemal pędem, teraz przed domem zawahał się. Spojrzawszy w górę, zauważył żelazny hak sterczący nad jednym z okien poddasza i pomyślał, że świetnie można by wykorzystać go do powieszenia się. Przeszedł na drugą stronę szerokiego chodnika z czerwonej cegły i przystanął na skraju kanału. Czuł, że zadecyduje o całym jego dalszym życiu najbliższa godzina. Gdyby tylko mógł zobaczyć Kay, pomówić z nią w cztery oczy, wytłumaczyć jej wszystko!... Ale ojciec jej miał klucz od drzwi frontowych. A co będzie, jeśli wielebny pastor Stricker nie zechce go wpuścić do domu?

Barka piaskarzy płynęła z wolna pod prąd na miejsce nocnego zakotwiczenia. Na ciemnym brzegu, gdzie wyładowywano łodzie widniała smuga wilgotnego, żółtego piasku. Vincent zauważył, że tym razem nie było sznura od bielizny przeciągniętego przez całą długość łodzi, i zastanawiał się, dlaczego.

Chudy, kościsty mężczyzna ciężko opierał się piersią o drąg, a szeroka, niezgrabna łódź wyślizgiwała się spod niego i płynęła wolno pod prąd. Kobieta w brudnym fartuchu siedziała z tyłu jak głaz wyrzeźbiony przez wodę, trzymając rękę za sobą, na niezgrabnym sterze. Na daszku kabiny stał mały chłopiec, dziewczynka i brudny psiak; wszyscy troje spoglądali w zamyśleniu na Keizersgracht. Vincent przeszedł powoli pięć kamiennych stopni wiodących do drzwi domu i zadzwonił. Służąca otworzyła drzwi i spojrzała na człowieka stojącego w cieniu przed bramą, poznała i zagroziła mu wejście.

– Czy wielebny pastor jest w domu? – zapytał Vincent.

– Nie, wyszedł. – Dziewczyna otrzymała snadź ściśle wskazówki.

Vincent posłyszał głosy w głębi domu. odsunął szorstko dziewczynę. – Proszę się usunąć – rzekł gniewnie.

Służąca pobiegła za nim, usiłując znów zatarasować przejście.

– Państwo są przy stole – protestowała – nie może pan teraz wejść!

Vincent minął długą sień i wszedł do jadalni. W progu mignęła mu znajoma czarna suknia i znikła za przeciwległymi drzwiami. Pastor Stricker siedział przy stole z ciotką Wilhelminą i dwojgiem młodszych dzieci. Nakryte było dla pięciu osób. Na pustym

miejscu, gdzie krzesło było odsunięte, stał ledwo napoczęty talerz z cielęciną, kartoflami i fasolą.

- Nie mogłam zatrzymać – tłumaczyła się służąca.
- Wlaził siłą.

Na stole stały dwa srebrne lichtarze z płonącymi wysokimi białymi świecami, jedyne oświetlenie pokoju. Wizerunek Kalwina na ścianie wyglądał niesamowicie w żółtym, migotliwym blasku. Srebro naczyń na rzeźbionym kredensie połyskiwało w ciemności.

- Ależ, Vincencie – zaczął wuj – twoje maniery są z dnia na dzień gorsze!
- Chciałbym pomówić z Kay.
- Nie ma jej w domu. Wyszła do znajomych.
- Kiedy zadzwoniłem, siedziała jeszcze na tym miejscu i dopiero zaczynała jeść.

Stricker zwrócił się do żony:

– Wyprowadź dzieci! Vincencie – rzekł, gdy zostali sami – przysparzasz nam wiele kłopotu. Nie tylko ja, wszyscy inni w rodzinie również stracili do ciebie cierpliwość. Jesteś włóczęgą, nicponiem i gburem, a nadto, o ile mogę osądzić, złym, niewdzięcznym człowiekiem. Jakim prawem wmawiasz sobie, że wolno ci kochać moją córkę? To mnie obraża!

- Pozwól mi widzieć się z Kay, wuju! Chcę z nią pomówić.
- Kay nie chce cię widzieć, czas już, byś jej oszczędził twojego widoku!
- Czy Kay sama to powiedziała?
- Tak jest.
- Nie wierzę.

Pastor skamieniał z oburzenia. Po raz pierwszy, odkąd został pastorem, zdarzyło się, że ktoś zarzucił mu kłamstwo.

- Jak śmiesz podawać w wątpliwość moje słowa!
- Nie uwierzę w to nigdy, póki nie usłyszę z jej własnych ust! I nawet wtedy – także nie!
- Gdy pomyślę, ile cennego czasu i pieniędzy zmarnowałem tu w Amsterdamie na ciebie!...

Vincent opadł półżywy na krzesło, na którym przed chwilą siedziała Kay, i oparł ramiona na stole.

– Wuju, wysłuchaj mnie. Pokaż, że duchowny może mieć również ludzkie serce. Kocham twoją córkę. Kocham ją rozpaczliwie. Dniem i nocą, o każdej godzinie myślę o niej i tęsknię za nią. Pracujesz w służbie bożej i na miłość boską, zlituj się nade mną! Nie bądź okrutny! Wiem, że nie mogę się wykazać powodzeniem, lecz zostaw mi czas, a i to przyjdzie. Pozwól okazać jej moją miłość, wytłumaczyć, dlaczego powinna mnie kochać. Czyś sam nigdy nie kochał, czy nie wiesz, jaką męką jest miłość? Cierpiałem dosyć, pozwól mi raz w życiu być szczęśliwym. Daj mi tylko sposobność zdobycia jej serca! Nie chcę nic więcej! Nie potrafię dłużej znieść tej samotności i cierpienia!

Pastor Stricker patrzył chwilę na niego, potem powiedział:

– Czyżbyś był doprawdy tak nędznym tchórzem, że nie potrafisz znieść odrobiny bólu? Czy zawsze musisz się skarżyć?

Vincent zerwał się na równe nogi. Opadła z niego cała miękkość i łagodność. Uderzyłby prawdopodobnie wuja, gdyby ich nie dzielił stół, na którym stały dwa ciężkie

srebrne świeczniki z wysokimi świecami. W lodowatym milczeniu stali naprzeciw siebie i patrzyli sobie nienawistnie w oczy.

Vincent nie wiedział, ile czasu minęło. Podniósł rękę i trzymał ją w pobliżu świecy.

– Pozwól mi mówić z Kay tak długo, jak długo wytrzymam z ręką w płomieniu tej świecy!

Przy tych słowach włożył dłoń w płomień. Natychmiast w pokoju pociemniało. Ręka czerniała od kopcia, potem w ciągu kilku sekund rozogniła się do czerwoności. Vincent nie cofnął jej – oczy wlepił drętwo w pastora. Pięć sekund... dziesięć. Na dłoni wyskoczyły pęcherze, oczy pastora rozszerzyły się z trwogi. Był jakby sparalizowany. Chciał mówić, zaczynał, nie mógł słowa wykrztusić, nie mógł się poruszyć. Okrutna siła przenikliwych oczu Vincenta trzymała go pod urokiem. Piętnaście sekund... Skóra poczynąła pękać, lecz ramię nawet nie drgnęło. W końcu pastor poderwał się jednym skokiem.

– Szaleńcze! – krzyknął przeraźliwym głosem. – Głupcze!

Rzucił się na stół, wyrwał świecę spod ręki Vincenta i zgniótł płomień. Potem pochylił się nad lichtarzem, zgasił drugą świecę. Pokój pograżył się w mroku. Dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie w zupełnej ciemności, lecz aż za dobrze widzieli siebie.

– Jesteś szalony! – krzyczał pastor. – Kay gardzi tobą z całej duszy. Opuść natychmiast mój dom i nie waż się nigdy przestąpić jego progu!

Vincent szedł powoli przez ciemne ulice i znalazł się nieoczekiwanie na jednym z dalekich przedmieść. Wdychał swojski, słodkawo-zgniły zapach bijący z martwych kanałów. W świetle gazowej latarni na rogu ulicy obejrzał lewą rękę. Głęboko zakorzeniony instynkt ustrzegł go widać od spalenia prawej, tej, która rysowała. Oparzelizna wyglądała teraz jak czarna dziura... Minął szereg niewielkich odnóg wodnych, woniejących morzem, które się stąd dawno cofnęło. Znalazł się nagle przed domem Mendesa da Costy. Przysiadł na ławce nad kanałem. Rzucił na zielony pokrowiec rzęsy mały kamyk. Kamyk zanurzył się i opadł, chociaż nie widać było wody.

Kay odeszła z jego życia. Owo: „Nie, nigdy, nigdy!” trysnęło z głębin jej duszy. Krzyk jej huczał mu w głowie, przybierał nowe pełniejsze znaczenie. Nigdy, nigdy już nie ujrzy jej więcej, nie posłyszysz jej śpiewnego głosu, nie zobaczy niebieskich, głębokich oczu ani uśmiechu, który je rozświecila, nigdy nie poczuje ciepła jej ciała. Nigdy nie pozna miłości, nie dowie się, co znaczy być kochanym. Albowiem miłość nie żyje nawet tak długo, jak długo można wytrwać z ręką w ogniu – w bólu gorejącym!

Dziki, niepohamowany krzyk rozdarł mu krtań. Vincent podniósł lewą rękę i zdusił go. Nikt w Amsterdamie i na świecie nie powinien się nigdy dowiedzieć, że został osądzony i uznany za niegodnego... Na wargach czuł gorzki posmak niespełnionego pragnienia.

Księga trzecia

HAGA

I

Mauve nie wrócił jeszcze z Drenthe. Vincent szukał mieszkania w okolicy Uileboomen i znalazł w końcu pokój za dworcem Ryn za czternaście franków miesięcznie. Pracownia – do tej pory zwyczajny i dość obszerny pokój – miała niszę kuchenną i wielkie okno wychodzące na południe. W jednym kącie stał niski piec z długą, czarną rurą, która przez sufit wychodziła na zewnątrz. Tapety były jasne, nieokreślonej barwy. Przez okno mógł Vincent widzieć plac ze składem drzewa należący do właściciela domu, dalej zieloną łąkę i rozległe piaszczyste wydmy. Dom stał przy ulicy Schenkweg, ulicy najdalej wysuniętej na południowy wschód i graniczącej z łąkami. Wszystko dokoła pokryte było sadzą, gdyż w pobliżu z łomotem i dymem przetaczały się parowozy.

Vincent kupił sobie solidny stół kuchenny, dwa krzesła i ciepły koc. Spać musiał na razie na podłodze, bo nie starczyło mu na kupno łóżka. Skromny zasób gotówki wyczerpał zupełnie na te inwestycje; zbliżał się jednak pierwszy, wtedy zaś zgodnie z umową Theo miał mu przysłać sto franków. Zimny styczeń uniemożliwiał pracę na dworze, a że Vincent nie miał pieniędzy na modela, musiał założyć beczynną rękę i czekać na powrót Mauve'a.

Nareszcie Mauve wrócił. Vincent odwiedził go zaraz w jego atelier. Mauve był właśnie w trakcie przygotowań do wielkiego obrazu na doroczny Salon. Tematem miała być scena rybacka z Scheveningen.

Mauve i jego żona wątpili, czy Vincent przyjedzie do Hagi. Zbyt często widzieli młodych ludzi, którzy w pewnej fazie życia chcą poświęcić się sztuce, a po krótkim czasie porzucają te plany.

– Więc naprawdę przybyłeś do Hagi – powitał go Mauve. – Dobrze, zrobimy z ciebie malarza. Masz już mieszkanie?

– Tak, przy Schenkweg, tuż za dworcem Ryn.

– No, to blisko stąd. A jak się ma sprawa z pieniędzmi?

– Zostało mi jeszcze trochę. Kupiłem stół i dwa krzesła.

– I łóżko zapewne też? – wtrąciła Jet.

– Nie, dotychczas śpię na podłodze.

Mauve pomówił cicho z Jet, która wyszła i po chwili wróciła z sakiewką. Mauve wyjął banknot stuguldenowy i wręczył Vincentowi.

– Chcę, abys to wziął jako pożyczkę, Vincencie! Kup sobie zaraz łóżko. Odpoczynek w nocy jest konieczny. A jak z czynszem, czy już zapłacony?

– Jeszcze nie.

– W takim razie załatw to od razu. A jak ze światłem?

– Światła jest dosyć, ale niestety okno wychodzi na południe.

– To niedobrze. Postaraj się to zmienić. Co dziesięć minut będziesz miał inne naświetlenie. Kup sobie firanki.

– Nie chciałbym od ciebie pożyczać pieniędzy, kuzynie. Dość już, że zgadzasz się mnie uczyć.

– Nonsens, Vincencie! Raz w życiu każdy musi urządzić sobie gospodarstwo, posiadanie własnych rzeczy wypada z pewnością taniej.

– To prawda. Liczę, że wkrótce będę mógł sprzedać parę rysunków. Wtenczas oddam ci dług. Tersteeg będzie ci w tym pomocny. Moje rzeczy kupował również, kiedy byłem młodszy i dopiero zaczynałem. Ale musisz zacząć malować farbami wodnymi i olejnymi. Na szkice ołówkowe nie ma popytu.

Mimo okazałej postaci Mauve miał ruchy prędkie i nerwowe. Zaledwie jego oczy spoczęły na czymś, czego szukał, natychmiast ramię sięgało w tę stronę, a za ramieniem cała postać.

– Tu jest pudełko z farbami wodnymi, pędzle, szpachla, paleta, olej i terpentyna. Pokażę ci zaraz, jak się trzyma paletę i stoi przed sztalugami.

Wyłożył kilka początkowych zasad techniki malarskiej. Vincent pojął je w mig.

– Dobrze – pochwalił Mauve. – Obawiałem się, że zabierzesz się niezgrabnie do rzeczy, ale tak nie jest. Przychodź tu rankami i weź się do akwarel. Poza tym zgłoszę cię na kandydata do naszego stowarzyszenia²⁶, będziesz tam mógł rysować kilka razy w tygodniu modele, a nadto zetkniesz się z malarzami. Kiedy zaczniesz sprzedawać prace, zostaniesz członkiem zwyczajnym.

– O tak, modele są dla mnie bardzo ważne! Jeśli się tylko da, będę sobie wynajmował co dzień modela do domu. Gdy uda mi się opanować ludzką postać, wszystko inne przyjdzie samo.

– Słusznie – potwierdził Mauve – postać ludzka jest rzeczą najtrudniejszą, ale gdy się pokona tę trudność, drzewa, krowy i zachody słońca są błahostką. Jeśli ktoś zaniedbuje postać, czyni to zwykle dlatego, że nie dorósł do trudności.

Vincent kupił sobie łóżko i zasłony do okien, zapłacił czynsz i rozwiesił na ścianach studia z Brabancji. Wiedział, że nie nadają się na sprzedaż, nietrudno mu było teraz dostrzec ich wady, a jednak tkwiło w nich coś z natury. Coś namiętnego – sam dobrze nie wiedział co ani skąd się wzięło. Uświadomił to sobie dopiero jasno w trakcie znajomości z de Bockiem.

De Bock był czarującym człowiekiem. Dobrze wychowany, miał gładkie maniery i stałe dochody. Wychowywał się w Anglii. Vincent poznał go u Goupilów. De Bock był we wszystkim jego przeciwieństwem. Brał życie lekko, niczym się nie wzruszał, a jego sposób bycia cechowała subtelność. Usta miał tak małe, że linia ich nie wychodziła poza linię nosa.

– Może pan przyjdzie do mnie na herbatę – zaprosił Vincenta. – Chciałbym panu pokazać kilka ostatnich rzeczy. Pracuję z nowym zapalem, odkąd Tersteeg mnie sprzedaje.

Pracownia de Bocka leżała w Willemspark, w arystokratycznej dzielnicy Hagi. Ściany miały obicia z aksamitu o stonowanej barwie, w każdym kącie stały otomany pełne ozdobnych poduszek. Były tu stoliki z przyborami do palenia, półki pełne książek i perskie dywany. Vincent na myśl o swej pracowni poczuł się jak pustelnik. De Bock nastawił samowar i posłał gospodynię po ciastka. Potem wyjął z szafy obraz i postawił na sztalugach.

²⁶Mowa tu o stowarzyszeniu malarzy w Hadze pod nazwą Pulchri Studio.

– To moja ostatnia praca – rzekł. – Zapali pan może cygaro? Niekiedy obraz na tym zyskuje – mówił tonem lekko żartobliwym.

Odkąd Tersteeg wystawiał jego prace, nabrał ogromnej pewności siebie. Był pewien, że obraz spodoba się Vincentowi. Wyjął długiego rosyjskiego papierosa, z których znany był w całej Hadze, i zaczął obserwować wyraz twarzy Vincenta.

Vincent poprzez sinawy dymek wybornego cygara przyglądał się uważnie obrazowi. Wczuwał się w położenie de Bocka. Znał ten straszliwy moment niepewności, kiedy artysta po raz pierwszy ukazuje obcym oczom swoje dzieło. Co miał powiedzieć? Pejzaż nie był ani zły, ani dobry. Był taki sam jak de Bock – nie miał głębi. Chociaż obraz należał do tych dzieł, które można ogarnąć jednym spojrzeniem, Vincent przyglądał mu się dalej uważnie, gdyż pamiętał dobrze własne zdenerwowanie, jeśli ktoś ośmielił się traktować z góry jego prace.

– Posiada pan wyczucie pejzażu – rzekł w końcu. – A z pewnością potrafi pan przepoić go urokiem.

– Dziękuję – odparł de Bock, widocznie uradowany uwagą, którą uznał za pochwałę. – Czy można nalać panu herbaty?

Vincent trzymał kurczowo filiżankę w obawie, że uroni trochę płynu na kosztowny dywan, i rozpaczliwie usiłował znaleźć wyjście z niemiłej sytuacji. Nie chciał stawiać zarzutów dziełu de Bocka, gdyż lubił tego człowieka i pragnął jego przyjaźni. Lecz obiektywnie patrzący artysta buntował się w nim. Vincent nie mógł powstrzymać się od krytyki.

– Ale jest coś w tym obrazie, co mi się nie bardzo podoba.

– Co takiego nie podoba się panu? – rzucił od niechcienia de Bock.

– Ludzkie postacie... nie są... dość prawdziwe.

De Bock wyciągnął się na wygodnym tapczanie i powiedział:

– A wie pan, już nie raz postanawiałem przestudiować nieco dokładniej ludzką postać. Ale jakoś nigdy nie mogę. Biorę sobie modela, pracuję pilnie parę dni, a potem znów jakiś pejzaż przykuwa całą moją uwagę. Ale ostatecznie pejzaże są moją silną stroną, po co więc miałbym męczyć się nad ludzką postacią, prawda?

– Co do mnie, nawet malując krajobraz, lubię umieścić w nim jakąś postać – odparł Vincent. – Pan maluje o wiele dłużej ode mnie, jest pan uznanym artystą. Czy pozwoli mi pan mimo to na parę słów przyjaznej krytyki? Z przyjemnością.

– A zatem powiedziałbym, że pańskiej pracy brak namiętności.

– Namiętności? – zdziwił się de Bock i zerknął ku Vincentowi. – Którą z licznych jej odmian ma pan na myśli?

– Trudno to objaśnić. Obraz nie tłumaczy się uczuciowo. Moim zdaniem powinno być w nim więcej żaru i intensywności.

– Ależ, proszę pana – bronił się de Bock siadając prosto i wpatrując się badawczo w jeden ze swych obrazów – nie mogę przecie rozlać uczucia na cały obraz dlatego tylko, że ktoś tego żąda. Maluję, co widzę i co czuję. Skoro nie odczuwam żadnej namiętności, jakże mam ją, do diabła, uwiecznić pędzlem?

Po powrocie do domu, własna pracownia wydała się Vincentowi biedna i brudna, lecz jej surowa powaga miała swoje dobre strony. Pracownia powinna być miejscem pracy – nie pokojem mieszkalnym; wsunął łóżko do kąta i pochował garnki i talerze. Miesięczna

pensja od Thea nie nadeszła dotąd, pozostało mu jednak jeszcze parę franków z pożyczki Mauve'a. Wziął sobie za to modela. Po paru dniach zjawił się Mauve.

– Niedaleko stąd do mnie – rzekł – szedłem niecałe dziesięć minut. Urządziłeś się, jak widzę, wcale nieźle. Właściwie powinieneś mieć światło północne, ale i bez tego dasz sobie radę! Fakt, że masz pracownię, robi dobre wrażenie na tych, co ci zarzucają, że jesteś próżniakiem i dyletantem. Widzę, że miałeś tu dziś modela.

– Tak jak codziennie. Ale to wielki wydatek.

– A jednak to jest w końcu najtańsze. Krucho z pieniędzmi, co?

– Dziękuję, kuzynie, jakoś to będzie.

Nie wydawało mu się wskazane obarczanie Mauve'a od początku swymi troskami pieniężnymi. Miał tylko jednego franka w kieszeni – tyle, ile trzeba na jeden dzień, ale ostatecznie pieniądź nie jest najważniejszy. Vincent chciał, aby Mauve darzył go szczodrą swą wiedzą, to było stokroć ważniejsze.

Mauve pozostał u niego godzinę i pokazał, jak się rozprawia i jak zmywa farby wodne. Vincent był dość niezaradny.

– Nie martw się – pocieszał go Mauve. – Popsujesz dziesięć obrazków, nim nauczysz się obchodzić właściwie z pędzlem. Pokaż mi swoje ostatnie szkice brabanckie.

Vincent przyniósł je. Mauve był mistrzem techniki, toteż w paru słowach ujął ich najistotniejsze błędy. Nie mówił nigdy tylko: „to jest złe”, ale zawsze dodawał: „spróbuj to zrobić tak albo tak”. Vincent słuchał uważnie, bo wiedział, że Mauve rozmawia z nim zupełnie tak, jak gdyby szło o jego własne obrazy.

– Umiesz rysować – rzekł Mauve z uznaniem. – Zeszłoroczne rysowanie dało ci bardzo dużo. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby Tersteeg już wkrótce zaczął kupować twoje akwarele.

Ta cudowna pociecha niewiele jednak pomogła Vincentowi, gdy w dwa dni potem nie miał ani centyma w kieszeni. Pierwszy dawno minął, a sto franków od brata jeszcze nie nadeszło. Co się stało? Czyżby Theo był na niego zły? Czyż możliwe, że opuścił go właśnie teraz, kiedy stał u progu kariery? Znalazł w kieszeni płaszcza znaczek pocztowy, napisał do brata z prośbą o przesłanie bodaj części umówionej kwoty, aby mógł sobie kupić coś do jedzenia i wziąć modela.

Przez trzy dni chodził bez kęsa strawy. Przed południem pracował w atelier Mauve'a, potem szkicował ludzi siedzących w kuchniach instytucji dobroczynnych i wałęsających się w poczekalniach na dworcu. Wieczorem pracował w Pulchri Studio albo znów u Mauve'a. Bał się, że Mauve odkryje pewnego dnia jego położenie i nie będzie miał ochoty pomagać mu nadal. Zdawał sobie sprawę, że Mauve mimo przyjaźni opuści go, gdy troski codziennego życia Vincenta zaczną mu przeszkadzać w pracy. Z tej przyczyny odmówił Jet, gdy go zaprosiła na obiad.

Widmo Borinage znów stawało przed nim pod wpływem głuchego, tępego bólu w dołku. Czy całe życie musiał głodować? Czyż nigdzie nie było dla niego pociechy i spokoju?

Nazajutrz przemógł dumę i powędrował do Tersteega. Może pożyczycy mu dziesięć franków – wspierał przecie połowę malarzy w mieście.

Tersteeg bawił w Paryżu w interesach.

Vincent trząsał się w gorączce, nie miał sił utrzymać ołówka w ręku. Musiał się położyć. Na drugi dzień powlókł się znowu na Plaats. Tym razem zastał Tersteega. Przyniósł mu Theowi w Paryżu, że zajmie się bratem. Pożyczył mu dwadzieścia pięć franków.

– Już od dawna wybieram się do ciebie, Vincencie. W najbliższych dniach wpadnę.

Vincent musiał wysilić się na uprzejmą odpowiedź.

Odejsz jak najprędzej, zjeść coś – było jedynym jego pragnieniem. W drodze do Goupilów sądził, że wszystko będzie dobrze, skoro tylko dostanie pieniądze i będzie mógł zaspokoić głód. Teraz jednak ze zdwojoną mocą odczuwał własną nędzę. Nigdy dotąd nie czuł się tak samotny i opuszczony.

„Po jedzeniu świat będzie wyglądał inaczej” – pocieszał się w duchu.

Ból, który mu skręcał kiszkę, zelżał wprawdzie, ale ten drugi, głębszy – ból samotności – trwał nadal. Vincent kupił sobie trochę taniego tytoniu, poszedł do domu, wyciągnął się na łóżku i zapalił fajkę. Obraz Kay wykwitł przed nim nagle z niesamowitą siłą. Vincent miał rozpaczliwe uczucie, że się dusi. Zeskoczył z łóżka, otworzył na oścież okno, wystawił głowę na chłód zimowej nocy. Dreszcz nim wstrząsnął na wspomnienie sceny u pastora Strickera. Zamknął okno, chwycił kapelusz i płaszcz i wybiegł z domu do winiarni naprzeciw dworca.

II

Jedna lampa naftowa wisiała nad wejściem do winiarni, druga nad bufetem, mimo to lokal pogrążony był w mroku. Pod ścianami stały ławki, przed nimi nędzne stoliki z kamiennymi płytami. Ściany były wyblakłe, podłoga cementowa. Miejsce ucieczki raczej niż radości.

Vincent usiadł przy jednym ze stolików i znużony oparł się o ścianę. Póki mógł pracować i miał pieniądze na jadło i modele, sprawa nie przedstawiała się beznadziejnie. Lecz nie miał do kogo się zwrócić o trochę zwykłego koleżeństwa, o życzliwe słowo. Mauve był jego mistrzem, Tersteeg – zajęty i wybitnym kupcem, de Bock – zamożnym człowiekiem z „towarzystwa”. Może szklanka wina zdoła rozproszyć posępny nastrój? Jutro praca zacznie się od nowa – i wszystko się jakoś ułoży.

Popijał powoli kwaśne czerwone wino. W winiarni było niewiele gości. Naprzeciwko siedział jakiś robotnik, w kącie obok bufetu rozmawiała jakaś para, dziewczyna była w krzykliwej, jaskrawej sukni. Przy sąsiednim stoliku siedziała samotna kobieta. Nie patrzył w jej stronę.

Kelner przeszedł i szorstko zapytał kobietę:

– Jeszcze kieliszek?

– Nie mam ani centyma – odparła.

Vincent odwrócił się:

– Może pani napije się ze mną?

Patrzyła na niego chwilę, potem rzekła:

– Chętnie.

Kelner przyniósł kieliszek wina, wziął dwadzieścia centymów i odszedł. Stoliki stały tuż obok siebie.

– Dziękuję – rzekła kobieta.

Vincent przyjrzał się jej uważnie. Nie była młoda ani ładna, twarz miała nieco przywiedłą, życie wyryło na niej swoje ślady. Była trochę za szczupłą, lecz zgrabna. W chwili gdy sięgała po kieliszek przyjrzał się jej ręce; nie była to ręka wytwornej damy jak Kay, lecz ciężko pracującej kobiety. W półmroku winiarni kobieta przywodziła na myśl niektóre dziwne postacie Chardina lub Jana Steena. Nos miała nieco haczykowaty, z garbkim, na górnej wardze – meszek, oczy pełne melancholii, choć żywe.

– Nie ma za co – odparł – rad jestem, że mam towarzystwo.

– Nazywam się Krystyna – powiedziała. – A pan?

– Vincent.

– Pracuje pan tutaj w Hadze?

– Tak.

– A co pan robi?

– Jestem malarzem.

– Miły Boże, to na pewno także psie życie, co?

– Niekiedy.

– A ja jestem praczką. To znaczy, kiedy jestem zdrowa i mogę pracować. Gdy choruję, pranie odpada.

– Co robisz wówczas?

– Idę na ulicę, jak dawniej.

– Praca praczki jest na pewno bardzo ciężka.

– Pewnie, dwanaście godzin pod rząd. Płaca marna. Czasem, po całym dniu stania nad balią, muszę iść jeszcze na ulicę – szukać mężczyzny, aby bachory miały co żreć. Ile masz dzieci, Krystyno?

– Pięcioro, szóste w drodze.

– Twój mąż nie żyje?

– To dzieci obcych mężczyzn.

– To ci utrudnia życie, prawda?

Wzruszyła ramionami:

– E, co tam, górnik też nie może odmawiać zjechania na dół dlatego tylko, że mógłby zginąć.

– Znasz ojca któregoś z dzieci?

– Tylko tego od pierwszego bękarta. Innych nie znam nawet z imienia.

– A to, które teraz dźwigasz?

– Też nie wiem dokładnie. Byłam chora i nie mogłam chodzić do prania, musiałam często iść na ulicę – zresztą to nie ma znaczenia.

– Chcesz jeszcze wina?

– Wolę gin. – Sięgnęła do torebki i wyjąwszy czarny niedopałek cygara zapaliła go. – Ty też nie wyglądasz na bogacza. Sprzedajesz swoje obrazy?

– Nie, zaczynam dopiero.

– Jak na początkującego wyglądasz dość staro.

– Mam trzydzieści lat.

– Wyglądasz na czterdzieści. A z czego żyjesz?

– Brat przysyła pieniądze.

– To chyba nie gorzej jak chodzić do prania.

– U kogo mieszkasz, Krystyno?

– Jesteśmy wszyscy u mojej matki.

– Czy ona wie, że chodzisz na ulicę?

Roześmiała się głośno, ale w śmiechu jej nie było radości:

– Naturalnie! Przecież to ona mnie tam posłała. Sama robiła to całe życie. W ten sposób miała mnie i mojego brata.

– Co robi twój brat?

– Ma kobietę. Rajfurzy.

– To niedobrze dla twoich dzieci.

– E, co tam! Kiedyś wszystkie będą robić to samo.

– To okropne, Krystyno.

– Nie warto się przejmować. Postawisz jeszcze gin? Co zrobiłeś z ręką? Taka wielka, czarna rana.

– Oparzyłem ją.

– O, to musiało strasznie boleć – ujęła czule jego rękę.

– Nie, Krystyno, to nic takiego. Sam to zrobiłem. Puściła rękę:

– A czemu przyszedłeś tu sam? Nie masz przyjaciół?

– Nikogo. Mam tylko brata, ale on jest w Paryżu.

– Śmieszne uczucie, jeżeli ktoś jest sam jak palec...

– Tak, Krystyno, to okropne.

– I ze mną podobna sprawa. Są przecie te wszystkie dzieci i matka, i brat, i ci wszyscy goście, których zbieram na ulicy – cały dom pełen ludzi; ale nie o to idzie, aby było wielu, tylko aby był ktoś, kogo się naprawdę lubi. Jak nie, to człowiek jest sam.

– Nie miałaś nigdy kogoś, kogo byś lubiła, Krystyno?

– Owszem, pierwszego z moich facetów. Miałam wówczas lat szesnaście. Był bogaty, ożenić się ze mną nie mógł z powodu rodziny. Ale dawał na dziecko. Potem umarł i zostałam bez grosza.

– Ile lat masz teraz?

– Trzydzieści dwa. Za stara jestem na rodzenie. W szpitalu powiedzieli mi, że to dziecko mnie wykończy.

– Gdyby jakiś dobry lekarz wziął sprawę w swoje ręce...

– Gdzież, u diabła, mam takiego wytrasnąć? Nie odłożyłam ani grosza. Doktorów w szpitalu mało to wzrusza, za dużo mają chorych.

– Nie możesz w żaden sposób zebrać trochę pieniędzy?

– Mogę. Jeśli pozostanę na ulicy całe noce przez tych parę miesięcy. Ale to wykończy mnie prędzej niż dziecko.

Umilkli. Potem Vincent zapytał:

– Dokąd stąd idziesz, Krystyno?

– Stałam cały dzień nad balią i wpadłam tu tylko na chwilę, aby przepłukać gardło, bo czuję się pod zdechłym psem. Właściwie powinnam była dostać dziś półtora franka, ale odłożyli wypłatę do soboty. Muszę starać się zarobić dziś jeszcze choć ze dwa franki na żarcie. Myślałam, że dobrze będzie odpocząć, nim znajdę gościa.

– Czy mogę iść z tobą, Krystyno? Jestem zupełnie sam. Chętnie zostałbym z tobą.

– Czemu nie, oszczędzisz mi szukania... Zresztą jesteś naprawdę miły.

– I ty, Krystyno, podobasz mi się także. Kiedy dotknęłaś mojej ręki i przemówiłaś, były to pierwsze czułe słowa usłyszane po latach od kobiety.

– A to dobre. Nie jesteś taki brzydki.

– Nie mam szczęścia w miłości.

– Aha... takie buty. Stawiasz jeszcze gin?

– Słuchaj, Krystyno, my dwoje nie potrzebujemy chyba upijać się, aby się znieść wzajemnie. Masz, schowaj to. Niestety niewiele ci mogę dać.

– Wyglądasz, jak gdybyś potrzebował tych pieniędzy bardziej ode mnie. Chodź, nie musisz płacić. Po tobie znajdę gościa za dwa franki.

– Nie. Schowaj pieniądze. Dam sobie radę. Pożyczyłem dziś dwadzieścia pięć franków od znajomego.

– No to chodźmy!

Idąc przez ciemne ulice rozmawiali z sobą jak dwoje starych przyjaciół. Krystyna opowiadała o swym życiu, nie skarżąc się ani nie litując nad sobą.

– Czyś pozowała kiedy? – zapytał Vincent.

– Dawniej, gdy byłam młoda. Mogłabyś mi teraz pozować. Nie mogę dużo płacić, nawet franka dziennie, ale później, gdy będę sprzedawał moje obrazy, będziesz dostawała dwa franki. Zawsze to lepiej niż pracować.

– To byłoby cudowne. Przyprowałabym syna. Mógłbyś go malować za darmo. Jak ci się znudzę, to możesz malować moją matkę. Chętnie zarobi od czasu do czasu franka. Chodzi na posługi.

Przyszli wreszcie pod dom, w którym mieszkała Krystyna. Dom był nietynkowany, jednopiętrowy. Jej pokój – mały i skromny – miał osobne wejście; jednobarwna tapeta nadawała mu ton spokojny, „jak na obrazach Chardina”

– pomyślał Vincent. Na podłodze leżała mata i czerwony dywanik. W jednym kącie stał zwyczajny piec kuchenny, w drugim komoda. Pośrodku wielkie łóżko.

Kiedy Vincent obudził się nazajutrz rano i poczuł, że nie leży sam, że ma przy sobie innego żywego człowieka, świat wydał mu się znacznie bardziej przyjazny. Ból i samotność znikły, głęboki spokój nappełnił mu serce.

III

Ranna poczta przyniosła krótki list od Thea i sto franków: Theo nie mógł ich przysłać wcześniej. Vincent wybiegł natychmiast z domu. Zobaczywszy małą staruszkę kopiającą w ogródku przed domem, zapytał, czyby nie chciała pozować za pięćdziesiąt centymów. Zgodziła się chętnie.

Posadził kobietę przy piecu, na którym stał mały kociołek z wodą. Szukał odpowiedniego tonu: głowa kobiety promieniowała światłem i życiem. Trzy czwarte akwareli namalował w zielonkawym kolorze. Partię obrazu, gdzie siedziała kobieta, namalował w miękkich, ciepłych barwach; włożył w to wiele uczucia. Przez długi czas było w jego pracy coś twardego i opornego, teraz wszystko szło jak z płatka. Paroma kreskami rzucił szkic na papier wyrażając to, co chciał. Był wdzięczny Krystynie za to, co dla niego zrobiła. Brak miłości mógł mu zadać nieskończony ból, lecz nie mógł mu zaszkodzić; celibat mógł wysuszyć źródła jego sztuki i zabić go.

„Seks naoliwia – mówił sam do siebie pracując z łatwością.

– Dziwię się, że ojciec Michelet nic o tym nie wspomina”.

Zapukano do drzwi. Vincent otworzył. Był to mijnheer Tersteeg, w starannie zaprasowanych sztuczkowych spodniach, wyglansowanych trzewikach z wypięlegnowaną brodą, ulizanymi włosami i kołnierzyku niepokalanej białości.

Tersteeg był szczerze uradowany, że zastał Vincenta w prawdziwym atelier i przy pracy. Chętnie śledził postępy i rozwój młodych artystów. Był to nie tylko jego zawód, był to wręcz jego konik. Artysta – jego zdaniem – musiał osiągać powodzenie przez systematyczną pracę na wytyczonej drodze. Wolał, by ktoś szedł konwencjonalną drogą i zawiódł, aniżeli żył wbrew wszelkim zasadom i mimo to osiągnął cel. Prawidła gry były dla niego ważniejsze od zwycięstwa. Tersteeg był dobrym i porządnym człowiekiem i uważał, że inni też powinni być tacy. Nie uznawał okoliczności, które zmieniają zło w dobro albo grzech w zbawienie. Malarze sprzedający swoje dzieła w firmie Goupil wiedzieli, że muszą przestrzegać pewnych zasad dżentelmeństwa. Gdyby je w jakiś sposób pogwałcili, Tersteeg nie wystawiłby ich prac, choćby to były arcydzieła.

– No, Vincencie – powitał malarza – cieszy mnie, że widzę cię przy robocie. Tak to lubię moich artystów.

– Bardzo uprzejmie z pańskiej strony, mijnheer Tersteeg, że nie lękał się pan dalekiej drogi i przyszedł do mnie.

– To się rozumie samo przez się. Już od dawna wybierałem się do ciebie, aby obejrzeć pracownię.

– Dużo do oglądania nie ma tu, co prawda – rzeki Vincent rozglądając się po skromnym pokoju.

– Nic nie szkodzi. Pracuj tylko pilnie, a wnet będziesz mógł pozwolić sobie na coś lepszego. Mauve wspominał mi, że zabrałeś się do akwareli; popyt na takie rzeczy jest obecnie znaczny. Mógłbym z pewnością sprzedać coś z twoich prac, a i brat twój również. Jesteś dziś w lepszym nastroju niż wczoraj.

– Tak, byłem niezdrów. Lecz zeszłej nocy wyzdrowiałem.

– Pomyślał o winiarni, wódce i Krystynie. Dreszcz przeszył go na myśl, co by powiedział Tersteeg, gdyby wiedział o tamtej nocy. – Może zechce pan obejrzeć parę moich szkiców? Pańska ocena byłaby dla mnie bardzo cenna.

Tersteeg stał przed wizerunkiem starej kobiety w białym fartuchu na miękkim zielonym tle. Milczenie jego nie było tym razem tak wymowne jak uprzednio. Przez chwilę stał oparty na lasce, potem zawiesił ją sobie na rękę.

– Tak, tak – oświadczył w końcu – widać postępy. Mauve zrobi z ciebie akwarelistę, nie ulega wątpliwości. Potrwa to czas jakiś, ale na pewno dasz sobie radę. Staraj się jak najprędzej stanąć na własnych nogach, Vincencie. Bratu nie łatwo przychodzi posyłać ci co miesiąc sto franków. Zauważyłem to bawiąc w Paryżu... No, więc spodziewam się, że wkrótce będę mógł kupić kilka twoich szkiców.

– Jest pan doprawdy bardzo uprzejmy. Dziękuję za zainteresowanie się mną.

– Chciałbym, abyś do czegoś doszedł, Vincencie. Oznacza to zarazem dobry interes dla Goupilów. Gdy tylko zacznę sprzedawać twoje prace, weźmiesz sobie lepszą pracownię, kupisz porządne ubranie i zaczniesz bywać w towarzystwie. To konieczne, jeśli chcesz potem sprzedawać swoje obrazy olejne. A teraz pędzę do Mauve'a. Muszę obejrzeć ten obraz z Scheveningen przeznaczony na tegoroczny Salon.

– Czy odwiedzi mnie pan kiedyś znowu? Oczywiście! Za tydzień lub dwa. Radzę pilnie pracować i pamiętać, że musisz coś zdziałać. Moje wizyty muszą się opłacać!

Po jego odejściu Vincent zabrał się ze zdwojoną energią do pracy. Ach tak, być niezależnym, nie być nikomu ciężarem – nie potrzebował przecie wiele, tyle tylko, aby żyć, tylko trochę spokoju i czasu, by pozwolić dojrzeć w sobie wszystkiemu...

Po południu otrzymał wykwinnty różowy bilecik od de Bocka:

„Drogi van Gogh

Jutro rano przyjdę do pana z modelem Artza – będziemy razem pracować.

De B.”

„Model Artza” okazał się piękną i młodą dziewczyną, która żądała za pozowanie półtora franka. Vincent ucieszył się bardzo, sam bowiem nie mógłby opłacić tak drogiego modelu. Napalił tego dnia porządnie w piecu, aby dziewczyna mogła się rozebrać. Jedynie zawodowi modele pozowali w Hadze nago; Vincent był zirytowany nieraz z tego powodu, gdyż o wiele chętniej malowałby ciała starych ludzi, pełne wyrazu i charakteru.

– Przyniosłem z sobą kapciuch z tytoniem i jedzenie przygotowane przez moją gospodynię – rzekł de Bock – na wypadek, gdybyśmy chcieli pracować dłużej.

– Spróbuję pańskiego tytoniu. Mój jest zbyt mocny na rano.

– Jestem gotowa – odezwała się modelka.

– Ustawić ją czy posadzić, de Bock?

Trzeba najpierw spróbować ustawić. Mam kilka stojących postaci w nowym krajobrazie. Rysowali przeszło półtorej godziny, modelka zmęczyła się.

– Niech teraz usiądzie – rzekł Vincent – ciało jest wtedy swobodniejsze.

Pracowali do południa, od czasu do czasu tylko zamieniając z sobą parę słów na temat światła lub tytoniu.

Potem de Bock wypakował śniadanie i wszyscy troje usiedli przy piecu. Podczas posiłku, złożonego z chleba, zimnego mięsa i sera, oglądali dzisiejsze swoje prace.

– Komiczne, jak obiektywnie patrzy człowiek na własne dzieło, gdy siedzi przy jedzeniu – zauważył de Bock.

– Czy mogę obejrzeć pańskie szkice? – zapytał Vincent.

– Bardzo proszę.

De Bock oddał dobrze twarz dziewczyny, natomiast niczym nie zaznaczył swoistych cech jej ciała. Mogło to być jakie bądź inne doskonałe ciało.

– Oho! – wykrzyknął de Bock przypatrując się szkicom Vincenta – co takiego wymalował pan tu zamiast twarzy? Czy to ma być owo pańskie „rysowanie z namiętnością”?

– Nie mieliśmy przecie robić portretu – bronił się Vincent – szło o ciało.

– Po raz pierwszy słyszę, że twarz nie należy do ciała – odciął się de Bock.

– Jak pan namalował brzuch, proszę spojrzeć – powiedział Vincent.

– O co chodzi?

– U pana wygląda, jak gdyby był napełniony gorącym powietrzem. Nie widać śladu jelit.

– A czemu miałyby być widoczne? Nie widzę, żeby tej biednej dziewczynie wnętrzności zwisały na zewnątrz.

Modelka jadła dalej, nie uśmiechnąwszy się nawet. Uważała, że wszyscy artyści są zwariowani. Vincent położył swój szkic obok szkicu de Bocka.

– U mnie brzuch jest pełen flaków. Patrząc na niego można rzec, że przez labirynt tych kiszek przeszła niejedna tona pokarmu.

– Cóż to ma wspólnego z malowaniem? Nie jesteśmy specjalistami od anatomii. Kiedy ludzie patrzą na moje obrazy, chcę, aby widzieli mgłę między drzewami i szkarłat słońca poprzez chmury. Nie chcę, aby widzieli flaki.

Co rano wychodził Vincent wesoło i w dobrym nastroju na poszukiwanie modelu. Raz brał czeladnika kowalskiego, innym razem staruszkę z domu obłąkanych, chłopca z targu, babkę z wnuczkiem z Paddemos lub kogoś z dzielnicy żydowskiej. Modele kosztowały go sporo; musiał oszczędzać poszcząc z końcem miesiąca. Ale ostatecznie po co był w Hadze i uczył się u Mauve'a? Do syta naje się później, gdy zacznie sprzedawać swoje obrazy.

Mauve udzielał mu dalej wskazówek z wielką cierpliwością. Co wieczór szedł Vincent do niego, aby malować w ciepłej, pracowitej atmosferze atelier. Niekiedy tracił otuchę, gdyż jego akwarele były wciąż jeszcze brudne, gęste i ciemne. Mauve śmiał się tylko.

– Naturalnie, nie są jeszcze dobre – przyznawał. – Ale gdyby twoje akwarele już teraz były przejrzyste, byłaby to tylko ich cecha powierzchowna i przejściowa. Teraz zadajesz sobie wiele trudu i brak im lekkości. Ale miej cierpliwość i pracuj, potem za to pójdzie ci jak z płatkami i twoje obrazy będą czyste i jasne.

– To prawda, kuzynie. Ale co ma począć ktoś, kto musi jak najprędzej zarabiać malowaniem?

– Wierz mi, Vincencie, kto za prędko osiąga cel, ten jest skończony jako artysta. Człowiek dnia, artysta modny, jest zarazem artystą na jeden dzień. Lepiej pracować w pocie czoła i tworzyć rzeczy trwałe aniżeli dać prace gładkie, schlebające gustom publiczności. W sprawach sztuki sprawdza się stare przysłowie: uczciwość jest najlepszą polityką.

– Chciałbym pozostać wierny sobie, kuzynie Mauve. Chciałbym wyrazić surową prawdę, bez wszelkiej gładkości. Skoro jednak jest się zmuszonym zarabiać samemu na życie... Namalowałem kilka akwarel... Wydaje mi się, że Tersteeg... nie łudzę się oczywiście...

– Pokaż je!

Obejrzał akwarele i podał je w strzępy.

– Zachowaj swoją szorstkość, Vincencie, i nie goń za dyletantami i handlarzami. Kto chce, niech przyjdzie do ciebie. Czas żniwa nadejdzie na pewno.

Vincent rzucił okiem na podarte skrawki papieru.

– Jestem ci wdzięczny, kuzynie. Trzeba mi było tego uderzenia.

U Mauve'a zebrało się tego wieczoru niewielkie towarzystwo złożone z malarzy, między którymi był Weissenbruch, zwany „niemiłosiernym mieczem”, ponieważ zawsze krytykował kąśliwie i ostro prace innych. Przyszli również Breitner, de Bock, Jules Bakhuyzen i Neuhuys, przyjaciel Vosa.

Weissenbruch był człowiekiem małego wzrostu, lecz wielkiej siły ducha. Chłostał słowami, co mu się nie podobało, a nie podobało mu się niemal wszystko. Malował, co chciał i jak chciał. Zmusił publiczność do uznania swoich dzieł. Niegdyś Tersteeg zarzucił coś jednemu z jego obrazów; od tego czasu nie sprzedawał nic u Goupilów. Sprzedawał

zaś wszystko, co malował – nikt nie wiedział, jak i komu. Twarz miał równie ostrą jak język. Wszystko w nim: nos, podbródek, cała głowa – było kanciaste. Obawiano się go i jednocześnie zabiegano o jego względy i uznanie.

Zyskał ogromną popularność dzięki temu, że wszystkim pogardzał. Pociągnął Vincenta do kąta obok pieca i splotował raz po raz w płomienie, by słyszeć przyjemne syknięcie.

– Słyszę, że pan jest van Goghciem – powiedział. – Czy w malowaniu osiągnął pan równie dobre rezultaty jak pańscy stryjowie w handlu obrazami?

– Nie, nie miałem dotychczas w niczym powodzenia.

– O, to doskonale! Artysta powinien głodować do sześćdziesiątki. Potem stworzy może parę dobrych obrazów.

– Nonsens! Pan ma niewiele ponad czterdzieści i maluje dobre obrazy!

Weissenbruchowi spodobał się ów „nonsens”; od lat nikt nie miał odwagi odciąć mu się w ten sposób. Jego uznanie wyraziło się w tym, że zaatakował gwałtownie Vincenta.

– Jeśli pan sądzi, że moje obrazy są choć cokolwiek warte, ciśnij pan pędzel i zostań portierem. Dlaczego, jak się panu wydaje, sprzedaję moje obrazy głupiej publiczności? Bo są diabła warte. Gdyby były dobre, zachowałbym je dla siebie. Nie, mój drogi, to, co teraz czynię, jest dopiero ćwiczeniem. Gdy będę miał lat sześćdziesiąt, zacznę naprawdę malować. Prac, które wówczas wykonam, nie wypuszczę z rąk! A gdy umrę, zabiorę je z sobą do grobu! Żaden prawdziwy malarz nie daje publiczności dzieł naprawdę dobrych. Sprzedaje tylko śmiecie.

De Bock dawał Vincentowi znaki porozumiewawcze z drugiego kąta. Vincent odrzekł zaczepnie:

– Minał się pan z powołaniem, Weissenbruch! Powinien pan być zostać krytykiem.

Weissenbruch roześmiał się i zawołał do Mauve'a:

– Ten pański kuzyn jest o wiele dowcipniejszy, niż wygląda. Ma język w gębie nie od parady.

Zwrócił się znów do Vincenta:

– Dlaczego, u diabła, chodzi pan w tych brudnych łachmanach? Dlaczego nie sprawi pan sobie przyzwoitego garnituru? – spytał z bezwzględną brutalnością.

Vincent miał na sobie stare, przerobione ubranie Thea. Przeróbka nie wypadła najlepiej, nadto nosił je co dzień przy pracy.

– Pańscy stryjowie mają dość pieniędzy, aby ubrać porządnie całą ludność Holandii. Czy nic panu nie dają?

– Czemu mieliby to robić? Są pańskiego zdania, że artysta powinien głodować.

– O ile nie mają do pana zaufania, wiedzą z pewnością dlaczego. Van Goghowie wywieszają pono malarza na sto kilometrów. Pan jest prawdopodobnie kiepskim malarzem.

– A pan może sobie iść do diabła!

Vincent odwrócił się wściekły, lecz Weissenbruch chwycił go za rękę.

– Dobra odpowiedź! – zawołał uśmiechnięty. – To jest właściwe nastawienie. Chciałem tylko wiedzieć, ile pan strawi. Zachowaj swoją odwagę, chłopcze. Jesteś z twardej gliny.

Mauve chętnie naśladował i parodiował kogoś wobec gości. Był synem duchownego, lecz w jego życiu mieściła się wyłącznie jedna religia: malarstwo. Podczas gdy Jet częstowała gości kanapkami i ciastkami, Mauve wygłosił kazanie o rybackiej łodzi św.

Piotra. Czy Piotr dostał, czy odziedziczył łódź? Czy kupił ją na raty? Czy może – o straszliwa myśl – ukradł ją? Pokój rozbrzmiewał śmiechem, malarze wśród żartów i dowcipów z zadziwiającą szybkością połykali kanapki z serem, ciastka i herbatę.

– Mauve jest zupełnie odmieniony – myślał w duchu Vincent.

Nie wiedział jeszcze, że Mauve przechodzi metamorfozy prawdziwego twórcy. Sprawa miała się zwykle tak: rozpoczynał jakiś obraz niechętnie, w letargicznym niemal uśpieniu. Z wolna, wraz z pracą rosła jego energia, nowe pomysły kłębiły mu się w głowie i przybierały kształt widzialny. Pracował z dnia na dzień coraz dłużej, coraz intensywniej. Kiedy zarysy przedmiotów poczęły się wyłaniać na płótnie, rosły jego wymagania w stosunku do siebie samego. Unikał w tym okresie rodziny, przyjaciół, wszelkiego odwrócenia uwagi. Tracił apetyt, w bezsenne noce przemyślał o wielkiej pracy, którą miał jeszcze wykonać. W miarę jak opuszczały go siły, rosło podniecenie. Zaczynał żyć tylko nerwami. Ciało kurczyło się, potężny kościec występował wyraźniej, sentymentalne oczy zasnuwała mgła. Im bardziej był zmęczony, tym rozpaczliwiej pracował. Coraz bardziej stawał się nerwowy. Posiadał instynktowne i nieomyłne wyczucie, ile czasu będzie potrzebował na dokonanie dzieła. Twarda wola pozwalała mu wytrwać do ostatniego dnia. Był jak człowiek opętany przez demony. Miał przed sobą lata na wykończenie obrazu, ale coś go zmuszało do tego, by się bez przerwy zadrećcać. W końcu nerwowe podniecenie opanowywało go do tego stopnia, że gdy ktoś wchodził mu w drogę, następował straszliwy wybuch. Każda odrobina sił, każdy ostatek energii należały się wyłącznie dziełu. I gdyby sama śmierć zapukała do drzwi, zmusiłby ją do czekania, póki obraz nie będzie gotowy.

Kiedy wreszcie wykończył dzieło, załamywał się; był słaby, chory, majaczył. Jet musiała go pielęgnować kilka dni, nim wrócił do sił i zdrowia. Wyczerpany był tak całkowicie, że sam zapach lub widok farb przyprawiał go o mdłości. Powoli wracały mu siły, a z siłami zainteresowanie. Godzinami siedział w pracowni i sprzątał lub wędrował po polach. Naprzód nic nie widział. Potem jakiś krajobraz czy scena przykuwały jego uwagę. I cały kołowrót rozpoczynał się na nowo.

Kiedy Vincent przyjechał do Hagi, Mauve rozpoczynał właśnie swój obraz z Scheveningen. Ale teraz z każdym dniem rosło tempo pracy. Wkrótce miała malarza ogarnąć szaleńcza, wspaniała, najbardziej wyczerpująca gorączka: gorączka twórczości.

IV

W kilka dni później Krystyna zapukała wieczorem do drzwi Vincenta. Miała na sobie czarną spódnicę i ciemnoniebieski kaftanik, a na głowie czarny czepek. Cały dzień stała przy balii i wyglądała mizernie; ślady ospy występowały wówczas wyraźniej, a dolna warga zwisała.

– Dzień dobry, Vincent – zawołała od drzwi – chciałam zobaczyć, jak mieszkasz.

– Jesteś pierwszą kobietą, Krystyno, która mnie odwiedza. Witaj! Czy zdejmiesz chustkę?

Usiadła przy piecu, by się ogrzać. Potem rozejrzała się po pokoju.

– Nieźle – szepnęła – tylko trochę pusto.

– Wiem. Nie starczyło pieniędzy.

– Jest tu zresztą wszystko, czego ci trzeba.

- Właśnie miałem przynieść coś na kolację. Dotrzymasz mi towarzystwa, Krystyno?
- Czemu nie nazywasz mnie po prostu Sien? Wszyscy mnie tak wołają.
- Więc dobrze, Sien.
- A co masz na kolację?

- Kartofle i herbatę.
- Zarobiłam dziś dwa franki. Mogę przynieść trochę mięsa.
- Czekaj, dziś ja mam pieniądze, brat mi przysłał. Ile ci trzeba?
- Pięćdziesiąt centymów. Wystarczy dla nas obojga.

Po kilku chwilach wróciła z mięsem. Vincent chciał się zabrać do przyrządzenia go.

- Siadaj! Nie znasz się na gotowaniu. To babska sprawa.

Pochyliła się nad piecem. Ciepły odblask zarumienił jej twarz. Wyglądała w tej chwili o wiele ładniej niż zwykle. Vincent oparł krzesło o ścianę i przypatrywał się jej. Poczł koło serca błogie ciepło. Wydawało mu się to takie naturalne, takie proste, że kobieta krząta się, obiera kartofle, stawia mięso na ogniu, aby ugotować posiłek. To był jego dom, dla niego uwijały się ręce kobiece. Jak często marzył o tym – ale kobietą tą miała być Kay.

Sien spojrzała na Vincenta i dostrzegła, że siedzi na krześle opartym o ścianę w taki sposób, że może się wywrócić.

- Usiądź prosto, wariacie – powiedziała – czy chcesz fiknąć kozła?

Vincent uśmiechnął się ironicznie. Każda kobieta, z którą kiedykolwiek mieszkał pod jednym – obojętne, kto to był: matka, siostra, ciotka czy kuzynka – każda powiedziałyby to samo: „Usiądź prosto, Vincencie, bo fikniesz kozła!”

- Dobrze, Sien – odparł.

Zaledwie odwróciła się plecami, oparł znów tak samo krzesło o ścianę i dalej z zadowoleniem palił fajkę. Sien podała obiad. Zjedli najpierw mięso i kartofle, a potem kupione przez Sien bułki, którymi wytarli do sucha talerze.

- Założę się, że nie potrafisz tak ugotować – powiedziała Sien.

- Nie potrafię, Sien. Ilekroć sam gotuję, trudno mi potem powiedzieć, co jem: rybę, kurę czy innego diabła.

Przy herbacie Sien paliła jedno ze swych czarnych cygar. Rozmawiali z ożywieniem. Vincent czuł się w jej towarzystwie bardziej swojsko niż w towarzystwie de Bocka lub Mauve'a. Rozumieli się bez wielu słów; w jaki sposób i dlaczego – nie potrafiliby powiedzieć. Mówili o zupełnie zwykłych, codziennych sprawach. Żadne z nich nie chciało nic udawać lub imponować drugiemu. Gdy Vincent mówił, Sien słuchała, nie czekała łąpczywie, aż skończy, aby samej móc opowiadać o sobie. Vincent także słuchał uważnie opowiadania o jej życiu, o czasach ubóstwa i biedy. Miał wrażenie, że wystarczyłoby zmienić tylko parę słów, a jej historia byłaby i jego własną historią. W ich słowach nie było wyzwania, w ich milczeniu – afektacji. Były to dwie dusze bez maski, nie oddzielone od siebie klasową barierą ani sztucznością płynącą z takiego przedziału.

Vincent podniósł się.

- Co chcesz robić? – spytała.

- Zmyć naczynia.

- Siadaj! To też babska robota.

Przysunął krzesło do pieca, nabił fajkę i palił zadowolony. Sien pochyliła się nad miską. Z przyjemnością patrzył na jej pokryte mydlinami ręce; żyły rysowały się na nich

wyraziście, a sieć małych zmarszczek świadczyła o ciężkiej pracy dokonanej przez te ręce. Przyniósł papier i ołówek, począł rysować.

– Miło tu u ciebie – odezwała się Sien skończywszy mycie.

– Szkoda, że nie mamy ginu.

Przyniósł gin. Popijali powoli. Vincent rysował Sien i tak minął wieczór. Kobieta zdawała się rada, że może wypocząć na krześle przy ciepłym piecu. W nieprzymuszonej pogawędce ożywiła się i zupełnie roztajała.

– Kiedy przestajesz chodzić do prania? – zapytał.

– Jutro. Już mam dosyć. Z trudem stoję przy balii.

– Czujesz się źle?

– Nie. Ale to przyjdzie także. Wstrętny bachor zaczyna już wierzgać.

– W takim razie w przyszłym tygodniu zaczniesz mi pozować.

– Czy wystarczy tylko tak siedzieć i nic nie robić?

– Tak jest. Od czasu do czasu musisz także stać lub pozować nago.

– Wcale nieźle. Ty będziesz pracować, a ja – brać pieniądze.

Wyjrzała oknem; sypał gęsty śnieg.

– Chciałabym już być w domu – westchnęła. – Psie zimno, a ja wzięłam tylko tę chustkę.

Do domu daleko.

– Czy jutro pracujesz znowu w tych stronach?

– Tak. O szóstej rano. Ciemno jest wtedy jeszcze.

– Jeśli masz ochotę, zostań tu, Sien. Cieszę się, że będę miał towarzystwo.

– Nie będę ci przeszkadzała?

– Skąd znowu. Łóżko jest dość szerokie na dwie osoby.

– To zostanę. Miło z twojej strony, że mnie zapraszasz.

– Miło, że chcesz zostać.

Nazajutrz rano ugotowała mu kawę, posłała łóżko i posprzątała w pracowni. Potem poszła do pralni. Po jej odejściu pokój wydał się nagle Vincentowi pusty.

V

Tego samego popołudnia zjawił się znów Tersteeg. Oczy mu błyszczały, twarz zaróżowiła się po długim spacerze na mrozie.

– No, jak ci się wiedzie, Vincencie?

– Bardzo dobrze, mijnheer. To ładnie z pańskiej strony, że pan mnie znów odwiedza.

– Czy możesz mi pokazać coś interesującego? Po to przede wszystkim przyszedłem.

– Mam kilka nowych rzeczy. Proszę usiąść.

Tersteeg popatrzył na krzesło i wyjął chustkę, by zetrzeć kurz, potem jednak rozmyślił się i schował ją: to nie byłoby w dobrym tonie. Usiadł.

Vincent przyniósł trzy czy cztery małe akwarele. Tersteeg przejrzał je naprzód pobieżnie, jak przegląda się długi list, potem brał każdą z osobna do ręki i gruntownie studiował.

– Robisz postępy, Vincencie – oświadczył po chwili. – Są wprawdzie wciąż jeszcze trochę surowe, ale bądź co bądź posuwasz się naprzód. Powinieneś wkrótce malować tak, abym mógł sprzedawać twoje prace.

– Tak, mijnheer.

– Nie wolno ci zapominać, mój chłopcze, że musisz sam zarabiać na swoje utrzymanie. Nie wypada żyć za cudze pieniądze.

Vincent wziął akwarele i przypatrywał się im badawczo. Wiedział, że brak im dojrzałości, ale jak każdy artysta z trudem rozpoznawał błędy we własnych pracach.

– Niczego nie pragnę bardziej, mijnheer, jak zarabiać samemu na życie.

– W takim razie musisz więcej pracować. Musisz się śpieszyć. Chciałbym bardzo, abys wkrótce umiał tyle, żebym mógł kupić kilka twych prac.

– Tak, mijnheer.

– No, w każdym razie rad jestem, że pracujesz pilnie i że się dobrze czujesz. Theo prosił mnie, abym się tobą zajął. Namaluj coś dobrego, Vincencie, a postaram się wystawić twoje prace w naszej galerii na Plaats.

– Usiłuję malować rzeczy dobre, ale ręka nie zawsze posłuszna jest woli. Mimo to Mauve chwalił mnie za jedną z akwarel.

– Co powiedział?

– Ze zaczyna prawie wyglądać na akwarelę.

Tersteeg roześmiał się, owinął szyję szalem i wychodząc rzekł:

– Pracuj, Vincencie, pracuj. W ten sposób tworzy się wielkie dzieła.

Vincent napisał do stryja Kora, że się osiedlił w Hadze i miło mu będzie powitać go u siebie. Stryj Kor przyjeżdżał często do Hagi, gdzie kupował obrazy dla swego wielkiego sklepu w Amsterdamie. W pewne niedzielne popołudnie Vincent zaprosił kilkoro dzieci, z którymi się zaznajomił. Chcąc je czymś zająć podczas szkicowania, przygotował torebkę z cukierkami i pochylony nad rysownicą opowiadał im historyjki. Gdy zapukano głośno i za drzwiami rozległ się głęboki, tubalny głos, wiedział, że to przyjechał stryj Kor. Kornelius Marinus van Gogh był człowiekiem znanym, zamożnym i mającym powodzenie. Mimo to jego ciemne, wielkie oczy patrzyły na świat z pewną melancholią. Usta jego nie były tak pełne jak u innych członków rodziny, ale miał typową głowę van Goghów, kwadratową od wysokiego czoła po mocne szczęki, zaokrąglony podbródek i potężny nos. Obejrzał każdy szczegół w pracowni, chociaż zdawało się, że w ogóle na nic nie patrzy. Znał prawdopodobnie więcej pracowni malarskich od wewnątrz niż ktokolwiek inny w Holandii.

Vincent rozdał dzieciom resztę słodyczy i odesłał je do domu.

– Czy mogę poczęstować cię herbatą, stryju? Na dworze pewno mróz.

– Chętnie się napiję.

Po chwili stryj Kor trzymał zgrabnie filiżankę na kolanach i opowiadał nowinki. W końcu powiedział:

– A zatem chcesz zostać artystą, Vincencie? Czas już, aby rodzina van Goghów posiadała malarza. Hein, Vincent i ja kupujemy od lat trzydziestu obrazy obcych artystów. Teraz będziemy mogli lokować pieniądze w rodzinie.

Vincent uśmiechnął się.

– Wspaniały start! Trzech stryjów i brat w handlu obrazami!

– Nie chciałbyś trochę sera z chlebem, stryju? Może jesteś głodny?

Nie chcąc urazić bratanka stryj Kor, dobrze znający drażliwość ubogich artystów, zmusił się do przełknięcia grubej kromy razowca z kawałkiem zwykłego kwaśnego sera.

– Tersteeg opowiadał mi, że Theo przysłał ci co miesiąc sto franków. Czy to prawda?

– Tak.

– Theo jest młody i powinien oszczędzać. Musisz jak najprędzej stanąć o własnych siłach i sam zarabiać na chleb.

Vincent miał tego po uszy; już Tersteeg onegdaj dostatecznie długo rozwodził się nad tą sprawą. Odparł więc bez namysłu:

– Zarabiać na chleb, stryju? Co masz właściwie na myśli? Zarabiać na chleb, czy... zasługiwać na chleb? Nie zasługiwać na chleb, czyli być go niegodnym, to z pewnością zbrodnia, gdyż każdy uczciwy człowiek godzien jest swego chleba. Ale niezdolność zarobienia na chleb, gdy się nań zasługuje, jest nieszczęściem, i to wielkim.

Nerwowo bawił się rozsypanymi na stole okruskami czarnego chleba ugniatając z nich twardą grudkę.

– Jeśli więc powiesz, stryju, że niewart jestem chleba, obrazisz mnie. Jeśli natomiast zauważysz, że nie zawsze zarabiam, będziesz miał rację. Ale po co robić tego rodzaju uwagi? Nic mi one nie pomogą.

Stryj Kor nie mówił już więcej o zarabianiu. Rozmawiali przyjaźnie i z ożywieniem, póki Vincent nie wymienił przypadkiem, mówiąc o ekspresji w sztuce, nazwiska de Groux.

– Ależ Vincencie, czy ci nie wiadomo – obruszył się stryj Kor – że de Groux nie cieszy się dobrą opinią w życiu prywatnym?

Vincent zdawał sobie sprawę, że powinien przytakiwać wszystkiemu, co stryj mówi. Lecz nie potrafił przemóc się na tyle, aby słuchać tego, co się mówi o zacyym de Groux. Nigdy zresztą nie potrafił powiedzieć „tak”, gdy rozmawiał z którymś z van Goghów.

– Sądziłem zawsze, stryju Kor, że artysta, chociaż pokazuje swoje dzieła publiczności, ma prawo do tego, aby nie wyciągano na światło dzienne walk i zmagañ jego prywatnego życia, mimo że jest ono ściśle i nieuchronnie związane z jego twórczością.

Stryj Kor, pijąc herbatę, do której Vincent nie podał mu cukru, powiedział:

– Sam fakt, że jakiś człowiek, zamiast iść za pługiem lub siedzieć nad księgami handlowymi, pracuje pędzlem, nie daje mu jeszcze prawa do tego, aby żył w rozpuście. Jestem zdania, że nie powinniśmy kupować obrazów malarzy, którzy nie prowadzą się przyzwoicie.

– Wydaje mi się, że o wiele nieprzyzwoitsze ze strony krytyki jest obnażanie prywatnego życia artysty, jeżeli dzieła jego są bez zarzutu. Życie artysty i jego dzieło można porównać do kobiety rodzącej i dziecka, które wydała na świat. Można patrzeć na dziecko, lecz nie należy podnosić koszuli, aby widzieć krew. Byłoby to grubym nietaktem.

Stryj Kor odgryzł akurat kęs chleba z serem. Teraz wypluł go sobie gwałtownie na dłoń i wstawszy wrzucił do pieca.

Vincent bał się, że stryj się rozgniewa, ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

– No, no – mruknał tylko stryj Kor.

Przysunął więc stryjowi krzesło do okna i przyniósł tekę z rysunkami i szkicami. Stryj oglądał w milczeniu rysunki, póki nie wpadł mu w oko niewielki szkic jakiejś scenki ulicznej zrobionej o północy.

– To wcale niezłe – orzekł – czy mógłbyś mi zrobić więcej takich scen rodzajowych?

– Ależ tak, kilka mam już gotowych, robię je czasem, gdy się zmęcę aktem; chcesz je obejrzeć?

Spoglądał stryjowi przez ramię i objaśniał:

– To jest Vleersteeg... to Geest... a to targ rybny.

– Czy zechcesz wykonać dla mnie dwanaście podobnych widoków? Tak. Traktuję to jako interes. Musimy ustalić cenę.

– Zgoda. Ile żądasz?

– Wyznaczyłem stałą cenę na tego rodzaju małe rysunki. Dwa franki pięćdziesiąt od sztuki. Czy to nie za wiele?

Stryj Kor uśmiechnął się mimo woli, kwota była taka skromna.

– Bynajmniej. Gdyby dobrze wypadły, zamówię dalszych dwanaście z Amsterdamu. Ale cenę ustanowię sam, abyś miał z tego nieco więcej.

– Stryju Kor, to moje pierwsze zamówienie! Nie mogę wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy.

– Wszyscy chcemy ci pomóc, Vincencie. Twórz rzeczy na odpowiednim poziomie, a kupimy wszystkie. – Wziął kapelusz i rękawiczki i poleciwszy pozdrowić Thea wyszedł.

Oszołomiony powodzeniem Vincent chwycił swoje nowe farby i pognął do Mauve'a. Otworzyła mu Jet. Wydawała się zdenerwowana.

– Na twoim miejscu – rzekła – nie szłabym teraz do pracowni, Vincencie. Anton ma znów jeden ze swych kiepskich okresów.

– Co się stało? Czy chory?

Jet westchnęła:

– Wiesz, jak to z nim bywa.

– Nie zechce mnie w takim razie widzieć?

– Poczekaj lepiej, Vincencie. Powiem mu, żeś tu był. Gdy się uspokoi, sam przyjdzie do ciebie.

– Nie zapomnisz mu powiedzieć?

– Powiem na pewno.

Vincent czekał długo, ale Mauve nie przychodził. Zamiast niego zjawił się Tersteeg, nie raz, lecz dwa razy. Rezultat był zawsze ten sam.

– Tak, tak, widać pewien postęp. Ale wciąż nie jest tak, jak być powinno. Nie mógłbym wystawić tych rzeczy na Plaats. Obawiam się, że pracujesz za mało lub zbyt wolno, Vincencie.

– Drogi panie, wstaję o piątej rano i pracuję do późnego wieczora, niekiedy do północy. Od czasu do czasu robię tylko małe przerwy, aby coś zjeść.

Tersteeg kiwał bez zrozumienia głową. Powtórnie obejrzał akwarele.

– Nie pojmuję tego. Jest w nich jeszcze ta sama szorstkość i niezaradność, jakie widziałem w pierwszych pracach. Powinieneś być do tego czasu to przewyciężyć. Zazwyczaj twardą pracą dadzą się te błędy usunąć. To znaczy oczywiście, gdy się posiada jaki taki talent.

– Twardą pracą – powtórzył Vincent.

– Bogu wiadomo, jak chętnie kupowałbym twoje szkice, Vincencie. Pragnę bardzo, abyś zaczął zarabiać samodzielnie. Nie uważam za słuszne, by Theo... Nie mogę jednak nic kupić, dopóki prace nie są dobre. Nie chcesz chyba, abym to robił z litości?

– Broń Boże!

– Musisz się śpieszyć – to wszystko. Pracuj, byś mógł rychło sprzedawać swoje prace i stanąć o własnych siłach.

Kiedy Tersteeg po raz czwarty wytrajkotał tę formułkę, Vincent miał wrażenie, że ten człowiek prowadzi z nim jakąś grę. „Musisz sam zarabiać... ale ja nie mogę nic kupić”. Jak, u diabła, miał zarabiać, skoro nikt nic nie kupował?!

Pewnego dnia spotkał Mauve'a, który w dzikim tempie pędził ulicą, z pochyloną głową, wymachując prawą ręką. Zdawało się, że zrazu nie poznaje Vincenta.

– Dawno cię nie widziałem, kuzynie Mauve.

– Byłem bardzo zajęty. – Głos malarza brzmiał chłodno i obojętnie.

– Wiem, nowy obraz. Czy robota posuwa się naprzód?

– Ach... – Mauve zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Czy mogę przy sposobności wpaść do ciebie? Obawiam się, że w akwareli nie robię żadnych postępów.

– Teraz nie! Powiedziałem ci przecie, że jestem ogromnie zajęty. Nie mogę tracić czasu!

– A może ty wstąpisz do mnie, gdy będziesz akurat przechodził? Wystarczy mi kilka słów.

– Może... może... Ale teraz nie mam już czasu. Muszę iść.

Oddalił się i szedł ulicą wymachując nerwowo rękami.

Vincent stał w miejscu i patrzył nieruchomo za nim.

Co się stało, na Boga? Czyżby mimowolnie obraził kuzyna?

Zdziwił się co niemiara, gdy w parę dni potem zapukał do niego Weissenbruch. Nie przebywał on nigdy z młodszymi malarzami, nawet uznanymi, chyba po to, aby im ciskać obelgi i potępiać ich prace.

– Dobrze, dobrze – rzekł, rozglądając się po pokoju. – To przecie istny pałac. Wkrótce będzie pan mógł malować tutaj portrety ich królewskich gości.

– Jeśli się panu nie podoba – zachnął się Vincent – może się pan od razu wynieść.

– Dlaczego nie porzuca pan malarstwa, van Gogh? To psie życie.

– Panu, zdaje się, jest z tym całkiem dobrze.

– No tak, ja mam powodzenie. Pan nie będzie go miał nigdy.

– Może. Ale będę malował o wiele lepsze obrazy niż pan.

Weissenbruch śmiał się:

– Co to, to nie, lecz prawdopodobnie zbliży się pan do tego wzniosłego celu bardziej aniżeli ktokolwiek inny w Hadze. O ile pańskie dzieło będzie podobne do pańskiej osobowości.

– Dlaczego pan tego od razu nie powiedział? – zawołał Vincent wyciągając tekę z pracami. – Zechce pan usiąść.

Nic nie zobaczę siedząc. Odsunął na bok akwarele i oświadczył:

– To nie jest pański genre, farby wodne są zbyt mdłe na to, co pan chce wyrazić.

Skupił uwagę na szkicach ołówkowych ludzi z Borinage, chłopów brabanckich i starców z przytułku, których Vincent szkicował ostatnio. Chichotał wesoło przeglądając jeden rysunek po drugim. Vincent spodziewał się steku obelg.

– Rysuje pan diabelnie dobrze – rzekł Weissenbruch z błyskiem z twardych oczach. – Sam mógłbym się niejednego z tych rysunków nauczyć!

Vincent przygotowany był na to, że sąd Weissenbrucha wypadnie miążdząco. Lekkie, pochlebne słowa malarza załamały go wręcz. Aż usiadł ze zdumienia.

– Słyszałem, że nazywają pana „niemiłosiernym mieczem”.

– Jestem nim też. Gdybym dojrzał coś niedobrego w pańskich szkicach, powiedziałbym to panu wprost.

– Tersteeg zganił mnie właśnie za te rysunki. Uważa, że są zbyt surowe i niezdarne.

– Bzdura, to właśnie jest ich siłą.

– Rad bym bardzo kontynuować rysunek piórkiem, lecz Tersteeg powiada, że powinienem nauczyć się widzenia rzeczy jak akwareli.

– Oczywiście, aby on mógł je sprzedać... Nie, mój drogi, jeśli pan widzi i odczuwa pewien motyw jako rysunek piórkiem, musi pan to w ten właśnie sposób oddać! I niech pan sobie zapamięta: nie wolno nikogo słuchać! Nawet mnie! Musi pan iść własną drogą.

– Nie pozostanie mi w istocie nic innego.

– Gdy Mauve powiedział kiedyś, że pan jest urodzonym malarzem, Tersteeg oponował i Mauve ujął się za panem. Byłem przy tym. Gdyby raz jeszcze do tego sporu przyszło, ja również stanę teraz po pańskiej stronie.

– Mauve powiedział, że jestem urodzonym malarzem?...

– Niech to panu nie przewróci w głowie! Może pan się cieszyć i Bogu dziękować, jeśli pan umrze jako dobry malarz.

– Ale dlaczego odnosi się do mnie zawsze tak chłodno?

– Traktuje tak każdego, gdy ma obraz na warsztacie. Niech pan mu tego nie bierze za złe. Gdy wykończy obraz z Scheveningen, na pewno sam przyjdzie do pana. Tymczasem, jeśli panu potrzeba pomocy lub rady, może pan przyjść do mnie.

– Czy wolno mi o coś zapytać, Weissenbruch?

– Pytaj pan.

– Czy to Mauve przysłał pana tutaj?

– Tak.

– A po co to zrobił?

– Chciał usłyszeć moje zdanie o pańskiej pracy.

– Ale dlaczego? Skoro sądzi, że jestem urodzonym...

– Nie wiem. Może Tersteeg zaraził go wątpliwościami.

VI

Tak więc Tersteeg stracił wiarę w niego, a Mauve był coraz bardziej oziębły. Ale Krystyna zajęła ich miejsce. Wniosła w życie Vincenta bezpośredniość i koleżeństwo, za którymi od dawna tęsknił. Przychodziła dzień w dzień wczesnym ranem i przynosiła koszyczek z przyborami do szycia, aby nie siedzieć beczynnym podczas pozowania. Głos miała nieco ochryply i nie była zgoła wybredna w doborze słów, ale mówiła spokojnie i Vincent zauważył, że potrafi nie słyszeć w ogóle jej gadania, jeśli zechce się skupić. Przeważnie była zadowolona, że może tak siedzieć sobie pod piecem, patrząc przez okno lub szyjąc wyprawkę dla dziecka. Była niezręcznym modelem i powoli uczyła się pozować, lecz usilnie starała się zadowolić Vincenta. Wkrótce uważała za rzecz samą przez się zrozumiałą, że przed odejściem przygotowuje mu posiłek.

– Nie zadawaj sobie tyle trudu, Sien – mówił nieraz.

– Trudu? Mnie przychodzi to o wiele łatwiej niż tobie.

– W takim razie musisz mi też towarzyszyć przy obiedzie.

– Chętnie. Matka dopilnuje bachorów. Lubię siedzieć tutaj.

Codziennie dawał jej Vincent jednego franka; wiedział, że nie stać go na to, lecz cieszyło go, że ma ją przy sobie. Rad był, że oswobodził ją od harówki przy balii. Czasem, gdy musiał wyjść po południu, pozowała mu potem długo wieczorem – wtedy nie opłacało jej się wracać do domu. Jak szczęśliwy się czuł wdychając rano woń świeżo zaparzonej kawy, jak go radował widok kobiety krzątającej się przy piecu! Po raz pierwszy w życiu miał własne gospodarstwo.

Od czasu do czasu zostawała Krystyna u niego również bez określonego powodu.

– Chciałabym zostać u ciebie na noc – mówiła po prostu.

– Czy mogę?

– Ależ tak, Sien. Możesz zostać, ilekroć zechcesz. Wiesz przecie, że cieszę się, gdy tu jesteś.

Chociaż jej o to nigdy nie prosił, prała mu stale bieliznę, naprawiała ubrania i przynosiła z targu żywność.

– Wy, mężczyźni, nie umiecie sobie dać rady – mówiła.

– Potrzeba ci kobiety. Przysięgłabym, że przekupki na targu oszukiwały cię, ile wlezie.

Sien nie była wcale dobrą gospodynią. Długoletnie niechlujstwo w domu matki wypeniło z niej niemal doszczętnie zamięłowanie do ładu, o ile kiedykolwiek je miała. Czasami nagle opętywało ją pragnienie porządku; brała się wtenczas z pasją do roboty. Tu jednak po raz pierwszy prowadziła gospodarstwo człowiekowi, którego lubiła. Praca i zajęcie się domem sprawiały jej przyjemność – oczywiście w tych chwilach, kiedy jej to akurat przychodziło do głowy.

Vincenta radował sam fakt, że Sien chce się w ogóle czymś zająć. Jakakolwiek nagana czy krytyka nie wchodziła nawet w rachubę. Obecnie, kiedy Sien nie była wciąż tak nieludzko zmęczona, głos jej stracił nieco ze swej zwykłej szorstkości, a mowa stawała się coraz mniej brutalna. Nie nauczono jej nigdy panowania nad sobą. Toteż skoro coś szło nie po jej myśli, ogarniała ją wściekłość. Głos jej nasiąkał w takich chwilach znowu dawnym ochrypłym brzmieniem, a słowa, które ciskała, były tak ordynarne i plugawe, że podobnych Vincent nie słyszał od czasów szkolnych.

W takich chwilach Krystyna wydawała mu się jego własną karykaturą. Siedział cicho, póki burza nie minęła. Krystyna ze swej strony była tak samo pobłażliwa; kiedy z rysunkiem było coś nie w porządku albo gdy zapomniawszy wszystkiego, czego ją z trudem nauczył, zachowywała się niezgrabnie przy pozowaniu, Vincent pienił się i szalał, aż ściany trzeszczały. Czekala wówczas cierpliwie, pozwalając mu się wygadać i zwykle po kilku minutach zapanowywał spokój. Szczęściem nigdy nie złościli się jednocześnie.

Po zrobieniu mnóstwa szkiców, w których przestudiował gruntownie każdą linię ciała Krystyny, postanowił ją namalować. Pobudziło go do tego zdanie Micheleta: *Comment se faitil qu'il y ait sur la terre une femme seule desesperee?*²⁷ Posadził Krystynę nagą na niskim kłocu obok pieca. Kłoc miał wyobrażać pień drzewa otoczony skąpą roślinnością. Całą scenę przeniósł w plener. Krystynę narysował z żyłastymi rękami złożonymi na kolanach, z głową wtuloną w chude ramiona; rzadkie, krótkie włosy opadały jej na plecy, zwiędłe gruszkowate piersi zwisały aż na cienkie uda, a płaskie stopy spoczywały niepewnie na ziemi. Nazwał ten obraz Troska. Był to wizerunek kobiety, z której życie wyszło ostatnią kroplę siły i żywotnych soków. Pod spodem wypisał zdanie Micheleta.

²⁷Jak to się dzieje, że istnieją na ziemi samotne zrozpaczone kobiety?

Praca nad tym obrazem zajęła mu tydzień. Pieniądze stopniały. Do pierwszego marca pozostało jeszcze dziesięć dni. Czarny chleb, który miał w domu, mógł starczyć jeszcze na dwa do trzech dni. Nie pozostawało więc nic innego jak przestać pracować z modelem, choć wiedział, że to oznacza znów cofnięcie w rozwoju.

– Sien – powiedział – obawiam się, że do pierwszego nie będę mógł sprowadzać cię tutaj.

– Co się stało?

– Nie mam pieniędzy.

– Dla mnie?

– Tak.

– I tak nie mam nic do roboty. Przyjdę w każdym razie.

– Ależ tobie potrzeba pieniędzy, Sien!

– To moja sprawa.

– Nie możesz przecie prac, jeżeli siedzisz tu cały dzień.

– Zostaw to mnie... Zawsze coś zarobię.

Pozwolił jej przychodzić jeszcze przez trzy dni, dopóki był w domu chleb. Cały tydzień dzielił go od pierwszego. Powiedział więc Sien, że zamierza wyjechać do Amsterdamu w odwiedziny do stryja i że zaraz po powrocie zgłosi się do niej. Trzy dni siedział w pracowni i kopiował wzory. Żył wyłącznie wodą, nawet nie cierpiąc tak bardzo z tego powodu. Na trzeci dzień po południu odwiedził de Bocka w nadziei, że ten poczęstuje go herbatą i ciastem.

– Dzień dobry, staruchu – powitał go de Bock nie odrywając oczu od sztalug. – Siadaj sobie wygodnie. Pracuję dziś cały dzień do kolacji, na którą się z kimś umówiłem. Na stole leżą gazety i pisma. Rozgość się jak w domu.

O herbacie ani słówka.

Wiedział, że Mauve go nie przyjmie, Jet zaś wstydził się prosić. Wolał umrzeć z głodu niż prosić o pomoc Tersteega, który judził Mauve'a przeciw niemu. Mimo rozpaczliwej sytuacji nie przyszło mu nawet na myśl, że mógłby zarobić parę franków w inny sposób jak malowaniem. Dawna gorączka, której nabawił się w Borinage, wpełzła mu znowu w kości. Osłabł tak, że musiał się położyć. Wiedział dobrze, że to niemożliwe, a jednak miał nadzieję, że sto franków od Thea nadejdzie cudem parę dni wcześniej. Ale Theo nie dostawał nigdy pensji przed pierwszym.

Piątego dnia po południu weszła do pokoju Krystyna, nie zapukawszy do drzwi. Vincent spał. Pochyliła się nad nim, ujrzała bruzdy na twarzy, ziemistą cerę i spękane, żółte jak pergamin wargi. Położyła delikatnie rękę na czole śpiącego i wyczuła żar gorączki. Przeszukała półkę, na której stały zwykle prowianty. Nie znalazła ani kruszynki chleba, ani ziarenka kawy. Wyszła.

W godzinę później Vincent miał sen: zdawało mu się, że jest w kuchni matki w Etten i czuje zapach gotowanej fasoli. Obudził się i zobaczył Krystynę pochyloną nad piecem. Gotowała coś i mieszała w rondelku.

– Sien – szepnął.

Podeszła do łóżka i przesunęła chłodną dłoń po jego rozpalonym policzku; ruda broda piekła jak ogień.

– Na przyszłość nie udawaj bogacza – rzekła – mnie nie masz potrzeby oszukiwać. Oboje jesteśmy ubodzy, ale nie z naszej winy. Musimy sobie wzajemnie pomagać. Czyś mi nie pomógł zaraz pierwszej nocy, gdyśmy się spotkali w winiarni.

– Sien – powtórzył tylko.

– Weszłam i zobaczyłam cię leżącego. Pobiegłam prędko do domu i przyniosłam kartofle i fasolę. Są już gotowe.

– Utłukła na talerzu kartofle, dodała zielonej fasoli, usiadła na brzegu łóżka i nakarmiła go. Dlaczego co dzień dawałeś mi pieniądze, jeżeli sam miałeś za mało? Tym, że głodujesz, nie pomożesz nikomu.

Vincent mógł z konieczności cierpieć niedostatek całe tygodnie, czekając na pieniądze od Thea, lecz niespodziewana życzliwość złamała jego upór. Postanowił udać się do Tersteega. Krystyna wyprała mu koszulę, nie miał jednak żelazka, by ją odprasować. Nazajutrz rano przygotowała mu skromne śniadanie: chleb i kawę. Po czym wybrał się w drogę. Przy jednym z zabłoconych trzewików brakowało obcasa, spodnie były brudne i połatane. Włożył płaszcz Thea, za krótki i przyciasny. Wytarty krawat przekręcił się na lewo i leżał całkiem krzywo. Na głowę włożył jedną ze swych fantastycznych czapek, nie wiadomo jakim cudem i skąd wytrzaśniętych.

W jednym z okien wystawowych na Plein ujrzał własne odbicie. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy z okrutną wyrazistością widział siebie tak, jak go musieli widzieć mieszkańcy Hagi: brudny, nie uczesany i zaniedbany włóczęga, chory, cudaczny i zdeklasowany.

Jedynie najbogatsze firmy mogły sobie pozwolić na posiadanie sklepu przy Plaats, które szerokim trójkątem rozwierało się ku Zamkowi. Vincent wzdragał się przed wejściem do uświęconej i wykwintnej dzielnicy. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie jasno, ile setek mil dzieli go od sfery ludzi z Plaats.

Sprzedawcy firmy Goupil, zajęci ścieraniem kurzu, gapili się na niego z nie ukrywaną ciekawością. Rodzina tego człowieka opanowała cały niemal europejski handel sztuką: dlaczego on wałęsał się w tak nędznym odzieniu?

Tersteeg siedział na piętrze, w swym biurze. Przeglądał ranną pocztę; do otwierania listów służył mu piękny nóż z nefrytową rękojeścią. Zauważył małe, okrągłe uszy Vincenta poniżej linii brwi, wyostrzony chorobliwie owal twarzy, lekko wyłysiałą lewą skroń, zielononiebieskie oczy wpatrzone w niego przenikliwie i chłodno, pełne usta, których czerwień podkreślał rudy zarost. Tersteeg nigdy nie mógł zdecydować, czy głowa i twarz Vincenta są piękne czy brzydkie.

Vincent powiedział, jak źle mu się powodzi.

– A co zrobiłeś ze swoją pensją miesięczną?

– Wydałem.

– Jeśli nie umiesz gospodarować oszczędnie, radzę nie oczekiwać, że będę ci w tym jeszcze pomagał. Miesiąc ma trzydzieści dni. Nie wolno ci więc dziennie wydawać więcej, niż możesz.

– Nie postępowałem lekkomyślnie. Większa część pieniędzy poszła na modele.

– W takim razie nie bierz sobie modeli. Pracuj sam, to wypadnie taniej.

– Praca bez modeli oznacza śmierć dla tego, kto chce odtwarzać ludzką postać.

– Więc zostaw ludzką postać. Maluj krowy i owce. Im nie trzeba płacić.

– Nie mogę rysować krów i owiec, gdyż nie czuję krów i owiec.

– Powinieneś w ogóle poniechać rysowania ludzi, skoro nie możesz sprzedać tych szkiców. Powinieneś malować tylko akwarele.

– Akwarela mi nie odpowiada.

– Mam wrażenie, że rysowanie jest dla ciebie pewnego rodzaju narkotykiem potrzebnym ci, by zapomnieć o bólu na myśl, że nie umiesz malować akwarelą.

Nastąpiło milczenie. Vincent nie wiedział, co odpowiedzieć.

De Bock nie pracuje z modelami, a dobrze mu się powodzi – podjął po chwili Tersteeg.

– I nie zaprzeczysz chyba, że jego dzieła są świetne. Cena za nie idzie wciąż w górę. Czekałem łudząc się, że twoje prace nabiorą coś z jego wdzięku. Ale nic z tego nie wynikło. Jestem rozczarowany, Vincencie. Twoje prace są nadal nieudolne i dyletanckie. Jedno jest dla mnie pewne: nie jesteś artystą.

Przez pięć dni Vincent nic nie jadł. Teraz w ataku słabości zdawało mu się, że ma podcięte kolana. Opadł na jedno z misternie rzeźbionych włoskich krzesel. Głos jego brzmiał bezdźwięcznie; mówił z trudem.

– Dlaczego pan mi to mówi?

Tersteeg wyciągnął białą jak śnieg chustkę i otarł starannie nos, kąty ust i brodę.

– Ponieważ winienem to tobie i twojej rodzinie. Musisz dowiedzieć się prawdy. Jeszcze czas, Vincencie. Jeszcze możesz zawrócić i ratować się, o ile będziesz działał szybko. Nie jesteś stworzony na artystę. Powinieneś znaleźć sobie inne, odpowiedniejsze miejsce w życiu... Co się tyczy malarzy, nie myślę się nigdy.

– Wiem o tym.

– Ważkim zarzutem z mojej strony jest to, że się zabrałeś zbyt późno do malowania. Może doprowadziłyś do czegoś, gdybyś zaczął za młodu. Obecnie masz lat trzydzieści, Vincencie, powinieneś być właściwie już zdobyć powodzenie. Bądź co bądź ja je miałem w twoim wieku. Jakim cudem spodziewasz się sukcesu, skoro nie posiadasz talentu? I co jest jeszcze gorsze, czym usprawiedliwisz fakt, że żyjesz za pieniądze Thea?

– Mauve powiedział mi kiedyś: „Vincencie, widząc cię rysującego, wiem, że jesteś malarzem”.

– Mauve jest twoim kuzynem i chciał ci sprawić przyjemność. Ja jestem jednak twoim przyjacielem; proszę mi wierzyć, moja przyjaźń jest lepsza. Radzę poniechać sztuki, nim dojdiesz do wniosku, żeś zmarnował całe życie! Pewnego dnia, kiedy w innej pracy osiągniesz rezultaty, w pracy, do której będziesz istotnie powołany, podziękujesz mi za moją radę.

– Mijnheer, od pięciu dni nie mam centyma przy duszy, aby sobie kupić choć kawałek chleba. Mimo to nie przyszedłbym prosić pana o pieniądze, gdyby szło tylko o mnie. Ale mam modelkę, biedną, schorowaną kobietę. Nawet jej nie mogłem zapłacić, a trzeba jej koniecznie pieniędzy. Proszę, niech mi pan pożyczy dziesięć franków tylko na kilka dni, aż przyjdą pieniądze od Thea. Oddam natychmiast.

Tersteeg podniósł się i stanął przy oknie, patrząc na łabędzie pływające po stawie – jedyną pozostałość dawnej wodnej wspianiałości zamku. „Dlaczego właściwie Vincent osiedlił się w Hadze, skoro jego stryjowie mieli firmy w Paryżu, Rotterdamie, Amsterdamie i Brukseli?”

– Sądysz zapewne, że wyświadczę ci przysługę pożyczaniem dziesięciu franków? – zapytał nie odwracając się od okna. – Nie jestem wcale pewien, czy nie byłoby większą przysługą, gdybym ci odmówił.

Vincent wiedział dobrze, w jaki sposób Sien zarobiła na kartofle i fasolę. Nie wolno mu dopuścić do tego, aby nadal dbała o jego utrzymanie.

– Bez wątpienia ma pan słuszność mijnheer Tersteeg. Nie jestem doprawdy artystą, nie mam talentu; byłoby niemądrze z pańskiej strony zachęcać mnie finansową pomocą. Muszę natychmiast rozejrzeć się za jakimś zarobkiem i znaleźć sobie wreszcie miejsce w życiu. Ale przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń proszę pana o pożyczanie mi tych dziesięciu franków.

Tersteeg wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni surduta, poszukał banknotu dziesięciofrankowego i bez słowa wręczył go Vincentowi.

– Dziękuję – rzekł Vincent. – Pan jest bardzo życzliwy.

Wracał do domu przez schludne, wypiełgnowane ulice, przy których stały małe, czyste domki z cegieł, świadczące o pewności jutra, wygodzie i spokoju. „Ludzie nie zawsze mogą być uprzejmi – myślał – niekiedy muszą kłócić się z sobą. Ale Tersteega nie chcę teraz widzieć co najmniej przez sześć miesięcy; nie będę z nim mówił, nie pokażę mu moich prac!”

Poszedł do de Bocka. Chciał koniecznie dociec, na czym polega ów urok, którego sam nie posiadał – urok, dzięki któremu obrazy de Bocka dawały się tak łatwo sprzedawać. De Bock odpoczywał w fotelu czytając angielską powieść.

– Dzień dobry – przywitał Vincenta – jestem dziś w złym humorze. Ani jedna linia mi się nie udała. Przysuń sobie krzesło i opowiedz coś zabawnego. Na cygarko jeszcze za wcześnie. Słyszałeś coś zajmującego w ostatnich dniach?

– Pokaż mi parę twoich obrazów, de Bock, dobrze? Chciałbym zrozumieć, dlaczego twoje obrazy nadają się na sprzedaż, a moje nie?

– Talent, drogi przyjacielu, tylko talent! – de Bock podniósł się leniwie. – Ostatecznie wszystko zależy od tego. Ma się to albo nie. Sam nie potrafiłbym określić, co to takiego, chociaż maluję te przeklęte rzeczy.

Rozłożył przed Vincentem około pół tuzina obrazów, nie przestając gadać. Vincent siedział wpatrując się gorejącymi oczami, jak gdyby poprzez cienko nałożone farby i płyciznę uczuć chciał dotrzeć do samego dna tych pokupnych obrazów.

„Moje są lepsze – powtarzał w duchu – moje są prawdziwsze i głębsze. Zwykłym, prostym ołówkiem wyrażam więcej niż on całą paletą. Jego obrazy mówią to, co każdy może wiedzieć: banały. Jak to się dzieje, że on zdobył uznanie i pieniądze, a ja nie mogę zarobić nawet na czarny chleb i kawę?”

Kiedy wreszcie wyrwał się de Bockowi i wyszedł, mruzczał cicho pod nosem: „W tym domu jest jakaś niezdrowa atmosfera. De Bock ma w sobie coś zblazowanego i sztucznego, co mnie przygnębia. Millet ma słuszność: „Raczej nie mówić nic niż wyrażać się słabo”. Niech sobie de Bock zachowa swój urok i swoje pieniądze! Wolę życie prawdziwe, realne, ciężkie. To nie jest droga prowadząca do zguby”.

Gdy wrócił do domu, Krystyna szorowała podłogę w pracowni. Włosy owinęła czarną chustką, krople potu perlily się na ospowatej twarzy.

– Dostałeś pieniądze? – spytała podnosząc głowę.

– Tak, dziesięć franków.

– Wspaniale. Jak to dobrze mieć bogatych przyjaciół!

– Tu masz sześć franków, które jestem ci winien.

Podniosła się i otarła twarz czarnym fartuchem.

– Nie możesz mi ich dać teraz – odparła. – Dopiero gdy brat ci przyśle. Cztery franki nie na długo wystarczą.

– Jakoś to będzie, Sien. Tobie potrzeba pieniędzy.

– Tobie też. Powiem ci, com umyśliła. Zostanę tutaj, póki nie nadejdą pieniądze od twego brata. Z tych dziesięciu franków będziemy żyli tak, jakby należały do nas obojga. Potrafię nimi lepiej gospodarzyć od ciebie.

– A co będzie z pozowaniem? Nie mogę ci na razie płacić.

– Dasz mi wikt i łóżko, czy to nie dosyć? Jest mi tak dobrze, gdy mogę być tutaj, w ciepłym kącie. Tutaj przynajmniej nie muszę zaharowywać się na śmierć.

Vincent wziął ją w ramiona i odsunął jej z czoła rzadkie, szorstkie włosy.

– Robisz czasem cuda, Sien, wracasz mi niemal wiarę, że Bóg istnieje mimo wszystko.

VII

W niespełna tydzień potem Vincent wybrał się do Mauve'a. Malarz wpuścił go do pracowni, lecz zarzucił pośpiesznie zasłonę na obraz z Scheveningen, nim Vincent zdążył go obejrzeć.

– Czego chcesz? – zapytał, jak gdyby nie wiedział o niczym.

– Przyniosłem kilka akwarel. Czy nie mógłbyś ich obejrzeć?

Mauve nerwowo i z roztargnieniem czyścił pęk pędzli. Od trzech dni nie rozbierał się; parę godzin niespokojnego snu na kanapie w pracowni było jedynym odpoczynkiem, na jaki sobie pozwalał. Był rozbity i nerwowo wyczerpany.

– Nie myśl, że zawsze jestem do twej dyspozycji, Vincencie. Jestem przemęczony. Zaczekaj, na miłość boską, do stosownej chwili.

– Szkoda, kuzynie, jest mi doprawdy przykro – odrzekł Vincent kierując się ku drzwiom. – Nie chciałem ci przeszkadzać. Czy mogę wpaść jutro wieczorem?

Mauve odsłonił tymczasem płótno i był teraz tak pochłonięty obrazem, że nie słyszał wcale słów Vincenta.

Nazajutrz wieczorem Vincent zastał u Mauve'a Weissenbrucha. Mauve był podniecony i zdenerwowany do ostateczności. Jakiś diabeł go opętał; począł naigrywać się z Vincenta. „Weissenbruch – zawołał – oto jak on wygląda!” Zawsze dobrze umiał naśladować ludzi; teraz ściągnął twarz w głębokie bruzdy i wysunął naprzód podbródek. Była to udana karykatura. Podeszedł do Weissenbrucha, spojrzawszy na niego wpółotwartymi oczami i rzekł: A tak on mówi!,, I zmienionym głosem, naśladując do złudzenia ochrypy głos Vincenta, wyrzucał nerwowo słowa. Weissenbruch aż wył ze śmiechu.

– Doskonale! Wybornie! – wołał. – Van Gogh, tak widzą pana inni. Nie przypuszczał pan wcale, że jest pan tak ładnym zwierzęciem, co? Mauve, wysuń pan jeszcze bardziej podbródek! Można pęknąć ze śmiechu.

Vincent osłupiały zaszył się w kąt. Gdy przemówił, własny głos wydał mu się nagle obcy.

– Gdyby pan tak jak ja spędzał noce w deszczu na ulicach Londynu, gdyby pan przeżył zimne noce w Borinage, gdyby pan tak często musiał głodować, bez dachu nad głową, dygocąc w gorączce, miałby pan takie same szkaradne bruzdy na twarzy i równie ochryple głós.

Weissenbruch pożegnał się wkrótce. Zaledwie odszedł, Mauve zataczając się opadł na krzesło; nastąpiła reakcja. Vincent tkwił wciąż jeszcze bez ruchu w kącie. Wreszcie Mauve zauważył go.

– Ach, jesteś tu jeszcze?

– Kuzynie Mauve – natarł na niego Vincent przypominając do złudzenia karykaturę Mauve'a. – Co stało między nami? Powiedz mi tylko, co zrobiłem? Dlaczego obchodzisz się ze mną w ten sposób?

Mauve podniósł się ociężale i poprawił włosy.

– Nie godzę się na twoje postępowanie, Vincencie. Musisz zarabiać sam na życie. Nie wolno ci zniesławiać nazwiska van Goghów tym, że u każdego żebrzesz o pieniądze.

Vincent chwilę pomyślał i spytał:

– Czy Tersteeg był tutaj?

– Nie.

– Nie chcesz mnie zatem uczyć dalej?

– Nie.

– Niech i tak będzie. Czy nie powinniśmy jednak podać sobie rąk na pożegnanie i rozejść się w przyjaźni? Uczucia wdzięczności, jakie mam dla ciebie, nic nie potrafi przekreślić.

Mauve długo nie odpowiadał. Wreszcie rzekł:

– Nie bierz sobie tego zbyt do serca, Vincencie. Jestem chory i przepracowany. Chcę ci pomóc, o ile to w mojej mocy. Czy przyniosłeś jakieś rysunki?

– Tak, ale teraz nie jest na to odpowiednia chwila.

– Pokaż je!

Zaczerwienionymi ze zmęczenia oczyma przejrzał szkice i oświadczył:

– Twój sposób rysowania jest z gruntu błędny i zły. Dziwne, że tego dawniej nie zauważyłem.

– Powiedziałeś kiedyś, że po moim rysowaniu widać, że urodziłem się malarzem.

– Wziąłem prostactwo za siłę. Jeśli naprawdę chcesz osiągnąć jakieś rezultaty, musisz zacząć jeszcze raz od początku. Tam, w kącie za paką z węglem, stoją odlewy gipsowe. O ile masz ochotę, zabierz się do nich.

Vincent usiadł ze ściśniętym sercem przed białą nogą gipsową. Był bez czucia i myśli, kończyny ciążyły mu jak ołów. Wydobył z kieszeni kilka arkuszy papieru i zabrał się do roboty. Nie był zdolny do narysowania najprostszej linii. Spojrzał na Mauve'a, który stał przed sztalugami.

– Jak ci idzie, Mauve?

Mauve rzucił się na małą kanapkę, nabiegłe krwią oczy zamknęły się natychmiast.

– Tersteeg powiedział dzisiaj, że to mój najlepszy obraz. Po długiej chwili Vincent odezwał się:

– Więc to był jednak Tersteeg?

Mauve nie słyszał – spał pochrapując lekko.

Po chwili ból serca ustąpił nieco. Vincent rysował w ciszy. Kiedy kuzyn obudził się po paru godzinach, Vincent miał gotowych siedem szkiców. Mauve zerwał się jak kot z kanapy, jakby wcale nie spał przed chwilą, i rzucił się na rysunki.

– Pokaż, pokaż!

Obejrzał siedem szkiców, powtarzając bez końca:

– Nie! Nie! Nie!

Podarł wszystkie siedem, a strzępy rzucił na podłogę.

– Wciąż to samo prostactwo, ten sam dyletantyzm! Czy nie potrafisz doprawdy narysować odlewu tak, jak on wygląda? Czy jesteś tak nieudolny, że nie umiesz jasno i wyraźnie pociągnąć jednej linii? Czy nie potrafisz choć raz w życiu skopiować czegoś dokładnie?

– Mówisz jak profesor akademii sztuk pięknych, kuzynie Mauve.

– Może pojąłbyś wreszcie, co znaczy rysowanie, gdybyś miał więcej do czynienia z tymi szkołami! Weź się na nowo do tej nogi! I bacz, by naprawdę wyszła z tego noga.

Poszedł przez ogród do kuchni, aby przynieść sobie coś do jedzenia, potem wrócił i malował dalej w świetle lampy. Powoli mijała noc, godziny płynęły. Vincent rysował wciąż na nowo nogę. Im dłużej rysował, tym większą nienawiść budził w nim ten kawał gipsu. Kiedy mętny brzask dnia począł się sączyć przez okno, leżała przed nim pokaźna liczba szkiców. Podniósł się, zbolały od długiego siedzenia, z uciskiem w sercu. Mauve rzucił okiem na rysunki i zmiął je w rękach.

– Wszystko do niczego – oświadczył – ani jeden nie jest dobry! Grzeszysz przeciw wszelkim zasadom rysunku. Masz, bierz tę nogę do domu i rysuj ją wciąż na nowo! I nie pokazuj mi się, dopóki nie narysujesz jej dobrze!

– Do stu diabłów, przenigdy tego nie zrobię! – wrzasnął Vincent.

Cisnął nogę tak gwałtownie do skrzyni z węglem, że gips potrzaskał się w drobne kawałki.

– Nie chcę więcej słyszeć o gipsie! Słabo mi się robi na samą myśl. Dopóki istnieją ręce i nogi żywych ludzi, nie ruszę nogi gipsowej!

– No, jeśli takie masz nastawienie – odparł Mauve lodowatym tonem.

– Kuzynie Mauve, nie pozwolę się zmiążdżyć zimnemu systemowi, ani twojemu, ani żadnemu innemu. Muszę wypowiadać się tak, jak tego żąda mój temperament i charakter. Muszę tak rysować, jak ja widzę, nie jak ty widzisz!

– Nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia – odparł Mauve, odżegnując się raz na zawsze od spraw Vincenta.

Kiedy Vincent obudził się w południe, ujrzał w pokoju Krystynę z Hermanem, najstarszym jej synem. Był to blady dziesięcioletni chłopak o zielonych, rybich, wystraszonych oczach, podbródka nie miał prawie zupełnie.

Krystyna dała chłopcu do ręki kawałek papieru i ołówkę, aby siedział cicho i nie przeszkadzał; nie umiał czytać ani pisać. Zbliżył się nieśmiało do Vincenta, gdyż lękał się obcych. Vincent pokazał mu, jak należy trzymać ołówkę i rysować krowę. Malec był zachwycony i wnet spoufalili się z Vincentem. Krystyna przyniosła chleb i ser. Zjedli we troje śniadanie.

Vincent myślał o Kay i jej ślicznym synku. Krtań miał ściśniętą.

Nagle Krystyna rzekła:

– Czuję się dziś niezbyt dobrze, Vincencie... Może Hernman będzie ci pozował?
– Co się stało, Sien?
– Sama nie wiem. Mam poskręcane wnętrzności.
– Czy tak samo czułaś się przy innych dzieciach?
– Byłam chora, ale teraz jest gorzej.
– Powinnaś iść do doktora.
– Co mi po doktorze dla ubogich? Zapisze mi lekarstwo, to też nie pomoże.
– Powinnaś pojechać do szpitala miejskiego w Lejdie.
– Aha... powinienam...
– To niedaleko. Zawiozę cię jutro rano. Z całej Holandii zjeżdżają się ludzie do tego szpitala.

– Mówią, że pono dobry.

Krystyna została przez cały dzień w łóżku. Vincent rysował dziecko.

W południe odprowadził je do babki.

Nazajutrz z samego rana udali się oboje z Krystyną do Lejdy.

– Nic dziwnego, że pani czuje się niedobrze – powiedział doktor po zbadaniu i szczegółowym wypyтaniu chorej. – Dziecko źle leży.

– Czy da się coś zrobić, panie doktorze? – zapytał Vincent.

– Tak, można wykonać zabieg.

– Czy to niebezpieczne?

– W tym okresie nie. Trzeba dziecko po prostu obrócić w łonie. Ale to kosztuje. Nie sama operacja, lecz pobyt w szpitalu.

Zwrócił się do Krystyny:

– Ma pani jakieś zaoszczędzone pieniądze?

– Ani jednego franka.

Doktor westchnął:

– Tak bywa prawie zawsze.

– Ile by to musiało kosztować, panie doktorze? – zapytał znów Vincent.

– Nie więcej niż pięćdziesiąt franków.

– A jeśli nie zrobi się zabiegu?

– Wówczas nie ma w ogóle szans, aby została przy życiu.

Vincent rozważał chwilę. Dwanaście akwarel dla stryja Kora było niemal na ukończeniu. To dałoby trzydzieści franków, brakujących dwadzieścia weźmie z pieniędzy, które Theo przyśle na kwiecień.

– Wystaram się o pieniądze, panie doktorze.

– Dobrze, niech pan przywiezie pacjentkę w sobotę rano, ja sam wykonam zabieg. I jeszcze jedna sprawa. Nie wiem, w jakim stosunku pozostaje pan do tej kobiety, nic mnie to zresztą nie obchodzi jako lekarza. Ale z jednego musi pan zdawać sobie jasno sprawę, że jeśli dalej będzie uprawiała dotychczasowe rzemiosło, nie pożyje ani sześciu miesięcy. To się więcej nie powtórzy! Przynrzekam panu.

– Doskonale. A więc do zobaczenia w sobotę.

W kilka dni potem Tersteeg odwiedził znów Vincenta:

– Widzę, że jednak nie porzuciłeś malarstwa.

– Tak, pracuję dalej.

– Dziesięć franków otrzymałem pocztą. Mogłeś je przynajmniej osobiście odnieść i podziękować za pożyczkę.

– Daleka jest droga do pana, mijnheer Tersteeg, na domiar złego była niepogoda.

– Kiedy potrzebowałeś pieniędzy, droga nie była wcale za daleka.

Vincent nic nie odpowiedział.

– Właśnie ten brak manier zraża mnie do ciebie, Vincencie. Właśnie dlatego nie wierzę w ciebie i nie mogę kupować twoich obrazów.

Vincent przysiadł na brzegu stołu gotując się do nowej rozprawy.

– Wmawiałem sobie, że kupno obrazów nie ma nic wspólnego z osobistymi przekonaniami i różnicą poglądów. Sądziłem, że to, czy pan kupuje moje rzeczy, zależy nie ode mnie, lecz od mojej pracy. Kształtowanie sądu pod wpływem osobistej niechęci nie wydaje mi się słuszne.

– Z pewnością. Gdybyś, jak już powiedziałem, narysował coś pełnego wdzięku, gdyby twoje prace nadawały się do sprzedania, z radością ofiarowałbym je klientom w naszej firmie.

Mijnheer Tersteeg, coś, nad czym człowiek pracuje całą duszą, w co wkłada siłę, uczucie, własne widzenie świata, nie może być tak pozbawione wdzięku ani też nie nadawać się na sprzedaż. Mam nadzieję, że mojej pracy wyjdzie na dobre, jeśli nie będę usiłował od początku schlebiać gustom publiczności. Tersteeg usiadł nie rozpinając palta ani nie zdejmując rękawiczek. Oparł się oburącz na gałce laski.

– Wiesz, Vincencie, niekiedy podejrzewam, że wolisz nie sprzedawać swoich prac, że jest ci przyjemniej żyć na koszt innych.

– Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł sprzedać obraz, ale o wiele szczęśliwszy jestem, kiedy prawdziwy artysta, jak Weissenbruch, mówi o moich pracach, o których pan twierdzi, że nie można ich sprzedać: „To oddaje wiernie naturę: sam mógłbym się z tego niejednego nauczyć”. Chociaż pieniądze, właśnie teraz, są dla mnie ogromnie ważne, sprawą zasadniczą jest stworzenie czegoś wartościowego.

– Dla człowieka zamożnego, jak de Bock, zasada ta może być słuszna. Ale nie dla ciebie.

– Rzetelny stosunek do malarstwa nie zależy od dochodów.

Tersteeg położył laskę na kolanach i oparł się o poręcz krzesła.

– Dostałem list od twoich rodziców, Vincencie. Prosilili mnie, abym szedł ci, jak mogę, na rękę. Zrobię to chętnie. Aczkolwiek nie mogę z czystym sumieniem kupować twoich rysunków, mogę ci dać przynajmniej praktyczną radę. Rujnujesz sam siebie przez to, że chodzisz w tych okropnych łachmanach. Musisz sobie sprawić nowe, przyzwoite ubranie: jak cię widzą, tak cię piszą. Zapominasz, że jesteś van Goghciem. Prócz tego powinienes starać się o obcowanie z ludźmi z lepszej sfery, a nie zadawać się zawsze tylko z robotnikami i ludem. Znajdujesz widać upodobanie we wszystkim, co niskie i brzydkie. Widywano cię w najbardziej podejrzanych lokalach i w podejrzanym towarzystwie. Jak możesz liczyć na powodzenie zachowując się tak nieodpowiedzialnie.

Vincent podniósł się i powoli podszedł do Tersteega. Jeśli w ogóle istniała możliwość pozyskania z powrotem sympatii tego człowieka, to w tej chwili i w tym miejscu. Starał się mówić jak najłagodniej.

– Mijnheer, to bardzo miło z pańskiej strony, że pan chce mi pomóc. Proszę mi pozwolić na odpowiedź szczerą i otwartą. Jakim cudem mam się ubierać lepiej, skoro nie

mam jednego zbędnego franka, jeśli nie mam możliwości zarobienia najmniejszej bodaj sumy? Nie należy doprawdy do przyjemności wałęsanie się po stoczniach, po ciasnych uliczkach i zaułkach, przesiadywanie w poczekalniach dworcowych i szynkach. Jedynie artysta zdoła to wytrzymać. Tak jest, prawdziwy artysta woli raczej tkwić w tym całym brudzie, gdzie ma co rysować, aniżeli uśmiechać się na herbatkach do czarujących dam. Szukanie motywów, życie pośród pracującego ludu, rysowanie natury tam, gdzie ją znaleźć można – zapewne to zajęcie szorstkie i surowe, niekiedy nawet brudne. Wykwintne maniery jednak i starannie uprasowany garnitur nie pasują do mnie. To pasuje do tych, którzy muszą rozmawiać z eleganckimi damami i możliwymi paniami, aby im sprzedawać swoje dzieła i bogacić się. Moje miejsce jest pośród robotników. Rysować ich w jakiejś norze na Geest – jak to robię od rana do wieczora – oto moja praca. Moja szkaradna twarz i nędzny płaszcz harmonizują z tym otoczeniem. Tam mogę być sobą, mogę pracować z radością. Gdybym włożył elegancki płaszcz, robotnicy czuliby lęk i nieufność. Oddanie tego, co godne jest widzenia: odcinka życia, które nie każdy zna – oto czego chcę i co stanowi istotę całej mojej pracy! Być może, że dobre maniery towarzyskie zatracają się przy tym niekiedy. Ale, czy moje dzieło nie usprawiedliwia tego braku? Czy poniżam się obcując z ludźmi, których chcę rysować? Czy poniżam się wchodząc do domów robotniczych i zapraszając tych ludzi do mojej pracowni? Uważam, że mój zawód tego wymaga! Czy to nazywa pan „rujnowaniem siebie”?

– Jesteś uparty, Vincencie. Nie chcesz słuchać ludzi doświadczonych, którzy radzi by ci pomóc. Już raz w życiu zawiodłeś i teraz będzie to samo. Wciąż na nowo powtarza się z tobą ta sama historia.

– Mam rękę urodzonego rysownika, mijnheer Tersteeg, nie mogę poniechać rysowania! Żadna rada na to nie pomoże. Proszę, niech pan powie, czy od dnia, w którym zacząłem rysować, kiedykolwiek wątpiłem, czy wahałem się albo byłem niezdecydowany? Zdaje się, że pan też musiał zauważyć moje postępy i że w tej walce przybywa mi sił, których potrzebuję.

– Może. Ale walczysz dla straconej sprawy.

Podniósł się, zapiął starannie rękawiczkę i włożył cylinder:

– Mauve i ja postaramy się o to, aby Theo nie przysyłał ci więcej pieniędzy. To jedyna możliwość przywrócenia ci rozsądku.

Vincent poczuł, że coś w nim załamuje się. O ile zaatakują go od tej strony, zginie.

– Boże! – krzyknął. – Dlaczego pan chce wyrządzić mi tę krzywdę? Co złego zrobiłem, że pan uwziął się, aby mnie zniszczyć? Czy zabija się człowieka dlatego tylko, że jest innego zdania? Dlaczego nie pozwala mi pan iść własnymi drogami? Przysięgam, że nigdy więcej nie będę pana nachodził! Mój brat jest jedyną istotą, która mi pozostała na świecie. Nie wolno panu rozłączyć go ze mną!

– Czynię to jedynie dla twego dobra – odparł Tersteeg i wyszedł.

Vincent chwycił sakiewkę z pieniędzmi i pobiegł do miasta, by odkupić Mauve'owi gipsową nogę. Na Uileboomen utworzyła mu Jet. Zdziwiła się ujrzawszy Vincenta.

– Antona nie ma w domu – rzekła. – Jest wściekły na ciebie. Powiedział, że nie chce cię więcej znać. Ach, Vincencie, jestem doprawdy nieszczęśliwa, że do tego doszło.

– Vincent wręczył jej gipsowy odlew nogi. Oddaj to Antonowi i powiedz, że proszę o wybaczenie; z serca żałuję.

Skierował się ku wyjściu. Jet położyła mu ze współczuciem rękę na ramieniu.

– Obraz z Scheveningen jest gotów. Chcesz go zobaczyć?

W milczeniu stał przed obrazem Mauve'a. Przedstawiał łódź rybacką wyciąganą przez konie na brzeg. Wiedział, że patrzy na arcydzieło. Wynędzniałe, sterane szkapy, kare, siwe i kasztanowate stały cierpliwie, pokornie i cicho. Przed nimi leżał jeszcze kawał wzgórza, na które miały wyciągnąć ciężką łódź – wnet dokonają swego dzieła. Zlane potem zdawały się dyszeć z utrudzenia – ale bez jęku skargi. Od wielu, od bardzo wielu lat harowały w ten sposób. Pogodziły się ze swym losem. Czekają je jeszcze trochę życia i wiele twardego mozołu. I gdyby jutro miały iść do oprawcy – też dobrze, są gotowe...

Vincent odkrył w tym obrazie głęboką mądrość życiową, która mówiła: *Savoir souffrir sans se plaindre, ça cest la seule chose pratiqum, cest la grande science, la leçon a apprendre, la solution du problème me de la vie*²⁸.

Opuszczał dom malarza orzeźwiony i ubawiony paradoksalnym zbiegiem okoliczności: człowiek, który mu zadał najcięższy cios, pokazał mu zarazem, jak należy znosić cierpienie.

VIII

Operacja Krystyny przeszła gładko, ale trzeba było wystarać się o pieniądze. Vincent posłał stryjowi Korowi dwanaście zamówionych akwarel i czekał na zapłatę. Czekał dość długo. Stryj Kor przysyłał pieniądze, kiedy nie miał nic innego na głowie. Ponieważ zaś doktor w Lejdzie miał pomagać Krystynie również przy rozwiązaniu, nie chcieli go zrażać niepunktualnością w płaceniu. Vincent posłał mu więc ostatnie dwadzieścia franków na długo przed pierwszym. I znów zaczęła się stara historia. Zrazu jadał jeszcze czarny chleb i pił kawę, a potem – woda, gorączka, osłabienie, halucynacje... Krystyna stołowała się teraz u matki, ale Vincentowi nie mogła nic przynosić. Gdy poczuł się u kresu sił, zwlókł się z łóżka i słaniając się na nogach, cały w żarze, poszedł do Weissenbrucha.

Weissenbruch miał moc pieniędzy, był jednak zdania, że aby być artystą, trzeba żyć ascetycznie. Jego pracownia leżała na czwartym piętrze, górne światło wpadało przez północne okno pod sufitem. Nie było tu nic, co by odwracało uwagę od pracy: żadnych książek, żadnych pism, żadnej kanapy, nawet krzesła z oparciem. Ściany były nagie, nieciekawym widok za oknem. Znajdowały się tu jedynie sprzęty służące rzemiosłu. Nie było nawet stołka dla gościa. Weissenbruch nie lubił odwiedzin.

– O, to pan – mruknął nie odkładając pędzla. Sam nieraz przeszkadzał malarzom w pracy, ale gdy ktoś jemu zakłócał spokój, nie był bardziej gościnnym od lwa w klatce.

Vincent wyjaśnił, po co przyszedł.

– Nie ma mowy, mój chłopcze – zawołał Weissenbruch.

– Trafił pan pod fałszywy adres. Jestem ostatnim człowiekiem, który panu pomoże. Ani dziesięciu centymów panu nie pożyczę!

– Czy nie ma pan pieniędzy?

²⁸Umiejętność cierpienia bez skargi jest jedynym praktycznym sposobem, jest wielką wiedzą, lekcją, której trzeba się nauczyć, rozwiązaniem problemu życia.

– Ależ, owszem, owszem! Czy pan sądzi, że jestem tak przeklętym dyletantem jak pań, który nie może nic sprzedać? Już teraz posiadam więcej pieniędzy w banku, niż mogę wydać, choćbym żył trzy razy!

– Więc dlaczego nie chce mi pan pożyczyć dwudziestu pięciu franków? Jestem w rozpaczliwej sytuacji. Nie mam w domu ani okrucha chleba.

Weissenbruch zacierał z zadowolenia rękę.

– Świetnie! Świetnie! O to właśnie idzie! To doskonale dla pana. Z pana będzie jeszcze kiedyś malarz!

Vincent oparł się o ścianę, nogi ugięły się pod nim.

– Co jest takiego cudownego w głodowaniu?

– To najlepsze, co się panu zdarzyć może, van Gogh. Uczy to pana cierpienia.

– Po co mam cierpieć?

Weissenbruch usiadł na jedynym krześle, jakie stało w pracowni, założył nogę na nogę i wysunął w stronę Vincenta pędzel umaczany w czerwonej farbie.

– Bo to uczyni pana prawdziwym artystą. Im więcej pan cierpi, tym pan powinien być wdzięczniejszy. To jest glina, z której ulepieni są naprawdę wielcy malarze. Pusty żołądek jest lepszy od pełnego, van Gogh, złamane serce – lepsze od szczęśliwego. Nie należy o tym zapominać.

– Brednie, Weissenbruch, pan sam zdaje sobie z tego sprawę.

Weissenbruch wymachiwał pędzlem przed nosem Vincenta.

– Człowiek, który nigdy nie tkwił po uszy w biedzie, nie ma czego malować, van Gogh. Szczęście jest bydlęce; uśmiecha się tylko do krów lub kupczyków. Ból jest podłożem, na którym wyrastają artyści. Ilekroć pan głoduje, ilekroć jest pan zniechęcony i nieszczęśliwy, niech pan będzie wdzięczny. Bóg jest panu przychylny!

– Ubóstwo niszczy!

– Tylko słabych. Ale nigdy silnych! Jeśli bieda potrafi pana ugiąć, jest pan słabeuszem i słusznie się dzieje, że pan idzie na dno.

– Więc nie chce pan nawet palcem mszyć, aby mi dopomóc?

– Nie, nawet w tym wypadku, gdybym pana uważał za największego malarza wszystkich czasów. Człowiek, którego może złamać cierpienie i głód, nie zasługuje na ratunek. Jedynymi artystami godnymi, aby ich ziemia nosiła, są ci, których ani Bóg, ani diabeł nie potrafi zmóc, póki nie powiedzą wszystkiego, co chcieli.

– Ale ja głodowałem przez całe lata! Nie miałem dachu nad głową, chodziłem bez ciepłego ubrania w deszczu i śniegu, z gorączką, chory i opuszczony. W tych sprawach nie mam nic więcej do nauczenia się.

– Zaledwie zakosztował pan cierpienia. Jest pan początkującym. Powiadam panu, że jedynie ból jest nieskończony. A teraz idź pan do domu i weź ołówek do ręki! Im więcej nędzy i głodu zazna pan w życiu, tym lepsze stworzy pan dzieła.

– Tym pewniej moje rysunki będą odtrącane.

Weissenburch roześmiał się serdecznie.

– Oczywiście, będą odtrącane. I powinny być odtrącane: to właśnie jest dobre dla pana! To pograży pana jeszcze głębiej w nędzy. Potem każdy następny obraz będzie lepszy od poprzedniego. Jeśli pan będzie głodował i cierpiał, jeśli pańskimi dziełami ludzie będą

przez długi czas gardzić i lżyć je, wtedy może pan – proszę uważać, mówię „może” – stworzyć w końcu obraz godny, aby zawisnąć obok Jana Steena lub...

– ...Weissenbrucha.

– ...Weissenbrucha. Tak. Lub Weissenbrucha. Gdybym teraz dał panu pieniądze, pozbawiłbym pana możliwości zostania nieśmiertelnym.

– Do diabła z nieśmiertelnością! Chcę tworzyć teraz i tutaj! A nie mogę z pustym żołądkiem.

– Nonsens, synu. Wszystko, co kiedykolwiek namalowano wartościowego, stworzone zostało z pustym żołądkiem.

– Czy może mi pan w takim razie wyjaśnić, dlaczego pan sam tak mało cierpi?

– Ja posiadam twórczą wyobraźnię. Rozumiem cierpienie, choć sam go nie zakosztowałem.

– Oszust!

– Bynajmniej. Gdybym pewnego dnia doszedł do wniosku, że moje prace są tak płytkie jak obrazy de Bocka, cisnąłbym wszystkie pieniądze i rozpoczął życie włóczęgi. Ale rzecz ma się tak, że umiem wywołać w sobie całkowitą iluzję bólu, chociaż sam nigdy go nie doświadczałem. Oto dlaczego jestem wielkim artystą.

– Oto dlaczego jest pan właśnie oszustem. Weissenburch, proszę, bądź dobry i pożycz mi dwadzieścia pięć franków.

– Ani dwudziestu pięciu centymów! Mówię szczerze. Mam o panu zbyt wysokie mniemanie, abym przez pożyczanie panu pieniędzy niszczył ów dobry materiał, z którego kiedyś może się coś zrodzić. Pewnego dnia, Vincencie, stworzy pan rzeczy wspaniałe, o ile potrafi pan wykuć swój własny los. Historia z nogą gipsową przekonała mnie o tym. A teraz niech pan już idzie! Po drodze każ pan sobie dać talerz zupy w kuchni dla ubogich.

Vincent popatrzył na Weissebrucha, potem odwrócił się i otworzył drzwi.

– Chwileczkę! – zawołał Weissenbruch.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że pan stchórzył i ustępuje? – zapytał twardo Vincent.

– Widzi pan, nie jestem skąpcem. Kieruję się zasadami. Gdybym pana uważał za głupca, dałbym panu od razu dwadzieścia pięć franków, aby się pana pozbyć. Lecz poważam i cenię pana jako kolegę malarza. A teraz dam panu coś, czego pan nie kupi za wszystkie skarby świata; nikomu w Hadze prócz Mauve'a nie dałbym tego. Proszę się zbliżyć i ściągnąć zasłony na oknie... Tak, teraz lepiej. Niech pan się przyjrzy temu studium; w ten sposób wypracowuję motyw, tak rozdzielam proporcje... Na miłość boską, czy pan może coś widzieć stojąc sam w świetle?

Kiedy Vincent w godzinę później wychodził od Weissenbrucha, czuł radosne podniecenie. W ciągu tego krótkiego czasu nauczył się więcej niż w ciągu roku studiów w akademii. Uszedł już spory kawałek, nim sobie uświadomił, że jest głodny, że ma gorączkę i nie ma ani centyma w kieszeni.

IX

W parę dni potem, spacerując po wydmach, spotkał Mauve'a. Jeśli do tej pory miał nadzieję, że się pogodzą, obecnie musiał jej zupełnie poniechać.

– Kuzynie Mauve – zaczepił go – chciałbym cię prosić o wybaczenie mego głupiego zachowania się wówczas w twojej pracowni. Wiem, że postąpiłem niemądrze. Czy mi przebaczysz? Czy nie chcesz odwiedzić mnie kiedyś znowu i obejrzeć moich prac?

Mauve odmówił z miejsca.

– Nie zrobię tego. Te czasy minęły.

– Czyś zupełnie stracił wiarę we mnie?

– Tak. Masz przewrotny charakter.

– Powiedz mi, co tak przewrotnego zrobiłem? Postaram się poprawić.

– Jeśli o mnie idzie, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Nie interesuje mnie to więcej.

– Czy doprawdy jest rzeczą tak złą, że żyję i pracuję jak artysta?

– Siebie nazywasz artystą?

– Tak.

– Śmieszne! Nigdy w życiu nie sprzedałeś dotychczas obrazu!

– Czy ktoś jest artystą dopiero wówczas, gdy jego obrazy są kupowane? Sądziłem zawsze, że artystą jest ten, kto wiecznie szuka i nigdy nie znajduje pełnej odpowiedzi. Jeśli mówię: jestem artystą, to mam na myśli – szukam, dążę do czegoś, wkładam w to całe serce...

– Mimo to masz przewrotny charakter.

– Podejrzewasz mnie o coś, co wisi w powietrzu... Czy sądzisz, że ukrywam podstępnie coś, co boi się światła? Co to takiego, Mauve? Pomów ze mną szczerze!

Mauve odwrócił się do sztalug i począł nakładać farby. Vincent powoli powędrował dalej.

Miał słuszość. Coś wisiało w powietrzu. Haga zwęszyła jego stosunek z Krystyną. Dowiedział się o tym od de Bocka; pewnego dnia wpadł on do pracowni Vincenta z szelmowskim uśmieszkiem. Krystyna pozowała właśnie, mówił więc po angielsku:

– No, van Gogh – rzekł, zrzucając ciężkie czarne palto i zapalając długiego papierosa – całe miasto gada o tym, że pan ma metresę. Słyszałem to od Weissenbrucha, Mauve'a i Tersteega. Haga jest oburzona.

– Więc to dlatego? – szepnął Vincent.

– Powinieneś postępować ostrożniej, przyjacielu... Czy to któraś z modelek... zdawało mi się, że znam wszystkie... które są do wynajęcia.

Vincent spojrział w stronę Krystyny siedzącej przy piecu z robótką w ręku. Gdy tak siedziała i szyła, w wełnianej sukni i fartuchu, z głową pochyloną nad małą wyprawką, promieniowało od niej jakieś ciche piękno, coś ciepłego i swojskiego. De Bock rzucił papierosa na podłogę i skoczył na równe nogi.

– Wielkie nieba! – krzyknął. – Nie zechce mi pan chyba wmówić, że to jest pańska metresa!

– Nie mam metresy, de Bock. Ale prawdopodobnie to jest ta kobieta, o której w mieście plotkują.

De Bock uczynił taki ruch, jak gdyby chciał sobie otrzeć pot z czoła. Zmierzył Krystynę od stóp do głów.

– Na miłość boską, jak pan może z nią spać!

– Jak to?

– Drogi przyjacielu, to przecie stara wiedźma. Istne straszdyło. Co panu strzeliło do głowy? Nic dziwnego, że Tersteeg jest oburzony. Jeśli pan chce mieć metresę, czemu nie weźmie pan sobie jednej z tych młodych? Modelek jest chyba dość w Hadze.

– Powiedziałem już panu, de Bock, że ta kobieta nie jest moją metresą.

– A czym?

– Moją żoną.

De Bock ściągnął usta w bezradnym przerażeniu.

– Pańską żoną?!...

– Tak, mam zamiar się z nią ożenić.

– Wielki Boże!

De Bock obrzucił Krystynę spojrzeniem pełnym wstrętu i zgrozy i wybiegł, zapomniawszy włożyć płaszcz.

– Mówiliście o mnie? – zapytała Krystyna.

Vincent podszedł do niej i patrzył na nią w milczeniu. Potem rzekł:

– Powiedziałem de Bockowi, że zostaniesz moją żoną.

Krystyna milczała długą chwilę, ręce jej pracowały dalej.

W półotwartych ustach poruszał się język, którym musiała co chwila zwilżać wyschnięte wargi.

– Doprawdy chcesz się ze mną ożenić, Vincencie? Dlaczego?

Gdybym nie chciał się z tobą ożenić, powinienem był już dawno zostawić cię w spokoju. Chcę poznać radość i troski rodzinnego życia, abym mógł malować je z doświadczenia. Kochałem kiedyś pewną kobietę, Krystyno. Gdy do niej przyszedłem, powiedziano mi, że budzę w niej wstręt. Moja miłość do niej była głęboka, prawdziwa i uczciwa. Lecz gdy opuszczałem jej dom, wiedziałem, że ta miłość umarła. Po śmierci jednak nadchodzi zmartwychwstanie. Tyś była dla mnie zmartwychwstaniem!

– Ale przecie nie możesz ożenić się ze mną! Co się stanie z dziećmi? I może twój brat nie zechce ci wtedy przysyłać pieniędzy?

– Mam szacunek dla kobiety, która jest matką, Krystyno. Weźmiemy do siebie najmłodsze i Hermana, reszta dzieci zostanie u twjej matki. Theo istotnie mógłby się rozgniewać. Ale napiszę mu całą prawdę i ufam, że mnie nie opuści.

Usiadł na podłodze u jej stóp. Wyglądała o wiele lepiej niż wówczas, gdy ją poznał. W melancholijnych piwnych oczach pełgał błysk szczęścia, wypełniał ją nowy zapach życiowy. Pozowanie dla niej nie było rzeczą łatwą, ale cierpliwie poddała się wskazówkom Vincenta i zadawała sobie wiele trudu. Gdy ją spotkał, była chora, wynędzniała i szorstka, obecnie odżyła i złagodniała. I kiedy siedział wpatrzony w jej surową, znaczoną ospą twarz, prześwieconą w tej chwili serdecznym ciepłem, przyszły mu znów na myśl słowa Micheleta: *Comment se fait-il, quil y ait sur la terre une femme seule desesperée?*

– Sien, będziemy żyć bardzo skromnie, będziemy oszczędzać, jak się tylko da... obawiam się, że przyjdzie taka chwila, gdy będę całkiem bez środków do życia. Aż do czasu położu będę ci pomocny. Co potem będzie, sam nie wiem. Może będziemy mieli chleb, może nie. Wszystkim, co będę miał, podzielę się z tobą i dzieckiem.

Krystyna osunęła się z krzesła na podłogę i usiadła obok niego. Objęła go za szyję i przytuliła głowę do jego ramienia.

– Pozwól mi tylko zostać przy tobie, Vincencie. Nie trzeba mi wiele do życia. Nie będę się skarżyła, choćbyśmy żyli tylko kawą i chlebem. Kocham cię, Vincencie. Jesteś pierwszym mężczyzną, który mi okazał dobroć. Jeśli nie chcesz, nie musisz zenić się ze mną. Będę ci pozowała, będę gotowała, będę robiła, co każesz. Tylko pozwól mi zostać z tobą! Po raz pierwszy w życiu jestem szczęśliwa! Będę szczęśliwa tym, co będziesz mógł mi dać.

Poczuł jak dziecko w jej łonie porusza się, ciepłe i żywe. Przesuwał delikatnie palce po jej prostej twarzy i całował ślady ospy. Rozpuścił jej włosy i czule głaskał ich cienkie pasma. Zarumieniona i szczęśliwa, przyłgnęła twarzą do jego twarzy.

– Kochasz mnie, Krystyno?

– Tak, Vincencie!

– Dobrze jest być kochanym. Świat może nas potępić.

– Do diabła ze światem! – rzekła po prostu Krystyna.

– Będę żył jak robotnik, to dla mnie w sam raz. Ty i ja rozumiemy się i nie potrzebujemy dbać o to, co kto o nas powie. Nie mamy potrzeby udawać kogo innego, niż jesteśmy. Co nas obchodzą inni! Moja własna klasa odrzuciła mnie już dawno. Wolę jeść przy własnym stole czarny chleb niż żyć bez ciebie.

Siedzieli tak na podłodze przytuleni, rozgrzani żarem kominka. Czar prysł, kiedy zjawił się listonosz. Wręczył Vincentowi list z Amsterdamu. Vincent czytał:

„Vincencie,

Właśnie dowiaduję się o Twoim haniebnym postępowaniu. Cofam zamówienie na sześć rysunków. Twoja praca nie interesuje mnie więcej.

K.M. van Gogh.”

Los Vincenta leżał teraz wyłącznie w rękach Thea. Jeśli Vincentowi nie uda się wyłuszczyć bratu i uczynić zrozumiałym stosunek do Krystyny, Theo może wstrzymać przesyłkę stu franków miesięcznie. Bez mistrza Mauve'a, bez sprzedawcy Tersteega mógł istnieć; mógł istnieć nawet bez rodziny i przyjaciół, póki miał swoją pracę i Krystynę. Ale bez stu franków miesięcznie życie było niemożliwe.

Pisał do brata długie, płomienne listy, tłumaczył mu wszystko, błagał, by Theo zrozumiał go i nie opuszczał. Z dnia na dzień żył w oczekiwaniu najgorszego. Nie śmiał kupować więcej przyborów rysunkowych w obawie, że nie będzie mógł za nie zapłacić. Nie śmiał pracować więcej nad akwarelą.

Theo miał bratu wiele do zarzucenia, lecz nie potępił go. Udzielał mu także rad – ale ani razu nie dał do zrozumienia, że wstrzyma miesięczny zasiłek, o ile Vincent ich nie posłucha.

W końcu, chociaż nie pochwałał postępowania brata, zapewnił go, że będzie mu pomagał jak dotychczas.

Nadeszły pierwsze dni maja. Doktor w Lejdzie uprzedzał Krystynę, że rozwiązanie nastąpi w czerwcu. Vincent postanowił wziąć ją do siebie dopiero po porodzie. Miał nadzieję, że uda mu się do tego czasu wynająć sąsiedni pusty domek przy Schenkweg. Krystyna przebywała wprawdzie ciągle w pracowni, lecz rzeczy zostawiła u matki. Ślub miał się odbyć po jej wyzdrowieniu.

Pojechali do Lejdy. Krystyna męczyła się od dziewiątej wieczór do drugiej w nocy. Musiano wyjąć dziecko kleszczami, ale przyszło na świat żywe i zdrowe. Cierpiała niewymownie, zapomniała jednak o bólu ujrawszy Vincenta.

– Wkrótce będziemy znów mogli zabrać się do rysowania – szepnęła z uśmiechem.

Vincent patrzył na nią wzruszony, łzy przesłoniły mu oczy. Cóż stąd, że nie on był ojcem? Kobieta i dziecko należały do niego! Radość i ból ścisnęły mu serce. Gdy wrócił na Schenkweg, gospodarz stał przed domem.

– No więc, jak będzie z tym domkiem obok, mijnheer van Gogh? Czynsz wynosi tylko osiem franków tygodniowo. Wszystko otynkuję i wymaluję dla pana. Może pan sobie wybrać tapety wedle własnego gustu.

– Nie mogę w tej chwili zdecydować – odparł Vincent.

– Chciałbym bardzo zamieszkać w tamtym domku, gdy moja żona wróci, ale wprawdzie muszę się porozumieć z bratem.

– Dobrze, ale wy tapetować muszę go i tak. Niech pan sobie wybierze tapety. Jeśli pan potem nie wynajmie domu, nie będę miał żadnych pretensji.

Theo słyszał już od miesięcy o sąsiednim domku. Był on znacznie większy od dawnego mieszkania, zawierał pracownię, jeden duży pokój, kuchnię, alkowę oraz pokój sypialny na poddaszu. Cena najmu była tylko o cztery franki wyższa. Skoro jednak wszyscy czworo, Vincent, Krystyna, Herman i niemowlę mieli mieszkać razem, potrzebowali więcej miejsca. Theo odpowiedział, że podwyższono mu pensję i zapewnił Vincenta, że może liczyć na sto pięćdziesiąt franków miesięcznie. Vincent natychmiast wynajął dom. Za tydzień miała wrócić Krystyna; pragnął, by zastała przytulne gniazdko. Właściciel domu dał Vincentowi dwóch ludzi do dyspozycji, aby mu pomogli przenieść meble do nowego mieszkania. Przyszła również matka Krystyny, aby pomóc w urządzeniu się.

X

Nowa pracownia była taka, jaka być powinna: gładkie, szarobrunatne tapety, podłoga do szorowania, szkice na ścianach, sztalugi w kątach, a pośrodku wielki, jasny stół do pracy. Matka Krystyny zawiesiła w oknach białe muślinowe firanki. Obok pracowni znajdowała się nisza, w której Vincent przechowywał rysownice, teki i drzeworyty, w kącie wbudowano szafę na flaszki, miseczki z farbami i książki. W pokoju był stół, parę krzeseł kuchennych, piec naftowy i głęboki trzcinowy fotel przed oknem dla Krystyny. Obok niego postawił Vincent żelazną kołyskę z zieloną kołderką. Nad kołyską powiesił akwafortę Rembrandta, przedstawiającą dwie kobiety pochylone nad niemowlęciem. Jedna z nich czyta przy świecy Biblię.

Kupił najniezbędniejsze statki kuchenne, tak by po powrocie Krystyna mogła szybko przygotować posiłek. Kupił też nadliczbowy nóż, widelec, łyżkę i talerz, aby móc ugościć u siebie Thea. W izdebce na poddaszu ustawił wielkie łóżko dla siebie i żony, stare zaś, po doprowadzeniu pościeli do porządku, przeznaczył dla Hermana. Poszedł z matką Krystyny do sklepu; kupili słomy, trawy morskiej i włosia, po czym na stryszku wypchali materace.

Doktor, siostra oddziałowa i siostra naczelna zegnali serdecznie opuszczającą szpital Krystynę. Vincent radował się, że ludzie poważni mogą ją polubić. „Nie zaznała dotychczas w życiu nic dobrego – mówił sam do siebie – jakże więc mogła być dobra?”

Matka Krystyny czekała na nich z Hermanem w małym domku, aby powitać córkę. Piękny to był powrót, zwłaszcza że Vincent nie wspominał jej wcale o nowym mieszkaniu. Szczęśliwa i ożywiona, biegła po całym domu, witając wszystko dotykaniem ręki: kołyskę, fotel z oparciem, doniczkę z kwiatami, którą Vincent postawił na parapecie okna...

– Profesor był strasznie śmieszny – zawołała. – Zapytał mnie, czy lubię gin i cygara? „Tak” – odpowiedziałam. Wtedy powiedział, że nie muszę z tego rezygnować. „Ale nie wolno pani używać octu, pieprzu ani musztardy. I powinna pani jeść mięso choć raz w tygodniu”.

Sypialnia wyłożona drewnem miała wygląd kajuty okrętowej. Vincent musiał co wieczór przynosić żelazną kołyskę na górę, a rano znosić ją z powrotem do pokoju. On sam prowadził całe gospodarstwo, bo Krystyna była jeszcze zbyt wyczerpana. Słał łóżka, palił w piecu, chodził po zakupy. Dźwigał ciężary i sprzątał. Miał wrażenie, jakby już od dawna żył z Krystyną i dziećmi. Był w swoim żywiole. Krystyna również jakby odżyła, choć marnie jeszcze czuła się po operacji.

Vincent podjął na nowo pracę, nieznanemu spokojowi wstąpił w jego duszę. Jak dobrze było mieć własne ognisko domowe, czuć dokoła krzątanie rodziny. Poczucie, że ma u swego boku Krystynę, dodawało mu siły i energii. Jeśli tylko Theo go nie opuści, zostanie z pewnością dobrym malarzem.

W Borinage służył Bogu jak niewolnik. Teraz odnalazł nowego i bardziej uchwytanego Boga – religię, która dała się zamknąć w jednym zdaniu. Postać robotnika, parę bruzd na zoranym polu, piaszczysta smuga, morze i niebo – to były rzeczy ważne i istotne, trudne do odtworzenia, a jednocześnie tak piękne, że warto było poświęcić całe życie, aby wypowiedzieć ukrytą w nich poezję.

Pewnego popołudnia wracając z przechadzki po wydmach spotkał przed swym domem Tersteega.

– Ciesz się, że cię widzę, Vincencie – powiedział Tersteeg. – Chciałem zobaczyć, co się z tobą dzieje.

Groza ogarnęła Vincenta na myśl o burzy, jaka wybuchnie, gdy Tersteeg przekroczy próg jego domu. Zatrzymał się więc parę minut i rozmawiał z nim na ulicy, aby nabrać odwagi. Tersteeg był uprzejmy i życzliwy. Ciarki przebiegały Vincentowi po plecach.

Kiedy dwaj mężczyźni weszli, Krystyna siedziała w fotelu i karmiła dziecko; Herman bawił się koło pieca. Tersteeg długo przypatrywał się im bez zrozumienia. W końcu zapytał po angielsku:

– Co tu robi ta kobieta i dziecko?

– To Krystyna, moja żona. Dziecko jest nasze.

– Zatem ożeniłeś się z nią naprawdę?

– O ile ma pan na myśli formalności, jeszcze nie.

– Jak mogłeś wziąć sobie kobietę... i na dobitkę z dziećmi, która...

– Nie ma w tym chyba nic niezwykłego, że mężczyzna się żeni!

– Ale ty nie masz pieniędzy! Jesteś na utrzymaniu swego brata.

– To mija się z prawdą. Theo wypłaca mi pensję miesięczną w formie zaliczki.

Wszystko, co tworzę, należy do niego. Pewnego dnia te pieniądze mu się zwrócą.

– Czyś oszalał, Vincencie? To przecie majaki chorej wyobraźni!

– Postępowanie człowieka, mijnheer, da się porównać z rysunkiem. Perspektywa zmienia się zależnie od pozycji malującego i nie zależy od przedmiotu, lecz od człowieka, który patrzy.

– Doniosę o wszystkim twemu ojcu. Powiadomię go o tej historii.

– Czy nie sądzi pan, że mogłoby sprawić nieco śmieszne wrażenie, gdyby moi rodzice otrzymali najpierw pański list pełen oburzenia, a wkrótce potem moje zaprosiny, aby nas na mój koszt odwiedzili?

– Jak to, chcesz do nich napisać?

– Dziwi to pana? Naturalnie, że chcę. Lecz musi pan przyznać, że obecnie nie jest po temu właściwa pora. Ojciec przeprowadza się właśnie na plebanię w Nuenen, moja żona zaś jest jeszcze tak słaba, że każde podniecenie, każdy wysiłek byłby dla niej zabójczy.

– W takim razie nie napiszę, rzecz prosta. Drogi chłopcze, jesteś nierozsądny. Pędzisz ku własnej zgubie. Chciałbym cię przed tym uchronić.

Nie wątpię w pańskie dobre chęci, mijnheer Tersteeg, dlatego nie czuję żalu z powodu pańskich słów. Bądź co bądź nasza rozmowa jest dla mnie jednak bardzo przykra.

Tersteeg opuścił dom Vincenta z rozczarowaną miną. Pierwszy cios spotkał go ze strony Weissenbrucha. W pewne popołudnie wpadł on nonszalancko do Vincenta, aby zobaczyć, czy jeszcze żyje.

– Halo! – zawołał. – Widzę, że dajesz sobie jakoś radę bez moich dwudziestu pięciu franków. No, chyba rad jesteś, że ci wówczas nie ustąpiłem.

– Obstawaj przy tym, co ci powiedziałem przy naszym pierwszym spotkaniu u Mauve'a. Idź do diabła!

– Jeśli wytrwasz przy tym, zostaniesz drugim Weissenbruchem. Tkwi w tobie załóżek prawdziwego mężczyzny. Czemu nie przedstawiś mnie swojej kochance? Nigdy nie miałem tego zaszczytu.

– Mnie możesz dokuczać, ile chcesz, Weissenbruch, ale ją zostaw w spokoju!

Krystyna huśtała żelazną kołyskę z zieloną kołderką. Domyślała się, że Weissenbruch natrzęsa się z niej, i rzuciła Vincentowi spojrzenie pełne bólu. Vincent podszedł do matki i dziecka i stanął przy nich, jak gdyby brał je w opiekę. Weissenbruch spojrzał na tę grupę, potem podniósł wzrok na akwafortę Rembrandta nad kołyską.

– Klnę się na moją duszę – zawołał – tworzycie zabójczy motyw! Chciałbym was tak namalować. Nazwałbym ten obraz Święta Rodzina.

Vincent skoczył ku niemu z przekleństwem, lecz Weissenbruchowi udało się umknąć. Vincent wrócił do swej rodziny. Na ścianie obok akwaforty wisiał kawałek lustra; Vincent zobaczył odbicie ich trojga. I w chwili nagłego olśnienia ujrzał wszystko oczyma Weissenbrucha: bękart, kurwa i głupi filantrop!

– Jak on nas nazwał? – spytała Krystyna.

– Świętą Rodziną.

– Co to znaczy?

– Obrazek z Marią, Józefem i Jezusem.

Łzy podeszły kobiecie do oczu; wtuliła twarz w ubranko dziecięce. Vincent klęknął przed kołyską. Zmierzch wkradał się przez okno i rzucał cień na pokój. Po raz wtóry dojrzał Vincent ich troje jak gdyby z daleka – tym razem jednak oczyma własnego serca.

– Nie płacz, Sien – powiedział – nie płacz, kochanie. Podnieś głowę i osusz łzy. Weissenbruch miał rację.

XI

Vincent odkrył malarstwo olejne i Scheveningen niemal jednocześnie.

Scheveningen było małą wioszczyną rybacką nad Morzem Północnym, ujętą w dwa ochronne wały piaskowe. Tuż nad wodą sterczały maszty kutrów rybackich z ciemnymi, zwiotczalymi żaglami. Stery na rufach były ciężkie i z gruba ciosane, na piasku schły wielkie sieci, gotowe do połowu. Małe rdzawe lub błękitne flagi trzepotały na wietrze. Niebieskie wózki na czerwonych kołach stały na brzegu w oczekiwaniu ryb. Rybaczki chodziły w białych wykrochmalonych czepekach, spiętych na przodzie dwiema okrągłymi złotymi szpilami. Całe rodziny stały w gromadkach na wybrzeżu, aby witać powracające łodzie. Na domu zdrojowym powiewały wesołe flagi – był to dom zabawy i rozrywki dla turystów, którzy lubią czuć smak soli morskiej tylko na wargach, a nie w ustach. Morze było szare i z pienistymi czubami fal przy brzegu, a im dalej – tym zieleńsze, aż wreszcie zieleń wody zmieniała się w mętny błękit. Niebo było szare, pocięte chmurami, tylko z rzadka przebłyskiwał błękitny skrawek, aby rybacy nie zapomnieli, że nad Holandią także świeci słońce. Scheveningen żyło pracą. Ludzie związani tu byli z ziemią i morzem.

Vincent namalował mnóstwo scen ulicznych farbami wodnymi. Dla oddania przelotnych nastrojów akwarela wydawała mu się całkiem odpowiednia. Lecz brak jej było głębi i substancji, aby wyrazić to, co od dawna wyrazić pragnął. Tęsknił za tym, by spróbować farb olejnych, zarazem jednak czuł lęk, nieraz bowiem słyszał o malarzach, którzy wszystko zaprzepaścili wskutek tego, że wzięli się do farb olejnych, zanim opanowali technikę rysunku.

Pewnego dnia przybył do Hagi Theo.

Theo liczył obecnie dwadzieścia sześć lat i uchodził za doświadczonego kupca. Odbywał nieraz z ramienia swej firmy podróże handlowe i był ceniony w swej branży jako jedna z najbardziej uzdolnionych młodych sił. Firma Goupil et Co w Paryżu przeszła niedawno w ręce panów Boussod i Valadon – znanych pod nazwą „Messieurs” – i chociaż ci pozostawili Thea na dawnym stanowisku, samo stanowisko zmieniło się bardzo. Nastawienie do handlu dziełami sztuki odmieniło się. Sprzedawano obecnie obrazy za każdą, możliwie wysoką cenę, bez względu na ich artystyczną wartość, lansowano wyłącznie malarzy znanych i mających powodzenie. Stryj Vincent, Tersteeg i Goupil uważali za naczelny obowiązek sprzedawcy obrazów odkrywanie nowych, młodych artystów, zachęcanie ich i popieranie; teraz jednak był popyt jedynie na malarzy starych i uznanych. Nowi: Manet, Monet, Pissarro, Sisley, Renoir, Berthe Morisot, Cezanne, Degas, Guillaumin, nie mówiąc już o młodszych, jak Toulouse-Lautrec, Gauguin, Seurat i Signac, stali całkiem na uboczu. Usiłowali powiedzieć coś innego aniżeli to, co powtarzali bez końca Bouguereau i akademicy. To wystarczyło, aby ich zdyskredytować. U „Messieurs” nie wystawiano i nie sprzedawano żadnego z tych rewolucjonistów. Theo żywił głęboką niechęć do Bouguereau i akademików, całym sercem sprzyjał młodym. Czynił, co było w jego mocy, aby skłonić „Messieurs” do wystawiania obrazów młodych malarzy i wychowania publiczności, aby je kupowała. Ci upierali się jednak przy tym, że młodzi są zwariowani, dziecinni i słabi technicznie. Theo uważał ich za mistrzów przyszłości.

Krystyna pozostała na górze w sypialni, aby nie przeszkadzać spotkaniu braci w pracowni. Po pierwszym przywitaniu Theo rzekł:

– Miałem wprawdzie wybrać się tu dla interesu, lecz muszę ci wyznać, że przyjechałem głównie po to, by cię nakłonić, abys się nie wiązał na zawsze z tą kobietą. A przede wszystkim – jak ona wygląda?

– Pamiętasz naszą starą nianię z Zundert, Leen Verman?

– Oczywiście.

– Sien jest do niej podobna. Jest prostą kobietą z ludu, w moich oczach jednak jest w niej coś wzniosłego. Szczęśliwy, kto znajdzie prostego człowieka, który go kocha i któremu może to uczucie odwzajemnić, choćby jego życie miało poza tym wiele cieni. Świadomość, że jest ktoś, kto mnie potrzebuje, pozwoliła mi odnaleźć się z powrotem. Nie ja tego szukałem, to mnie odszukało. Sien dźwiga wraz ze mną wszystkie troski, obawy i niepewność, jakie niesie praca malarza, i chętnie mi pozuje. Mam wrażenie, że w końcu dzięki niej zostanę lepszym artystą, niż gdybym poślubił Kay.

Theo przemierzał tam i z powrotem pracownię; wreszcie stanąwszy przed jakąś akwarelą powiedział:

– Jedyną rzeczą, której nie pojmuję, jest to: jak mogłeś się zakochać w tej kobiecie, gdy do szaleństwa kochałeś Kay?

Nie zakochałem się w niej, Theo, przynajmniej nie od razu. Miałoż we mnie wygasnąć wszelkie ludzkie uczucie, dlatego że Kay mną wzgardziła? Przybyłeś tu – i co widzisz? Czy zastałeś mnie zgnębionym i bez otuchy? Nie, znajdujesz nowe atelier i dom pełen życia; żadne zresztą tajemnicze atelier, tylko wyrosłe na podłożu prawdziwego życia, atelier z kołyską i krzeselkiem dzieciennym, gdzie wszystko jest w ruchu, wszystko prze do twórczości. Jest dla mnie jasne jak słońce, że trzeba naprzód odczuć to, co się chce rysować, że człowiek musi tkwić w codziennej rzeczywistości rodzinnego kręgu, jeśli pragnie od wewnątrz dać wyraz temu życiu.

– Wiesz dobrze, Vincencie, że nie uznaję różnic klasowych, ale czy uważasz za roztropne...

– W każdym razie czuję, że nie mam sobie nic do wyrzucenia – przerwał mu Vincent. – Wiem, że moje dzieło zakorzenione jest głęboko w ludzie, że muszę być związany z ziemią, muszę wniknąć w samo sedno życia, aby móc malować, i że każdy krok naprzód prowadzi przez cierpienia i troski.

– Tego bynajmniej nie neguję – Theo przeszedł szybko przez pokój i stanął obok brata. – Ale dlaczego musisz od razu żenić się z nią?

– Ponieważ przyrzekliśmy sobie małżeństwo. Nie wolno ci traktować Sien jak przelotnej miłostki, jak kobiety, z którą mam stosunek nieważny i nie wiążący. Skoro tylko okoliczności pozwolą, weźmiemy ślub cywilny. Tymczasem pomagamy sobie wzajemnie i jesteśmy dobrzy dla siebie. Zupełnie tak, jakbyśmy już byli związani ślubem.

– Ale z tym ślubem zaczekasz chyba czas jakiś?

– Skoro ty sobie tego życzysz, Theo! Postaram się do tego czasu uczynić wszystko, aby łożyć samemu na nasze utrzymanie. Przyrzekam ci, że nie ożenię się z nią, póki nie stanę na własnych nogach. Stopniowo, gdy zacznę sprzedawać obrazy, będziesz mi przysyłał coraz mniej, a potem w ogóle przestanieś przysyłać. Wówczas pomyślimy o ślubie. Zdaje się, że tak będzie najmądrzej.

– Theo, Krystyna nadchodzi. Przez miłość do mnie, myśl o Sien tylko jak o żonie i matce! W rzeczywistości jest ona tym.

Krystyna zeszła na dół po schodach wiodących do pracowni. Miała na sobie schludną czarną sukienkę, włosy przyczesła starannie, delikatny rumieniec leżał na policzkach, maskując niemal całkiem ślady ospy. Dzięki swemu niewymuszonemu, naturalnemu zachowaniu była niemal ładna; miłość Vincenta przywróciła jej zaufanie do samej siebie, przydała pewności. Spokojnie podała gościowi rękę, ofiarowała mu filiżankę herbaty i zaprosiła na kolację. Potem usiadła w fotelu pod oknem, szyła i kołysała dziecko. Vincent biegał zgorączkowany po pracowni, pokazywał szkice węglem, sceny uliczne malowane akwarelą, studia grupowe rzucone w grubych zarysach zwykłym ołówkiem stolarskim. Chciał, aby Theo dojrzał w jego pracach postęp.

Theo wierzył mocno, że Vincent pewnego dnia zostanie wielkim malarzem, ale nie umiał zdać sobie jasno sprawy, czy podoba mu się naprawdę to, co brat dotychczas stworzył. Theo był amatorem obrazów, znał się na rzeczy, wyrobił sobie własne zdanie na ten temat. Nigdy jednak nie potrafił uświadomić sobie, co sądzi o dziełach brata. Stale miał wrażenie, że Vincent wciąż szuka, ale nie może znaleźć właściwego wyrazu.

– Jeśli chcesz pracować farbami olejnymi – rzekł, gdy Vincent pokazał mu wszystkie studia i zdradził się ze swoją wielką tęsknotą – czemu zaraz nie zaczynasz? Na co czekasz?

– Na pewność, czy mój rysunek jest w porządku. Mauve i Tersteeg powiadają, że nie mam pojęcia, jak...

– A Weissenbruch mówi, że doskonale opanowałeś rysunek. Ostateczna decyzja zależy jednak od ciebie. Jeśli czujesz, że farbami olejnymi potrafisz coś wyrazić, zabierz się do nich od razu.

– Ależ Theo, wyobraź sobie te wydatki! Te przeklęte tuby z farbami są na wagę złota!

– Przyjdź jutro o dziesiątej do mnie, do hotelu. Im prędzej zaczniesz mi posyłać obrazy olejne, tym rychlej otrzymam z powrotem włożony w ciebie kapitał.

Podczas kolacji Theo rozmawiał z ożywieniem z Krystyną. Odchodząc, już na schodach odwrócił się do Vincenta i rzekł:

– Ona jest doprawdy bardzo miła. Nigdy bym tego nie przypuszczał.

Osobliwy zaiste kontrast tworzyli ci dwaj bracia, idący nazajutrz rano przez Wagenstraat. Młodszy, z porządnie ostrzyżoną brodą, dobrze ubrany, w wyglansowanych trzewikach, sztywnej koszuli, zaprasowanych spodniach, starannie zawiązanym krawacie i w płaskim sztywnym kapeluszu filcowym na wypięłgowanych włosach, trzymał się prosto, miał elastyczny krok i sprawiał wdzięczne wrażenie. Drugi szedł w zdartych trzewikach, łatanie spodnie nie pasowały do ciasnej kurtki, krawata w ogóle nie miał; na masywnej, upartej głowie tkwiła chłopska czapka, zmierzwiona ruda broda okalała twarz. Chód miał nierówny i mówił żywo, z zamaszystymi gestami rąk.

Żadnemu z nich ani przez myśl nie przeszło, jakie wrażenie sprawiają na innych.

Theo zabrał Vincenta do Goupilów, gdzie kupili farby olejne, pędzle i płótno. Tersteeg cenił i podziwiał Thea, toteż starał się odnieść z sympatią do Vincenta. Uparł się przy tym, że sam wybierze materiał i pouczy Vincenta o stosowaniu różnych farb.

Potem Theo i Vincent powędrowali pieszo przez piaszczyste wydmy do Scheveningen oddalonego o sześć kilometrów. Właśnie do przystani zawijała łódź rybacka. Obok pomnika stał mały drewniany barak, w którym siedział wartownik. Zaledwie łódź się

ukazała, wyszedł przed chatę z wielką flagą, po czym zjawił się człowiek na starej szkapie, by wyciągnąć kotwicę na brzeg. Do nich dołączyła spora grupa mężczyzn i kobiet; przybiegli ze wsi, aby powitać rybaków. Gdy łódź zbliżyła się, człowiek na koniu wjechał do wody po kotwicę. Mężczyźni w wysokich butach gumowych przenosili rybaków na plecach przez wodę – każdego po kolei witano głośnymi okrzykami radości. Kiedy wszyscy znaleźli się na lądzie, a konie wyciągnęły łódź na wybrzeże, cała karawana pomaszerowała przez piaski do wsi. Wysoko nad wszystkimi górował człowiek na koniu.

– Chciałbym namalować coś podobnego – odezwał się Vincent.

– Przyślij mi kilka płócien, gdy tylko uznasz je za dobre. Może znajdę nabywców w Paryżu.

– Ach Theo, musisz! Musisz wreszcie zacząć sprzedawać moje obrazy!

XII

Po odjeździe Thea Vincent zabrał się natychmiast do wypróbowania nowych farb. Zrobił trzy studia olejne. Jedno przedstawiało wierzby o przyciętych gałęziach za mostem Geest, drugie – drózkę wysypaną popiołem, trzecie – ogród warzywny w Meerdervoort, a w nim człowieka w niebieskiej bluzie, kopiącego kartofle. Pole było piaszczyste i białe; kartofle przeważnie już wykopane, dokoła leżały suche łęty i zielone chwasty; w dali widniały ciemnozielone drzewa i parę dachów. Kiedy potem w pracowni przyjrzał się swym studiom, opanowało go radosne podniecenie. Był przekonany, że te obrazy nie wyglądają jak pierwociny. Rysunek – kręgosłup i rdzeń każdego dzieła malarskiego – był dokładny i wierny. Sam się dziwił, oczekiwał bowiem, że pierwsze próby będą nieudane.

Potem zabrał się do malowania niewielkiego zbocza leśnego. Opadłe, butwiejące liście buków, od zupełnie jasnych do ciemnobrunatnych, pokrywały ziemię. Pnie drzew rzucały wydłużone cienie, gasząc niemal zmienną grę barw. Zasadniczym problemem było znalezienie kolorów dostatecznie głębokich, aby oddać ogromną siłę ziemi. Malując Vincent widział, ile światła tai się jeszcze w ciemności. Musiał pochwycić to światło, a jednocześnie oddać całą głębię i bogactwo barw.

Rozpościerał się przed nim brunatnordzawy dywan, żarzący się w zachodzącym słońcu jesiennym, a przytłumiony nieco cieniem drzew. Rosły na nim młode brzozy, jedną stroną połyskując jasno w świetle, drugą nurzając się w czarnozielonym mroku. Za polaną i zagajnikiem, za pasem rdzawej ziemi rozpościerało się świetliste niebo, przechodzące od błękitnoszarej tonacji do nasyconego ciepłym szafiru. Na jego tle rysował się mglistozielony skraj lasu, sieć gałązek i żółtawych liści. Ludzie zbierający chrust snuli się po lesie niby tajemnicze cienie. Biały czepek schylającej się po gałąź kobiety odcinał się ostro od brunatnego podłoża. Nad niskim poszyciem wyrosła ciemna sylwetka mężczyzny; postać jego na tle nieba zdawała się ogromna i owiana poezją.

Vincent malując mówił do siebie: „Nie wolno mi stąd odejść, póki nie uchwycę tajemniczego i skupionego nastroju tego jesiennego dnia i wieczoru”. Ale ściemniało się. Musiał się śpieszyć. Kilkoma krechami osadził energicznie na płótnie ludzkie postacie. Rzuciło mu się w oczy, jak mocno zaryte są w glebę niewielkie pnie drzew. Próbował wmalować je w gotowe tło, farba jednak, już na pół przyschnięta i lepka, wsysała każde pociągnięcie pędzla. Próbował wciąż na nowo, zrozpaczony, gdyż mrok zapadał. Wreszcie zrozumiał, że wszystkie wysiłki na nic, że nie odda pędzlem bogatych, rudych tonów

ziemi. Kierowany intuicją, odrzucił pędzel, wycisnął farbę wprost z tuby na płótno, wziął inny pędzel i trzonkiem rozsmarował gęstą farbę modelując korzenie i pnie.

– Tak – powiedział głośno, kiedy las pograżył się w mroku – teraz stoją tu mocno wrosnięte w ziemię. Wyraziłem to, co chciałem wyrazić.

Wieczorem przyszedł Weissenbruch.

– Chodź pan ze mną do klubu. Urządzamy tam wieczór żywych obrazów i szarad.

Ale Vincent nie zapomniał o ostatniej wizycie.

– Dziękuję – odparł. – Nie chcę zostawić żony samej.

Weissenbruch podszedł do Krystyny, ucałował ją w rękę, zagadnął o zdrowie i bawił się chwilę z dzieckiem, jak gdyby zapomniał o swych ostatnich odwiedzinach.

– Pokaż mi pan coś z nowych prac, Vincencie.

Vincent zgodził się bardzo chętnie. Weissenbruch wyszukał pięć studiów. Jedno przedstawiało przekupniów na targu w chwili, gdy rozbiegają kramy, drugie – długi ogonek przed kuchnią darmową, trzecie – starców w przytułku, czwarte – łódź rybacką z Scheveningen z podniesioną kotwicą, piąte narysowane było na kolanie i w pośpiechu podczas spaceru na wydmach w gwałtownej burzy i deszczu.

– Czy są na sprzedaż? – zapytał Weissenbruch. – Chciałbym je nabyć.

– Czy to znów jeden z pańskich głupich żartów, Weissenbruch?

– Gdy idzie o malarstwo, nie żartuję nigdy. Studia są wspaniałe. Ile pan żąda?

Vincent odparł:

– Niech pan sam wyznaczy cenę. – Stał bez tchu, skamieniały z trwogi, że mogą to być jednak drwiny.

– Więc co pan sądzi o pięciu frankach za sztukę? Razem dwadzieścia pięć franków.

Vincent spojrział na niego szeroko otwartymi oczyma.

– To za dużo! Stryj Kor płacił połowę.

– W takim razie oszukał pana, mój drogi. Wszyscy kupcy lubią oszukiwać. Pewnego dnia te studia będą warte pięć tysięcy franków. A więc zgoda?

– Czasem potrafi być pan aniołem, a czasem diabłem wcielonym, Weissenbruch!

– To dla rozmaitości, aby moi przyjaciele nie uważali mnie za nudnego.

Wyjął pugilares i wręczył Vincentowi dwadzieścia pięć franków.

– Tak, a teraz chodź pan ze mną do klubu. Mają tam grać farsę Offermansa. Potrzeba panu odmiany. Śmiech dobrze panu zrobi.

Vincent poszedł. Sala klubu była nabita. Wszyscy palili cuchnący tytoń, powietrze było ciężkie i gęste. Pierwszy żywy obraz odtwarzał Stajenką w Betlejem według akwaforty Mikołaja Maesa; dobry w kolorystyce i tonie, był zupełnie fałszywy w wyrazie. Następny obraz przedstawiał scenę *Izaak błogosławi Jakubowi* według Rembrandta, ze wspaniałą Rebeką zerkającą, czy jej podstęp się udał. Vincenta w dusznej sali rozboleła głowa. Wyszedł przed rozpoczęciem farsy. Po drodze do domu ułożył list do ojca.

O dawnym życiu Krystyny opowiedział ojcu tylko tyle, ile uznał za stosowne. Dołączył do listu dwadzieścia pięć franków otrzymanych od Weissenbrucha i zaprosił Theodorusa w gościnę do Hagi.

W tydzień potem przyjechał ojciec. Jego niebieskie oczy spłówiały, krok stał się powolniejszy. Ostatnie ich spotkanie skończyło się wygnaniem z domu najstarszego syna. Od tego czasu wymienili niejedną przyjazny list. Rodzice przysyłałi mu nieraz paczki z

bielizną i odzieżą, z cygarami, ciastem, a niekiedy również i banknot dziesięciofrankowy. Vincent nie wiedział, jak ojciec ustosunkuje się do Krystyny; mężczyźni potrafią być wielkoduszni i wyrozumiali, ale nieraz bywają okrutni i ślepi. Jedno go pocieszało – ojciec nie może pozostać nieczuły na widok kołyski z niemowlęciem, musi przebaczyć Krystynie jej przeszłość.

Theodorus zjawił się z wielką paczką pod pachą. Vincent otworzył ją: był to ciepły płaszcz dla Krystyny. Wiedział zatem, że wszystko jest w porządku. Kiedy Sien poszła na poddasze, do sypialni, Vincent i ojciec usiedli w pracowni.

– Vincencie – zaczął ojciec – o jednym nie wspomniałeś w listach. Czy to twoje dziecko?

– Nie. Była w ciąży, gdy ją spotkałem.

– A gdzie ojciec?

– Porzucił ją. – Wydawało mu się wskazane nie tłumaczyć anonimowości dziecka.

– Ale ożenisz się z nią chyba, prawda, Vincencie? Ten rodzaj współżycia nie podoba mi się.

– Jestem tego samego zdania, ojczu. Chciałbym jak najprędzej załatwić tę formalność. Lecz Theo i ja doszliśmy do przekonania, że lepiej z tym poczekać, aż będę zarabiał sto pięćdziesiąt franków miesięcznie.

Theodorus westchnął.

– Tak, tak będzie może najlepiej... Vincencie, twoja matka chciałaby bardzo, abyś nas kiedy odwiedził. Ja też pragnąłbym tego gorąco. Nuenen spodoba ci się, synu. To jedna z najpiękniejszych miejscowości w Brabancji. Kościółek jest maleńki, wygląda jak *igloo*²⁹ eskimoskie. Wyobraź sobie, ledwo stu ludzi może pomieścić. Dokoła plebanii rośnie żywopłot z głogu, a z tyłu, za kościołem, leży cmentarzyk pełen kwiatów – między nimi stare drewniane krzyże.

– Drewniane krzyże? – zainteresował się Vincent. – Białe?

– Tak. Nazwiska zmarłych wypisane były czarną farbą, ale deszcz zmywa ją szybko.

– Czy kościół ma wysoką wieżę, ojczu?

– Wieża jest lekka i delikatna, Vincencie, ale sterczy wysoko, pod niebo. Niekiedy sędzę, że sięga niemal do Boga.

– I rzuca długi cień na cmentarz? – oczy Vincentowi rozblęły. – O, jak chętnie bym to namalował!

– W pobliżu rozciągają się wrzosowiska i lasy sosnowe, wszędzie na polach pracują chłopcy. Musisz wkrótce przyjechać do nas, synu.

– Tak, chcę zobaczyć Nuenen. Małe krzyże... wieżę kościelną, ludzi pracujących na polach... Wydaje mi się, że z Brabancji pozostanie we mnie zawsze coś żywego.

Theodorus wrócił do domu i opowiedział żonie, że z synem nie jest wcale tak źle, jak się obawiali. Vincent zaś pogrążył się w pracy z jeszcze większym zapałem. Zdanie Milleta: „*Uart cest un combat; dans l'art il faut y mettre sa peau*”³⁰, było mu coraz bliższe. Theo wierzył w niego, ojciec i matka nie mieli nic przeciwko Krystynie, nikt w Hadze mu nie przeszkadzał. Czuł się wolny, mógł pracować z podwójną energią.

Właściciel składu drzewa posyłał mu do pozowania wszystkich ludzi zgłaszających się do niego o pracę, dla których nie miał zajęcia. W miarę jak kieszenie Vincenta się

²⁹Igloo – mała chatka z lodu, zazwyczaj w kształcie stożka.

³⁰Sztuka jest walką, należy jej oddać całego siebie.

opróżniały, zapełniała się jego teka z rysunkami. Wciąż na nowo malował niemowlę w kołysce. Kiedy nadeszły jesienne deszcze, pracował pod gołym niebem, malując na *torchonie*³¹. I osiągał pożądaną efekt. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że malarzem kolorystą jest ten, kto widząc jakąś barwę w naturze umie od razu powiedzieć: ta szara zieleń jest kombinacją czarnego z żółtym i nie zawiera żadnych odcieni niebieskiego.

Cokolwiek rysował – ludzi czy krajobraz – zawsze szło mu o to, by odtworzyć prawdziwe cierpienie, nie tanią czułościowość, i walczył o znalezienie właściwego i własnego wyrazu; chciał, żeby patrzący na jego prace mówili, że twórca ich odczuwa głęboko i jest człowiekiem wrażliwym.

Wiedział, że w oczach świata uchodzi za darmożjadę i nierobę, za cudaka i niesympatycznego osobnika, za kogoś, kto nie zajmuje określonej pozycji społecznej. W dziełach swych pragnął pokazać, co się dzieje w duszy takiego dziwaka i takiego człowieka bez znaczenia. Tematy obrazów znajdował w najnędzniejszych chatkach, w najbrudniejszych zaułkach. Im więcej malował, tym bardziej wszystko inne traciło dla niego sens. Im bardziej odsuwał się od innych spraw, tym wrażliwsze stawało się jego oko na kolorystyczne walory życia. Sztuka żądała bezwarunkowego oddania się, nieugiętej pracy na przekór wszystkim trudnościom, żądała niestrudzonej obserwacji.

Jedyną trudnością było to, że farby olejne kosztowały tak drogo – a on nakładał je tak grubo. Zupełnie, jak gdyby rzucał pieniądze do Zuidersee, w tak grubych, potężnych masach wyciskał farby z tub. malował tak szybko, że rachunki za płótno rosły zatrważająco. Jednym zamachem kończył obraz, na który Mauve potrzebowałby dwóch miesięcy. Nie umiał nakładać cienko farby, nie umiał pracować powoli. Pieniądze topniały, a pracownia zapełniała się obrazami. Skoro tylko przychodziły pieniądze od brata – umówili się, że brat będzie posyłał po pięćdziesiąt franków pierwszego, dziesiątego i dwudziestego – Vincent biegł do sklepu i kupował wielkie tuby ochry, kobaltu, błękitu pruskiego oraz mniejsze ultramaryny, sjeny i żółci neapolitańskiej. Potem pracował w radosnym upojeniu, dopóki nie zużył wszystkich farb i pieniędzy – zwykle działo się to już w pięć lub w sześć dni po otrzymaniu przesyłki Thea. Wówczas stare kłopoty zaczynały się na nowo.

Vincent dziwił się, że tyle rzeczy trzeba sprawiać niemowlęciu, że Krystynie wciąż potrzeba leków, bielizny i specjalnego pożywienia, że Herman musi mieć książki i inne przybory szkolne (posłano go wreszcie do szkoły), że gospodarstwo pochłania bez końca lampy, garnki, koce, drzewo, węgiel, firanki, dywaniki, świece, prześcieradła, nakrycia stołowe, talerze i nie kończący się strumień żywności. Trudno było podzielić owe pięćdziesiąt franków między malarstwo i troje gęb, które miał do wyżywienia.

– Wyglądasz jak robotnik, który natychmiast po wypłacie pędzi do szynku – zauważyła pewnego razu Krystyna, gdy Vincent porwał pięćdziesiąt franków otrzymanych przed chwilą i zaczął zbierać puste tuby.

Ciągnęło go do Scheveningen, nad morze, na wydmy, do rybaków, łodzi, koni i sieci. Co dzień, objuczony ciężkimi sztalugami, wędrował po piaskach, aby na gorąco chwycić zmienne obrazy morza i nieba. Aż do późnej jesieni, kiedy inni artyści siedzą od dawna w ciepłym atelier, wychodził w wichurę, słotę i mgłę, by malować. W burzliwe dni wiatr smagał piaskiem i słonymi bryzgami mokre jeszcze płótno; deszcz, wiatr i mgła ziębiły

³¹Torchon – specjalny papier do akwareli.

Vincenta do szpiku kości, kończyny mu drętwiały, piasek wnikał do oczu i nosa. A jednak kochał każdą chwilę spędzoną na dworze. Nic prócz śmierci nie mogłoby go teraz powstrzymać.

Pewnego wieczoru pokazał Krystynie nowy obraz.

– Vincent – zawołała – jak to się dzieje, że wszystko wygląda tak prawdziwie!

Zapomniał, że mówi do prostej kobiety. Tak samo odpowiedziałby Weissenbruchowi lub Mauve'owi:

– Sam nie wiem... siadam przed pustym płótnem w miejscu, które mnie kusi, i mówię sobie: na tym płótnie musi coś powstać! Pracuję długo, wracam niezadowolony do domu i stawiam obraz do kąta. Po chwili, wypocząwszy, zbliżam się w trwożnym oczekiwaniu i znów oglądam obraz. I wciąż jestem jeszcze niezadowolony, gdyż wyraźnie stoi przede mną skrawek wspaniałej rzeczywistości, z którą nic, cokolwiek tworzę, nie wytrzymuje porównania. Ale mimo to odnajduję w moim dziele jakby echo tego, co mnie skusiło i pociągnęło. Widzę, że natura opowiedziała mi coś, że przemówiła do mnie i że coś z tego udało mi się zanotować. W mojej notatce mogą być słowa nie do odcyfrowania, błędne lub opuszczone, lecz mimo to jest w niej coś z tego, co mi zwierzyły lasy, wybrzeże lub ludzka postać. Rozumiesz?

– Nie.

XIII

Krystyna bardzo mało pojmowała z tego, co robił Vincent. Jego opętanie malarstwem uważała za rodzaj kosztownej manii. Wiedziała jednak, że to jest opoka, na której Vincent zbudował swoje życie, nie próbowała więc wcale odwieść go od tego. Nie miała najmniejszego zrozumienia dla celu jego pracy: pozwolić dojrzeć samemu sobie i wypowiedzieć się w pełni. W codziennych troskach bytowania była dobrym towarzyszem; te sprawy stanowiły jednak tylko drobną część życia Vincenta. Ilekroć tęsknił za wypowiedzeniem w słowach swych myśli i uczuć, pisał do Thea. Co wieczór prawie pisał do brata długie, żarliwe listy, w których zdawał sprawę z wszystkiego, co za dnia widział, malował i myślał. A gdy chciał poznać myśli innych ludzi, sięgał do książek; czytał francuskie, angielskie, niemieckie i holenderskie powieści. Krystyna dzieliła z nim tylko ułamek życia. Ale był i tak zadowolony i nie żałował decyzji pojęcia jej za żonę. Nie starał się też wcale obudzić w niej zainteresowań intelektualnych, do których nie była stworzona. W czasie długich miesięcy letnich i jesienią wszystko w istocie szło gładko. Wychodził z domu bardzo wcześnie i wracał późnym wieczorem, długo po zapadnięciu mroku. Lecz gdy zbliżała się rocznica ich pierwszego spotkania w szynku za dworcem, gdy nadeszły szarugi i śnieżyce i Vincent musiał cały dzień pracować w domu, utrzymanie możliwych stosunków między nimi nastęrczało coraz więcej trudności.

Wziął się znów do rysowania oszczędzając w ten sposób pieniądze na farbach, ale za to dużo wydawał na modeli. Ci sami ludzie, którzy za ciężką pracę przyjęliby z radością marne grosze, wymagali dużych kwot za pozowanie. Prosił o pozwolenie rysowania w domu obłąkanych. Lecz dyrekcja szpitala orzekła, że jest to wypadek bez precedensu i że układają tam nowe podłogi, więc nie wolno mu rysować, chyba w dniach odwiedzin. Jedyłą jego nadzieją była Krystyna. Spodziewał się, że kiedy wyzdrowieje i wróci do sił, będzie mu pozowała jak dawniej, przed urodzeniem dziecka. Krystyna jednak

zapatrywała się inaczej na tę sprawę. Najpierw mówiła: „Nie jestem jeszcze dość silna, poczekaj trochę, nie ma gwałtu”. A gdy potem wyzdrowiała zupełnie, miała wymówkę, że w domu jest za dużo roboty.

– Teraz nie jest to samo co przedtem, Vincencie – mówiła.

– Muszę pilnować dziecka. A poza tym utrzymywać porządek w domu i gotować dla czterech osób.

Vincent wstawał codziennie o piątej i zajmował się gospodarstwem, aby Krystyna mogła mu potem pozować.

– Ależ ja nie jestem już modelką – protestowała. – Jestem twoją żoną!

– Musisz, Sien! Nie stać mnie na branie co dzień modela. Przecie to jedna z przyczyn, dla których tu jesteś.

Krystyna wybuchnęła jednym ze swych dawnych ataków wściekłości:

– Aha, więc po to tu jestem! Abyś mógł na mnie oszczędzać! Jestem ci w sam raz dobra na służącą! Jeśli nie będę ci pozować, wylecę stąd!

Vincent pomyślał chwilę, potem rzekł:

– To nie są twoje słowa, to ci matka wmówiła.

– Wszystko jedno, od kogo pochodzą. Ale są prawdziwe.

– Sien, nie pójdziesz do niej więcej, dobrze?

– Jak to? Wolno mi chyba kochać matkę, co?

– Oni zniszczą nasze życie! Chcą cię urobić z powrotem na swoje kopyto! Co stanie się wtedy z naszym małżeństwem?

– Czyś nie posyłał mnie do matki, kiedy w domu nie było co jeść? Zarabiam więcej, to nie będę zmuszona tam chodzić.

Kiedy wreszcie nakłonił ją do pozowania, okazało się, że jest fatalnym modelem. Popępiała wszystkie błędy, których z takim trudem oduczył ją zeszłego roku. Niekiedy miał wrażenie, że naumyślnie źle mu pozuje, aby się zniechęcił i przestał ją męczyć; w końcu musiał zupełnie poniechać rysowania jej. Tak więc wydatki na modeli znów wzrosły i proporcjonalnie mnożyły się dni, gdy nie było w domu nic do jedzenia. Toteż Krystyna spędzała całe dnie u matki. Ilekroć stamtąd wracała, Vincent stwierdzał zmianę w jej zachowaniu i usposobieniu. Okropne, błędne koło; gdy zużywał całe pieniądze na życie, Krystyna nie była narażona na wpływ matki – dla niego oznaczało to jednak zaprzestanie pracy. Czy po to uratował jej życie, aby uśmiercić samego siebie? Gdyby nie chodziła kilka razy na miesiąc do matki, ona i dzieci przymierałyby z głodu; jeżeli będzie chodziła, ich dom i pożycie ulegną w końcu rozbiciu. Co miał począć?

Krystyna brzemienna i cierpiąca, Krystyna w szpitalu, Krystyna powracająca z wolna do sił po położu – to była jedna osoba: opuszczona, zropanczona kobieta, nieskończenie wdzięczna za jedno życzliwe słowo lub pomocny gest, kobieta, która poznała cały ból świata, gotowa wszystko obiecać w podzięce za najdrobniejszą przysługę. Krystyna zdrowa, tęższa, wyleczona – była zupełnie kimś nowym. Pamięć cierpienia bladła, z nią zaś słabe postanowienie, aby być dobrą matką i gospodynią. Myśli i nawyki dawnego życia powracały powoli.

Żyła od lat czternastu życiem rozwiązłym, pijąc, paląc cygara, używając sprośnych wyrażeń, obracając się wśród gruboskórnych mężczyzn na ulicy. W miarę jak siły wracały, czternaście lat zgubnych nałogów poczyniło brać górę nad jednym rokiem miłości.

Niesamowita zmiana, niezrozumiała początkowo dla Vincenta, dokonywała się w Krystynie. Pomału jednak zaczął sobie zdawać sprawę z tego, co się działo.

Właśnie w tym czasie – z początkiem nowego roku – otrzymał od brata osobliwy list. Theo spotkał w Paryżu na ulicy samotną kobietę, chorą i zrozpaczoną. Miała chorą nogę i nie mogła pracować; była zdecydowana popełnić samobójstwo. Vincent wskazał bratu drogę – Theo poszedł za jego przykładem. Wystarał się dla niej o miejsce w domu przyjaciół, sprowadził doktora i kazał ją zbadać. Sam poniósł wszystkie koszty. W liście nazywał tę kobietę „pacjentką”.

„Czy mam ożenić się z moją pacjentką, Vincencie? Czy to najlepsza możliwość przyjścia z pomocą nieszczęśliwej? Ta kobieta cierpi i jest strasznie nieszczęśliwa. Porzucił ją jedyny człowiek, którego kochała. Co mam czynić, by ją ratować?”

Vincent, do głębi wstrząśnięty, natychmiast odpisał bratu. Ale Krystyna stawiała się coraz nieznośniejsza. Narzekała, gdy w domu był tylko chleb i kawa, nalegała, aby Vincent przestał brać modeli i dawał całe pieniądze na gospodarstwo. Gdy nie mogła sobie sprzątać nowych sukien, naumyślnie zaniebdywała stare i łaźła brudna i obdarta. Nie naprawiała już wcale garderoby Vincenta. Coraz bardziej ulegała wpływowi matki, która twierdziła, że Vincent ucieknie od niej albo ją przepędzi. Skoro stały związek z nim był niemożliwy, nie warto było wysilać się na dogadzanie mu.

Czyż wobec tych doświadczeń mógł radzić bratu, aby poślubił „pacjentkę”? Czy małżeństwo było dla tych kobiet doprawdy najlepszą drogą ratunku? Może najważniejszą rzeczą dla nich był dach nad głową, zdrowe jedzenie, dobroć zdolna wskrzesić w nich miłość i chęć do życia?

„Zaczekaj – ostrzegwał brata. – Uczyń dla niej wszystko, co możesz: to szlachetna sprawa. Ale nie śpiesz się z poślubieniem jej. Jeśli się kochacie, przyjdzie do tego i tak. Najpierw jednak sprawdź, czy potrafisz ją uratować.”

Theo przysyłał nadal trzy razy w miesiącu po pięćdziesiąt franków. Krystyna zaniebdywała obecnie gospodarstwo, pieniędzy nie starczało więc na tak długo jak przedtem. Vincent tęsknił i rwał się do pracy z modelami, pragnął zebrać dostateczną ilość studiów do prawdziwych obrazów. Żałował każdego franka wydanego na dom i nie poświęconego malarstwu. Sien natomiast biadała nad każdym frankiem, który z uszczerbkiem dla domu poświęcał sztuce. Dla obojga była to walka o życie. Sto pięćdziesiąt franków miesięcznie starczyłoby w sam raz na jego utrzymanie, mieszkanie i utensylia malarskie. Usiłowanie, by obdzielić tą kwotą cztery osoby, było bohaterstwem, lecz musiało zawieść. Vincent zaczął zaciągać długi u gospodarza, szewca, kupca, piekarza i w sklepie z farbami. Dla pokrycia wszystkiego pieniędzy Thea nie wystarczało.

Pisał do brata błagalne listy: „Przyślij mi, jeśli możesz, pieniądze przed dwudziestym, w każdym razie nie później. Mam już tylko dwa arkusze papieru i resztę ołówka. Nie mam ani franka na modeli i życie”. Trzy razy na miesiąc pisywał podobne listy. A gdy potem pieniądze przychodziły, szły od razu na spłacenie długów i nędza zaczynała się od nowa.

„Pacjentce” Thea musiano zoperować wrzód na nodze; Theo oddał ją do dobrego szpitala. Tak więc musiał troszczyć się o siebie, „pacjentkę”, Vincenta, Krystynę, Hermana i małego Antona oraz o rodzinę w Nuenen, gdyż nowa gmina była mała i dochody

Theodorusa nie wystarczały na utrzymanie rodziny. Pensja Thea była podzielona do ostatniego centyma, nie mógł posyłać bratu ani franka więcej.

W końcu doszło do tego, że z początkiem marca Vincent został z podartym banknotem jednofrankowym w kieszeni, którego kupiec nie chciał przyjąć. W domu nie było ani okruszyny chleba. Najbliższa przesyłka Thea miała przyjść dopiero za dziewięć dni. Vincent był zrozpaczony, że Krystyna musi tak długo przebywać u matki.

– Sien – powiedział – nie możemy pozwolić na to, aby dzieci głodowały. Zaprowadź jej lepiej do matki, póki nie nadejdzie list od Thea.

Przez mgnienie oka patrzyli jedno na drugie, myśląc o tym samym. Nie mieli jednak odwagi wypowiedzieć głośno swych myśli.

– Dobrze – odparła – myślę, że tak będzie najlepiej.

Sklepikarz dał Vincentowi za podarty banknot bochenek razowego chleba i trochę kawy. Vincent sprowadzał do pracowni modeli i pozostawał im dłużny. Z każdym dniem robił się coraz bardziej nerwowy, praca szła mu ciężko i opornie, głodował. Ustawiczne troski finansowe zaczynały pozostawiać na nim ślady. Nie mógł żyć bez pracy, a każda godzina pracy wykazywała mu, że coraz bardziej traci grunt pod nogami.

Po dziewięciu dniach, trzydziestego, nadszedł list od Thea z pięćdziesięcioma frankami. Theo zmagał się obecnie również z trudnościami. „Pacjentkę” po udanej operacji musiał umieścić w domu prywatnym. Pisał, że obawia się, iż nie będzie mógł „nic obiecać na przyszłość”.

Te słowa pogrzyły Vincenta w rozpacz. Czy ich sens był taki, że Theo nie będzie mógł nadal go utrzymywać? To byłoby złe, ale nie najgorsze. Czy znaczyły może, że brat na podstawie posyłanych mu codziennie rysunków doszedł do wniosku, że Vincent nie ma talentu i nie powinien na nic liczyć w przyszłości?

Leżał po nocach bezsennie i roztrząsał bez końca słowa Thea. Pisał ciągle listy do brata, prosił w nich o wyjaśnienie i szukał środków i dróg, aby móc się samemu wyżywić – ale nadaremnie.

XIV

Gdy poszedł po Krystynę, zastał ją w towarzystwie matki, brata, kochanki brata oraz obcego mężczyzny. Paliła czarne cygareto i piła gin. Bynajmniej nie wydawała się ucieszona, że ma wrócić z nim do domu.

Dziewięć dni w domu matki obudziło w niej dawne nawyki.

– Wolno mi palić cygara, kiedy mi się podoba! – krzyczała.

– Nie masz prawa zakazywać mi tego, sama je sobie kupuję! Doktor w szpitalu powiedział wyraźnie, że wolno mi pić wódkę i gin, jeśli zechcę.

– Tak jako lekarstwo dla pobudzenia apetytu.

Wybuchnęła ochryplym śmiechem.

– Lekarstwo na apetyt!... Co za... z ciebie! – użyła jednego z ordynarnych wyrażen, jakich nie słyszał od dnia pierwszego ich spotkania.

Nerwy Vincenta nie wytrzymały. Wybuchnął niepowstrzymaną wściekłością. Krystyna odpłaciła taką samą monetą.

– Nie troszczysz się wcale o mnie! Nie dajesz mi nawet żreć! Dlaczego nie zarabiasz więcej? Też mi mężczyzna!

Gdy sroga zima ustąpiła miejsca kapryśnej wiosnie, stan Vincenta pogorszył się jeszcze. Długi jego rosły. A że żołądek nie był od dawna należycie odżywiany, Vincent połykał z trudem. Po bólach żołądka przyszła kolej na zęby. Po nocach leżał w męce. Ból zaatakował nawet prawe ucho, które swędziało i rwało.

Matka Krystyny nachodziła teraz jego dom, siedziała pałac i pijąc razem z córką. Teraz już nie była zdania, że małżeństwo uszczęśliwi Krystynę. Pewnego razu zastał Vincent również jej brata, ale ten ulotnił się natychmiast.

– Po co on tu przyszedł? – zapytał Vincent. – Czego chcą od ciebie?

– Powiadają, że chcesz się mnie pozbyć.

– Wiesz dobrze, że to nieprawda – jeśli ty sama chcesz tu zostać.

– Matka chce, żebym cię opuściła. Po co mam tu siedzieć, skoro nie mam czego do gęby włożyć.

– A dokąd masz iść?

– Do niej oczywiście.

– I chcesz zabrać dzieci do tego domu?

– Lepiej, niż żeby tu z głodu zdychały. Mogę pracować i zarabiać na nasze utrzymanie.

– Co będziesz robić?

– Cokolwiek.

– Znowu nad balią? Jako praczka?

– ...Myślę, że tak.

Zmiarkował natychmiast, że Krystyna kłamie.

– A więc do tego chcą cię namówić?

– Jakoś to będzie... zarobię, ile trzeba.

– Posłuchaj, Sien, jeśli wrócisz do domu matki, jesteś zgubiona. Wiesz dobrze, że matka pošle cię znów na ulicę. Pamiętaj o tym, co ci powiedział doktor w szpitalu. O ile podejmiesz z powrotem dawny tryb życia, jesteś stracona.

– Ach, co tam! To mnie nie zabije. Czuję się całkiem dobrze.

– Bo żyjesz przyzwoicie! Ale gdy wrócisz do dawnych nawyków...

– Jezu Chryste, kto chce wracać? Kto mnie śle na ulicę?

Przysiadł na poręczu fotela i położył jej rękę na ramieniu.

Włosy miała nie uczesane.

– Wierz mi, Sien, nie opuszczę cię nigdy. Póki chcesz ze mną dzielić to, co posiadam, zostaniesz tutaj. Musisz jednak unikać swojej matki i brata. Oni cię zniszczą! Przynieknij mi, Sien – przez wzgląd na siebie – że ich nigdy więcej nie zobaczysz.

– Przynieknę.

Kiedy w dwa dni później wrócił do domu z przytułku dla starców, gdzie rysował, pracownia była pusta. O jakimkolwiek posiłku nie było mowy. Krystynę znalazł u matki; siedziała i piła.

– Powiedziałam ci przecie, że kocham matkę – protestowała w drodze powrotnej. – Wolno mi chyba ją odwiedzać, kiedy mi się podoba. Nie jestem twoją niewolnicą. Mam prawo robić, co chcę.

Popadła z powrotem w dawne niechłujstwo. Gdy Vincent starał się wpłynąć na nią i wytłumaczyć jej, że oddała się od niego, odpowiadała: „Wiem doskonale, że nie chcesz, abym z tobą została”. Pokazywał jej, jak brudny i zaniedbany jest dom. Mówiła: „Tak,

jestem leniwa i do niczego. Zawsze taka byłam i już się nie zmienię”. A gdy usiłował ją przekonać, do czego to może doprowadzić, odpowiadała: „Tak, wiem, jestem tylko wyrzutkiem i skończę w ten sposób, że się utopię.” Matka przychodziła niemal codziennie do pracowni i pozbawiała Vincenta towarzystwa Krystyny. Cały dom był przewrócony do góry nogami. O punktualnych posiłkach nie było już mowy. Herman plątał się po domu brudny i obdarty, przestał chodzić do szkoły. Im mniej Krystyna pracowała, tym więcej paliła i piła. Nie chciała zdradzić, skąd bierze na to pieniądze. Nadeszło lato. Vincent wychodził znów wczesnym rankiem, by rysować w plenerze. Pociągało to za sobą zwiększone wydatki na przybory malarskie, pędzle, płótno, ramy, większe sztalugi. Theo donosił, że stan jego „pacjentki” poprawił się, ale poważnym problemem jest ich wzajemny stosunek. Co ma zrobić z nią teraz, gdy ona czuje się lepiej? Vincent zamykał oczy na wszystko, co działo się w jego życiu prywatnym, całą uwagę koncentrował na pracy. Wiedział, że dom wali mu się na głowę, że Krystyna wciąga go z sobą w otchłań, w którą sama na nowo się pogrąża. Usiłował w malowaniu zapomnieć o rozpaczy. Co rano siedząc nad nowym tematem wierzył mocno, że obraz wypadnie tak pięknie i bezbłędnie, iż potrafi go zaraz sprzedać i stać się znanym malarzem. Co wieczór wracał do domu ze smutnym przeświadczeniem, że miną jeszcze lata, nim osiągnie upragnioną doskonałość.

Jedyną jego pociechą i radością w tym trudnym okresie był mały Anton. Był to istny cud żywości, połykający wśród śmiechów i gruchania wszystko, co było jadalne. Malec siedział nieraz z Vincentem w pracowni na podłodze, piszczał ucieszenie widząc jego rysunki, potem znów siedział cicho i poważnie i przyglądał się obrazom na ścianach. Wyrastał na ładne, dobrze rozwinięte dziecko. Im mniej Krystyna dbała o małego, tym bardziej Vincent go kochał. Dziecko było usprawiedliwieniem wyrzeczeń minionej zimy i nagrodą za nie.

Weissenbruch odwiedził go tylko raz. Vincent pokazał mu kilka prac z ubiegłego roku; sam był z nich wybitnie niezadowolony.

– Niech pan tak nie mówi! – osądził Weissenbruch. – Kiedy za parę lat obejrzy pan te prace na nowo, stwierdzi pan, że są wnikliwe i szczerze. Tylko kontynuować w ten sposób, mój drogi, i nie zrażać się niczym!

Ostatecznie powaliła go błądźka: uderzenie w twarz. Na wiosnę oddał blacharzowi lampę do naprawy. Przy odbiorze kupiec namówił go na kupno paru misek. Vincent wzdragał się, odparł, że nie ma pieniędzy.

– Nic nie szkodzi. Nie ma pośpiechu. Zapłaci pan później.

W dwa miesiące później zapukano głośno do drzwi pracowni. Był to ów kupiec – rostry chłop o byczym karku.

– Co za bezczelność zwodzić mnie w ten sposób! Jak pan śmie brać ode mnie towar i nie płacić! Przecie stale dostaje pan pieniądze!

– W tej chwili jestem zupełnie goły. Zapłacę, gdy tylko otrzymam pieniądze.

– Kłamstwo! Dopiero co zapłacił pan mojemu sąsiadowi szewcowi.

– Jestem w trakcie pracy – odparł Vincent chłodno.

– Proszę mi nie przeszkadzać. Skoro dostanę pieniądze, natychmiast ureguluję dług. Ale teraz proszę wyjść.

– Pójdę, gdy mi pan zapłaci, nie wcześniej.

Vincent stracił cierpliwość i pchnął draba ku drzwiom:

– Wynoś się pan natychmiast!

Na to tylko kupiec czekał. Poczawszy rękę Vincenta, trzasnął go pięścią w twarz z taką pasją, że Vincent zatoczył się pod ścianę. Uderzył raz jeszcze i kopnął Vincenta, który upadł bez przytomności na podłogę. Po czym kupiec bez słowa wyszedł.

Krystyna była u matki. Tylko maleńki Anton raczkował po podłodze. Przyczołgał się do Vincenta, klepał go rączką po twarzy i darł się w niebogłosość. Po paru minutach Vincent ocknął się, powlókł z trudem na górę i rzucił się na łóżko.

Uderzenia nie zraniły mu twarzy, nie czuł żadnego bólu. Nie zrobił sobie też nic złego, mimo iż upadł ciężko na podłogę. Ale coś w nim załamało się i zostało pokonane. Czuł to.

Krystyna wróciła do domu i poszła na poddasze do sypialni. W domu nie było ani pieniędzy, ani jedzenia. Dziwiła się nieraz, jakim cudem Vincent żyje jeszcze... Znalazła go leżącego na łóżku, ręce i ramiona zwisały z jednej, nogi – z drugiej strony.

– Co się stało? – spytała.

Dopiero po chwili zebrał siły, aby się podnieść.

– Sien, muszę opuścić Hagę.

– ... Tak... wiem o tym!

– Muszę wyjechać. Na wieś... Dokądkolwiek. Może do Drenthe, gdzie będziemy mogli żyć tanio.

– Ja mam jechać z tobą? Drenthe jest straszną dziurą. Co ja tam mam robić, jeżeli nie masz pieniędzy nawet na jedzenie?

– Nie wiem, Sien. Myślę, że i ty nie będziesz jadła.

– Czy przyrzekasz mi, że tych sto pięćdziesiąt franków pójdzie w całości na życie? Że nie będziesz kupował za to farb i płacił modeli?

– Nie mogę, Sien. To rzecz najważniejsza.

– Tak, dla ciebie!

– A dla ciebie nie. Dlaczego zresztą miałaby być ważna?

– Ja także muszę żyć, Vincent! A bez jedzenia żyć nie mogę!

– A ja nie mogę żyć bez malowania!

– Pięknie, to twoje pieniądze... Ty jesteś na pierwszym miejscu, rozumiem. Masz przy sobie parę centymów? Chodźmy do naszej starej knajpy!

Szynk pachniał kwaśnym winem. Mimo późnego popołudnia nie zapalono jeszcze lamp. Dwa stoliki, przy których się poznali, były wolne. Krystyna usiadła przy jednym z nich. Zamówili po kieliszku wina. Krystyna bawiła się nóżką kieliszka. Vincent przypomniał sobie, jak bardzo lubił i podziwiał jej spracowane ręce przy tym geście – niegdyś, niemal dwa lata temu...

– Mówiono mi, że chcesz mnie porzucić – odezwała się swym niskim głosem. – Teraz wiem o tym sama.

– Nie chciałbym cię porzucić, Sien. Jakie to porzucenie. Tyłeś dobrego mi zrobił, Vincent.

– Jeśli chcesz dzielić moje życie, zabiorę cię z sobą do Drenthe.

Przecząco potrząsnęła głową.

– Nie, nie starczy dla nas dwojga.

– Pojmujesz mnie chyba, prawda, Sien? Gdybym miał więcej, dzieliłbym wszystko z tobą. Ale skoro mam wybierać pomiędzy tobą a moją "pracą..."

Położyła mu rękę na dłoni. Poczuł dotyk spękanej, szorstkiej skóry.

– Już dobrze. Niech cię to nie boli. Zrobiłeś dla mnie wszystko, co mogłeś. Myślę, że jest po prostu czas, byśmy się rozeszli. To wszystko.

– Chcesz, abyśmy pozostali razem, Sien? Jeżeli cię to uszczęśliwi, ożenię się z tobą i zabiorę w świat.

– Nie, moje miejsce jest przy matce. Każdy żyje własnym życiem. Wszystko się jakoś ułoży. Brat wynajmuje nowe mieszkanie dla swojej kobiety i dla mnie.

Vincent opróżnił swój kieliszek; osad na dnie był gorzki.

– Sien, usiłowałem ci pomóc. Kochałem cię i dawałem ci całą przyjaźń i serdeczność, jakimi rozporządzam. Spełnij tylko jedną moją prośbę!

– Jaką? – spytała głucho.

– Nie chodź więcej na ulicę! To cię zabije. Przez wzgląd na Antona nie wracaj do dawnego życia!

– Czy masz pieniądze na jeszcze jeden kieliszek?

– Tak.

Jednym łykiem wypijała pół kieliszka i powiedziała:

– Wiem tylko jedno: nie potrafię zarobić tyle, aby zapchać wszystkie gęby. Jeśli pójdę na ulicę, to nie dlatego, że chcę, ale dlatego, że muszę.

– O ile znajdziesz jednak pracę, przyrzekasz mi, że nie pójdziesz?

– Będę ci co miesiąc posyłał coś, Sien. Poniosę koszty wychowania małego. Pragnąłbym, abyś mu dała możliwość rozwoju...

– Jakoś to będzie. Tamte też żyją...

Vincent doniósł bratu, że ma zamiar przenieść się na wieś i zerwać z Krystyną. Theo odpowiedział natychmiast. Pochwalił jego decyzję i przesłał jeszcze sto franków na zapłacenie długów. „Moja pacjentka zniknęła onegdaj w nocy – pisał – wyzdrowiała zupełnie, ale nie potrafiliśmy znaleźć do siebie drogi. Wzięła wszystko, co posiadała, i nie zostawiła nawet adresu. Tak pewnie lepiej – obaj jesteśmy znów wolni”.

Vincent ustawił wszystkie meble w pokoiku na stryszku, zamierzał bowiem wrócić kiedyś do Hagi. W przeddzień wyjazdu do Drenthe otrzymał list i paczkę z Nuenen. Paczka zawierała trochę tytoniu i dobrze znany sernik domowy. Ojciec pytał, kiedy Vincent przyjedzie wreszcie do nich malować drewniane krzyże cementarne.

Zrozumiał natychmiast, że Ciągnie go do domu. Był chory, wyglądniały, zmiażdżony, zniechęcony, nerwy miał stargane. Pojedzie na kilka tygodni do domu, do matki, aby wypocząć duszą i ciałem. Kiedy przywołał w pamięci krajobraz brabancki, żywopłoty, piaskowe wydmy i kopaczy na polach, ogarnęło go uczucie spokoju, jakiego nie zaznał od miesięcy.

Krystyna z dwojgiem dzieci odprowadziła go na dworzec. Stali wszyscy czworo na peronie – nie mogli słowa wymówić. Pociąg nadjechał i Vincent wsiadł. Krystyna stała z maleństwem w ramionach. Hermana trzymała za rękę. Vincent patrzył za nimi, póki pociąg nie zniknął w oślepiającym blasku, a kobieta nie wsiąknęła na zawsze w zadymioną czerni dworca.

Księga czwarta

NUENEN

I

Plebania w Nuenen była kamiennym, białym tynkowanym dwupiętrowym budynkiem. Za domem rozciągał się rozległy ogród; były w nim żywopłoty, rabaty kwietne, staw, wiązy i trzy niskopienne dęby. Chociaż Nuenen liczyło dwa tysiące sześćset mieszkańców, protestantów było zaledwie stu. Kościółek był maleńki. Stanowisko w Nuenen w porównaniu z dawną posiadą w kwitnącym miasteczku targowym oznaczało właściwie degradację.

Całe Nuenen składało się w rzeczywistości z niewielu domostw ciągnących się po obu stronach gościńca z Eindhoven, głównego miasta brabanckiego. Przeważającą część mieszkańców stanowili tkacze i chłopcy, których chaty stały rozrzucone na wrzosowiskach. Ludzie żyli tu bogobojnie, pracowali w pocie czoła i utrzymywali tradycje i obyczaje przodków.

Nad drzwiami wejściowymi plebanii widniały czarne żelazne znaki: A.D. 1764. Drzwi otwierały się wprost z ulicy do szerokiej sieni, która dzieliła dom na dwie części. Na lewo, między stołowym i kuchnią, prowadziły proste, nie heblowane schody do sypialni na piętrze. Vincent z bratem Korem zamieszkiwał pokój leżący nad salonikiem. Gdy budził się o brzasku, widział, jak słońce wyłania się zza filigranowej wieży kościółka i jak na staw kładą się delikatne, pastelowe cienie. O zachodzie, kiedy koloryt ciemniał i pogłębiał się, Vincent siedział w oknie i patrzył, jak barwy niby ciężka oleista warstwa opuszczają się nad staw, jak powoli roztopiają się w zmierzchu wieczornym.

Vincent kochał swych rodziców i rodzice kochali jego. Wszyscy troje czynili rozpaczliwe wysiłki, aby utrzymywać miłe i przyjazne stosunki wzajemne. Vincent jadł dużo, sypiał długo i włóczył się niekiedy po łąkach. Mówił niewiele, nie czytał i nie malował. Członkowie rodziny odnosili się do niego z wyszukaną uprzejmością, podobnie jak on do nich, aby nie mącić pięknej harmonii.

Zgoda trwała dopóty, dopóki Vincent był chory. Nie umiał on po prostu przebywać w jednym pokoju z ludźmi, którzy myśleli inaczej niż on. Gdy na przykład ojciec zrobił uwagę: „Mam zamiar przeczytać Fausta Goethego. Pastor Ten Kate przełożył go, nie może to być więc dzieło bardzo niemoralne” – w Vincencie kipiało wszystko z wściekłości.

Pierwotnie zamierzał pozostać w domu tylko dwa tygodnie. Ale kochał krajobraz brabancki i chętnie pobylby tu dłużej. Pragnął w ciszy i spokoju malować przyrodę i dać wyraz temu, co widział. Pragnął wczuć się głęboko w najprawdziwszą treść tego kraju i odtworzyć na płótnie życie wiejskie. Podobnie jak dobry ojciec Millet chciał żyć z wieśniakami, rozumieć ich i malować. Był głęboko przekonany, że istnieją ludzie wyrosli w mieście i związani z miastem obowiązkami, lecz tęskniący całe życie za wsią i chłopami.

Wiedział, że pewnego dnia powróci do Brabancji i osiadzie tam na stałe. Nie mógł jednak pozostać w Nuenen, jeśli rodzice tego nie chcieli.

– Sprawę należy postawić jasno – powiedział do ojca. – Spróbujemy dojść do porozumienia.

– Owszem, Vincencie, ja też tego pragnę. Widzę, że z twojego malowania przecie coś wyniknie, i to mnie cieszy.

– Dobrze, w takim razie powiedz mi szczerze, czy uważasz za możliwe, abyśmy tu żyli razem i w spokoju? Czy chcesz, żebym został?

– Tak.

– Jak długo?

– Tak długo, jak sam zechcesz. Tu jest twój dom rodzinny. Twoje miejsce jest z nami.

– A jeśli się nie zgodzimy?

– Starajmy się żyć w zgodzie i jakoś współżyć.

– Ale jak rozwiązać kwestię pracowni? Nie chcesz przecie, abym pracował w domu?

– Już o tym myślałem. Czyby nie można użyć starej pralni w ogrodzie? Mógłbyś ją mieć wyłącznie dla siebie. Nikt ci tam nie przeszkodzi.

Pralnia leżała tuż obok kuchni, lecz nie miała z nią połączenia. Była niewielka, jedno małe okienko umieszczone wysoko w ścianie wychodziło na ogród. Podłogę tworzyło zwykłe gliniane klepisko, w zimie zawsze wilgotne.

– Napalimy tu porządnie, aby wyschło. Potem położy się deski i będzie ci całkiem wygodnie. Co sądzisz o tym?

Vincent rozejrzał się. Izba była skromna, zupełnie podobna do chłopskich chat na łąkach. Mógłby z niej zrobić prawdziwą wiejską pracownię.

– Jeżeli okno jest za małe – odezwał się Theodorus – można je powiększyć, mam akurat trochę pieniędzy.

– Nie, nie, tak właśnie jest świetnie. Na ludzi, których tu chcę malować, padnie w sam raz tyle światła, jak gdybym ich malował w ich własnych chatach.

Zawlekli do pralni dziurawą beczkę i klepkami napalili w piecu. Po wysuszeniu ścian i klepiska ułożyli na nim deski. Vincent wniósł swoje wąskie łóżko, stół, krzesło i sztalugi. Przybił do ściany rysunki, grubymi kreskami napisał GOGH na białą tynkowaną ścianie od strony kuchni i wziął się do roboty – aby zostać Milletem Holandii.

II

Najbardziej interesującymi ludźmi w okolicach Nuenen byli tkacze. Mieszkali w małych lepiankach krytych strzechą i zazwyczaj złożonych z dwóch izb. Cała rodzina gnieździła się w kuchni, dokąd małe okienko przepuszczało zaledwie promyk światła. W ścianach na wysokości około jednego metra nad podłogą znajdowały się czworokątne wgłębienia, w których spano; poza tym stał tu stół, parę krzeseł, piec opalany torfem oraz prymitywna szafka na garnki i sprzęt kuchenny. Podłoga była zwykłym klepiskiem, ściany z wysuszonej gliny. Obok, w drugiej izbie, o wiele mniejszej i z powodu ściętego sufitu o wiele niższej, stały krosna.

Pilny, pracujący bez wytchnienia tkacz mógł utkać w ciągu tygodnia pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów sukna, pod warunkiem, że żona nawijała nici na cewkę. Zarobek jego za tydzień takiej pracy wynosił przeciętnie cztery i pół franka. Zdarzało się jednak często, że przy odbiorze roboty fabrykant obiecywał następną dopiero za parę tygodni. Vincent zorientował się wnet, że tkacze przedstawiają zupełnie inny typ człowieka aniżeli

górnicy w Borinage. Byli to ludzie spokojni i nie buntujący się przeciw losowi. Wyglądali tak pogodnie jak dorożkarskie szkapy lub owce transportowane statkiem na rzeź.

Vincent zaprzyjaźnił się z nimi wkrótce. Jedynym życzeniem tych prostych ludzi było mieć pracę, aby móc pić kawę, jeść kartofle i od czasu do czasu kawałek słoniny. Nie mieli nic przeciw temu, aby Vincent malował ich przy pracy. Ilekroć przychodził, przynosił zawsze słodczyce dla dzieci lub trochę tytoniu dla dziadka.

Znalazł kiedyś krosna ze starego, brunatnozielonego dębu z wyciętą na nich datą: 1730. Koło krosien, przed okienkiem wyzierającym na zielony skrawek pola, stało dziecięce krzesło, a na nim godzinami siedziało dziecko patrząc na biegnące czółenka tkackie. Izba była nędzna, miała gliniane klepisko, lecz Vincent widział w niej swoiste piękno i spokój, które chciał oddać w obrazie.

Wstawał bardzo wcześnie i spędzał prawie cały dzień na dworze, o ile nie malował we wnętrzach chat. Czuł się dobrze i swojsko wśród ludzi uprawiających ziemię lub siedzących przy krosnach; nie na darmo spędził tyle wieczorów z górnikami, kopaczami torfu i chłopami. Żył jedną, jedyną myślą – chciał śledzić i obserwować tę prostą egzystencję, ten spokojny kołowrót powszedniego dnia na wsi. W mijającym szukał nieprzemijalnego.

Powrócił do swego wielkiego ukochania: rysował znów ludzi. Ale teraz miał jeszcze drugą namiętność – barwę. Dojrzewające łany zbóż – ciemnozłote, złotobrazowe, różowe – odcinały się najwspanialej od przełamane kobaltu nieba. Na dalszym planie widać było postacie kobiece – krzepkie, energiczne, opalone, w zakurzonych błękitnych sukniach i czarnych czepkach na krótkich włosach.

Kiedy ze sztalugami na plecach, z wilgotnym płótnem pod pachą przemierzał zamaszystym krokiem gościniec, uchylały się zamknięte okiennice. Biegł jakby przez różgi między ciekawymi spojrzeniami kobiet, które śledziły go, wietrząc sensację. W domu zastawał siostrę Elżbietę, która go nienawidziła. Obawiała się, że osobliwe i rzucające się w oczy zwyczaje brata mogą jej zepsuć szanse małżeństwa w Nuenen. Wilhelmina lubiła go, ale uważała go za nudnego. Z młodszym bratem Korem zaprzyjaźnił się dopiero znacznie później.

Vincent nie jadał z innymi przy wielkim stole rodzinnym, tylko sam w kącie, z talerzem na kolanach. Podczas posiłku ustawiał swoje obrazy na poręczy krzesła przed sobą i krytykował bez miłosierdzia ich błędy i słabe strony. Nie rozmawiał prawie nigdy z rodziną, rzadko również zwracał się ktoś do niego. Jadał przeważnie suchy chleb bez dodatków, aby przyzwyczajaniem się do lepszej strawy nie rozpieszczać się zbyt. Gdy przy stole padło nazwisko któregoś z uwielbianych przezeń pisarzy, wtrącał się niekiedy do rozmowy. W gruncie rzeczy uważał jednak, że współżycie rodzinne najlepiej układa się wówczas, gdy poszczególni członkowie rodziny jak najmniej ze sobą mówią.

III

Malował już od miesiąca na dworze, gdy nawiedziło go dziwne uczucie, że ktoś go podpatruje. Wiedział, że ludzie w Nuenen gapią się na niego, że nawet chłopci przestają pracować i oparci na motykach, wodzą za nim zdziwionym wzrokiem, gdy przechodził.

To jednak było coś całkiem innego. Czuł, że ktoś nie tylko go obserwuje, ale nawet chodzi za nim. Zrazu próbował otrząsnąć się z tego wrażenia, lecz zupełnie uwolnić się od

niego nie mógł. Wszędzie, dokądkolwiek szedł, czuł na plecach czyjś wzrok. Nieraz oglądał się nagle, lecz nie mógł odkryć nic podejrzanego. Raz jeden tylko zdawało mu się, że w chwili, gdy się odwrócił, mignęła biała spódniczka kobieca i znikła za drzewem; innym razem ktoś umknął przed nim śpiesznie, gdy wychodził z chaty tkacza; jeszcze kiedy indziej, w lesie, gdy oddalił się na chwilę od sztalug w poszukiwaniu wody, znalazł po powrocie ślady palców na mokrym płótnie.

Dopiero po dwóch tygodniach udało mu się przyłapać podpatrywacza. Przyglądał się chłopom kopiącym torf na łące, opodał stał jakiś stary, porzucony wóz. Nagle zauważył z tyłu za wozem kobietę. Chwycił szybko sztalugi i płótno udając, że chce wracać do domu. Kobieta pobiegła przed nim. Spokojnie szedł za nią, by nie obudzić podejrzeń, i spostrzegł, że weszła do domu stojącego w sąsiedztwie plebanii.

– Kto mieszka w najbliższym domu na lewo od nas, mamó? – zapytał przy kolacji.

– Begemanowie.

– Co to za ludzie?

– Niewiele o nich wiemy. Jest ich pięć córek i matka. Ojciec dawno już umarł.

– Jakie one są?

– Trudno mi na to odpowiedzieć. Są skryte.

– Czy to katoliczki?

– Nie, protestantki, ojciec był pastorem.

– Czy któraś z córek jest niezamężna?

– Żadna nie wyszła za mąż. A czemu o to pytasz?

– Tak sobie... A kto je utrzymuje?

– Nikt... Mają, zdaje się, dość pieniędzy.

– Przypuszczam, że nie znasz ich imion?

Matka spojrzała na niego zdumiona.

– Nie.

Nazajutrz wybrał się w to samo miejsce co poprzedniego dnia. Chciał utrwalić na płótnie niebieskie postacie chłopów wśród dojrzałych zagonów lub na tle więdnących liści bukowych żywopłotów. Chłopi pracowali w zwykłych, roboczych ubraniach z samodziału w czarno-niebieskie prążki. Tkanina ta płowiejąc na słońcu i w deszczu nabrała spokojnych, subtelných tonów podkreślających koloryt ciała.

Ranek przechodził już w południe, gdy Vincent wyczuł znów za sobą obecność kobiety. Zerknął w bok i dojrzał za krzakami jasną suknię.

„Dziś ją przyłapię – mruknął – choćbym miał przerwać robotę”.

W ostatnich czasach Vincent nauczył się „ciskać” po prostu obraz na płótno. W jednym jedynym mocnym i żarliwym rozbłysku chwycił i kształtował wrażenie, jakie w nim wywołała dana scena lub pejzaż. Ta szybkość pracy imponowała mu zawsze u starych mistrzów holenderskich. Malowali oni w ogromnym, trwożnym pośpiechu, nic nie poprawiając, aby nic nie uronić z pierwszego wrażenia, pierwszego nastroju, jakimi natchnął ich motywy.

W twórczej pasji, pogrążony w pracy, zapomniał całkiem o kobiecie. Kiedy po godzinie się obrócił, spostrzegł, że wysunęła się z za krzaków i stoi tuż za wozem. Najchętniej zerwałby się z miejsca i zatrzymał ją, aby zapytać, dlaczego włóczy się za nim, ale nie mógł oderwać się od roboty. Po pewnym czasie znów się obejrzał i ku wielkiemu

zdumieniu zobaczył ją stojącą przed wozem i wpatrującą się w niego. Po raz pierwszy pokazała mu się jawnie.

Gorączkowo pracował dalej. Z im większym oddaniem malował, tym bliżej kobieta podchodziła. Im namiętniej zagłębiał się w pracy, tym namiętniej wpatrywała się w niego. Wykręcił sztalugi nieco do światła – i ujrzał ją na polu pomiędzy wózkiem i sobą. Wyglądała jak człowiek, który idzie w lunatycznym śnie. Zbliżała się krok za krokiem, wahała się, szła dalej, jak gdyby pchała ją ku niemu jakaś przemożna siła, której nie mogła się oprzeć. Zdawało się, że nie umie zapanować nad ogarniającym ją wzruszeniem. Poczł, że stoi za nim. Nagle odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Oczy jej błyszczały gorączkowo i trwożnie; nie patrzyła na Vincenta, lecz na obraz. Czekał, aż zacznie mówić. Milczała. Zwrócił się więc do sztalug i ostatnim wysiłkiem skończył obraz. Kobieta stała bez ruchu tuż obok niego, czuł, że suknią dotyka jego marynarki.

Było późne popołudnie. Od wielu godzin stała już w polu. Vincent był do cna wyczerpany, nerwy miał napięte twórczym podnieceniem. Podniósł się z krzeselka i podszedł do kobiety.

– Jestem Vincent van Gogh – przedstawił się – pani sąsiad, prawdopodobnie wie pani o tym.

– Tak – szepnęła ledwo dosłyszalnie.

– Którą z sióstr Begeman jest pani?

Zachwiała się lekko, lecz chwyciła go za rękaw i zapanowała nad słabością. Próbowwała coś mówić, parokrotnie otwierała usta zwilżając suche wargi, wreszcie wykrztusiła z wysiłkiem:

– Margot.

– A dlaczego chodzi pani za mną, Margot Begeman? Zauważyłem to już od paru tygodni.

Hamowany krzyk dobył się z jej ust, paznokciami wpiła się w ramiona Vincenta, aby utrzymać się na nogach. Potem osunęła się zemdlna na ziemię.

Vincent przykląkł obok niej, podsunął jej rękę pod głowę i odgarnął włosy z czoła. Purpurowa kula słońca skłoniła się ku zachodowi, znużeni chłopcy powlekli się do domu. Vincent i Margot zostali sami. Przyjrzał się jej uważnie. Nie była ładna. Musiała mieć sporo ponad trzydziestkę. Od prawego kącika jej ust biegła w dół zmarszczka sięgająca niemal podbródka. Ciemne koła podkrażyły oczy, na skórze zaczynały zarysowywać się zmarszczki.

Miał jeszcze we flaszcze trochę wody; zwilżył gałganek służący do wycierania farb i położył go Margot na czole. Nagle otworzyła szeroko oczy, dobre oczy: ciemnobrązowe, serdeczne, zdradzające niemal mistyczną duszę. Zwilżył końce palców i przesunął je po twarzy Margot. Drgnęła.

– Czy czuje się pani lepiej?

Przez mgnienie oka leżała i patrzyła w jego zielonkawe oczy, które zdawały się przenikać człowieka, współczuć i rozumieć. Potem z dzikim łkaniem, które trysnęło z najgłębszego dna duszy, rzuciła mu się na piersi i ukryła wargi w jego brodzie.

IV

Nazajutrz spotkali się w umówionym miejscu za wsią. Margot włożyła prześliczną białą sukienkę batystową, zapiętą pod szyję, przez rękę przewiesiła duży kapelusz słomkowy. Była jeszcze wciąż trochę niespokojna w towarzystwie Vincenta, ale o wiele bardziej opanowana niż onegdaj. Vincent odłożył paletę na widok nadchodzącej. Margot nie miała w sobie nic z subtelnej urody Kay, ale w porównaniu z Krystyną była bardzo pociągająca.

Wstał z polowego krzeselka, nie wiedział jednak, co robić. Żywił swoiste uprzedzenie do wykwinnych dam. Tak zwane damy z towarzystwa nie pociągały go ani jako kobiety, ani jako modelki. Wolał proste kobiety z ludu, w spódnicach i kaftanikach; przypominały mu często obrazy Chardina³².

Margot przywarła do niego drżąca i całowała go, jak gdyby od dawna byli kochankami. Vincent rozpostarł dla niej na ziemi marynarkę, sam usiadł na krzeselku. Margot siadła przed nim z głową przytuloną do jego kolan i wpatrywała się w niego z takim wyrazem, jakiego nigdy dotychczas nie widział u kobiety.

– Vincent – szepnęła z radością, że wolno jej wymówić jego imię.

– Tak, Margot – nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Czy wczoraj wieczór myślałeś o mnie źle?

– Nie. Dlaczego?

– Nie uwierzysz mi pewnie... Ale kiedy wczoraj cię pocałowałam, całowałam mężczyznę po raz pierwszy w życiu.

– Czy nigdy nie kochałaś, Margot?

– Nie.

– To szkoda.

– Tak. Tyś pewnie kochał inne kobiety? – spytała po chwili.

– Tylko... trzy.

– A czy one kochały cię także?

– Nie, Margot.

– Przecież ciebie musi się kochać!

– Nigdy nie miałem szczęścia w miłości.

Margot przysunęła się bliżej i oparła ramię na kolanach Vincenta. Palcami drugiej ręki głaskała czule jego twarz, mocny garbaty nos, pełne usta, twardy, zaokrąglony podbródek. Dreszcz ją przeszył i cofnęła palce.

– Jakiś ty silny – szepnęła. – Wszystko w tobie jest silne, ramiona, broda i podbródek. Nigdy jeszcze nie spotkałam takiego mężczyzny jak ty.

Ujął w dłonie jej twarz z nieporęczną tkliwością. Miłość i podniecenie widniejące na jej twarzy wzruszyły go.

– Czy lubisz mnie choć trochę? – spytała niespokojnie.

– Tak, Margot.

– Pocałuj mnie.

Spełnił jej życzenie.

³²Chardin Jean-Baptiste Simeon (1699-1779) – jeden z najwybitniejszych malarzy francuskich XVIII wieku. Malował znakomite „martwe natury” i sceny rodzajowe z życia mieszczańskiego.

– Błagam, nie osądzaj mnie źle, Vincencie! Nie mogłam postąpić inaczej... nie mogłam z tym walczyć... Ujrzałam cię i natychmiast wiedziałam, że cię Kocham. Musiałam iść za tobą.

– Kochasz mnie? Naprawdę? Ale dlaczego?

Zamiast odpowiedzi podniosła się i ucałowała go w usta.

Potem siedzieli w milczeniu obok siebie. Niedaleko rozciągał się wiejski cmentarzyk. Pokolenie za pokoleniem chowano tu chłopów na wieczny spoczynek, w tej samej ziemi, którą uprawiali za życia. Vincent usiłował pokazać w swym obrazie, jak prostą sprawą jest śmierć, niby jesienny liść, co spada na ziemię, niby odwrócona gruda ziemi lub prosty krzyż drewniany... Dokoła cmentarza, poza murem, rozpościerały się pola aż po widnokrąg, jak morze.

– Czy wiesz coś o mnie, Vincencie? – spytała cicho.

– Bardzo niewiele.

– Czy ci ktoś mówił, ile mam lat?

– Nie.

– Skończyłam trzydzieści dziewięć... Za parę miesięcy przypada czterdziesta rocznica moich urodzin. Od pięciu lat powtarzam sobie, że nie chcę żyć dłużej, o ile do czterdziestego roku nie spotkam kogoś, kogo bym mogła pokochać.

– Przecie to tak łatwo kochać kogoś.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak. Trudniej jest być kochanym.

– Mylisz się. Również znaleźć kogoś, kogo by można kochać, jest tu w Nuenen bardzo trudno. Od przeszło dwudziestu lat tęsknię za tym rozpaczliwie – i daremnie.

– Nie spotkałaś dotąd nikogo?

Patrzyła w zadumie przed siebie.

– Niegdyś, gdy byłam młodą dziewczyną, kochałam pewnego chłopca.

– I...

– Był katolikiem. Przepędziły go.

– Kto?

– Moja matka i siostry.

Przyklękła przed nim, nie dbając o to, że wilgotna ziemia brudzi jej białą sukienkę. Oparła łokcie na jego kolanach i twarz wsparła na dłoniach. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Życie kobiety nie wypełnione miłością jest puste, Vincencie.

– Wiem.

– Każdego ranka budząc się mówiłam sobie: dziś znajdę kogoś, kogo będę mogła pokochać. Inne kobiety znajdują, dlaczego właśnie ja mam być wykluczona? I po każdym dniu szła znowu noc, w której byłam samotna i nieszczęśliwa.

Długi, długi łańcuch pustych dni, Vincencie. W domu nie mam nic do roboty, mam dość służby; tak więc każda godzina pełna była tęsknoty za miłością. Co wieczór powtarzałam sobie: to nie jest życie, równie dobrze możesz nie żyć wcale. Jedno mnie tylko podtrzymywało – nadzieja, że skądś, jakimś cudem, zjawi się człowiek, którego będę mogła pokochać. Urodziny szły za urodzinami... trzydzieści siedem lat, trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć... Nie potrafiłabym żyć dalej, gdyby w tej pustce minęły czterdzieste... I ty przyszedłeś, Vincencie! Teraz wreszcie i ja kogoś Kocham!

Był to okrzyk triumfalnej radości, jak gdyby odniosła wielkie zwycięstwo. Odchyliła w tył głowę i podała mu usta do pocałunku. Vincent odgarnął jej z uszu miękkie pukle. Zarzuciła mu ramiona na szyję i całowała go namiętnie, bez końca. Siedział oto na swym składanym krzeselku, obok leżała paleta, przed nim rozciągał się wiejski cmentarzyk, a do niego tuliła się nie znana jeszcze wczoraj kobieta... Po raz pierwszy w życiu Vincent poczuł cudowny, ozdrowieńczy balsam nie ukrywanej kobiecej miłości. Dreszcz nim wstrząsnął, bo przypomniał sobie, że stoi na poświęconym gruncie.

Margot siedziała na ziemi u jego stóp, głowę złożyła mu na kolanach. Lica jej zarumieniły się w radosnym podnieceniu, oczy gorzały, oddychała głęboko i z wysiłkiem. Z miłosnymi rumieńcami na twarzy nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat. Vincent, niezdolny do jakiegokolwiek uczucia, przesunął palce po delikatnej twarzy kobiety. Ujęła jego rękę, ucałowała żarliwie i przyłożyła do swego rozpalonego policzka. Po chwili szepnęła cicho:

Wiem, że mnie nie kochasz, Vincencie. Byłoby to zbyt śmiałe żądanie. Błagałam Boga jedynie o to, aby mi pozwolił kochać. Nawet we śnie nie marzyłam, że miłość moja będzie odwzajemniona. Samemu kochać, a nie być kochanym – to jest ważne, prawda, Vincencie? Pomyślał o Urszuli i Kay.

– Tak – odparł tylko.

Spojrzała w górę na błękitne niebo.

– I pozwolisz mi towarzyszyć sobie, dobrze? Gdy nie zechcesz mówić, będę siedziała cichutko obok ciebie i nie powiem ani słowa. Pozwól mi tylko być z tobą razem. Przrzekam, że nie będę ci przeszkadzała w pracy.

– Oczywiście możesz chodzić ze mną Margot. Ale powiedz mi, czemu nie wyjechałaś z Nuenen, skoro tu nie było nikogo? Czy nie mogłaś pojechać dokądś w odwiedzin? Czy brak ci było pieniędzy?

– Nie, pieniędzy mam dosyć. Po dziadku.

– Dlaczego nie pojechałaś zatem do Hagi lub Amsterdamu? Tam z pewnością spotkałabyś interesujących mężczyzn.

– One nie chciały się zgodzić.

– Żadna z twych siostr nie jest zamężna?

– Nie, kochanie, wszystkie jesteśmy pannami.

Szarpnął nim ból. Po raz pierwszy w życiu kobieta nazwała go „kochaniem”. Wiedział, jak strasznie jest kochać i nie być kochanym, ale nie miał pojęcia, jak wielką słodyczą przepaja miłość dobrej kobiety, kochającej całym sercem. Uważał miłość Margot za osobliwe zrzędzenie losu, w którym on sam nie bierze udziału. To proste słowo jednak, wypowiedziane przez nią tak spokojnie i czule, odmieniło go. Przyciągnął Margot ku sobie i przygarnął drżącą kobietę w mocnym uścisku.

– Vincencie, Vincencie – rzekła cicho – tak cię kocham.

– Jak dziwnie brzmią twoje słowa.

– Cieszę się niemal, że przez te wszystkie lata nie znalazłam miłości. Ty jesteś wart tego, aby na ciebie czekać, jedyny i ukochany. Nigdy, w najśmielszych snach, nie wyobrażałam sobie, że można czuć dla kogoś to, co ja dla ciebie czuję.

– Kocham cię także, Margot.

Wyśliznęła się lekko z jego ramion.

– Nie masz potrzeby mówić mi tego, Vincencie. Może nadejdzie dzień, w którym mnie naprawdę polubisz. Ale jedyną rzeczą, o którą cię teraz proszę, jest, abys mi pozwolił siebie kochać.

Rozłożyła jego marynarkę nie opodal i usiadła.

– Weź się do roboty, kochany, nie chcę ci przeszkadzać. Tak chętnie przyglądam się, gdy malujesz.

V

Margot towarzyszyła mu odtąd prawie codziennie. Wędrowali nieraz kilometrami, nim wyszukał odpowiedni motyw. Przychodzili na miejsce zziądani i wyczerpani upałem. Ale nigdy nie wymknęło się z ust Margot słowo skargi. Zaszła w niej rzucająca się w oczy przemiana. Włosy, szarawe dawniej i matowe, jaśniały teraz złocistym połyskiem. Wąskie, suche wargi spęczniały krwią, chód stał się bardziej zwarty i pewny. Sucha i pomarszczona cera stała się gładka i jędrna, oczy się powiększyły, piersi zaokrągliły. Sprawiała wrażenie, że co dzień na nowo kąpie się w ożywczym źródłu miłości.

Wymyślała coraz to nowe, drobne niespodzianki dla niego: smakołyki na drogę lub sprowadzony z Paryża sztych, o którym z podziwem wspominał. Nigdy nie przeszkadzała mu w pracy. Siedziała cicho obok niego przepojona tym samym namiętym żarem, jaki bił z jego obrazów.

Margot nie miała pojęcia o malarstwie, lecz posiadała dar subtelnego wyczucia i szybkiej orientacji. Znajdowała zawsze odpowiednie słowo we właściwym momencie. Vincent widział, że pojmuje intuicyjnie wiele rzeczy, których się nigdy nie uczyła. Przypominała mu skrzypce z Cremony³³, zniszczone przez niedołącznych stroicielei. „Szkoda, że mój nie spotkał dziesięć lat temu” – mówił do siebie.

Pewnego dnia, gdy rozpoczynał pracę nad nowym obrazem, spytała:

– Skąd masz pewność, że miejsce wybrane przez ciebie wyjdzie dobrze na płótnie?

Zastanawiał się chwilę, nim odparł:

– Jeśli chcę coś zrobić, nie wolno mi myśleć o niepowodzeniu. Gdy widzę białe, puste płótno, jakby patrzące na mnie głupekowato, po prostu rzucam coś na nie.

– Rzucasz, to właściwe słowo. Twoje obrazy rosną naprawdę w oczach.

– Muszę tak robić. Paraliżuje mnie wprost widok pustego płótna, które zdaje się mówić: „Nic nie wiesz”.

– Więc płótno rzuca ci jak gdyby wyzwanie?

– Właśnie. Puste płótno obawia się pasji malarza, który ma odwagę, który przełamał magię tego „Nic nie wiesz”. Życie także zwraca ku człowiekowi białą, niezapisaną, beznadziejnie pustą kartę.

– Tak, to prawda.

– Lecz człowiek z wiarą i energią nie boi się tej pustki. Wkracza w nią, działa, buduje, tworzy. I w końcu karta wypełnia się bogatym wzorem wzorem życia.

Radował się, że Margot jest w nim tak bez pamięci zakochana. Patrzyła na niego bez cienia krytycyzmu, wszystko, co robił, uważała za dobre i słuszne. Nie mówiła nigdy, że ma złe maniery, głos – szorstki, a twarz porytą bruzdami. Nie potępiała go za to, że nie

³³Cremona – miasto we Włoszech znane z wyrobu skrzypiec w XVI-XVIII wieku.

zarabiał, nie nakłaniała go do innej pracy. Gdy o zmierzchu wracali do domu, otaczał jej plecy ramieniem i opowiadało wszystkim, co czynił, tłumaczył, czemu woli malować nędznego chłopca niż burmistrza, dziewczuchę wiejską w łatanej spódnicy niż elegancką damę. Margot o nic go nie pytała. Był taki, jaki był – i takim go kochała bez zastrzeżeń.

Vincent nie mógł się oswoić z tą nową dla niego sytuacją. Codziennie oczekiwał, że przyjaźń ich zostanie nagle zerwana, że Margot stanie się przykra i okrutna, że będzie mu wymawiała nieudolność w praktycznej walce życiowej. Lecz miłość jej rosła i potężniała. Darzyła go tak pełnym, głębokim zrozumieniem i podziwem, na jakie stać tylko dojrzałą kobietę. Był niemal rozczarowany, że przewidziany przez niego zwrot nie następował. W dziwacznej samoudręce odmalowywał własne niepowodzenia życiowe w najciemniejszych barwach, aby sprowokować krytykę. Ona jednak nie widziała w nich jego winy ani klęski, lecz słuchała ze współczuciem, jak się słucha opowiadań o zmiennych kolejach losu.

Opowiadał jej o swych płonnych wysiłkach w Borinage, o tym, jak zawiódł podczas studiów w Amsterdamie.

– Chyba to było niepowodzenie – rzekł. – Wszystko, co czyniłem, było złe, prawda?

Uśmiechnęła się pobłażliwie:

– Król nie może zrobić nic złego – odparła.

Pocałował ją.

Nazajutrz powiedziała:

– Moja matka mówi, że jesteś złym człowiekiem. Słyszała, że żyłeś w Hadze z kobietami lekkich obyczajów. Oświadczyłam, że to złośliwe plotki.

Vincent opowiedział jej o swym stosunku z Krystyną. Słuchała go z melancholią w oczach, która osnuwała je zawsze, nim rozproszyła ją miłość.

– Wiesz, Vincencie, w tobie jest coś z Chrystusa. Jestem pewna, że mój ojciec myślałby podobnie.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia słysząc, że żyłem dwa lata z prostytutką?

– Nie była prostytutką, była twoją żoną. Porażka, którą poniosłeś chcąc ją ratować, nie była twoją winą, podobnie jak nie twoją winą była przegrana w Borinage. Jeden człowiek nie może wiele uczynić przeciw całej naszej cywilizacji.

– To prawda, Krystyna była moją żoną. Kiedy byłem młodszy, powiedziałem raz mojemu bratu Theo: „Jeśli nie będę mógł mieć dobrej żony, wezmę sobie złą. Lepsza zła niż żadna”.

Nastąpiła chwila napiętego milczenia. Do tej pory nie poruszali nigdy tematu małżeństwa.

– Jednej tylko rzeczy żał mi w tej historii z Krystyną – rzekła Margot. – Tych dwóch lat twojej miłości.

W końcu pojął, że nic nie złamie jej wielkiego uczucia.

– Gdy byłem młodszy – powiedział kiedyś – sądziłem, że wszystko zależy od przypadku, od drobnych spraw i nieporozumień. Teraz w wieku dojrzałym widzę, że poza wszystkim tai się głęboki sens. Niestety wielu ludzi jest to, że długo muszą błąkać się i szukać w ciemności, nim ujrzą światło.

– Tak samo było ze mną, nim ciebie znalazłam!

Doszli do niskich drzwi chaty któregoś z tkaczy. Vincent serdecznie uściskał jej rękę. W uśmiechu Margot jaśniało tak tkliwe oddanie, że pytał się w duchu, czemu los przez tak długie lata odmawiał mu miłości. Weszli do krytej strzechą chaty.

Lato przeszło w jesień, dni stały się krótsze. Nad krosnami wisiała lampa, rozpięty był na nich kawał czerwonego sukna. Tkacz i jego żona wygładzali nici. Ich mroczne, pochylone postacie rysowały się wyraziście pod światło, odbijały od jaskrawej tkaniny, olbrzymie cienie pełgały po krosnach. Margot i Vincent zamienili porozumiewawcze spojrzenie; Vincent otworzył jej oczy na piękno utajone w rzeczach i miejscach zwanych brzydkimi.

Gdy nadszedł listopad i liście zaczęły spadać z drzew, cała wieś mówiła o Vincencie i Margot. Dziewczyna była bardzo lubiana, do Vincenta jednak odnoszono się z lękiem i nieufnością. Matka Margot i jej cztery siostry usiłowały ich rozdzielić, lecz Margot podkreślała wciąż, że łączy ich jedynie czysta przyjaźń i nie ma nic złego w ich wspólnych wędrówkach. U Begemanów wiadano, że Vincent jest niespokojnym duchem, który nigdzie nie potrafi zagrzać miejsca, ufano przeto, że wkrótce zniknie, i nie przejmowano się nim zbytnio. Lecz we wsi ciągle poszeptywano, że po tym osobliwym synu van Goghów niepodobna spodziewać się niczego dobrego i że Begemanowie gorzko kiedyś pożałują, jeśli nie zapobiegną na czas jego przyjaźni z córką.

Vincent głowił się daremnie, dlaczego ludzie we wsi tak go nie lubią; nikomu nie przeszkadzał, nikomu nie sprawiał przykrości. Nie przyszło mu wcale na myśl, że musi wydawać się dziwakiem ludziom w tej cichej wsi, od setek lat zachowującym stare zwyczaje i tradycje. Dopiero gdy dowiedział się, że uważają go za próżniaka, przestał łudzić się, że go polubią. Dien van den Beek, właściciel sklepiku, przywołał go pewnego dnia, gdy przechodził ze sztalugami, i rzucił wyzwanie w imieniu całej wsi.

– Już znowu mamy jesień, minęły piękne dni...

– Tak.

– Pewnie zabierze się pan w takim razie wnet do roboty?

Vincent poprawił sztalugi na plecach.

– Aha, właśnie idę na łąki malować.

– Nie to mam na myśli, tylko prawdziwą całoroczną pracę – zauważył Dien.

– Malowanie jest moją pracą – odparł spokojnie Vincent.

– Przez pracę rozumie się zwykle coś, za co dostaje się wynagrodzenie.

– Iść w pole, jak to w tej chwili czynię, jest moją pracą, mijnheer van den Beek. Tak samo, jak pańską jest sprzedawanie towarów.

– No tak. Ja sprzedaję towar, ale czy pan sprzedaje obrazy?

Vincent miał dość tej indagacji. Każdy we wsi z osobna pytał go już o to.

– Niekiedy sprzedaję moje prace. Mój brat ma sklep z obrazami i on je ode mnie kupuje.

– Powinien się pan wziąć do prawdziwej roboty, mijnheer van Gogh! Zestarzeje się pan i nic pan nie będzie miał na starość. Takie próżniactwo nie może się dobrze skończyć.

– Próżniactwo! Pracuję dwa razy tyle co pan.

– To pan nazywa pracą? To wałęsanie się i mazanie na płótnie! To przecież dziecinna zabawa. Niech pan otworzy sklep, niech pan uprawia ziemię, taka praca przystoi dorosłemu człowiekowi. Jest pan za stary, aby w ten sposób tracić czas.

Vincent wiedział, że Dien wygłasza zapatrywania całej wsi i że z punktu widzenia tych prowincjuszy pojęcia takie, jak sztuka i praca, nie dadzą się ze sobą skojarzyć. Przesłał tedy troszczyć się o to, co ludzie sądzą, i nie patrzył nawet w ich stronę spotykając ich na ulicy. Ale gdy nieufność wobec niego osiągnęła punkt szczytowy, zaszło coś, co mu przywróciło ich łaskę.

Anna Kornelia złamała nogę wysiadając w Helmond z pociągu. W największym pośpiechu przewieziono ją do domu. Doktor obawiał się o jej życie, aczkolwiek zataił to przed rodziną. Vincent natychmiast przestał malować. Dzięki doświadczeniu z Borinage miał dostateczne pojęcie o pielęgnowaniu chorych. Doktor przyglądał mu się przez pół godziny, potem oświadczył:

– Pan jest lepszy od pielęgniarki. Zostawiam spokojnie matkę w pańskich rękach.

Ludzie z Nuenen, którzy umieli być nieprzyjemni i okrutni w codziennym, normalnym życiu, potrafili – przeciwnie – zachować się bardzo życzliwie, gdy się komuś zdarzyło nieszczęście. Przychodzili na plebanię, przynosili smakołyki, książki, słowa pociechy i z rosnącym zdziwieniem patrzyli, jak Vincent pielęgnuje matkę. Zmieniał bieliznę pościelową nie ruszając przy tym chorej z miejsca, kąpał ją, karmił i przewijał bandaż. W ciągu dwóch tygodni mieszkańcy Nuenen zmienili gruntownie swój sąd o nim. Mówił ich mową, gdy przychodzili w odwiedziny, rozmawiał z nimi o tym, jak unikać odleżyn, jaką dietę stosować u chorych i jaką temperaturę utrzymywać w pokoju. Z wolna dochodzili do wniosku, że Vincent jest człowiekiem całkiem normalnym. I kiedy matka czuła się nieco lepiej, a Vincent mógł znowu pracować po parę godzin dziennie na dworze, ludzie uśmiechali się już do niego i wołali po imieniu.

Margot nie odstępowała go na krok. Ona jedna nie dziwiła się temu, że Vincent umie być taki delikatny. Gdy pewnego razu siedzieli razem w pokoju chorej i po cichu gwarzyli, Vincent wspomniał mimochodem, że gruntowna znajomość ciała ludzkiego może wytłumaczyć wiele rzeczy, że tę znajomość trzeba jednak z trudem zdobywać.

– Istnieje wspiana książka Johna Marshalla Anatomia dla artystów. Niestety jest bardzo droga.

– Nie masz na nią pieniędzy?

– Nie, będę miał dopiero wtedy, gdy sprzedam jakiś obraz.

– Vincencie, uczyniłbyś mnie naprawdę szczęśliwą, gdybyś przyjął ode mnie pożyczkę. Wiesz przecie, że mam stałe dochody, nie mogę nawet tyle wydać.

– To ładnie z twojej strony, Margot, ale nie mogę.

Nie nalegała więcej, lecz w parę tygodni później wręczyła mu paczkę z Hagi.

– Co to takiego? – zapytał.

– Otwórz, a zobaczysz.

Na sznurku, obwiązującym paczkę z książką Marshalla, wisiała karteczka z napisem: „W dniu najszcześniejszych urodzin!”

– Ależ dziś nie są moje urodziny! – zaprotestował.

– Nie – roześmiała się Margot – to moje urodziny! Dzień czterdziestych urodzin, Vincencie. Podarowałeś mi na nowo życie. Bądź dobry i przyjmij ode mnie ten upominek. Jestem dziś szczęśliwa i chcę, abyś i ty był szczęśliwy!

Byli w jego pracowni, w ogrodzie. W pobliżu nie było nikogo prócz Wilhelminy, która czuwała w domu, przy matce. Zachodzące słońce malowało świetliste plamy na białej

tynkowanej ścianie. Vincent wzruszony przerzucał karty książki. Po raz pierwszy w życiu ktoś inny – nie Theo – czuł potrzebę okazania mu serca. Vincent rzucił książkę na łóżko i wziął Margot w ramiona. Oczy jej przesłoniła mgła namiętności. Podczas wspólnych wędrówek po polach i łąkach zamieniali z sobą tylko drobne pieszczoty; obawiali się, że ktoś ich podpatrzy. Margot poddawała się zawsze jego pieszczotom całym sercem i pełną oddania. Pięć miesięcy minęło, odkąd Vincent rozstał się z Krystyną. Był trochę nerwowy, nie ufał sobie. Trzymał się jednak w garści – z lęku, że mógłby urazić Margot.

Teraz spojrzał w jej serdeczne piwne oczy i pocałował ją. Zamknęła oczy i rozchyliła usta dla przyjęcia jego ust. Łóżko stało tuż obok. Usiedli na nim, spleceni uściskiem, zapominając o niedobrych latach bez miłości.

Słońce zaszło, świetlista plama na ścianie zniknęła, pokój nurzał się w półmroku. Margot przesunęła rękę po twarzy Vincenta, szepcząc słowa miłości. Vincent czuł, że pogrąża się w otchłań, z której jest tylko jedna możliwość powrotu. Siłą oderwał się od Margot, podszedł do sztalug i zmiął w dłoni kartkę papieru, na której rysował. Z ogrodu dochodziło tylko wołanie sroki siedzącej na akacji i dzwonki krów wracających do obory. Po chwili Margot odezwała się cicho i spokojnie:

- Jeśli chcesz, pozwalam ci, kochanie.
- Dlaczego? – spytał, nie patrząc na nią.
- Bo cię kocham.
- Nie postąpiłbym słusznie.
- Powiedziałaś mi już raz, Vincencie: król nie może zrobić nic złego.

Przykląkł przy łóżku. Głowa Margot spoczywała na poduszce. Zauważył znów zmarszczkę w kąciку ust i pocałował ją. Całował odmłodzoną twarz kobiety. W półmroku, leżąc w jego ramionach, miała wygląd młodej, ładnej dziewczyny; tak wyglądała zapewne w wieku lat dwudziestu.

– Kocham cię, Margot – powiedział. – Nie zdawałem sobie dotychczas z tego sprawy. Teraz wiem.

– Cieszę się, że mi to mówisz, kochany – głos Margot był marzycielski i tkliwy. – Wiem, że lubisz mnie trochę. A ja, ja kocham cię całym sercem. I dobrze mi z tym.

Nie kochał jej tak, jak kochał Urszulę i Kay. Nie kochał jej nawet tak, jak Krystynę. Lecz była w nim wielka serdeczność dla tej kobiety, tulącej się do niego z takim oddaniem. Wiedział, że miłość jej jest niezwykle mocna i bogata. Bolała go myśl, że tak mało odczuwa dla jedynej kobiety w świecie, która go kocha bez zastrzeżeń. Przypomniawszy sobie mękę, jaką przechodził, kiedy Urszula i Kay nie odwzajemniały jego miłości. Czuł szacunek dla wielkiej miłości Margot, choć jednocześnie w niewytłumaczalny sposób odpychała go nieco. Klęcząc na podłodze z ręką pod głową kobiety, która go kochała, jak on sam niegdyś kochał, uświadomił sobie po raz pierwszy, dlaczego unikały go obie tamte kobiety.

– Margot – rzekł – moje życie jest biedne; byłbym jednak szczęśliwy, gdybyś je ze mną podzieliła.

– Chcę je dzielić z tobą, najdroższy. Moglibyśmy po prostu zostać tutaj, w Nuenen. A może wolałabyś wyjechać stąd, gdy się pobierzemy?

Czule oparła mu głowę na ramieniu.

– Jak powiedziała Rut? „Gdziekolwiek się obrócisz, pójdę, a gdzie będziesz mieszkać, i ja pospołu mieszkać będę”.

VI

Nie byli zgoła przygotowani na burzę, jaka wybuchła nazajutrz rano, gdy powiadomili rodziny o swej decyzji. Dla van Goghów była to przede wszystkim kwestia pieniężna. Jak Vincent może się zenić, sam żyjąc z pieniędzy Thea?

– Najpierw musisz zacząć zarabiać i uporządkować swoje życie, dopiero potem będziesz mógł się ożenić – powiedział ojciec.

– Jeżeli uporządkuję życie w ten sposób, że dotrę do najistotniejszej prawdy w sztuce, to we właściwym czasie zacznę zarabiać.

– Wówczasżeń się, ale nie teraz!

Wzburzenie na plebanii było jednak niczym w porównaniu z tym, jakie ta wiadomość rozpełtała w sąsiedztwie. W piątkę, siostry, z których żadna nie była zamężna, mogły stawić czoło światu. Małżeństwo Margot podkreśliłoby jednak smutny fakt, że tamte cztery siostry „zostały na koszu”. Pani Begemanowa była zdania, że mniejszym złem jest unieszczęśliwienie jednej córki aniżeli czterech.

Tego dnia Margot nie towarzyszyła Vincentowi w jego codziennej wędrówce. Dopiero późnym popołudniem przyszła do pracowni ze spuchniętymi od płaczu oczyma. Wyglądała starzej niż zwykle. Przez chwilę trzymała go w rozpaczliwym uścisku.

– Przez cały dzień wygadywały na ciebie – rzekła. – Nie wiedziałam wcale, że w ogóle może istnieć taki zły człowiek.

– Mogłaś się tego spodziewać.

– Toteż spodziewałam się. Ale nie przeczuwałam, że potrafią być tak złośliwe.

Wziął ją delikatnie w ramiona i ucałował.

– Zostaw je mnie – odparł. – Dziś wieczór po kolacji przyjdę do was. Może uda mi się przekonać je, że nie jestem tak strasznym człowiekiem.

Lecz zaledwie przestąpił próg domu Begemanów, zdał sobie sprawę, że znalazł się we wrogim obozie. Nad domem sześciu kobiet unosiła się złowieszcza atmosfera. Wyczuwało się, że nigdy nie przełamał jej męski głos, że nigdy męski krok nie rozbrzmiewał w tych ścianach.

Zaprowadzono go do salonu. Było tu zimno i pachniało pleśnią; od miesięcy nikt nie przebywał w tym pokoju. Vincent znał imiona czterech sióstr, lecz nie umiał skojarzyć imion z twarzami. Wszystkie wydawały mu się karykaturami Margot. Najstarsza z córek, która prowadziła gospodarstwo, podjęła się roli inkwizytora.

– Margot powiedziała nam, że pan chce ją poślubić. Czy wolno nam zapytać, co się stało z pańską żoną w Hadze?

Vincent wyjaśnił, że stosunki z tamtą kobietą są zerwane. Atmosfera w salonie oziębła się jeszcze o parę stopni.

– Ile lat pan liczy, mijnheer van Gogh?

– Trzydzieści jeden.

– Czy Margot powiedziała panu, że ma już...

– Wiem, ile lat ma Margot.

– Czy wolno mi zadać pytanie, ile pan miesięcznie zarabia?

– Mam sto pięćdziesiąt franków.

– Skąd czerpie pan te dochody?

- Brat mi przysyła.
- To znaczy, że brat utrzymuje pana?
- Nie. Płaci mi pensję miesięczną. Za to dostaje wszystko, co maluję.
- Ile z tych obrazów sprzedaje?
- Tego nie mogę dokładnie powiedzieć.
- W takim razie ja panu powiem. Pański ojciec opowiadał mi, że brat nie sprzedał dotąd ani jednego pańskiego obrazu.
- Sprzeda je później. Przyniosą mu wtedy o wiele więcej niż obecnie.
- To jest, mówiąc ogólnie, nader problematyczne. Trzymajmy się raczej faktów.

Vincent spojrzał badawczo w twarz najstarszej siostry, twarz wyzutą z wszelkiego piękna. U niej nie mógł spodziewać się wyrozumiałości.

- Czy wolno mi zadać panu jeszcze jedno pytanie? W jaki sposób zamierza pan utrzymywać żonę, skoro pan nawet siebie samego nie potrafi utrzymać?

- Brat przysyła mi sto pięćdziesiąt franków miesięcznie, ufając, że do czegoś dojdę. To jego rzecz, nie pani. Traktuję to jako pensję. Zarabiam na nią ciężko pracując. Margot i ja możemy, o ile się skromnie urządzimy, wyżyć z tego.

- Ależ to niepotrzebne! - zawołała Margot. - Mam dość pieniędzy na swoje utrzymanie!
- Milcz, Margot - nakazała najstarsza z sióstr.

- Nie zapominaj, Margot - wtrąciła matka - że mam prawo w każdej chwili pozbawić cię twoich dochodów, o ile okryjesz hańbą nazwisko rodziny.

Vincent uśmiechnął się:

- Czy małżeństwo ze mną byłoby hańbą?
- Wiemy o panu bardzo mało, mijnheer van Gogh. A to, co wiemy, nie przemawia bynajmniej za panem. Od jak dawna jest pan malarzem?

- Od trzech lat. I wciąż jeszcze nie może się pan wykazać żadnym sukcesem? Jak długo potrwa, nim pan cokolwiek osiągnie?

- Tego sam nie wiem.
- A czym pan był, nim pan zaczął malować?
- Handlarzem obrazami. Potem byłem nauczycielem, księgarzem, studentem teologii i kaznodzieją.

- I we wszystkim pan zawiódł?
- Porzuciłem wszystko.
- Z jakiego powodu?
- Nie nadawałem się do tych zajęć.
- A ile czasu potrzeba panu, aby zrezygnować z malarstwa, mijnheer van Gogh?
- Nigdy z tego nie zrezygnuje! - zawołała Margot.

- Uważam, mijnheer van Gogh - oświadczyła najstarsza z sióstr - że to nie lada zuchwałość z pańskiej strony, iż pan chce poślubić Margot. Nie ma pan stałego miejsca pobytu; nie ma pan ani franka na własność i nie jest pan zdolny do zarabiania. Wałęsa się pan po świecie jak leniuch i włóczęga. Jak możemy w tych warunkach powierzyć panu naszą siostrę?

Vincent sięgnął po fajkę, obracał ją chwilę w rękach i schował z powrotem.

– Margot kocha mnie i ja ją kocham. Mogę ją uczynić szczęśliwą. Moglibyśmy jeszcze rok pozostać w Nuenen, a potem wyjechać za granicę. Spotkałaby się u mnie jedynie z miłością i zrozumieniem.

– On ją opuści! – zawołała jedna z sióstr przenikliwym głosem. – Znudzi się i porzuci dla pierwszej lepszej, jak ta w Hadze!

– Po prostu chce się z nią żenić dla pieniędzy – wtrąciła kąśliwie druga.

Ale ich nie dostanie – oświadczyła trzecia. – Matka zatrzyma jej dochody. Łzy nabiegły Margot do oczu. Vincent podniósł się. Zrozumiał, że nie ma sensu tracić tu dłużej czasu. Poślubi po prostu Margot w Eindhoven, a stamtąd przeniosą się od razu do Paryża. Nie chciał jeszcze opuścić Brabancji; jego dzieło tutaj nie było skończone. Lecz drżał na myśl o cierpieniu Margot w tym okrutnym domu bezpłodnych kobiet.

W dniach, które przyszły, Margot istotnie cierpiała. Spadł pierwszy śnieg i Vincent musiał pracować w atelier. Siostry i matka wszelkimi sposobami przeszkadzały Margot z nim się spotykać. Od rana do wieczora musiała słuchać zarzutów pod jego adresem.

Żyła ze swą rodziną lat czterdzieści, Vincenta znała zaledwie parę miesięcy. Nienawidziła swych sióstr, wiedziała bowiem, że złamały jej życie, lecz nienawiść jest tylko jedną z ukrytych form miłości i niekiedy stwarza jeszcze silniejsze poczucie obowiązku.

– Nie rozumiem, dlaczego nie rzucasz wszystkiego i nie chcesz iść ze mną – powiedział Vincent, gdy udało jej się wreszcie wymknąć i przyjść do niego. – Możemy się przynajmniej pobrać tutaj bez ich zezwolenia.

– Nie mogę. Moje siostry nie zezwolą na to nigdy. Przez całe życie uniemożliwiały mi robienie tego, co chciałam. Nie pozwoliły mi poślubić chłopca, którego kochałam w młodości. Gdy chciałam odwiedzić krewnych w mieście, wynajdowały tysiąc przyczyn, abym nie pojechała, gdy chciałam czytać, nie dopuszczały dobrej książki do domu. Gdy zdarzyło się czasem, że zaprosiłam jakiegoś mężczyznę, nie zostawiały na nim suchej nitki po jego odejściu. Chciałam swego czasu iść własnymi drogami, zacząć nowe życie, zostać pielęgniarką lub studiować muzykę. Ale to było niemożliwe, musiałam myśleć jak one i ich życie musiało być moim życiem.

– A co teraz?

– Teraz nie pozwolą mi wyjść za ciebie.

Z jej głosu i ruchów znikła cała radość życia. Wargi miała wyschnięte, sine koła znów podkręzały oczy.

– Nie bój się, Margot. Pobierzemy się, i basta! Brat proponował mi nieraz, żebym się przeniósł do Paryża. Moglibyśmy tam zamieszkać.

Nie odpowiadała. Siedziała na kancie łóżka zgarbiona, z oczami wbitymi w podłogę. Vincent usiadł obok i wziął ją za rękę.

– Czy boisz się wyjść za mnie bez ich zgody?

– Nie – odparła głosem słabym i bez przekonania. – Zabiję się, Vincencie, kiedy mnie z tobą rozłączą. Nie przeżyłabym tego nigdy... teraz, kiedy cię wreszcie znalazłam. Nie, skończę ze sobą... to wszystko.

– Nie muszą wcale wiedzieć, że się pobierzemy. Zawiadomisz je później.

– Nie potrafię się im oprzeć. Mają przewagę. Nie mogę walczyć z wszystkimi.

– Nie musisz walczyć. Zgódź się tylko na nasz ślub, a sprawa będzie załatwiona.

– Ach nie, to byłby dopiero początek. Nie znasz moich sióstr.

– Nie chcę ich wcale znać. Ale dobrze, spróbuję tego wieczora raz jeszcze je przekonać.

Zaledwie wszedł do salonu Begemanów, pojął natychmiast, że jego przedsięwzięcie jest daremne. Objęła go ta sama lodowata atmosfera.

– To wszystko słyszałyśmy już poprzednim razem, mijnheer van Gogh – oświadczyła najstarsza siostra. – To nie może wyrzucić na nas wrażenia ani tym bardziej przekonać. Nasz sąd o tej sprawie jest niewzruszony. Chciałybyśmy widzieć Margot szczęśliwą, lecz nie ścierpimy nigdy, aby w ten sposób zmarnowała swoje życie. Postanowiłyśmy dać panu dwa lata czasu. Jeśli po upływie dwóch lat zechce pan jeszcze ożenić się z naszą siostrą, nie będziemy robić trudności.

– Dwa lata... – rzekł głucho Vincent.

– Za dwa lata nie będzie mnie tutaj – powiedziała Margot spokojnie.

– A gdzie będziesz?

– W grobie. Zabiję się, jeśli nie pozwolicie na nasze małżeństwo.

Vincent widział, że nic nie wskóra. Uciekł czym prędzej z salonu, a na nieszczęsną Margot spadł grad pełnych oburzenia okrzyków: „Jak śmiesz mówić coś takiego!”, „Taki zatem wpływ wywiera na ciebie ten człowiek!”

Długie lata ucisku nie spłynęły po Margot bez śladu. Nerwy miała nadszarpnięte, zdrowie – podkopane. Gdyby miała lat dwadzieścia, przeprowadziłaby może swą wolę – teraz jednak nie czuła w sobie sił. Wobec ciągłego ataku pięciu kobiet cofała się coraz bardziej. Każdy dzień pogłębiał jej przygnębienie, delikatne zmarszczki pokryły już znowu twarz, oczy nasiąkły melancholią, cera przywiodła, przybrała odcień żółtawy, fałda w kąciu ust pogłębiała się.

Uczucie, jakie Vincent miał w stosunku do Margot, ulotniło się wraz z jej urodą. Nigdy jej naprawdę nie kochał i w głębi duszy nie chciał się z nią związać, zwłaszcza teraz. Wstydział się swojej obojętności, wskutek czego bardziej żarliwie manifestował miłość. Nie wiedział, czy ona domyśla się jego prawdziwych uczuć.

– Czy kochasz je bardziej ode mnie, Margot? – zapytał pewnego dnia, kiedy udało jej się wymknąć na parę chwil spod opieki sióstr i przybiec do pracowni.

Spojrzała na niego zdumiona i z wyrzutem:

– Vincent!

– Czemu w takim razie gotowa jesteś wyrzec się mnie?

Niby znużone dziecko schroniła się w jego ramionach. Głos jej dźwięczał cicho i jakby z daleka:

– Gdybym wierzyła, że kochasz mnie tak, jak ja ciebie, stawiałabym czoła całemu światu. Ale tobie niewiele na tym zależy, a mojej rodzinie tak bardzo.

– Margot, to nieprawda. Kocham cię...

Łagodnie położyła mu palec na ustach:

– Nie, najdroższy, chciałbyś tego... ale nie kochasz. Nie martw się tym. Chcę być tą, która; z nas dwojga kocha mocniej.

– Dlaczego w takim razie nie rzucisz ich i nie pójdziesz własnymi drogami?

– Tobie łatwo tak mówić. Ty jesteś silny, możesz podjąć z wszystkimi walkę. Ale ja mam czterdzieści lat... urodziłam się tutaj, w Nuenen... Nigdy dotąd nie wyjeżdżałam

poza Eindhoven. Widzisz, kochanie, ja nigdy dotąd w moim życiu nie przeciwstawiłam się nikomu i niczemu...

– Rozumiem.

– Gdybyś ty w głębi serca tego pragnął, walczyłabym do ostatka. Ale to tylko ja tego pragnę. A w końcu... jest za późno... moje życie już minęło.

Ostatnie słowa były ledwo dosłyszalnym szeptem. Podniósł jej głowę. Łzy przesłoniły oczy Margot.

– Droga, kochana Margot – rzekł Vincent – moglibyśmy całe życie być razem. Wystarczy jedno twoje słowo. Zapakuj rzeczy, gdy one udadzą się na spoczynek, i podaj mi je przez okno. Pojedziemy do Eindhoven, a stamtąd pierwszym pociągiem do Paryża.

– To nie miałoby celu, najdroższy. Jestem częścią ich i one są częścią mnie. Ale ostatecznie i tak przeprowadzę moją wolę.

– Margot, nie mogę patrzeć na to, że jesteś taka nieszczęśliwa!

– Zwróciła ku niemu twarz i uśmiechnęła się: Nie, Vincencie, jestem szczęśliwa. Znalazłam to, za czym całe życie tęskniłam. Miłość do ciebie była czymś cudownym.

Całując dziewczynę wyczuł na jej wargach słony posmak łez spływających jej po twarzy.

– Śnieg przestał padać – rzekła po chwili. – Czy będziesz jutro pracował na dworze?

– Sądzę, że tak.

– Gdzie, w którym miejscu? Przyjdę do ciebie po południu.

Nazajutrz pracował do późnego popołudnia. Włożył na głowę futrzaną czapkę i ściągnął mocno pod szyję płócienną bluzę. Na tle liliowozłotego nieba odcinały się ciemne zarysy chat pośród rdzawych zarośli. Nad nimi, tu i ówdzie, sterczały wysoko pod niebo czarne topole, a na pierwszym planie rozciągały się płowe rżyska, porżnięte smugami czarnej ziemi i bladym zeschniętym sitowiem nad rowami.

Margot zbliżyła się szybkim krokiem. Miała na sobie białą sukienkę, tę samą, w której ją spotkał po raz pierwszy, i lekki szal na ramionach. Policzki jej nabrały żywszej barwy. Była znów tą samą kobietą, która parę tygodni temu rozkwitła pod ożywczym tchnieniem miłości. Niosła mały koszyczek do szycia.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Czuł, że serce jej łomocze gwałtownie. Przechylił jej głowę do tyłu i spojrzał w piwne oczy; ich smętny wyraz znikł.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał. – Czy coś zaszło?

– Nie, nie! – krzyknęła. – Jestem tylko szczęśliwa, że jestem przy tobie.

– Ale dlaczego przyszedłaś w tak lekkiej sukni?

Milczała chwilę, potem rzekła:

– Vincencie, dokądkolwiek pójdziesz... chciałabym, abys myśląc o mnie, pamiętał o jednej rzeczy...

– O czym, Margot?

– Że cię kochałam. Myśl o tym, że kochałam cię bardziej niż jakakolwiek kobieta w twoim życiu.

– Dlaczego drżysz cała?

– To nic. Zatrzymano mnie. Dlatego przychodzę tak późno. Czy zaraz skończysz?

– Za kilka minut.

– Pozwól mi usiąść z tyłu za tobą i patrzeć jak dawniej. Wiesz przecie, kochany, że nigdy nie chciałam ci zawadzać ani przeszkadzać w twojej pracy. Miałam tylko jedno życzenie, aby wolno mi było cię kochać.

– Wiem, Margot – powiedział.

– Pocałuj mnie raz jeszcze, nim zaczniesz, Vincencie... Tak, jak całowałeś mnie wtedy... w twojej pracowni... kiedy leżałam w twoich ramionach... I kiedy byliśmy tacy szczęśliwi.

Pocałował ją czule. Usiadła z tyłu za nim i obciągnęła sukienkę. Słońce zaszło, krótki zmierzch zimowy rozpostarł się nad płaskim krajem. Objęła ich wieczorna cisza wsi.

Nagle Vincent posłyszał brzęk szkła. Z hamowanym krzykiem uniosła się Margot na kolana i w dzikich drgawkach runęła w tył. Vincent zerwał się i rzucił obok niej na ziemię. Oczy jej były zamknięte, dziwny uśmiech błąkał się po twarzy. Stężałe ciało wiło się w gwałtownych konwulsjach, które podrywały je do tyłu. Vincent schylił się i podniósł flaszeczkę rzuconą w śnieg. W szyjce pozostało trochę białego, krystalicznego, bezwonnego osadu.

– Podniósł Margot i z brzemieniem w ramionach pędził jak oszalały przez pola. Nuenen było oddalone o kilometr. Ogarnęła go trwoga, że dziewczyna umrze, nim on dotrze do wsi. O tej przedwieczornej godzinie mieszkańcy siedzieli przed domami. Musiał biec przez całą wieś. Dotarł wreszcie do domu Begemanów, kopnięciem otworzył drzwi i złożył Margot na kanapie w salonie. Matka i siostry zbiegły się zaraz. Margot otruła się! – zawołał. – Biegnę po doktora! Pognał co tchu po wiejskiego lekarza, który właśnie zasiadał do wieczerzy.

– Czy pan jest pewny, że to strychnina? – zapytał doktor.

– Tak wyglądało.

– I żyła jeszcze, kiedy przyniósł ją pan do domu?

– Tak.

Gdy weszli do salonu, Margot wiła się w bólach na kanapie. Doktor pochylił się nad nią.

– To istotnie strychnina – oświadczył – ale zażyła jednocześnie coś innego, aby nie czuć bólów. Pachnie jak laudanum. Nie wiedziała, że to odtrutka.

– W takim razie utrzymamy ją przy życiu, panie doktorze? – zapytała matka. – Mam nadzieję. Trzeba natychmiast przewieźć ją do Utrechtu. Musi być pod ścisłą obserwacją.

– Czy pan może polecić jakiś szpital w Utrechcie?

– Nie sądzę, aby szpital był w tym wypadku wskazany. Zawieziemy ją raczej do sanatorium dla nerwowo chorych. Znam je bardzo dobrze. Proszę kazać zaprząć. Musimy złapać ostatni pociąg do Eindhoven.

Vincent stał milczący w ciemnym kącie. Wóz zajechał. Doktor otulił Margot w koc i wyniósł ją z pokoju. Za nim postępowwała matka i cztery siostry. Vincent szedł ostatni. W drzwiach plebanii stała jego rodzina. Cała wieś zebrała się przed domem Begemanów. Kiedy lekarz z Margot w ramionach wyszedł z domu, zapadła martwa cisza. Ułożył Margot na wozie. Potem wsiadła matka i siostry. Vincent stał opodal. Doktor ujął cugle. Matka Margot odwróciła głowę, spostrzegła Vincenta i krzyknęła:

– Pan to zrobił! Pan zabił moją córkę!

Zebrany tłum patrzył na niego. Doktor trzasnął biczem. Wóz szybko się oddalił.

VII

Przed wypadkiem i chorobą matki chłopci patrzyli na Vincenta nieprzychylnie, gdyż nie mieli do niego zaufania; w głowie im się nie mieściło, jak człowiek dorosły może wieść tak próżniacze życie. Ale w ich zachowaniu nie było żadnej wrogości. Obecnie odnosili się do niego wręcz nienawistnie. Gdy się zbliżał, odwracano się plecami, nie mówiono z nim, nie widziano go po prostu. Był napiętnowany.

Sam nie brał sobie tego do serca – tkacze i chłopci w nędznych lepiankach przyjmowali go nadal życzliwie. Lecz gdy ustały odwiedziny na plebanii i rodzice z jego winy poczuli się odosobnieni, pojął, że czas mu ruszyć w drogę.

Zdawał sobie sprawę, że najlepiej byłoby zniknąć całkiem z Brabancji, aby rodzice mieli wreszcie spokój. Ale dokąd miał pójść? Tu była jego ojczyzna. Najchętniej osiadłby tu na stałe. Pragnął malować prostych ludzi, chłopów i tkaczy – uważał, że oto znalazł cel i usprawiedliwienie dla swej pracy. Wiedział, że dobrze jest tkwić zimą głęboko w śniegu, jesienią w żółtych liściach, latem w dojrzałym zbożu, wiosną w młodej trawie, że dobrze jest przebywać stale z kosiarzami z dziewczętami wiejskimi, latem pod gołym niebem, zimą przy kominku. I wiedzieć, że zawsze tak było i będzie. Millet w obrazie Anioł Pański zbliżył się najbardziej do boskości, jak ją Vincent pojmował. W twardym bycie chłopskim widział Vincent jedyną prawdę i trwałą rzeczywistość. Chciał zawsze tworzyć i malować na upatrzonym przez siebie skrawku ziemi. Musiał więc odganiać roje much, borykać się z kurzem i piaskiem, jego obrazy były narażone na zniszczenie, gdy je niósł przez łąki i żywopłoty. Lecz, kiedy wracał, czuł, że stał twarzą w twarz z rzeczywistością i zdołał pochwycić coś z jej żywiołowej prostoty. Jego obrazy pachniały dymem, słoniną i parą gotujących się kartofli, lecz to im nie szkodziło. Stajnia cuchnie gnojem i to jest w porządku. W porządku też jest, że pola pachną dojrzałym zbożem lub nawozem. To zdrowe, zwłaszcza dla mieszczuchów.

Rozwiązał swój problem w sposób bardzo prosty. Nieco dalej w dół, przy gościńcu, stał kościół katolicki, a obok dom zakrystiana. Johannus Schafrath był krawcem – wykonywał swój zawód, o ile urząd zakrystiana mu na to pozwalał. Jego żona Adriana była zacną duszą. Odnajęła Vincentowi dwa pokoje, uradowana, że może coś uczynić dla człowieka, przeciw któremu pomstowała cała wieś. Szeroka sień dzieliła dom Schafratha na dwie części. Na prawo od wejścia leżały pokoje zamieszkałe przez jego rodzinę, na lewo znajdował się przestronny pokój, wychodzący na drogę, z tyłu przylegała do niego mała izdebka. Vincent przeznaczył wielki pokój na pracownię, a w małym przechowywał przybory malarskie. Sypiał na strychu. W jednej jego połowie gospodarze suszyli bieliznę, w drugiej stało wysokie łóżko z czterema poduszkami i krzesło. Wieczorem Vincent rozbierał się, rzucał ubranie na krzesło, wskakiwał do łóżka i wypalał przed zaśnięciem fajkę, patrząc, jak luna zachodu rozplywa się w mroku.

W pracowni porozwieszał swoje akwarele i rysunki kredą: głowy mężczyzn i kobiet z tych stron, których zadarte murzyńskie nosy, wielkie uszy i wystające żuchwy silnie uwydatniał, studia tkaczy schylonych nad krosnami, kobiety, w których ręku wirowało czółenko tkackie, chłopów przy sadzeniu kartofli. Zaprzyjaźnił się ze swym bratem – Korem. Zbudowali wspólnymi siłami szafę i zbierali przeróżne gniazda ptasie, mech, roślinki z wrzosowisk, czółenka tkackie, kołowrotki, narzędzia, stare czepki, drewniane

saboty, statki używane przez wieśniaków – słowem wszystko, co miało jakikolwiek związek z życiem chłopskim. W jednym z kątów pokoju zasadzili nawet drzewko. Potem zabrał się do roboty. Doszedł do wniosku, że bitumy³⁴, zarzucone w czasach ostatnich przez większość malarzy, użyczają jego barwom nasyconej głębi. Odkrył, że wystarczy położyć odrobinę żółtej farby, aby obok fioletowej lub liliowej sprawiała wrażenie jaskrawożółtej.

Poznał również, że izolacja jest pewnego rodzaju więzieniem.

W marcu jego ojciec, wracając z dalekiej wizyty u chorego dziecka, upadł nagle przed drzwiami plebanii. Gdy go Anna Kornelia znalazła, już nie żył. Pochowano go w ogrodzie obok starego kościółka. Theo przyjechał do domu na pogrzeb. Całą noc przesiedział z Vincentem w atelier, rozmawiając o sprawach rodzinnych, a potem o swojej pracy.

– Ofiarowano mi tysiąc franków miesięcznie, jeżeli odejdę od Goupilów i wstąpię do nowej, tworzącej się firmy – rzekł Theo.

– Przyjmiesz tę propozycję?

– Nie sądzę. Mam wrażenie, że całe przedsięwzięcie chcą oprzeć na czysto handlowych zasadach.

– Pisałeś mi jednak nieraz, że „Messieurs”...

– No tak, oczywiście, oni też nastawieni są przede wszystkim na zysk. Ale w tej firmie pracuję już bądź co bądź lat dwanaście. Czy opłaca się dla paru franków zaczynać od nowa? Może pewnego dnia powierzą mi samodzielne kierownictwo jednej z filii? Wówczas wystawiałbym przede wszystkim impresjonistów.

– Impresjoniści? Już gdzieś o nich czytałem! Co to za jedni?

– To młodzi malarze paryscy. Edward Manet, Degas, Renoir, Claude Monet, Sisley, Courbet, Gauguin, Cezanne, Seurat, Lautrec.

– Skąd ta nazwa?

– Od wystawy u Nadara w 1874. Monet wystawił tam obraz zatytułowany: Wschodzące słońce. Impresja. Jeden z krytyków, Louis Leroy, nazwał całą wystawę „wystawą impresjonistów”. Nazwa ta pozostała.

– Czy oni pracują farbami ciemnymi czy jasnymi.

– Ależ jasnymi! Ciemne uważają za okropne!

– W takim razie nie mógłbym z nimi pracować. Moje barwy są wbrew mojej woli coraz ciemniejsze.

– Może zmienisz zdanie, gdy przyjedziesz do Paryża.

– Może... Czy ci malarze sprzedają swoje obrazy?

– Durand-Ruel sprzedaje od czasu do czasu Maneta. To mniej więcej wszystko.

– Z czego więc się utrzymują?

– To wie chyba jeden Pan Bóg. Przeważnie żyją z dnia na dzień. Rousseau uczy dzieci gry na skrzypcach, Gauguin pożyczka u dawnych przyjaciół z giełdy, Seurata utrzymuje matka, Cezanne'a – ojciec. Nigdy nie mogłem dociec, skąd reszta bierze pieniądze.

– Znasz ich wszystkich, Theo?

– Tak, z wolna poznaję wszystkich. Próbowałem nakłonić „Messieurs”, aby wyznaczili im niewielki kąt w swojej galerii. Ale oni nie tknęliby nawet widłami obrazu impresjonisty.

³⁴Bitumy – tu: asfaltowe barwniki, używane jako brązowa farba głównie w wieku XIX.

– Rad bym poznać tych chłopców. Słuchaj, Theo, nie robisz nic, ale to nic, abym mógł poznać innych malarzy.

Theo podszedł do okna i wpatrzył się w mały, trawiasty placyk, leżący między domem a drogą do Eindhoven.

– Przyjedź do Paryża i zamieszkaj u mnie – odparł.

– Ostatecznie twoja droga i tak cię tam zaprowadzi.

– Jeszcze za wcześnie. Muszę tutaj dokończyć pewnych prac.

– Pięknie, ale żyjąc na prowincji nie spodziewaj się, że spotkasz ludzi twojego pokroju. To prawda. Ale, Theo, jednej rzeczy nie mogę po prostu zrozumieć. Do tej pory nie sprzedałeś ani jednego mojego obrazu, ani jednego rysunku, nie próbowałeś nawet. Czy tak?

– Tak.

– Dlaczego?

– Przedłożyłem twoje prace znawcom. Orzekli...

– Znawcom! – Vincent wzruszył ramionami. – Znam na pamięć banały wypowiedane przez panów znawców. Theo, powinieneś chyba rozumieć, że ich opinia mówi bardzo mało o istocie jakiegoś dzieła.

– Tego bym nie powiedział. Twoja praca postąpiła tak daleko, że można by już niemal sprzedawać twoje obrazy, ale...

– Theo, Theo, to samo pisałeś o pierwszych szkicach posłanych z Etten...

– A jednak to prawda, Vincencie. Zawsze odnosi się wrażenie, że właśnie stworzysz coś doskonałego i dojrzałego. Za każdym razem, gdy biorę do ręki twój nowy szkic, z napięciem czekam, czy to będzie właśnie ta rzecz doskonała. Ale do tej pory...

– Nie mam już zdrowia na rozważanie, czy nadają się na sprzedaż, czy też nie – przerwał mu Vincent wytrząsając do pieca popiół z fajki.

– Mówisz, że pracujesz tutaj. Skończ tę pracę i przyjeżdżaj co rychlej do Paryża. A tymczasem, jeśli chcesz coś sprzedać, posyłaj mi lepiej obrazy, a nie studia. Nikt dziś nie interesuje się studiami.

– Granica między studium a obrazem wydaje mi się trudna do wyznaczenia. Najlepiej, abyśmy malowali tyle i tak, jak możemy, Theo, i bądźmy sobą, z wszystkimi błędami i zaletami. Mówię „my”, gdyż moje dzieło jest zarazem twoim, ty bowiem, z wielkim nieraz zapewne trudem, starasz się o pieniądze, abym mógł malować. Połowa tego, co tworzę, należy zatem do ciebie.

– Jeśli o to idzie... – Theo kręcił się po pokoju. Potem przystanął i zaczął bawić się starą czapką wiszącą na drzewku.

VIII

Przed śmiercią ojca Vincent od czasu do czasu zachodził na plebanię, aby zjeść wspólnie z rodziną wieszczę i pobyć z nią godzinę. Po pogrzebie siostra Elżbieta dała mu wyraźnie do poznania, że jest on *persona non grata*³⁵. Rodzina chciała zachować pewną pozycję w małej społeczności. Matka osądziła, że Vincent powinien teraz sam odpowiadać za swoje życie, jej zaś obowiązkiem jest wspomaganie córek.

³⁵Osoba niemile widziana.

Był teraz w Nuenen zupełnie sam. Studiowanie ludzi zastąpił studiowaniem przyrody. Zrazu walczył zaciekle i rozpaczliwie o to, aby pedantycznie kopiować naturę – i nic mu się nie udawało. W końcu zaczął tworzyć spokojnie, tak jak tego żądała jego istota i wycucie barwy, i natura poddała mu się. A gdy czuł się nieszczęśliwy w swej samotności, przypominał sobie scenę w pracowni Weissenbrucha i pochwałę cierpienia wygłoszoną przez uszczypliwego malarza. W swym wiernym Millecie znalazł bardziej przekonująco wyrażoną filozofię Weissenbrucha: „Nie pragnę usunąć cierpienia, ono bowiem zmusza niekiedy artystę do wypowiedzenia się z największą mocą”.

Zaprzyjaźnił się z pewną rodziną chłopską, nazwiskiem de Groot, składającą się z matki, ojca, syna i dwóch córek; wszyscy pracowali w polu. Ich twarze, podobnie jak twarze wszystkich niemal chłopów brabantkich, miały w sobie cechy murzyńskie: szerokie, guzowate nosy o wielkich nozdrzach, grube, mięsiste wargi i długie, spiczaste uszy. Czoła mieli ścięte do tyłu, głowy małe i kanciaste. De Grootowie mieszkali w jednoizbowej chacie z otworami w ścianach zamiast łóżek. W środku stał stół i dwa krzesła, dokoła skrzynie, z belkowanego sufitu zwisała lampa.

Odżywiali się przeważnie kartoflami. Na wieczerzę pili czarną kawę, a raz na tydzień zjawiał się na ich stole płat słoniny. Sadzili kartofle, kopali kartofle i jedli kartofle – to było ich życie. Stien de Groot była rozkosznym siedemnastoletnim dzieckiem. Do pracy wkładała biały czepek holenderski i czarny kaftanik z białym kołnierzem. Vincent odwiedzał ją co wieczór. On i Stien śmiali się nieraz do rozpuku.

– Popatrz – wołała – jestem wytworną damą. Będę pozować do portretu. Czy mam włożyć mój nowy czepek, mijnheer?

– Nie, Stien, jesteś piękna tak, jak jesteś.

– Ja piękna?

Trzęsa się ze śmiechu. Miała duże wesołe oczy i uroczy wyraz twarzy. Gdy się schylała, by kopać kartofle, widział, że w liniach jej ciała jest nawet więcej gracji i powabu niż u Kay. Wiedział już, że najistotniejsze w rysunku ludzkich postaci jest odtwarzanie ich w ruchu i że dawni mistrzowie zaniedbywali to, nie malując nigdy ludzi przy pracy. Szkicował de Grootów, gdy pracowali w polu, gdy nakrywali stół w chacie, gdy jedli kartofle. Stien zaś była przy tym zawsze obecna, spoglądała mu przez ramię na papier, śmiała się i broiła. Niekiedy w niedzielę wkładała czysty czepeczek, stroiła się w świeży kołnier i wędrowała z nim po łąkach. Była to jedyna przyjemność, na jaką chłopów było stać.

– Czy Margot Begeman cię kochała? – spytała Stien pewnego razu.

– Tak.

– Dlaczego w takim razie chciała odebrać sobie życie?

– Bo jej rodzina nie godziła się na nasze małżeństwo.

Jak głupio. Wiesz, co ja bym zrobiła? Kochałabym cię po prostu! Uśmiechnęła się do niego i uskokzyła w las. Przez cały dzień bawili się i biegali wśród sosen. Inne pary oglądały się za nimi. Stien była urodzoną śmieszką; najmniejszy gest, najbłahsza uwaga Vincenta – a wybuchała głośnym śmiechem. Mocowała się z Vincentem starając się go powalić na ziemię. A gdy nie podobały się jej jego rysunki, oblewała je kawą lub wrzucała do ognia. Nieraz przychodziła do pracowni, aby mu pozować; po jej odejściu cały pokój był wywrócony do góry nogami.

Tak minęło lato, potem jesień; z wolna nadciągała zima. Śnieg zmusił Vincenta do pracy w atelier. Ludzie z Nuenen niechętnie pozwali i czynili to jedynie ze względu na uboczny zarobek. W Hadze naszkicował Vincent dziewięćdziesiąt szwaczek, zanim wykonał grupę złożoną z trzech. Teraz pragnął namalować rodzinę de Grootów przy ich zwyczajnej wieczerzy, lecz aby to wykonać, uważał, że musi naszkicować wprzód wszystkich chłopów w okolicy.

Katolicki ksiądz nie pogodził się w duchu nigdy z tym, że człowiekowi uważanemu za poganina i artystę jego zakrystian wynajął pokój. Ponieważ jednak Vincent zachowywał się spokojnie i uprzejmie, nie miał prawa go wyrzucać. Pewnego dnia Adriana Schafrath wbiegła zdyszana do pokoju malarza:

– Przyszedł ksiądz Pauwels, chce z panem pomówić.

Pater Andreas Pauwels był roslym człowiekiem o czerwonej twarzy. Rozejrzał się śpiesznie po pracowni i doszedł do wniosku, że nigdy w życiu nie widział dotąd tak zwariowanego nieładu.

– Czym mogę księdzu służyć? – zapytał grzecznie Vincent.

– Mnie nie może pan niczym służyć! Ale za to ja mogę się panu przysłużyć. Postaram się, aby ta sprawa wzięła dobry obrót, jeżeli oczywiście uczyni pan to, co powiem.

– Jaka sprawa, ojcze? Ona jest katoliczką, a pan – protestantem, lecz mogę wystarać się wam u biskupa o dyspensę. Niech pan poczyni przygotowania, aby móc za parę dni się ożenić.

Vincent przystąpił do księdza, aby mu się przyjrzeć w pełnym świetle.

– Tego, niestety, nie rozumiem! – powiedział.

– Rozumie pan doskonale! Pańskie udawanie nie ma celu. Stien de Groot jest w ciąży. Honor rodziny musi być uratowany.

– E, diabła tam...

– Słusznie powołuje się pan na diabła. To diabelska sprawka.

– Czy ksiądz jest zupełnie pewny? Czy się ksiądz nie myli?

– Nie chodzę po ludziach i nie obwiniam nikogo, jeżeli nie mam pewnych dowodów w ręku.

– A czy Stien to księdzu powiedziała? Czy powiedziała, że to ja jestem ojcem dziecka?

– Nie, nie chciała podać nazwiska.

– Jakim więc cudem mnie przypisuje ksiądz ten zaszczyt?

– Widywano was bardzo często razem. Poza tym Stien przychodzi często do pana do pracowni.

– To prawda.

– Czy nie spacerował pan z nią w niedzielę?

– Owszem, spacerowałem.

– Czy potrzeba dalszych dowodów?

Vincent chwilę milczał. Potem rzekł spokojnie:

– Ubolewam bardzo nad tym, co mi ksiądz tu powiedział, zwłaszcza jeśli z tej przyczyny ucierpi moja młoda przyjaciółka Stien. Ale mogę księdza zapewnić, że mój stosunek do niej był zupełnie czysty.

– I żąda pan ode mnie, abym temu wierzył?

– Nie, tego nie żądam – odparł Vincent.

Tego wieczora oczekiwał Stien na schodach jej chaty. Reszta rodziny weszła do izby na wieczerzę. Stien przysiadła obok niego.

– Wkrótce będę miała jeszcze kogoś, kogo będziesz mógł rysować...

– Więc to prawda, Stien?

– Tak, chcesz może poczuć?

Wzięła jego rękę i położyła na swoim brzuchu. Vincent wyczuł dość dużą wypukłość.

– Ksiądz Pauwels zawiadomił mnie dzisiaj, że to ja jestem ojcem.

Stien roześmiała się.

– Pragnęłabym, aby tak było. Ale nigdy nie miałeś na to ochoty, prawda?

Spojrzał na jej ciemną twarz, ogorzałą od pracy w polu, na grube rysy i zbyt pełne, uśmiechnięte w tej chwili usta.

– Ja też chciałbym, aby było moje, Stien.

– Ksiądz Pauwels powiedział zatem, że to ty! Ależ to heca!

– Co w tym jest tak śmiesznego?

– Nie zdradzisz tego, co ci powiem?

– Daję słowo.

– To był kerkmeester z jego kościoła.

Vincent gwizdnął przez zęby.

– Czy twoi rodzice wiedzą o tym?

– Nie – i nigdy się nie dowiedzą. Ale wiedzą, że to nie ty.

Vincent wszedł z nią do domu. Było nie inaczej, jak zawsze. De Grootowie przyjęli brzemiennosc Stien jak rzecz naturalną, jak przyjęliby cielność krowy. Odnosili się do niego tak samo jak zawsze, wiedział, iż wierzą w jego niewinność.

Ale wieś nie wierzyła. Adriana Schafrath podsłuchiwała rozmowę z księdzem i w te pędy podzieliła się interesującą nowiną z sąsiadkami. Nie minęła godzina, a dwa tysiące sześćset osób wiedziało, że Stien de Groot będzie miała dziecko Vincenta i że ksiądz Pauwels zmusi ich do wzięcia z sobą ślubu.

Nadszedł listopad, a z nim zima. Czas wielki pomyśleć o odejściu. Nie miało sensu dłuższe pozostawanie w Nuenen. Wszystko, co było tutaj do malowania, namalował Vincent setki razy i poznał do głębi życie chłopskie. Czuł, że nie potrafi znieść dłużej budzącej się przeciw niemu na nowo nienawiści wsi. Jasne, że czas stąd odejść. Ale dokąd ma pójść?

– Mijnheer van Gogh – oznajmiła ze smutkiem Adriana – ksiądz Pauwels powiedział, że pan musi natychmiast stąd się wyprowadzić i poszukać sobie gdzie indziej pokoju.

– Dobrze.

Kręcił się po pracowni i przypatrywał się swemu dziełu. Dwa lata najtwardszej, najbardziej zawziętej pracy! Setki studiów tkaczy i ich żon, krosien i chłopów w polu; drzew koło plebanii i wieży kościelnej; płotów i wrzosowisk w żarze słońca i chłodzie zimowego zmierzchu.

Serce go bolało. Całe jego dzieło miało w sobie coś fragmentarycznego. Z każdej fazy chłopskiego życia dał pojedyncze strzępy – żaden jednak obraz nie ogarniał wszystkiego. Gdzie był jego Anioł Pański chłopca z Brabancji? Jak mógł stąd odejść, zanim go stworzy?

Rzucił okiem na kalendarz. Do pierwszego brakowało dwunastu dni. Zawołał Adrianę.

– Proszę powiedzieć ojcu Pauwelsowi, że zapłaciłem czynsz do pierwszego i wcześniej się nie wyprowadzę.

Zabrał przybory malarskie i przeniósł do chaty de Grootów. W domu nie było nikogo. Ołówkiem zrobił szkic izby. Gdy nadeszli de Grootowie, podarł rysunek w strzępy. Zasiedli do wieczerzy. Kartofle, kawa, nieco słoniny, jak zawsze. Vincent malował, póki rodzina nie udała się na spoczynek. Przez całą noc pracował dalej u siebie. Nad ranem dopiero zasnął. Gdy się obudził, spalił z dzikim wstrętem obraz. Znow poszedł do de Grootów.

Od starych mistrzów holenderskich nauczył się, że rysunek i barwa muszą tworzyć jedność. De Grootowie zasiedli znow do stołu w tych samych pozach, w jakich siadywali tu dzień w dzień, przez całe życie. Vincent chciał w obrazie wyrazić, jak ci ludzie, siedzący pod lampą i jedzący kartofle, sadzili i zbierali te kartofle, jak ich ręce, sięgające do miski, uprawiały ziemię. Miał to być obraz znoju ludzi związanych z ziemią, ludzi uczciwie zarabiających na jałdo.

Stare przyzwyczajenie, aby rzucać się z żarliwym opętaniem na robotę, okazało się teraz wielce użyteczne. Pracował z szaloną szybkością i energią. Nie musiał myśleć o tym, co czyni. Narysował już przecie setki chłopów i chłopskich izb, setki rodzin jedzących kartofle.

– Ksiądz Pauwels był tu dzisiaj – odezwała się matka.

– Czego chciał? – zapytał Vincent.

– Ofiarował nam pieniądze, jeśli nie będziemy panu pozować.

– A co mu powiedzieliście?

– Że pan jest naszym przyjacielem – odparła matka.

– Odwiedził wszystkie chaty we wsi – dodała Stien – ale powiedziano mu, że wolą zarabiać pozowaniem, niż brać od niego jałmużnę.

Nazajutrz rano znow zniszczył obraz. Ogarnęło go uczucie wściekłości pomieszanej z niemocą. Miał do rozporządzenia jeszcze tylko dziesięć dni. Musiał opuścić Nuenen. To było okropne – nie mógł pozostać tu dłużej! Ale nie śmiał odejść, póki nie wypełni obietnicy danej w cichości Milletowi.

Co wieczór chodził do chaty de Grootów. Pracował tam tak długo, aż oczy zamykały im się ze zmęczenia. Co wieczór próbował nowego zestawienia farb, nowych tonów i proporcji. I co dzień musiał przyznać, że mu się nie udało, że jego dzieło jest niedoskonałe.

Nadszedł ostatni dzień miesiąca. Vincenta ogarnął istny szal. Nie używał sobie snu – nie jadł niemal nic. Im mniej mu się udawało, tym gwałtowniej rosła gorączka. Żył tylko napięciem nerwów. Przyszedł do chaty przed de Grootami i czekał na ich powrót z pola. Ustawił sztalugi, rozmieszał farby, napiął płótno na ramę... To była jego ostatnia szansa. Nazajutrz musiał na zawsze opuścić Brabancję.

Pracował długie godziny. De Grootowie pojowali, o co idzie. Skończywszy wieczerzać, pozostali przy stole i rozmawiali cicho z sobą. Vincent nie wiedział, co maluje. Rzucał farby na płótno, ani przez chwilę nie świadom tego, co czyni. O godzinie dziesiątej de Grootowie byli tak znużeni, że nie mogli usiedzieć prosto. Vincent był zupełnie wyczerpany. Uczynił wszystko, co było w jego mocy. Spakował rzeczy, ucałował Stien i pożegnał się z całą rodziną. Potem ciężkim krokiem ruszył wśród nocy do domu; nie wiedział nawet, że idzie.

W pracowni postawił obraz na krześle, zapalił fajkę i przyjrzał się uważnie swemu dziełu. Wszystko było błędne. Nie uchwycił istoty rzeczy. Znowu zawiódł. Dwa lata pobytu w Brabancji były czasem straconym.

Wypalił fajkę. Spakował manatki, zebrał wszystkie studia ze ścian i biurka i ułożył je w wielkiej skrzyni. Potem rzucił się na kanapę.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Nagle zerwał się, zdarł płótno z ram i cisnął je w kąt. Napiął nowe, rozmieszał farby, zasiadł przed sztalugami i począł malować.

„Artysta stacza beznadziejną walkę, aby wiernie oddać naturę – i wszystko wychodzi na opak. W końcu tworzy własną paletą, natura zgadza się i poddaje artyście”.

*On croit, que fimagine – ce riest pas vrai – je me souviens*³⁶.

Było istotnie tak, jak powiedział Pietersen w Brukseli. Vincent stał za blisko modela. Nie mógł osiągnąć wskutek tego właściwej perspektywy. Sam siebie chciał przelać w kształt natury – teraz zaś formował naturę według swego aryzmu.

Wymalował wszystko w zasadniczym tonie – jędrnego, świeżo wykopanego kartofla. I wszystko się poddało, wrosło w całość: brudny obrus na stole, brunatna zakopcona ściana, lampa wisząca na nieheblowanej krokwi, Stien, która podaje ojcu dymiące kartofle, matka nalewająca czarną kawę, brat z filiżanką podniesioną do ust – na wszystkich twarzach widniała cierpliwa i korna uległość, poddanie się wiecznemu, nieodmiennemu porządkowi rzeczy.

Słońce weszło, pierwszy promyk rozbłysnął w pokoju. Vincent podniósł się. Nawiedził go głęboki spokój; podniecenie ostatnich dwunastu dni ustąpiło. Spojrzał na swoje dzieło i uśmiechnął się. Obraz pachniał dymem, słoniną i parującymi kartoflami. Stworzył swój Anioł Pański. Utrwalił nieprzemijalne w przemijającym, unieśmiertelnił chłopca brabanckiego.

Przemył obraz białkiem. Skrzynię z rysunkami i studiami przewiózł na plebanię. Pożegnał się z matką. Wrócił do pracowni, podpisał pod nowym obrazem Jedzący kartofle, dołożył kilka najlepszych szkiców i wybrał się w drogę do Paryża.

³⁶Sądzą, że zmyślam – nieprawda – przypominam sobie.

Księga piąta

PARYŻ

I

Nie otrzymałeś zatem mego ostatniego listu? – pytał Theo nazajutrz rano przy śniadaniu.

– Zdaje się, że nie – odparł Vincent. – A co pisałeś?

– Donosiłem ci o moim awansie u Goupilów.

– Ależ Theo, dlaczego nie wspomniałeś o tym wczoraj ani słówkiem?

– Byłeś zanadto podniecony, by słuchać. Jestem obecnie kierownikiem galerii na bulwarze Montmartre.

– Theo, to cudownie! Własna galeria obrazów!

– Lekka przesada, Vincencie. Muszę się kierować polityką Goupilów. W każdym razie wolno mi wystawiać w antresoli impresjonistów.

– Kogo wystawiłeś?

– Moneta, Degasa, Pissarra i Maneta.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Najlepiej chodź teraz ze mną, obejrzysz ich prace.

– Co znaczy ten uśmieszek, Theo?

– Nic, czy chcesz jeszcze kawy? Za pięć minut musimy wyjść. Codziennie idę pieszo do pracy.

– Dziękuję. Nie, nie, tylko pół filiżanki. Ach, jak to dobrze być znowu z tobą, jeść śniadanie razem, przy jednym stole!

Już od dawna myślałem, że powinieneś przyjechać do Paryża. To musiało się stać. Byłoby wprawdzie lepiej, gdybyś mógł poczekać do lipca, bo wtedy przeprowadzam się na rue Lepie; będziemy tam mieli trzy duże pokoje. Tu, jak widzisz, nie bardzo będziesz mógł pracować.

Vincent rozejrzał się. Mieszkanie Thea składało się z jednego pokoju, maleńkiej kuchenki i alkowy. Pokój umeblowany prawdziwymi meblami Louis Philippe był tak zapchany, że z trudem można się było obrócić.

– Gdybym postawił sztalugi – odrzekł Vincent – musielibyśmy w istocie część twoich mebli wynieść na podwórze.

– Tak, ciasno tu jest; ale kupiłem te meble okazji, a takie właśnie chciałem mieć w nowym mieszkaniu. A teraz zbierz się, Vincencie, zaprowadzę cię moją ulubioną drogą na bulwar. Nie zna Paryża ten, kto nie pozna jego porannych zapachów.

Theo włożył gruby czarny płaszcz w taki sposób, że nie zakrywał nieskazitelnie białego krawata, po raz ostatni dotknął szczytką drobnych pukli po obu stronach przedziałka, przygładził wąsy i miękką bródkę, włożył cylinder, wziął rękawiczki i laskę, po czym ruszył ku drzwiom.

– Gotów jesteś, Vincencie? Dobry Boże, jak ty wyglądasz! Nie ma mowy, byś miał w tym paradować.

– O co chodzi? – Vincent spojrział na swoje ubranie.

– Nośłem to prawie dwa lata i nikt nic nie mówił.

Theo roześmiał się.

– Mniejsza o to. Paryżanie przyzwyczajeni są do ludzi w twoim rodzaju. Wieczorem, po zamknięciu galerii, skombinujemy ci co nieco z ubrania.

Zeszli po krętych schodach, minęli lożę konsjerżki i wyszli na rue Laval. Była to dość szeroka ulica, mająca wygląd stosunkowo dostatni i mieszczański. Mieściły się tu przeważnie sklepy apteczne oraz sklepy z ramami i antykami.

Spójrz na te trzy piękne damy na trzecim piętrze naszego domu – rzekł Theo. Vincent podniósł głowę i zobaczył trzy gipsowe popiersia. Pod pierwszym widniał napis Rzeźba, pod drugim – Architektura, pod trzecim – Malarstwo.

– Nie wiem; w każdym razie znalazłeś się we właściwym domu.

Minęli antykwariat, w którym Theo kupił swoje stylowe meble, i po kilku minutach doszli do rue Montmartre. Wije się ona wdzięcznie pod górę ku Avenue Clichy i Butte Montmartre, po czym spada w dół, w samo serce miasta. Ranny blask słońca zalewał ulicę, na tarasach kawiarni siedzieli ludzie przy kawie i rogalikach. Otwierano sklepy z warzywami, mięsem i serem. Sklepów było dużo, po jezdni chodzili robotnicy, gospodynie badały obrotnymi palcami towar wyłożony na stołach przed sklepami i targowały się głośno.

Vincent głęboko odetchnął powietrzem Paryża.

– Paryż – rzekł – nareszcie po tylu latach.

– Tak, Paryż. Stolica sztuki europejskiej.

Jak urzeczony patrzył Vincent na nie ustający ani na chwilę nurt życia, który falował na ulicach: *garçons*³⁷ w prążkowanych, czarno-czerwonych bluzach, gospodynie z długimi bułami pod pachą, ręczne wózki przy krawężnikach, pokojówki w rannych pantoflach śpieszące do sklepów po zakupy, handlowcy jadący do swych biur. Pozostawiwszy za sobą niezliczone *charcuteries*, *boulangeries*, *patisseries*, *blanchisseries*³⁸ i kawiarenki, ulica Montmartre zatacza łuk u stóp wzgórza i zbiega na plac Chateaudun, który jest kołem zakreślonym przez sześć ulic. Bracia przeszli przez plac i szli obok Notre Dame de Lorette, małego, odrapanego kościółka z czarnego kamienia; na jego szczycie stały trzy anioły wyglądające tak, jak gdyby zamierzały już, już rozwinąć skrzydła i wzbić się ku niebu. Vincent spojrział na napis nad bramą.

– Czy oni na serio biorą ten napis: *Liberte, Egalite, Fraternite*³⁹?

– Mam wrażenie, że tak. Trzecia republika przetrwa prawdopodobnie długo. Rojaliści są rozbici, socjaliści zyskują władzę. Emil Zola mówił mi niedawno, że następna rewolucja zwróci się przeciw kapitalizmowi, nie przeciw królom.

– Zola! Jakie to wspaniałe, że go znasz!

– Paul Cezanne zetknął mnie z nim. Schodzimy się wszyscy raz na tydzień w „Cafe Batignolles”. Następnym razem wezmę cię z sobą.

Za placem Chateaudun ulica Montmartre traciła charakter drobnomieszczański i stawała się bardziej wytworna. Sklepy były tu większe, kawiarnie – bardziej imponujące, ludzie sprawiali wrażenie lepiej ubranych, budynki były okazalsze. Teatrzyki rewiove i

³⁷Chłopcy na posyłki, kelnerzy.

³⁸Wędliniarnie, piekarnie, ciastkarnie, pralnie.

³⁹Wolność, Równość, Braterstwo – hasła rewolucji francuskiej.

restauracje następowały jedna za drugą, liczne hotele otwierały swe podwoje, a zamiast wozów towarowych przejeżdżały powozy.

Bracia szli energicznym krokiem. Przejrzysty, chłodny ranek zimowy działał ożywczo, powietrze wibrowało bogatym różnorodnym życiem miasta.

– Dopóki nie możesz pracować w domu – odezwał się Theo – proponuję, abyś chodził do atelier Kormana.

– A jak tam jest?

– Tak sobie. Korman jest tak samo akademicki jak większość malarzy – ale jeśli nie zyczysz sobie jego krytyki, zostawi cię w spokoju.

– Czy to dużo kosztuje?

Theo uderzył Vincenta laseczką:

Nie mówiłem ci, że mi podwyższono pensję? Niedługo stanę się jednym z tych plutokratów, których Zola chce zetrzeć z powierzchni ziemi podczas następnej rewolucji. Ulica Montmartre uchodziła w szeroki imponujący bulwar Montmartre, pełen wielkich domów towarowych, arkad i drogich sklepów. Chciaż na ulicy o tej wczesnej porze było jeszcze pusto, ekspedienci w sklepach kręcili się żywo, aby przygotować towar na przyjęcie klientów. Bulwar ten, jedna z najważniejszych arterii Paryża, przechodził wkrótce w bulwar des Italiens i wiódł na plac Opery.

Filia Galerii Goupil zarządzana przez Thea mieściła się w domu nr 19, parę kroków na prawo od ulicy Montmartre. Uprzejmi sprzedawcy zgięli się z szacunkiem na widok wchodzącego Thea. Vincent przypomniał sobie, jak sam kłaniał się niegdyś, kiedy Tersteeg lub Obach przechodzili obok niego. Podobnie jak tam, wszystko tchnęło tu elegancją, kulturą i smakiem. Na ścianach salonu wisiały obrazy Bouguereau, Hennera i Delaroche'a⁴⁰. Nad głównym salonem znajdował się mały balkon, na który prowadziły schodki.

– Obrazy, które cię interesują, mieszczą się na górze, na antresoli – rzekł Theo. – Gdy skończysz oglądać, zejdź tutaj i powiedz, co o nich sądzisz?

– Co ty się tak oblizujesz, Theo?

Theo uśmiechnął się szerzej.

– *A toute a l'heure*⁴¹ – powiedział i znikł w drzwiach swego biura.

II

„Na miłość boską, czy jestem w domu obłąkanych?” Vincent zatoczył się jak oślepiony w stronę jedyne krzesła, które tu stało. Usiadł i przetarł oczy. Od dwunastego roku życia widywał jedynie obrazy ciemne i ponure; płótna, na których pociągnięcia pędzla były niewidoczne, wszystkie szczegóły starannie i gładko wypracowane, a farby płasko nałożone przechodziły stopniowo jedna w drugą.

Obrazy, które śmiały się tu do niego wesoło ze ścian, były odmienne od wszystkiego, co kiedykolwiek widział – ba, co kiedykolwiek mogło mu się przyśnić. Nie było tu żadnych gładkich cienkich płaszczyzn, żadnej czulostkowo-posępnej powagi, żadnego

⁴⁰Bouguereau William (1825-1905); Henner Jean-Jacques (1829-1905) – specjalizujący się w aktach kobiecych; Delaroche Hippolyte-Paul (1797-1856) – autor obrazów o tematyce historycznej – francuscy malarze, przedstawiciele kierunku akademickiego, schlebający sentymentalnym gustom mieszczańskich odbiorców.

⁴¹Do zobaczenia.

brunatnego, jednostajnego sosu, w którym od stuleci nurzało się malarstwo całej Europy. Obrazy te pływały się w słońcu i pulsowały życiem. Obrazy baletnic za sceną – jaskrawa czerwień, zieleń i błękit rzucone lekkomyślnie tuż obok siebie. Odszukał nazwisko artysty: Degas.

Potem był tu szereg pejzaży, sceny nad brzegiem rzeki, w których malarz pochwycił wspaniałą bujność barw pełnego lata i żar południowej godziny. Nazwisko artysty brzmiało: Monet. W setkach obrazów, które Vincent do tej pory widział, nie było tyle blasku, swobodnego oddechu ani woni, co w jednym jedynym z tych jaśniejących płócien. Najciemniejsza farba, użyta przez Moneta, była jeszcze o wiele jaśniejsza od najjaśniejszej, jaką można było zobaczyć w którymkolwiek z muzeów holenderskich. Praca pędzla była bezwstydnie widoczna, każde pociągnięcie, każda kreska obnażona i niezatarta. Powierzchnia obrazu była gruba, głęboka, wibrująca.

Potem stanął przed obrazem przedstawiającym człowieka w wełnianym kaftanie, który z właściwym Francuzom skupieniem steruje łódką, oddając się tej niedzielnej rozrywce. Żona siedzi beczynnym obok niego. Vincent poszukał nazwiska malarza.

– Jak to, znów Monet? – rzekł sam do siebie. – Dziwne. Przecie ten obraz jest całkiem niepodobny do tamtych pejzaży.

Spojrzał raz jeszcze i zobaczył, że się omylił. Nazwisko brzmiało Manet, nie Monet. Przypomniał sobie historię obrazów Maneta: *Le déjeuner sur l'herbe* i *Olympia*⁴². I to, jak policja musiała odgrodzić te obrazy, aby ich nikt nie oplotł lub nie pociął.

Nie wiedział dobrze, dlaczego, ale obrazy Maneta przypominały mu książki Zoli. To samo namiętne poszukiwanie prawdy, to samo odważne dotarcie do istoty rzeczy, to samo poczucie, że charakter jest jednoznaczny z pięknem – bez względu na to, jak się objawia. Przyjrzał się uważnie technice: Manet kładł farby zasadnicze bez przejścia jednych w drugie, wiele szczegółów było ledwo zaznaczonych, barwy, linie, światła i cienie nie były wyraźnie obrysowane, lecz przepływały w siebie. „Tak, jak oko widzi je naprawdę w naturze” – pomyślał Vincent.

W uszach zabrzmiał mu nagle głos Mauve'a: „Czy doprawdy jesteś tak nieudolny, Vincencie, że nie potrafisz odtworzyć jasno i wyraźnie jednej linii?”

Usiadł i pozwolił oddziaływać na siebie temu, co widział. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że jednym z prostych środków, dzięki którym to malarstwo zostało tak gruntownie zrewolucjonizowane, jest powietrze; dla tych malarzy powietrze było czymś uchwytnym – czymś, co należało malować tak samo, jak przedmioty. I to żywe ruchome, obfite powietrze dodawało czegoś przedmiotom na obrazie. Wiedział, że dla malarzy z akademii powietrze po prostu nie istnieje, że jest jedynie próżnią, w której tkwią obrysowane mocno przedmioty.

Ci młodzi rewolucjoniści odkryli powietrze, światło, atmosferę i słońce; patrzyli na przedmioty poprzez te niezliczone siły, które żyją w wibrującym powietrzu. I Vincent pojął, że malarstwo nigdy odtąd nie będzie tym, czym było. Aparaty fotograficzne i akademiccy rysownicy mogą spokojnie sporządzać dokładne kopie rzeczywistości; malarz musi widzieć wszystko przefiltrowane przez własną naturę i przez nasyczone blaskiem słonecznym otaczające go powietrze. Było niemal tak, jakby ci ludzie stworzyli nową sztukę.

⁴²Śniadanie na trawie i Olympia.

Do głębi wstrząśnięty, Vincent zszedł na dół. Theo był w głównym salonie wystawowym. Z uśmiechem zwrócił się do brata i starał się z jego twarzy odczytać, jakie wrażenie wywarli na nim impresjoniści.

– No i co, Vincencie? – zapytał.

– Ach, Theo – wykrztusił tylko Vincent.

Usiłował mówić, ale nie mógł. Raz jeszcze wzrok jego powędrował w górę, ku galeryjce, potem odwrócił się i wybiegł z salonu.

Szedł w górę szerokim bulwarem aż do ośmiokątnego, ogromnego gmachu, w którym poznał Operę. Poprzez kamienny wąwóz domów dojrzał w oddali most i pobiegł nad rzekę. Spuścił się na sam brzeg wody i zanurzył ręce w Sekwanie. Potem przeszedł przez most nie spojrzawszy na jeźdźców z brązu i błąkał się w labiryncie ulic na lewym brzegu. Wszystkie prowadziły pod górę. Minął jakiś cmentarzyk, skręcił na prawo i stanął przed wielkim budynkiem dworca. Zapomniawszy, że przeszedł Sekwanę, zapytał policjanta kierującego ruchem, jak ma się dostać na rue Laval.

– Rue Laval? – odparł policjant – jest pan akurat w przeciwnej stronie miasta. Tu jest Montparnasse. Musi pan zejść na dół, przejść Sekwanę i pójść znowu w górę na Montmartre.

Przez długie godziny krążył bez celu i planu po Paryżu. Szerokie, pielęgnowane bulwary z imponującymi sklepami przeplatały się z brudnymi uliczkami, te przechodziły znów w dzielnice drobnomieszczańskie, gdzie winiarnie znajdowały się jedna obok drugiej.

Późnym popołudniem dopiero znalazł się na rue Laval. Fizyczne zmęczenie stępiło nieco głuchy ból serca. Natychmiast rozpakował toboły zawierające obrazy i studia. Rozłożył je na podłodze. Wpatrzył się w swoje obrazy. Wielkie nieba, jakież były ciemne, ciężkie, martwe! Malował w dawno minionym stuleciu, sam o tym nawet nie wiedząc.

O zmierzchu wrócił Theo. Zastał Vincenta siedzącego na podłodze. Przykleknął obok niego. W pokoju zrobiło się zupełnie ciemno. Theo milczał przez chwilę.

– Vincencie – powiedział – wiem, jak ci jest na duszy. Te obrazy musiały cię oszołomić. To rzecz ogromna, to istny przewrót w sztuce! Jesteśmy w trakcie obalania wszystkiego, co dotychczas w malarstwie uchodziło za święte.

Vincent spojrzał na brata ponurymi, bolesnymi oczyma.

– Theo, dlaczego nigdy nie mówiłeś mi tego? Czemu nic o tym nie wiedziałem? Dlaczego nie wezwałeś mnie tu wcześniej? Pozwoliłeś, abym zmarnował sześć długich lat!

– Zmarnował? Nonsens! Wypracowałeś sobie przez ten długi czas własną metodę pracy. Malujesz jak Vincent van Gogh i jak nikt inny na świecie. Gdybyś tu przybył za wcześniej, nim znalazłeś swój własny wyraz, Paryż ukształtowałby cię na swoją modłę.

– Ale co mam teraz począć? Spójrz na te śmiecie! – obcasem wybił dziurę w jednym z posępnych obrazów.

– Wszystko to jest martwe, Theo, i bez wartości!

– Pytasz mnie, co teraz robić? Chcę ci odpowiedzieć. Masz się nauczyć u impresjonistów widzenia barwy i światła. Tyle musisz od nich przejąć. Ale niczego więcej! Strzeż się przed naśladowaniem ich! Nie pozwól, aby Paryż cię wchłonął.

– Ale, Theo, muszę znów zaczynać od początku. Wszystko, co robię, jest fałszywe.

Wszystko, co robisz jest słuszne i dobre... z wyjątkiem światła i barwy. Jesteś urodzonym impresjonistą. To okazało się od pierwszego dnia, kiedy w Borinage wzięłeś ołówek do ręki. Popatrz na swoje rysunki! Popatrz na pociągnięcia pędzlem! Przed Manetem nikt tak nie malował! Spójrz na twoje linie! Nie zdarza się, abyś poprowadził choć jedną linię zdecydowanie i twardo. Przypatrz się twarzom, drzewom, chłopom, których malowałeś! To są twoje wrażenia, impresje. Są one szorstkie, niedoskonałe, noszą piętno twojej osobowości. To właśnie impresjonizm. Impresjonista nie naśladuje innych, nie poddaje się niewolniczo regułom i prawidłom. Jesteś malarzem swojej epoki, Vincencie, i jesteś impresjonistą bez względu na to, czy ci to odpowiada, czy nie.

– Och, Theo!

– Twoje prace znane są młodym malarzom. Mam na myśli nie tych oczywiście, co sprzedają swoje obrazy, lecz tych, którzy robią wielkiej wagi doświadczenia. Chcieliby cię poznać. Będziesz mógł się od nich nauczyć paru cudownych rzeczy.

– Znają moje prace?! Młodzi impresjoniści znają moje prace?

Vincent podniósł się i ukląkł; w ten sposób lepiej mógł się przyjrzeć bratu. Theo pomyślał o dniach w Zundert, gdy bawili się razem na podłodze w dzieciennym pokoju.

– Ależ oczywiście. A co ty sobie właściwie myślałeś? Ze ja siedzę beczynnie przez te wszystkie lata w Paryżu? Uważają, że masz oczy przenikające do sedna rzeczy i ręce urodzonego rysownika. Czego się musisz nauczyć, to barwy i jasności palety oraz malowania powietrza pełnego życia i blasku. Vincencie, czy nie czujesz, jak to wspaniale i cudownie żyć w czasach tak przełomowych?

– Theo, kochany, stary, dobry Theo!

– Tak – a teraz chodź! Wstań z klęczek i zapal światło. Włożymy najlepsze ubrania i zjemy kolację na mieście. Zapraszam cię na prawdziwą ucztę do „Brasserie Universelle”, podają tam najlepszy Chateaubriand⁴³ w Paryżu. Stawiam nawet szampana na cześć wielkiego dnia, w którym Vincent van Gogh i Paryż zawarli z sobą przyjaźń.

III

Nazajutrz rano Vincent zabrał przybory malarskie i udał się do pracowni Kormana. Była to obszerna sala na trzecim piętrze z północnym oknem. W kącie, naprzeciw drzwi, stał nagi model, a dokoła ścian ze trzydzieści krzeseł i sztalug. Vincent zapisał się i przydzielono mu sztalugi.

Szkicował prawie godzinę, gdy wtem otworzyły się drzwi i do pracowni weszła jakaś kobieta z obwiązaną twarzą, z dłonią przy ustach. Rzuciła przerażone spojrzenie na nagoego modela, krzyknęła: „Wielki Boże!”, i uciekła.

Vincent zwrócił się do sąsiada:

– Co jej się stało?

– O, podobna historia zdarza się codziennie. Przyszła do dentysty, drzwi obok. Wstrząs na widok nagoego mężczyzny wyleczył ją z bólu zębów. O ile dentysta się nie przeprowadzi, zbankrutuje na pewno. Pan jest tu nowicjuszem?

– Tak, przyjechałem do Paryża dopiero trzy dni temu.

– Jak się pan nazywa?

⁴³Rodzaj befsztyka.

– Van Gogh. A pan?

– Henri Toulouse-Lautrec. Czy pan jest krewnym Thea van Gogha?

– To mój brat.

– W takim razie jest pan Vincentem! Znajomość z panem cieszy mnie bardzo. Pański brat jest najrozsądniejszym handlarzem obrazów w całym Paryżu. On jedyny daje młodym malarzom pewne szanse, walczy nawet o nas. Jeżeli paryska publiczność zacznie kiedykolwiek kupować nasze obrazy, będzie to zasługa van Gogha. To człowiek z charakterem. Wszyscy uważamy go za wspaniałego człowieka.

– I ja tak sądzę.

Vincent przyjrzał się uważnie obcemu. Lautrec miał twarz jak gdyby zmiażdżoną, wyskakiwały z niej tylko nos, wargi i podbródek. Czarna, gęsta broda sterczała naprzód.

– W jaki sposób znalazł się pan w tej podłej pracowni?

– spytał Lautrec.

– Muszę mieć jakieś miejsce, gdzie bym mógł pracować. A pan?

– Do diabła, sam nie wiem. W ubiegłym miesiącu mieszkałem w burdelu na Montmartrze i rysowałem te dziewczynki. To była prawdziwa robota! Tutaj, w pracowni, traci się czas na głupstwa.

– Chętnie obejrzałbym studia tych kobiet.

– Doprawdy?

– Ależ tak. Dlaczego nie?

– Większość malarzy uważa, że jestem szalony, ponieważ rysuję tancerki, clownów i dziwki. Ale one mają przynajmniej charakter.

– Wiem o tym. Sam żyłem z jedną w Hadze.

– Dobra. Rodzina van Goghów podoba mi się. Czy zechce mi pan pokazać szkice tego modelu?

– Proszę, tu są wszystkie cztery.

Lautrec oglądał przez parę chwil szkice, po czym rzekł:

– Pan i ja pasujemy do siebie. Myślimy tak samo. Czy Korman widział już te rzeczy?

– Nie.

– Gdy je zobaczy, jest pan skończony. To znaczy, o ile idzie o jego krytykę. Mnie powiedział onegdaj: „Lautrec, pan nie potrafi rysować bez przesady. Co najmniej jedna linia w każdym studium jest karykaturą”.

– A pan odpowiedział prawdopodobnie: „Drogi Korman, to nie karykatura, to charakter”.

Dziwny błysk rozjaśnił czarne, przenikliwe oczy Lautreca.

– Czy pan wciąż jeszcze ma ochotę obejrzeć portrety moich dziewczynek?

– Oczywiście.

– W takim razie chodźmy. Ta pracownia jest i tak trupiarnią.

Lautrec miał masywny, tęgi kark, potężne bary i ramiona.

Ale gdy się podniósł, Vincent zobaczył, że jego nowy przyjaciel jest kaleką. Stojąc nie był wyższy niż w pozycji siedzącej. Mocny kadłub osadzony był na dziwnie krótkich i bezsilnych nogach.

Szli bulwarem Clichy. Lautrec wspierał się ciężko na lasce. Co chwila musiał przystawać dla odsapnięcia; pokazywał wtedy piękne szczegóły ulicy. Przed „Moulin

Rouge” skręcił w ulicę wiodącą na Butte Montmartre. Teraz Lautrec musiał wypoczywać jeszcze częściej.

– Pyta pan pewnie w duchu, van Gogh, co się stało z moimi nogami? Każdy o to pyta. Powiem panu.

– Nie, po co ma pan o tym mówić?

– Może pan śmiało wiedzieć – oparł się ciężko na lasce. – Od urodzenia miałem słabe i kruche kości. W dwunastym roku życia pośliznąłem się na podłodze sali tanecznej i złamałem prawą kość udową. Rok później wpadłem do rowu i złamałem lewą. Od tego czasu moje nogi nie urosły ani o centymetr.

– Czy pan jest z tego powodu nieszczęśliwy?

– Nie. Gdybym był zdrowy i normalny, nie zostałbym nigdy malarzem. Mój ojciec jest hrabią de Toulouse. Byłbym jego dziedzicem. Gdybym chciał, mógłbym mieć buławę marszałkowską i jeździć u boku króla Francji. To znaczy oczywiście, gdyby istniał król Francji... Ale, *sacrebleu*, dlaczego człowiek ma być hrabią, jeśli może być malarzem?

– Tak, obawiam się, że epoka hrabiów minęła.

– Idziemy dalej?... Tutaj, na tej ulicy, ma swoje atelier Degas. Powiadają, że go naśladuję, ponieważ on maluje baletnice, a ja – dziewczynki z „Moulin Rouge”. Niech sobie gadają, co chcą! A tu mieszkam: rue Fontaine nr 19 bis. Moje mieszkanie jest, rzecz prosta, na parterze.

Otworzył drzwi i skłoniwszy się poprosił Vincenta do środka.

– Mieszkam zupełnie sam – mówił Toulouse. – Siadaj pan, o ile jest jakiś wolny sprzęt.

Vincent rozejrzał się. Oprócz obrazów, ram, sztalug, krzeseł i zwojów materiału stały tu dwa wielkie stoły. Jeden – pełen wykwinnych win i butelek z różnokolorowymi likierami. Na drugim leżały w nieładzie baletki, peruki, stare książki, łaszki kobiece, rękawiczki, pończochy, wulgarne fotografie oraz cenne sztychy japońskie. W całym tym chaosie pozostawało zaledwie maleńkie miejsce do malowania.

– Co się dzieje, van Gogh? – zapytał Lautrec. – Nie może pan znaleźć miejsca? Zrzuć pan cały ten kram na podłogę i przysuń sobie krzesło do okna. Dwadzieścia siedem dziewczynek było w tym domu. Spałem z każdą z nich. Czy pan nie uważa, że koniecznie trzeba spać z kobietą, by ją na wskroś zrozumieć?

– Tak.

– Tu ma pan szkice. Zaniósłem je niedawno do któregoś z handlarzy obrazów na rue de Capucins. Wie pan, co powiedział: „Lautrec, dlaczego ma pan taką opętaną pasję do wszystkiego, co szkaradne? Te kobiety są wstrętne, po prostu wstrętne. Z koniuszka ich nosa można odczytać rozpustę i podłość. Czy tworzenie brzydoty ma być modną sztuką? Czy pan jest tak ślepy na piękno, że umie pan malować jedynie szumowiny?” „Przepraszam – odparłem – ale czuję, że mi się robi niedobrze i obawiam się o pański piękny dywan”. Van Gogh, czy światło jest dobre? Chce pan coś do picia? Mogę spełnić każde pańskie życzenie, mam tu wszystkie gatunki.

– Utykając pomiędzy krzesłami, stołami i zwojami materii nalał kielich wina i podał go Vincentowi. Zdrowie brzydoty, van Gogh! – zawołał. – Oby nigdy nie zaraziła Akademii!

Vincent popijał wino i studiował dwadzieścia siedem rysunków, do których pozowały Lautrecowi dziewczynki z Montmartre'u. Malarz oddał je tak, jak widział – były to obiektywne portrety, bez moralizatorstwa. Twarze dziewczyn były napiętnowane

cierpieniem, zwierzęcą rozpustą, występłą cielesnością, a jednocześnie jakby uduchowione.

– Czy lubi pan obrazy przedstawiające chłopów, Lautrec? – zapytał po chwili.

– Tak, o ile nie są sentymentalne.

– Ja maluję chłopów. I wydaje mi się, że te kobiety przypominają chłopów. Ja bym je nazwał ogrodniczkami ciała. Ziemia i ciało to dwie różne formy tej samej materii, prawda? Te kobiety uprawiają ciało, ludzkie ciało, które musi być uprawiane, aby dało życie. To jest dobra praca, Lautrec. Wypowiedział pan w niej coś godnego wypowiedzenia.

– Więc pan nie uważa tych obrazów za brzydkie?

– Są autentycznymi i wnikliwymi komentarzami życia. A to jest najwyższy rodzaj piękna. Gdyby pan te portrety idealizował lub przepoił czułościowością, byłyby brzydkie, bo tchórzliwe i fałszywe. Ale pan uwiecznił w nich całą prawdę, jaką pan widział. A to właśnie jest istotą piękna.

– Miły Boże, że też nie ma na świecie więcej ludzi podobnych do pana. Napije się pan? Proszę sobie wybrać szkice, które pan zechce.

Vincent potrzywał chwilę jeden z obrazów pod światło, zdawał się coś sobie przypominać, a potem zawołał:

– Już wiem, kogo mi przywodzą na myśl: Daumiera!

Oblicze Lautreca promieniało.

– Tak, Daumiera. On jest największy z nich wszystkich. Jedyne, od którego czegoś się nauczyłem. Boże, jak wspaniale ten człowiek umiał nienawidzić.

– Ale po co malować coś, czego się nienawidzi? Ja maluję tylko to, co kocham.

– Wszelka wielka sztuka wywodzi się z nienawiści, van Gogh... Ach tak, podziwia pan mojego Gauguina?

– Czyj to obraz, powiada pan?

– Gauguina. Zna go pan?

– Nie.

– To musi pan go poznać. Obraz, który pan trzyma w tej chwili w ręce, to studium kobiety z Martyniki. Gauguin przebywał tam czas jakiś. Ma zupełnego bzika ze swym kultem dla prymitywu, lecz mimo to jest cudownym malarzem. Miał żonę, troje dzieci i posadę na giełdzie, która przynosiła rocznie trzy tysiące franków. Za całe piętnaście tysięcy kupił sobie obrazy Sisleya, Pissarra i Maneta. W dzień swego ślubu namalował portret żony; uważała to za piękny gest. Mieli tam na giełdzie coś w rodzaju klubu artystycznego – Gauguin malował tam w niedziele. Pewnego razu pokazał jeden ze swych obrazów Manetowi, a ten uznał go za bardzo dobry. „Ach – odparł Gauguin – jestem tylko amatorem”. „Nie – powiedział Manet – amatorów nie ma, amatorami można nazwać wyłącznie tych, co kiepsko malują”. Ta uwaga uderzyła Gauguinowi do głowy jak wino. Od tego czasu nigdy nie wytrzeźwiał. Porzucił posadę, żył z rodziną przez rok w Rouen z oszczędności, a w końcu odesłał żonę i dzieci do Sztokholmu, do jej rodziców. Odtąd żyje całkiem bez dochodów, wyłącznie sprytem.

– To musi być zajmujący człowiek – zauważył Vincent.

– Niech pan będzie ostrożny w stosunkach z nim. Lubi dręczyć swych przyjaciół. A teraz powiedz, van Gogh, czy chciałbyś zobaczyć „Moulin Rouge” i „Elysee-Montmartre”? Znam tam wszystkie dziewczynki. Czy lubisz kobiety, van Gogh? Mam oczywiście na

myśli te, z którymi się śpi. Bo ja je kocham. Co powiesz na to, żebyśmy się tam kiedyś razem wybrali? Koniecznie – odparł Vincent.

– Świetnie. A teraz sądzę, że powinniśmy wrócić do pracowni. Uwaga, przewróci pan stół! Zostaw pan wszystko na podłodze, posługaczka już to uprzątnie. Myślę, że wkrótce będę musiał wyprowadzić się stąd. Jestem bogaty, van Gogh. Ojciec boi się, że pewnego dnia mógłbym mu złorzeczyć, że mnie spłodził kaleką – daje mi więc wszystko, czego zapragnę. Przy przeprowadzce nie zabieram nic ze starego mieszkania oprócz moich prac. Wynajmuję puste atelier i z wolna dokupuję wszystko, co potrzeba, póki się znów nie zapelni, tak że nie sposób oddychać. Wówczas znów się wyprowadzam. A propos, jakie pan woli kobiety – blondynki czy rude? Zostaw pan drzwi, nie trzeba ich zamykać. Patrz pan, jak te metalowe dachy płyną faliście w dół ku bulwarowi Clichy – zupełnie jak morze. Do diabła, przed panem nie potrzebuję udawać! Opieram się na lasce i pokazuję piękne kąty i zaułki z tej jedynie przyczyny, że jestem przeklętym kaleką, który nie może zrobić na raz więcej jak parę kroków. W ten czy inny sposób zresztą wszyscy jesteśmy kalekami. Chodźmy!

IV

Wyglądało to tak łatwo... Wystarczyło odrzucić starą paletę, kupić kilka jasnych farb – i malować jak impresjoniści. Wieczorem pierwszego dnia Vincent był zdziwiony i trochę zły. Drugiego dnia był w nie lada kłopotcie. Zmieszanie przeszło z kolei w gniew, smutek i trwogę. Po upływie pierwszego tygodnia wściekłość w nim kipiała. Po tylu miesiącach niestrudzonego eksperymentowania farbami wciąż jeszcze był nowicjuszem. Jego obrazy były ciemne, mętne i lepkie. Lautrec, który siedział u Kormana obok Vincenta, słyszał jego przekleństwa i przyglądał się pracy, lecz wstrzymywał się od wszelkich rad.

Tydzień ten był bardzo ciężki dla Vincenta, dla Thea był jednak jeszcze gorszy. Theo był człowiekiem subtelnym, delikatnym w sposobie bycia i przyzwyczajeniach. Ubierał się i zachowywał z wyszukaniem, takim samym, z jakim urządził dom i miejsce pracy. Niewiele miał w sobie z szalonej żywotności i siły Vincenta.

Małe mieszkanko przy rue Laval było dostatecznie obszerne dla Thea i jego stylowych delikatnych mebli. Po upływie jednego tygodnia czyniło wrażenie rupieciarni. Vincent ganiał po pokoju, kopał wszystko, co mu stało na drodze, ciskał pędzle, obrazy i puste tuby po farbach na podłogę, stoły i kanapy „ozdabiał” swoją brudną garderobą, tłukł talerze, wylewał farby – obalał cały system troskliwie wyhodowanych nawyków życiowych brata.

– Vincencie, Vincencie – błagał Theo – nie bądźże takim barbarzyńcą!

Vincent znów krążył jak opętany po pokoju, gryzł palce i mruczał pod nosem. Wreszcie opadał ciężko na jedno z kruchych krzeselek.

– To nie ma sensu – jęczał – zacząłem za późno! Jestem za stary, aby się teraz uczyć na nowo. Theo, wierz mi, że nie cofałem się przed żadnym wysiłkiem. W ciągu ostatniego tygodnia zacząłem dwadzieścia obrazów, ale moja technika jest już taka skostniała. Nie mogę zaczynać od początku. Wierz mi – jestem skończony. Nie mogę po tym, co tu widziałem, wrócić do Holandii i malować owce. A tu przybyłem za późno, aby opanować rzemiosło i włączyć się nurt dzisiejszej sztuki. Boże, co robić?

Zerwał się i powlókł ku drzwiom, by zaczerpnąć powietrza, zatrzasnął drzwi i rozwarł na oścież okno; przez chwilę wpatrywał się w restaurację po drugiej stronie ulicy, a potem zatrzasnął tak gwałtownie okno, że omal nie wyleciały szyby, poszedł do kuchni, by napić się wody, wylał pół szklanki na podłogę i wrócił z ciekącymi po brodzie strużkami.

– No, Theo, powiedz, co ty sądzisz? Czy mam poniechać wszystkiego? Czy doprawdy niczego nie osiągnę? Wygląda na to, co?

– Vincencie, zachowujesz się jak dziecko! Uspokój się, a potem słuchaj. Przestań wreszcie biegać po pokoju. I na Boga, zdejm twoje buciory, jeśli już musisz za każdym razem kopać pozłacane krzesło.

– Ależ Theo, przez sześć lat pozwalałem, abyś mnie utrzymywał i co masz teraz z tego? Mnóstwo szarych, brudnych obrazów i... beznadziejnego bankruta na karku!

– Posłuchaj, stary. Kiedy wzięłeś się do rysowania chłopów, czy ci się udało od razu, po jednym tygodniu? Czy też trwało to pięć lat?

– Tak, lecz wówczas dopiero zaczynałem rysować.

– A teraz zaczynasz naprawdę malować. I może potrwa znów pięć lat, nim ci się uda.

– Więc to tak ma być bez końca, Theo? Całe życie mam się uczyć jak sztubak? Mam trzydzieści trzy lata. Kiedy, na Boga, osiągnę dojrzałość?

– To jest ostatnia trudność, którą masz pokonać, Vincencie. Widziałem wszystko, co malują w Europie, i twierdzę, że ostatnie słowo należy do impresjonistów. Gdy twoja paleta rozjaśni się nieco...

– Ach, Theo, Theo, wierzysz, że mi się to kiedy uda? Nie sądzisz, że znów poniosłem porażkę?

– Sądzę, że jesteś osłem. Największy przewrót w historii sztuki dokonuje się właśnie, a ty wyobrażasz sobie, że możesz opanować to wszystko w ciągu tygodnia! Chodźmy na spacer, na Butte, ochłonać trochę. Jeszcze pięć minut w tym pokoju, a wybuchnę.

Nazajutrz Vincent rysował do wieczora u Kormana, potem wstąpił po Thea do Goupilów. Zmierzch dnia kwietniowego opadał na ulice, długie rzędy sześciopiętrowych kamienic nurzały się w koralowym, z wolna płowiejącym świetle. W całym Paryżu była godzina aperitif. Kawiarnie na chodnikach rue Montmartre nabite były rozgadany tłumem, z ich wnętrza płynęły łagodne dźwięki muzyki odświeżające paryżan po dniu pracy. Zapalano lampy gazowe, kelnerzy nakrywali stoły, ekspedienci opuszczali żaluzje i sprząтали towar sprzed sklepów.

Theo i Vincent szli powoli. Przecięli ruchliwy, pełen powozów plac Chateaudun, minęli kościół Notre Dame de Lorette i skręcili w stronę rue Laval.

– Może napijemy się także, Vincencie?

– Owszem. Usiądźmy gdzieś, skąd można obserwować tłum.

– W takim razie chodźmy najlepiej do Bataille'a na rue des Abbesses. Spotkamy tam na pewno paru moich przyjaciół.

Większość gości Bataille'a stanowili malarze. Na chodniku stało tylko kilka stolików, za to dwie salki wewnątrz były wcale przestronne. Madame Bataille prowadziła artystów zawsze do jednej sali, zwykłych mieszczan do drugiej, na pierwszy rzut oka poznając, do której z dwu kategorii przybysz należy.

– *Garçon* – zawołał Theo – proszę alasz!

– A co ja mam wziąć, Theo?

– Spróbuj Cointreau. Musisz skosztować tego i owego, nim trafisz na swój trunek.

Kelner postawił przed nimi kieliszki; na spodkach czarnymi literami naznaczona była cena. Theo zapalił cygaro, Vincent – fajkę. Na chodnikach falował barwny tłum: praczki w czarnych fartuchach, dźwigające kosze świeżo wyprasowanej bielizny, robotnik, który niósł za ogon nie opakowanego śledzia, malarze w szerokich bluzach, z wilgotnymi, rozpiętymi na sztalugach płótnami, businessmani w czarnych garniturach i kraciastych płaszczach, gospodynie w rannych pantoflach, niosące butelkę wina lub mięso, piękne kobiety o wciętych taliach, w długich, spływających sukniach, małych kapelusikach z piórkami, nasuniętych zalotnie na czoło.

– Wspaniała parada, prawda, Theo?

– Tak. Paryż budzi się dopiero w godzinie aperitif.

– Cały czas łamię sobie głowę, co właściwie czyni Paryż tak cudownym.

– Po prawdzie ja również nie zdaję sobie z tego sprawy. To wieczna tajemnica tego miasta. Wydaje mi się, że ma to jakiś związek z francuskim charakterem narodowym. Panuje tu swoboda, tolerancja, niefrasobliwy, lekki tryb życia. Halo, to mój przyjaciel, z którym chciałbym cię poznać. Dobry wieczór, Paul, jak się masz?

– Dziękuję, dobrze.

– Vincencie, to jest Paul Gauguin. Siadaj, Paul, i wypij twój ulubiony absynt.

Gauguin wziął kieliszek absyntu, skosztował końcem języka, po czym duszkiem wychylił kieliszek. Zwrócił się do Vincenta:

– Jak podoba się panu Paryż, panie van Gogh?

– Bardzo.

– Patrzcie państwo, komiczne. Istnieją ludzie, którzy go naprawdę lubią. Co do mnie, uważam Paryż za jeden wielki śmietnik, a całą cywilizację za śmiecie.

– Niezbyt odpowiada mi Cointreau, Theo. Czy możesz mi poradzić cokolwiek innego?

– Proszę spróbować absyntu, panie van Gogh – odezwał się Gauguin – to jedyny trunek godny artysty.

– A ty co powiesz, Theo?

– Dlaczego mnie pytasz? Sam sobie wybierz. *Garçon!* Absynt dla pana! Wygląda pan, jakby się panu coś miłego przytrafiło, Gauguin. Sprzedał pan może obraz?

– Nie, nie splamiłem się niczym takim, Theo. Miałem dziś rano rozkoszne przeżycie.

Theo mrugnął znacząco w stronę brata.

– Opowiadaj pan! *Garçon*, jeszcze jeden absynt dla pana Gauguin.

Gauguin końcem języka spróbował absyntu, po czym zwilżył wargi i zaczął opowiadać:

– Zna pan pewnie tę ślepą uliczkę, Impasse Frenier, odgałęzienie rue des Forneaux? Otóż dziś nad ranem, tak koło piątej, słyszę z dołu krzyk matki Fourel, żony woźnicy: „Na pomoc! Na pomoc! Mój mąż się powiesił!” Ja w te pędy z łóżka, wciągając dla przyzwoitości spodnie, chwytam nóż, zbiegam na dół i przecinam sznur. Woźnica był już martwy, ale jeszcze ciepły. Chciałem go przenieść na łóżko, lecz matka Fourel zawołała: „Nie wolno, musimy czekać na policję!” Po drugiej stronie mój pokój wychodzi na ogród warzywny. „Czy może mi pan sprzedać melon?” – wołam do ogrodnika. „Ależ naturalnie, oto jest piękny, dojrzały” – odpowiada. I potem przy śniadaniu nie przyszedł mi nawet na myśl ów powieszony. Są w życiu rzeczy dobre, jak widzicie. Na każdą truciznę istnieje odtrutka. Byłem proszony na lunch, wdziałem najlepszą koszulę i chcąc wywołać

dreszczyk w towarzystwie, opowiedziałem całą tę historię. Bez troski, z uśmiechem, prosili mnie słuchacze o kawałek sznurka po powieszonym.

Vincent przyjrzał się uważnie Gauguinowi. Miał on wielką, czarną głowę barbarzyńcy i masywny nos, krzywo wysklepiony. Oczy miał wypukłe, kształtu migdałów i niezwykle duże, kryła się w nich dzika melancholia, kości rysowały się wyraźnie pod skórą twarzy. Był to olbrzym o niepowszedniej, brutalnej nieomal żywotności.

Theo starał się uśmiechnąć.

– Obawiam się, że pan zanadto delectuje się swoim sadyzmem, aby mógł on być prawdziwy. A teraz muszę już iść, mam się z kimś spotkać. Vincencie, idziesz ze mną?

– Zostaw go pan tutaj – odezwał się Gauguin. – Chętnie zawrę bliższą znajomość z pańskim bratem.

– Dobrze. Ale niech go pan nie poi zbyt abasyntem, nie jest przyzwyczajony. *Garçon, combien*⁴⁴?

– Ten pański brat, Vincencie, to chłop z wiary – rzekł Gauguin. – Wprawdzie nie odważa się jeszcze na wystawienie młodszych, ale zapewne Valadon mu nie pozwala.

– W każdym razie wystawił Maneta, Sisleya, Pissarra i Moneta.

– Możliwe, ale gdzie Seurat? I Gauguin? I Cezanne? Toulouse-Lautrec? Tamci stali się już tymczasem starzy i ich czas minął.

– Pan zna Toulouse-Lautreca?

– No chyba. Trzeba by raczej zapytać, kto go nie zna. To doskonały malarz, tylko nieco zwariowany. Wydaje mu się, że gdy prześpi się z pięcioma tysiącami kobiet, stanie się stuprocentowym mężczyzną. Co rano budzi się z gryzącym poczuciem niższości z powodu kalectwa, co wieczór usiłuje zapomnieć o tym pijąc na umór i zadając się z kobietami. Następnego rana jest znów to samo. Gdyby nie to wariactwo, byłby z pewnością jednym z naszych najlepszych malarzy. Tak, a teraz skręcamy. Moje atelier leży na górze, na czwartym piętrze. Uważaj pan, stopień jest złamany.

Gauguin wszedł pierwszy i zapalił lampę. Atelier było nędzną mansardą zawierającą sztalugi, mosiężne łóżko, stół i jedno krzesło. Obok w alkwie wisały sprośne fotografie. Vincent rzucił na nie okiem.

– Wnosząc z tych obrazów, nie ma pan zbyt wysokiego mniemania o miłości – rzekł.

– Gdzie pan chce usiąść, na łóżku czy na krześle! Na stole leży jeszcze reszta tytoniu, proszę wziąć. Owszem, lubię kobiety grube i występne; inteligentne działają mi na nerwy. Zawsze chciałem mieć tłustą kochankę i nie znalazłem takiej. Oszukują mnie, są w ciąży. Zna pan nowelkę niejakiego Maupassanta, protegowanego Zoli, wydaną w zeszłym miesiącu? Mężczyzna, który lubi tęgie kobiety, każe przygotować ucztę świąteczną na dwie osoby i wychodzi, aby sobie poszukać towarzyszki. Spotyka kobietę, która mu zupełnie odpowiada. A gdy dochodzą do pieczenia, kobieta zaczyna rodzić i wydaje na świat wierzgającego chłopca.

– To wszystko nie ma związku z miłością, Gauguin.

Gauguin wyciągnął się na łóżku, podłożył ramię pod głowę i wydmuchiwał kłęby dymu na surowe belki.

– Nie sędzę, abym był niewrażliwy na piękno, Vincencie. Lecz moje zmysły tego nie potrzebują. Jak widzisz, nie znam miłości. Słowo „kocham” nie przeszłoby mi przez

⁴⁴Kelner – płacić.

gardło. Ale nie skarżę się. Mówię jak Jezus: ciało jest ciałem, a duch jest duchem. Dzięki temu drobna kwota zaspokaja potrzeby ciała, a duch pozostaje spokojny.

– Bardzo lekko traktuje pan tę sprawę – odezwał się Vincent.

– Wcale nie – odparł Gauguin. – To nie jest drobiazg, z kim się kładziesz do łóżka. Z kobietą, która odczuwa rozkosz, odczuwam ją podwójnie. Ale moje uczucia nie są w to wmieszane. Zachowuję je dla malarstwa.

– Właśnie ja także doszedłem ostatnio do tego samego wniosku – odparł Vincent. – Dziękuję, nie będę pił więcej absyntu. Mój brat Theo ceni bardzo pańskie prace. Czy mógłby mi pan pokazać parę studiów?

– Gauguin zerwał się jak oparzony. Stanowczo nie! Moje studia są częścią mojego prywatnego, ściśle osobistego życia, podobnie jak listy. Ale chętnie pokażę panu parę obrazów. Przy tym świetle niewiele pan co prawda zobaczy, ale jeśli pan chce koniecznie...

Ukląkł, wyciągnął spod łóżka stos obrazów i ustawiał jeden po drugim na stole, używając za podpórkę flaszki z absyntem. Vincent był przygotowany na zobaczenie czegoś niezwykłego, a jednak stał jak urzeczony przed dziełem Gauguina. Widział splecione chaos drgających słońcem obrazów: drzewa, jakich nie odkrył żaden botanik, zwierzęta, o jakich nie śniło się Cuvierowi⁴⁵, ludzi, jakich mogła stworzyć jedynie wyobraźnia malarza, morze, które mogło wypływać chyba z wulkanu, niebo, którego nie mógł zamieszkiwać żaden Bóg. Byli tam kanciasto obrysowani, nieporadni tubylcy Wysp Południowych, w ich naiwnych oczach czaiła się tajemnica nieskończoności; malarskie wizje w błyskach różu, fioletu i drgającej czerwieni. Potem szły znów sceny czysto dekoracyjne, w których bujne rośliny i zwierzęta zdawały się spęczniałe do ostateczności od gorąca i słonecznego blasku.

– Pan przypomina Lautreca – bąknął Vincent. – Nienawidzi pan. Nienawidzi z całej duszy.

Gauguin roześmiał się.

– Co pan sądzi o moim malarstwie?

– Po prawdzie sam nie wiem. Proszę mi zostawić czas do namysłu. Czy mogę znów tu przyjść i raz jeszcze obejrzeć pańskie prace?

– Może pan przychodzić, kiedy pan tylko będzie miał ochotę. Istnieje tylko jeden młodzieniec w Paryżu, którego prace są tak dobre jak moje: Georges Seurat. To taki sam prymitywny człowiek jak ja. Reszta głupców pętających się po Paryżu jest cywilizowana.

– Seurat? – spytał Vincent – chyba nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie mógł pan słyszeć. Żaden handlarz obrazów nie wystawia jego prac. A jednak to wielki malarz.

Chciałbym go poznać.

– Możemy pójść potem do niego. A teraz proponuję, abyśmy poszli na kolację do Bruanta. Ma pan pieniądze? Bo ja mam tylko dwa franki w kieszeni. Flaszkę z absyntem zabierzemy w każdym razie ze sobą. Proszę schodzić. Ja potrzymam lampę, aby pan nie skręcił sobie karku na schodach.

⁴⁵Cuvier Georges (1769-1832) – słynny przyrodnik francuski.

V

Była godzina druga w nocy, kiedy stanęli pod domem Seurata.

– Czy pan nie lęka się, że go obudzimy? – spytał Vincent.

– Ależ nie. Pracuje po nocach. I przez większą część dnia. Mam wrażenie, że ten człowiek w ogóle nie sypia. To ten dom; własność jego matki. Powiedziała mi ona pewnego razu: „Mój syn chciałby malować. Dobrze, niech maluje. Mam dość pieniędzy na nas dwoje. Byleby był szczęśliwy”. To wzorowy syn. Nie pije, nie pali, nie klnie, nie wałęsa się po nocach, nie ugania za kieckami i nie wydaje pieniędzy na nic poza malarstwem. Jego jedynym grzechem jest malarstwo. Ma podobno metresę i syna, którzy mieszkają gdzieś w pobliżu, lecz nigdy o nich nie mówi.

– Ciemno w oknach – zauważył Vincent – jak się dostaniemy do niego nie budząc wszystkich domowników?

– Georges mieszka na poddaszu. Przypuszczalnie z drugiej strony zobaczymy światło. Ciśniemy mu w okno kamykiem. Nie, lepiej ja to zrobię, bo jeżeli rzuci pan niecelnie, to może trafić w okno na trzecim piętrze i obudzić jego matkę.

Seurat zszedł zaraz na dół i wpuścił gości. Położył palec na ustach, by im nakazać milczenie. Gdy weszli, zamknął drzwi atelier.

– Georges – rzekł Gauguin – chciałbym cię poznać z Vincentem van Gogh, bratem Thea. Maluje jak wszyscy Holendrzy, ale poza tym jest miłym chłopcem.

Mansarda Seurata była bardzo obszerna, zajmowała całą długość domu. Na ścianach wisiały ogromne, nie dokończone obrazy, przed nimi stały rusztowania. Na dużym czworokątnym stole pod gazową lampą rozpostarte było wilgotne płótno.

– Bardzo mi miło, monsieur van Gogh. Pan wybaczy chwilę – muszę wypełnić jeszcze jedno miejsce, nim farba zaschnie.

Wdrapał się na wysoki stołek i pochylił nad obrazem. Lampa płonęła równym, żółtawym płomieniem. Około dwudziestu małych miseczek z farbami ustawionych było starannie w jednym rzędzie. Seurat dotykał farby koniuszkiem maleńkiego pędzelka i z matematyczną precyzją kładł na płótnie małe barwne punkciki. Pracował spokojnie, bez emocji. Było coś oderwanego i dalekiego w sposobie jego pracy, jak w pracy mechanika. Trzymał sztywno pędzel, maczał go leciutko w miseczce z farbą i malował punkciki... punkciki... setki malutkich punkcików.

Vincent osłupiały wpatrywał się w malarza. Wreszcie tamten obrócił się na swym wysokim stołku.

– Skończone! Wypełniłem tę przestrzeń!

– Pokaż to Vincentowi – rzek Gauguin. – Tam, skąd on przybywa, malują wyłącznie krowy i owce. Tydzień temu nie miał jeszcze pojęcia, że istnieje coś takiego jak sztuka nowoczesna.

Może usiądzie pan lepiej na wysokim krześle, monsieur van Gogh? Vincent wdrapał się na krzesło i spojrział na dół, na rozciągnięte przed nim płótno. Nigdy w życiu nie widział dotąd czegoś bodaj w przybliżeniu podobnego – ani w życiu, ani w sztuce. Obraz wyobrażał scenę na wyspie Grande Jatte. Architektonicznie zbudowani ludzie, złożeni z nieskończonej liczby małych punkcików, przypominali kolumny w gotyckiej katedrze. Trawa, rzeka, łodzie, drzewa – wszystko było masą rozpluwającego się, nakrapianego

światła. Płótno lśniło najbardziej jaśniejącymi barwami, jakie zawiera paleta – jaśniejszymi jeszcze niż płótna Moneta, Degasa czy nawet Gauguina. Obraz był wycofaniem się w rejony abstrakcyjnej niemal harmonii, a powietrze przesycone migotliwym blaskiem – ale h rak było w tym obrazie żywego pulsu. Była to martwa natura życia, z którego raz na zawsze wygnano ruch.

Gauguin, stojący obok Vincenta, roześmiał się na widok jego osłupiałej twarzy.

– Zawsze ta sama historia, Vincencie. Obrazy Seurata działają tak na każdego, kto je widzi po raz pierwszy. Co pan o nich sądzi?

Vincent zwrócił się usprawiedliwiająco do Seurata:

– Pan wybaczy, ale w ostatnich dniach zetknąłem się z tyloma dziwnymi rzeczami, że nie odzyskałem jeszcze równowagi. Wychowano mnie w tradycji holenderskiej, nie miałem pojęcia o impresjonizmie. I nagle widzę, że wszystkie moje pojęcia runęły.

– Rozumiem – odparł spokojnie Seurat. – Moja metoda zrewolucjonizuje całe malarstwo, trudno zatem oczekiwać, aby pan pojął wszystko na pierwszy rzut oka. Malarstwo do tej pory było sprawą osobistego doświadczenia. Moje usiłowania idą w tym kierunku, aby uczynić z niego wiedzę abstrakcyjną. Musimy się nauczyć segregować nasze doznania, dojść do matematycznej ścisłości w myśleniu. Każde ludzkie doznanie może i musi zostać sprowadzone do abstrakcyjnego stwierdzenia za pomocą barwy, linii i tonacji. Widzi pan te małe miseczki z farbami na stole?

– Tak, zauważyłem je.

– Każda z tych miseczek, monsieur van Gogh, zawiera pewne określone wzruszenie. Na podstawie mych formułek można te wzruszenia wyrabiać w fabryce i sprzedawać w sklepie. Żadnej przypadkowej mieszaniny kolorów na palecie, ta metoda należy do przeszłości. Od dziś malarz może pójść do sklepu i po prostu uchylać wieczka tych małych słoiczków z farbą. Żyjemy w epoce wiedzy ścisłej i ja podnoszę malarstwo do poziomu wiedzy. Osobowość musi zniknąć, malarstwo musi stać się precyzyjne, podobnie jak architektura. Czy pan idzie za biegiem moich myśli, pani van Gogh?

– Niestety, niezupełnie.

W tym miejscu Gauguin trącił łokciem Vincenta.

– Powiedz mi, Georges, dlaczego zawsze upierasz się przy tym, aby nazywać to „twoją metodą”? Pissarro wypracował ją już, nim ty ujrzałeś światło dzienne.

– Wierutne kłamstwo!

Twarz Seurata spurpurowiała z gniewu. Zerwał się, podbiegł do okna, chwilę bębnił palcami po parapecie, potem wrócił na swoje miejsce.

– Kto odważa się twierdzić, że Pissarro wypracował ją przede mną? To on raczej przejął swój pointylizm⁴⁶ ode mnie. Znam historię sztuki od wczesnych mistrzów włoskich i tyle tylko mogę ci powiedzieć, że nikomu przede mną ta idea nie przyszła do głowy. Jak śmiesz!...

Zagryzł z wściekłości wargi, podszedł do jednej ze swych „szubienic” i odwrócił się tyłem.

Vincent był zaskoczony tą zmianą. Rysy człowieka, który malował przedtem obraz na stole, były jak wyrzeźbione – kamienne i chłodne. Miał beznamietne oczy i zachowywał się jak badacz w laboratorium; głos miał spokojny, niemal jak pedagog. Był to człowiek

⁴⁶Od francuskiego point – punkt: metoda malowania plamkami czystych kolorów, opisana powyżej.

pograżony w abstrakcji, podobnie jak jego obrazy. Ten sam człowiek zagryzał teraz wargi i targał kędzierzawe, kasztanowe włosy, dotychczas tak gładko uczesane.

– Ech, co tam, Georges – rzekł Gauguin mrugając znacząco na Vincenta – każdy wie, że to twoja metoda. Bez ciebie nie byłoby pointylizmu.

Udobruchany, wrócił Seurat do stołu. Z wolna gniew zniknął w jego oczach.

– Monsieur Seurat – odezwał się Vincent – jak można uczynić malarstwo obiektywną wiedzą, kiedy ono jest właśnie wyrazem indywidualności, która jest istotą w dziełach sztuki.

– Patrz pan. Objaśnię to panu.

Wziął ze stołu pudełko kredek i przykucnął na podłodze. Lampa gazowa paliła się teraz zmętniałym płomykiem, dokoła była cicha noc. Vincent i Gauguin przykleknęli z dwóch stron obok niego. Seurat, jeszcze głęboko podniecony, mówił z ożywieniem:

– Moim zdaniem, wszelkie efekty w malarstwie da się sprowadzić do pewnych prawideł. Przyjmijmy, że chcę namalować scenę cyrkową. Tutaj ktoś mknie na nie osiodłanym koniu, tu stoi trener, tu są trybuny i widzowie. Chcę pokazać, że wszystko jest wesołe i żywe. Jakie są trzy pierwiastki malarstwa? Linia, ton i barwa. Dobrze, aby więc wydobyć wesołość, rysuję wszystkie linie horyzontalne, o tak; jaśniejszym barwom pozwalam opanować obraz, o tak; i baczę, aby wszystko przeniknięte było ciepłą tonacją, o tak. Czy to nie oddaje abstrakcyjnej idei wesołości?

– Może i oddaje abstrakcyjną ideę, ale brak tu samej wesołości – powiedział Vincent.

Seurat spojrzał na niego zdziwiony, twarz miał w cieniu. Vincent zauważył, jak pięknym jest mężczyzną.

– Nie chodzi mi o samą wesołość, lecz o ideę wesołości. Czy zna pan dobrze Platona, mój drogi panie?

– Tak.

– No więc malarz musi zrozumieć, że nie idzie o samą rzecz, lecz o ideę, istotę rzeczy. Jeśli malarz maluje, dajmy na to, konia, to nie ma to być określony koń, którego mógłby pan poznać spotkawszy go przypadkiem na ulicy, lecz platońska idea konia. Kamerze pozostawmy fotografowanie, my musimy wyjść poza to. Tym, co musimy uchwycić, monsieur van Gogh, malując konia, musi być końskość zgodnie z Platonem, niejako uzewnętrznienie ducha konia. Jeśli ktoś maluje człowieka, to nie ma to być ów portier z brodawką na nosie, lecz to, co stanowi istotę i charakter człowieka. Czy śledzi pan tok moich myśli, przyjacielu?

– Siedzę – odrzekł Vincent – lecz nie zgadzam się z panem.

– Tą sprawą zajmiemy się później – powiedział Seurat. Podniósł się, zdjął bluzę i wytarł nią rysunek cyrkowy na podłodze. A teraz zobaczymy „spokój” – oświadczył. – Robię scenę na wyspie Grande Jatte. Wszystkie linie są znów poziome. Tonację daję pośrednią między zimną i ciepłą, barwę między ciemną a jasną. Widzi pan?

– Dalej, Georges – westchnął Gauguin – nie zadawaj głupich pytań.

– Przechodzimy teraz do smutku. Linię prowadzimy w tym wypadku pionowo z góry na dół – o tak. Dominują zimne tony i ciemne barwy. Oto ma pan, to jest istota smutku. Dziecko potrafiłoby to narysować. Matematyczne reguły, oddające proporcjonalną strukturę przestrzeni na płótnie, można by zawrzeć w maleńkiej książeczce. Już je opracowałem. Wystarczy, aby malarz przeczytał tę książeczkę, poszedł do składu z

farbami, zażądał oznaczonych farb i postąpił ściśle, według przepisu. Będzie natenczas naukowcem i doskonałym malarzem. Może pracować w świetle słonecznym lub przy gazowej lampie, może być mnichem lub rozpustnikiem, mieć lat siedem czy siedemdziesiąt. Wszystkie jego dzieła będą posiadały tę samą architektoniczną, bezosobową doskonałość.

Vincent słuchał z niedowierzaniem. Gauguin wybuchnął śmiechem.

– On cię uważa za wariata, Georges.

Seurat stał rysunek połą bluzy i cisnął ją w kąt.

– Czy to prawda, panie van Gogh?

– Nie, nie – zaprzeczył Vincent. – Mnie samego nazywają tak często wariatem, że nienawidzę dźwięku tego słowa. Lecz muszę przyznać, że pańskie idee są bardzo osobliwe.

– Więc jednak myśli: wariat – zawołał Gauguin.

W tej chwili zapukano głośno do drzwi.

– Mój Boże – jęknął Gauguin – już znowu obudziliśmy twoją matkę. Powiedziała, że jeśli przyjdę tu nocą, przegoni mnie szczotką.

Weszła pani Seurat w ciepłym szlafroku i nocnym czepku na głowie.

– Georges – zwróciła się z wymówką do syna – obiecałeś mi przecie, że nie będziesz pracował po nocach. Ach, to ty, Paul? Czemu nie płacisz czynszu, wiedziałbyś przynajmniej, gdzie spać.

– Jeśli pani zechce mnie przyjąć, matko Seurat, nie będę musiał płacić żadnego czynszu.

– Dziękuję, jeden artysta w rodzinie wystarczy najzupełniej. Przyniosłam kawę i bułeczki. Jeśli musicie pracować, winniście też jeść. Powinnam chyba zejść na dół i przynieść ci twoją butelkę absyntu, Paul?

– To pani nie wypła jej, matko Seurat?

– Pamiętaj, Paul, co ci mówiłam o szczotce.

Vincent wysunął się z cienia.

– Mamo – przedstawił Seurat – to mój nowy przyjaciel, Vincent van Gogh.

Pani Seurat podała mu rękę.

– Przyjaciel mojego syna jest zawsze mile widziany, nawet o czwartej nad ranem.

Trzej malarze i pani Seurat rozmawiali przy kawie i bułeczkach, póki wschodzące słońce nie rzuciło na okno żółtej świetlistej plamy.

– No, teraz mogę się od razu ubrać – powiedziała pani Seurat. – Proszę przyjść do nas wkrótce na kolację, panie van Gogh, będzie to dla nas prawdziwa przyjemność.

Vincent stał już w drzwiach, gdy Seurat zwrócił się do niego:

– Obawiam się, że niezbyt dokładnie wyłożyłem moją metodę. Niech pan tu wpadnie kiedyś, popracujemy razem. Skoro pan pojmie moją metodę, zrozumie pan, że malarstwo nie może już nigdy być tym, czym było dotąd. A teraz biorę się z powrotem do roboty. Muszę jeszcze wypełnić inne małe miejsca, nim się położę spać. Ukłony dla brata.

Vincent i Gauguin szli przez opustoszałe kamienne kaniony ulic w górę, na Montmartre. Paryż spał. Zielone story były spuszczone. Żaluzje sklepów pozamykane. Wozy wracały z turkotem na wieś dostarczywszy do hal warzywa, owoce i kwiaty.

– Chodźmy na Butte Montmartre i popatrzmy, jak słońce budzi Paryż – zaproponował Gauguin.

– Chętnie – zgodził się Vincent.

Doszedłszy do bulwaru Clichy, skręcili w rue Lepie, która wokół Moulin de la Galette pięła się stromo w górę wzgórza Montmartre. Domy tu były coraz rzadsze. Rue Lepie raptownie się urywała. Obaj mężczyźni poszli dalej krętą ścieżką przez krzaki.

– Gauguin – rzekł po chwili Vincent – powiedz mi pan szczerze, co pan sądzi o Seuracie.

– Wiedziałem, że pan o to zapyta. Seurat rozumie barwę lepiej niż ktokolwiek od czasu Delacroix, ale to źle, że odnosi się do malarstwa zbyt teoretycznie. Malarze nie powinni zastanawiać się nad tym, co robią, teorie należy pozostawić krytykom. Georges wzbogaci niechybnie wiedzę o farbach, a jego gotycka architektura przyśpieszy powrót sztuki do prymitywu. Ale to wariat, zupełny wariat, jak pan sam widział.

Droga na Montmartre była stroma, za to widok ze szczytu niezrównany. U stóp ich rozpościerał się Paryż, z kłębow mgły porannej wynurzało się morze czarnych dachów i licznych wież kościelnych. Sekwana – lśniący, kręty nurt światła – dzieliła miasto na dwie części. Morze domów zdawało się spływać ze stoku Montmartre'u w dół ku rzece, aby wspiąć się z powrotem w górę po zboczach Montpamasse'u. Słońce wychyło zza chmur i rozjaśniło Lasek Vincennes. Zieleń Lasku Bulońskiego na drugim krańcu miasta była wciąż jeszcze ciemna i senna. Trzy charakterystyczne słupy milowe miasta: Opera w centrum, Notre Dame na wschodzie i Łuk Tryumfalny na zachodzie, sterczały wysoko w przestwór niby kolorowe, kamienne wzgórza.

VI

Spokój zapanował w małym mieszkanku przy rue Laval. Theo radował się tą ciszą. Ale nie trwała długo. Zamiast z wolna, krok za krokiem, zmieniać sposób pracy, Vincent począł naśladować ślepo swych nowych przyjaciół. W żarliwym pragnieniu, by zostać impresjonistą, zapomniał o wszystkim, czego się sam nauczył. Jego obrazy wyglądały na okropne imitacje Seurata, Toulouse-Lautreca i Gauguina. Sądził jednak, że czyni wielkie postępy.

– Słuchaj, mój drogi – rzekł pewnego wieczora Theo – jak ty się właściwie nazywasz?

– Vincent van Gogh. Hm, a czy jesteś całkiem pewny, że nie Georges Seurat lub Paul Gauguin?

– Co to ma znaczyć, Theo?

– Czy naprawdę sądzisz, że możesz zostać Seuratem? Czy nie pojmujesz, że istnieje i może istnieć tylko jeden Lautrec i jeden Gauguin, Bogu dzięki! Naśladowanie ich, jak ty to czynisz, jest głupotą!

– Nie naśladowuję, tylko uczę się od nich.

– Naśladowujesz. Pokaż mi którykolwiek z twoich nowych obrazów, a powiem ci, z kim spędziłeś poprzedni wieczór.

– Ależ ja robię postępy, Theo! Popatrz, o ile lżej teraz maluję.

– Wprost przeciwnie. Twoje obrazy są z dnia na dzień gorsze. Malujesz coraz mniej jak Vincent van Gogh. Twoja droga nie może być łatwa i ubita, musi cię kosztować lata wytężonej pracy. Czy jesteś taki podatny i słaby, że musisz naśladować innych zamiast tylko przyswajać to, co ci dają?

– Theo, powiadam ci, że te obrazy są dobre.

– A ja ci mówię, że są kiepskie.

W ten sposób rozgorzała walka.

Co wieczór, gdy Theo wracał z galerii przepracowany i zdenerwowany, Vincent czekał na niego niecierpliwie z nowym obrazem. Nim Theo zdążył zdjąć płaszcz i kapelusz, Vincent przechodził do ataku.

– Masz! Czy znowu powiesz, że to nie jest dobre? Powiedz, że moje barwy nie są lepsze! Przypatrz się temu słońcu. Przypatrz się tylko temu...

Theo miał do wyboru: albo kłamać i spędzić miły wieczór z udobruchanym bratem, albo też mówić prawdę i narazić się na kłótnię aż do rana. Theo był straszliwie zmęczony. Nie mógł sobie pozwolić na mówienie prawdy. Mimo to wybierał prawdę.

– Kiedy byłeś ostatnio u Durand-Ruela? – pytał znużony.

– Co to ma do rzeczy?

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Wczoraj po południu – odpowiedział z głupią miną Vincent.

– Czy wiesz, że pięć tysięcy malarzy w Paryżu próbuje naśladować Maneta? I większości udaje się to lepiej niż tobie.

Pole bitwy było tak szczupłe, że ani jeden, ani drugi nie mógł się wycofać.

Vincent spróbował innego chwytu. Zespolił wszystkich impresjonistów w jednym obrazie.

– Zachwycające – drwił Theo wieczorem. – Nazwiemy to rekapitulacją. Każdy szczegół opatrzymy karteczką. Drzewo – prawdziwy Gauguin, dziewczyna w kącie – niewątpliwy Toulouse-Lautrec. Powiedziałbym, że światło na rzece – to Sisley, barwa – Monet, liście – Pissarro, powietrze – Seurat, a środkowa postać – Manet.

Vincent walczył zajadle. Przez cały dzień malował, a gdy Theo wracał wieczorem, atakował brata jak dziecko. Theo spał w pokoju, Vincent nie mógł zatem po nocach pracować. Podniecony dyskusją z bratem, nie mógł też spać. Spędzali więc długie godziny na dalszych rozprawach. Theo spierał się z nim, póki zmęczony nie zasypiał mimo palącego się światła, a Vincent dalej gadał i gestykulował. Theo pocieszał się tym, że wkrótce przeniosą się na ulicę Lepie, gdzie będzie miał osobną sypialnię z mocnym zamkiem u drzwi.

Gdy gadanie o własnych pracach zmęczyło Vincenta, wypełniał noce Thea burzliwymi debatami o sztuce, handlu obrazami i przekleństwach zawodu artysty.

– Theo, nie rozumiem cię – skarżył się. – Jesteś kierownikiem jednej z najpocześniejszych galerii w Paryżu i nie wystawiłeś dotąd ani jednego obrazu twojego brata.

– Valadon nie zgadza się.

– Czyś próbował?

– Setki razy.

– Dobrze, moje obrazy są może nie dość udane. Ale jak się ma rzecz z Seuratem, Gauguinem, Lautrekiem?

– Za każdym razem, gdy mi przynoszą nowy obraz, proszę Valadona, aby mi pozwolił na zawieszenie go w antresoli.

– Kto jest właściwie panem galerii: ty czy kto inny?

– Jestem niestety tylko urzędnikiem.

– W takim razie powinieneś stamtąd odejść. To jest niegodne, to wręcz poniżające, ja nie pozwoliłbym nigdy na podobne traktowanie. Odszedłbym z miejsca.

– Pomówimy o tym przy śniadaniu. Miałem dziś ciężki dzień i chcę spać.

– Nie będę czekał do śniadania. Chcę teraz mówić o tym. Theo, czy to ma sens wystawiać Maneta i Degasa? Oni są już uznani, ich już kupują. Teraz musisz walczyć o uznanie młodszych!

– Zostaw mi trochę czasu. Może za trzy lata...

– Nie, nie możemy czekać trzy lata! Musimy teraz, od razu coś robić! O Theo, dlaczego nie porzucasz posady i nie otwierasz własnej galerii obrazów? Wyobraź sobie, żadnych Valadonów, żadnych Bouguereau ani Hennerów.

– To kosztuje, Vincencie. Nie odłożyłem dotąd pieniędzy.

– Postaramy się o nie jakoś.

– Handel obrazami nie rozwija się w ciągu dnia, wiesz chyba o tym.

– Więc się rozwinie powoli! Będziemy pracować dniem i nocą, póki nie staniemy mocno na nogach.

– A co pocniemy tymczasem? Musimy przecie żyć.

– Zarzucasz mi, że nie zarabiam sam na swoje utrzymanie?

– Na miłość boską, idź spać, Vincencie. Nie mam już sił.

Nie, nie pójde spać. Chcę zaraz znać całą prawdę. Czy dlatego tylko nie możesz odejść od Goupilów? Dlatego, że mnie musisz utrzymywać? No, dalej, dalej, mów prawdę! Jestem kamieniem młyńskim u twej szyi. Ciągnę cię w dół, jestem dla ciebie ciężarem. Przeze mnie musisz pozostać na twojej posiadzie! Gdyby nie ja, byłbyś wolny!

– Gdybym był trochę większy i silniejszy, oberwałbyś porządnie porcję kijów, zasłużyłeś na to! Gotów jestem najać Gauguina, żeby to za mnie zrobił. Moją rzeczą teraz i zawsze jest pracować u Goupilów, a twoją teraz i zawsze malować. Połowa mojej pracy zarobkowej u Goupilów należy do ciebie; połowa twoich obrazów należy do mnie. Zejdz nareszcie z mojego łóżka i kładź się spać.

Nazajutrz wieczorem Theo wręczył bratu zaproszenie i powiedział:

– Jeśli nie masz dziś nic lepszego do roboty, możemy tam iść.

– Dokąd?

– Do Henri Rousseau. Obejrzyj zaproszenie.

Na karcie widniały dwie strofki prostego wiersza i parę kwiatów ręcznie wymalowanych.

– Kto to taki? – spytał Vincent.

– Nazywamy go „celnikiem”, bo do czterdziestego roku życia był urzędnikiem celnym na prowincji. Malował w niedziele, podobnie jak Gauguin. Przed paru laty przybył do Paryża i zamieszkał w dzielnicy robotniczej, niedaleko Bastylii. Nie uczył się ani nie kształcił nigdy, a mimo to maluje, pisze wiersze, komponuje, udziela dzieciom robotników lekcji gry na skrzypcach, gra na fortepianie i uczy rysunku kilku starców.

– Co on właściwie maluje?

– Fantastyczne zwierzęta, które wyzierają z fantastycznych dżungli. Nigdy w życiu nie widział dżungli, chyba Jardin d'Acclimatation⁴⁷ w Lasku Bulońskim. Jest chłopem i człowiekiem do głębi prymitywnym, pomimo że Gauguin z niego kpi.

⁴⁷Ogród botaniczny i zoologiczny w Paryżu.

– Co sądzisz o jego pracy, Theo?

– Sam nie wiem. Powiadają, że to głupiec i wariat.

– Czy to prawda?

– Jest na swój sposób dzieckiem, naiwnym dzieckiem. Pójdziemy dziś wieczór do niego na przyjęcie, sam więc będziesz mógł osądzić. Wszystkie jego obrazy wiszą na ścianach.

– Ma widać pieniądze, jeżeli może urządzić przyjęcia.

– Jest prawdopodobnie najuboższym malarzem w Paryżu. Nawet skrzypce, potrzebne do lekcji, musi sobie wypożyczać. Ale te zaproszenia mają pewien cel. Sam zresztą zobaczysz.

Dom, w którym mieszkał Rousseau, był domem na wskroś proletariackim. Pokój malarza znajdował się na czwartym piętrze. Na ulicy wrzeszczały dzieci, w sieni panował nieznośny odór gotowanej stawy, klozetów i oparów z prania.

Henri Rousseau otworzył im sam. Był niskiego wzrostu i krępy, budową ciała przypominał nieco Vincenta. Miał krótkie, grube palce, niemal czworograniastą głowę, płaski nos, szeroką brodę i wielkie niewinne oczy.

– Dziękuję panu za zaszczyt, monsieur van Gogh – powitał ich łagodnym uprzejmym tonem.

Theo przedstawił Vincenta. Rousseau poprosił, by usiedli. Pokój utrzymany w tonach jasnych i barwnych był niemal wesoły. Rousseau zawiesił nawet na oknach chłopskie firanki w biało-czerwoną kratkę. Ściany pokryte były od dołu do góry obrazami dzikich zwierząt, dżungli i nieprawdopodobnych pejzaży.

W kącie, obok rozklekotanego fortepianu, stali drżąc z tremy czterej chłopcy ze skrzypcami w rękach. Na gzymsie nad kominkiem znajdowały się tace z bułeczkami obsypanymi kminkiem, które Rousseau sam wypiekał. Dokoła pokoju porozstawiane były krzesła i ławki.

– Pan jest moim pierwszym gościem, monsieur van Gogh – rzekł Rousseau. – Krytyk Guillaume Pille wyświadczy mi również zaszczyt i przyjdzie tu z całym towarzystwem.

W tej chwili z ulicy dobiegły podniecone dziecięce głosy oraz głuchy turkot kół po bruku. Rousseau otworzył śpiesznie drzwi. Dźwięczne głosy kobiece zabrzmiały na klatce schodowej.

– Dalej! Odważnie! – zahuczał czyjś donośny bas. – Jedną ręką trzymać się poręczy, drugą zatkać nos.

Głośne śmiechy zawtórowały temu dowcipowi. Rousseau, który słyszał wszystko, spojrzał z uśmiechem na Vincenta. Vincent miał wrażenie, że nigdy jeszcze nie widział u dorosłego człowieka oczu tak jasnych i niewinnych, tak dobrodusznych i pełnych ufności.

Dziesięć czy dwanaście osób wpadło do pokoju. Mężczyźni we frakach, kobiety w świetnych toaletach balowych, w małych pantofelkach i długich białych rękawiczkach. Napełniły pokój zapachem drogich perfum, subtelnego pudru, szelestem jedwabiu i starych koronek.

– Henri – zawołał Pille głębokim nadętym basem – stawiliśmy się całą gromadą! Ale czasu mamy niewiele. Jedziemy na bal do księżnej de Broglie. Zabaw więc przez tę chwilę dobrze moich gości!

– Ach, tak bardzo chciałam go poznać – westchnęła smukła, miedzianowłosa panna ubrana w empirową, głęboko wyciętą suknię. – Wyobraźcie sobie: tu jest ten wielki malarz, o którym mówi cały Paryż. Czy zechce pan ucałować moją rękę, monsieur Rousseau?

– Uważaj, Blanche – ostrzegł ktoś – wiesz przecie, że ci artyści...

Rousseau uśmiechnął się i ucałował piękną pannę w rękę. Vincent zaszył się w kąt. Pille i Theo rozmawiali chwilę. Inni spacerowali parami po pokoju, czynili uwagi o obrazach na ścianach i śmieli się bez przerwy. Dotykali firanek, brali wszystko do ręki i przetrząsali wszystkie kąty, szukając nowej okazji do śmiechu.

– Może państwo łaskawie usiądą – odezwał się Rousseau – moja orkiestra odegra jedną z moich kompozycji. Zadedykowałam ją panu Pille. Nosi tytuł Chanson Raval.

– Chodźcie, chodźcie, zbliźcie się wszyscy – zawołał Pille – Rousseau chce nas zabawić. Jeanie, Blanche, Jacques, chodźcie, siadajcie! To będzie dopiero uciecha!

Czterech drżących chłopców stało przed pulpitem z nutami i stroiło skrzypce. Rousseau siadł do fortepianu i przymknął oczy. Po chwili powiedział: „Gotowe”, i zaczął grać. Kompozycja była prostą pastorałką. Vincent wysiłał się, aby słuchać melodii, lecz chichot gości tłumił muzykę. Na końcu oklaskiwano hałaśliwie i z zapalem. Blanche podeszła do fortepianu, położyła malarzowi ręce na ramionach i powiedziała:

– To było piękne, bardzo piękne. Nigdy jeszcze nie byłam tak wzruszona.

– Pani mi schlebia.

Blanche wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Guillaume, słyszałeś? On sądzi, że mu schlebiam.

– A teraz zagram państwu jeszcze jedną kompozycję.

– Zaśpiewaj pan lepiej jedną ze swych piosenek, Henri. Ma ich pan przecież tak wiele!

Rousseau uśmiechnął się jak dziecko.

– Dobrze, skoro pan sobie życzy, zaśpiewam piosenkę w takt muzyki.

Zbliżył się do stołu, wziął plik piosenek i wybrał jedną z nich. Usiadł przy fortepianie i zaczął grać. Vincentowi podobała się ta muzyka. Również kilka wierszy utworu, jakie udało mu się dosłyszeć było czarujących. Ale ogólne wrażenie muzyki i słów było nader komiczne. Goście ryczeli ze śmiechu. Skończywszy grać i śpiewać Rousseau poszedł do kuchni i wrócił z wielkimi, grubymi filiżankami kawy. Goście zeskrobywali kminek z bułeczek i wrzucali go sobie wzajemnie do kawy. Vincent palił w swoim kącie fajkę.

– A teraz, Henri, pokaż nam twoje ostatnie obrazy. Po to tu właściwie przyszliśmy. Chcemy je obejrzeć u ciebie w atelier, zanim Luwr je zakupi.

– Mam kilka nowych, bardzo miłych – odparł Rousseau.

– Zdejmę je państwu ze ściany. – Goście skupili się dokoła stołu i starali się wzajemnie prześcigać w pochlebstwach.

– To jest boskie, wprost boskie! – wzdychała Blanche.

– Muszę to mieć w moim buduarze. Ani dnia dłużej nie mogę istnieć bez tego obrazu. Drogi mistrzu, ile pan żąda za to nieśmiertelne arcydzieło?

– Dwadzieścia pięć franków.

– Dwadzieścia pięć franków! Wyobraźcie sobie! Dwadzieścia pięć franków za dzieło wielkiej sztuki. Czy pan zechce mi je zadedykować?

– Będzie to dla mnie zaszczytem.

– Przyniosłem Françoise, że jej również przyniosę obraz – rzekł Pille. – Henri, to ma być dla mojej narzeczonej. Musi to być najlepsze twoje dzieło.

– Mam tu coś w sam raz dla pana, panie Pille.

Zdjął ze ściany obraz przedstawiający dziwaczne zwierzę, które wyzierało z baśniowej dżungli. Wszyscy śmiali się i krzyczeli na wyścigi.

– Co to takiego?

– To lew.

– Nie – tygrys.

– Mówię wam, że to z pewnością moja praczka. Poznaję ją jak najdokładniej.

– Ten obraz jest nieco większy, monsieur Pille – powiedział Rousseau ze słodyczą. – Kosztuje trzydzieści franków.

– Jest wart tyle, Henri, jest na pewno wart. Pewnego dnia moi wnukowie sprzedadzą ten cudowny obraz za trzydzieści tysięcy.

– Ja także chcę mieć obraz... ja także! – zawołało kilku innych gości. – Muszę wziąć jeden i pokazać przyjaciołom. To najlepsza wystawa sezonu.

– A teraz w drogę! – huknął Pille. – Inaczej spóźnimy się na bal. I weźcie z sobą obrazy. Wzbudzimy nimi sensację u księżnej de Broglie! Bądź zdrów Henri. Ubawiliśmy się świetnie. Zaproś nas wkrótce znowu.

Z krzykiem i śmiechem zbiegli ze schodów, pozostawiając za sobą zapach drogich perfum, który zmieszał się z różnorodnymi woniami domu.

Theo i Vincent zwrócili się ku drzwiom. Rousseau stał przy stole wpatrzony w stos monet.

– Nie masz chyba nic przeciw temu, Theo, żebym tu jeszcze chwilę pozostał? – zapytał cicho Vincent. – Chciałbym go bliżej poznać.

Theo wyszedł. Rousseau nie zauważył, że Vincent został. Liczył dalej: – Osiemdziesiąt franków... dziewięćdziesiąt... sto... sto pięć...

Podniósł głowę i spostrzegł, że Vincent go obserwuje. W jego oczach rozbłysnął znowu wyraz dziecięcej naiwności. Odsunął pieniądze i uśmiechnął się głupkowato.

– Zrzuć pan tę maskę – rzekł Vincent. – Jestem chłopem i malarzem tak samo jak pan.

Rousseau podszedł do niego i serdecznie uścisnął mu rękę.

– Brat pana pokazywał mi pańskie obrazy holenderskich chłopów. Są wspaniałe. Lepsze od obrazów Milleta. Często, bardzo często przyglądałem się im. Podziwiam pana.

– A ja oglądałem pańskie prace, Rousseau, gdy tamci zabawiali się jak głupcy. Podziwiam pana również.

– Dziękuję. Czy nie zechciałby pan usiąść i napełnić fajki moim tytoniem? Zarobiłem dziś sto pięć franków. Będę sobie za to mógł sprawić tytoń, żywność i płótno do malowania.

Usiedli naprzeciwko siebie po obu stronach stołu i palili w przyjaznym, pełnym zadumy milczeniu.

– Sądzę, że pan wie, iż zowią pana obłąkanym, panie Rousseau?

– Wiem. I słyszałem, że w Hadze pana również brali za wariata.

– Tak, to prawda.

– Niech myślą, co im się żywnie podoba. Pewnego dnia moje obrazy zawisną w Luksemburgu.

- A moje – oznajmił Vincent – w Luwrze...
- Spojrzeni na siebie i wybuchnęli szczerym, serdecznym śmiechem.
- Ludzie mają słuszość, Henri – powiedział Vincent.
- Jesteśmy naprawdę wariatami.
- No, to może uczymy to kieliszkiem? – zaproponował Rousseau.

VI

Następnej środy w porze obiadowej Gauguin zapukał do drzwi van Gogha.

– Theo polecił mi, abym przyprowadził pana dziś wieczór do „Cafe Batignolles”. On sam będzie zajęty do późnego wieczora. Ma pan tu, jak widzę, interesujące obrazy. Mogę obejrzeć?

– Naturalnie, kilka z nich pochodzi z Brabancji, reszta z Hagi.

– Gauguin długo przypatrywał się obrazom Vincenta. Parokrotnie podnosił rękę i otwierał usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć; zdawało się jednak, że nie potrafi sformułować swej myśli. Proszę wybaczyć, że o to pytam, panie van Gogh – rzekł w końcu.

– Czy nie jest pan przypadkiem epileptykiem?

Vincent wkładał właśnie płaszcz podbity baranicą, który ku przerażeniu Thea wytrzasnął w jakimś sklepie z tandetą. Odwrócił się i wytrzeszczył oczy na Gauguina.

– Czym? – spytał.

– Epileptykiem. Jednym z tych, co miewają ataki.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A skąd to pytanie?

– Te obrazy tutaj... Wyglądają, jakby miały za chwilę rozerwać płótno. He razy oglądałam pańskie prace, a zdarza się mi to dziś nie po raz pierwszy, nawiedza mnie stan nerwowego napięcia, tak że z trudem mogę się opanować. Mam wrażenie, że jeśli obraz nie będzie eksplodował, to w każdym razie ja eksploduję. Wie pan, co te obrazy najgłębiej we mnie poruszają?

– Nie. Co?

– Żołądek. Kiszki mi się przewracają. Zaczynam odczuwać takie podniecenie i niepokój, że ledwie mogę się opanować.

– Może mógłbym je sprzedawać jako środki przeczyszczające? Powiesić jeden taki obraz w ubikacji i patrzeć nań co dzień o określonej godzinie.

– Zupełnie serio, mam wrażenie, że nie potrafiłbym żyć ani tygodnia razem z pańskimi obrazami. Doprowadziłyby mnie do szaleństwa.

– Idziemy?

Szli ulicą Montmartre w górę, ku bulwarowi Clichy.

– Czy pan jadł już obiad? – zapytał Gauguin.

– Nie. A pan?

– Może pójdziemy do Bataille'a.

– Doskonały pomysł. Ma pan pieniądze?

– Ani centyma. A pan?

– Goły jak zwykle. Liczyłem, że Theo zaprosi mnie na obiad. No, w takim razie nie będziemy dziś jedli.

– Chodźmy przynajmniej zobaczyć, jaki jest dziś *plat du jour*⁴⁸. Poszli przez rue Lepie, po czym skręcili na prawo, w rue des Abbesses. Madame Bataille przytwierdziła jak zwykle za pomocą pluskiewek nabazgrane atramentem menu do jednego ze sztucznych drzew, stojących w wazonach przed drzwiami.

– Hm – czytał Vincent – *côte de veau petits pois*⁴⁹. Moja ulubiona potrawa.

– Nie cierpię cielęciny – oświadczył Gauguin. – Dobrze, że nie mamy pieniędzy.

– *Quelle blague!*⁵⁰

Powoli powędrowali na dół i weszli na mały, trójkątny skwerek u stóp Butte.

– Popatrz – zawołał Gauguin – tu na ławce leży Paul Cezanne i śpi. Co za idiotyzm podkładać buty zamiast jaśka pod głowę! Obudźmy go!

Zdjął pasek od spodni, złożył go we dwoje i wyrznął nim śpiącego w stopę. Cezanne zerwał się z ławki z jękiem bólu:

– Gauguin, przeklęty sadysto! Czy to ma być żart? Połamię ci wszystkie gnaty!

– Czemu kładziesz sobie pod głowę swoje brudne prowansalskie buciory? Są przecież twardsze od gołej ławki.

– Nie zastępują mi wcale jaśka – mruknął Cezanne wkładając buty. – Pakuję je pod głowę, aby mi ich nikt nie ukradł podczas snu.

Gauguin odwrócił się – do Vincenta:

– Słyszac go tak mówiącego, można by sądzić, że to przymierający głodem artysta. Tymczasem jego ojciec jest właścicielem banku i połowy Aix-en-Provence. Paul, to jest Vincent van Gogh, brat Thea.

– Cezanne i Vincent podali sobie ręce. Szkoda, że nie spotkaliśmy się pół godziny wcześniej – ciągnął Gauguin. – Zjedlibyśmy wtedy razem obiad. U Bataille'a dają dziś najlepszą pieczeń cielęcą z groszkiem, jaką kiedykolwiek jadłem.

– Doprawdy była taka dobra?

– Dobra? Wyborna! Prawda, Vincencie?

– Wyborna, pewnie.

– No, w takim razie ja też tam pójde i zjem to samo. Chodźcie ze mną dla towarzystwa.

– Wątpię, czy strawiłbym jeszcze jedną porcję. A pan, Vincencie?

– Z trudem. Ale skoro monsieur Cezanne nalega...

– Bądź miły, Gauguin! Wiesz przecie, że nie znoszę jeść sam. Możecie zamówić co innego, jeśli macie dość cielęciny.

– Dobrze, wyświadczymy ci tę grzeczność. Chodźmy, Vincencie!

Ulicą des Abbesses wrócili do Bataille'a.

– Moje uszanowanie – przywitał ich kelner. – Czy panowie już wybrali?

– Tak jest – odparł Gauguin. – Proszę przynieść trzy *plats du jour*.

– Do usług. A jakie wina?

– Ty wybierz wino, Cezanne. Rozumiesz się na tym lepiej ode mnie.

– Zobaczymy. A więc: Saint-Estephe, Bordeaux, Sauternes, Beaune...

– Próbowałeś już tu Pommarda? – przerwał Gauguin niewinnie. – Zdaje się, że to najlepsze wino, jakie tu w ogóle mają.

– Przynies nam więc pan Pommarda – powiedział Cezanne do kelnera.

⁴⁸Danie dnia.

⁴⁹Pieczeń cielęca z groszkiem.

⁵⁰Co za blaga.

Gauguin połknął w okamgnieniu pieczeń i zielony, delikatny groszek, po czym zwrócił się do jedzącego jeszcze Cezanne'a:

– Słyszałem, Paul, że L'Oeuvre Zoli rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy.

Cezanne obrzucił go posępnym, gniewnym spojrzeniem i odsunął talerz. Odezwał się do Vincenta:

– Czytał pan tę książkę?

– Jeszcze nie. Skończyłem właśnie Germinal.

– L'Oeuvre jest złą książką – oświadczył Cezanne – i w dodatku nieprawdziwą. Poza tym jest to najgorsza zdrada popełniona kiedykolwiek w imię przyjaźni. Książka ma za temat malarza, monsieur van Gogh. Mnie mianowicie. Emil Zola jest moim najstarszym przyjacielem. Wyrósłiśmy razem w Aix, chodziliśmy razem do szkoły. Przyjechałem do Paryża jedynie dlatego, że on tu był. Byliśmy sobie bliżsi niż bracia. W ciągu całej naszej wspólnej młodości marzyliśmy o tym, aby zostać wielkimi artystami, jeden u boku drugiego. A teraz wyrządził mi taką krzywdę!

– Co takiego zrobił? – zapytał Vincent.

– Okrył mnie śmiesznością. Wydrwił mnie. Wyszydził przed całym Paryżem. Dzień w dzień zwierzałem mu się z moich teorii dotyczących światła, wtajemniczałem go w moje poglądy, jak należy przedstawiać bryły w dwuwymiarowej płaszczyźnie. Słuchał chciwie, zachęcał mnie, wypytywał o moje plany. I przez ten cały czas szło mu wyłącznie o to, by zebrać materiał do książki, by pokazać, jakim jestem głupcem!

Opróżnił jednym tchem kieliszek i mówił znów do Vincenta; jego małe, rozgorączkowane oczy płonęły nienawiścią.

Zola zespolił i skombinował nas trzech w swej książce: mnie, Bazille'a i pewnego nędznego chłopca, który sprzątał pracownię Maneta. Chłopak posiadał artystyczne ambicje, lecz powiesił się w końcu z rozpacz. Mnie skreślił Zola jako wizjonera, nędznego, zbląkanego nieszczęśnika, który wierzy, że rewolucjonizuje sztukę, w rzeczywistości zaś nie maluje w sposób konwencjonalny jedynie dlatego, że nie posiada na to dość talentu. Opisuje, jak wieszam się na rusztowaniu przed swym arcydziełem, uświadomiwszy sobie wreszcie, że to, co uważałem za genialne, jest jedynie zwariowaną zabawą farbami. Przeciwstawia mnie innemu artyście z Aix, sentymentalnemu rzeźbiarzowi, który tworzy najbanalniejsze, najbardziej akademickie śmiecie, i jego czyni wielkim artystą.

– To doprawdy zabawne – wtrącił Gauguin. – Gdy człowiek pomyśli, że ten sam Zola pierwszy walczył w obronie rewolucyjnego malarstwa Maneta. Emil uczynił dla impresjonizmu więcej niż ktokolwiek z żyjących.

– Tak, uwielbiał Maneta, ponieważ on obalił akademików. Ale gdy ja próbuję wyjść poza impresjonistów, nazywa mnie półgłówkiem i kretynek. Co się tyczy Zoli, jest to umysł zupełnie przeciętny i nielojalny przyjaciel. Już od dawna przestałem go odwiedzać. Mieszka jak każdy przeklęty burżuj: puszyste dywany na posadzkach, wazy na gzymsach kominków, służba, ozdobione rzeźbami biurko, przy którym pisze swoje arcydzieła. Jest gorszym filistrem, niż Manet kiedykolwiek odważył się być. Powinowactwo z wyboru: dlatego tak doskonale zgadzają się z sobą. Jedynie dlatego, że pochodzę z tego samego miasteczka co on i że mnie znał dzieckiem, sądzi, że ja nie mogę stworzyć nic wartościowego.

– Słyszałem, że kilka lat temu napisał broszurę o twoich obrazach w Salon des Refusees⁵¹. Co się z nią stało?

– Emil podarł ją przed oddaniem do druku.

– Dlaczego? – spytał Vincent.

– Obawiał się, że jego krytycy pomyślą, iż popiera mnie z powodu starej przyjaźni. Gdyby opublikował tę broszurę, zrobiłby mi reklamę. Zamiast tego opublikował L'Oeuvre. Tyle dała mi jego przyjaźń. Dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na stu wyśmiewa moje obrazy w Salon des Refusees. Durand-Ruel wystawił Degasa, Moneta i mojego przyjaciela Guillaumina, lecz mnie boi się oddać choćby dwa centymetry ściany. Nawet pański brat, panie van Gogh, boi się wystawić mnie w antresoli. Jedyne kupiec w Paryżu, który chciałby wystawić moje obrazy, to ojciec Tanguy. Ale on sam jest nędzarzem.

– Czy zostało jeszcze trochę wina, Cezanne? – spytał Gauguin. – Dziękuję! Co ja osobiście zarzucam Zoli, to to, że jego praczki mówią językiem prawdziwych praczek, natomiast gdy Zola przechodzi do opisu innych osób, zapomina zmienić styl.

– Mam Paryża po uszy! Wracam do Aix i zostanę tam do końca życia. Z jednego wzgórza pnącego się nad doliną można ogarnąć całą okolicę. Słońce w Prowansji jest przejrzyste i jaśniejące, a barwy... ach, co za barwy! Wiem o kawałku ziemi na wzgórzu, który jest do nabycia. Cały pokryty lasem sosnowym. Tam wybuduję sobie pracownię i założę sad jabłkowy. Dookoła każe postawić wysoki mur i posypać go tłuczonym szkłem. I nigdy więcej nie porzucę Prowansji.

– Pustelnik z Aix – mruknął Gauguin – czarujący tytuł. A teraz chodźmy do „Cafe Batignolles”. Na pewno zastaniemy już wszystkich.

VII

Byli już niemal wszyscy. Przed Lautrekiem piętrzył się stos podstawek, sięgający mu pod brodę. Seurat rozmawiał cicho z Anquetinem, chudym malarzem, który usiłował połączyć metodę impresjonistów z metodą sztychów japońskich. Henri Rousseau wyjmował z kieszeni bułeczki i maczał je w białej kawie. Theo gawędził żywo z dwoma modnymi krytykami.

Batignolles było dawniej przedmieściem u ujścia bulwaru Clichy. Tutaj gromadził Edward Manet pokrewne sobie dusze. Przed jego śmiercią dwa razy w tygodniu zbierała się w tej kawiarni „Ecole des Batignolles”. Legros, Fantin-Latour, Courbet, Renoir – wszyscy spotykali się tutaj i wypracowywali swoje teorie sztuki. Obecnie miejsce ich zajęła młodsza generacja artystów.

Wchodząc zobaczył Cezanne Emila Zolę. Pisarz wstał, powędrował do jednego z dalszych stolików, zamówił kawę i usiadł sam. Gauguin przedstawił Zoli Vincenta, potem przysiadł się do Lautreca. Zola i Vincent pozostali sami.

– Widziałem, panie van Gogh, że pan wszedł z Cezanne'em. Niewątpliwie mówił panu o mnie?

– Tak.

⁵¹Salon des Refusees – Salon Odrzuconych. Wystawa, urządzona jako protest przez malarzy, których dzieł nie przyjęto na oficjalny doroczny salon w roku 1863. Salon des Refusees stał się zaczątkiem walki grupy impresjonistów o uznanie; z niego również rozwinęła się instytucja Salonu Niezależnych, dorocznej wystawy, na którą każdy malarz mógł zgłosić swe obrazy.

– Co powiedział?

– Obawiam się, że pańska książka uraziła go do głębi.

Zola westchnął i odsunął nieco stolik od wyściełanej skórą ławki, aby zrobić więcej miejsca potrzebnego przy jego ogromnej tuszy.

– Mnie samego bardzo bolało, że napisałem tę książkę o Cezanne'ie, ale każde słówko w niej jest prawdziwe. Pan jest malarzem. Czy sfalszowałby pan portret przyjaciela dlatego tylko, żeby go nie unieszczęśliwić? Rzecz prosta, że nie! Paul jest wspaniałym człowiekiem; lata całe był moim najlepszym przyjacielem. Ale jego prace są po prostu śmieszne... Pan wie, u mnie w domu panuje największa tolerancja, lecz gdy przychodzą przyjaciele, muszę chować obrazy Cezanne'a do szafy, aby go nie wysmiano.

– Jego prace nie mogą być aż tak złe.

– Gorsze niż złe. Jeszcze ich pan nie widział. To tłumaczy pańską nieufność. Cezanne rysuje jak pięcioletnie dziecko. Słowo daję, niekiedy mam wrażenie, że zwariował.

– Gauguin ceni go bardzo – rzekł Vincent.

– Serce mi pęka z bólu – ciągnął Zola – gdy widzę, że Cezanne marnuje życie w ten sposób. Powinien wrócić do Aix i zająć miejsce swego ojca w banku, w tym wypadku mógłby jeszcze pokierować jakoś swym życiem. Ale tak, jak sprawy teraz stoją... Pewnego dnia powiesi się niechybnie... zupełnie tak, jak to przepowiedziałem w L'Oeuvre. Czytał pan tę książkę?

– Jeszcze nie. Przeczytałem dopiero *Germinal*.

– No i co pan o tym sądzi?

– Uważam, że to najlepsza książka od czasu Balzaka.

– Tak, to moje arcydzieło. *Germinal* ukazał się naprzód w odcinku „*Gil Blas*”⁵². Dostałem za to moc pieniędzy. Ale teraz sprzedano już przeszło sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Moje dochody nigdy nie były tak wielkie jak obecnie. Dobudowuję właśnie nowe skrzydło w moim domu w Medan. Książka wywołała już cztery strajki i rewolty we francuskich okręgach górniczych. *Germinal* spowoduje olbrzymią rewolucję, a gdy się to stanie, koniec z kapitalizmem. Jakie rzeczy pan maluje? Co powiedział Gauguin, jak panu na imię?

– Vincent. Vincent van Gogh. Theo van Gogh jest moim bratem.

Zola odłożył ołówek, którym kreślił coś na marmurowej płycie stolika i wpatrzył się w Vincenta.

– Dziwne – rzekł.

– Co jest dziwne?

– Pańskie imię. Już gdzieś je słyszałem.

Mowa tu o dodatku tygodniowym do popularnego codziennego pisma pod tym tytułem. Zola złożył ręce nad tłustym brzuchem i przyciskał go do wewnątrz.

– Może Theo wspominał panu o mnie?

– To również. Ale nie o to idzie. Chwileczkę! Aha, *Germinal*... Czy przebywał pan kiedyś w zagłębiu węglowym?

– Tak. Żyłem dwa lata w Borinage w Belgii.

– Borinage! Petit Wasmes! „*Marcasse*”!...

Wielkie oczy zdawały się wyskakiwać z okrągłej, brodatej twarzy Zoli.

⁵²Mowa tu o dodatku tygodniowym do popularnego codziennego pisma pod tym tytułem.

– Tak... Pan jest zatem owym drugim Chrystusem...

Vincent zarumienił się.

– Co pan ma na myśli?

– Spędziłem pięć tygodni w Borinage, zbierając materiał do mojej książki. Górnicy opowiadali mi ciągle o jakimś Chrystusowym człowieku, który żył wśród nich jako kaznodzieja.

– Ciszej, na miłość boską!

– Nie ma pan się czego wstydzić – rzekł Zola. – To, co pan usiłował czynić, jest w zasadzie dobre. Nie wybrał pan tylko odpowiedniej drogi. Religia nigdy nie wyzwoli ludu. Jedynie ubodzy duchem potrafią pogodzić się z nędzą na tym świecie za nadzieję rajy na tamtym.

– Do tego wniosku i ja doszedłem, za późno niestety.

– Spędził pan w Borinage dwa lata, panie Vincencie. Rozdawał pan biednym swoją strawę, swoje pieniądze i odzież. Zapracowywał się pan na śmierć. I co pan za to uzyskał? Nic! Przewano pana szaleńcem i wyrzucono z kościoła. Kiedy pan stamtąd odchodził, położenie osady nie było lepsze.

– Było gorsze.

Ja natomiast swoimi środkami coś zdziałałem. Pisane słowo wznieci rewolucję. Każdy górnik z Belgii i Francji, umiejący czytać, zna moją książkę. Nie ma ani jednego bistro, ani jednej nędznej chaty w całej okolicy bez zniszczonego od ciągłego czytania egzemplarza *Germinal*. A ci, co nie umieją czytać, kazali go sobie odczytywać wciąż na nowo. Już cztery strajki! I dziesiątki nowych w drodze! Cały kraj powstaje. *Germinal* stworzy nowe społeczeństwo – czego nie mogła dokonać pańska religia. A co otrzymuję za to?

– Co?

– Franki, Tysiące, tysiące franków. Czy napije się pan ze mną wina?

Dyskusja przy stole Lautreca ożywiła się coraz bardziej, zwracając uwagę gości.

– Jak ma się sprawa z „moją metodą”? – pytał Lautrec Seurata, wyłamując sobie głośno jeden palec po drugim.

Seurat udał, że nie dostrzega ironii. Jego pełna spokoju twarz o szlachetnych rysach była raczej wcieleniem męskiej urody niż twarzą żywego mężczyzny.

– Ukazała się. nowa książka o barwach, autorem jest Amerykanin Ogden Rood. Stanowi ona krok naprzód w stosunku do książek Helmholtza i Chevrala, chociaż nie daje tych podnieci co dzieło *Supervielle'a*. Radzę wam wszystkim ją przeczytać.

– Nie czytam książek o malarstwie – oświadczył Lautrec.

– Pozostawiam to laikom.

Seurat rozpiął surdut w czarno-białą kratkę i poprawił wielki błękitny krawat w białe grochy.

– Pan sam jesteś laikiem – oświadczył – póki stosuje pan farby jedynie na chybił trafił.

– Nie stosuję ich na chybił trafił. Wiem instynktownie, co jest właściwe.

– Wiedza daje metodę, Georges – wtrącił Gauguin. – Dzięki latom ciężkiej pracy i ciągłego eksperymentowania osiągnęliśmy pewną wiedzę o sposobie stosowania farb.

– To nie wystarcza, mój drogi. Nasza epoka jest nastawiona na obiektywną produkcję. Okres natchnienia, prób i błędów minął na zawsze.

– Nie mogę czytać tych książek – oznajmił Rousseau.

– Zaraz dostaję bólu głowy. Potem muszę cały dzień malować, aby się go pozbyć.

Wszyscy się roześmiali. Anquetin zwrócił się do Zoli i zapytał:

– Czytał pan już w dzisiejszej prasie atak na Germinal?

– Nie. Co takiego piszą?

– Krytyk nazywa pana najbardziej niemoralnym pisarzem dziewiętnastego wieku.

– Stara śpiewka. Czy doprawdy nie potrafia wymyślić czegoś nowego?

– Mają jednak słusność, panie Zola – rzekł Lautrec. – Uważam pańskie książki za zmysłowe i sprośne.

– Pan to musi wiedzieć najlepiej.

– Dostało ci się tym razem, Lautrec!

– Garcon – zawołał Zola – kolejkę dla wszystkich!

– Zaczyna się – szepnął uszczypliwie Cezanne Anquetinowi na ucho. – Gdy Emil stawia, nastąpi przynajmniej godzinny wykład.

Kelner przyniósł trunki. Malarze zsunęli się, tworząc niewielki, zwarty krąg, i zapalili fajki. Gazowe lampy rozświetlały salę mdłym światłem. Rozmowy przy innych stolikach ścichły.

– Powiadają, że moje książki są niemoralne – zaczął Zola – z tej samej przyczyny, dla której zowią pańskie obrazy niemoralnymi, Henri. Publiczność nie może zrozumieć, że w dziedzinie sztuki nie ma kryteriów moralnych. Sztuka jest amoralna, podobnie jak życie. Sprośne obrazy lub książki nie istnieją dla mnie, istnieją tylko takie, które są marne w założeniu i wykonaniu. Dziwka Toulouse-Lautreca jest moralna, ponieważ pozwala on dojrzeć w niej piękno ukryte pod powierzchnią, natomiast niewinna dziewczyna wiejska Bouguereau jest niemoralna, ponieważ jest przesłodzona i namalowana w tak czułościowy sposób, że słabo się człowiekowi robi na jej widok.

– Tak, to prawda – przytaknął Theo.

Vincent zauważył, że malarze słuchają Zoli z szacunkiem, nie ze względu na jego powodzenie – gardzili powodzeniem w zwykłym znaczeniu tego słowa – lecz dlatego, że środek, którym się posługiwał dla wyrażenia myśli, zdawał się im tajemniczy i trudny. Łowili w napięciu każde słowo.

– Zwykły umysł ludzki – ciągnął pisarz – myśli w kategoriach dwoistości: światła i cienia, słodczy i kwasu, dobra i zła. W rzeczywistości jednak ów dualizm wcale nie istnieje. Świat nie składa się z dobra lub zła, lecz z bytu i działania. Gdy opisujemy jakieś działanie, opisujemy życie. O ile jednak nadamy temu działaniu nazwy, jak zepsucie, plugawość i tak dalej, znajdziemy się na terenie subiektywnych przesądów.

– Ależ, Emilu – zaprotestował Theo – co uczyniłyby szerokie masy, gdyby nie było zasad moralnych?

– Moralność jest jak religia – wtrącił Lautrec. – Jest środkiem usypiającym, dzięki któremu ludzie nie widzą blichtru życia.

– Pańska amoralność jest niczym innym, jak anarchizmem dodał Seurat – w dodatku anarchizmem nihilistycznym. Już dawniej był on w modzie, ale nic z tego nie wyszło.

– Oczywiście, pewne niezłomne przykazania są niezbędne – zgodził się Zola. – Dobro ogólne wymaga ofiar od jednostki. Nie występuje zgoła przeciw moralności, lecz przeciw pruderii, która pluje na taki obraz jak Olympia i chce zmiażdżyć Maupassanta. Moralność

we Francji ogranicza się dziś wyłącznie do spraw erotycznych. Pozwólcie ludziom spać, z kim chcą. Ja znam wyższą moralność niż to.

– Przypomina mi to o obiedzie, który urządziłem kilka lat temu – rzekł Gauguin. – Jeden z zaproszonych powiedział mi: „Rozumie pan, przyjacielu, że nie mogę przyprowadzić do pana na obiad mojej żony, jeżeli będzie pańska kochanka”. „Dobrze – odparłem – odprawię ją tego dnia z domu”. Gdy obiad się skończył i wszyscy rozeszli się do domów, owa uczciwa dama, która ziewała przez cały wieczór, przestała ziewać i powiedziała mężowi: „Może byśmy tak pogadali o jakichś miłych świństewkach, zanim...” Mąż jej odpowiedział: „Lepiej pogadajmy tylko, za dużo zjadłem dziś wieczór”.

– Wspaniała historia – zawołał Zola przekrzykując śmiechy.

– Zostawmy przez chwilę etykę na boku i wróćmy do niemoralności w sztuce – odezwał się Vincent. – Moich obrazów nikt wprawdzie jeszcze nie nazwał sprośnymi, ale zarzucają mi większą niemoralność: brzydotę.

– Otóż to właśnie – przytaknął Toulouse-Lautrec.

– Tak jest, publiczność dopatruje się w tym kwintesencji nowej niemoralności – dodał Gauguin. – Widzieliście, jak „Mercure de France”⁵³ nazywa nasze obrazy w ostatnim numerze? Kultem brzydoty.

– Ten sam zarzut podnoszą przeciw mnie – rzekł Zola.

– Pewna hrabina powiedziała do mnie onegdaj: „Drogi panie Zola, jak może człowiek, obdarzony tak niezwykłym talentem jak pan, podnosić kamienie, aby widzieć ohydne robaki pełzające pod nimi?”

Lautrec wyciągnął z kieszeni stary wycinek gazety.

– Posłuchajcie, co mówi krytyka o moich obrazach na ostatniej wystawie „Niezależnych”⁵⁴: „Toulouse-Lautrecowi musimy postawić zarzut, że upodobał sobie przedstawianie trywialnych uciech, prostackich rozrywek i tym podobnych niskich motywów. Wydaje się całkiem nieczuły na piękno rysów ludzkich, wykwint postaci, wdzięk ruchów. Wprawdzie maluje te nieforemne i odrażające istoty z ciepłem – miłością, ale jaki sens ma podobna perwersja?” Cienie Fransa Halsy – mruknął Vincent.

– Krytyka ma rację – zabrał głos Seurat. – Chociaż o perwersji u was nie ma mowy, jesteście wszyscy bez wyjątku na błędnej drodze. Sztuka ma do czynienia z rzeczami abstrakcyjnymi, jak barwa, rysunek, tonacja. Nie powinna służyć poprawie stosunków społecznych ani wyszukiwaniu brzydoty. Malarstwo powinno być jak muzyka – wyzwolone zupełnie z dnia powszedniego.

– Wiktor Hugo umarł przed rokiem – rzekł znów Zola – a wraz z nim zmarła pewnego typu cywilizacja. Świat pięknych gestów, romantyzmu, pełnych ułudy kłamstw i subtelnego unikania prawdy. Moje książki są reprezentantami nowej cywilizacji, niemoralnej cywilizacji dwudziestego wieku. Podobnie ma się rzecz z waszym malarstwem. Bouguereau wciąż jeszcze wlecze swego trupa po Paryżu, ale zachorował śmiertelnie w dniu, gdy Manet wystawił swoje Śniadanie na trawie, a dokonał żywota w dniu, gdy Manet wystawił Olymپیę. Teraz odszedł Manet, odszedł Daumier, ale mamy Degasa, Lautreca i Gauguina, którzy kontynuują ich dzieło.

– Dodaj pan do tej listy Vincenta van Gogha – wtrącił Toulouse-Lautrec.

⁵³ „Mercure de France” – literacki tygodnik francuski (1672-1825) wznowiony pod tymże tytułem w roku 1890 przez grupę pisarzy-symbolistów.

⁵⁴ „Wystawa Niezależnych” – patrz przypis do strony 374.

- Na czele listy – dodał Rousseau.
- Doskonale, Vincencie – oświadczył Zola z uśmiechem.
- Zostaje pan mianowany „kapłanem brzydoty”. Przyjmuje pan tę godność?
- Niestety – odrzekł Vincent – obawiam się, że się na to urodziłem.

- Sformułujmy zatem, moi panowie – ciągnął Zola – manifest. Wierzmy, że wszelka prawda jest piękna, bez względu na to, jak ohydne posiada oblicze. Przyjmujemy wszystko w naturze bez zastrzeżeń. Wierzmy, że szorstka prawda zawiera w sobie więcej piękna niż najbardziej pociągające kłamstwo, a wszystko, co z ziemią związane – więcej poezji niż wszystkie wytworne salony Paryża razem wzięte. Wierzmy, że ból jest dobry, ponieważ płynie z najgłębszych pokładów duszy, wierzymy, że płęć jest piękna, choćby się objawiała w dziewczynie ulicznej i alfonsie. Przenosimy charakter ponad brzydotę, ból ponad piękno, a twardą okrutną rzeczywistość ponad całe bogactwo Francji. Przyjmujemy życie w całości, bez moralnych osądów. Uważamy dziewczynę uliczną za tak samo dobrą jak hrabina, dozorcę domu cenimy na równi z generałem, chłopca na równi z ministrem, albowiem oni wszyscy mają miejsce na ziemi i są wpłeceni we wzorzystą tkaninę życia.

- W górę kielichy! – wykrzyknął Toulouse-Lautrec. – Pijemy za moralność i kult brzydoty! Oby ona upiększyła i odnowiła świat!

- Bzdura – powiedział Cezanne.

- Piramidalna bzdura – dodał Seurat.

VIII

Z początkiem czerwca Theo i Vincent przenieśli się do nowego mieszkania: rue Lepie 54 na Montmartre. Dom stał niedaleko od ich dotychczasowego mieszkania przy rue Laval. Wystarczyło przejść rue Montmartre obok paru bloków do bulwaru Clichy, potem iść w górę krętą rue Lepie poza Moulin de La Galette, aby dojść do części Butte o charakterze niemal wiejskim.

Mieszkanie, znajdujące się na trzecim piętrze, składało się z trzech pokoi, gabinetu i kuchni. Salonik, z wielkim piecem chroniącym przed paryskimi chłodami, ozdobiły piękne stylowe meble Louis Philippe. Theo posiadał szczególny dar czynienia pokoju miłym i przytulnym. Jego sypialnia leżała obok. Vincent miał spać w gabinecie, za którym leżało jego atelier, pokój przeciętnych rozmiarów o jednym oknie.

- Nie potrzebujesz teraz pracować u Kormana, Vincencie – rzekł Theo. Rozstawiali właśnie meble w saloniku.

- Nie, chwała Bogu! Ale miałem zrobić jeszcze parę aktów kobiecych.

Theo postawił kanapę ukosem, u wejścia do gabinetu, i raz jeszcze rozejrzał się krytycznie.

- Od dość dawna nie dokończyłeś żadnego obrazu, prawda?

- W istocie.

- Dlaczego?

- Co by to miało za sens? Muszę się naprzód nauczyć właściwie mieszać farby... Gdzie postawić ten fotel, Theo? Pod lampą czy przy oknie?... Ale teraz, kiedy mam własne atelier...

Nazajutrz Vincent wstał o świcie, rozstawił sztalugi w nowej pracowni, nabił świeże płótno, przygotował lśniącą nową paletę – dar Thea – i zamoczył pędzle. Gdy nadeszła

pora, w której Theo zwykle wstawał, Vincent zaparzył kawę i zbiegł na dół do piekarni po świeże, chrupiące rogaliki.

Theo wyczuł poprzez stół burzliwe podniecenie brata.

– A więc, Vincencie – zaczął – ukończyłeś trzymiesięczny kurs. Nie, nie mam na myśli atelier Kormana, lecz szkołę Paryża. Poznałeś najwspanialsze malarstwo, jakie zostało stworzone w Europie od lat trzystu. A teraz jesteś gotów, aby...

Vincent odsunął napoczętą kawę i zerwał się:

– Zdaje mi się, że zacznę...

– Zaraz. Usiądź! Przede wszystkim dokończ śniadanie. Czasu masz dosyć, nie potrzebujesz się o nic troszczyć. Zakupię ci hurtowo płótno i farby, abyś miał ich zawsze pod dostatkiem. Ale musisz doprowadzić do porządku swoje zęby. Chcę, żebyś był zupełnie zdrow. I na miłość boską, pracuj powoli i starannie.

– Nie gadaj głupstw, Theo! Czy kiedykolwiek pracowałem powoli i starannie?

Kiedy wieczorem Theo wrócił do domu, zastał Vincenta w najczarniejszej rozpacz. Przez sześć lat pracując w rozdzierających serce warunkach, uczynił mimo wszystko postępy, obecnie zaś, kiedy usunięto mu zapory sprzed nóg, ujrzał swą ponizającą nieudolność: nie potrafił nic stworzyć.

Wybiła godzina dziesiąta, nim Theo zdołał go uspokoić. Gdy szli na kolację, wiara Vincenta częściowo wróciła. Theo był blady i zmęczony.

Następne tygodnie były dla obu torturą. Co wieczór powracając z galerii zastawał Theo Vincenta w jednym z jego burzliwych nastrojów. Mocny zamek u drzwi w jego pokoju niewiele pomagał. Vincent siedział do brzasku na jego łóżku i bez przerwy gadał. A gdy Theo zasypiał, Vincent potrząsał go za ramię i budził.

– Przestań biegać po pokoju i siądź na chwilę – błagał Theo pewnej nocy. – I przestań wreszcie pić ten okropny absynt. Gauguin nie przez absynt został dobrym malarzem. A teraz posłuchaj, ty piekielny idioto! Musisz poczekać przynajmniej rok, nim zaczniesz patrzeć krytycznie na swoje prace. Co dobrego osiągniesz tą ciągłą gorączką? Chudniesz tylko, stajesz się nerwowy. Wiesz przecie, że w tych warunkach nie możesz dać z siebie maksimum.

Nadeszły upały paryskiego lata. Słońce spalało ulice. Cały Paryż siedział do pierwszej lub drugiej w nocy na tarasach kawiarni, przy chłodzących napojach. Kwiaty na Butte Montmartre wybuchały kaskadą barw. Sekwana wiła się połyskującą wstęgą przez miasto, przez trawiaste, chłodne płaszczyzny i między grupami drzew.

Co rano Vincent pakował sztalugi na plecy i wychodził na poszukiwanie motywów. Nigdy w Holandii nie zaznał tak długotrwałego, gorącego słońca, nigdy nie widział barw tak mocnych i intensywnych jak tutaj. Co wieczór wracał na czas, aby brać udział w emocjonujących dyskusjach w antresoli Goupilów.

Pewnego dnia przyszedł do niego Gauguin, aby mu pomóc w mieszaniu farb.

– U kogo je kupujesz? – zapytał.

– Theo kupuje hurtem.

– Powinieneś popierać ojca Tanguy. Ma on najniższe ceny w Paryżu, a nadto w potrzebie też cię nie opuści.

– Kto to taki ów ojciec Tanguy? Już raz słyszałem o nim.

– Nie znasz go jeszcze? Wielkie nieba, nie wolno ci zwlekać ani chwili dłużej! Prędko, wkładaj swoją króliczą czapkę i chodźmy na rue Clauzel.

Gdy szli krętą, schodzącą w dół rue Lepie, Gauguin opowiadał historię ojca Tanguy.

– Przed przybyciem do Paryża wykonywał on roboty stiukowe. Pracował czas jakiś przy mieszanii farb u Maneta, potem gdzieś na Butte przyjął posadę dozorczy. Jego żona zajęła się gospodarstwem, on zaś począł sprzedawać malarzom farby. Poznał Pissarra, Moneta i Cezanne'a, a że go polubili – ciągnął Gauguin – wszyscy zaczęliśmy zaopatrywać się u niego w farby. Wraz z komunardami brał udział w Komunie Paryskiej. Pewnego dnia, gdy drzemał na posterunku, napadła na niego banda wersalczyków; ale że biedak nie potrafił strzelać do ludzi, cisnął karabin precz. Został potem skazany na dwa lata robót przymusowych w Brest. Udało nam się go stamtąd wydostać. Zaoszczędził sobie trochę franków i otworzył maleńki sklepik przy rue Clauzel; Lautrec wymalował mu front na kolor niebieski. Tanguy pierwszy w Paryżu wystawił obraz Cezanne'a; od tego czasu wszyscy dajemy mu nasze obrazy. Nie, żeby sprzedał kiedykolwiek który z nich. Ach nie! Tanguy jest wielkim entuzjastą sztuki, lecz ponieważ jest biedny jak mysz kościelna, nie może sobie pozwolić na kupno obrazów. Wystawia je więc tylko w swoim sklepiku i w ten sposób przebywa pośród nich cały dzień.

– Myślisz, że nie sprzedałby obrazu nawet wówczas, gdyby mu ktoś chciał dobrze zapłacić?

– Na pewno nie! Bierze tylko te obrazy, które mu się podobają, a gdy się do któregoś przywiąże, trudno obraz wydostać z powrotem. Byłem pewnego razu u niego, gdy wszedł jakiś elegancko ubrany pan. Podziwiał jednego z Cezanne'ów i zapytał o cenę. Każdy inny kupiec byłby rad mogąc go sprzedać za sześćdziesiąt franków. Ojciec Tanguy jednak spoglądał długo na obraz, potem powiedział: „Ach tak, ten obraz. To wyjątkowo dobry Cezanne. Nie sprzedałbym go nawet za sześćset franków”. Kiedy klient wyszedł, ojciec Tanguy zdjął obraz ze ściany i ze łzami w oczach mu się przyglądał.

– W takim razie co za sens wystawiać u niego obrazy?

– Ojciec Tanguy jest osobliwym człowiekiem. Jedyne, co pojmuje ze sztuki, to mieszanie farb, a jednak posiada nieomylny zmysł dla autentyzmu, dla prawdy. O ile zechce kiedyś mieć twój obraz, daj mu go. Będzie to twoje oficjalne wprowadzenie w sztukę paryską. Jesteśmy już na rue Clauzel, skręcamy.

Rue Clauzel była pełna małych sklepików, nad którymi wznosiły się dwa lub trzy piętra mieszkań z białymi okiennicami. Sklepik ojca Tanguy mieścił się naprzeciwko *ecole primaire*⁵⁵ dla dziewcząt.

Ojciec Tanguy siedział nad paroma reprodukcjami japońskimi, które właśnie poczynały wchodzić w modę.

– Ojciec Tanguy – powiedział Gauguin – przyprowadziłem mojego przyjaciela, Vincenta van Gogha. Jest on tych samych, co pan przekonań.

– Cieszę się, że widzę pana w moim sklepie – odparł Tanguy miękko, kobiecym niemal głosem.

Był to niski człowiek o tęgiej twarzy i wiernych, melancholijnych psych oczach. Nosił kapelusz słomkowy z szerokim rondem, nasunięty głęboko na czoło. Miał krótkie ramiona, grube ręce i szorstką brodę. Prawe oko było znacznie mniejsze od lewego.

⁵⁵Szkoła powszechna.

– Doprawdy jest pan moich przekonań, monsieur van Gogh? – spytał nieśmiało.

– Nie wiem, co pan przez to rozumie, ojciec Tanguy. Uważam, że każdy powinien pracować tyle, ile może, i to w zawodzie, który mu najbardziej odpowiada. W zamian ma dostawać wszystko, co potrzebne do życia.

– Nic prostszego jak to – parsknął Gauguin.

– Ach, Paul – westchnął ojciec Tanguy – ty przecież byłeś na giełdzie. Pieniądz robi z człowieka zwierzę, prawda?

– Pieniądz lub brak pieniądza.

– Nie, brak pieniądza nigdy. Chyba brak jedła i tego, co najniezbędniejsze do życia.

– Całkiem słusznie, ojciec Tanguy – przytaknął Vincent.

– Nasz przyjaciel Paul – rzekł Tanguy – gardzi ludźmi, którzy robią pieniądze, i gardzi nami, ponieważ tego nie potrafimy. Ale ja wolę należeć do tych ostatnich. Człowiek, który wydaje dziennie więcej niż pięćdziesiąt centymów, jest łajdakiem.

– Okoliczności sprawiły – odparł Gauguin – że jestem równie cnotliwy. A teraz ojciec Tanguy, czy możesz mi dać jeszcze trochę farb? Wiem, że jestem ci winien moc pieniędzy, nie mogę jednak pracować bez...

– Dobrze, Paul, dam ci na kredyt. Gdybym ja miał cokolwiek mniej zaufania do ludzi, ty zaś cokolwiek więcej, obaj wyszlibyśmy na tym dobrze. A gdzie nowy obraz, który mi obiecałeś? Może potrafię go sprzedać i dostać w ten sposób, pieniądze, któreś mi winien?

– Gauguin mrugnął znacząco na Vincenta: Przyniosę ci dwa, ojciec Tanguy, będziesz je mógł powiesić obok siebie. A teraz daj mi tubę czarnej, tubę żółtej...

– Zapłać pan naprzód rachunek, potem dostaniesz farby! Wszyscy trzej odwrócili się jednocześnie. Madame Tanguy zatrzasnęła drzwi wiodące do mieszkania i weszła do sklepu. Była to mała, chuda kobiecina o twardej, wąskiej twarzy i oczach pełnych goryczy. Rzuciła się na Gauguina.

– Jak się panu zdaje, czy my prowadzimy sklep, czy instytucję dobroczynną? Sądzi pan, że możemy żyć z komunizmu ojca Tanguy? Zapłać rachunek, łobuzie, albo sprowadzę policję!

Gauguin uśmiechnął się czarująco, ujął rękę pani Tanguy i ucałował szarmancko:

– Ksantypo, wygląda pani dziś uroczo.

Pani Tanguy nie rozumiała, dlaczego ten przystojny brutal nazywa ją zawsze Ksantypą, ale lubiła dźwięk tego słowa i myślała, że jest pochlebne.

– Niech pan nie sądzi, że mnie pan tym skaptuje, łajdaku. Życie tracę przy mieszaniu tych przebrzydłych farb, a potem pan przychodzi i kradnie je nam!

– Kochana Ksantypo, proszę nie być taką srogą. Pani posiada duszę artysty, ona promieniuje z każdego rysu pani ładnej twarzy.

Madame podniosła fartuch do twarzy, jak gdyby chciała otrzeć z niej „duszę artysty”.

– Bzdury – krzyknęła – jeden artysta w rodzinie wystarczy. Zapewne powiedział panu, że potrzebuje pięćdziesiąt centymów dziennie. Jak pan sądzi, skąd wzięłby tych pięćdziesiąt centymów, gdybym ja nie zarabiała na niego?

– Cały Paryż mówi o pani uprzejmości i dzielności, madame.

– Schylił się i powtórnie musnął wargami jej szorstką rękę. Roztąjała do reszty. No, znana rzecz, że pan jest łajdakiem i pochlebcą. Ale tym razem dostanie pan jeszcze trochę farb. Tylko patrz pan, żeby rachunek został jak najprędzej wyrównany.

– Za tę grzeczność wymaluję portret pani. Pewnego dnia zawisnie w Luwrze i oboje nas unieśmiertelni.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Do sklepu wszedł obcy gość.

– Ten obraz w oknie – zapytał – ta martwa natura, czyje to?

– To Cezanne.

– Cezanne? Nigdy o takim nie słyszałem. Czy ten obraz jest do sprzedania?

– Nie, niestety już...

Madame Tanguy zdjęła fartuch, odepchnęła męża i podbiegła do klienta:

– Oczywiście, jest do sprzedania. Piękna martwa natura, prawda? Widział pan kiedyś takie jabłko? Sprzedamy ją panu tanio, skoro się panu tak podoba.

– Ile?

– Ile, Tanguy – spytała groźnie madame.

Tanguy zastanowił się:

– Trzys...

– Tanguy!

– Dwieś...

– Tanguy!

– Sto franków.

– Sto franków za nieznanego malarza? – zdziwił się klient.

– To chyba za dużo. Byłem przygotowany na dwadzieścia pięć.

Madame Tanguy wyjęła obraz z okna.

– Widzi pan, to duży obraz, są na nim cztery jabłko. Cztery jabłko za sto franków. Pan chciałby wydać dwadzieścia pięć. Więc może pan weźmie jedno jabłko?

Klient studiował chwilę obraz i rzekł:

– Istotnie, dobra myśl. Niech pani wytnie jedno jabłko na całą długość obrazu. Wezmę je.

Madame pobiegła do mieszkania, przyniosła nożyczki i odcięła jedno jabłko. Zawinęła płótno w papier, podała klientowi i wzięła dwadzieścia pięć franków. Klient wyszedł z zawiniątkiem pod pachą.

– Mój ulubiony Cezanne – jęczał ojciec Tanguy. – Umieściłem go w oknie, aby go przechodnie mogli oglądać i z radością w sercu iść dalej.

Madame położyła okaleczony obraz na ladzie:

– Kiedy ktoś zechce kupić Cezanne'a, a nie będzie miał pieniędzy, sprzedasz mu znów jedno jabłko. Bierz, co dadzą. I tak nie są nic warte. Maluje ich tak dużo. Nie śmiej się, Paul, to samo odnosi się do ciebie. Zdejmę ze ścian wszystkie twoje obrazy i sprzedam każdą z twoich pogańskich nagich bab po pięć franków sztuka.

– Droga Ksantypo, spotkaliśmy się za późno. Gdyby pani była moją partnerką na giełdzie, bylibyśmy teraz właścicielami Banku Francji.

Kiedy madame zniknęła za drzwiami, ojciec Tanguy zwrócił się do Vincenta:

– Pan jest malarzem, prawda? Cieszyłoby mnie, gdyby pan kupował farby u nas. I może pan pozwoli obejrzeć mi kiedyś pańskie prace?

– Z przyjemnością. Widzę tu prześliczne sztychy japońskie. Czy są na sprzedaż?

– Tak jest. Wchodzą obecnie w Paryżu w modę, odkąd zbierają je bracia Goncourtowie. Nasi młodzi malarze są pod ich wpływem.

- Podobają mi się te dwa. Chętnie przestudiowałbym je dokładniej. Ile kosztują?
- Po trzy franki za sztukę.
- Biorę je... Ach Boże, na śmierć zapomniałem, że wydałem dziś rano ostatniego franka.

Gauguin, czy ma pan przy sobie sześć franków?

- Ja? Kiepski żart.

Vincent położył niechętnie sztychy z powrotem na ladę.

- Muszę je na razie zostawić, ojcie Tanguy.

Tanguy wetknął mu je w rękę i spojrzął na niego z nieśmiałym uśmiechem na pospolitej twarzy.

- Potrzebne są panu przecie do pracy. Proszę je wziąć. Zapłaci pan kiedy indziej.

IX

Theo zaprosił przyjaciół Vincenta na małe przyjęcie. Ugotowali cztery tuziny jaj na twardo, kupili beczkę piwa i przygotowali niezliczone ilości kanapek i słodczy. Dymu było wkrótce tyle, że ogromny Gauguin idący przez pokój wyglądał niby statek transoceaniczny we mgle. Lautrec przykucnął w kącie, rozbijał jaja na poręczy ulubionego fotela Thea, a skorupki rzucał na dywan. Rousseau gorączkował się z powodu małego, perfumowanego liściku, który otrzymał właśnie od jednej z wielbicielek chcącej go poznać. Opowiadał każdemu z osobna tę historię otwierając szeroko oczy ze zdziwienia. Seurat, będący właśnie w trakcie budowania nowej teorii, trzymał Cezanne'a przy oknie i objaśniał mu ją szczegółowo. Vincent toczył piwo z beczki, śmiał się z dwuznacznych anegdotek Gauguina, roztrząsał z Rousseau, kim może być jego nie znana adoratorka, debatował z Lautrekiem na temat, czy wrażenie optyczne można oddać lepiej za pomocą linii, czy punktów, i wreszcie oswoił Cezanne'a z łap Seurata.

Podniecenie rosło. Zebranych tu ludzi cechowała silna indywidualność i bezwzględny egoizm. Wszyscy byli obrazoburcami i pionierami nowych dróg. Theo zwał ich opętańcami i monomanami. Dyskutowali, walczyli z sobą, klęli, bronili zaciekle swoich idei i równie zaciekle potępiali wszystkie inne. Mówili krzycząc niemal; nieprzejrzana była liczba rzeczy, których nienawidzili. Sala dwadzieścia razy większa od pokoju Thea byłaby jeszcze zbyt mała, aby pomieścić dynamiczną siłę wrzeszczących, kłócących się malarzy.

Ogólny gorączkowy nastrój podniecał Vincenta do płomiennych mów, u Thea natomiast wywoływał ból głowy. Zgiełk nie odpowiadał jego naturze. Lubił, bardzo lubił wszystkich, którzy tu byli: czyż od lat nie walczył u Goupilów w ich sprawie? Lecz ich szorstkie maniery były mu obce. Theo miał w sobie coś delikatnego, kobiecego. Toulouse-Lautrec zauważył raz ze zwykłym gryzącym sarkazmem:

- Szkoda, że Theo jest bratem Vincenta. Mógłby być dla niego doskonałą żoną.

Theo równie niechętnie sprzedawał Bouguereau, jak Vincent malowałby obrazy tego rodzaju. A jednak, gdy sprzedawał Bouguereau, Valadon pozwalał mu wystawiać Degasa. Pewnego dnia nakłoni Valadona, aby mu pozwolił wystawić Cezanne'a, potem Gauguina lub Lautreca, a końcu – pewnego dalekiego jeszcze dnia – Vincenta van Gogha...

Spojrzął raz jeszcze na hałaśliwy, zadymiony pokój, wymknął się niepostrzeżenie i powędrował w górę na Butte Montmartre. Stąd w ciszy i samotności patrzył dłużej na rozlane w dole światła Paryża.

Gauguin debatował tymczasem z Cezanne'em. W jednej ręce trzymał twarde jajko i bułkę, w drugiej – szklanę piwa. Chętnie się zawsze tym, że jest jedynym człowiekiem w Paryżu, który potrafi pić piwo trzymając fajkę w ustach.

– Twoje obrazy są zimne, Cezanne – krzyczał. – Zimne jak lód. Marznę patrząc na nie. Na wszystkich kilometrach płótna, które wymalowałeś, nie ma ani grama uczucia.

– Nie mam też wcale zamiaru malować uczuć – odparł ostro Cezanne. – Zostawiam to pisarzom. Maluję jabłka i pejzaże.

– Nie malujesz uczuć dlatego, że nie jesteś do nich zdolny. Malujesz wyłącznie oczyma.

– A czym powinno się malować?

– Wszelkimi możliwymi środkami! – Gauguin rozejrzał się szybko po pokoju. – Lautrec maluje żółcią, Vincent – sercem, Seurat – intelektem, a to prawie tak samo źle, jak malować oczami. Rousseau maluje fantazją.

– A ty czym, Gauguin?

– Ja?... Nie wiem.

– To ja ci powiem – huknął Lautrec. – Malujesz genitaliami!

Seurat usiadł na poręczy kanapy i zawołał starając się przekrzyknąć ogólny śmiech i wrzawę:

– Możecie się śmiać z człowieka, który maluje głową, ale to właśnie pomogło mi zrobić odkrycie, w jaki sposób nasze obrazy mogą być podwójnie efektowne.

– Czy znowu musimy słuchać jego błag? – jęknął Cezanne.

– Cicho, Cezanne! Gauguin usiądź i nie rób zamieszania! Rousseau, przestań wreszcie z tą historyjką o wielbiciele. Lautrec, rzuć mi jajko! Vincent, bułeczkę! Słuchajcie wszyscy!

– Co ci się stało Seurat? Nie widziałem nigdy, żebyś był tak podniecony od dnia, gdy ów typ napluł ci na obraz w Salonie Niezależnych.

– Cicho!

– Słuchajcie! Czym jest dziś malarstwo? Światłem. Jakim światłem? Stonowanym. Barwnymi punktami, które przepływają w siebie...

– To nie malarstwo, to pointylizm.

– Na miłość boską, Georges, już znowu zaczyna pan z tą intelektualną brednią?

– Słuchajcie! Namalowaliśmy obraz. I co z nim robimy? Powierzymy go jakiemuś idiotcie, który pakuje go w złote ramy i kompletnie niszczy wrażenie. Otóż proponuję, abyśmy nie wypuszczali obrazu z ręki, póki sami go nie oprawimy; ramę zaś musimy pomalować w ten sposób, aby stała się częścią składową obrazu i tworzyła z nim całość.

– Zatrzymałeś się za wcześnie, Seurat! Każdy obraz musi wisieć w pokoju. A jeśli pokój jest źle wymalowany, zabije obraz i ramę!

– Słusznie, czemu by nie wymalować również pokoju, aby pasował do ramy?

– Doskonała myśl – oświadczył Seurat.

– A co będzie z domem, w którym znajduje się pokój?

– I z miastem, w którym znajduje się dom?

– Ach, Georges, masz doprawdy zwariowane pomysły!

– To pochodzi stąd, że malujesz intelektem.

– Przyczyna, dla której wy, głupcy, nie malujecie intelektem, jest ta, że go nie macie!

– Dlaczego zawsze zwalczacie się wzajemnie i kłóćcie z sobą? – wtrącił Vincent. – Dlaczego nie próbujecie współpracować?

– To może nam powiesz – spytał Gauguin – co nam przyjdzie z naszej współpracy?

– Chętnie – odparł Vincent wkładając do ust twarde żółtko. – Wypracowałem pewien plan. Jesteśmy gromadą nieznanym. Manet, Degas, Sisley i Pissarro utorowali nam drogę. Zostali uznani i ich obrazy wystawia się w wielkich galeriach⁵⁶. Są więc artystami wielkich bulwarów. My musimy pójść w boczne ulice, zostać artystami małych bulwarów. Dlaczego nie mielibyśmy wystawić naszych obrazów w małych restauracjach, w lokalach, gdzie schodzą się robotnicy? Każdy z nas da, damy na to, pięć obrazów. Codziennie zawiesimy je w innym lokalu. Będziemy je sprzedawać po cenach dostępnych dla robotników. W ten sposób nie tylko uprzystępnimy oglądanie naszych prac szerokiej publiczności, ale umożliwimy również ubogiej ludności Paryża nabywanie dobrych obrazów niemal za darmo.

– O – szepnął Rousseau z oczami płonącymi zachwytem – to cudowna myśl.

– Co do mnie – oświadczył Seurat – potrzebuję całego roku na namalowanie obrazu. – Czy sądzi pan, że mogę go sprzedać jakiemuś nędzemu stolarzowi za pięć sous?

– Da pan swoje małe studia.

– Dobrze, ale jeśli restauratorzy nie zechcą wystawić?

– Ależ zechcą, na pewno!

– Dlaczego by nie? Nie będzie to ich nic kosztowało, a ozdobią swoje lokale.

– A jak się wziąć do tego? Kto wynajdzie odpowiednie lokale?

– Już o wszystkim pomyślałem – zawołał Vincent. – Zrobimy ojca Tanguy naszym menedżerem. On wynajdzie lokale, zawiesi obrazy i zainkasuje pieniądze.

– Doskonale, to właściwy człowiek!

– Rousseau, bądź tak dobry i pędź po ojca Tanguy! Powiedz mu, że chcemy z nim omówić ważną sprawę.

– Na mnie nie liczcie – oznajmił Cezanne.

– Jak to? Dlaczego? – obruszył się Gauguin. – Obawiasz się, że oczy ludu splamią twoje cenne płótna?

– Nie. Tylko z końcem miesiąca wracam na stałe do Aix.

– Niech pan spróbuje, panie Cezanne – namawiał Vincent.

– Jeśli się uda, nic pan nie straci.

– Dobrze więc.

Kiedy skończymy z restauracjami, zabierzemy się do burdeli – radził Lautrec. – Znam większość właścicielek tych lokali na Montmartre. Klientela tam jest lepsza i moglibyśmy osiągnąć wyższe ceny. Ojciec Tanguy przybiegł podniecony. Rousseau powiadomił go tylko ogólnikowo, o co idzie. Okrągły kapelusz słomkowy siedział mu krzywo na głowie, a pulchna, drobna twarz promieniała zapałem.

Posłyszawszy o projekcie, zawołał:

– Tak, tak, znam odpowiednie lokale! Restauracja Norvinsa na przykład: właściciel jest moim przyjacielem. Ściany są puste, sprawimy mu prawdziwą przyjemność. Po wystawieniu u niego, mam inną restaurację na rue Pierre. Ach, istnieją tysiące lokali w Paryżu.

– Kiedy odbędzie się pierwsza wystawa Klubu Artystów Małych Bulwarów? – dopytywał się Gauguin.

⁵⁶Tu: firmy wystawiające na sprzedaż obrazy. Jedną z większych była właśnie firma Goupil et Co, gdzie pracował Theo.

– Po co czekać? – odrzekł Vincent. – Czemu nie zacząć od razu jutro?

Tanguy skakał z uciechy na jednej nodze, zdejmował kapelusz i znów wkładał go na głowę.

– Tak, tak, jutro! Przynieście mi jutro z rana wasze obrazy! Po południu porozwieszam je w restauracji Norvinsa. Wzbudzimy sensację wśród ludzi, którzy przyjdą na obiad. Będziemy sprzedawać obrazy jak świeże bułeczki. Co mi dajecie?... Aha, szklankę piwa? Doskonale! Moi panowie, pijemy za powodzenie Komunistycznego Klubu Artystów Małych Bulwarów! Oby pierwsza wystawa odniosła sukces!

X

Na drugi dzień w południe ojciec Tanguy zapukał do drzwi Vincenta.

– Zawiadomiłem już innych – powiedział. – Możemy wystawić u Norvinsa jedynie pod warunkiem, że zjemy tam obiad.

– W porządku.

– Dobrze. Inni też się zgodzili. Obrazy możemy zawiesić dopiero o wpół do piątej. Przyjdź pan o czwartej do mnie, pójdziemy wszyscy razem.

– Zrobione.

Gdy Vincent zjawił się przed niebieskim sklepem przy rue Clauzel, ojciec Tanguy ładował właśnie obrazy na mały, ręczny wózek. Malarze stali w sklepie, palili i dyskutowali o sztynchach japońskich.

– Czy mogę pomóc? – spytał Vincent.

– Nie, nie, ja jestem menedżerem. A więc – zawołał Tanguy – ruszamy!

Powoli popychał wózek środkiem jezdni w górę ulicy. Malarze szli za nim, po dwóch. Naprzód Gauguin z Lautrekiem; lubili trzymać się razem wiedząc, że tworzą przekomiczną parę. Seurat słuchał zwierzeń Rousseau, który tego dnia znów otrzymał perfumowany liścik. Vincent i Cezanne, zrzędzący i mruczący coś o zachowaniu się i godności, zamykali pochód.

– Halo, ojciec Tanguy – zawołał Gauguin – wózek jest ciężki od tych nieśmiertelnych arcydzieł. Popcham go trochę.

– Nie, nie! – oponował ojciec Tanguy – ja jestem chorążyym tej rewolucji. Pierwszy strzał powali mnie.

Osobliwy był to widok – ci różni, fantastycznie ubrani mężczyźni idący środkiem ulicy za małym, zwykłym wózkiem. Ciekawe spojrzenia rozweselonych przechodniów nie odbierały im zgoła tupetu. Śmiali się i rozmawiali wesoło.

– Vincencie – zawołał Rousseau – czy ci już opowiadałem o liście, który dziś otrzymałem? Także perfumowany. Od tej samej damy.

Biegł obok Vincenta, wymachiwał rękami i opowiadał całą nie kończącą się historię od początku. Gdy wreszcie skończył i wrócił do Seurata, Lautrec przywołał Vincenta.

– Czy wiesz kto jest ową damą?

– Nie mam pojęcia. Skąd znowu?

Lautrec zachichotał:

– Gauguin. Obdarzył Rousseau historią miłosną. Biedaczysko nie miał dotąd kobiety. Gauguin będzie posyłał mu przez parę miesięcy perfumowane liściki, a potem umówi się na schadzki. Przebierze się za kobietę i spotka się z nim w gabinecie, takim z otworami w

ścianie. My staniemy za ścianą i będziemy stamtąd oglądali, jak Rousseau po raz pierwszy w życiu zabiera się do kobiety. To będzie świetna zabawa.

– Gauguin, ty szatanie!

– Daj pokój, Vincencie, uważam to za wyborny kawał.

Dotarli wreszcie do restauracji Norvinsa. Był to niewielki skromny lokal, mieszczący się między winiarnią i składem rymarskim. Na zewnątrz wymalowany był na kolor żółty, wewnątrz – na niebieski. Stało tu około dwudziestu stolików, nakrytych kraciastymi obrusami. Z tyłu, w pobliżu drzwi kuchennych, znajdował się na podwyższeniu kantorek właściciela.

Przez całą godzinę kłócili się malarze o to, które obrazy mają wisieć obok siebie. Ojciec Tanguy był bezradny. Właściciel restauracji irytował się, gdyż zbliżała się pora obiadu, a w lokalu panował wciąż jeszcze chaos. Seurat nie pozwalał w ogóle powiesić swoich obrazów, twierdził, że niebieskość ściany zniszczy wrażenie nieba na jego płótnach. Cezanne protestował przeciw zawieszeniu swych martwych natur obok „nędznych plakatów” Lautreca. Rousseau zaś czuł się dotknięty, ponieważ chciano umieścić jego obrazy na tylnej ścianie obok kuchni. Lautrec zaś upierał się przy tym, aby powiesić jeden z jego wielkich obrazów w umywalni. To miejsce bowiem, twierdził, najbardziej sprzyja kontemplacji.

– Ojciec Tanguy zrozpaczony zwrócił się w końcu do Vincenta: Tu są dwa franki. Dodaj pan, ile możesz, i zaprowadź jak najprędzej całą bandę do knajpy naprzeciwko. Za piętnaście minut będę gotów.

Podstęp udał się. Kiedy gromada wróciła, wszystko było już w największym porządku. W spokoju zasiedli przy wielkim stole obok wejścia. Ojciec Tanguy rozwiesił wszędzie karteczki: „Te obrazy są na sprzedaż. Tanio. Wiadomość u właściciela”.

Było wpół do szóstej. Malarze kręcili się niespokojnie jak pensjonarki. Ilekroć otwierały się drzwi, spoglądali pełni nadziei w ich stronę. Ale u Norvinsa goście nie schodzili się nigdy przed szóstą.

– Popatrz na Vincenta – szepnął Gauguin do Seurata.

– Ma tremę niczym primabalerina.

– Gauguin, zakładam się z tobą o obiad, że prędzej sprzedam obraz aniżeli ty – zaproponował Lautrec.

– Zgoda!

– Z tobą, Cezanne, zakładam się o trzy obiady na jeden – rzekł Lautrec.

Cezanne poczerwieniał na tę obelgę; wszyscy się roześmieli.

– Pamiętajcie – upominał ich Vincent – że kwestię sprzedaży załatwia Tanguy. Żebyście nie próbowali sami rozmawiać z klientami.

– Dlaczego nikt nie przychodzi? – pytał podniecony Rousseau. – Już późno.

W miarę jak wskazówka zegara zbliżała się do szóstej, gromadka artystów okazywała coraz większy niepokój. Przestali nawet żartować i pokpiwać z siebie. Siedzieli w napięciu nie odwracając oczu od drzwi.

– Nawet na wystawie „Niezależnych”, na oczach krytyków, nie czułem takiego niepokoju – szepnął Seurat.

– Patrzcie, patrzcie – zawołał Rousseau – ten człowiek przechodzący przez ulicę wejdzie na pewno! To klient!

Ale człowiek minął restaurację i zniknął. Zegar wybił szóstą. Z ostatnim uderzeniem drzwi się otwały i wszedł jakiś nędznie odziany robotnik. Obwisłe ramiona i pochylone plecy zdradzały wyraźnie zmęczenie.

– Zobaczmy, co teraz będzie – rzekł Vincent.

Robotnik podszedł z wolna do stolika w drugim końcu pokoju, powiesił czapkę na wieszaku i usiadł. Sześciu malarzy wpatrzyło się w niego. Obejrzał jadłospis, zamówił *piat du jour* i zaczął jeść zupę wielką łyżką. Nie podniósł ani na chwilę oczu znad talerza.

– Hm – mruknął Vincent – to dziwne.

Weszli dwaj metalowcy. „Dobry wieczór” – przywitał ich gospodarz. Bąknęli coś, opadli ciężko na najbliższe krzesła i natychmiast zaczęli się sprzeczać o pewne wydarzenie.

Restauracja zapełniała się z wolna. Pomiędzy gośćmi było również kilka kobiet. Wszyscy mieli tu widać swoje stałe stoliki. Naprzód przeglądali jadłospis, a gdy przynoszono im jedzenie, byli nim tak bardzo zajęci, że nie odrywali oczu od talerza. Po jedzeniu rozmawiali paląc fajki lub wyciągali gazety i czytali.

– Czy panowie chcą już także jeść? – zapytał kelner koło siódmej.

Nikt nie odpowiedział. Kelner oddalił się. Wszedł mężczyzna z kobietą.

Mężczyzna, wieszając kapelusz, zauważył tygrysa wyzierającego z dżungli na obrazie Rousseau. Pokazał go swojej towarzyszce, malarze przy stole zamarli w oczekiwaniu; Rousseau podniósł się w pół. Kobieta powiedziała coś cicho do mężczyzny i wybuchnęła śmiechem. Usiedli, pochylili się nad stołem i z apetytem zabrali się do jedzenia.

Trzy kwadransy na ósmą kelner przyniósł zupę bez pytania. Nikt jej nie tknął. Gdy wystygła, kelner zabrał ją z powrotem.

Potem przyniósł mięso. Lautrec rysował widelcem w sosie. Jeden tylko Rousseau mógł coś przełknąć, natomiast karafkę z czerwonym kwaśnym winem wypróżnili do dna. Pił nawet Seurat. W restauracji było gorąco, pachniało jadłem i potem ludzi cały dzień ciężko pracujących.

Goście płacili jeden po drugim, odpowiadali na „dobranoc” gospodarza i wychodzili.

– Bardzo mi przykro panowie – rzekł o w pół do dziewiątej kelner – zamykamy.

Ojciec Tanguy zdjął obrazy ze ścian i wyniósł je na ulicę. Po chwili pchał wózek z powrotem. Z wolna zapadał zmierzch.

XI

Duch starego Goupila i stryja Vincenta van Gogh zniknął na zawsze z firmy Goupil et Co. Sprzedawano obecnie obrazy jak każdy inny towar – trzewiki lub śledzie. Dręczono Thea ustawicznie tym, że musi wyciągać więcej pieniędzy i sprzedawać gorsze obrazy.

– Theo – rzekł Vincent – dlaczego nie odchodzisz od Goupilów?

– Inni handlarze obrazów są tacy sami – odpowiadał brat ze znużeniem. – Poza tym jestem u nich już od dawna... Lepiej nie zmieniać.

– Musisz odejść. Proszę cię o to. Z każdym dniem jesteś coraz nieszczęśliwszy. O mnie nie potrzebujesz się troszczyć. Obejdę się bez dachu nad głową. Theo, jesteś najbardziej znanym i najpopularniejszym z młodych handlarzy obrazów w Paryżu. Czemu nie otwierasz własnej galerii.

– Na miłość boską, czy musisz rozwałkować raz jeszcze tę sprawę?

Theo, mam wspaniałą myśl. Założymy sklep z obrazami, oparty na zasadach komunistycznych. Damy ci wszystkie nasze obrazy, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży rozdzielisz pomiędzy nas. Możemy chyba zebrać dość pieniędzy na to, aby otworzyć niewielką galerię w Paryżu. Na wsi zaś wynajmiemy dom, gdzie wszyscy razem będziemy mieszkać i pracować. Portier sprzedał onegdaj Lautreca, a ojciec Tanguy paru Cezanne'ów. Jestem pewien, że ściągniemy młodszych klientów paryskich, a prowadzenie domu na wsi nie wymaga również wielkich wkładów. Będziemy tam mieszkali po prostu razem, zamiast żeby tutaj w Paryżu trzymać tuzin osobnych mieszkań.

– Vincencie, głowa pęka mi z bólu, pozwól mi teraz spać!

– Nie, wysypiać się możesz w niedzielę! Dokąd idziesz? Dobrze, rozbierz się, jeżeli chcesz, ale ja w każdym razie chcę z tobą mówić. Usiądę przy tobie na łóżku. Jeśli jesteś u Goupilów nieszczęśliwy i wszyscy młodzi malarze paryscy zgadzają się na mój plan, i uda nam się zebrać trochę pieniędzy...

Nazajutrz wieczór Vincent przyprowadził z sobą ojca Tanguy i Lautreca. Theo ufał w cichości ducha, że Vincent spędzi wieczór poza domem. Małe oczka ojca Tanguy błyszczały.

– Monsieur van Gogh, ależ to cudowny pomysł! Musi pan to zrobić. Rzucę mój sklepik i pojadę z wami na wieś. Będę mieszał farby, napinał płótna i oprawiał obrazy. Prócz jadła i dachu nad głową nie chcę żadnego wynagrodzenia.

Theo westchnął i zamknął czytana książkę.

– A skąd weźmiemy na podobne przedsięwzięcie? Pieniądze na założenie galerii, na wynajem domu i jedzenie dla wszystkich?

– Tutaj, przyniosłem pieniądze – zawołał ojciec Tanguy – dwieście dwadzieścia franków, wszystkie moje oszczędności. Weź pan je, monsieur van Gogh. To początek.

– Lautrec, pan jest rozsądny. Co pan sądzi o tym zwariowanym pomysle?

– Uważam go za całkiem rozumny. W obecnym stanie rzeczy walczymy nie tylko z całym Paryżem, lecz pożeramy się wzajemnie. Jeśli utworzymy zwarty front...

– Dobrze, Lautrec. Pan jest bogaty. Czy nam pan pomoże?

– Nie, o tym nie ma mowy. Jeśli kolonia będzie wspierana zasiłkami, minie się z celem. Daję dwieście dwadzieścia franków, tyle samo, co ojciec Tanguy.

– Ależ to szalony plan! Gdybyście rozumieli się choć trochę na interesie...

Ojciec Tanguy podbiegł do Thea i ścisnął mu błagalnie dłoń.

– Mój drogi panie van Gogh, proszę, ja proszę, niech pan nie mówi, że to szalony projekt. To wspaniała myśl. Pan musi, musi po prostu...

– Nie możesz się nam już teraz wywinąć, Theo – odezwał się Vincent – trzymamy cię mocno. Zbierzemy potrzebne pieniądze i zrobimy cię naszym szefem handlowym. Masz pożegnać się z firmą Goupilów. Nie masz tam nic więcej do roboty. Odtąd jesteś kierownikiem komunistycznej kolonii artystów.

Theo przetarł ręką zmęczone oczy.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek potrafiłbym kierować tak niesforną bandą.

Następnego wieczoru, wróciwszy do domu, Theo zastał pokój pełen zgorączkowanych, głośno rozprawiających malarzy. Powietrze było aż sine od kłębow kiepskiego tytoniu,

wibrowały podniecone głosy. Vincent siedział na kruchym stoliku w środku pokoju i przewodniczył obradom.

– Nie, nie! – wołał – nie będziemy brali pieniędzy! Żadnych pieniędzy! – przez cały rok rzekamy się pieniędzy! Theo będzie sprzedawał nasze obrazy, a my dostaniemy za to mieszkanie, żywność i materiały malarskie.

– A co będzie z tymi, których prace nie zostaną sprzedane? – informował się Seurat. – Jak długo będziemy ich wspierali?

– Dopóki zechcą u nas pozostać i pracować.

– Pięknie – drwił Gauguin – wkrótce dyletanci całej Europy zapukają do naszych drzwi.

– Oto monsieur van Gogh – krzyknął ojciec Tanguy, ujrawszy opartego o framugę drzwi Thea. – Trzykrotne hura dla naszego kierownika!

Wszyscy entuzjasmowali się i gorączkowali nowym planem. Rousseau pragnął wiedzieć, czy może udzielać lekcji gry w nowej kolonii. Anquetin oznajmił, że zalega z trzymiesięcznym czynszem, należałoby przeto jak najprędzej wyszukać ów dom na wsi. Cezanne upierał się, że jeśli ktoś ma pieniądze, może je wydawać na własne potrzeby. Vincent krzychał:

– Nie! Rozbiłoby to naszą społeczność, musimy dzielić wszystko między siebie!

Lautrec pytał, czy wolno będzie przyprawdzać do domu kobiety, a Gauguin twierdził, że każdy powinien dostarczać przymusowo dwa obrazy miesięcznie.

– W takim razie ja nie przystępuję! – wrzasnął Seurat.

– Wykończam tylko jeden wielki obraz na rok.

– Jak będzie z materiałem? – dopytywał się ojciec Tanguy.

– Czy każdemu mam dawać co tydzień tę samą ilość płótna i farb?

– Ależ nie – odparł Vincent. – Będziemy wszyscy otrzymywali tyle materiału, ile nam potrzeba, nie mniej i nie więcej. Tak samo będzie z jedzeniem.

– No dobrze, a co się stanie z zyskiem? Gdy zaczniemy sprzedawać obrazy? Kto go otrzyma?

– Nikt – oświadczył Vincent. – Gdy będziemy mieć trochę zbędnych pieniędzy, otworzymy drugi dom w Bretanii, potem trzeci w Prowansji. Wkrótce będziemy mieli wszędzie własne domy i będziemy mogli przenosić się z jednego do drugiego.

– A co z pieniędzmi na jazdę? Czy dostaniemy je z zysków?

– Czy dużo będziemy podróżować? Kto ma o tym decydować?

– A jeśli będzie za dużo malarzy w domu, co wówczas? Kto musi go opuścić? Może mi pan to powie!

– Theo, Theo, pan jest szefem imprezy, niech pan nam wyjaśni wszystko. Czy każdy może przystąpić? Czy musimy malować według jednej szkoły? Czy będziemy mieli tam na wsi modeli?

O brzasku zgromadzenie rozeszło się wreszcie. Lokatorzy niższego piętra upadając ze zmęczenia stukali co chwila miotłą w sufit. Theo położył się koło czwartej, lecz Vincent, ojciec Tanguy i paru bardziej zapalonych malarzy obstało jego łóżko i nalegało, aby pierwszego wypowiedział Goupilom.

Gorączka rosła. Świat artystyczny Paryża podzielił się na dwa obozy. Starsi, uznani artyści, wyrażali się lekceważąco o szalonych braciach van Gogh. Wszyscy mówili bez przerwy o nowym eksperymencie.

Vincent pracował i dyskutował jak wariat dniami i nocami. Należało przemyśleć i uregulować tysiące szczegółów: gdzie otworzyć sklep, jak otrzymywać pieniądze i oznaczać ceny, kto może zostać członkiem kolonii, kto ma prowadzić dom na wsi i w jaki sposób. Thea wbrew woli opanowała również gorączka. Mieszkanie przy rue Lepie było co wieczór pełne. Zjawili się dziennikarze w poszukiwaniu materiału do felietonów. Krytycy debatowali, malarze całej Francji zjeżdżali do Paryża, aby przystąpić do organizacji.

Vincent układał niezliczone projekty, kodeksy, budżety, robił zestawienia, pisał prośby i manifesty do gazet, ulotki, które miały przekonać Europę o celowości komunistycznej kolonii artystów.

W zapale zapomniał o malowaniu.

Blisko trzy tysiące franków wpłynęło do kasy związku. Malarze oddawali swoje ostatnie franki. Na bulwarze Clichy zorganizowano jarmark obrazów i każdy zachwalał własny obraz. Z całej Europy nadchodziły listy zawierające czasem zgniecione, brudne banknoty. Miłujący sztukę Paryż nawiedzał mieszkanie Thea, rozpałał się i deklarował znaczne kwoty. Vincent był sekretarzem i skarbnikiem w jednej osobie.

Theo upierał się przy tym, że przed otwarciem muszą posiadać pięć tysięcy franków. Wynalazł sklep na rue Tronchet, który mu odpowiadał. Vincent zaś wyszukał przepiękny stary dom w lesie St. Germain-en-Laye, który był tanio do wynajęcia. Obrazy artystów pragnących przystąpić do kolonii płynęły bez przerwy na rue Lepie. Każdy skrawek wolnego miejsca, każdy kąt był zapchany. Setki ludzi nawiedzały mieszkanie, jedząc, pijąc, kłócąc się i gestykulując. Gospodarz wypowiedział Theowi. Po miesiącu piękne stylowe meble Louis Philippe były w opłakanym stanie.

Vincent nie miał nawet czasu myśleć o pędzlu. Musiał wciąż pisać listy, przeprowadzać wywiady, oglądać domy, podsycać entuzjazm w każdym nowo spotkanym malarzu czy amatorze. Aż chrypiał od ciągłego mówienia. Nie jadał regularnie. Nie miał czasu na spanie, w oczach jego płonęła teraz gorączkowa energia. Był ustawicznie w ruchu.

Z początkiem wiosny mieli w kasie pięć tysięcy franków. Theo miał wypowiedzieć pierwszego firmie Goupilów; zdecydował się objąć sklep przy rue Tronchet. Vincent dał małą zaliczkę na dom w St. Germain. Lista członków została zestawiona przez Thea, Vincenta, ojca Tanguy, Gauguina i Lautreca. Z mnóstwa obrazów zalegających mieszkanie Theo wybrał te, które chciał pokazać na pierwszej wystawie. Rousseau i Anquetin sprzeczali się, kto ma wymalować wnętrze, a kto ściany zewnętrzne sklepu. Theo siedział codziennie do późnej nocy z innymi; był teraz tak samo zapalony do tej idei jak przedtem Vincent. Pracował gorączkowo, aby ułożyć statut organizacji i do lata otworzyć kolonię. Dyskutował bez końca z Vincentem, czy drugi dom związku ma leżeć nad Atlantykiem, czy nad Morzem Śródziemnym.

Pewnego rana Vincent zasnął o czwartej, zupełnie wyczerpany. Theo nie budził go. Spał do południa, ocknął się orzeźwiony. Poszedł do atelier. Rozpoczęty obraz wisiał od tygodni na sztalugach. Farby na palecie przyschły, kurz je pokrył. Po kątach poniewierały się tuby z farbami, zeszytwniałe pędzle leżały rozrzucone na podłodze. Jakiś głos wewnętrzny spytał go łagodnie: „Pomyśl Vincencie, kim ty jesteś, malarzem czy też działaczem społecznym”.

Zebrał zalegające pokój stopy obrazów i zaniósł je do pokoju Thea, gdzie ułożył je na łóżku. W atelier zostawił tylko swoje prace. Jeden po drugim ustawiał na sztalugach i gryząc czubki palców przypatrywał się im uważnie.

Tak, uczynił postępy. Z wolna, z wolna, barwy jego rozjaśniły się, nasiąkły przejrzystym światłem. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że rozwinął zupełnie indywidualną i swoistą technikę. Nie była podobna do żadnej z widzianych, nie naśladował nikogo. Nawet nie wiedział, jak do tego doszedł.

Przepłynął przez niego potężny nurt impresjonizmu. Był już o krok od znalezienia nadzwyczaj ciekawych środków ekspresji, gdy nagle wszystkiego zaniechał.

Ustawiwszy najświeższe prace na sztalugach omal nie krzyknął. Rozpoznawał znaczny postęp w metodzie i podejściu do tematu. Wykształcił na wskroś osobistą metodę. Nie zawiodła broń, którą wykuł podczas zimy w pocie czoła.

Tygodnie spoczynku otworzyły mu oczy, pozwoliły z właściwego dystansu ocenić własne dzieło. Zobaczył, że rozwinął w swych pracach odrębną, sobie tylko właściwą technikę impresjonistyczną.

Spojrzał w lustro; zobaczył gęsty zarost i zmierzwione włosy, brudną koszulę i spodnie wiszące jak łachman na ciele. Wyprasował ubranie, wdział świeżą koszulę Thea, wyjął z kasy pięć franków i poszedł do fryzjera. Potem powędrował zamyślony na rue Montmartre do Goupilów.

– Theo – powitał brata – czy możesz wyjść ze mną na chwilę?

– Co się stało?

– Bierz kapelusz. Czy istnieje w pobliżu kawiarnia, gdzie nikt nie będzie mógł nas znaleźć?

W tylnej salce kawiarni, w zasłoniętym kącie, Theo odezwał się:

– Czy wiesz, Vincencie, że dziś po raz pierwszy od miesiący mogę z tobą mówić sam na sam?

– Wiem, Theo. Mam wrażenie, że byłem szaleńcem.

– Jak to?

– Theo, powiedz mi szczerze, czy jestem malarzem, czy też kierownikiem kolonii?

– Co masz na myśli?

– Byłem do tego stopnia zajęty organizowaniem kolonii, że nie miałem czasu na malowanie. A po otwarciu domu nie będę miał ani chwili dla siebie.

– Rozumiem.

– Theo, ja chcę malować! Nie po to pracowałem siedem lat, aby prowadzić dom dla innych malarzy! Nie masz wyobrażenia, jak tęsknię za pędzlem, Theo. Najchętniej wyjechałbym stąd najbliższym pociągiem!

– Ależ Vincencie, teraz, gdy wszystko jest niemal gotowe?

– Powiedziałem ci, że byłem szalony. Theo, czy możesz wysłuchać pewnego wyznania?

– Hm...

– Widok malarzy budzi we mnie wstręt. Nie mogę znieść dłużej ich gadania, ich teorii, ich ciągłych sporów. Nie śmieję się ze mnie, Theo! Koniec z dyskutowaniem! W tym cała rzecz. Co zwykł był mówić Mauve? „Człowiek może albo malować, albo mówić o malarstwie, nie może jednak czynić obu tych rzeczy jednocześnie”. Theo, czy po to wspomagałeś mnie przez siedem lat, aby teraz słuchać moich przemądrzałych idei?

– Zrobiłeś wiele dla kolonii, Vincencie.

– Tak. Ale teraz, gdy mamy się przenieść do domu na wsi, czuję, że nie chcę tego. Nie mógłbym tam żyć i pracować. Theo, tak bym chciał, abyś mnie zrozumiał... Kiedy żyłem samotnie w Brabancji i Hadze, uważałem się za ważną osobę. Byłem samotnym człowiekiem, walczącym przeciw całemu światu. Byłem artystą, jedynym żyjącym artystą. Wszystko, co malowałem, było cenne. Wiedziałem, że posiadam wielkie zdolności i że świat powie w końcu: to jest wspaniały malarz.

– A teraz?

– Teraz jestem niestety jednym z wielu. Dokoła mnie są setki malarzy. W każdym z nich widzę karykaturę samego siebie. Pomyśl tylko o tych stosach obrazów w naszym mieszkaniu, przysłanych przez artystów, którzy chcą skorzystać z kolonii. Oni też myślą, że zostaną wielkimi malarzami. Może jestem taki sam jak oni, czy ja wiem? Nim przyjechałem do Paryża, nie wiedziałem, że istnieją beznadziejni głupcy, którzy łudzą się całe życie... Obecnie wiem – to mnie boli.

– To nie ma żadnego związku z tobą!

– Może... Nigdy jednak nie pozbędę się tej wątpliwości. Gdy jestem sam na wsi, zapominam, że dzień w dzień maluje się tysiące obrazów. Myślę, że mój obraz jest jedyny i stanowi piękny dar dla świata. Będę malował zawsze – nawet gdybym wiedział, że moje dzieło jest odrażające. Ale ta iluzja pomaga. Czy mnie rozumiesz?

– Tak.

– Powiem ci coś jeszcze... nie jestem malarzem wielkiego miasta. Nie tu jest moje miejsce. Jestem malarzem wsi. Chcę wrócić do moich pól. Muszę znaleźć słońce tak silne, że wypali we mnie wszystko prócz chęci malowania.

– A więc... chcesz opuścić Paryż...

– Tak. Muszę.

– A co się stanie z kolonią?

– Wycofam się. Lecz ty musisz prowadzić ją dalej.

– Nie. Nie chcę bez ciebie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Chciałem to zrobić tylko dla ciebie... boś ty tego chciał.

Milczeli parę minut.

– Nie wypowiedziałeś jeszcze Goupilom, Theo?

– Nie. Miałem to zrobić pierwszego.

– Sądzę, że pieniądze możemy oddać ludziom, do których należą.

– Tak... Kiedy masz zamiar wyjechać?

– Gdy moja paleta rozjaśni się dostatecznie.

– Rozumiem.

– Wówczas wyjadę. Prawdopodobnie na południe. Nie wiem jeszcze dokąd. Chciałbym być sam. I malować, malować... Całkiem sam.

Nagle objął Thea z szorstką czułością:

– Theo, powiedz, że mną nie gardzisz. Rzucić tak nagle wszystko i to po tym, kiedy przysporzyłem ci tyle kłopotów – i zostawić ciebie samego!

– Gardzić tobą?!

Theo uśmiechnął się z nieskończonym smutkiem. Pogłaskał rękę, którą brat położył mu na ramieniu.

Nie, o tym nie ma mowy. Rozumiem wszystko. Zdaje mi się, że masz słuszność... Wypij prędko, muszę wracać do Goupilów. Malował jeszcze miesiąc. Ale chociaż jego paleta była teraz tak samo jasna i przejrzysta jak paleta przyjaciół, nie znajdował formy wyrazu, która by go zadowoliła. Z początku sądził, że winna jest temu niedoskonałość rysunku. Próbował pracować powoli i z zimną krwią. Staranne i trwożliwe nakładanie farby było dla niego męczarnią; ale jeszcze większą było oglądanie potem obrazu. Usiłował maskować pracę pędzla gładkimi płaszczyznami, próbował rozpościerać cienko farby, zamiast rzucać je hojnie i grubo na płótno. Wszystko na nic. Wciąż na nowo miał wrażenie, że szuka jedyne, niby nieosiągalnego w pełni środka ekspresji, który pozwoliłby mu wypowiedzieć wszystko, co ma do wypowiedzenia.

– O mało co, a byłbym to uchwycił – mruzczał do siebie pewnego wieczoru w mieszkaniu – o mało, co, ale niezupełnie. Gdybym choć wiedział, co mi stoi na drodze?

– Zdaje mi się, że na to pytanie mogę odpowiedzieć – oświadczył Theo biorąc obraz z ręki brata.

– Naprawdę? Więc co takiego?

– Paryż.

– Paryż? Jak to?

– Tak jest. Paryż był dla ciebie tylko szkołą rzemiosła. Dopóki tu zostaniesz, będziesz jedynie uczniem. Pamiętasz naszą szkołę w Holandii, Vincencie? Uczyliśmy się, jak inni coś robią i jak należy to robić, ale sami nie robiliśmy nic. Będę bez ciebie bardzo samotny, Vincencie, lecz wiem, że musisz stąd odejść. Gdzieś w świecie jest miejsce, w którym się zadomowisz. Nie wiem gdzie, ale znalezienie go należy do ciebie. Musisz wyjść ze szkoły, aby osiągnąć doskonałość.

– A wiesz, o jakim kraju myślałem dużo w ostatnich czasach? Nie.

– O Afryce.

– O Afryce? Niemożliwe.

– Ależ tak. W ciągu tej przekłętej długiej zimy myślałem nieraz o palącym słońcu Afryki. Tam znalazł swój koloryt Delacroix, i może ja także odnalazłbym tam siebie.

– Afryka jest daleko, Vincencie – rzekł Theo w zamyśleniu.

– Theo, potrzeba mi słońca. Potrzeba mi go w najwyższej intensywności i blasku. Czuję w zimie, że coś, jakiś potężny magnes, ciągnie mnie na południe. Przed wyjazdem z Holandii, nie wiedziałem, że istnieje słońce. Teraz wiem, że bez niego nie można malować. Może potrzebny mi tylko żar słońca, abym dojrzał. Zmroziła mnie do szpiku kości zima paryska i wydaje mi się, że coś z tego chłodu spłynęło do mojej palety i pędzla. W mojej naturze nie leży czynienie czegoś połowicznie; gdybym miał nad sobą afrykańskie słońce, może lód stajałby i paleta chwyciłaby ogień.

– Hm – mruknął Theo – musimy tę rzecz rozważyć. Być może masz słuszność.

Paul Cezanne wydał pożegnalny obiad dla wszystkich przyjaciół. Przy pomocy ojca nabył kawał ziemi na wzgórzu, skąd wzrok ogarniał całe Aix, i wracał w ojczyste strony, aby tam zbudować sobie atelier.

– Wyjedź z Paryża, Vincencie – radził – przyjeżdżaj do Prowansji. Nie do Aix, to mój rejon, ale gdzieś w pobliżu. Słońce jest tam jaśniejsze i gorętsze niż wszędzie i znajdziesz w

Prowansji barwy tak czyste i przejrzyste, jakich nigdy przedtem nie widziałeś. Zostanę tam przez całe życie.

– Ja też opuszczam Paryż – oznajmił Gauguin – wracam na Wyspy Południowe. Jeśli sądzisz, że w Prowansji masz prawdziwe słońce, musisz naprzód przybyć na Markizy. Tam słońce i barwy są tak samo prymitywne jak ludzie. Wy dwaj powinniście – odezwał się Seurat – oddawać cześć słońcu.

– A ja myślę – odezwał się Vincent – że pojedę do Afryki.

– Ho, ho – mruknął Lautrec – mamy więc drugiego Delacroix.

– Naprawdę, Vincencie? – spytał Gauguin.

– Tak, chcę jechać do Afryki, ale nie od razu. Udam się chyba naprzód do Prowansji, by się oswoić ze słońcem.

– Do Marsylii nie możesz jechać – orzekł Seurat. – To rejon Monticellego.

– Do Aix nie mogę się udać, należy bowiem do Cezanne'a – odparł Vincent. – Monet przywłaszczył sobie w całości Antibes, a Marsylia jest świętością „Fady”⁵⁷. Czy ktoś z was mógłby mi wskazać, dokąd mam jechać?

– Stop! – zawołał Lautrec – mam dla ciebie coś odpowiedniego! Myślałeś kiedy o Arles?

– Arles? To starorzyskie osiedle?

– Tak. Leży nad Rodanem, parę godzin jazdy od Marsylii. Byłem tam kiedyś. Wspaniałość barw pejzażu arlezjańskiego zaćmiewa afrykańskie sceny Delacroix. Wyglądają wręcz anemicznie.

– Czy słońce grzeje tam mocno?

– Słońce?... Dość go jest, aby cię przyprawić o szaleństwo. Musisz koniecznie obejrzeć piękne dziewczęta z Arles! Najwspanialsze kobiety świata! Jeszcze do dziś dziedziczą szlachetne i delikatne rysy swoich greckich przodków połączone z wspaniałą, mocną postawą rzymskich zdobywców. Prócz tego można w nich odnaleźć cechy orientalne. Sądzę, że ma to związek z najazdem Saracenów w ósmym wieku. W Arles znaleziono niegdyś prawdziwą Wenus. Modelką była arlezjanka!

– W takim razie muszą być cudowne – rzekł Vincent.

– I są cudowne. A prócz tego jest tam jeszcze mistral.

– Mistral – co to takiego? – dopytywał się Vincent.

– Dowiesz się na miejscu – odparł Lautrec ze złośliwym uśmiechem.

– A życie, czy jest tam tanie?

– Nie masz sposobności wydawania na nic, prócz jedzenia i mieszkania. To zaś niewiele kosztuje. Jeżeli chcesz wyjechać z Paryża, warto spróbować.

Paryż zdenerwował i podniecił Vincenta. Za wiele pił i palił, za wiele czasu poświęcał sprawom błahym. Tęsknił za samotnością, aby móc tworzyć w skupieniu.

Potrzebne mu było jedynie promienne słońce, by dzieło jego wydało owoce. Miał wrażenie, że szczytowy punkt jego życia – rozkwit twórczej mocy – ku któremu zmierzał w ciągu ostatnich ośmiu lat, nie leży już daleko. Wiedział, że nic, co namalował dotąd, nie posiada prawdziwej wartości. Może pozostał mu już tylko krótki odcinek drogi na stworzenie dzieł wielkich i istotnych, które by usprawiedliwiły jego życie.

⁵⁷Fada – przezwisko Adolphe'a Monticelliego (1824-1886) – malarza francuskiego, który początkowo związany był z tradycją klasycyzmu, ale rychło rozwinął samodzielny styl malarski, oparty o bogate harmonie kolorystyczne. Miał duży wpływ na van Gogha.

Co powiedział Monticelli? „Musimy włożyć dziesięć lat ciężkiej pracy, aby w końcu namalować dwa lub trzy prawdziwe obrazy”.

W Paryżu miałyby pewne oparcie, przyjaźń, miłość i kąt dla siebie u Thea. Brat nie porzuciłby go nigdy, nie pozwoliłby mu głodować, zaopatrywałby go w przybory malarskie; w granicach możliwości spełniałby każde jego życzenie. Vincent wiedział, że z dala od Paryża rozpoczną się na nowo troski i kłopoty, że z pensji od Thea trudno mu będzie wyżyć, że nieraz będzie cierpiał głód. Będzie musiał jadać w małych lichych barach – będzie sam, bez przyjaciela, z którym by mógł pomówić, nieraz nie stać go będzie na farby.

– Arles spodoba ci się na pewno – powiedział następnego dnia Toulouse-Lautrec. – Jest to spokojna miejscina i nikt nie będzie ci przeszkadzał. Upał, susza i wspaniałe barwy. To jedyne miejsce w Europie, gdzie można znaleźć japońską przejrzystość powietrza. Istny raj dla malarzy. Gdybym nie był taki rozkochany w Paryżu, sam bym się tam wybrał.

Tego wieczoru Theo i Vincent poszli na koncert wagnerowski. Wrócili wcześniej do domu i spędzili miłą, cichą godzinę na rozpamiętywaniu dzieciństwa w Zundert. Nazajutrz rano Vincent przygotował bratu śniadanie. Po jego odejściu posprzątał mieszkanie tak gruntownie, jak nigdy dotąd. Na ścianie powiesił obraz przedstawiający różowe krewetki, portret ojca Tanguy w okrągłym słomkowym kapeluszu, Moulin de la Galette, akt kobiecy i studium Pól Elizejskich.

Kiedy Theo wrócił wieczorem do domu, zastał na stole w swoim pokoju liścik tej treści:

„Drogi Theo,

Pojechałem do Arles. Napiszę stamtąd zaraz po przyjeździe. Rozwiesiłem na ścianach kilka moich obrazów, abyś mnie nie zapomniał.

Ściskam mocno Twoją dłoń

Twój Vincent”.

Księga szósta

ARLES

I

Słońce arlezjańskie oślepiało Vincenta. Było wibrującą, płynną kulą cytrynowego ognia na jaskrawym błękitcie i napępiało przestwór oślepiającym światłem. Przerażliwy żar i ostra przejrzystość powietrza stwarzały jakiś nowy, nieznaną świat.

Vincent wysiadł wczesnym rankiem z wagonu trzeciej klasy i poszedł krętą ulicą wiodącą z dworca na plac Lamartine'a, rynek miasteczka, zamknięty z jednej strony bulwarem nad Rodanem, z drugiej – nędznymi hotelikami i kawiarniami. Arles leżało wprost przed nim przyklepione do wzgórze jakby kielnią murarza i drzemiące w gorącym, tropikalnym słońcu.

Kwestia przyszłego mieszkania była Vincentowi obojętna. Poszedł do pierwszego z brzegu hotelu na placu – „Hotel de la Gare”, i wynajął sobie pokój. Stało w nim skrzypiące łóżko mosiężne, piękny dzban, miednica i krzesło osobliwego kształtu. Właściciel hotelu wniósł jeszcze prosty, niemalowany stół. Na ustawienie sztalug brak było miejsca, lecz Vincent zamierzał cały dzień malować pod gołym niebem.

Rzucił walizkę na łóżko i wyszedł na miasto. Dwie drogi wiodły z placu do centrum Arles: jedna, dalsza i okrężna, dla wozów, wiła się łagodnie po zboczu wzgórze, koło rzymskiego forum i amfiteatru. Vincent wybrał krótszą, ale za to bardziej stromą drogę wiodącą przez labirynt wąskich uliczek wybrukowanych kocimi łbami. Po uciążliwej wędrówce dotarł na spalony słońcem plac Ratuszowy. W drodze minął kilka kamiennych, chłodnych, czworokątnych budynków, które czyniły wrażenie, jak gdyby stały tu nienaruszone od wczesnych czasów rzymskich. Aby zapobiec przenikaniu niemilosierznego słońca w ulice, pobudowano je tak wąsko, że Vincent rozłożywszy ręce, mógł dotknąć murów po obu stronach. Dla powstrzymania dokuczliwego mistralu uliczki na stokach wzgórze pięły się kręto i chaotycznie w górę. Żadna z nich nie biegła nawet dziesięciu metrów prosto przed siebie. Leżały na nich śmiecie, w bramach stały brudne dzieciaki; wszystko było ponure i jakby udęczone.

Vincent opuścił plac Ratuszowy i przez krótką uliczkę dostał się na główną arterię handlową na krańcach miasta, minął niewielki park i potykając się zbiegł ze wzgórze w stronę rzymskiej areny. Potem pnąc się po stopniach jak kozica, dotarł aż na samą górę. Tu usiadł na kamiennym bloku, zwiesił nogi nad stromą ścianą, zapalił fajkę i rozejrzał się po okolicy, nad którą ustanowił siebie panem i mistrzem.

Miasteczko pod nim opadało stromo niby kaskada ku Rodanowi. Dachy domów zdawały się wrastać w siebie spletanym, zawikłanym deseniem. Pierwotnie wszystkie były snadź pokryte czerwoną dachówką, lecz płomienne słońce przepaliło je, tworząc mozaikę kolorów – od subtelnej żółtości i najdelikatniejszego brzoskwiniowego różu do ostrego fioletu i gliniastej ochry.

Szeroki rwący Rodan skręcał ostro u stóp wzgórze, do którego przyklepione było Arles, i mknął dalej ku Morzu Śródziemnemu. Kamienne obramowanie ujmowało oba brzegi

rzeki. Na przeciwległym pagórku jaśniało Trinquetaille niby sztuczne, wymalowane miasto. Z tyłu, za Vincentem, leżało pasmo gór, olbrzymi łańcuch sterczący wysoko w jasny przestwór. Przed nim rozpościerała się panorama uprawnych pól, sadów obsypanych kwieciami, wyniosłe wzgórze Montmajour i żyzne doliny, porośnięte tysiącami głębokich bruzd, zbiegających się z sobą gdzieś w nieskończoności.

Co jednak najbardziej uderzyło Vincenta, co go olśniło tak, że musiał ręką przesłonić oczy, to barwa. Niebiosa miały kolor tak jaskrawy, tak bezlitośnie i głęboko błękitny, że nie czyniły już wcale wrażenia niebieskich: zdawały się raczej bezbarwne. Zieleni rozpostartych przed nim pól i łąk była tak intensywna, jak sama esencja tej barwy. Cytrynowe, ogniste słońce, krwawoczerwona ziemia, krzycząca biel samotnej chmury nad Montmajour, co chwila zmieniająca się różowość sadów owocowych... nieprawdopodobnie zaiste były te barwy. Jak mógł je odmalować? I jak mógł zmusić kogoś do uwierzenia, że są prawdziwe, choćby mu się udało przenieść je na płótno? Cytrynowy, błękitny, zielony, czerwony i różowy – pięć straszliwych środków ekspresji rozszalałej, nieokiełznanej przyrody.

Okrężną, szerszą ulicą wrócił na plac Lamartine'a, wziął sztalugi, farby, płótno i pośpieszył nad brzeg Rodanu. Dokoła poczynały kwitnąć drzewa migdałowe; lśniący, biały błysk słonecznych promieni na wodzie wywoływał bolesne kłucie w oczach. Vincent zostawił kapelusz w hotelu. Słońce paliło mu rude włosy, wysysało z duszy chłód, znużenie i zniechęcenie, którymi nasiąkł w Paryżu.

O kilometr dalej w dół rzeki ujrzał rysujący się na tle błękitnego nieba zwodzony most, przez który jechał mały wózek. Rzeka była niebieska jak źródło, pomarańczowe brzegi pokryte tu i ówdzie zieloną murawą. Grupa praczek w kaftanikach i różnobarwnych czepkach prała w cieniu samotnego drzewa bieliznę.

Vincent ustawił sztalugi, zaczerpnął głęboko tchu i zamknął oczy; otwartymi niepodobna było pochwycić tych barw. Rozwiały się, opadły zeń pouczenia Seurata o naukowym pointyлизmie, wywody Gauguina o prymitywnej, dekoracyjnej sztuce, uwagi Cezanne'a o solidnych płaszczyznach, kolorowe linie i linie nienawiści Lautreca.

Pozostał tylko Vincent.

W południe wrócił do hotelu. Usiadł przy małym stoliku w barze i zamówił absynt, zanadto podniecony, by myśleć o jedzeniu. Jakiś człowiek siedzący w sąsiedztwie spostrzegł plamy farb na rękach, twarzy i bluzie Vincenta i wszczął z nim rozmowę.

– Jestem dziennikarzem z Paryża – oznajmił. – Siedzę tu już trzy miesiące i zbieram materiał do książki o dialekcie prowansalskim.

– Ja przyjechałem dopiero dziś rano z Paryża – odparł Vincent.

– Zauważyłem to. Czy zamierza pan tu dłużej pozostać?

– Myślę, że tak.

– Jeśli wolno mi dać radę, niech pan nie zostaje. Arles jest miejscem największej na świecie liczby chorób psychicznych.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Wcale nie sądzę, wiem. Obserwuję tutejszych ludzi od trzech miesięcy i mówię panu, że wszyscy mają bzika. Proszę się przyjrzeć im i ich oczom. Nie znajdzie pan ani jednego normalnego człowieka w całym sąsiedztwie Tarasconu.

– Ciekawe rzeczy pan opowiada – zauważył Vincent.

– Za tydzień przyzna mi pan słuszość. Okolice Arles jest najbardziej udręczonym i cierpiącym okręgiem Prowansji. Pracował pan dziś pod gołym niebem, w słońcu. Czy pan wyobraża sobie, co znaczy dla tych ludzi być dzień w dzień wystawionym na to oślepiające światło? Wypala im wprost mózg w czaszkach, niech mi pan wierzy. A na dobitkę mistral! Szaleje przez dwieście dni w roku, doprowadzając ludzi do obłądzenia. Gdy pan idzie ulicą, ciska pana na domy, gdy pan jest w polu, rzuca pana na ziemię, w błoto, skręca panu wnętrzności, tak że nie sposób wytrzymać. Widziałem na własne oczy, jak ten przeklęty huragan właczał szyby do mieszkań, wyrwał z gruntu drzewa z korzeniami, obalał płoty, smagał ludzi i zwierzęta; miałem wrażenie, iż zostaną rozerwani w kawałki. Jestem tu dopiero od trzech miesięcy, ale już także jestem lekko zwariowany. Jutro rano wyjeżdżam.

– Chyba pan trochę przesadza – zaniepokoił się Vincent.

– Arleżanie wydają mi się zupełnie normalni, o ile mogłem dziś spostrzec.

– O ile pan mógł dziś spostrzec, no tak, ale niech pan trochę poczeka, aż ich pan lepiej pozna. Czy pan wie, jaka jest moja prywatna opinia?

– Jaka? Napije się pan ze mną absyntu?

– Dziękuję. Otóż moim zdaniem Arles jest w pewnym znaczeniu tego słowa epileptyczne. Podnieca się samo i dochodzi do takiego stanu nerwowego napięcia, iż wydaje się, że miasto dostanie ataku z pianą na ustach.

– I dostaje go?

– Właśnie, że nie, i to jest najdziwniejsze. Ten kraj zbliża się stale do ataku, ale atak nigdy nie następuje. Od trzech miesięcy oczekuję rewolucji albo wybuchu wulkanu na placu Ratuszowym. Już ze dwanaście razy myślałem, że mieszkańcy oszaleją i skoczą sobie z nożami do gardła. Ale zawsze, ilekroć eksplozja zdaje się nieunikniona, mistral ustaje na parę dni i słońce chowa się za chmury.

– No – roześmiał się Vincent – jeśli Arles nie dochodzi nigdy do ataku, nie może go pan przecie zwać epileptycznym.

– Nie – odparł dziennikarz – ale mogę je nazwać „epileptoidalnym”.

– Co to znowu takiego, do diabła?

– Piszę o tym właśnie felieton. Pewien artykuł niemiecki podsunął mi tę myśl.

Wyjął z kieszeni jakieś czasopismo i podał je przez stół Vincentowi. „Doktorzy zbadali ostatnio paręset wypadków schorzeń nerwowych, które mimo że przypominały epilepsję, nie doprowadzały nigdy do ataków. Na umieszczonym obok wykresie naszkicowano krzywą pobudliwości nerwowej i jej narastania. W każdym ze zbadanych wypadków chorzy cierpią do trzydziestego ósmego roku życia na wzmagające się podniecenie nerwowe. Przeważnie w wieku lat trzydziestu sześciu dochodzi do ciężkiego ataku. Potem następuje pięć czy sześć następnych i po roku lub dwóch chory umiera”.

– Za wcześnie na umieranie – orzekł Vincent. – W tym wieku człowiek dopiero zaczyna żyć świadomie.

Dziennikarz wetknął pismo z powrotem do kieszeni.

– Czy pan zostaje czas dłuższy w tym hotelu? Kończę już mój artykuł. Przyślę go panu zaraz po wydrukowaniu. Moja opinia jest taka – ciągnął – że Arles jest miastem „epileptoidalnym”. Puls tego miasteczka tętni coraz żywiej i pośpieszniej z roku na rok, przez stulecia. Pierwszy atak nie da na siebie czekać. Wybuch nastąpi na pewno i to

wkrótce. Będziemy wówczas świadkami straszliwej katastrofy: morderstwa, kradzieże, gwałty, niszczenie wszystkiego! Ten kraj nie może być wiecznie udreńczony. Coś się stać musi – i stanie się! Co do mnie, wynoszę się stąd, nim mieszkańcy zaczną szaleć z pianą na ustach. Radzę panu, aby pan również uciekał z tego miasta.

– Dziękuję za przestrożę – odrzekł Vincent. – Ale na razie bardzo mi się tu podoba. Czy zobaczymy się jeszcze jutro rano? Nie? W takim razie szczęśliwej podróży. I niech pan mi przyśle koniecznie swój artykuł.

II

Co rano Vincent wstawał przed świtem, ubierał się i wędrował parę kilometrów wzdłuż rzeki albo w głąb kraju w poszukiwaniu motywów. Co wieczór wracał z gotowym płótnem pod pachą – tak zupełnie wykończonym, że nic więcej nie było na nim do zrobienia. Po kolacji kładł się natychmiast spać.

Stał się czymś w rodzaju maszyny do malowania. Malował mechanicznie jedno płótno po drugim, sam nie wiedząc dobrze, co czyni. Sady owocowe stały w pełnym rozkwicie. Opanowała go dzika żądza, aby namalować wszystkie. Nie myślał więcej o swoim malarstwie. Malował – to wszystko. Osiem lat wyteżonej pracy wyładowało się obecnie w wybuchu zwycięskiej energii twórczej. Niekiedy, gdy zaczynał przed wschodem słońca, obraz już w południe był gotów. Wracał wtedy do miasta, wypijał filiżankę kawy i szedł w inną znów stronę, ze świeżym płótnem pod pachą.

Nie zdawał sobie sprawy, czy to, co maluje, jest dobre. Było mu to zresztą obojętne. Był odurzony barwami.

Nikt z nim nie rozmawiał. On sam również nie odzywał się do nikogo. Resztki sił, nie pochłoniętych pracą, zużywał na walkę z wichurą. Trzy razy na tydzień musiał umocowywać sztalugi za pomocą wbitych w ziemię kołków. Sztalugi trzepotały na wietrze niby schnące na sznurze prześcieradło. W nocy czuł się jak zbity.

Nie wkładał nigdy kapelusza. Płomiennie słońce wypalało mu z wolna włosy na głowie. Leżąc nocą na mosiężnym łóżku hotelowym miał wrażenie, że głowa jego znajduje się w jakiejś ognistej kuli. Słońce nieraz czyniło go ślepym na barwy. Nie potrafił odróżnić zieleni pól od błękitu nieba. Ale gdy wracał do hotelu, widział, że jego płótno jest płomiennym i lśniącym odtworzeniem natury.

Pewnego dnia namalował sad owocowy; ziemia była liliowo-brązowa, płot – czerwony, dwie brzoskwinie obsypane różowym kwieciem odbijały cudownie od wspaniałej jasności błękitnego nieba. „Najlepszy zapewne pejzaż, jaki w życiu namalowałem”

– mruczał pod nosem.

Wróciwszy do hotelu zastał list z wiadomością o śmierci Antona Mauve'a, zmarłego w Hadze. Podpisał pod brzoskwiniami „*Somenir de Marne. Vincent et Theo*” i posłał obraz do domu na Uileboomen.

Nazajutrz rano odkrył sad pełen kwitnących śliw. Ustawił sztalugi i wziął się do roboty. Nagle zerwał się silny, złośliwy wiatr, który uderzał w niego nawrotami niczym fala morska. Ale słońce świeciło dalej i jaśniały białe kwiaty śliw. Mimo niebezpieczeństwa, że sztalugi lada chwila się przewrócą, Vincent malował dalej. Przypomniawszy sobie dni w Scheveningen, kiedy stał w deszczu, wiatr smagał piaskiem płótno, słone bryzgi zalewały jego i sztalugi – a on malował. Obraz był utrzymany w zasadniczym tonie białym, ze

sporą domieszką koloru żółtego, niebieskiego i lila. Skończywszy go Vincent zauważył, że w obrazie jest coś, czego właściwie nie chciał oddać – mistral.

– Pomyślą, że byłem pijany malując to – zaśmiał się.

Poprzedniego dnia otrzymał list od Thea. Tersteeg bawiący w Paryżu zobaczył obraz Sisleya i rzekł do Thea: „Zdaje mi się, że artysta, który to namalował, był pijany”. – „Gdyby Tersteeg widział moje obrazy z Arles, oświadczyłby z pewnością, że cierpię na delirium tremem” – pomyślał Vincent.

Arleżanie unikali Vincenta. Widzieli, jak przed wschodem słońca wychodzi z miasta objuczony sztalugami, bez kapelusza z wysuniętym naprzód podbródkiem i gorączką w oczach; widzieli, jak wraca z wypiekami na twarzy, czaszką szkarłatną niczym kawał surowego mięsa, z mokrym płótnem pod pachą, żywo gestykulując i mówiąc sam do siebie. Miasteczko nadało mu wkrótce przydomek, przezwano go: *Fou-Roux*⁵⁸. „Może i jestem rudym wariatem – powiedział sobie w myśli Vincent – ale cóż na to poradzę?”

Właściciel hotelu oszukiwał Vincenta na każdym franku, który mógł z niego wyciągnąć. Gdzie indziej zaś Vincent nie mógł dostać nic do jedzenia; w Arles każdy jadał w domu, restauracje były bardzo drogie. Vincent próbował we wszystkich po kolei, czy nie dostanie pożywnej zupy, ale daremnie.

– Czy to taka robota ugotować trochę kartofli? – zapytał w jednej z nich.

– Wykluczone mój panie.

– Może ma pani w takim razie trochę ryżu?

– Jutro będzie ryż.

– A jak jest z makaronem?

– Nie ma miejsca na robienie makaronu.

W końcu poniechał w ogóle myśli o posiłnym jadle i żył tym, co było akurat pod ręką. Gorące słońce darzyło go żywotnością, mimo iż żywił się byle jak. Zamiast zdrowej stawy żył absyntem, tytoniem i *Tartarinem* z *Tarasconii* Daudeta. Niezliczone godziny przed sztalugami przewrażliwiły mu nerwy. Potrzebował narkotyków. Absynt podniecał go jeszcze następnego dnia, mistral potęgował to podniecenie, a słońce rozżarzało.

W miarę jak zbliżała się pełnia lata, słońce coraz mocniej przepalało wszystko. Vincent widział dookoła jedynie stare złoto, brąz i miedź pod zielononiebieskim, gorejącym stropem. Siarczana żółcizna leżała na wszystkim, czego tknął promień słońca. Płótno Vincenta było zawsze splachciem jasnej, pałającej żółtości. Wiedział, że tego koloru nie używało malarstwo europejskie od czasów Renesansu, ale nic sobie z tego nie robił. Żółta barwa tryskała z jego tuby na płótno i tu zastygała. Jego obrazy były skąpane w słońcu i powietrzu.

Był teraz przekonany, że namalowanie dobrego obrazu jest tak samo trudne jak znalezienie diamentu lub perły. Był niezadowolony z siebie i wszystkiego, co tworzył, ale tliła się w nim iskierka nadziei, że w końcu da jednak rzeczy dobre. Niekiedy ta wiara nawet zdawała się złudną fatamorganą. Żył naprawdę jedynie podczas pracy. Osobistego życia nie miał. Był tylko mechanizmem, ślepo pracującym robotem, któremu dostarczano codziennie żywności, płótna i farb i który wieczorem zwracał za to gotowy obraz.

⁵⁸Rudy wariat.

I w jakim celu tak się męczył? Dla zarobku? Ależ nie! Wiedział, że nikt nie kupuje jego płócien. Po co więc ten pośpiech? Po co dręczyć i poganiać samego siebie, skoro miejsce pod nędznym łóżkiem było i tak całkowicie wypełnione obrazami?

Nie szukał już powodzenia. Pracował, bo musiał, bo jedynie praca nie dopuszczała szaleństwa, darzyła zapomnieniem. Mógł żyć bez żony, dzieci i domu, bez miłości, przyjaźni i zdrowia, obchodzić się bez stałych dochodów, bez wygody i pożywienia – nawet bez Boga. Lecz nie mógł żyć bez czegoś, co było potężniejsze od niego samego, co było jego właściwym życiem – bez siły i zdolności tworzenia.

III

Próbował znaleźć płatnych modeli, lecz ludzie w Arles nie chcieli mu pozować. Byli zdania, że maluje źle. Każdy obawiał się, że znajomi uznają portret za śmieszny. Gdyby jego obrazy były gładkie i wymuskane jak płótna Bouguereau, cisnęliby się do jego drzwi. Tak więc musiał zrezygnować z modeli i pracować dalej pod gołym niebem.

Nadeszła pełnia dojrzałego lata, niosąc falę zwycięskiego upału. Wiatr ucichł. Światło, w którym Vincent pracował, szklilo się i połyskiwało wszystkimi odcieniami – od siarkowożółtego do żółtozłotego. Nieraz przychodził mu na myśl Renoir i jego czyste, klarowne linie.

W przejrzystym powietrzu Prowansji tak właśnie wszystko wyglądało – jak na japońskich sztychach.

Pewnego ranka spotkał wiejską dziewczynę. Płeć miała barwy kawowej, włosy popielate, oczy szare, bladoróżowy, wzorzysty stanik obciskał kształtne, silne i drobne piersi. Była tak prosta jak otaczające ją pola, każda linia jej ciała tchnęła dziewiczością. Matka dziewczyny dziwnie wyglądała w brudnej i spłowiałej, niebiesko-żółtej sukni na tle lśniącego, śnieżnego i cytrynowożółtego kwiecica. Dziewczyna i matka pozowały mu przez parę godzin za drobną zapłatą.

Wieczorem w hotelu sen nie miał się Vincenta. Obraz dziewczyny stał mu przed oczyma. Od miesięcy nie rozmawiał z kobietami, chyba przy zakupach. Wiedział, że w Arles wprawdzie istnieją domy publiczne, ale są one przeważnie nędzne, a klientela ich składa się z żuawów-Murzynów przebywających na ćwiczeniach wojskowych.

Przypomniały mu się miłosne słowa Margot, palce przesuwające pieśczośliwie po twarzy i pocałunki. Zerwał się z łóżka, przeszedł śpiesznie plac Lamartine'a i zagłębił się w czarny labirynt uliczek. Szedł pod górę wąską uliczką, gdy wtem dobiegł go hałas i krzyki. Puścił się pędem i po chwili znalazł się przed głównymi drzwiami burdelu na rue Ricolettes. Żandarmi wynosili właśnie ciała dwóch żuawów zadźganych przez pijanych Włochów. Czerwone fezy żołnierzy leżały w kałuży krwi na wyboistym bruku. Oddziałek żandarmów odprowadzał Włochów do więzienia, rozwścieczony tłum napierał na nich. Vincent dosłyszał krzyki: „Powiesić ich! Powiesić!”.

Korzystając z zamieszania wśliznął się do *maison de tolerance nr 1* przy rue de Ricolettes. Właściciel, pan Louis, przywitał go uprzejmie i zaprowadził do małego pokoju na lewo od wejścia. Siedziało w nim kilka par i piło.

– Mam młodą, bardzo miłą dziewczynę, imieniem Rachel. Czy chciałby pan z nią spróbować? Jeśli się panu nie spodoba, wybierze pan inną.

– Czy mógłbym ją zobaczyć?

Vincent podszedł do stolika i zapalił fajkę. W sieni zaśmiał się ktoś i do pokoju weszła tanecznym krokiem młoda dziewczyna. Usiadła naprzeciw Vincenta i uśmiechnęła się.

– Jestem Rachela – rzekła.

– Ty? – zawołał Vincent. – Jesteś przecież dzieckiem!

– Mam szesnaście lat – odparła dumnie.

– Jak dawno jesteś tutaj?

– U Louisa? Od roku.

– Pozwól, niech ci się przyjrzę.

Żółta lampa gazowa wisiała z tyłu za nią, twarz dziewczyny pograżona była w cieniu. Oparła głowę o ścianę i podniosła brodę, tak by światło padło jej na twarz.

Vincent ujrzał wielkie, nieco puste i niebieskie oczy w okrągłej, pełnej twarzy; wysoko zaczesane czarne włosy zaokrąglały ją jeszcze bardziej. Podbródek i szyja były również pełne i pulchne. Dziewczyna miała na sobie tylko kretonową sukienkę, na stopach – sandałki. Jej ostre brodawki piersiowe rysowały się wyraźnie pod sukienką.

– Jesteś ładna, Rachelo – rzekł Vincent.

Oczy jej rozbłysły dziecinną radością. Przechyliła się szybko przez stół i wzięła go za rękę.

– Cieszę się, że ci się podobam – powiedziała. – Lubię podobać się mężczyznom; tak jest milej, prawda?

– Ja też tak uważam. Czy ja ci się podobam? Komiczny z ciebie człowiek, Fou-Roux.

– Fou-Roux? Więc mnie znasz?

– Widziałam cię nieraz na placu Lamartine'a. Dlaczego zawsze idziesz tak szybko z tym wielkim tobołem na plecach? Dlaczego nie nosisz kapelusza? Czy słońce nie pali ci głowy? Masz oczy całkiem czerwone. Czy cię nie pieką?

Vincent roześmiał się z naiwnością dziecka.

– Rozkoszna jesteś i słodka, Rachelo. Czy chcesz nazywać mnie moim prawdziwym imieniem?

– A jak ci na imię?

– Vincent.

– Nie, Fou-Roux podoba mi się bardziej. Nie gniewasz się chyba, że cię tak nazywam. Czy mogę się czegoś napić? Stary Louis obserwuje mnie od drzwi.

Przesunęła prędko ręką po swej miękkiej szyi, zęby miała równe, lecz ciemne. Szeroka warga dolna nieco zwisała, niebieskie oczy śmiały się. Widział, że się śmieje, aby wprowadzić go w dobry humor.

– Zamów flaszki wina – polecił – ale taniego. Nie mam pieniędzy.

Gdy przyniesiono wino, Rachela rzekła:

– Chodźmy je wypić do mojego pokoju, tam jest o wiele przytulniej.

– Dobrze.

Po kamiennych schodach poszli na górę do pokoju Racheli. Stało tu wąskie łóżko, komoda i krzesło. Na ścianach wisiało kilka kolorowych medalionów Julienu. Dwie stare, zniszczone lalki siedziały na komodzie.

– Przywiozłam je z domu – objaśniła Rachela. – Nieraz bawię się nimi. Weź je, Fou-Roux. To jest Jacek, a to Kasia. Bawię się z nimi w dom. O, Fou-Roux, jak ty śmiesznie wyglądasz!

Vincent stał z głupkowskim uśmiechem, z lalką w każdej ręce. Rachela zabrała mu lalki, cisnęła je na komodę, rzuciła w kąt sandaalki i ściągnęła suknię.

– Siadaj, Fou-Roux, będziemy się bawili w dom. Ty będziesz tatą, a ja – mamą. Lubisz tę zabawę?

– Rachelo – powiedział Vincent – jeśli będziesz mnie zwała Fou-Roux, ja także mam dla ciebie przezwisko.

Rachela klasnęła w dłonie i rzuciła mu się na szyję.

– Ach, jakie? Powiedz prędko! Tak lubię nowe imiona!

Vincent przesunął lekko ręką po miękkim, krągłym brzuszku dziewczyny.

– Nazwę cię turkawką. Bo wyglądasz jak turkawka i masz takie ładne oczy i mały pulchny brzuszek.

Rachela pocałowała go w ucho.

– A ty masz takie małe, śmieszne uszka, Fou-Roux – mówiła popijając drobnymi łykami wino. Piła jak dziecko, z nosem w szklance.

– Podobają ci się? – zapytał.

– O tak. Są okrągłe i przymilne, zupełnie jak uszy pieska.

– Możesz je dostać.

Rachela wybuchnęła głośnym śmiechem. Podniosła szklanekę do ust, wciąż jeszcze chichocząc. Kropla wina spadła jej na lewą pierś, spłynęła po gołębim, pulchnym brzuszku i zniknęła w ciemnym trójkącie.

– Jesteś rozkoszny, Fou-Roux. Ludzie mówią, że jesteś zwariowany. Ale to nieprawda, co?

Vincent skrzywił się drwiąco:

– Tylko trochę.

– Będziesz moim kochankiem? Cały miesiąc nie miałam kochanka. Będziesz przychodził co wieczór.

– Obawiam się, że nie tak często, turkawko.

– Dlaczego? – spytała z niezadowoleniem.

– Między innymi dlatego, że nie mam na to pieniędzy.

– Uszczypnęła go w ucho. Jeśli nie będziesz miał pięciu franków, Fou-Roux, czy obetniesz sobie ucho i dasz mi je? Chciałabym je mieć. Położę je na komodzie i co noc będę się nim bawiła.

– A czy pozwolisz odkupić je potem, jeśli będę miał pięć franków?

– Och, jaki ty jesteś miły i śmieszny. Chciałabym, żeby i inni mężczyźni tacy byli.

– Czy nie jest ci tu dobrze?

– Ależ tak. Dobrze mi tutaj i lubię to... tylko ci żuawi.

Odstawiła szklanekę i zarzuciła ramiona na szyję Vincenta.

Poczuł jej pulchne ciało, poczuł żar małych piersi. Przycisnęła usta do jego ust. Odkrył, jak aksamitne i miękkie ma wargi.

– Przyjdiesz do mnie znów, Fou-Roux? Nie zapomnisz mnie? Nie pójdziesz do innej?

– Przyjdę Turkawko.

– No, to teraz bawmy się w tatę i mamę.

Gdy w pół godziny potem opuścił dom pana Louisa, paliło go pragnienie. Musiał wypić kilka szklanek zimnej, czystej wody.

IV

Vincent doszedł do wniosku, że im drobniej rozrabia się farbę, tym bardziej nasiąka ona olejem. Ale olej był dla niego jedynie środkiem wiążącym; nie miał nic przeciw temu, aby jego płótna miały wygląd szorstki i surowy. Postanowił nie sprowadzać więcej gotowych farb z Paryża, lecz sporządzać je własnoręcznie. Na zlecenie Thea ojciec Tanguy przysłał mu trzy farby chromowe, malachit, cynober, kobalt i ultramarynę. Vincent rozrabiał je sam w swoim pokoju. Obecnie farby kosztowały go mniej, a były świeższe i trwalsze.

Z kolei przestało go zadowalać płótno. Cienki grunt, jakim było pokryte, nie wystarczał na wessanie jego gęstych farb. Theo przysyłał mu teraz zwoje nie gruntowanego płótna. Wieczorem Vincent mieszał sam w małej miseczce apreturę i powlekał nią płótno, na którym miał nazajutrz malować.

Seurat nauczył go zwracać uwagę na ramy obrazu. Kiedy posłał bratu pierwsze prace z Arles, opisał mu dokładnie, z jakiego drzewa i jakiego koloru mają być ramy. Lecz tak długo nie był z nich zadowolony, póki sam nie nauczył się oprawiać swoich płócien. Kupował cienkie listwy drewniane, przycinał je według formatu obrazów, zbijał i malował. Obecnie zatem robił wszystko sam.

„Szkoda, że nie mogę sam kupować własnych obrazów – mruczał nieraz do siebie – byłbym wówczas zupełnie samowystarczalny”.

Mistral huczał znowu. Cała przyroda zdawała się szaleć. Niebo było bezchmurne. Olśniewającemu blaskowi słońca towarzyszyła posucha i przejmujący chłód. Vincent malował w pokoju martwą naturę: niebieski, emaliowany dzbanek do kawy, filiżankę w złotym i błękitnym kolorze, jasnoniebieski w białą kratkę dzbanuszek na mleko, jasnoniebieski dzban majolikowy z wzorem w kolorach czerwonym i brązowym, dwie pomarańcze i trzy cytryny.

Gdy wiatr ucichł, Vincent znów wyszedł na dwór i namalował Rodan z żelaznym mostem koło Trinquetaille. Niebo i rzeka miało barwę absyntu, brzeg – odcień liliowy, ludzie oparci łokciami o balustradę byli prawie czarni, żelazny most niebieszczył się i lśnił. Na czarnym tle widniały żywe, pomarańczowe smugi i plamy malachitowej zieleni. Starał się oddać ból, od którego serce pęka, żeby serce patrzącego to odczuło.

Nie usiłował oddawać wiernie tego, na co patrzył; używał farb dowolnie, pragnąc z tym większą siłą się wypowiedzieć. Objawiła mu się prawda tego, co powiedział mu w Paryżu Pissarro: „Malarz musi przesadzać śmiało efekty wywołane barwą, bądź to w harmonii, bądź w dysonansie”. W przedmowie Maupassanta do *Pierre et Jean* znalazł podobną myśl: „Artysta ma prawo przesadzić, ma prawo stworzyć w powieści świat piękniejszy, prostszy i bardziej kojący niż nasz”.

W jednodniowym, ciężkim znoju, pod palącym słońcem, wykończył obraz. Przedstawiał on wielkie zorane pole, na którym ciężkie, fioletowe skiby ziemi podnoszą się i biegną ku widnokręgowi. Na polu stoi siewca w niebiesko-białym odzieniu. Na dalszym planie połyskują dojrzałe zboża. Ponad wszystkim gorzej żółte słońce na żółtym niebie.

Krytycy paryscy orzekliby niechybnie, iż maluje za prędko. Vincent był innego zdania. Czyż nie gnała go pasja i głębokie odczucie natury? I jeśli to uczucie było niekiedy tak

przemienne, że musiał czasem pracować, nie zdając sobie sprawy z tego, że pracuje, jeśli niekiedy kreska szła za kreską, jak słowa w mowie, to przecie istniały także dni inne – ciężkie i głuche, pozbawione natchnienia. Musiał kuć żelazo, póki gorące.

Zarzucił sztalugi na plecy i skierował się w stronę miasta, obok Montmajour. Wnet dogonił jakiegoś człowieka idącego przed nim z małym chłopcem. Poznał starego Roulina, listonosza z Arles. Nieraz siedział obok niego w kawiarni i miał ochotę wdać się z nim w rozmowę, ale sposobność nie nadarzała się.

– Dzień dobry, panie Roulin – powiedział.

– Ach to pan, panie malarzu – odrzekł Roulin. – Dzień dobry. Zabrałem syna na mały spacer niedzielny.

– Wspaniały dziś dzień, prawda?

– Tak, tak, o ile nie dmie ten przekłęty mistral, jest tu tak pięknie! Malował pan dziś?

– Tak.

– Jestem prostym człowiekiem, nie znam się na sztuce. Ale 434 byłoby dla mnie wielkim zaszczytem, gdybym mógł obejrzeć obraz.

– Proszę bardzo.

Chłopak bawiąc się pobiegł przodem. Vincent i Roulin szli obok siebie. Vincent obserwował Roulina, gdy ten oglądał obraz. Roulin nosił urzędową niebieską czapkę; miał łagodne, pytające spojrzenie i długą, falistą, kwadratową brodę, która zakrywała mu zupełnie szyję i opadała na granatową bluzę. Vincent wyczuł w nim ten sam spokojny, marzący charakter, który pociągał go tak bardzo u ojca Tanguy. Był wzruszająco bezpretensjonalny. Proste, masywne, chłopskie oblicze tworzyło osobliwy kontrast z bujną, grecką brodą.

– Jestem prostakiem – powtórzył Roulin – i proszę mi wybaczyć, że mówię. Ale pańskie łany zboża są tak samo żywe jak pole, na którym widziałem pana przy pracy.

– Więc obraz podoba się panu?

– Nie mogę tego dokładnie określić. Wiem tylko, że czuję coś tutaj, wewnątrz...

Przesunął ręką po piersi.

Zatrzymali się chwilę u stóp Montmajour. Czerwone słońce zachodziło za starym opactwem, promienie jego padały na pnie i konary sosen, rosnących wśród skał, malując je na płomiennopomarańczowy kolor, podczas gdy dalsze, nie oświetlone, ciemnobłękitne odcinały się na tle zielonkawych niebios. Białe piasek i białe skały pod drzewami stały się teraz niebieskawe.

– To także żyje, prawda? – powiedział Roulin.

– I będzie żyło jeszcze wówczas, gdy nas już nie stanie, Roulin.

Szli, rozmawiając z sobą przyjaźnie i spokojnie. Czuło się w nim głębię i prostotę. Zarabiał sto trzydzieści pięć franków miesięcznie; z tego utrzymywał żonę, siebie i czworo dzieci. Od dwudziestu pięciu lat roznosił pocztę, w ciągu tego czasu jego pobory podniosły się bardzo nieznacznie; nigdy nie awansował.

– Kiedy byłem młody – rzekł – rozmyślałem wiele o Bogu. Ale w miarę jak lata płynęły, pojęcie o Nim ulatniało się. On jest w tym polu i zachodzie słońca, które pan namalował. Lecz gdy myślę o ludziach... i świecie, jaki stworzyli...

– Rozumiem, Roulin. Co do mnie, mam coraz głębsze przekonanie, że nie wolno nam mierzyć Boga tym światem. To jest tylko studium, które się nie udało. Co należy czynić,

jeśli studium jest złe, a mimo to kochamy artystę? Nie krytykować. Ale mamy prawo żądać czegoś lepszego.

– Tak – przytaknął Roulin – czegoś trochę lepszego.

– Zanim wydamy sąd, musimy obejrzeć inne dzieła tej samej ręki. Ten świat stworzył artysta widać w złej godzinie i zbyt pośpiesznie, gdy nie był w pełni swych sił.

Kręta droga zmierzchała w wieczornej pomroce. Pierwsze gwiazdy niby gwoździe przebiły ciężką kobaltową zasłonę nocy. Łagodne, niewinne oczy Roulina spoczęły pytająco na twarzy Vincenta.

– Sądzi pan, że istnieją inne światy, panie van Gogh?

– Nie wiem. Kiedy owładnęła mną potrzeba malowania, przestałem zastanawiać się nad podobnymi sprawami. Ale to życie wydaje się tak niedoskonałe... Niekiedy sądzę, że podobnie jak pociągi i wozy są środkiem lokomocji na tylni świecie, tak tyfus lub gruźlica przenoszą nas z tego świata na inny.

– Ach, o czym też wy, artyści, myślicie!

– Panie Roulin, czy zechce mi pan wyświadczyć przysługę? Pozwól mi pan sportretować się. Nikt w Arles nie chce mi pozować.

– Sprawiliby mi to prawdziwą przyjemność i zaszczyt. Ale dlaczego chce pan akurat mnie malować? Jestem brzydki.

– Gdyby istniał Bóg, panie Roulin, myślę, że miałby oczy i brodę podobne do pańskich.

– Pan żartuje ze mnie!

– Przeciwnie, mówię całkiem poważnie.

– Czy zechciałby pan przyjść do nas jutro na kolację? Będzie skromna jak zwykle, ale ucieszymy się bardzo.

Pani Roulin, chłopka z pochodzenia, przypominała Vincentowi nieco panią Denis. Na obrusie w czerwono-białą kratkę stała miska z ziemniakami, chleb pieczony w domu i flaszka kwaśnego wina. Po kolacji Vincent szkicował panią Roulin rozmawiając jednocześnie z jej mężem.

– Podczas rewolucji – mówił Roulin – byłem republikaninem. Lecz teraz widzę, że nic nie zyskałimy. Niezależnie od tego, kto nami rządzi, król czy ministrowie, my biedacy zawsze jesteśmy tak samo biedni. Myślałem, że w republice wszyscy są równi.

– O nie, Roulin.

– Całe życie – mówił Roulin – starałem się pojąć, dlaczego jeden ma więcej od drugiego, dlaczego jeden musi pracować w pocie czoła, podczas gdy sąsiad siedzi z założonymi beczynnie rękami. Może jestem zbyt ciemny, aby to zrozumieć? Czy pan sądzi, że gdybym był wykształcony, pojąłbym to lepiej?

Vincent oderwał oczy od szkicu i spojrzał bystro na listonosza. Czyżby był cynikiem? Lecz twarz Roulina była tak samo zacna i otwarta jak zawsze.

– Tak jest, przyjacielu – odrzekł – większość ludzi wykształconych zdaje się rozumieć to bardzo dobrze. Ja jednak jestem tak samo ciemny jak pan i nigdy tego nie pojmem, ani się z tym nie pogodzę.

V

Vincent wstawał teraz o czwartej rano, wędrował dziesięć lub dwanaście kilometrów do upatrzonego miejsca i malował do zapadnięcia mroku. Przykry był mu nieraz ten daleki, samotny powrót do domu, ale pocieszało go wilgotne płótno pod pachą.

W ciągu siedmiu dni namalował siedem wielkich obrazów. Z końcem tygodnia był na pół żywy z przemęczenia. Lato było olśniewające, lecz Vincent nie mógł pracować dłużej. Gwałtowny wiatr wzbijał tumany kurzu, który powlekał bielą drzewa. Vincent był zmuszony odpocząć. Spał po szesnaście godzin bez przerwy.

Był w biedzie. W czwartek wydał ostatnie pieniądze, a list Thea z pięćdziesięcioma frankami miał nadejść dopiero w poniedziałek. Nie było w tym winy Thea. Co dziesięć dni przysyłał mu pięćdziesiąt franków i wszystkie przybory malarskie. Vincent pragnął jednak widzieć swoje obrazy w ramach i zamówił ich tyle, że przekroczył budżet. Przez cztery dni żył teraz wyłącznie kawą i jednym bochenkiem chleba, który piekarz dał mu na kredyt.

Stracił nagle zaufanie do swej pracy. Zdawało mu się, że nigdy nie zdoła odpłacić bratu za jego dobroć. Zastanawiał się, czy nie mógłby w jakiś sposób zarobić wydanych na niego pieniędzy, aby Theo nie poniósł straty. Przejrzał jeden po drugim swoje obrazy i czynił sobie wyrzuty, że nie są warte włożonych w nie sum. Chociaż tu i ówdzie zrobił znośne studium, Theo mógł kupić taniej równie dobre, malowane przez kogo innego.

Przez całe lato osaczały go roje pomysłów do obrazów. Mimo samotności, nie miał czasu myśleć o innych sprawach. Pracował pełną parą. Teraz jednak czuł pustkę w głowie, a nie miał ani franka, aby móc pójść do restauracji lub do Racheli. Doszedł do wniosku, że wszystko, co tego lata namalował, było okropne.

„Bądź co bądź – mówił do siebie – płótno, które pokryłem farbami jest warte więcej od czystego. Innych pretensji nie mam; to jest moje prawo i przyczyna malowania”.

Był przekonany, że sam pobyt w Arles wyrobi w nim i rozwinie indywidualność twórczą. Życie jest krótkie. Mija szybko. Ponieważ jest malarzem, musi zawsze dzierżyć pędzel w ręce.

„Moje palce są coraz zwinniejsze – myślał – chociaż ciało – gruchot rozpada się już”.

Ułożył długą listę farb, o które chciał prosić Thea. Robiąc to, zauważył, że żadnej z nich nie używają Holendrzy – Mauve, Maris lub Weissenbruch. W Arles nastąpiło całkowite zerwanie z tradycjami ojczystego kraju.

W poniedziałek, po nadejściu pieniędzy, wyszukał restaurację, w której mógł zjeść dobry obiad za jednego franka. Była to dziwna restauracja. Wszystko w niej było szare – szara jak bruk uliczny była podłoga i szare tapety. Okiennice stale zamknięte, a drzwi zasłonięte grubą zieloną kotarą, aby pył nie nawiewał do środka. Jedyne przez szpary wdzierały się ogniste, kłujące promienie słońca.

Vincent odpoczywał przez tydzień. Potem postanowił malować wieczorem. Goście siedzieli przy stolikach, kelnerki uwijały się z potrawami, a on malował szarą restaurację. Potem namalował kobaltowy, ciepły strop niebios prowansalskich, z tysiącem migotliwych gwiazd – tak jak je widział z placu Lamartine'a oraz cyprysy w blasku księżyca. Namalował kawiarnię nocną, gdzie znajdowali przytułek ludzie bez pieniędzy albo ci, co byli zanadto pijani, by trafić do domu.

Pierwszej nocy malował ją z zewnątrz, drugiej – od wewnątrz. Połączeniem barwy czerwonej z zieloną pragnął wyrazić straszliwe napiętności w człowieku. Ściany wymalował w kolorze krwawym i ciemnożółtym. W środku stał zielony bilard. Cytrynowe światło czterech lamp miało pomarańczowe i zielone błyski. Również w postaciach włóczęgów śpiących przy stołach dał żywy kontrast czerwieni i zieleni. Chciał wyrazić, że taka kawiarnia jest miejscem, gdzie człowiek może się zrujnować, popaść w szal, popełnić zbrodnię.

Mieszkańcy Arles mieli uciechę z tego, że ich Fou-Roux maluje po nocach, we dnie zaś śpi. Wszystko, co Vincent czynił, stanowiło temat plotek i pogwarek.

Pierwszego gospodarz podniósł mu bez powodu nie tylko czynsz za pokój, lecz zażądał dodatkowej opłaty za komórkę, w której Vincent przechowywał obrazy. Vincent nie cierpiał hotelu, chciwość właściciela działała mu na nerwy. Z posiłków w szarej restauracji był zadowolony, były jednak za drogie, aby jadać tam stale. Zima szła, a on nie miał atelier, w którym by mógł pracować. Pokój hotelowy napawał go odrazą i smutkiem. Jedzenia w tanich barach nie mógł przełknąć ani strawić.

Musiał koniecznie znaleźć sobie stałe pomieszczenie i pracownię.

Pewnego wieczoru, spacerując ze starym Roulinem po placu Lamartine'a, zobaczył niedaleko swego hotelu, na żółtym domu kartkę: „Do wynajęcia”. Dwa skrzydła domu obejmowały podwórze, widok z niego roztaczał się na plac i miasteczko na pagórku. Vincent patrzył z tęsknotą na dom.

– Szkoda, że za obszerny – rzekł w końcu – tak bardzo chciałem mieszkać w takim domu.

– Nie trzeba wynajmować całego, panie Vincencie – odparł listonosz. – Może pan wynająć na przykład prawe skrzydło.

– Doprawdy? Jak pan sądzi, ile pokoi ma to skrzydło? Czy czynsz byłby bardzo duży?

– Oceniam je na trzy, cztery pokoje. Wynajem kosztowałby z pewnością bardzo mało, mniej niż połowę tego, co pan płaci w hotelu. Jeśli pan chce, jutro w południe obejrzę z panem dom. Może uda mi się uzyskać niższy czynsz.

Nazajutrz Vincent był tak podniecony, że całe rano biegał po placu i z wszystkich stron oglądał żółty dom. Był to budynek solidny i bardzo słoneczny. Do środka wiodły, jak stwierdził, dwa wejścia. Lewe skrzydło było już zamieszkane.

Po obiedzie przyszedł Roulin. Razem obejrzelik prawe skrzydło domu. Przez sięń wchodziło się do wielkiego pokoju, za którym leżał drugi, mniejszy. Ściany były biało tynkowane, podłoga sieni i schody wiodące na piętro wykładane czerwoną cegłą. Na piętrze znajdował się przestronny pokój oraz komórka. I tu podłogi były wykładane czerwonymi cegłami. Wszystko lśniło czystością, białe ściany odbijały słońce.

Gospodarz, którego Roulin uprzedził, czekał na nich na górze. Roulin zamienił z nim szybko kilka zdań w dialekcie prowansalskim, z którego Vincent niewiele zrozumiał. Potem listonosz zwrócił się do niego.

– Chciałby wiedzieć, na jaki okres wynajmie pan ten dom?

– Niech mu pan powie, że na czas nieokreślony.

– Czy przynajmniej na sześć miesięcy?

– Ależ tak!

– W takim razie może go panu oddać za piętnaście franków miesięcznie.

Piętnaście franków! Za cały dom! Trzecią część tego, co płacił w hotelu. Mniej, niż płacił za atelier w Hadze. Własne mieszkanie za piętnaście franków miesięcznie! Śpiesznie wyciągnął pugilares.

– Tu są pieniądze. Niech pan mu da. Wynajmuję dom!

– Właściciel chciałby też wiedzieć, kiedy się pan wprowadzi?

– Dziś, zaraz, w tej chwili!

– Ale, mój panie, przecie pan nie ma mebli. Jak może się pan wprowadzić?

– Kupię materac i krzesło. Ach, Roulin, pan nie wie, co to znaczy poniewierać się całe życie w nędznych pokojach hotelowych. Wprowadzam się natychmiast!

– Jak pan sobie życzy.

Gospodarz odszedł. Roulin powrócił do swego zajęcia. Vincent chodził z pokoju do pokoju, biegał po schodach w górę i na dół, aby ogarnąć i wziąć w posiadanie wszystkie kąty swego nowego królestwa. Pięćdziesiąt franków od Thea przyszło onegdaj, pozostało mu jeszcze trzydzieści. Pobiegł do miasta, kupił tani materac i krzesło, sam zaniósł je do żółtego domu. Postanowił urządzać sypialnię na parterze, atelier – na piętrze. Materac położył na czerwonych ceglach, krzesło zaniósł do pracowni. Potem po raz ostatni wrócił do hotelu.

Pod jakimś błahym pozorem gospodarz doliczył mu znów czterdzieści franków do rachunku i wzdragał się wydać obrazy, póki Vincent nie uiści żądanej kwoty. Vincent musiał wezwać policję, aby odzyskać swoją własność. I nawet wtedy musiał zapłacić połowę sumy żądanej nie wiadomo za co.

Pod wieczór wynalazł jakiś sklep, w którym nabył na kredyt mały piecyk gazowy, dwa garnki i lampę naftową. Pozostały mu trzy franki. Kupił kawy, chleba, kartofli i trochę mięsa na zupę. Pozostał bez centyma. Mały pokój na parterze przeznaczył na kuchnię.

Kiedy mrok zapadł na placu Lamartine'a i w żółtym domu, Vincent ugotował sobie na piecyku zupę i kawę. Stołu nie miał, rozłożył więc na materacu gazetę, postawił na niej kolację, a sam usiadł po turecku na podłodze. Zapomniał kupić nóż i widelec. Trzonkiem pędzla wyławiał z garnka i podnosił do ust kartofle i mięso. Miały posmak farby.

Po wieczery, z lampą w rękę poszedł na górę po schodach z czerwonej cegły. Do pustego pokoju na piętrze wpadał księżycowy blask; sztalugi rysowały się wyraźnie na tle okna, za nim leżał mroczny skwer na placu Lamartine'a.

Vincent położył się na materacu i zasnął. Gdy się rano obudził, otworzył okno i patrzył na zielenią ogrodu, na wschodzące słońce i drogę wijącą się serpentyną ku miastu.

Przyjrzał się czerwonej ceglanej podłodze, białym czystym ścianom, przestronnym pokojom. Zaparzył kawę, po czym z dzbankiem w ręce chodził po całym domu, pijąc od czasu do czasu łyk, i snuł plany, jak umebluje i jakimi obrazami ozdobi pokój. Ach, co za szczęśliwe godziny przeżyje w tym prawdziwym i własnym domu.

Nazajutrz otrzymał list od Gauguina. Nędzny i schorowany Paul leżał w jakiejś oberży w Pont-Aven w Bretanii.

„Nie mogę wydostać się z tej dziury – pisał – ponieważ nie mam pieniędzy na zapłacenie rachunku i właściciel trzyma pod kluczem moje obrazy. Pośród rozlicznych udręk nawiedzających ludzkość nie ma dla mnie bardziej dokuczliwej od braku pieniędzy. Mimo to jestem skazany na wieczne dziadostwo”.

Vincent ujrzał przed sobą malarzy tego świata: byli przeważnie nędzni i zmęczeni, klepali srogą biedę, unikani i wyszydzani przez ludzi. Dlaczego? Jaką zbrodnię popełnili? Za jaką winę pokutowali jako wyrzutki i pariasi? I jak mogli w tych warunkach wykonywać dobrze swoją pracę? Malarz przyszłości... to będzie wolny człowiek, kolorysta i znawca farb, jakiego nie było dotąd na świecie. Nie będzie mieszkał w nędznych hotelach, nie będzie musiał odwiedzać burdeli, do których chodzą żuawi.

Biedny Gauguin. Leżał tam w jakiejś nędznej dziurze bretońskiej zbyt chory, aby pracować, bez przyjaciela, który by mu dopomógł, bez franka w kieszeni na jądło i doktora. Vincent uważał go za wielkiego malarza i wielkiego człowieka. Gdyby umarł, gdyby został zmuszony do poniesienia pracy, świat poniósłby niepowetowaną stratę.

Vincent wsunął list do kieszeni, wyszedł z domu i udał się na Rodan. Węglowa barka mokra i lśniąca od wody stała przycumowana do nadbrzeża. Na Rodanie migotały żółtawo-białe i perłowe błyski. Niebo miało barwę liliową, na zachodzie przechodzącą w pomarańczową, miasto – barwę fioletu. Robotnicy w brudnoniebieskich bluzach wyładowywali węgiel.

„Istny Hokusai”⁵⁹.

Vincent przypomniał sobie Paryż, japońskie druki, ojca Tanguy i Gauguina, najmilszego ze wszystkich przyjaciół.

Nagle znalazł radę. Żółty dom był dość obszerny dla dwóch; dla każdego z nich znajdzie się tu osobny pokój i pracownia. Oszczędzając każdego centyma, gotując sami i sami przygotowując farby, potrafią wyżyć za sto pięćdziesiąt franków miesięcznie. Czynsz nie wyniósłby więcej niż obecnie, jedzenie kosztowałoby tylko trochę więcej. Jakby to było cudownie mieć u swego boku przyjaciela-malarza, który mówi tym samym językiem i zna się na rzemiośle. I jak cudownych rzeczy mógłby się dowiedzieć o malarstwie właśnie od Gauguina! Teraz dopiero poczuł, jak bardzo był dotąd samotny.

A jeśli nie potrafią związać końca z końcem, Theo dołoży może pięćdziesiąt franków w zamian za jeden obraz Gauguina miesięcznie.

Tak, tak, musi mieć Gauguina przy sobie w Arles. Płomienne słońce Prowansji wyleczy go tak samo, jak wyleczyło Vincenta.

Ich atelier rozkwitnie i ożyje – pierwsze atelier Południa. Poprowadzą dalej tradycję Delacroix i Mondcellego. Przepoją swoje płótna blaskiem słońca i barwą, świat ocknie się, ujrzy znowu w ich obrazach bujny żywioł natury.

Gauguin musi zostać uratowany.

Vincent zawrócił i popędził co tchu na plac Lamartine'a. Otworzył drzwi żółtego domu, wbiegł na górę i począł w myśli dzielić pokoje.

„Sypialnie urządzimy sobie na piętrze, każdy będzie spał oddzielnie. Na dole będą pracownie. Kupię łóżka, materace, pościel, krzesła, stoły – będziemy mieli prawdziwy dom. Cały dom ozdobimy słonecznikami i kwitnącymi sadami. Jak dobrze będzie widzieć cię znowu, Paul”.

⁵⁹Hokusai Katsushika (1760-1849) – znakomity rysownik i drzeworytnik japoński, którego prace oddziały na impresjonistów.

VI

Ale to wszystko nie poszło tak łatwo, jak sobie wyobrażał. Theo był wprawdzie gotów dołożyć pięćdziesiąt franków miesięcznie za obraz Gauguina, lecz wyłoniła się sprawa kosztów podróży. Gauguin był zbyt chory, aby się cokolwiek zająć, miał zbyt wiele długów, aby móc opuścić Pont-Aven, był zbyt przygnębiony, aby entuzjasmować się nowymi projektami. Bez końca krążyły listy między Arles, Paryżem i Pont-Aven.

Vincent był rozkochany w żółtym domu. Za przysłane przez Thea pieniądze kupił sobie stół i komodę.

„Nim rok upłynie – pisał do brata – będę odmienionym człowiekiem. Ale nie zamyslałam wcale wyjechać z Arles. Zostanę tu do końca życia. Będę malarzem Południa. Ty zaś pamiętaj, że posiadasz domek w Arles. Postaram się urządzić go tak, abyś mógł tu spędzać wakacje”.

Ograniczył swoje potrzeby życiowe do ostateczności, wszystkie pieniądze wkładał w żółty dom. Codziennie musiał wybierać między nim i sobą. Czy kupić mięso na obiad, czy dzban majolikowy, który sobie upatrzył? Nowe buty – czy zieloną kołdrę dla Gauguina? Sosnową ramę do nowego obrazu czy wyplatane krzesła?

Zawsze zwyciężał żółty dom.

Ilekcioć myślał o nim, ogarniał go spokój, uważał go bowiem za przystań i schronienie na resztę życia. Pragnął założyć tu stałą pracownię, w której całe pokolenia artystów będą malować Południe. Całym sercem pragnął jak najpiękniej wyposażyć i ozdobić dom, aby w ten sposób choć w części odpłacić bratu za lata nieproduktywności.

Ze zdwojoną energią rzucił się do pracy. Wiedział, że im częściej przygląda się jakiemuś pejzażowi, tym lepiej wchłania go w siebie i pojmuje. Pięćdziesiąt razy wychodził w pole u stóp Montmajour i studiował każdy szczegół. Ciężko było w tych warunkach prowadzić pędzel i malować z uczuciem. Vincent pracował od siódmej rano do szóstej wieczór nie ruszając się z miejsca. Codziennie obraz!

– Jutro będzie okropny skwar – zauważył pewnego razu późną jesienią Roulin; siedzieli przy szklance piwa w „Cafe Lamartine”. – A potem nadejdzie zima.

– Jak tu jest w zimie? – zapytał Vincent.

– Trudno wytrzymać. Deszcze, przykry wiatr i tnące zimno. Ale to trwa tylko dwa miesiące.

– Ha, cóż, a więc jutro jest ostatni dzień pogody. W takim razie wiem, co będę malował. Wyobraź pan sobie jesienny ogród, w nim dwa cyprysy kształtu i barwy flaszek, o ciemnej, soczystej zieleni, młode kasztany z pomarańczowo-tabaczkowym listowiem, niski cis o fioletowym pniu i cytrynowych listkach, dwa niewielkie, purpurowe krzaki, piasek, trawa, błękitne niebo...

– Ach, panie van Gogh, gdy pan coś opisuje, zdaje się człowiekowi, że całe życie był ślepy.

Nazajutrz Vincent wstał wraz ze słońcem. Był w doskonałym nastroju. Przystrzygł sobie brodę, przyczesał skąpe resztki włosów, pozostawione przez słońce Arles, włożył najlepsze ubranie i – żegnając się tym samym ze słońcem – wsadził na głowę króliczą czapę.

Roulin miał słuszność. Wzeszło słońce – gorejąca, żółta kula. Czapka nie miała daszka; blask kłuł w oczy i oślepił Vincenta. Jesienny ogród leżał na małym zboczu o dwie godziny drogi od Arles, w stronę Tarasconu. Vincent ustawił sztalugi w bruzdzie polnej koło ogrodu. Zrzucił czapkę, zdjął marynarkę i napiął płótno. Mimo wczesnej godziny porannej, słońce paliło głowę i rzucało przed oczy znaną mu już zasłonę tańczącego ognia.

Przestudiował starannie pejzaż, zanalizował barwy i kompozycję całości. Gdy poczuł, że pojmuje wszystko, zamaczał pędzle, otworzył tuby z farbami i oczyścił szpachlę, którą nakładał grubo farbę. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na ogród, wymieszał farby na palecie i podniósł pędzel.

– Czy musisz tak wcześnie zaczynać, Vincencie? – zapytał jakiś głos z tyłu za nim.

Vincent rozejrzał się.

– Jest jeszcze bardzo wcześnie, mój drogi. Masz przed sobą cały długi dzień.

Vincent w osłupieniu wpatrywał się w kobietę. Była młoda, lecz nie była już dzieckiem. Oczy miała błękitne jak kobaltowe niebo nocy prowansalskich, żółtocytrynowe jak słońce włosy spływały bujną falą na plecy. Rysy jej były subtelniejsze nawet niż rysy Kay Vos, lecz naznaczone dojrzałością kobiet Południa. Opalenizna jej miała kolor złocisty, zęby błyskające między rozchylonymi w uśmiechu wargami przypominały bielą kwiat oleandra widziany poprzez krwawoczerwone wino. Biała długa suknia, uwydatniająca linie ciała, tylko z boku spięta była srebrną klamrą. Stopy tkwiły w prostych sandałach, silna postać była kształtna i ponętna.

– Tak długo byłam z daleka od ciebie, Vincencie – powiedziała.

Stała między Vincentem i sztalugami, oparła się o puste płótno i przesłoniła mu ogród. Słońce roziskrzyło się w jej włosach rzucając na plecy płomienny odbłask. Uśmiechnęła się do niego tak serdecznie, z taką miłością, że przetarł ręką oczy, jakby chciał sprawdzić, czy to nie sen lub nie gorączkowe przywidzenie.

– Nie rozumiesz, drogi chłopcze – rzekła kobieta. – I jak miałbyś rozumieć, skoro tak długo byłam z dala od ciebie?

– Kim jesteś?

– Twoim przyjacielem, Vincencie. Twoim najlepszym przyjacielem.

– Skąd znasz moje imię? Nigdy dotąd cię nie widziałem.

– O, nie. Ale za to ja widywałam cię bardzo, bardzo często.

– Jak się nazywasz?

– Maja.

– Tylko Maja?

– Dla ciebie tylko Maja.

– Dlaczego przyszłaś za mną tutaj, na pole?

– Z tego samego powodu, dla którego szłam za tobą przez całą Europę: aby być blisko ciebie.

– Pomyliłaś mnie chyba z kim innym. Nie mogę być tym, kogo szukasz.

Kobieta położyła mu chłodną dłoń na przepalonych, rudych włosach i delikatnie odgarnęła je do tyłu. Dotyk jej dłoni i brzmienie głosu były chłodne i odświeżające jak woda źródłana.

– Istnieje jeden tylko Vincent van Gogh. Nie mogłam się omylić.

– Od jak dawna mnie znasz?

– Od lat ośmiu, Vincencie.

– Osiem lat temu byłem w...

– Tak jest, kochany, w Borinage. Po raz pierwszy ujrzałam cię w pewne jesienne popołudnie; siedziałeś na żelaznym, zardzewiałym kole przed „Marcasse”.

– I patrzyłem na górników idących z kopalni?

– Tak. Gdy cię ujrzałam po raz pierwszy, siedziałeś tam beczynnie. Już miałam cię minąć, gdy wtem wyjąłeś z kieszeni starą kopertę i ołówek i zacząłeś szkicować. Zjrzałam ci przez ramię, aby widzieć, co robisz. I zobaczywszy... zakochałam się w tobie.

– Zakochałaś się? We mnie?

– Tak, Vincencie.

– Twój głos, Maja, brzmi tak dziwnie. Raz jeden tylko kobieta mówiła do mnie takim tonem.

– Wiem, Margot. Ona kochała cię, tak samo jak ja.

– Znasz Margot?

– Byłam dwa lata w Brabancji. Codziennie towarzyszyłam ci, gdy szedłeś na pola malować, lub gdy pracowałeś w starej pralni. I byłam szczęśliwa, bo wiedziałam, że Margot cię kocha.

– A nie byłaś o nią zazdrosna?

Kobieta uśmiechnęła się, przez jej twarz przemknął błysk nieskończonego smutku i współczucia. Vincentowi przypomniał się Mendes da Costa.

– Nie, jej miłość dla ciebie była dobra. Ale nie lubiłam twojej miłości do Kay. To uczucie kaleczyło cię.

– Czy znałaś mnie wówczas, gdy kochałem Urszulę?

– To było przed moim czasem.

– Nie lubiłabyś mnie wtedy. Byłem głupi.

– Niekiedy trzeba naprzód być głupim, aby potem być mądrym.

– Jeśli kochałaś mnie w Brabancji, czemu nie przyszałaś do mnie?

– Nie byłeś gotowy na przyjęcie mnie, Vincencie.

– A teraz?

– Teraz tak.

– I wciąż jeszcze mnie kochasz? Nawet teraz... dziś... w tej chwili?

– Teraz... dziś... w tej chwili... i na wieki...

– Ale jak możesz mnie kochać? Popatrz! Wszystkie zęby mam sztuczne, dźwiał chore, włosy spalone od słońca, oczy czerwone jak u syfilityka, twarz moja to skóra i kości. Jestem brzydki, najbrzydszy z mężczyzn. Nerwy mam stargane, ciało bezpłodne, wnętrzności zatrute. Jak możesz kochać taką ruinę?

Silną białą dłonią ujęła podbródek Vincenta i odsunęła mu włosy za uszy.

– Nie jesteś brzydki, Vincencie. Jesteś piękny. Męczyłeś i dręczyłeś swoje biedne ciało, lecz nie mogłeś okaleczyć duszy – to ją kocham. I kiedy spali cię gorączka pracy, dusza twoja będzie żyła nadal... bez końca... a z nią i moja miłość.

Słońce podniosło się tymczasem wysoko i palącymi promieniami przenikało ich oboje.

– Czy długo jesteś w Arles?

– Przybyłam z tobą z Paryża.

Vincent zerwał się zagniewany i kopnął krzesło.

– Jesteś oszustką! – zawołał. – Przysłano cię tu po to, aby mnie wyśmiać. Ktoś opowiedział ci o mnie i mojej przeszłości i zapłacił ci, abys się ze mnie naigrawała. Odejdź! Nigdy nie będę już z tobą rozmawiać!

Kobieta z uśmiechem w oczach zniosła ten wybuch gniewu.

– Nie jestem oszustką, mój drogi. Jestem czymś najprawdziwszym w twym życiu. Nie możesz zabić mojej miłości do ciebie.

– To kłamstwo! Nie kochasz mnie. Zedrę z ciebie maskę!

Chwyił ją brutalnie w ramiona. Nachyliła się ku niemu.

Vincent odtrącił ją i podszedł do krzesła. Kobieta osunęła się na ziemię, oparła mu rękę na stopie i skłoniła na nią głowę. Począł głaskać jej bujne, cytrynowe włosy.

– Czy teraz wierzysz mi, kochany? Po długiej chwili Vincent rzekł:

– Przybyłaś do Arles razem ze mną. Wiesz o Turkawce?

– Rachela jest słodkim dzieckiem.

– Nie masz nic przeciw temu?

– Jesteś mężczyzną, Vincencie. Potrzeba ci kobiet. Za wcześnie było na to, bym przysłała, więc musiałeś sobie radzić, jak mogłeś. Ale teraz...

– Więc ty?...

– Kocham cię.

– Ale dlaczego? Kobiety zawsze mną gardziły.

– Nie byłeś stworzony do miłości. Miałeś wykonać inną pracę.

– Pracę?... Ech, byłem głupcem. Po co te setki obrazów? Kto zechce je mieć? Kto je kupi? Kto da mi słowo pochwały? Kto powie, że zrozumiałem naturę i oddałem jej piękno?

– Cały świat powie to pewnego dnia, Vincencie.

– Pewnego dnia! Co za marzenie! Takie samo jak to, że kiedyś będę zdrowym mężczyzną, będę miał dom i rodzinę, będę zarabiał dosyć malarstwem, aby móc żyć. Malowałem osiem długich lat. W ciągu tego całego czasu nikt nie kupił ani jednego mojego obrazu. Byłem głupcem!

– Tak, ale wspaniałem głupcem. Gdy odejdiesz, Vincencie, świat pojmie, co chciałeś wyrazić. Obrazy, których dziś nie możesz sprzedać za sto franków, osiągną wartość miliona! Uśmiechasz się? Mówię ci, że tak będzie. Twoje obrazy zawisną w muzeach Amsterdamu i Hagi, Paryża i Drezna, Monachium i Berlina, Moskwy i Nowego Jorku. Będą bezcenne, ponieważ nie będą na sprzedaż. Pisarze będą pisać książki o twojej sztuce, dramaty i powieści o twoim życiu, Vincencie. A ilekroć zejdzie się dwóch ludzi kochających malarstwo, imię Vincenta van Gogha będzie dla nich święte.

– Gdybym nie czuł dotąd smaku twoich ust, powiedziałbym, że śnię lub oszalałem. Siądź przy mnie, Vincencie. Podaj mi rękę.

Słońce stało teraz prosto nad ich głowami. Wzgórza i dolina nurzały się w siarczanej żółciznie. Vincent leżał w polnej bruździe obok Mai. Od sześciu długich miesięcy rozmawiał jedynie z Rachelą i Roulinem. Wezbrał w nim potok słów. Kobieta spojrzała mu głęboko w oczy. Zaczął mówić. Opowiadał jej o Urszuli i dniach pracy u Goupilów, o swych walkach i rozczarowaniach. O miłości do Kay. O życiu, które starał się zbudować z Krystyną. Wyznał jej swe nadzieje związane z malarstwem, mówił o przezwiskach, którymi go obrzucano, i ciosach, jakie otrzymywał. O tym, dlaczego jego rysunki musiały być surowe, malarstwo nie wygładzone, a barwy jakby eksplodujące. Mówił o wszystkim,

co chciał zrobić dla malarzy i malarstwa. I o tym, jak choroba i wyczerpanie zniszczyły mu ciało.

Mówiąc podniecał się coraz bardziej. Słowa wypływały mu z ust jak farby z tub. Zerwał się. Gestykułował rękami, ramionami, całym ciałem. Puls tętnił mu coraz żywiej, krew krążyła coraz szybciej. Żar słońca wyzwolił w nim gorączkową energię.

Kobieta słuchała go spokojnie i z uwagą. Z oczu jej wyczytał, że wszystko rozumie.

Chłoneła wszystko, co miał do powiedzenia, była przy nim, gotowa słuchać dalej, spragniona zrozumieć go, przyjąć wszystko, co miał do oddania i czego nie mógł w sobie powstrzymać.

Nagle zatrzymał się. Dygotał z podniecenia. Twarz mu gorzała, oczy płonęły, dreszcz wstrząsnął ciałem. Kobieta pociągnęła go ku sobie.

– Pocałuj mnie, Vincencie.

Pocałował ją w usta. Nie były już chłodne. Leżeli obok siebie na miękkiej ziemi. Kobieta całowała jego oczy, uszy, nozdrza, wargi, pieściła jego usta swoim językiem, przesuwając palcem wzdłuż jego szyi, ramion i pach.

Pocałunki jej wzbudziły w nim najbardziej dręczącą namiętność, jaką znał kiedykolwiek. Każdą cząstką ciała odczuwał ostre, bolesne pożądanie, którego nie mogą nasycić same zmysły. Żadna kobieta nie całowała go tak – oddawała mu się w pocałunku. Przygarnął ją do siebie, pod miękką białą suknią czuł pulsowanie jej gorącego ciała.

– Czekaj – powiedziała.

Odpięła srebrną klamrę i zrzuciła suknię. Jej ciało było toczzone i złociste jak jej twarz, dziewicze w każdym calu. Nie przypuszczał, że ciało kobiece może być tak misternie ukształtowane. Nie przypuszczał, że namiętność może być tak czysta, tak wysublimowana, tak paląca.

– Drzysz, mój drogi – powiedziała. – Obejmij mnie mocniej, mój najdroższy. Tak, jak tego pragniesz.

Słońce zaczynało skłaniać się ku zachodowi, ziemia nagrzana była palącymi promieniami słońca. Pachniały młode sadzonki, pachniało wszystkim co rośnie, co ścięte i co umiera. Pachniało życiem, bogatymi, ostrymi woniami życia, które stale rodzi się i stale powraca do materii, z której zostało stworzone.

W Vincencie wzbierała fala uczuć. Każdym nerwem odczuwał ukryty w nim głęboko ból. Kobieta otoczyła go ramionami, dała mu swoje ciepło, uwolniła go od gwałtownego pożądania ustawicznie szarpiącego mu nerwy i wyniszczającego ciało, delikatnymi pieszczotami doprowadziła do wstrząsającego, twórczego spełnienia. Wyczerpany zasnął w jej ramionach.

Późnym wieczorem obudził się w ciemności. Był sam. Słońce zaszło. Policzek miał sztywny od gliny, w której zarył twarz upadając. Chłodna ziemia pachniała wilgocią i robakami. Włożył marynarkę, wsadził czapkę na głowę, wziął sztalugi na plecy, a płótno pod pachę; powędrował po ciemku do miasteczka.

W żółtym domu rzucił sztalugi i obraz na materac w sypialni i wyszedł, by napić się kawy. W kawiarni na zimnej płycie stołu złożył głowę na rękach i zaczął sobie przypominać wydarzenia dnia.

„Maja – mrucał do siebie – Maja. Gdzie ja słyszałem to imię? Maja znaczy... znaczy... Ciekaw jestem, co znaczy.”

Zamówił drugą filiżankę kawy. Po godzinie przez plac Lamartine'a podążył do domu. Dał zimny wicher. W powietrzu czuło się woń deszczu.

Zapalił lampę w sypialni i postawił ją na stole. Żółty płomień rozświetlił pokój. Nagle Vincent zauważył coś barwnego na materacu. Zdziwiony podszedł i podniósł płótno, które rano zabrał z sobą.

Na nim, w cudownym, przesyconym słońcem świetle, ujrzał swój jesienny ogród: dwa cyprysy kształtu flaszki i jak flaszka zielone; młode kasztany o pomarańczowym i tabaczkowym listowiu; niski cis z cytrynowymi listkami i fioletowym pniem; dwa małe krzewy, krwawiące purpurowymi liśćmi; na pierwszym planie piasek i nieco trawy, a ponad wszystkim błękitne, błękitne niebo i wirująca kula żółtego, niczym siarka, ognia.

Kilka minut stał i przyglądał się uważnie. Potem powiesił obraz na ścianie. Sam usiadł po turecku na materacu i wciąż na nowo mu się przypatrywał.

„Dobry jest – powtarzał półgłosem. – Udał mi się naprawdę.”

VII

Nadeszła zima. Vincent spędzał dni w ciepłym, przytulnym atelier. Theo doniósł, że Gauguin, który przelotem zawitał do Paryża, jest w okropnym humorze i wzdraga się przed wyjazdem do Arles. Mimo to Vincent nie przestawał snuć planów i zamierzeń na przyszłość. Wyobrażał sobie w najdrobniejszych szczegółach, jak poszerzy dom, kiedy on i Gauguin stworzą w nim wspólną pracownię – nie tylko dla nich dwóch, ale dla wszystkich artystów Południa; jak z otwartymi ramionami przyjmą każdego malarza, który do nich zawita. W zamian za gościnę każdy będzie musiał co miesiąc posyłać jeden obraz jego bratu. Theo zaś, zgromadziwszy w ten sposób pokaźną liczbę obrazów impresjonistycznych, wypowie firmie Goupil i otworzy własną galerię w Paryżu.

W listach swoich Vincent tłumaczył jasno i dobitnie, że Gauguin zostanie kierownikiem pracowni, mistrzem wszystkich malarzy, których ona skupi. Sam oszczędzał jak mógł, by mieć na ozdobienie swojej sypialni. Podłoga była wykładana czerwonymi płytami. Ściany pomalował na kolor jasnofioletowy, kupił prześcieradła i poszewki w cytrynowo-zielonym, wesołym kolorze, kołdrę – szkarłatną. Łóżka i krzesła powłókł farbą kremową, jaką ma świeże masło, drzwi – kolorem lila, umywalkę – pomarańczowym, a miskę na niej – niebieskim. Okiennice zdjął, a na ścianach zawiesił swoje obrazy. Gdy wszystko było gotowe, w kilku gwaszach, lekko i prędko, namalował pokój i posłał bratu, żeby Theo zobaczył jaką ma miłą pracownię.

Pokój Gauguina postanowił wyposażyć wytworniej; tak tanie meble nie były godne mistrza. Pani Roulin oceniła, że łóżko orzechowe, jakie chciał sprawić dla przyjaciela, musi kosztować co najmniej trzysta pięćdziesiąt franków – wydatek zbyt wielki, by mógł sobie nań pozwolić. Nie przestawał jednak kupować drobniejszych sprzętów, wskutek czego wciąż na nowo popadał w tarapaty pieniężne.

Gdy nie miał pieniędzy na modeli, stawał przed lustrem i sam się portretował. Rachela odwiedziła go i pozowała mu; co tydzień przychodziła pani Roulin z dziećmi, madame Ginoux, żona właściciela kawiarni, w której często przesiadywał, pozowała mu w stroju arleżjanki. Zamaszystymi, mocnymi rzutami pędzla w ciągu godziny skończył portret. Na bladocytrynowym tle odbijała szara twarz, czarna suknia miała odcień błękitu pruskiego.

Posadził ją na pożyczonym fotelu z pomarańczowego drzewa, łokcie opierała na zielonym stole.

Żuaw o masywnym karku, małej twarzy i tygrysiich oczach zgodził się za drobną opłatą na pozowanie. W portrecie do kolan uwiecznił go Vincent na zielonym tle, w niebieskim mundurze, z wyblakłym, czerwonym szamerunkiem i dwiema bladocytrynowymi gwiazdkami na piersi. Na brunatnej, kociej głowie siedział czerwony fez. Dzikie zestawienie tych niezgodnych barw przez swoją jaskrawość, pospolitość i twardość harmonizowało wybornie z charakterem modela.

Godzinami siedział w oknie, z papierem i ołówkiem w ręce, i próbował opanować technikę, aby w kilku kreskach odtworzyć ludzi i zwierzęta. Kopiował obrazy namalowane w lecie myśląc, że jeśli w ciągu roku zrobi pięćdziesiąt studiów po dwieście franków, nie będą go tak dręczyły wyrzuty sumienia, że żyje na koszt brata.

Tej zimy nauczył się niejednego i niejedno pojął; zrozumiał, że malując akt nie wolno używać błękitu pruskiego, gdyż wówczas ciało wygląda jak z drzewa; że jego barwy nie mają tej mocy, jaką mieć powinny; że dla malarza pejzażu południowego najistotniejszy jest kontrast czerwieni z zielenią, barwy pomarańczowej i niebieskiej, siarczаноżółtej i lila; że pragnie, aby jego obrazy działały kojąco jak muzyka; pragnie wyrazić w ludziach, których maluje, coś boskiego, co zazwyczaj symbolizuje aureola, używając w tym celu farb tak żywych i promiennych. I w końcu pojął również, że dla człowieka, który posiada talent ubóstwa, trwa ono wiecznie.

Umarł pewien wuj z rodu van Goghów i pozostawił Theowi mały spadek. Ponieważ Vincent pragnął koniecznie mieć przy sobie Gauguina, Theo postanowił oddać połowę spadku na wyposażenie pokoju Gauguina i jego podróż do Arles. Vincent był wniebowzięty. Natychmiast powziął nowy pomysł ozdobienia ścian. Postanowił wymalować dwanaście *panneaux*, przedstawiających wspaniałe słoneczniki Arles – symfonię w kolorze żółtym i błękitnym.

Lecz i teraz nawet, chociaż koszty podróży miały być pokryte, Gauguin nie entuzjasmował się zgoła jazdą do Arles. Z pewnych przyczyn, które dla Vincenta pozostały tajemnicą, wolał marnować czas w Pont-Aven. Vincent starał się gorliwie ukończyć dekorację ścian i przygotować pracownię na przybycie mistrza.

Znowu była wiosna. Krzewy oleandrów w ogrodzie zakwitły szczodrym przepychem kwiatów. Uginały się pod brzemieniem nowego i przekwitającego kwiecica, ich niewyczerpana zieleń odradzała się bez przerwy.

Vincent raz jeszcze władował sobie sztalugi na plecy i wyszedł na poszukiwanie słoneczników do dwunastu *panneaux*. Koloryt zoranych pól przypominał mu chłopskie saboty. Na niezapominajkowym niebie widniały białe plamy obłoków.

O wschodzie słońca Vincent malował słoneczniki na wysokich łądygach. Kilka z nich wziął do domu i namalował je w zielonej wazie.

Zewnętrzne ściany domu pociągnął świeżą, żółtą farbą ku uciechu mieszkańców placu Lamartine'a.

Nim skończył pracę przy domu, nadeszło lato. A z nim rozplómięte, rozjarzone słońce, gwałtowny mistral i rosące podniecenie w powietrzu. Krajobraz i kamienne miasteczko na wzgórzu czyniły wrażenie umęczonych i torturowanych.

Wraz z latem zjawiał się Paul Gauguin.

Przyjechał do Arles przed świtem i czekał na wschód słońca w małej, nocnej kawiarence. Gospodarz zbliżył się do niego:

– Pan jest tym przyjacielem! – zawołał – poznaję pana!

– Co pan gada, do diabła?

– Pan van Gogh pokazywał mi portret, który mu pan przysłał. Kubek w kubek pan!

Gauguin poszedł do żółtego domu i obudził Vincenta. Przywitani się serdecznie i hałaśliwie. Vincent pokazał Gauguinowi dom, pomógł mu rozpakować rzeczy, wypytywał o Paryż. Rozmawiali z ożywieniem parę godzin.

– Chcesz już dzisiaj zabrać się do pracy, Paul?

– Jak ci się zdaje, czy ja jestem Carolus-Duran⁶⁰? Wsiadam z pociągu, biorę paletę do ręki i natychmiast utrwalam wrażenie słonecznego blasku?

– Pytałem tylko.

– W takim razie nie zadawaj głupich pytań!

– Ja także zrobię sobie dzisiaj święto. Chodź, pokażę ci miasto.

Poprowadził Gauguina na wzgórze, przez zalany słońcem plac Ratuszowy, potem okólną drogą powędrowali na peryferie miasta. Żuawi ćwiczyli na łące obok baraków, czerwone fezy pałały w słońcu. Vincent prowadził przyjaciela dalej, przez mały park obok rzymskiego forum. Spacerowały tutaj, o tej ранней godzinie, kobiety z Arles. Vincent entuzjasmował się arlezkami.

– Co sądzisz o nich, Paul?

– Na razie wcale nie jestem zachwycony.

– Patrz na karnację ich skóry, nie na kształty, człowieku! Patrz, jak pięknie słońce je wyzłociło.

Wrócili do żółtego domu, aby omówić i uporządkować sprawę wspólnego życia. Przybili w kuchni na ścianie małą skarbonkę i każdy włożył do niej połowę swoich pieniędzy – tyle na tytoń, tyle na drobne wydatki i na czynsz. Na skarbonce położyli kartkę papieru i ołówek, aby notować każdego wyjętego franka. Do drugiej skarbonki włożyli resztę pieniędzy, podzieloną na cztery części; mieli pokrywać nimi co tydzień koszty pożywienia.

– Jesteś dobrym kucharzem, prawda, Gauguin?

– Doskonałym. Byłem swego czasu marynarzem.

– Na przyszłość zatem ty będziesz gotował. Ale dziś wieczór ja ugotuję zupę na twoją cześć!

Kiedy jednak wieczorem podał zupę, Gauguin nie mógł jej jeść.

– Nie pojmuję, Vincencie, jak mogłeś sprepować podobne świństwo. Zapewne w ten sam sposób, w jaki zestawiasz kolory na twoich obrazach.

– Co masz do zarzucenia moim kolorom?

– Mój drogi chłopcze, tarzasz się wciąż jeszcze w neoimpresjonizmie. Najlepiej będzie, gdy poniechasz dotychczasowej metody. Ona zupełnie nie pasuje do ciebie.

Vincent odsunął talerz z zupą.

– Więc już po przelotnym spojrzeniu jesteś o tym przekonany? Zdolny krytyk z ciebie!

⁶⁰Carolus-Duran Emile Auguste (1838-1917) – popularny portrecista francuski ze szkoły Courbeta i malarz historyczny, usiłujący pogodzić kierunki nowatorskie z tradycyjną sztuką głoszoną przez Akademię.

– Przypatrz się sam, nie jesteś chyba ślepy. Chociażby te gwałtownie przejęskrawione barwy żółte są najzupełniej chaotyczne.

Vincent podniósł oczy na słoneczniki na ścianach.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia o moich słonecznikach?

– Nie, mój drogi, mam im jeszcze mnóstwo innych rzeczy do wytknięcia.

– Na przykład?

– Na przykład harmonie – są nudne i niepełne.

– Kłamstwo!

Siadaj, Vincencie. Nie patrz tak na mnie, jakbyś mnie chciał zamordować. Jestem od ciebie o wiele starszy i dojrzały. Ty wciąż jeszcze próbujesz, nie odnalazłeś siebie samego. Słuchaj tego, co ci mówię, chętnie będę ci udzielał nauki.

– Wybacz, Paul. Chcę przecie, abyś mi pomógł.

– W takim razie wybij sobie te nonsensy z głowy. Przez cały dzień bredziłeś z zachwytem o Meissonierze⁶¹ i Monticellim. Obaj nie mają żadnej wartości. Dopóki podziwiasz ich sposób malowania, nie stworzysz nigdy dobrego obrazu.

– Monticelli był wielkim malarzem. Wiedział więcej o barwach niż wszyscy malarze jemu współcześni.

– Był idiotą i pijakiem.

Vincent zerwał się na równe nogi i wpatrzył się w Gauguina dzikim wzrokiem. Talerz z zupą spadł na czerwone cegły i roztrzaskał się w kawałki.

– Nie mów tego o Monticellim! Kocham go, jest tak bliski mojemu sercu jak rodzony brat! To ohydne oszczerstwo, że był pijakiem i wariatem! Żaden pijak nie namalowałby nigdy takich obrazów. Rozumowa, wyężająca praca nad równowagą sześciu barw zasadniczych, napięcie nerwów, dokładna kalkulacja, setki szczegółów, o których musiał myśleć w ciągu pół godziny, to wszystko wymaga zdrowego rozsądku i trzeźwości. Jeśli powtarzasz te haniebne plotki o „Fadzie”, jesteś równie przewrotny, jak ta wstrętna baba, która je pierwsza w świat puściła.

– *Turlututu mon chapeau pointu!*⁶²

Vincent cofnął się, jakby mu ktoś chlusnął w twarz zimną wodą. Słowa i uczucia zamarały w nim. Usiłował opanować gniew, lecz nie potrafił. Pobiegł do swej sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi.

VIII

Nazajutrz rano nie pamiętali o kłótni. Zjedli razem śniadanie, po czym każdy poszedł w swoją stronę, na poszukiwanie motywów. Kiedy Vincent wrócił wieczorem do domu zmęczony szukaniem równowagi między sześcioma barwami, jak to nazywał, zastał już Gauguina przygotowującego posiłek na małym piecyku gazowym. Czas jakiś rozmawiali spokojnie. I znów wybuchł spór, gdy zaczęli mówić o malarzach i malarstwie, jedynym pasjonującym ich obu temacie.

Vincent gardził malarzami, których podziwiał Gauguin. Ci zaś, których Vincent ubóstwiał, byli wyklęci przez Gauguina. Mieli zupełnie odmienny sąd o drogach

⁶¹Meissonier Ernest (1815-1891) – malarz francuski, hołdujący gustom mieszczańskich odbiorców. Malował z naturalistyczną precyzją sceny rodzajowe i historyczne.

⁶²Mój kapelusz, tralala, spiczasty wierzchołek ma.

wiodących do sztuki. Może na inny temat potrafiliby mówić spokojnie i zgodnie, lecz malarstwo stanowiło miąższ i rdzeń ich życia. Każdy z nich walczył o swoje zdanie aż do upadłego, aż do całkowitego wyczerpania. Gauguin miał dwa razy więcej siły fizycznej niż Vincent, lecz gniewne rozgorączkowanie Vincenta wyrównywało niedobór.

Nawet gdy opinia ich była zgodna, byli jak gdyby naelektryzowani. Po każdej takiej rozprawie nawiedzało ich zupełne wyczerpanie, podobni byli do rozładowanych baterii.

– Artystą będziesz dopiero wówczas – oznajmił Gauguin – kiedy przyjrzesz się naturze, wrócisz do twego atelier i będziesz malował z zimną krwią.

– Nie chcę malować z zimną krwią, ty głupcze! Chcę malować w zachwycie! Po to jestem w Arles!

– Całe dzieło, które dotąd stworzyłeś, jest niewolniczym naśladowaniem natury. Musisz się nauczyć malować *ex tempore*!

– *Ex tempore*! Wielkie nieba!

– I jeszcze jedna rzecz. Zrobiłbyś dobrze, gdybyś posłuchał Seurata. Malarstwo jest abstrakcją. Nie ma w nim miejsca na historyjki, które opowiadasz, ani na morały, które prawisz.

– Ja prawie morały? Jesteś niespełna rozumu.

– Jeśli chcesz kazać, Vincencie, wróc na ambonę. Malarstwo jest barwą, linią i formą, niczym więcej. Artysta może i powinien oddać dekoracyjność natury, to wszystko.

– Dekoracyjność – drwił Vincent. – Jeśli to wszystko, co potrafisz wydobyć z natury, wróc lepiej od razu na giełdę.

– Jeśli to uczynię, posłucham też twego kazania w niedzielę. A co ty wydobywasz z natury, brygadierze?

– Ruch, rytm życia.

– Aha, zaczyna się.

– Gdy maluję słońce, chcę, aby ludzie czuli, z jaką szybkością ono wiruje, jak promieniuje światłem wydzielając fale olbrzymiej siły i gorąca. Gdy maluję łan zboża, chcę, aby ludzie czuli, jak atomy w ziarnie pęcznieją i wzbierają, aż kłos dojrzeje i pęknie. Gdy maluję jabłko, chcę, aby ludzie czuli, jak sok owocu rozsadza łupinę, jak nasiona napierają na zewnątrz, pragnąc stać się nowym owocem.

– Ile razy mówiłem ci Vincencie, że malarz nie powinien teoretyzować.

– Patrz na tę scenę w winnicy, Paul! Te grona chcą pęknąć i trysnąć ci sokiem w twarz. Patrz na ten wąwóz, Paul! Chciałbym, aby odczuto, jaki bezmiar wody spłynął po jego stokach! A gdy portretuję człowieka, chciałbym, aby wyczuto utajony nurt jego życia, wszystko, co kiedykolwiek widział, czynił i cierpiał.

– Do stu szatanów! Jaki jest sens tego, dokąd zmierzasz?

– Do tego, Paul: pola, z których wyrasta zboże, woda rwąca wąwozem, sok winogrona, życie człowieka są w gruncie rzeczy jednym i tym samym. Jedynym jednoczącym wszystko pierwiastkiem życia jest rytm, w którym wszyscy tańczymy; domy, ludzie, kłosa, konie, wozy na polach, jabłka, woda i słońce. Materia, z której ty jesteś utkany, będzie jutro krążyła w owocu, ponieważ ty i owoc jesteście jednym. Gdy maluję chłopca harującego w polu, chcę, aby czuto, jak chłop wrasta w ziemię podobnie jak ziarno i jak ziemia wrasta w niego, chcę, aby odczuto, jak słońce przepływa w chłopca, pole, zboże, pług i konie, i jak te

wszystkie przedmioty przepływają w słońce. Dopiero gdy odczuwa się ów wszechogarniający rytm, rozumie się co nieco z życia. To bowiem jest Bogiem.

– „Brygadierze – odparł Gauguin – masz słuszość”⁶³. Vincent był u szczytu podniecenia, drżał w napięciu. Słowa Gauguina podziałały na niego jak policzek. Stał osłupiały, z otwartymi ustami.

– Co to znaczy: „Brygadierze, masz słuszość”?

– To znaczy, że odroczyliśmy teraz nasze posiedzenie i pójdziemy do knajpy na absynt.

Z końcem drugiego tygodnia Gauguin rzekł:

– Dziś wieczór pójdziemy do twojego burdelu. Może znajdę jakąś ładną, pulchną dziewczynkę.

– Trzymaj się z daleka od Racheli! Ona należy do mnie. Przez labirynt kamiennych uliczek pobiegli do pana Louisa. Posłyszawszy głos Vincenta Rachelę zbiegła na dół i rzuciła mu się na szyję. Vincent poznał Gauguina z panem Louisem.

– Monsieur Gauguin – powiedział Louis – pan jest artystą. Może zechce pan wydać sąd o dwóch obrazach, kupiłem je zeszłego roku w Paryżu.

– Chętnie. Gdzie je pan nabył?

– W firmie Goupil na placu Opery. Wiszą w salonie od frontu. Proszę, niech pan wejdzie.

Rachela zaprowadziła Vincenta do pokoju na lewo od wejścia, posadziła go na krześle i usiadła mu na kolanach.

– Przychodzę tu już sześć miesięcy, a pan Louis nie zapytał mnie nigdy o zdanie – mruknął Vincent, dotknięty.

– Uważa zapewne, że ty nie jesteś artystą, Fou-Roux.

– Może ma rację.

– Nie kochasz mnie już – dąsała się Rachela.

– Dlaczego tak sądzisz, turkawko?

– Dawno tu nie byłeś.

– Pracowałem ciężko, by przygotować dom na przyjęcie przyjaciela.

– Więc kochasz mnie, nawet gdy nie przychodzisz?

– Ależ tak, oczywiście.

Uszczypnęła go w małe, okrągłe ucho, potem pocałowała jedno po drugim.

– Czy, aby to udowodnić, dałbyś mi twoje maleńkie, śmieszne uszy? Obiecałeś mi je kiedyś, Fou-Roux.

– O ile potrafisz je zdjąć, są twoje.

– Gdyby były przyszyte jak uszy mojej lalki.

Nagle posłyszeli głośny krzyk z przeciwległego pokoju, potem pisk, nie wiadomo – radości czy bólu. Vincent zdjął z kolan Rachelę i pobiegł do salonu.

Gauguin leżał skurczony na podłodze i wił się ze śmiechu, łzy ciekły mu po twarzy. Louis z lampą w ręku stał nad nim jak gromem rażony. Vincent ukląkł obok przyjaciela i chwycił go za ramię.

– Paul, Paul, co ci jest?

Gauguin usiłował mówić, lecz nie mógł. Po chwili dopiero wykrztusił:

⁶³W oryginale: „Brigadier, vous avez raison” – zakończenie refrenu piosenki G. Nadaud Deux Gendarmes.

– Vincencie... nareszcie... jesteśmy zrehabilitowani... patrz, patrz, tu na ścianie... te dwa obrazy, kupione u Goupilów... do burdelu. To Bouguereau!

Potykając się ruszył pośpiesznie ku drzwiom.

– Czekał, czekał, dokąd pędzisz? – wołał za nim Vincent.

– Na pocztę, do telegrafu. Muszę tą nowiną podzielić się natychmiast z klubem Batignolles.

Szło lato ze swą przeraźliwą spiekotą i prażącym blaskiem. Krajobraz rozkwitł przepychem barw. Zielen, błękit, żółtość i czerwień były tak intensywne, że aż oczy bolały. Czegokolwiek słońce dotknęło, przepalało do korzeni. Nad doliną Rodanu przewalały się rozedrgane, wibrujące fale upału. Płomienne słońce podcinało siły dwóch malarzy, wysysało z nich soki żywotne, biło w nich, zmniejszało odporność. Potem zerwał się mistral, biczował ich, szarpał im nerwy, chwiał głowami na karkach, aż im się zdawało, że głowy zlecą lub pękną. Ale mimo to codziennie rano ze sztalugami na plecach wychodzili z domu i pracowali, póki krzycząca niebieskość dnia nie poczęła zmierzchać w krzyczący granat nocy.

Między Vincentem i Gauguinem – jeden był ziejącym ogniem wulkanem, drugi wewnątrznie dochodził również do punktu wrzenia – przygotowywała się zacięta walka. Nocami, zanadto wyczerpani, aby spać, zbyt nerwowi, aby usiedzieć cicho, ścierali się z sobą z zawziętą pasją. Pieniądze topniały, nie mieli możliwości zabawienia się poza domem. Hamowane namiętności znalazły sobie ujście we wzajemnym dokuczaniu. Gauguin był niestrudzony w drażnieniu Vincenta; gdy ten, wściekły, usiłował się bronić, Gauguin rzucał mu w twarz: „Brygadierze, masz słuszność”.

– Vincencie, nie dziw się, że nie umiesz malować. Spójrz na nieład w twoim atelier, na chaos w twojej kasecie z farbami. Mój Boże, gdyby twój holenderski mózg nie entuzjazmował się tak gorąco Daudetem i Monticellim, mógłbyś tu trochę posprzątać i wprowadzić jakiś ład w twoje życie.

– To nie twoja rzecz, Paul! Tu jest moja pracownia. U siebie możesz sprzątać, ile chcesz.

– Skoro zeszedliśmy już na ten temat, mogę ci powiedzieć, że twój umysł jest tak samo chaotyczny jak twoja kasetka. Podziwiasz każdego malarza znaczków pocztowych w Europie, a nie możesz pojąć, że Degas...

– Degas! Co on namalował takiego, co by mogło stać godnie obok Milleta?!

– Millet?... Ten sentymentalny głupiec, ten...

Vincent wpadł w istny szał z powodu tego poniżania Milleta, w którym widział swego mistrza i duchowego patrona. Biegał za Gauguinem z pokoju do pokoju, Gauguin uciekał przed nim. Dom był mały, Vincent krzyczał, aż się mury trzęsły, to znów przemawiał uroczyście, wymachiwał pięściami przed potężną twarzą Gauguina. Do późna w tropikalną, parną noc trwała nieugięta walka.

Obydwaj pracowali intensywnie i z uporem. Chcieli podobnie jak przyroda dookoła wykorzystać i osiągnąć szczytowy punkt twórczości. Dzień w dzień zmagali się z płomienną mocą swych płócien, noc w noc „ja” jednego przeciwstawiało się zaciekle „ja” drugiego. O ile nawet nie walczyli wrogo i nieustępliwie, ich przyjacielskie dyskusje były również tak naładowane dynamitem, że leżeli potem bezsenni i utrudzeni. Nadeszły pieniądze od Thea. Wydali je natychmiast na absynt i tytoń. Było za gorąco, aby jeść. Sądził, że absynt ukoi im nerwy. Podniecał ich jeszcze bardziej.

Nadciągnął przykry tnący mistral i uwięził ich w domu. Gauguin nie mógł pracować. Drażnił Vincenta i naigrawał się z niego, utrzymując go w stanie ciągłego napięcia. Nie spotkał do tej pory nikogo, kto by potrafił z powodu idei tracić nad sobą do tego stopnia panowanie.

Była to jedyna rozrywka Gauguina, toteż nie ustawał w złościach. Piątego dnia mistralu powiedział:

– Najlepiej będzie, jeśli teraz uspokoisz się, Vincencie.

Dreźczył przyjaciela, póki burza rozpetana w żółtym domu nie zagłuszyła wyjącego dziko wichru.

– A ty, Paul?

– Bo widzisz, Vincencie, sprawa ma się tak, że kilka osób, które utrzymywały ze mną zażyłe stosunki i miały zwyczaj dyskusyjności ze mną, popadło w obłęd.

– Co, grozisz mi?...

– Nie, ostrzegam tylko.

– Lepiej sam uważaj!

– Dobrze, ale nie mów potem, że ja ponoszę winę, gdy się coś stanie.

– Och, Paul, Paul, nie kłóćmy się wiecznie! Wiem, że jesteś lepszym malarzem ode mnie. Wiem, że możesz mnie niejednego nauczyć. Ale, na miłość boską, nie drwij ze mnie, nie patrz na mnie tak z góry! Dziewięć lat harowałem, ale teraz, na Boga, teraz... potrafię także powiedzieć coś o malarstwie! Przyznaj, że mam do tego prawo! No powiedz, Paul.

– „Brygadierze, masz słuszność”.

Mistral ścichł. Arleżanie poczęli wychodzić na ulice. Straszliwe słońce znowu zaświeciło. Upał nie do wytrzymania ciążył nad Arles. Policja musiała zwalczać panoszące się zbrodnie. W oczach ludzkich migotały niesamowite błyski. Nikt się nie śmiał. Nikt nie rozmawiał. Kamienne dachy domów były rozprażone. Na placu Lamartine'a przyszło do dzikiej awantury, błysnęły noże. W powietrzu wisiała katastrofa. Arles nie mogło dłużej wytrzymać okropnego napięcia. Zdawało się, że cała dolina Rodanu rozprysnie się w kawałki.

Vincent myślał o przepowiedni paryskiego dziennikarza.

– Co przyjdzie – pytał sam siebie – trzęsienie ziemi czy rewolucja?

Mimo to malował dalej z gołą głową. Potrzebny mu był biały, olśniewający żar, aby rozplomienić w nim namiętności. Mózg jego był niby tygiel ze stopioną masą, z którego wylewały się ogniste obrazy.

Gdy w zawrotnym pośpiechu tworzył jeden obraz po drugim, rosła w nim świadomość, że w ciągu tych niewielu nabitych twórczą mocą tygodni dziewięć lat żmudnej pracy osiągnęło swój punkt szczytowy, aby z niego wreszcie – na przelotną chwilę – uczynić doskonałego artystę. Dzieło jego górowało znacznie nad dziełem minionego roku. Nigdy już nie uda mu się może stworzyć obrazów, w których by tak całkowicie wyraził istotę natury i swoją własną.

Malował od czwartej rano aż do nocy, dopóki mrok nie zacierał konturów. Niekiedy tworzył w ciągu dnia dwa do trzech obrazów. A każdy obraz, zrodzony w konwulsyjnych dreszczach, wstrząsał nim do głębi, jak gdyby kosztował go rok życia. Czas mierzył się dla niego obrazami, które tworzył, nie kartkami kalendarza.

Czuł, że jako artysta osiągnął punkt kulminacyjny swego życia, szczyt, do którego dążył przez te wszystkie lata.

Nie wiedział, jak długo może tworzyć w ten sposób. Wiedział tylko, że musi malować, malować... i jeszcze raz malować. Musi zatrzymać to krótkie mgnienie nieskończoności napięciem wszystkich sił, aby dać światu obrazy, które kształtowały się w jego duszy, które w sobie nosił.

I tak malowali obaj po całych dniach, kłócili się po nocach, jedli bardzo mało, nie spali wcale. Byli opici i przepojeni słońcem, farbami, tytoniem, gorączką i absyntem; dręczyły ich żywioły i twórcza pasja, dręczyli się też wzajemnie. Z godziny na godzinę stawali się bardziej wrażliwi i podnieceni.

Słońce waliło w nich. Wiatr ich chłostał. Barwy raziły wzrok. Puste wnętrzości nabrzmiewały pod wpływem absyntu gorączką. Dom kołysał się i drżał w napęczniałe krwią, burzliwe noce.

Pewnego dnia, gdy Vincent malował pługi na polu, Gauguin zrobił jego portret. Vincent wpatrzył się w swój wizerunek. Po raz pierwszy pojął, co Gauguin o nim sądzi.

– Tak, to jestem ja – rzekł – ale twój portret przedstawia mnie jako wariata.

Wieczorem poszli do kawiarni. Vincent zamówił lekki absynt. Nagle podniósł szklanę i rzucił nią w głowę Gauguina. Gauguin uchylił się prędko. Podniósł Vincenta i zaniósł bezwładne ciało do domu. Vincent znalazł się w łóżku i zasnął natychmiast.

– Drogi Paul – powiedział nazajutrz rano bardzo spokojnie – coś sobie przypominam, że wczoraj cię obraziłem.

– Wybaczam ci chętnie i z całego serca – odrzekł Gauguin.

– Ale wczorajsza scena może się powtórzyć. Gdybyś we mnie trafił, nie umiałbym się opanować i z pewnością skoczyłbym ci do gardła. Pozwolisz więc, że napiszę do twego brata i doniosę mu o swym powrocie.

– Nie, nie. Paul! Nie zrobisz tego! Chcesz opuścić nasz żółty dom? Wszystko w nim zrobiłem dla ciebie!

Cały dzień szalał wicher. Vincent walczył rozpaczliwie, aby zatrzymać przy sobie przyjaciela. Gauguin opierał się jednak wszystkim prośbom. Vincent błagał, pochlebiał, kłął, groził, w końcu rozplakał się. Tym razem zwyciężył. Miał wrażenie, że całe jego życie zależy od tego, czy uda mu się zatrzymać przyjaciela w żółtym domu. Wieczorem Gauguin, do cna wyczerpany, uległ dla świętego spokoju.

W pokojach żółtego domu powietrze przeładowane było elektrycznością. Gauguin nie mógł spać. Dopiero nad ranem zdrzemnął się.

Obudziło go dziwaczne uczucie. Vincent stał pochylony nad jego łóżkiem i śledził go w ciemności.

– Co się z tobą dzieje, Vincencie? – zapytał ostro.

Vincent wyszedł, położył się do łóżka i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Następnej nocy Gauguin zerwał się ze snu z tym samym osobliwym uczuciem. Vincent stał znowu w jego pokoju i w mroku wlepił w niego oczy.

– Vincencie! Idź zaraz do łóżka!

Vincent obrócił się i wyszedł.

Nazajutrz przy kolacji wybuchła dzika kłótnia z powodu zupy.

– Dołałeś do niej farby, Vincencie, kiedy patrzyłem w inną stronę! – krzyknął Gauguin.

Vincent roześmiał się. Podszedł do ściany i wypisał kredą:

Je suis Saint Esprit,

*Je suis sain d'esprit.*⁶⁴

Przez kilka dni był całkiem spokojny. Chodził po domu zgnębiony i melancholijny. Do Gauguina nie odzywał się niemal wcale. Pędzla nie brał niemal do ręki. Nie czytał. Siedział na krześle i gapił się przed siebie.

Czwartego dnia po południu, kiedy złowrogi huragan osiągnął najwyższe nasilenie, Vincent poprosił Gauguina, aby poszedł z nim na spacer.

– Chodźmy do parku – rzekł – chciałbym ci coś powiedzieć.

– Czy nie możesz powiedzieć mi tego tutaj, gdzie jest cicho?

– Nie, nie umiem mówić siedząc. Muszę chodzić.

– No, skoro musisz...

Szli drogą prowadzącą pod górę. Z trudem opierali się wichrowi. Dął z taką mocą, że cyprysy w parku ugięły się do ziemi.

– Co masz mi do powiedzenia? – zapytał Gauguin. Musiał krzyczeć wprost do ucha Vincentowi. Wiatr unosił słowa. Vincent łowił je z trudem.

– Paul, myślałem wiele w ostatnich dniach. Wpadł mi do głowy wspaniały pomysł.

– Wybacz, ale odnoszę się sceptycznie do twoich wspaniałych pomysłów.

– Nie dopisaliśmy wszyscy jako malarze. Ale wiesz, dlaczego?

– Co mówisz? Nic nie słyszę! Krzycz mi do ucha!

– Czy wiesz, dlaczego nie dopisaliśmy jako malarze?

– Dlaczego?

– Ponieważ każdy z nas maluje osobno i sam.

– Co takiego, do stu piorunów?!

– Niektóre rzeczy maluje ktoś z nas dobrze, inne – źle. A wszystko razem rzuca się na jedno płótno.

– Słucham cię, brygadierze.

– Pamiętasz braci Both, malarzy holenderskich? Jeden był zdolnym pejzażystą, drugi malował świetnie ludzkie postacie. Malowali wspólnie: jeden – pejzaż, drugi – figury. I odnieśli sukces.

– No, i jaki jest krótki sens tej długiej mowy?

– Co?... Nie słyszę. Zbliź się!

– Mówiłem, żebyś ciągnął dalej.

– Musimy zrobić to samo, Paul! Ty i ja, Seurat, Cezanne, Lautrec, Rousseau. Musimy pracować razem nad jednym obrazem. Byłaby to prawdziwa wspólnota malarstwa. Każdy namalowałby to, co potrafi najlepiej. Seurat – powietrze, ty – krajobraz, Cezanne – płaszczyzny. Lautrec – figury. Ja – słońce, księżyc i gwiazdy. Razem moglibyśmy zostać jednym wielkim artystą. Co sądzisz o tym?

– *Turlututu mon chapeau pointu!*

Gauguin wybuchnął przykrym dzikim śmiechem. Wiatr poniosł Vincentowi drwinę prosto w twarz jak bryzg piany morskiej.

⁶⁴Gra słów nie do oddania w języku polskim: Jestem Duchem Świętym, jestem zdrów na umyśle.

– Brygadierze – zawołał Gauguin, gdy mógł wreszcie złapać oddech – to chyba najbardziej zwariowany pomysł, jaki się kiedykolwiek zrodził... Wybacz, że wyję z śmiechu.

Zbiegł szybko na dół, trzymając się za brzuch i rycząc.

Vincent stał bez ruchu. Chmara ptaków runęła na niego z nieba. Tysiące czarnych, kraczących ptaków zatrzepotało skrzydłami dokoła. Rzuciły się na niego, wchłonęły go, wikłały mu się we włosach, wpadały do nosa, ust, uszu i oczu, opłotły i pokryły go gęstą chmurą czarnych, bijących skrzydeł.

Po chwili Gauguin wrócił.

– Chodź, Vincencie, pójdziemy do Louisa. Musimy uczcić twój niezrównany pomysł.

Vincent szedł za nim w milczeniu na rue des Ricolettes.

Gauguin zniknął zaraz na górze z jedną z dziewczynek.

W pokoju przyjęć Rachel usiadła na kolanach Vincenta.

– Nie chcesz iść ze mną na górę? – spytała.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie mam pięciu franków.

– To nic – dasz mi twoje uszko.

– Dobrze.

Gauguin wrócił po kilku minutach. Poszli w dół, w stronę żółtego domu. Gauguin przełknął śpiesznie kolację, potem bez słowa wybiegł. Nie zdążył jeszcze przejść placu Lamartine'a, gdy wtem posłyszał za sobą znany dobrze krok – krótki, prędko, nerwowo.

Odwrócił się szybko.

Vincent biegł za nim z otwartą brzytwą w ręku.

Gauguin stał sztywno i patrzył mu w twarz.

Vincent zatrzymał się dwa kroki przed nim i wlepił w niego oczy. Potem opuścił głowę, odwrócił się i pobiegł do domu.

Gauguin udał się do hotelu, wynajął pokój, zaryglował mocno drzwi i położył się spać.

Vincent tymczasem powłókł się po schodach do swej sypialni. Postawił na umywalni lustro, za pomocą którego tylekroć się portretował.

W lustrze ujrzał swoje nabiegłe krwią oczy.

Wszystko skończone. Jego życie minęło. Wyczytał to w swoim odbiciu.

Najlepiej zrobić teraz zaraz koniec.

Podniósł brzytwę. Poczł zimną, ostrą stal na szyi.

Dosłyszał jakieś głosy szepczące coś dziwnego.

Słońce Arles rzuciło ognistą zasłonę między jego oczy i lustro.

Jednym pociągnięciem odciął sobie prawe ucho. Został tylko małeńki kawałek małżowiny.

Brzytwa wypadła mu z dłoni. Ręcznikami obwiązał sobie głowę. Krew ciekła na podłogę.

Wyjął ucho z miski, obmył je i zapakował w kilka arkuszy papieru rysunkowego.

Na grubo bandaż naciągnął берет baskijski. Zbiegł po schodach, przeszedł plac Lamartine'a, wspiął się na wzgórze i zadzwonił do drzwi Louisa.

Otworzyła mu służąca.

- Proszę tu przysłać Rachelę! – rozkazał.
- Rachela zeszła natychmiast.
- Ach to ty, Fou-Roux, czego chcesz?
- Przyniosłem ci coś.
- Mnie?... Upominek! Jak to ładnie z twojej strony.
- Przechowaj to starannie. To pamiątka po mnie.
- Co to takiego?
- Rozpakuj, a zobaczysz.

Rachela odwinęła papier. Zdrętwiała z przerażenia, wpatrywała się w ucho. Potem zemdlona upadła na kamienne płyty.

Vincent odwrócił się i wyszedł. Dotarł do żółtego domu, otworzył drzwi i położył się do łóżka.

Kiedy Gauguin nazajutrz o wpół do ósmej rano zjawił się pod żółtym domem, zastał tu podnieconą gromadę ludzi. Roulin, zrozpaczony, łamał ręce.

– Co pan zrobił ze swym kolegą, panie? – zagadnął go surowym tonem jakiś człowiek w kapeluszu kształtu melona.

- Nie wiem.
- Ach tak... Pan wie bardzo dobrze... On nie żyje.

Gauguin stał dłuższą chwilę nic nie rozumiejąc... Tłum utkwiał w nim oczy, jak gdyby chciał go przebić ostrymi, ciekawymi spojrzeniami. Nie mógł oddychać.

– Chodźmy razem na górę, monsieur – wyjąkał wreszcie Roulin. – Zobaczymy.

W dwóch dolnych pokojach na podłodze leżały mokre ręczniki. Schody wiodące do sypialni Vincenta, były zbroczone krwią.

Na łóżku owinięty w prześcieradła leżał Vincent, skurczony jak kurek strzelby. Zdawał się martwy. Delikatnie, leciutko dotknął Gauguin ciała. Było ciepłe. Nagle odzyskał energię i przytomność umysłu.

– Niech pan będzie tak dobry – zwrócił się ścisłym głosem do inspektora policji – i obudzi tego pana z największą ostrożnością. Gdyby o mnie zapytał, proszę powiedzieć, że wyjechałem do Paryża. Mój widok mógłby go przyprawić o śmierć.

Inspektor posłał po dorożkę i doktora. Przewieziono Vincenta do szpitala. Roulin ciężko dysząc biegł obok dorożki.

IX

Doktor Feliks Rey, młody sekundariusz szpitala w Arles, był niski, krępy i miał kanciastą głowę ze sterczącym na niej czubem czarnych włosów. Opatrzył ranę Vincenta i położył go w pokoju podobnym do celi, z którego kazał usunąć wszystkie sprzęty. Wychodząc zamknął drzwi na klucz.

O zachodzie słońca, kiedy doktor Rey badał puls, Vincent obudził się. Ze zdziwieniem popatrzył na sufit, potem na białą ścianę, potem przez okno na zmierzchający błękit. Z wolna jego oczy powędrowały ku twarzy doktora.

- Gdzie ja jestem?
- W szpitalu w Arles.

Na mgnienie oka twarz Vincenta skurczyła się bolesnie. Podniósł rękę i chciał dotknąć miejsca, gdzie znajdowało się przedtem prawe ucho.

- Proszę nie dotykać – rzekł Rey.
- Tak... przypominam sobie.
- Rana jest całkiem czysta. Za kilka dni będzie pan zdrowy zupełnie.
- Gdzie mój przyjaciel?
- Wrócił do Paryża.
- Rozumiem... Czy wolno mi zapalić fajkę?
- Jeszcze nie, przyjacielu.

Doktor Rey przemył i przewiązał ranę.

- Wypadek nie jest wcale taki straszny – powiedział. – Te listki kapusty przy głowie nie są konieczne, by słyszeć. Nie odczuje pan nawet braku ucha.

- Pan jest dobry, panie doktorze. Dlaczego ten pokój jest... taki pusty?
- Kazałem wynieść wszystko, aby pana bronić.
- Przed kim?
- Przed samym sobą.
- ... tak... rozumiem.

- Teraz muszę już iść. Przyślę tu panu kolację. Proszę starać się leżeć spokojnie. Upływ krwi osłabił pana.

Nazajutrz rano, gdy się Vincent obudził, Theo siedział przy jego łóżku, twarz miał bladą i policzki zapadnięte, a oczy przekrwione.

- Theo – powiedział Vincent.

Theo osunął się z krzesła i ujął rękę Vincenta. Płakał nie wstydzając się łez.

- Theo... mój Theo... zawsze, gdy się budzę i jesteś mi potrzebny... znajduję cię przy sobie.

Theo nie mógł słowa wykrztusić.

- Ciężko ci było zapewne odbyć tę długą podróż do mnie... Skąd wiedziałeś?
- Gauguin depeszował wczoraj. Wyjechałem nocnym pociągiem.
- Gauguin nie powinien był tego zrobić! Naraził cię na taki wydatek, Theo! I całą noc nie zmrużyłeś pewnie oka.

- Tak, Vincencie.

Milczeli długą chwilę.

- Mówiłem z doktorem Reyem, Vincencie. Sądzi, że to był udar słoneczny. Pracowałeś na dworze bez kapelusza, prawda?

- Tak.

- Widzisz, tego nie wolno ci robić. Na przyszłość musisz zawsze wkładać kapelusz. Tu w Arles udar słoneczny nie jest rzadkością.

Vincent ujął delikatnie rękę Thea. Brat łkał głośno.

- Chciałbym ci coś powiedzieć, Vincencie, ale może lepiej poczekać z tym parę dni.
- Coś dobrego, Theo?
- Zdaje mi się, że uznasz tę nowinę za dobrą.

W tej chwili wszedł Rey.

- No, jak się ma dzisiaj chory?

- Panie doktorze, czy brat może mi powiedzieć dobrą nowinę?

- Ależ oczywiście! Chwileczkę... chciałbym tylko zobaczyć. Dobrze, dobrze, rana goi się ślicznie.

Doktor wyszedł. Vincent błagał o nowinę.

– Vincencie – rzekł wreszcie Theo – ja... ja... poznałem pewną dziewczynę...

– Theo!

– Jest Holenderką. Nazywa się Joanna Bunger. Pod wieloma względami przypomina naszą matkę.

– Kochasz ją Theo?

– Tak. Byłem tak strasznie samotny po twoim wyjeździe, Vincencie! Przedtem nie czułem się tak źle, ale potem... kiedy cały rok spędziliśmy razem...

– Ciężko ci było ze mną, Theo. Obawiam się, że przeżyłeś przeze mnie kiepskie czasy.

– Gdybyś wiedział, Vincencie, ile razy tęskniłem za małym mieszkankiem przy rue Lepie. Móc tam pójść znowu i zobaczyć twoje buty na kredensie i mokre płótna na moim łóżku. Ale nie wolno nam teraz mówić więcej. Musisz mieć spokój. Usiądę cicho tutaj, obok ciebie.

Theo został dwa dni w Arles. Odjechał do domu dopiero wówczas, gdy doktor Rey zapewnił go, że Vincent przyjdzie prędko do siebie i że on będzie go strzegł nie tylko jako doktor, ale także jako przyjaciel.

Co wieczór przychodził Roulin i przynosił kwiaty. Po nocach prześladowały Vincenta dręczące wizje. Doktor Rey rozpylał na poduszce i materacu kamforę – środek przeciw bezsenności.

Czwartego dnia widząc, że Vincent się uspokoił, doktor polecił otworzyć drzwi i wnieść z powrotem meble.

– Czy mogę wstać i ubrać się? – zapytał Vincent.

– Jeśli się pan czuje na siłach. Po przechadzce proszę przyjść do mnie, do kancelarii.

Szpital w Arles był dwupiętrowym, czworokątnym budynkiem z patio⁶⁵, pełnym bujnych, kolorowych kwiatów, ścieżek wysypanych żwirem i paproci. Vincent spacerował powoli parę minut, potem udał się do kancelarii doktora Reya na parterze.

– Jak się pan czuje chodząc? – spytał doktor.

– Doskonale.

– Powiedz mi pan, Vincencie, dlaczego pan to zrobił?

Vincent milczał długą chwilę.

– Nie wiem – powiedział w końcu.

– O czym pan wtedy myślał?

– Ja... ja nie myślałem... panie doktorze.

W następnych dniach Vincent z wolna odzyskiwał siły. Pewnego ranka rozmawiając w kancelarii z doktorem, podniósł brzytwę leżącą na umywalce i otworzył ją.

– Pański zarost wymaga ogolenia, panie doktorze. Czy pozwoli pan, abym go ogolił?

Doktor cofnął się w kąt pokoju i ręką zasłonił twarz:

– Nie, nie! proszę położyć brzytwę!

Vincent roześmiał się, zamknął brzytwę i położył ją na umywalni.

– Proszę się nie obawiać, przyjacielu. Skończyłem z tym. Z końcem drugiego tygodnia doktor Rey pozwolił Vincentowi malować.

⁶⁵Patio – podwórko wewnętrzne.

Posłano sanitariusza do żółtego domu po sztalugi i płótno. Doktor Rey pozował Vincentowi, aby go uspokoić. Vincent pracował powoli, po trochu każdego dnia. Skończywszy portret, wręczył go doktorowi.

– Chciałbym, aby pan zachował ten portret na pamiątkę, panie doktorze. Jest to jedyny sposób, w jaki mogę okazać panu moją wdzięczność.

– To ładnie z pańskiej strony, Vincencie. Czuję się zaszczycony.

Doktor zabrał portret do domu i powiesił go na ścianie zakrywając nim rysę w tapecie.

Vincent pozostał jeszcze dwa tygodnie w szpitalu. Malował patio pławiące się w słonecznym blasku. Podczas pracy wkładał teraz zawsze szeroki kapelusz słomkowy. Pełne dwa tygodnie zajęło mu malowanie ogrodu.

– Proszę mnie codziennie odwiedzać – rzekł doktor Rey u furty szpitalnej, gdy się żegnali. – I proszę pamiętać:

żadnego absyntu, żadnych wzruszeń ani pracowania w słońcu z gołą głową.

– Przymierzam, panie doktorze, i serdeczne dzięki za wszystko!

– Napiszę pańskiemu bratu, że jest pan już zupełnie zdrowy.

Wróciwszy do żółtego domu, Vincent dowiedział się, że właściciel postanowił wynająć go pewnemu kupcowi. Dla Vincenta żółty dom był częścią jego samego, dzięki niemu zapuścił korzenie w glebę Prowansji. Wymalował go z zewnątrz i wewnątrz – każdą ścianę, każdy kawałek, uczynił go mieszkalnym i przytulnym. Mimo nieszczęścia, jakie go w nim nawiedziło, uważał go za swą przystań na całe życie. Był zdecydowany stawić zacięty opór właścicielowi.

Zrazu lękał się w samotnym domu bezsenności, której nawet kamfora nie mogła przeczłonić. Doktor Rey dał mu brom dla przegnania okropnych halucynacji, dręczących go po nocach. W końcu ucichły głosy szepczące mu do ucha dziwaczne, niesamowite historie. Słyszał je już tylko w sennych zwidach.

Był jeszcze za słaby, aby pracować pod gołym niebem. Spokój wracał powoli, natomiast dobre samopoczucie i apetyt rosły z dnia na dzień. Zjadł z Roulinem obiad w restauracji, był wesół, rześki i bez złych obaw. Ostrożnie zaczął wykańczać rozpoczęty dawniej portret pani Roulin. Z radością i zadowoleniem kładł farby: czerwień od różowej do pomarańczowej, żółtą we wszystkich odcieniach aż do cytrynowego, tu i ówdzie jasne i ciemne błyski zieleni.

Z wolna wracało zdrowie i chęć pracy. Wiedział dawniej, że można złamać rękę lub nogę i wyzdrowieć; do tej pory nie wiedział jednak, że można wyzdrowieć po ataku szaleństwa.

Pewnego popołudnia poszedł do Louisa, by się dowiedzieć o zdrowie Racheli.

– Turkawko – rzekł – tak mi przykro, że sprawiłem ci kłopot. Nie rób sobie nic z tego, Fou-Roux. W tym mieście zdarzają się takie wypadki.

Przyszli przyjaciele i zapewnili go, że w Prowansji każdy niemal cierpi na halucynacje, gorączkę lub obłąd.

– Tutaj, w kraju Tartarina – rzekł Roulin – jesteśmy wszyscy trochę pomyleni.

– Tak, tak – odparł Vincent – rozumiemy się jak członkowie jednej rodziny.

Minęło parę tygodni. Vincent mógł już znowu pracować cały dzień w atelier. Rozwiały się, przepadły obłądne halucynacje, zmora śmierci i szaleństwa. Czuł się niemal całkiem zdrowy.

W końcu odważył się malować pod gołym niebem. Słońce gorzało na jaśniejącej żółciznie łąnów zbożowych. Ale Vincent nie mógł go uchwycić. W ostatnich czasach jadł i spał regularnie, unikał wszelkich wzruszeń i podnieć, ale czuł, że jest zbyt normalny, aby malować.

– Pan jest wielkim nerwowcem, Vincencie – powiedział mu doktor Rey – nigdy nie był pan zupełnie normalny. Ale który artysta jest normalny? Gdyby był normalny, nie byłby artystą. Człowiek normalny nie stworzy nigdy dzieła sztuki. Je, śpi, pracuje mechanicznie i umiera. Artyści tacy jak pan są przewrażliwieni w odczuwaniu życia i natury, dlatego mogą je interpretować dla nas, reszty ludzi. Jeśli pan jednak nie będzie się strzegł, ta nadwrażliwość zniszczy pana. Napięcie i wysiłek twórczy złamią z czasem każdego artystę.

Vincent wiedział, że ton dominujący w jego obrazach z Arles – przenikliwy, żółty ton – daje się osiągnąć jedynie wówczas, gdy serce bije mocniej i nerwy są napięte. Tylko w ten sposób mógł znowu stworzyć rzeczy wielkie. Lecz droga ta prowadziła go ku zgubie. „Artysta powinien wypełnić swoje zadanie – powtarzał sobie często. – Co za sens żyć, gdybym nie mógł malować, jak chcę”.

I znów wychodził z gołą głową w pole i wchłaniał w siebie potęgę słońca. Znowu pił niewiarygodne barwy nieba, ognistej żółtej kuli, zielonych pól i rozkwitających kwiatów. Znowu chłostał go północny mistral, opływała duszna noc Prowansji, słoneczniki pobudzały jego fantazję i siłę twórczą do punktu szczytowego, podniecenie rosło. Apetyt nikł. Żył znowu kawą, absyntem i tytoniem. Nocą, gdy leżał bezsennie, głębokie soczyste barwy przepływały mu przed nabiegłymi krwią oczami. W końcu wziął sztalugi na plecy i poszedł w pole.

Twórcza tężyzna wróciła. Czuł znowu wszechogarniający rytm natury. W ciągu kilku godzin potrafił przepoić wielkie płótno oślepiającym światłem słonecznym. Codziennie tworzył nowy obraz, codziennie podnosił się termometr jego uczuć. Namalował trzydzieści siedem obrazów bez wytchnienia.

Pewnego ranka obudził się jakby zdrętwiały. Nie mógł pracować. Siedział na krześle, wpatrywał się w ścianę, przez cały dzień trwał w bezruchu, szepczące głosy poczęły mu znowu opowiadać dziwaczne historie. Z nadejściem nocy udał się do szarej restauracji i zamówił zupę. Kelnerka podała mu ją. Ostrzegawczy głos zabrzmiał mu wyraźnie w uchu.

Rzucił talerz na podłogę, tak że rozprysnął się w kawałki.

– Chcecie mnie otruć! – krzyknął. – Dodała pani trucizny do zupy!

Zerwał się i obalił stół. Kilku gości wybiegło w przestrichu. Inni patrzyli na niego z otwartymi ustami.

– Chcecie mnie otruć! Chcecie mnie zamordować! Widziałem, jak sypano truciznę do zupy!

Weszli dwaj żandarmi i nieprzytomnego zanieśli do szpitala.

Po dwudziestu czterech godzinach uspokoił się zupełnie i omawiał nawet z doktorem Reyem przykre wydarzenie. Pracował trochę za dnia, robił małe spacerki w okolicy, a na noc wracał do szpitala. Cierpiał niekiedy straszliwe męki duszy, potem jednak miewał chwile, w których rozdierała się zasłona czasu zjaw, i widział z jasnowidzącą ostrością.

Doktor Rey pozwolił mu znów malować. Vincent namalował sad owocowy z drzewami brzoskwiowymi przy ścieżce, na dalszym planie widniały Alpy. Namalował gaj oliwny,

listki drzew miały barwę starego srebra, które przy błękitnie zdawało się zielone, zaorana ziemia była koloru pomarańczowego.

Po trzech tygodniach wrócił do żółtego domu. Ale nie było już tak jak dawniej. Miasteczko, zwłaszcza plac Lamartine'a, przyjęło go wrogo. Obcięte ucho i zatruta zupa – to było więcej, niż arleżanie mogli spokojnie przyjąć. Byli święcie przekonani, że malowanie wywołuje obłęd. Ilekroć Vincent przechodził, gapili się, robili uwagi, nieraz przechodzili nawet na drugą stronę ulicy.

Żaden restaurator nie pozwalał mu przestąpić progu swej jadłodajni.

Dzieci Arles zbierały się przed żółtym domem i wymyślały okrutne zabawy.

– Fou-Roux! Fou-Roux! – wrzeszczały. – Obetnij sobie drugie ucho!

Vincent zamykał wszystkie okna. Mimo to do pokoju wdzierał się krzyk i śmiech dzieci.

– Fou-Roux! Fou-Roux!

– Wariat! Wariat!

Śpiewały pod jego oknami piosenkę, którą same ułożyły:

Fou-Roux, wariacie, z tobą krucho,

Obciąłeś sobie prawe ucho,

Choćby krzyczeć noc i dzień,

Będziesz głuchy jak ten pień.

Vincent uciekał z domu, by się im wymknąć. Szły jednak za nim przez ulicę, na pola – banda śpiewających i roześmianych urwisów. Z dnia na dzień rosła niesforna gromada. Vincent zatykał sobie wata uszy. Pracował w atelier, robił kopie swoich obrazów. Mimo to słyszał wrzaski dzieci. Nie pozwalały mu myśleć.

Chłopcy rozzuchwalili się. Wdrapywali się jak małpy w górę po rynnie, siadali na gzymsach okien, zaglądali do pokoju i krzyczeli za plecami Vincenta:

– Fou-Roux, obetnij sobie drugie ucho! Daj nam drugie ucho!

Krzyki i hałasy na placu Lamartine'a wzmagają się coraz bardziej. Chłopcy tłukli szyby, wtykali głowy do środka, ciskali kamieniami na Vincenta, przystawili nawet deskę, po której wspinali się na wysokość pierwszego piętra. Gromada na dole zachęcała ich, powtarzając zawołanie i piosenkę.

– Przynieście drugie ucho! Chcemy drugiego ucha!

– Fou-Roux! Chcesz cukierka? W cukierkach jest trucizna.

– Fou-Roux! Uważaj! Trucizna w zupie!

Fou-Roux, wariacie, z tobą krucho,

Obciąłeś sobie prawe ucho,

Choćby krzyczeć noc i dzień,

Będziesz głuchy jak ten pień.

Chłopcy na gzymsie okiennym przewodzili bandzie na ulicy. Śpiewali razem coraz głośniej:

– Fou-Roux, Fou-Roux, rzuć nam drugie ucho, rzuć nam drugie ucho!

Vincent podniósł się ciężko i niepewnie od sztalug. Trzech chłopców siedziało na gzymsie i darło się wniebogłoso. Wyciągnął ku nim rękę. Błyskawicznie zsunęli się na dół. Gromadka na ulicy wybuchnęła śmiechem. Vincent stał w oknie i patrzył.

Ptaki spadły na niego z nieba – tysiące czarnych, kraczących ptaków. Zatrzepotały skrzydłami dokoła, zaciemniły plac, rzuciły się na niego, wypełniły pokój, wchłonęły go,

wikłwały mu się we włosach, wpadały do nosa, ust, oczu, pokryły go gęstą chmurą czarnych, bijących skrzydeł.

Doskoczył do okna.

– Precz, precz, wy diabły! Na miłość boską, zostawcie mnie w spokoju!

– Fou-Roux, Fou-Roux, rzuć nam drugie ucho! Rzuć nam drugie ucho!

– Precz, zostawcie mnie w spokoju! Słyszycie, chcę mieć spokój!

Chwycił oburącz ciężką miskę do mycia i rzucił przez okno. Strzaskała się na kocich łbach ulicy.

W rozpaczliwej, obłąkanej wściekłości chwycił teraz wszystko, co mu wpadło pod rękę, i ciskał na dół, na plac Lamartine'a, gdzie tłukło się w kawałki – krzesła, sztalugi, pościel, lustro, *panneau* ze słonecznikami... Z bolesną wyrazistością przypominał sobie przy każdym sprzęcie, z jakimi ofiarami zdobył go dla tego domu, który miał być schronieniem na całe życie.

Gdy w pokoju nie pozostało nic, Vincent dygocząc każdym nerwem stanął przy oknie. Opadł bezwładnie na parapet. Głowa jego zawisała nad brukiem.

X

Niezwłocznie poczęła krążyć po placu Lamartine'a z rąk do rąk petycja, podpisana przez dziewięćdziesiąt osób:

„Do pana Burmistrza Tardieu!

My, niżej podpisani obywatele Arles, jesteśmy przekonani, że Vincent van Gogh, zamieszkały przy placu Lamartine'a 2, jest niebezpiecznym szaleńcem, który zagraża ogółowi mieszkańców.

Zwracamy się przeto z prośbą do Pana, Panie Burmistrzu, aby Pan kazał go zamknąć”.

Zbliżyły się wybory w Arles. Burmistrz Tardieu nie chciał sobie zrażać mieszkańców. Poleciał inspektorowi policji uwięzić Vincenta.

Żandarmi znaleźli go leżącego na podłodze pod oknem. Zanieśli go do więzienia i zamknęli w celi. Przed drzwiami postawili dozorcę.

Oprzytomniawszy prosił Vincent o pozwolenie widzenia się z doktorem Reyem. Nie zezwolono mu. Prosił o papier i ołówek, aby napisać do Thea. Odrzucono również i tę prośbę.

Po długich staraniach udało się doktorowi Reyowi dotrzeć do więzienia.

– Niech pan stara się opanować wzburzenie, panie van Gogh – radził – w przeciwnym razie powiedzą, że pan jest groźnym wariatem, i nic nie wskóram. Poza tym silne podniecenie może panu tylko zaszkodzić. Napiszę do pańskiego brata, już my wydobędziemy stąd pana.

– Proszę, niech pan nie pisze, żeby Theo przyjechał. Ma się właśnie żenić. To by wszystko popsuło.

– Poproszę go, aby tu nie przyjeżdżał. Mam pewien pomysł.

W dwa dni później doktor Rey zjawił się znowu. Dozorca wciąż jeszcze stał przed drzwiami celi.

– Vincencie – rzekł – widziałem właśnie, jak sprzątają w pańskim domu. Właściciel złożył wszystkie meble w piwnicy pobliskiej kawiarni, a obrazy zamknął pod kluczem. Mówi, że nie wyda ich wcześniej, póki pan nie zapłaci zaległego czynszu.

Vincent milczał.

– Nie może pan zatem wrócić do złotego domu i myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan posłucha mojej rady. Niepodobna przewidzieć, jak często będzie pan ulegał tym atakom. O ile będzie pan żył w miłym otoczeniu, w spokoju i ciszy, bez podnieć i wzruszeń, być może, że ten atak będzie ostatni. W przeciwnym razie mogłyby powracać co miesiąc lub dwa. Dlatego, aby ustrzec siebie samego i innych... sędzę, że najlepiej byłoby... aby pan udał się...

– Do zakładu dla umysłowo chorych.

– Tak.

– Więc pan sądzi, że ja...

– Nie, Vincencie, nie jest pan wariatem. Widzi pan przecież, że jest pan równie zdrowy i rozsądny jak ja. Ale te ataki podobne są do innych chorób gorączkowych. Podczas napadu człowiek traci głowę i popełnia naturalnie szaleństwa. Dlatego trzeba się udać do zakładu, gdzie pana będą odpowiednio pielęgnować i strzec.

– Rozumiem.

– W St. Remy, dwadzieścia pięć kilometrów stąd, jest dobry zakład zwany St. Paul de Mausole. Przyjmują tam pacjentów pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. Trzecia kosztuje tylko sto franków miesięcznie. O tę kwotę mógłby się pan wystarać. W domu tym mieścił się dawniej klasztor. Leży u stóp wzgórz. Pięknie jest tam, Vincencie – i cicho, bardzo cicho. Lekarz zasługuje na zaufanie, siostry będą pana pielęgnowały; jedzenie tam jest smaczne i proste. Mam nadzieję, że tam pana wyleczą.

– Czy będę mógł malować?

– Ależ oczywiście. Może pan czynić, co się panu żywnie podoba... póki to panu nie szkodzi. Szpital leży pośród wielkich ogrodów. Będzie pan miał wrażenie, że przebywa w sanatorium. O ile pan posiedzi tam rok, może pan całkiem wyzdrowieć.

– Ale jak się stąd wydostanę?

– Mówiłem już z inspektorem policji. Zgadza się, aby pan pojechał do St. Paul de Mausole pod warunkiem, że ja będę panu towarzyszył.

– I powiada pan, że tam jest naprawdę ładnie?

– Jest prześlicznie, Vincencie. Znajdzie pan tam urocze zakątki do malowania.

– To brzmi pocieszająco. Sto franków miesięcznie nie jest zbyt wielką kwotą. Może mi tego właśnie potrzeba, aby się uspokoić.

– Naturalnie. Pisałem już do pańskiego brata i doniosłem mu, że w pańskim obecnym stanie dalsza podróż – a już z pewnością podróż do Paryża – nie jest wskazana. Wyraziłem w liście opinię, że St. Paul byłoby dla pana najbardziej odpowiednie.

– Dobrze, jeśli Theo jest za tym... Zgadzam się na wszystko, byleby mu oszczędzić kłopotu.

– Oczekuję w każdej chwili odpowiedzi. Skoro ją dostanę, zaraz tu przyjdę.

Theo zgodził się; innego wyjścia nie było. Przysłał pieniądze na wyrównanie rachunków. W towarzystwie doktora Reya Vincent pojechał dorożką na dworzec, potem pociągiem do Tarasconu. Stąd mała boczna linia kolejowa wiodła przez zieloną, żyzną dolinę do St. Remy.

Potem dorożką przez senne miasto jechali dwa kilometry w stronę czarnego, nagiego podgórze. Gdy się zbliżyli, Vincent ujrzał rdzawe mury klasztoru.

Dorożka stanęła. Vincent i doktor Rey wysiedli. Na prawo od drogi rozciągał się pusty, okrągły plac, na którym stał łuk triumfalny i świątynia Westy.

– Skąd tu te szczątki? – zapytał Vincent.

– Było tu niegdyś znaczne osiedle rzymskie – objaśnił doktor Rey. – Dziś pozostały tylko te ruiny i klasztor. Rzeka, którą pan widzi, płynęła niegdyś tą doliną, dochodząc akurat tu, gdzie pan stoi. Gdy wody się cofnęły, miasto rozbudowało się niżej.

– Interesujące.

– Chodź pan, Vincencie. Doktor Peyron nas oczekuje. Przez mały zagajnik sosnowy doszli do bramy klasztornej.

Rey pociągnął za żelazną rączkę, rozległ się głośny dźwięk dzwonka. Po chwili otwarto bramę i wyrzwał Peyron.

– Dzień dobry, panie doktorze – przywitał go doktor Rey.

– Przywiozłem mojego przyjaciela, Vincenta van Gogha, zgodnie z zapowiedzą. Wiem, że pan zajmie się nim z całego serca.

– Tak jest, doktorze, uczynię wszystko, co w naszej mocy.

– Wybacz pan, doktorze, muszę się śpieszyć. Chcę zdążyć na pociąg do Tarasconu.

– Oczywiście, najzupełniej rozumiem.

– Do widzenia, Vincencie – rzekł doktor Rey. – Proszę być tylko dobrej myśli, a wyzdrowieje pan z pewnością. Będę pana odwiedzał, kiedy tylko zdołam się wyrwać. Jestem pewien, że za rok zastanę tu pana całkiem wyleczonego.

– Dziękuję. Pan jest bardzo miły. Do widzenia.

– Do widzenia, Vincencie.

Odwrócił się i zniknął między sosnami.

– Może pan wejdzie, panie van Gogh?

Doktor cofnął się nieco i ustąpił miejsca; Vincent wszedł. Brama domu dla obłąkanych zamknęła się za nim.

Księga siódma

SAINT REMY

I

Oddział, na który zaprowadzono Vincenta, przypominał poczekalnię trzeciej klasy na opuszczonej, wiejskiej stacyjce. Pacjenci mieli kapelusze, okulary i płaszcze podróżne na sobie, a w rękach trzymali laski, jak gdyby właśnie zamierzali wyjechać.

Siostra Deschanel poprowadziła Vincenta przez długą jak korytarz salę i wskazała puste łóżko.

– Tutaj będzie pan spał – rzekła. – Wieczorem zaciągnie pan zasłony, aby być izolowany. Skoro pan wypakuje rzeczy, doktor Peyron oczekuje pana w swojej kancelarii.

Jedenastu mężczyzn siedzących dokoła zimnego pieca nie zwróciło żadnej uwagi na nowo przybyłego. Przez wąski pokój wionęły sztywne białe spódnice, czarna pelerynka i czarny welon siostry Deschanel i znikły w drzwiach.

Vincent postawił walizkę i rozejrzał się. W dwóch rzędach stały łóżka otoczone poręczami, na których wisiały brudne kremowe firanki. Przez sufit przebiegały surowe belki, ściany były biało tynkowane. W środku stał piec z kanciastą rurą z lewej strony. Nad nim wisiała jedna jedyna lampa.

Dziwne, jak cicho zachowywali się ci ludzie. Nie rozmawiali z sobą. Nie czytali, nie grali w karty ani w inne gry. Siedzieli wsparci na laskach i patrzyli na piec.

Do ściany u wezgowia łóżka przybita była skrzynka na odzież. Ale Vincent włożył do niej tylko fajkę, tytoń i książkę, resztę rzeczy zostawił w walizce, wsunął ją pod łóżko i wyszedł do ogrodu. Po drodze minął rząd ciemnych, pustych, zamkniętych na głucho pokoi.

Krużganek i dziedziniec klasztorny były opuszczone i zaniedbane. Pod smukłymi sosnami, w nie pielęgnowanej trawie płożły się chwasty. Między wysokimi murami słały się płyty słoneczne. Vincent zwrócił się na lewo, do domu, w którym mieszkał doktor Peyron z rodziną, i zapukał.

Doktor Peyron był dawniej lekarzem okrętowym w Marsylii, potem okulistą. Ciężki atak podagry zmusił go do objęcia stanowiska lekarza zakładowego w głębi łądu.

– Widzi pan – powiedział doktor trzymając się obiema rękami za blat biurka – dawniej troszczyłem się o zdrowie ciała. Obecnie troszczę się o zdrowie duszy. Zawód pozostał ten sam.

– Pan zetknął się z wieloma chorobami nerwowymi, panie doktorze. Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego obciąłem sobie ucho?

– Wypadek ten nie jest zgoła odosobniony u epileptyków. Sam miałem w swojej praktyce dwa podobne. Nerwy słuchowe stają się niesłychanie wrażliwe i choremu zdaje się, że urojenia i halucynacje znikną, gdy obetnie sobie małżowinę.

– Tak... rozumiem. A jakie leczenie pan mi przepisze?

– Leczenie?... Ach tak. Musi pan brać co najmniej dwa razy w tygodniu gorącą kąpiel. To konieczne. I za każdym razem siedzieć przynajmniej dwie godziny w wodzie. To pana uspokoi.

– Co poza tym, panie doktorze?

– Musi pan zachowywać się zupełnie spokojnie, nie wolno się panu podniecać. Nie pracować, nie czytać, nie dyskutować, nie przejmować się niczym.

– Rozumiem... jestem jeszcze trochę za słaby, by pracować. Jeżeli pan nie chce brać udziału w życiu religijnym tutaj, powiem siostronom, żeby pana zostawiły w spokoju. A gdy pan będzie czegoś potrzebował, proszę się zgłosić do mnie.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Kolacja jest o piątej, usłyszysz pan gong. Niech się pan stara przystosować jak najprędzej do sposobu życia w naszym zakładzie. To najlepsza kuracja.

Potyknąwszy się przeszedł Vincent przez zaniedbany ogród i dziedziniec ze zniszczoną kolumnadą, wszedł do budynku, w którym mieścił się oddział trzeciej klasy i długi szereg ciemnych, opuszczonych cel; usiadł na swym łóżku. Jedenastu pacjentów siedziało jak poprzednio w milczeniu przy piecu. Po jakimś czasie w sąsiednim pokoju rozległ się gong. Mężczyźni podnieśli się zdecydowanie i ruszyli gwałtownie ku drzwiom. Vincent poszedł za nimi.

Podłogę pokoju jadalnego stanowiła naga ziemia, okna w nim nie było. Usiedli na ławkach przy długim stole z desek. Siostry wniosły posiłek; potrawy pachniały stęchlizną jak w kiepskim pensjonacie. Naprzód podano zupę i czarny chleb; na widok karaluchów w zupie Vincent zatęsknił za paryskimi restauracjami. Potem przyniesiono jakąś papkę z rozgotowanego grochu, fasoli i soczewicy. Towarzysze Vincenta pożerali wszystko łapczywie, zgarniali nawet okruchy chleba ze stołu i zbierali je językiem.

Po kolacji usiedli znów w tych samych pozach przy piecu, koncentrując całą uwagę na trawieniu... Po pewnym czasie zaczęli jeden po drugim wstawać, rozbierać się, zaciągać zasłony wokoło łóżek i kłaść się spać. Nie zamienili dotąd ani słowa.

Słońce zachodziło. Vincent stał w oknie i patrzył na zieloną dolinę. Ciemne gałęzie sosen rysowały się subtelną koronką na bladym cytrynowym tle nieba. Vincent stał bez ruchu. Nie czuł nic, nie czuł-nawet najmniejszej ochoty do namalowania tego.

Stał w oknie, póki ciężki prowansalski mrok nie wchłonął cytrynowej barwy nieba. Nikt nie przyszedł, aby zapalić lampę. Cóż innego można było czynić w ciemności, jak myśleć o własnym życiu?

Rozebrał się i położył. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w surowe belki sufitu. Przywiózł z sobą książkę Delacroix. Po ciemku wsunął rękę do skrzyni, wyjął książkę i przycisnął skórzaną okładkę do piersi. Dotyk jej pokrzepił go na duchu. Nie należał do świata obłąkanych, którzy go otaczali. Należał do świata wielkiego mistrza, którego słowa pełne mądrości i wiedzy spływały mu poprzez skórzaną oprawę do zbolętego serca.

Po jakimś czasie zasnął. Wśród głębokiej nocy obudził się nagle; dobiegł go jęk z sąsiedniego łóżka. Jęk stawał się głośniejszy, przechodził z wolna w krzyk i lament.

– Odejdź pan, odejdź stąd! Dlaczego mnie pan ściga? Nie zabiłem go! Wiem, kim pan jest! Agentem tajnej policji! Może mnie pan obszukać. Nie okradłem go. On sam się zabił! Odejdź pan! Na miłość boską, zostaw mnie pan w spokoju!

Vincent zerwał się i odsunął zasłonę. Ujrzał jasnowłosego chłopaka w wieku lat dwudziestu trzech, który szarpał i targał zębami koszulę. Spostrzegłszy Vincenta, rzucił się przed nim na kolana, załamując rozpaczliwie ręce.

– Monsieur Mounet-Sully, nie aresztuj mnie pan! Nie zrobiłem tego, przysięgam! Nie jestem sodomistą, jestem adwokatem! Proszę mnie nie aresztować! Nie mogłem go zabić w srode, nie mam tych pieniędzy! Patrz pan!

Zerwał koce i prześcieradła z łóżka i w przystępie maniackiego szału zaczął podnosić materace, wykrzykując w dalszym ciągu to samo. Vincent nie wiedział, co czynić. Nikt na sali się nie poruszył.

Vincent pobiegł do najbliższego łóżka, odsunął zasłonę i potrząsnął śpiącym. Ten otworzył oczy i wytrzeszczył je głupkowato.

– Wstań pan i pomóż mi go uspokoić – rzekł Vincent.

– Obawiam się, że zrobi sobie coś złego.

Obudzony mamrotał coś bez związku, ślina ciekła mu z ust.

– Prędko! – zawołał Vincent. – We dwóch potrafimy go przytrzymać.

Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Odwrócił się. Jeden ze starszych mężczyzn stał za nim.

– Zostaw go pan, to obłąkany. Nie powiedział słowa, odkąd tu jest. Chodź pan, pomogę panu uspokoić tamtego.

Chłopak paznokciami wyszarpał dziurę w materacu i wyciągnął słomę. Ujrawszy nad sobą Vincenta zaczął sypać prawniczymi cytatami i odepchnął go:

– Tak, tak, zabiłem go! Ale nie z powodu pederastii. Nie zrobiłem tego, monsieur Mounet-Sully! To dla pieniędzy. Proszę patrzeć. Mam je! Ukryłem woreczek z pieniędzmi w materacu. Tylko niech tajna policja przestanie mnie śledzić! Będę wolny, chociaż zabiłem! W praktyce prawniczej zdarzały się takie wypadki. Wykopię pieniądze z materaca!

– Weź go pan za drugie ramię – powiedział do Vincenta starszy pacjent.

Wspólnymi siłami ułożyli młodzieńca na łóżku i trzymali go mocno. Ale jego obłądne okrzyki brzmiały jeszcze godzinę w długiej sali. W końcu, wyczerpany, łkał już tylko i w tym łkaniu popadł w gorączkowy sen. Starszy pacjent podszedł do Vincenta.

– Ten chłopak studiował prawo – objaśnił. – Z przepracowania pomieszało mu się w głowie. Jego ataki przypadają mniej więcej co dziesięć dni. Nie robi nikomu nic złego. Życzę panu dobrej nocy.

Wrócił do swego łóżka i wnet zasnął. Vincent zbliżył się do okna wychodzącego na dolinę. Panowała cisza przedświt, na bladym niebie żarzyła się tylko gwiazda zaranna. Przyszedł mu na myśl obraz Daubigny'ego, w którym twórca wyraził nieskończony spokój i majestat wszechświata, a zarazem nieskończone współczucie dla małego, słabego człowieka, który z dołu, z daleka patrzy ku gwiazdom.

II

Nazajutrz rano po śniadaniu chorzy udali się do ogrodu. Za murem widniał łańcuch wzgórz, nagi i nieurodzajny od czasu, gdy nim przeszli Rzymianie. Vincent przyglądał się towarzyszom grającym leniwie w kręgle. Siedział na kamiennej ławce i patrzył na pokryte bluszczem drzewa i kępy barwinka u swych stóp. Siostry z zakonu św. Józefa z Aubenas

przechodziły ścieżką obok niego cicho jak myszy. Oczy miały zapadnięte, ręce ich przesuwały nieustannie różaniec, usta szeptały pacierze.

Po godzinie niemej gry w kręgle pacjenci wrócili do chłodnej sali. Obsiedli znowu zimny piec. Ich nieruchoma, tępa beczynność przerażała Vincenta. Nie pojmował, że nie mają nawet starej gazety do czytania.

Nie mogąc dłużej znieść ich widoku, wyszedł powtórnie do ogrodu. Nawet słońce wydawało się tu skazane na śmierć. Budynki klasztorne tworzyły czworobok: na północy leżał oddział trzeci, na wschodzie dom doktora Peyrona, kaplica i stare zabudowania klasztorne z dziesiątego wieku, na południu oddziały pierwszej i drugiej klasy, na zachodzie dziedziniec dla niebezpiecznych furiatów i długi mur z cegły. Zamknięta, mocna brama była jedynym wyjściem. Mury dokoła wznosiły się na wysokość czterech metrów; nie miały żadnych nierówności i niepodobna było przeleźć przez nie.

Vincent siadł na kamiennej ławce w pobliżu krzewu dzikiej róży. Pragnął zdać sobie jasno sprawę, jaki sens ma jego pobyt w murach zakładu. Lecz straszliwa trwoga i zwątpienie nie pozwoliły mu skupić myśli. Nie znalazł w swym sercu żadnych życzeń ani pragnień.

Zrozpaczony wrócił na oddział. Zaledwie wszedł pod kolumny dziedzińca, posłyszał głos jakiś, brzmiący jak szczekanie psa. Nim jeszcze przestąpił próg sali, szczekanie przeszło w wilcze wycie.

Pobiegł przez długą salę. W najdalszym kącie, twarzą do ściany, stał ów stary człowiek, który mu pomagał tej nocy. Głowę miał odrzuconą do góry, twarz przybrała wyraz zwierzęcy. Wył co siły w płucach. Z wolna wycie nasiąkało innymi tonami, przechodziło w dziwaczny skowyt zwierzęcia dżungli. Sala rozbrzmiewała smutnym dźwiękiem.

„Co to za menażeria, w której mnie zamknięto?” – zapytał się w duchu Vincent.

Chorzy siedzieli nieruchomo i cicho przy piecu. Zwierzęca skarga i jęk rozdzierały serce.

– Muszę mu pomóc – powiedział Vincent zbliżając się.

Jasnowłosy młodzieniec powstrzymał go.

– Lepiej zostaw go w spokoju – rzekł. – Gdy się teraz do niego przemówi, wpadnie we wściekłość. Po paru godzinach atak przejdzie.

Grube były mury klasztoru, lecz Vincent mimo to słyszał podczas obiadu okropne wycie. Popołudnie spędził w odległym kącie ogrodu, ale nawet tutaj dochodził go szaleńczy krzyk.

Tego samego wieczoru przy stole pewien młody człowiek ze sparaliżowaną lewą stroną ciała zerwał się na równe nogi, chwycił nóż, by wymierzyć nim sobie w serce.

– Czas nadszedł! – krzyknął – zabijam się!

Pacjent siedzący obok podniósł się zmęczony i wstrzymał ramię sparaliżowanego.

– Dziś nie, Rajmundzie – rzekł – dziś niedziela.

– Owszem, dziś, dziś jeszcze! Nie chcę żyć dłużej! Puść mnie! Zabiję się!

– Jutro Rajmundzie, jutro. Dziś nie jest odpowiedni dzień.

– Puść moją rękę! Chcę sobie wbić nóż w serce! Mówię ci, że muszę się zabić!

– Wiem, wiem, ale nie dziś.

Wyjął nóż Rajmundowi z ręki i zaprowadził go na salę, płaczącego nad własną słabością.

Vincent zwrócił się do sąsiada syfilityka; ten zaczerwienionymi oczyma śledził trwożnie własne palce, które drżały podnosząc łyżkę do ust.

– Co się z nim dzieje? – zapytał.

Syfilityk opuścił łyżkę i rzekł:

– Od roku nie ma dnia, w którym by Rajmund nie usiłował popełnić samobójstwa.

– Dlaczego robi to tutaj? – dopytywał się Vincent. – Dlaczego nie ukradnie noża i nie zabije się w nocy, gdy inni śpią?

– Może mimo wszystko chce żyć.

Gdy następnego ranka Vincent obserwował grę chorych w kręgle, jeden z pacjentów upadł nagle w konwulsjach na ziemię.

– Prędko! – zawołał ktoś. – To zwykły atak epileptyczny.

– Brać go za ręce i nogi!

Czterech mężczyzn musiało ująć chorego za ręce i nogi. Wijący się i wierzgający epileptyk zdawał się mieć siły dwunastu ludzi. Młody blondyn wyjął z kieszeni łyżkę i włożył choremu między zęby.

– Trzymać mu głowę! – zawołał do Vincenta.

Ciałem epileptyka wstrząsały coraz mocniejsze konwulsje, oczy stanęły mu w ślup, w kącikach ust pokazała mu się piana.

– Po co trzyma pan łyżkę w ustach? – spytał Vincent.

– Aby sobie nie odgryzł języka.

Po pół godzinie epileptyk stracił przytomność. Vincent z dwoma innymi zaniósł go do łóżka. Tak skończyła się sprawa i nikt o niej więcej nie wspomniał.

W ciągu dwóch tygodni Vincent poznał wszystkie rodzaje ataków, na jakie zapadali towarzysze jego oddziału: hałaśliwy maniak, który zdierał z siebie ubranie i rozbijał wszystko dokoła; człowiek wyjący jak zwierzę; dwóch syfilityków; opętany manią samobójca; paralitycy cierpiący na atak furii; epileptyk; człowiek cierpiący na manię prześladowczą; młody blondyn prześladowany niby przez tajną policję.

Nie było dnia, aby go nie wezwano do pomocy w uspokajaniu któregoś z szaleńców; chorzy trzeciej klasy byli sobie wzajemnie lekarzami i sanitariuszami. Peyron odwiedzał ich bowiem tylko raz na tydzień, a siostry i dozorczy troszczyli się przede wszystkim o pierwszą i drugą klasę. Chorzy trzymali się zawsze razem i okazywali w podobnych wypadkach nieskończoną cierpliwość. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że na niego też wkrótce przyjdzie kolej i że wtedy on sam będzie zdany na pomoc i pobłażanie sąsiadów.

Było to braterstwo obłąkanych.

Vincent był rad, że tu przybył. Ponieważ znał teraz ich życie, groza i lęk przed szaleństwem ustąpiły. Z wolna doszedł do wniosku, że jest to choroba jak każda inna. W trzecim tygodniu swego pobytu w St. Remy uznał, że jego towarzysze nie są bynajmniej straszniejsi od chorych na gruźlicę lub raka.

– Nieraz siedział i rozmawiał z obłąkanym. Ten odpowiadał mu wprawdzie tylko nieartykułowanymi dźwiękami, lecz Vincent czuł, że biedak rozumie go i jest szczęśliwy, że ktoś z nim rozmawia. Siostry nie mówiły nigdy z chorymi, jeśli to nie było konieczne. Jedynie owych pięć minut w tygodniu spędzonych z doktorem wprowadzały Vincenta znowu w świat ludzi normalnych. Proszę mi wytłumaczyć, panie doktorze – zapytał

pewnego dnia – czemu chorzy nigdy z sobą nie mówią? Niektórzy wydają się wcale inteligentni poza swymi atakami.

– Nie mogą mówić, Vincencie, bo w chwili, gdy zaczynają mówić, podniecają się i przychodzi atak. Pojęli więc, że mogą żyć dalej jedynie pod warunkiem, że będą całkiem spokojni.

– Równie dobrze mogliby nie żyć wcale, prawda?

– To kwestia zapatrywania, Vincencie – odparł doktor wzruszając ramionami.

– Ale dlaczego nie czytają? Wydaje mi się, że książki...

– Czytanie każe im myśleć, a myślenie wywołuje zawsze gwałtowny kryzys. Nie, mój przyjacielu, oni muszą żyć w zamkniętym, wewnętrznym świecie. Nie trzeba się nad nimi litować. Czy pamięta pan, co powiedział angielski poeta Dryden: „W obłądnie leży na pewno radość, którą zna jedynie obłąkany”.

Minął miesiąc. Vincent nie tęsknił wcale za wyjściem ze szpitala; u innych również nie dostrzegł tej tęsknoty. Tłumaczył sobie tę obojętność tym, że wszyscy chorzy są zbyt słabi i rozbici, aby brać udział w życiu świata. Nad oddziałem unosił się zapach rozkładu.

Sam trzymał się dzielnie. W duchu sposobił się na ów dzień, w którym powrócą mu znów siły i chęć malowania. Jego biedni towarzysze wegetowali w beczynności myśląc wyłącznie o trzech posiłkach dziennie. Obawiając się, że i on popadnie w tę samą próżniaczą żarłoczność, wstrzymywał się od jedzenia zepsutej, cuchnącej stawy, ograniczając się do czarnego chleba i zupy. Theo przysłał mu jednotomowe wydanie dzieł Szekspira. Czytał Ryszarda II, Henryka IV i Henryka V, przenosząc się myślą w inne czasy i miejsca.

Walczył dzielnie, aby serce nie nasiąkło mu smutkiem jak gąbka wodą.

Theo był obecnie żonaty, on i jego żona Joanna często pisali do Vincenta. Theo był wątłego zdrowia i Vincent martwił się o niego bardziej niż o siebie. Prosił Joannę w listach, aby dawała bratu – po dziesięciu latach stołowania się w restauracjach – dobre i pożywne potrawy holenderskie.

Vincent wiedział, że praca prędzej niż wszystko inne mogłaby go rozerwać i usunąć brzemień złych myśli; całą mocą rzucić się w pracę byłoby dla niego ocaleniem. Chorzy jego oddziału nie posiadali nic, co by ich mogło uchronić przed duchowym rozkładem. On jednak miał swoje malarstwo; ono umożliwi mu opuszczenie pewnego dnia zakładu zdrowo i szczęśliwie.

Z końcem szóstego tygodnia doktor Peyron oddał Vincentowi mały pokój na atelier. Tapety w nim były szarozielone, na zielonych zasłonach okien wił się deseń z bladych róż. Te zasłony oraz stary fotel odziedziczył zakład po pewnym zamożnym pacjencie. Z pokoju roztaczał się widok na skośnie leżące pola i dalekie łąki, nie ogrodzone murem. Ale okna opatrzone były żelaznymi, grubymi sztabami.

Vincent malował krajobraz, widziany z okna. Na pierwszym planie widniało zboże, zbite i połamane burzą. Poprzez szare listowie kilku oliwek przeświecały chaty i wzgórze. Ponad tym wszystkim rozpiął wielką szarobiałą chmurę, zagubioną w lazurowym niebie.

W porze wieczornej przyszedł rozpromieniony na oddział. Siły twórcze go nie opuściły. Znowu patrzył naturze prosto w twarz. Miłość do pracy powróciła i zmusiła go do tego, aby tworzył.

Teraz dom obłąkanych nie mógł go już zabić. Był na drodze do wyzdrowienia. Za parę miesięcy wyjdzie stąd, pojedzie do Paryża, do starych przyjaciół. Życie zaczynało się na nowo. Napisał do brata długi, triumfalny list; prosił o farby, płótno, pędzle i dobre książki.

Nazajutrz słońce wstało żółte i promienne. Cykady w ogrodzie ćwierkały donośnie, dziesięć razy głośniej niż świerszcze. Vincent zabrał sztalugi i malował sosny, krzewy i dróżki w ogrodzie. Chorzy z jego oddziału zaglądali mu przez ramię, ale zachowywali się cicho i z szacunkiem.

„Są lepiej wychowani niż poczciwcy w Arles” – myślał Vincent w duchu.

Tego samego dnia po południu udał się do Peyrona.

– Czuję się zupełnie zdrow, doktorze, i chciałbym prosić, aby pan pozwolił mi malować poza murem.

– Wygląda pan istotnie lepiej, panie van Gogh. Spokój i kąpiele pomogły panu bardzo. Ale czy pan nie sądzi, że niebezpiecznie byłoby, aby pan tak prędko wyszedł z zakładu?

– Niebezpiecznie? Ależ nie... dlaczego?

– Mógłby pan... atak mógłby złapać pana... gdzieś w polu...

Vincent roześmiał się.

– Nie będzie już ataków, doktorze. Z tym skończyłem. Czuję się lepiej niż kiedykolwiek.

– Ale widzi pan, obawiam się...

– Panie doktorze, ja proszę, proszę o tę łaskę. Jeśli wolno mi będzie poruszać się swobodnie i malować to, co kocham, będę o wiele szczęśliwszy.

– No więc, dobrze, jeśli panu tak koniecznie potrzebna jest praca...

Brama zakładu otwarła się przed Vincentem. Wziął sztalugi na plecy i wyruszył na poszukiwanie motywów. Całe dni spędzał na wzgórzach za zakładem. Cyprysy St. Remy poczęły żyć w jego myślach jak niegdyś słoneczniki Arles. Dziwił się, że nigdy dotąd nie malowano ich tak, jak on je widział. Osądził, że w proporcjach i liniach są tak piękne jak egipskie obeliski: plamy czerni w rozświetlonym krajobrazie. Powróciły zwyczajnie dni arlejańskich. Co rano opuszczał o wschodzie słońca zakład ze świeżym płótnem, co wieczór przynosił z sobą kawał natury uwięzionej w obrazie. Jeśli nawet jego moc twórcza i talent zmniejszyły się nieco, nie zdawał sobie z tego sprawy. Codziennie czuł się bardziej rzeźki, pewniejszy siebie i wrażliwszy na piękno.

Obecnie, kiedy był znów panem swego losu, nie unikał już posiłków zakładowych; zjadał żarłocznie wszystko, co podawano, nawet wstrętną zupę z karaluchami. Strawa była mu konieczna, dodawała siły do pracy. Nie potrzebował obawiać się niczego; trzymał się mocno w garści.

Po trzymiesięcznym pobycie w zakładzie znalazł piękny motyw z cyprysami. Praca nad nim dała mu uczucie zupełnego wyzwolenia od wszystkich cierpień. Cyprysy były masywne, przed nimi rosły niskie krzewy głogów, z tyłu wznosiły się liliowe pagórki. Na zielonkawo-różowym niebie stał ubywający księżyc. Gąszcz krzewów na przednim planie wymalował gęstą farbą, w której mieszały się tony: żółty, fiołkowy i zielony. Spojrzawszy na skończony obraz, poczuł, że wyszedł z otchłani, stanął mocną stopą na twardym gruncie i znów patrzy prosto w słońce. Przejęty radością poczuł znów, że jest wolnym człowiekiem.

Theo przysłał mu w tym miesiącu więcej pieniędzy niż zwykle. Korzystając z tego Vincent poprosił doktora o pozwolenie na jazdę do Arles, skąd chciał przywieźć swoje

obrazy. Ludzie na placu Lamartine'a odnosili się do niego uprzejmie. Ale zaledwie zobaczył żółty dom, poczuł się bardzo źle. Obawiając się ataku nie odwiedził ani Roulina, ani doktora Reya, choć pierwotnie miał ten zamiar. Poszedł tylko do gospodarza po obrazy.

Na noc mimo przyrzeczenia Vincent nie wrócił do zakładu. Nazajutrz znaleziono go między Tarasconem i St. Remy. Leżał w rowie, twarzą zwróconą ku ziemi.

III

Przez trzy tygodnie leżał i majaczył w gorączce. Towarzysze sali, którym zawsze pomagał i współczuł, byli dla niego wyrozumiali i cierpliwi. Gdy wydobrał na tyle, że pojął, co się wydarzyło, powtarzał ustawicznie:

– To okropne! Okropne!

Pod koniec trzeciego tygodnia, gdy zaczął spacerować po pustej, podobnej do korytarza sali, siostry przyprowadziły nowego pacjenta. Pozwolił się bez oporu zaprowadzić do łóżka, ale zaledwie siostry odeszły, wpadł w szał. Zerwał z siebie całą odzież i podarł ją w strzępy, wrzeszczał cały czas wniebogłosy. Potem rozwalił łóżko i skrzynkę nad łóżkiem, zerwał zasłony i skopał na miazgę własną walizkę.

Starzy pacjenci nie tykali nowego przybysza. W końcu dwóch sanitariuszy zabrało go i zamknęło w pustej celi. Dwa tygodnie szalał wyjąc jak dziki zwierz. Vincent dniem i nocą słyszał jego wycie. Potem krzyki ustały. I Vincent zobaczył, jak sanitariusze pochowali zwłoki przybysza na małym cmentarzyku za kaplicą.

Owładnęło nim straszliwe przygnębienie. Im bardziej przychodził do sił, z im zimniejszą krwią rozumował, tym dobitniej pojmował, że malowanie jest szaleństwem, skoro kosztuje go tyle, a nic w zamian nie przynosi. Ale nie mógł żyć bez malowania.

Doktor Peyron przysłał mu trochę mięsa i wina, lecz nie pozwalał przestępować progów atelier. Dopóki był słaby, było mu wszystko jedno. Lecz skoro poczuł się silniejszy i ujrzał się skazanym na bezczynność, taką samą jak towarzysze, zbuntował się.

– Panie doktorze – powiedział – moja praca jest dla mnie konieczna, ona mnie uzdrowi. Gdy pan zmusi mnie do siedzenia w bezczynności, jak siedzą ci obłąkani, stanę się jednym z nich. Ależ, Vincencie, to przecie właśnie zbyt ciężka praca spowodowała pański ostatni atak. Muszę strzec pana przed podnieceniem.

– Nie, doktorze, to nie praca. To ta podróż do Arles spowodowała atak. Zaledwie zobaczyłem plac Lamartine'a i żółty dom, poczułem się chory. Jeśli nigdy tam nie wrócę, atak nie powtórzy się więcej. Proszę mi pozwolić malować w atelier.

– Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności. Napiszę do pańskiego brata. Jeśli on się zgodzi, może pan malować.

Theo odpisał natychmiast. Oczywiście poparł prośbę Vincenta. List jego zawierał też inną ważną wiadomość. Theo miał wkrótce zostać ojcem.

Ta wiadomość podziałała ożywczo na Vincenta. Poczuł się tak silny i zdrowy jak przed ostatnim atakiem. Natychmiast usiadł i napisał do brata entuzjastyczny list.

„Theo, mam nadzieję, że rodzina stanie się dla ciebie tym, czym dla mnie jest przyroda, grudy ziemi, trawa, żółte łąny zbóż, chłopci. Dzieciatko, którym obdarzy Cię Joanna, pozwoli Ci wrosnąć w rzeczywistość; inaczej w wielkim mieście jest to niemożliwe. Na pewno czujesz się już teraz głęboko związany z naturą, odkąd Joanna – jak piszesz – czuje ruchy dziecka”.

Wrócił do atelier i znów malował krajobraz za okratowanym oknem: pole z łąkami zboża, z małym żniwiarzem i ogromnym słońcem. Cały obraz z wyjątkiem muru, który pod ostrym kątem zbiegał ze stromego zbocza, i liliowych wzgórz, utrzymany był w barwie żółtej.

Po paru dniach doktor Peyron na prośbę Thea pozwolił Vincentowi malować poza obrębem muru. Malował więc cyprysy wystrzelające z ziemi w żółte, słoneczne niebo. Malował kobiety zbierające oliwki; ziemia na tym obrazie miała kolor fioletowy, przechodzący na dalszym planie w ochrę. Pnie drzew były brązowe, liście szarozielone. Niebo i trzy postacie kobiece – głęboko różowe.

Po drodze Vincent zatrzymywał się nieraz i rozmawiał z chłopami w polu. W głębi duszy uważał się za coś gorszego od nich.

– Widzicie – powiedział do jednego z nich – pracuję tak samo jak wy. Wy orzecie pługiem, ja pędzlem.

Późna jesień prowansalska dojrzewała w pełnej krasie. Ziemia nasiąkała wszystkimi odcieniami fioletu, spalona słońcem trawa gorzała dokoła małych, czerwonych kwiatów w ogrodzie, zielone niebo odcinało się wyraziście od żółtego listowia.

Wraz z późną jesienią wróciła Vincentowi pełnia sił. Wiedział, że robi postępy, miał dobre myśli. Cieszyło go to. Poczynał teraz odczuwać lepiej okolicę, tak różną od okolicy Arles. Wzgórza opasujące dolinę chroniły ją przed gwałtownym mistralem, słońce nie oślepiało tak strasznie. Zakorzenił się w St. Remy i czuł się tu dobrze. W pierwszych miesiącach pobytu w zakładzie obawiał się, że ten dom i otoczenie złamią go duchowo. Ale teraz, gdy znów oddał się pracy, było mu obojętne, gdzie przebywa, w szpitalu czy hotelu. Mimo że czuł się całkiem zdrowy, nie myślał o przeniesieniu się gdzie indziej; nie miałyby sensu tracić znów kilku miesięcy na studiowanie nowego krajobrazu.

Listy z Paryża sprawiały mu wielką radość. Joanna gotowała teraz w domu dla Thea i brat był zdrowy zupełnie. Ostatnie miesiące ciąży znosiła dobrze. Co tydzień przysyłał mu Theo tytoń, czekoladę, farby, książki i dziesięć albo dwadzieścia franków.

Powoli zapominał Vincent o ataku po podróży do Arles. Wciąż na nowo upewniał sam siebie, że gdyby nie udał się wówczas do tego przeklętego miasta, byłby już od sześciu miesięcy zdrowy zupełnie. Gdy wysychały studia gajów cyprysowych i oliwnych, przemywał je wodą z odrobiną wina, by usunąć z powierzchni nadmiar oleju, i posyłał je bratu. A gdy Theo doniósł, że pewną ilość obrazów wystawi w Salonie Niezależnych, poczuł rozczarowanie; był bowiem świadom tego, że mógłby dać rzeczy lepsze. Chciał czekać z wystawieniem swych prac, póki nie udoskonali techniki.

Z listów Thea dowiedział się, że jego dzieło w krótkim czasie stało się znane w kołach artystów. Postanowił po rocznym pobycie w zakładzie wynająć mały domek w St. Remy i dalej malować krajobraz Południa. Ponościła go znowu ta sama twórcza radość, jaką czuł w Arles, malując słoneczniki przed wyjazdem Gauguina.

Pewnego popołudnia, gdy spokojnie pracował w polu, począł lekko majaczyć. Późną nocą dozorczy znaleźli go w odległości kilku kilometrów od sztalug. Leżał na ziemi i ramionami obejmował pień cyprysa.

IV

Po pięciu dniach wróciła świadomość. Na bardziej zabolął Vincenta fakt, że towarzysze niedoli traktowali jego atak jako rzecz nieuniknioną.

Nadeszła zima. Vincent wciąż jeszcze leżał w łóżku, bezsilny i bezwolny. Piec w środku sali żarzył się cały dzień. Chorzy siedzieli dokoła niego od rana do wieczora w martwej ciszy. Przez okna sali, małe i wysoko położone, przenikało niewiele światła. Wraz z ciepłem buchającym z pieca rozchodziła się przykra woń zgnilizny. Siostry, okutane szczelnie w czarne płaszcze, w czarnych kornetach, mruzczały pacierze i dotykały krzyżyków. Nagie wzgórza z tyłu za zakładem wyglądały jak martwe głowy.

Vincent leżał w łóżku i myślał. Czego nauczył go obraz Mauve'a z Scheveningen? „Ucz się cierpieć bez skargi. Ucz się patrzeć na cierpienie bez odrazy”. ...Ale gdy to czynił, zagrażało mu niebezpieczeństwo zatury samego siebie. W życiu bowiem każdego człowieka nadchodzi moment, w którym musi odrzucić cierpienie jak brudny łachman.

Dnie płynęły monotonnaie, jeden podobny do drugiego. Umysł Vincenta wyjałowiony był z myśli i nadziei. Pewnego razu posłyszał, jak siostry rozmawiają o jego pracy. Roztrząsały, czy maluje, bo jest zwariowany, czy też zwariował, bo maluje.

Obłąkany siadał na jego łóżku i godzinami coś do niego bełkotał. Vincent czuł, że chory go lubi i nie przepędzał go. Niekiedy rozmawiał z nim nawet, gdyż nikt inny biedaka nie słuchał.

– One sądzą, że to moja praca zrobiła ze mnie wariata – rzekł pewnego dnia, gdy dwie siostry przechodziły przez salę. – Wiem, że malarz w istocie zbyt głęboko tkwi w tym, co widzą jego oczy, i wskutek tego nie panuje dostatecznie nad resztą spraw życia. Ale czy to czyni go niezdolnym, aby w ogóle żyć na tym świecie?

Idiota odpowiedział niepowiązanymi sylabami.

Dopiero pewne zdanie z książki Delacroix dało Vincentowi impuls i siłę, aby wreszcie się podnieść z łóżka. „Odkryłem malarstwo – pisał Delacroix – gdy już straciłem zęby i oddech”.

Przez parę tygodni nie miał nawet ochoty zejść do ogrodu. Siedział przy piecu i czytał książki, które Theo przysyłał mu z Paryża. Gdy ktoś z sąsiadów miał atak, nie podnosił oczu, nie śpieszył z pomocą. Już od tak dawna nie obcował z ludźmi normalnymi, że współlokatorzy oddziału nie wydawali mu się nienormalni.

– Bardzo mi przykro – oświadczył doktor Peyron – ale nie mogę panu pozwolić więcej na pracę poza murem.

– Ale w atelier mogę pracować?

– Raczej odradzam.

– Czy wolałby pan, abym popełnił samobójstwo?

– Dobrze, niech pan pracuje w atelier. Ale tylko parę godzin dziennie.

Lecz nawet widok sztalug i pędzli nie obudził go z letargu. Siedział bez ruchu w starym fotelu i przez żelazne pręty okna patrzył na nagie pola.

W parę dni później doktor Peyron wezwał go do kancelarii, aby odebrał list polecony. Gdy otworzył kopertę, wypadł z niej czek na czterysta franków. Była to największa kwota, jaką kiedykolwiek miał w ręku. Jakim cudem Theo przysłał mu aż tyle pieniędzy naraz? Przeczytał załączony list:

„Mój drogi Vincencie!

Nareszcie! Sprzedałem jeden z Twoich obrazów za czterysta franków – Czerwona winorośl, który namalowałaś zeszłej wiosny w Arles. Kupiła go Anna Bock, siostra holenderskiego malarza.

Serdecznie gratuluję, mój stary! Wkrótce będziemy sprzedawali Twoje obrazy w całej Europie! Użyj tych pieniędzy na podróż do Paryża, o ile doktor Peyron nie będzie miał nic przeciw temu.

Poznałem niedawno czarującego człowieka, doktora Gachet. Mieszka on w Auvers-sur-l'Oise, godzinę drogi od Paryża. Każdy ze znanych malarzy, od Daubigny'ego począwszy, pracował czas jakiś w jego domu. Twierdzi, że pojmuje dobrze twoją chorobę i że jeślibyś chciał przyjechać do Auvers, jest zawsze gotów zająć się Tobą. Jutro więcej.

Theo”.

Vincent pokazał list doktorowi i jego żonie. Peyron przeczytał go uważnie, obejrzał czek i pogratulował Vincentowi. Vincent szedł żwawo ścieżką, podniecony i wzmocniony przyływem nowej energii żywotnej. W połowie drogi przez ogród zauważył, że zostawił w kancelarii list Thea. Szybko pobiegł z powrotem.

Już miał zapukać, gdy postyszał wymówione głośno swoje imię. Przez chwilę stał niezdecydowany przed drzwiami.

– Ale dlaczego to uczynił? – pytała pani Peyron.

– Może uważał, że to będzie dobre dla samopoczucia brata.

– Przecież on nie ma tylu zbędnych pieniędzy?

– Prawdopodobnie osądził, że zdrowie Vincenta jest warte tej kwoty.

– Więc wydaje ci się, że to nie może być w żaden sposób prawdą?

– Droga Mario, to wykluczone. Kobieta, która rzekomo obraz nabyła, jest siostrą znanego malarza. Jakim cudem mógłby ktoś z odrobiną znawstwa...?

Vincent odszedł.

Wieczorem otrzymał od Thea depezę:

„Nazwaliśmy chłopca Twoim imieniem. Joanna i Vincent są zdrowi”.

Sprzedaż obrazu i cudowna wiadomość uzdrowiły przez noc Vincenta. Wczesnym ranem udał się do atelier, wymył pędzle, posortował obrazy i studia, które stały oparte i nie wykończone pod ścianą.

„Jeśli Delacroix odkrył malarstwo dopiero wówczas, gdy stracił zęby i oddech, to i ja, który nie mam ani zębów, ani rozumu, mogę je odkryć na nowo”.

Z dziką pasją rzucił się w pracę. Skopiował Miłosiernego Samarytanina Delacroix, Siewcę i Kopacza Milleta. Postanowił znieść swoje nieszczęście z angielską flegmą. Życie dla sztuki jest straszliwie ciężkie – wiedział o tym zaczynając. Dlaczego więc miałby się teraz żalić? W dwa tygodnie po otrzymaniu czeku nadszedł styczniowy numer „Mercure de France”. Theo zakreślił na pierwszej stronie artykuł pod tytułem Samotni. Vincent czytał:

„Tym, co charakteryzuje dzieła van Gogha, jest nadzwyczajna siła i potęga wyrazu. W kategoriycznym podkreśleniu istotnych cech przedmiotów, w niezwykle śmiałym upraszczaniu formy, w zuchwałym pragnieniu patrzenia słońcu prosto w twarz, w pasji rysunku i kolorytu objawia się artysta potężny i męski, śmiały, niekiedy wręcz brutalny, niekiedy niezwykle subtelny.

Vincent van Gogh wywodzi się w prostej linii od takich mistrzów jak Frans Hals. Jego realizm leży poza światopoglądem fizycznie zdrowych i duchowo zrównoważonych mieszczan holenderskich, którzy są jego przodkami. Cechą jego płócien jest skrupulatne studiowanie charakterów, ustawiczne poszukiwanie istoty każdej rzeczy, głębokie, dziecięce niemal umiłowanie przyrody i prawdy.

Czy ten mocny i rzetelny artysta o duszy oczarowanej zostanie kiedyś uznany przez publiczność? Wątpię. Jest zbyt prosty i zarazem zbyt subtelny dla naszych współczesnych drobnomieszczańskich umysłów. Jedynie jego bracia artyści rozumieją go w pełni.

G. Albert Aurier”.

Vincent nie pokazał artykułu doktorowi.

Powróciła cała jego siła witalna, cała ogromna miłość życia. Namalował wnętrze sali, w której sypiał; namalował głównego dozorcę i jego żonę, kopiował znów Milleta i Delacroix, wypełnił dni i nocie niezmierną pracą.

Z dotychczasowego przebiegu choroby wnosił, że kryzys powtarza się regularnie co trzy miesiące. Dobrze – w takim razie będzie uważał na siebie w okresie krytycznym. Gdy zbliży się termin ataku, przestanie pracować, położy się do łóżka i przygotuje do krótkiej niedyspozycji. Po paru dniach będzie mógł znowu wstać, zupełnie jak po lekkim przeziębieniu.

Jedyną dokuczliwą sprawą w zakładzie była teraz, zimową porą, fanatyczna religijność sióstr. Odkąd dni były krótsze i mrok zapadał wcześniej, wydawały się wszystkie opętane zbiorową histerią.

Mamrotały wciąż pacierze, całowały krucyfiksy, przesuwaly w palcach różańce, dreptały przez salę z oczami utkwionymi w Biblii i pięć albo sześć razy na dzień biegały do kaplicy na modlitwę. Trudno się było wręcz Vincentowi zorientować, kto tu jest pacjentem, a kto pielęgniarką. Od czasu Borinage miał Vincent wstręt do wszelkiej przesady religijnej. Były momenty, kiedy nie mógł wprost znieść tej namiętnej pobożności sióstr. Z tym większą zaciekleścią oddawał się swej pracy, aby zapomnieć o czarno odzianych postaciach.

Na dwie doby przed terminem ataku, zdrow i w dobrym nastroju, położył się do łóżka. Zaciągnął zasłony, aby się odciąć od chorych i religijnej manii sióstr i zachować całkowity spokój.

Nadszedł dzień, w którym spodziewał się kryzysu. Vincent był gotów. Byłby niemal rad, gdyby atak przyszedł w porę. Godziny wlokły się. Nic się nie wydarzyło. Czuł się zupełnie zdrow. Był zdziwiony, potem rozczarowany. Minał drugi dzień. Wciąż jeszcze był zdrow. Kiedy trzeci dzień przeszedł bez ataku, Vincent triumfował w duchu.

„Byłem wariatem. Ale teraz ataki skończyły się... Nie potrzebuję już obawiać się niczego. Leżenie w łóżku jest stratą czasu. Jutro rano wstanę i zabiorę się do roboty. Doktor Peyron nie miał racji”.

W ciemności nocy, gdy wszyscy spali, Vincent podniósł się prędko i cicho. Boso przebiegł kamienne płyty podłogi i po omacku dotarł do piwnicy, w której leżał węgiel. Klęknął, zebrał w garść trochę miazgi i poczerpnął sobie twarz i rękę.

– Widzi pani, madame Denis, teraz jestem jednym z nich. Dotąd ludzie nie mieli do mnie zaufania, ale teraz jestem jednym z nich. Teraz mogę nieść górnikom słowo boże.

O wschodzie słońca znaleźli go dozorczy. Mruczał pacierze, powtarzał bez związku wersety z Biblii, odpowiadał niesłyszalnym głosem, które szeptały mu dziwne rzeczy do ucha.

Kilka dni trwały te religijne halucynacje. Gdy wrócił do przytomności, poprosił jedną z sióstr, aby przyprowadziła doktora.

– Moim zdaniem – oświadczył – ten atak byłby do uniknięcia, gdyby nie było tu tyle historycznej pobożności.

Doktor Peyron wzruszył ramionami, oparł się o łóżko i zaciągnął za sobą zasłony.

– Niestety, w tej sprawie jestem bezsilny. Tak jest tutaj każdej zimy. Nie uważam tego za dobre, nie mogę jednak zakazać. Siostry poza tym robią dużo dobrego.

– Dość trudno jest pozostać przy zdrowych zmysłach pośród tych obłąkanych – powiedział Vincent. – Ale jeśli do tego dołączy się jeszcze obłęd religijny... Czas mojego ataku minął już właściwie.

– Proszę się nie łudzić, Vincencie. Kryzys musiał tak czy inaczej przyjść. Pańskie nerwy przygotowują się na to całe trzy miesiące. Gdyby halucynacje nie miały podłoża religijnego, przybrałyby inną postać.

– Jeśli podobny atak raz jeszcze się powtórzy, poproszę brata, aby mnie stąd zabrał.

– Jak pan sobie życzy.

W pierwszy prawdziwie wiosenny dzień Vincent udał się znów do atelier. Znów malował krajobraz przed oknem – pole, które właśnie orano, żółte rżyska i fioletowe skiby ziemi na tle wzgórz. Była to pora zakwitania drzew migdałowych, a niebo o zachodzie miało barwę bladej cytryny.

Ale wiecznie odradzająca się natura nie przyniosła Vincentowi tym razem nowego życia. Po raz pierwszy, od czasu gdy oswoił się z zakładem, zidiociały bełkot i wciąż powracające ataki chorych targały mu nerwy. Drażniły go szybkie, mysie ruchy modlących się stworzeń w czerni i bieli. Ilekroć zobaczył jedną z nich, dygotał ze strachu i grozy.

„Theo – pisał do brata – czułbym się nieszczęśliwy, gdybym musiał opuścić St. Remy; mógłbym tu stworzyć jeszcze wiele dobrych obrazów. Ale gdybym miał przejść jeszcze jeden atak natury religijnej, wiem, że nie moje nerwy, lecz zakład byłby temu winien. Dwa lub trzy takie ataki wystarczą, aby mnie zabić. Bądź przygotowany! O ile religijne halucynacje powtórzą się, jestem zdecydowany pojechać do Paryża, skoro tylko starczy mi sił, aby zwlec się z łóżka.

Może byłoby w ogóle najbardziej wskazane, abym wrócił na północ, gdzie większość ludzi jest psychicznie zdrowa. Czy doktor Gachet, o którym wspomniałeś, interesowałby się moim przypadkiem?”

Theo odpisał, że mówił powtórnie z doktorem Gachet i pokazał mu kilka obrazów Vincenta. Lekarz pragnie gorąco, aby Vincent przybył do Auvers i tam pracował.

„... Jest to specjalista nie tylko chorób nerwowych, Vincencie, ale zna się równie dobrze na malarstwie. Jestem przekonany, że nie mógłbyś się dostać w lepsze ręce. Jeżeli zdecydujesz się na przyjazd, zadeszuj, a przyjadę pierwszym pociągiem do St. Remy”. Nadeszły gorące dni wiosny. Cykady poczęły ćwierkać głośno w ogrodzie. Vincent malował portyk u wejścia na oddział, drzewa i dróżki w ogrodzie, autoportret w lustrze. Ale obraz nie absorbował go całkowicie; Vincent co chwila zerkał na kalendarz.

Następny atak przypadł w maju.

... Słyszał głosy w pustych korytarzach. Odpowiadał im i echo jego głosu brzmiało niby złośliwy zew przeznaczenia. Tym razem znaleziono go nieprzytomnego w kaplicy. Dopiero w połowie maja wrócił do siebie i halucynacje religijne minęły.

Theo upierał się przy tym, że przyjedzie po niego do St. Remy. Vincent jednak chciał sam przedsięwziąć tę podróż. Jeden z dozorców miał go tylko odprowadzić na dworzec w Tarasconie. Vincent pisał:

"Drogi Theo!

Nie jestem kaleką ani niebezpieczną bestią. Pozwól mi udowodnić Tobie i sobie, że jestem normalnym człowiekiem. Jeśli uda mi się o własnych siłach wydostać z tego zakładu i rozpocząć nowe życie w Auvers, przezwyciężę może moją chorobę. Pozostała mi tylko ta jedna nadzieja. Skoro opuszczę dom obłąkanych, wyzdrowieję na pewno. Według Twojego opisu Auvers jest piękne i spokojne. Jeśli będę na siebie uważał i doktor Gachet zechce zająć się mną, wszystko będzie w porządku. Zadepeszuję, kiedy wyjeżdżam z Tarasconu. Oczekuj mnie na dworcu Lyońskim. Odjadę stąd w sobotę, aby móc spędzić niedzielę z Tobą, Joanną i maleństwem".

Księga ósma

AUVERS

I

Theo z obawy o brata całą noc nie zmrużył oka. Na dwie godziny przed przyjazdem pociągu wybrał się na dworzec. Joanna z dzieckiem została w domu. Stała na balkonie czwartego piętra ich mieszkania w Cite Pigalle i poprzez liście wielkiego, czarnego drzewa rosnącego przed domem patrzyła w dół, w ulicę: czy prędko dorożka ukaże się na rogu i skręci z rue Pigalle do Cite Pigalle.

Z dworca Lyońskiego do mieszkania Thea było daleko. Czekanie Joannie dłużyło się bez końca; opanował ją lęk, że Vincentowi w drodze coś złego się przydarzyło. Ale w końcu dorożka skręciła na rogu, dwie jaśniejące twarze spojrzały w górę, dwie ręce skinęły. Wytężyła wzrok, aby zobaczyć nowego brata.

Cite Pigalle było ślepią uliczką, zamkniętą z jednego końca przez podwórze z ogrodem i węgiel domu. Po każdej stronie tej uliczki o wyglądzie mieszczańskim i dostatnim stały tylko dwa domy. Theo mieszkał pod numerem ósmym, w domu, poza którym uliczka się kończyła. Przed domem był mały ogródek z dróżką w środku. Za parę sekund dorożka stanęła pod wielkim, czarnym drzewem, koło wejścia.

Vincent wbiegł szybko na schody, Theo za nim. Joanna spodziewała się ujrzeć człowieka chorego; tymczasem mężczyzna, który objął ją tak serdecznie, miał zdrową cerę, uśmiech na twarzy i wygląd człowieka zdecydowanego. „Wydaje się zupełnie zdrów, wygląda lepiej od Thea” – było jej pierwszą myślą. Ale nie mogła przemóc się na tyle, by spojrzeć na jego ucho.

– Theo – zawołał Vincent; trzymał ręce Joanny w swoich i spoglądał na nią z aprobatą.
– Wybrałaś sobie wspaniałą żonę.

– I ja tak sądzę – zaśmiał się Theo z wdzięcznością.

W wyborze żony kierował się Theo widocznie podobieństwem do ich matki. Joanna miała piwne, łagodne oczy, podobne do oczu Anny Kornelii i zupełnie jak matka była pełna współczucia i litości dla losu innych. Dziecko było jeszcze niemowlęciem, ale już teraz wyczuwało się u Joanny coś z matriarchalnej powagi. Twarz jej miała wyraz prosty i zany; jasnokasztanowe włosy szcęsane gładko do tyłu ukazywały wysokie, typowo holenderskie czoło. Jej miłość do Thea obejmowała również Vincenta.

Theo pociągnął Vincenta do sypialni, gdzie w kołysce spało dziecko. Dwaj mężczyźni stali pochyleni nad maleństwem, łzy błyszczały im w oczach. Joanna podeszła na palcach do drzwi; chciała cicho odejść, zostawić braci samych. Gdy kładła rękę na klamce, Vincent odwrócił się z uśmiechem i rzekł, wskazując ozdobną, szydełkową kapkę na kołysce:

– Nie strój go w koronki, siostrzyczko.

Joanna cicho zamknęła za sobą drzwi. Vincent pochylił się znowu nad dzieckiem. Czuł dotkliwy ból człowieka, który wie, że nie pozostawia na ziemi ciała swego ciała i że jego śmierć będzie pełna i wieczna.

Theo odgadł jego myśli.

– Masz jeszcze czas, Vincencie. Pewnego dnia znajdziesz kobietę, która cię pokocha i podzieli z tobą twoje brzemię.

– Nie, Theo, już za późno.

– A jednak przed paru dniami znalazłem odpowiednią dla ciebie żonę.

– Nie może być! Kto to taki?

– Dziewczyna z powieści Turgieniewa Nowiana. Pamiętasz ją?

– Masz zapewne na myśli tę, która pomaga nihilistom i przenosi bibułę przez granicę?

– Tak. Twoja żona powinna być do niej podobna, Vincencie. Musi to być kobieta, która zstąpiła na dno nędzy i cierpienia.

– I co poczęłaby ze mną, z mężem bez ucha?

Mały Vincent, zbudzony, popatrzył na nich i uśmiechnął się. Theo wyjął dziecko z kołyski i położył je w ramionach brata.

– O, jakie miękkie i ciepłe, jak mały szczeniaczek – rozczulił się Vincent, przyciskając dziecko do piersi.

– Człowieku, któż tak trzyma dziecko!

– W istocie mam obawę, że z pędzlem potrafię się zręcznie obchodzić.

Theo wziął dziecko w ramiona, głową dotykał delikatnych kędziorków. Vincentowi wydali się wyciosanymi z tej samej bryły.

– No cóż, mój drogi Theo – powiedział z rezygnacją – każdy człowiek tworzy odmiennymi i jemu właściwymi środkami. Ty tworzysz żywym ciałem, a ja maluję.

– Dobrześ to powiedział, Vincencie.

Wieczorem przyszło kilku przyjaciół powitać Vincenta. Pierwszy zjawił się Aurier, człowiek młody i przystojny; długie pukle okalały twarz, broda rozdzielona na dwie części pozostawiała pośrodku gładki podbródek. Vincent zaprowadził go do sypialni, gdzie wisiał Bukiet Monticellego.

– Panie Aurier, napisał pan w swoim artykule, że jestem jedynym malarzem, który poznał naturalny koloryt przedmiotów, ich barwy metaliczne i kryształową strukturę podobną do struktury szlachetnych kamieni. Proszę spojrzeć na ten obraz Monticellego. „Fada” zrozumiał to już na lata przed moim pobytem w Paryżu.

Po całogodzinnej dyskusji Vincent zrezygnował z przekonania go. W podziękę za artykuł ofiarował mu jeden obraz z cyprysami namalowany w St. Remy.

Toulouse-Lautrec wszedł zdyszany na czwarte piętro, tak samo głośny, rubaszny i serdeczny jak zawsze.

– Vincencie – krzyczał ściskając ręce obecnych – na schodach minąłem funkcjonariusza zakładu pogrzebowego. Czy on szukał ciebie, czy mnie?

– Ciebie, Lautrec! Na mnie nie zrobiłby żadnego interesu.

– Zakład, Vincencie... że w jego notesie twoje nazwisko będzie figurowało przed moim!

– Przyjmuję. A stawka?

– Dobra kolacja w „Le Cafe Athenes”, a potem opera.

– Przestańcie robić makabryczne dowcipy – przerwał Theo z bladym uśmiechem.

Wszedł jakiś obcy człowiek, rozejrzał się szukając wzrokiem Lautreca; potem bez słowa usiadł w kącie na krześle. Oczekiwali, że Lautrec przedstawi im obcego, on jednak mówił dalej.

– Może byś tak przedstawił nam twojego przyjaciela? – zapytał Vincent.

– To żaden przyjaciel – zaśmiał się Lautrec. – To mój strażnik.

Zapadło bolesne milczenie.

– Toś ty nie wiedział, Vincencie? Byłem przez parę miesięcy *non compos mentis*⁶⁶. Twierdzono, że przyczyną tego jest alkohol... teraz więc piję tylko mleko. Poślę ci zaproszenie na moje najbliższe przyjęcie. Jest tam wymalowana krowa, którą doję z odwrotnego końca.

Joanna podała zakąski, mówili jeden przez drugiego, powietrze w pokoju zrobiło się gęste od dymu. Vincent przypomniał sobie czasy paryskie.

– A jak się ma Seurat? – zapytał Lautreca.

– Georges! Jak to? Nie wiesz o niczym?

– Theo nie pisał mi o nim wcale. Czy coś się stało? – spytał Vincent.

– Georges jest umierający. Gruźlica – lekarze sądzą, że nie dociągnie poza lat trzydzieści jeden.

– Gruźlica? Ale Georges był zdrowy i silny. Jakim sposobem...?

– Przepracowanie, Vincencie – wtrącił Theo. – Nie widziałeś go od dwóch lat. Pracował nieludzko. Spał dwie, trzy godziny na dobę, a przez resztę czasu harował jak opętany. Nawet jego poczciwa stara matka nie mogła nic pomóc.

„Więc Georges opuści nas wkrótce” – szepnął Vincent do siebie.

Rousseau przyniósł Vincentowi świeże, własnoręcznie upieczone bułeczki. Ojciec Tanguy, który wciąż jeszcze nosił ten sam okrągły kapelusz słomkowy, przywitał go uroczystą krótką mową wyrażając radość z tego, że Vincent wrócił do Paryża, i wręczył mu japoński sztych.

O godzinie dziesiątej Vincent wybiegł z domu i kupił litr oliwek. Każdy musiał ich skosztować, nawet dozorca Lautreca.

– Gdybyście widzieli srebrzyste gaje oliwne w Prowansji – zawołał – jedlibyście oliwki do końca życia.

– A propos oliwek, Vincencie – rzekł Lautrec – chciałbym wiedzieć, co sądzisz o arleżjankach.

Nazajutrz rano Vincent zniósł Joannie wózek na ulicę, aby dziecko poleżało godzinę w słońcu przed domem. Potem wrócił do mieszkania, stanął bez marynarki, z zawiniętymi rękawami koszuli i rozejrzał się po ścianach pokrytych jego obrazami. W jadalni nad kominkiem wisiał jego obraz: Jedzący kartofle, w pokoju bawialnym zobaczył *Krajobraz z Arles i Widok na Rodan w nocy*, w sypialni *Kwitnące sady*. Pod łóżkami, pod otomaną, pod kredensem, w komórcie leżały – ku utrapieniu posługaczki – stosy jego nie oprawionych obrazów, a pokój gościnny był nimi zapchany po brzegi.

Szukając czegoś w biurku Thea znalazł Vincent spore pakiety listów, przewiązane sznurkiem. Zdziwił się zobaczywszy, że to jego własne listy; Theo przechowywał od lat dwudziestu każdy liścik brata – od czasu, gdy Vincent wyjechał z Zundert do Goupilów w Hadze. Było tych listów około siedmiuset. Vincent zastanowił się, po co u licha Theo je przechowuje.

W innej szufladzie biurka znalazł rysunki od lat dziesięciu posyłane bratu – uporządkowane według dat. Byli to górnicy i ich żony z Borinage, kopacze i siewcy z okolic Etten, starzy ludzie z Hagi, kopacze z Geest, rybacy z Scheveningen; byli tkacze z

⁶⁶Nie w pełni władz umysłowych.

Nuenen, sceny z kawiarni z ulic Paryża, pierwsze studia słoneczników i kwitnących drzew z Arles; i był ogród zakładu w St. Remy.

– Urządzą swoją własną wystawę! – wykrzyknął Vincent.

Zdjął wszystkie obrazy ze ścian, wyjął rysunki i szkice z biurka i wyciągnął spod mebli stosy nie oprawionych obrazów. Uporządkował je starannie według daty powstania. Potem wybrał te rysunki i płótna, które najlepiej oddawały ducha widzianych przez niego krajobrazów i ludzi.

W holu, u wejścia do mieszkania, rozpiął na ścianach około trzydziestu swoich pierwszych szkiców przedstawiających górników: jak wracają z kopalni, jak nachylają się nad piecami lub siedząc w nędznych izbach przy stole jedzą zupę.

„Tutaj jest wystawa szkiców węglem” – oznajmił sam sobie.

Potem obszedł całe mieszkanie i stwierdził, że łazienka jest po holu drugim, najmniej ważnym pomieszczeniem. Na jej ścianach przybił studia chłopów brabantkich z Etten.

„A tu są rysunki ołówkiem”.

Teraz nadeszła kolej na kuchnię. Rozwiesił w niej szkice z Hagi i Scheveningen, widok na skład drzewa z jego okna w Hadze, piaszczyste wydmy i łodzie rybackie wyciągane na brzeg.

„Sala trzecia – oświadczył. – Akwarele”.

W małej komórcie powiesił obraz przedstawiający jego przyjaciół de Grootów jedzących kartofle – pierwszy obraz olejny, w którym rozwinął całkowicie swój własny, odrębny styl. Resztę ścian komórki pokrył studiami tkaczy z okolic Nuenen, chłopów w żałobnych strojach, cmentarza za kościółkiem ojca, spiczastej wieży kościelnej.

W swojej sypialni rozmieścił obrazy olejne z okresu paryskiego – te same, które swego czasu powiesił w mieszkaniu Thea na rue Lepie w wilię odjazdu do Arles. Pokój jadalny ozdobił gorejącymi płótnami z Arles. Wreszcie w sypialni Thea obrazy powstałe w St. Remy.

Uporawszy się z tym posprzątał mieszkanie, włożył kapelusz i płaszcz, zbiegł na dół i spacerował w słońcu, popychając wózek ze swym imiennikiem. Joanna trzymała go pod rękę, rozmawiając z nim po holendersku.

Kwadrans po dwunastej Theo ukazał się na zakręcie, z daleka już machając ręką. Zbliżył się szybko i wziął synka czule w objęcia. Zostawili wózek u dozorczy i poszli na górę rozmawiając żywo. Przed drzwiami Vincent ich zatrzymał.

– Teraz zwiedzimy we trójkę wystawę Vincenta van Gogh – oznajmił. – Przygotujcie się, Jo i Theo.

– Wystawę? – zdziwił się Theo. – Gdzie?

Zamknij oczy – odparł Vincent. Otworzył szybko drzwi i wszyscy troje weszli do holu. Theo i Joanna rozejrzeli się zdumieni.

– Kiedy byłem w Etten – zaczął Vincent – ojciec zrobił pewnego razu uwagę, że ze złego nigdy nie może powstać nic dobrego. Odpowiedziałem mu wówczas, że w sztuce nie tylko jest to możliwe, ale tak być musi. Jeśli chcecie iść za mną, drogi bracie i siostrze, pokażę wam, że człowiek, który zaczął z wielkim trudem jak nieporadne dziecko, po dziesięciu latach ciężkiej pracy doszedł do... Zresztą sami zobaczycie...

Prowadził ich od pokoju do pokoju w chronologicznym porządku swych prac. Stali jak troje obcych zwiedzających galerię i patrzyli na to dzieło – twór całego życia. Wyczuwali

oporne, uciążliwe wzrastanie artysty, przebijanie się po omacku do dojrzałości wyrazu, potem burzliwy przełom w Paryżu, żywiołowy wybuch potężnych sił w Arles, gdzie po latach pracy doszedł do szczytu twórczej ekspresji, a potem... potem załamanie się... obrazy z St. Remy, pełną męki walkę o osiągniętą doskonałość i powolny, powolny upadek.

Oczami przypadkowych, obcych widzów patrzyli na zgromadzone prace. W półgodzinnym skrócie oglądali historię bytu ziemskiego jednego człowieka.

Joanna uraczyła ich prawdziwym brabanckim obiadem. Vincent był szczęśliwy, że znów je potrawy holenderskie. Potem sprzątnąwszy ze stołu wyszła, a bracia usiedli razem, palili i rozmawiali.

– Musisz stosować się ściśle do wskazań doktora Gachet – powiedział Theo.

– Naturalnie, że będę.

– Bo widzisz, on jest specjalistą chorób nerwowych. Jeśli będziesz robił wszystko, co on ci zaleci, z pewnością wyzdrowiejesz.

– Przrzekam ci, Theo. Gachet sam maluje również. Co rok wystawia u „Niezależnych” pod pseudonimem P. van Ryssel.

– Czy dobre rzeczy, Theo?

– Nie powiedziałbym. Natomiast jest jednym z ludzi, którzy mają talent do odkrywania talentu innych. Mając lat dwadzieścia przyjechał do Paryża studiować medycynę; tutaj poznał Courbeta, Murgera⁶⁷, Champfleury'ego⁶⁸ i Proudhona⁶⁹. Jako stały bywalec kawiarni „La Nouvelle Athenes” zaprzyjaźnił się wnet serdecznie z Manetem, Renoirem, Degasem, Durantym⁷⁰ i Claude Monetem. Daubigny i Daumier malowali w jego domu na długo, zanim powstał impresjonizm.

– Doprawdy?

– Niemal wszystkie obrazy, jakie posiada, zostały namalowane w jego domu i ogrodzie. Pissarro, Guillaumin, Sisley, Delacroix – wszyscy udawali się do Auvers, aby pracować z Gachetem. Znajdziesz tam na ścianach również płótna Cezanne'a, Lautreca i Seurata. Od połowy stulecia nie było ani jednego wybitnego malarza, który by nie był z nim w kontakcie.

– Dosyć, Theo! Po prostu czuję lęk. Nie pasuję do tak sławnego grona. Czy doktor Gachet widział moje prace?

– Głupcze jeden, dlaczegożby inaczej pragnął tak bardzo twojego przyjazdu do Auvers?

– Bóg to raczy wiedzieć.

Gachet jest zdania, że twoje sceny nocne z Arles na ostatniej wystawie „Niezależnych” były najlepsze z wszystkiego. Przysięgam ci, że gdy mu pokazałem twoje słoneczniki, które namalowałeś dla Gauguina i żółtego domu, miał łzy w oczach. Odwrócił się do mnie i powiedział: „Panie van Gogh, pański brat jest wielkim artystą. W całej historii sztuki nie było dotąd niczego, co by się dało porównać z żółtością tych słoneczników. One jedne uczyniłyby go nieśmiertelnym”.

Vincent podrapał się w głowę i ukazał zęby w uśmiechu.

⁶⁷Murger Henri (1822-1861) – autor znanej powieści Cyganeria, przedstawiającej sceny z życia paryskiego środowiska artystycznego.

⁶⁸Champfleury Jules Husson (1821-1889) " francuski powieściopisarz, realista.

⁶⁹Proudhon Pierre-Joseph (1809-1865) – filozof i publicysta, przedstawiciel socjalizmu utopijnego we Francji w XIX wieku. Pisa! m.in. o społecznych zadaniach sztuki. Jego poglądy wywarły znaczny wpływ na twórczość Courbeta, z którym się przyjaźnił.

⁷⁰Duranty Louis Emile Edmond (1833-1880) – publicysta i powieściopisarz francuski, uczeń Champfleury'ego.

– Jeżeli doktor Gachet jest tego zdania co do moich słoneczników – powiedział – to widzę, że się z nim dogadamy.

II

Doktor Gachet oczekiwał Thea i Vincenta na stacji. Był to człowiek niski, nerwowy i łatwo się zapalający, o smutnych, melancholijnych oczach. Uścisnął serdecznie dłoń Vincenta.

– Tak, tak, tutaj znajdzie pan prawdziwą wieś malarską. Już się tu panu na pewno spodoba. Aha, widzę, że przywiózł pan sztalugi. A ma pan dosyć farb? Musi pan zaraz wziąć się do roboty. Dziś przyjdzie pan do mnie na obiad, zgoda?... Przywiózł pan jakieś nowe płótna? Żółtych barw z Arles tutaj pan nie znajdzie, ale za to zobaczy pan tu wiele innych rzeczy – tak, tak, wiele rzeczy. Musi pan malować u mnie. Dam panu wazy i stoły, które były już malowane przez wszystkich, od Daubigny'ego do Lautreca. A jak pan się czuje?... Wygląda pan zdrowo. Jak się panu zdaje, będzie się tu panu dobrze mieszkało?... Będziemy dbali o pana. Uzdrowimy pana na pewno!

– Z peronu dojrzał Vincent prześwitującą poprzez korony drzew zieloną wstęgę Oise w żyznej dolinie. Oddalił się parę kroków, by ją lepiej widzieć. Theo rozmawiał tymczasem cicho z doktorem. Bardzo pana proszę, aby pan otoczył Vincenta szczególną opieką – mówił – Gdyby pan zauważył najłżejsze symptomy nawrotu choroby, proszę natychmiast zadepeszować po mnie. Muszę być przy nim, gdy on... nie może w żadnym wypadku zostać sam... Wie pan, powiadają...

– Ale co znowu – przerwał doktor, który nerwowo przestępował z nogi na nogę i wskazującym palcem muskał krótką, spiczastą bródkę. – Vincent jest zwariowany, no tak, oczywiście. Ale to nic dziwnego. Wszyscy artyści są po trochu obłąkani, to ich najmiłsza cecha, a on jest prawdziwym artystą. Takich właśnie kocham. Niekiedy sam pragnę być wariatem. „Każda niezwykła dusza posiada domieszkę szaleństwa”. Wie pan, kto to powiedział? Arystoteles.

– Wiem, panie doktorze, ale Vincent jest jeszcze młody, ma lat trzydzieści siedem. Najlepsze lata leżą przed nim.

Doktor Gachet zdjął z głowy białą śmieszoną czapkę i z roztargnieniem przejechał ręką przez włosy.

– Proszę być zupełnie spokojnym. Wiem, jak należy postępować z malarzami. Za miesiąc pański brat będzie zdrow jak ryba. Zaprzęgnę go do pracy. Praca go uratuje. Zaraz dzisiaj po obiedzie każę mu zrobić mój portret. Zapomni o swej chorobie.

Vincent wrócił wciągając z rozkoszą świeże powietrze.

– Musisz koniecznie przywieźć tu Jo i synka, Theo. To grzech, żeby dzieci wyrastały w mieście.

– Tak, tak, musicie przyjechać do nas na całą niedzielę – dodał Gachet.

– Dziękuję, chętnie. Ale mój pociąg już jedzie. Do widzenia, doktorze, dziękuję za opiekę nad moim bratem. Vincencie, pisz codziennie!

Doktor miał zwyczaj brać ludzi pod ramię i sterować nimi w pożądanym przez siebie kierunku. Tak też uczynił z Vincentem. W drodze zaś mówił bez przerwy swoim wysokim głosem, przeskakiwał z tematu na temat i przeważnie sam sobie odpowiadał na pytania, zalewając Vincenta potokiem słów.

– Ta długa droga to droga do wsi, ciągle prosto przed siebie – tłumaczył. – Ale chodź pan, wyjdziemy na to wzgórze, stamtąd jest ładny widok. Czy nie za ciężko panu ze sztalugami na plecach? Tu na lewo jest kościół katolicki. Czy zauważył pan, że katolicy zawsze budują kościoły na wzgórzach, tak aby ludzie patrzyli na nie z dołu? O Boże, starzeję się chyba, ten pagórek wydaje mi się co rok bardziej stromy. Ładne pola, prawda?... Całe Auvers otoczone jest polami. Musi pan pewnego dnia namalować to pole. Rzecz prosta, nie jest ono tak żółte, jak pola Prowansji... Tak, a tam na prawo leży cmentarz... na szczycie wzgórza, skąd jest widok na rzekę i dolinę. Jak się panu zdaje, czy umarłym nie jest obojętne, czy leżą tu, czy gdziekolwiek?... Wybraliśmy im najpiękniejsze miejsce w całej dolinie. Może wejdziemy? Stamtąd będzie pan miał pyszny widok na rzekę... niemal aż do Pontoise... Brama jest otwarta, trzeba tylko pchnąć. Tak, w porządku... No, czy tu nie pięknie?... Wybudowaliśmy taki wysoki mur, aby wiatr tu nie hulał. Protestantów też się tu grzebie.

Vincent zrzucił z pleców sztalugi i pobiegł parę kroków naprzód, aby uciec przed potokiem wymowy doktora. Cmentarz tworzył rozległy czworobok na szczycie wzgórza i spływał na zbocze. Vincent podszedł do muru; stąd mógł widzieć dokładnie rzekę płynącą w dolinie. Brzegi chłodnej, zielonkawej wody lśniły jasnozieloną barwą. Na prawo zobaczył strzechy chat wiejskich, a na niedalekim wzgórzu – zamek. Jasne promienie słońca spływały z delikatnego błękitu na cmentarz i wiosenne, majowe kwiaty. Cudowna, niezmacona cisza była już niemal ciszą zza grobu.

– Wie pan, doktorze, że pobyt na południu Francji dał mi bardzo wiele – odezwał się Vincent. – Teraz lepiej wyczuwam krajobraz północy. Czy pan widzi, ile tam fiołkowych cieni na tym dalekim brzegu rzeki, którego zieleni jeszcze nie dosięgnęło słońce?

– Tak, tak, fiołkowych... fiołkowych, ależ tak, oczywiście...

– I jak tu cicho i spokojnie – ciągnął Vincent. – Jakie zdrowe powietrze.

Zeszli na dół krętą ścieżką, obok pól i kościoła, i skręcili w prawo, na drogę wiodącą prosto do wsi.

– Przykro mi, że nie może pan zamieszkać u mnie – powiedział Gachet – ale nie mamy miejsca. Zaprowadzę pana do dobrej gospody. Codziennie będzie pan przychodził do mnie i u mnie pracował.

Znowu wziął Vincenta pod ramię i poprowadził go obok merostwa aż niemal nad rzekę; tutaj stał pensjonat dla letników. Doktor Gachet rozmówił się z właścicielem, który zgodził się za cenę sześciu franków dziennie dać Vincentowi pokój z utrzymaniem.

– Teraz chce pan zapewne rozpakować walizkę – rzekł Gachet. – Zostawiam więc pana samego. Ale proszę nie zapomnieć i przyjść do mnie na obiad o pierwszej. I proszę koniecznie przynieść sztalugi. Zrobi pan mój portret. Chciałbym też widzieć kilka nowych pańskich obrazów. Pomówimy z sobą, dobrze?

Zaledwie doktor zniknął mu z oczu, Vincent porwał kuferek i ruszył do wyjścia.

– Chwileczkę – rzekł zdziwiony właściciel. – Dokąd się pan wybiera?

– Jestem robotnikiem, nie kapitalistą – odparł Vincent.

– Nie mogę płacić sześciu franków dziennie.

Ruszył z powrotem na plac i tam naprzeciw merostwa znalazł małą gospodę pana Ravoux, gdzie pokój wraz z wiktem kosztował trzy i pół franka.

Schodzili się tam chłopci i robotnicy pracujący w pobliżu Auvers. W ogólnej sali na prawo stał mały bar, poza tym ponury, nieprzytulny pokój zawierał tylko zwykłe, proste ławy i stoły. Z tyłu stał bilard ze splamionym i podartym sukniem – duma i radość pana Ravoux. Drzwi w tylnej ścianie gospody wiodły przez sień do kuchni. Z tej sieni prowadziły kręte schody do trzech pokoi gościnnych na piętrze. Z okna pokoju widział Vincent wieżę kościoła katolickiego i brunatny wycinek cmentarnego muru rozjaśniony łagodnym słońcem Auvers.

Wziął sztalugi, farby, pędzle, portret kobiety z Arles i wybrał się do doktora Gachet. Szedł zrazu ulicą wiodącą z dworca obok gospody Ravoux, minął plac i wspinał się na wzgórze. Po pewnym czasie droga rozwidlała się tworząc trzy odnogi. Prawa prowadziła ku zamkowi, lewa przez pola grochu, ku rzece. Gachet objaśnił mu, że należy iść drogą środkową, biegnącą z boku wzgórza. Vincent szedł z wolna i myślał o doktorze, którego pieczy został powierzony. Zauważył, że gdzieś tam nowe wille zastąpiły stare chaty kryte strzechą i że cały krajobraz wsi uległ dzięki temu zmianie.

Pociągnął za mosiężny uchwyt na wysokim murze. Na dźwięk dzwonka nadbiegł Gachet i po trzech stromych, kamiennych stopniach poprowadził Vincenta na taras pełen kwiatów. Dom był trzypiętrowy, zbudowany starannie i solidnie. Doktor wziął Vincenta pod rękę i powędrował z nim naokoło domu na tylne podwórze, gdzie hodował kury, kaczki, indyki, pawie i gromadę niedobrych kotów.

Opowiedziawszy historię całego zwierzyńca, poprosił Vincenta do domu.

Pokój, do którego weszli, znajdował się od frontu; był wysoki i przestronny, ale miał tylko dwa małe okna wychodzące na ogród. W dodatku był tak przeładowany meblami, antykami i rozmaitą zbieraniną, że z trudem można się było w nim poruszać. A ponieważ z powodu małych okien był ciemny, wszystkie przedmioty wydawały się Vincentowi czarne.

Gachet kręcił się po pokoju, podnosił jakieś rzeczy, rzucał je Vincentowi i zabierał mu je z rąk, zanim jeszcze Vincent mógł się zorientować, co to takiego.

– Widzi pan ten Bukiet kwiatów na ścianie? To Delacroix, ten oto wazon służył artyście za model. Proszę go dotknąć – wyczuwa pan ten sam kształt, który pan widzi na obrazie. Widzi pan to krzesło? Courbet siedział na nim, gdy malował z tego okna ogród... A te talerze, czy nie są cudowne? Desmoulins przywiózł mi je z Japonii. Claude Monet malował tutaj martwą naturę z tym właśnie talerzem. Wisi na górze. Chodź pan. Pokażę ją panu.

Przy obiedzie poznał Vincent syna doktora, żywego, ładnego, piętnastoletniego chłopca. Gachet, który cierpiał na dolegliwości żołądkowe, kazał przygotować posiłek z pięciu dań. Vincent, przywykły w St. Remy do soczewicy i czarnego chleba, po trzecim daniu poczuł przesyty i przestał jeść.

– A teraz zabierzemy się do roboty – zawołał doktor.

– Zrobi pan mój portret, Vincencie, dobrze? Będę panu pozował tak jak stoję.

– Zdaje mi się, że powinienem poznać pana lepiej przed portretowaniem. Inaczej portret będzie fałszywy.

– Może pan ma słuszność, może pan ma słuszność... Ale na pewno zechce pan coś malować. Pozwoli mi pan przypatrzeć się? Tak bym chciał widzieć pana przy pracy.

– Widziałem w ogrodzie miejsce, które bym chętnie malował.

– Świetnie! Paul, zanieś sztalugi pana Vincenta do ogrodu. Pan nam pokaże, gdzie je ustawić, a ja panu powiem, czy już ktoś malował to samo miejsce.

Gdy Vincent pracował, doktor krążył bez przerwy dokoła i gestykulował z zachwytem, zdziwieniem, osłupieniem. Spozierając co chwila przez ramię Vincenta na sztalugi, zasypywał go radami i wykrzyknikami:

– Tak, tak, teraz pan to uchwycił. Karminowe jezioro! Uwaga, bo zepsuje pan to drzewo! Ach tak, teraz jest dobrze. Nie, nie, nie dawać więcej kobaltu, to nie Prowansja. Tak, tak, teraz zaczynam rozumieć! Uderzające! Tylko odrobinę żółtej barwy na ten kwiat! Tak, tak teraz w porządku. Jakie żywe stają się rzeczy pod palcami pana! Pański pędzel nie zna martwej natury. Nie, nie! Błagam, niech pan będzie ostrożny! Nie za dużo! O, teraz, teraz! Cudownie!

Vincent znosił ten monolog, póki mógł. Potem zwrócił się do nerwowego skaczącego człowieka i rzekł:

– Drogi przyjacielu, czy pan nie uważa, że to niezdrowo dla pana tak się podniecać. Jako lekarz wie pan chyba, jak ważny jest spokój.

Ale Gachet nie umiał zachować spokoju, gdy ktoś malował w jego obecności.

Skończywszy szkic Vincent udał się z doktorem do domu i pokazał mu portret kobiety z Arles. Gachet przymknął jedno oko i wpatrzył się w obraz. Po długiej dyskusji z samym sobą co do błędów i zalet obrazu oświadczył:

– Nie, niezupełnie się z nim zgadzam. Nie pojmuję jasno, co pan chciał nim wyrazić.

– Chyba nic – odparł Vincent. – Może tylko to, że ta arleżjanka jest syntezą wszystkich kobiet z Arles. Chciałem po prostu barwami oddać jej charakter.

– Niestety – powiedział doktor zgnębiony – nie umiem na razie wnikać w ten portret.

– Czy pan pozwoli mi rozejrzeć się w pańskich obrazach?

Ależ proszę, proszę, niech pan ogląda, ile pan chce. Ja zostanę tutaj z tym portretem i przyjrzę mu się; może się z nim pogodzę. Prowadzony przez Paula, szedł Vincent z pokoju do pokoju. W jakimś kącie natknął się na obraz Guillaumina – nagą kobietę na łóżku. Obraz leżał zapomniany i zaniedbany – farba poczyniała już pękać. Kiedy Vincent podniósł go i oglądał stroskany, nadbiegł doktor i zasypał go pytaniami o portret arleżjanki.

– To pan przez cały czas patrzył na ten portret?

– Tak, ależ tak... i powoli, powoli zaczynam pojmować...

– Panie doktorze, proszę mi wybaczyć moją śmiałość, ale widzę tu wspaniałego Guillaumina. Jeśli obraz nie zostanie zaraz oprawiony, na pewno zniszczy się.

Gachet zaledwie go słuchał.

– Powiedział pan, że w rysunku naśladował pan Gauguina? Ale nie... To przeciwstawienie mocnych barw... to zabija jej kobiecość... Nie, nie zabija... Zaraz, zaraz, muszę znów popatrzeć na nią, tak... tak... wydaje mi się, że wyskakuję z ram.

Resztę popołudnia spędził Gachet przed portretem kobiety, wpatrując się w nią, wymachując rękami, dyskutując sam z sobą, wpadając z jednego nastroju w drugi. Zanim noc zapadła, obraz arleżjanki oświał nim całkowicie. Wyczerpany, ale szczęśliwy stał przed nim.

– Jak trudno o prostotę – zauważył.

– Tak.

- Jest piękna, wspaniała! Nie czułem nigdy takiej głębi charakteru.
- Jeżeli się panu podoba – odrzekł Vincent – należy do pana. Tak samo scena z ogrodu, którą dziś malowałem.
- Ale dlaczego daje mi pan te obrazy, Vincencie? One mają wielką wartość.
- Może w bliskiej przyszłości będzie pan musiał opiekować się mną. Pieniądzy nie mam – mogę zapłacić jedynie moją pracą.
- Ależ ja nie dla pieniędzy zajmę się panem. Robię to z przyjaźni dla pana.
- W takim razie proszę przyjąć te obrazy w dowód przyjaźni.

III

I znów malował Vincent dzień po dniu. Wieczorem w kawiarni przyglądał się w mętnym świetle lampy grze robotników w bilard, potem o dziewiątej kładł się spać. Wstawał o piątej. Pogoda była piękna. Na przejrzystym niebie wędrowało łagodne słońce nad soczystą zielenią doliny.

Lecz następstwa choroby i przymusowej bezczynności w St. Remy ujawniły się teraz. Ręka jego nie władała już pędzlem tak sprawnie jak dawniej.

Poprosił Thea, aby mu przysłał sześćdziesiąt szkiców węglem Bargue'a. Chciał je skopiować, obawiał się bowiem, że jeżeli nie przestudiuje na nowo proporcji aktu, straci panowanie nad swą sztuką. Rozglądał się w Auvers za małym domkiem, w którym mógłby osiaść na stałe. I przemyślał nad tym, czy Theo miał słuszność, czy doprawdy istnieje kobieta, która chciałaby dzielić z nim życie.

Wydobył także obrazy z St. Remy, aby je poprawić i dokończyć.

Ale cała ta gorączkowa działalność była jedynie chwilowym gestem, ostatnim odruchem organizmu, który posiadał w sobie jeszcze zbyt wiele sił witalnych, aby tak prędko zniszczyć.

Po długim okresie zamknięcia w zakładzie dni dłużyły mu się niczym tygodnie; nie wiedział, jak je wypełnić. Nie miał siły, aby malować bez przerwy. Nie pragnął tego również. Przed katastrofą w Arles wszystkie dni były mu za krótkie, by dokończyć dzieła. Teraz zdawały się nie mieć końca. Niewiele pejzaży w przyrodzie pociągało go i zaledwie zaczynał pracować, opanowywał go dziwny spokój, niemal obojętność. Opuściło go żarliwe pragnienie malowania, wypełniania twórczą pracą każdej minuty. Pracował teraz wolniej. Jeśli nawet nie skończył do wieczora... to się tym nie przejmował.

Doktor Gachet pozostał jego jedynym przyjacielem w Auvers. Lekarz spędzał większą część dnia w swoim gabinecie paryskim. Wieczorem zaglądał jeszcze nieraz do „Cafe Ravoux”, aby obejrzyć obrazy przyjaciela. Vincenta nieraz dziwił wyraz głębokiego smutku w jego oczach.

– Czemu pan jest nieszczęśliwy, doktorze? – zapytał pewnego razu.

– Ach, Vincencie, tyle lat się trudziłem... i tak niewielu ludziom mogłem pomóc. Lekarz nie widzi nic innego prócz cierpienia.

– Zamieniłbym chętnie mój zawód z pańskim – rzekł Vincent.

Zmęczone oczy Gacheta rozbłysły.

– O nie, Vincencie, najpiękniejszą rzeczą w świecie jest być malarzem. Całe życie chciałem nim zostać... Ale mogłem tylko od czasu do czasu poświęcić godzinę na malowanie. Chorzy zawsze mnie potrzebowali.

Ukląkł i wyciągnął spod łóżka Vincenta stos obrazów. Przytrzymał przed sobą płomienny słonecznik.

– Gdybym namalował tylko jeden obraz podobny do tego, Vincencie, uważałbym swoje życie za usprawiedliwione. Lata całe strawiłem na to, by ulżyć cierpieniom ludzi... W końcu umierali i tak... Więc po co mój trud? Ale te pańskie słoneczniki... one będą leczyć ból serc i przynosić ludziom radość przez stulecia... I dlatego powinien pan czuć się szczęśliwym, a swoje życie uważać za udane.

W kilka dni później Vincent namalował portret doktora w białej czapce i niebieskiej bluzie na kobaltowym tle. Głowę dał bardzo jasną w tonie; dla oddania rąk posłużył się również jasnym cielistym odcieniem. Gachet opierał się o czerwony stół, na którym widniała żółta książka i naparstnica z purpurowymi kwiatami. Gdy Vincent skończył, sam był zdumiony, odkrywając w portrecie doktora podobieństwo do swego autoportretu z Arles sprzed przybycia Gauguina.

Lekarz był zachwycony. Vincent nie słyszał jeszcze nigdy tak entuzjastycznej pochwały. Upierał się, aby Vincent zrobił dla niego kopię portretu. Gdy malarz się zgodził, radość doktora nie miała granic.

– Musi pan użyć mojego aparatu litograficznego, który stoi na strychu – zawołał. – Pojedziemy do Paryża, przywieziemy wszystkie pańskie obrazy i sporządzimy z nich odbitki. Nie będzie to pana nic kosztowało. Chodź pan, pokażę panu mój warsztat.

Wspięli się po drabinie do góry i odsunęli luk. W atelier Gacheta na strychu stały fantastyczne narzędzia; przypominało ono warsztat średniowiecznego alchemika.

Gdy zeszli z powrotem, Vincent zauważył, że obraz Guillaumina jeszcze wciąż leży nie oprawiony.

– Panie doktorze Gachet – powiedział z naciskiem – jeszcze raz powtarzam: Niech pan da oprawić ten obraz! To jest arcydzieło, a bez oprawy zniszczy się.

– Ależ tak, naturalnie. A kiedy pojedziemy do Paryża po pańskie obrazy? Może pan zrobić z nich tyle odbitek, ile tylko pan zechce. Zaopatrzę pana w cały materiał.

Maj minął spokojnie. Nadszedł czerwiec. Vincent malował kościół katolicki na wzgórzu. Po południu, znużony, przerwał pracę; obraz pozostał nie dokończony. Potem, wyciągnięty na plecach, z głową ukrytą niemal w kłosach, namalował z wielkim wysiłkiem łąk zboża. Potem powstało wielkie płótno przedstawiające dom pani Daubigny i jeszcze jedno, z białym domem między ciemnymi drzewami, pod nocnym niebem. Przez okno domu padało pomarańczowe światło, zieleń była ciemna, a różowe barwy – przesycone ponurym cieniem. W końcu namalował dwie grusze o zmierzchu – zupełnie czarne na tle żółtawych niebios.

Ale obrazy nie dawały mu już tej radości co dawniej. Pracował, ponieważ było to jego drugą naturą, ponieważ nie istniało dla niego nic więcej. Gigantyczny rozpęd ostatnich lat dziesięciu niósł go wciąż jeszcze, lecz krajobrazy, które wzruszały go przedtem i podniecały, były mu teraz obojętne.

– Malowałem to już tyle razy – mruczał pod nosem wędrując ze sztalugami na plecach w poszukiwaniu motywu.

– Nie mam o tym nic nowego do powiedzenia. Po co więc się powtarzać? Ojciec Millet miał rację: „*J'aimerais mieux ne rien dire que de m'exprimer faiblement*”⁷¹.

⁷¹Wolałbym nic nie mówić aniżeli wyrazić niepełnie.

Jego umiłowanie natury nie umarło. Ale nie czuł już tego głębokiego, wewnętrznego musu, aby rzucać się na jakiś motyw i stwarzać go na nowo w obrazie. Był jakby wypalony. W lipcu namalował tylko pięć obrazów. Opanowało go niezmierne znużenie. Czuł się pusty i wyjałowiony, jak gdyby te setki obrazów i rysunków, które spłynęły z jego pędzla w ostatnich dziesięciu latach, uniosły całą jego siłę żywotną.

W końcu pracował już tylko dlatego, że zaciągnął zobowiązanie wobec brata. Kiedy jednak w trakcie malowania uświadomił sobie, że mieszkanie Thea pełne jest już jego nie sprzedanych obrazów i że jest ich więcej, niż mógłby sprzedać w ciągu jednego życia, opanował go wstręt. Odsunął sztalugi z rozpoczętym płótnem.

Wiedział, że w lipcu, po trzymiesięcznym okresie spokoju, przypada nowy kryzys. Dręczył go strach, że może wówczas popełnić coś, co wywoła oburzenie wsi. Nadto nie omówił z bratem w Paryżu dokładnie warunków pieniężnych i martwił się, nie wiedząc, na ile może liczyć. Drażnił go również i coraz bardziej niepokoił zmienny wyraz oczu doktora, przechodzący od entuzjazmu do przygnębienia.

Ale najgorsze dopiero przyszło: zachorował synek Thea.

Vincent przeraził się, troska o imiennika doprowadzała go do szaleństwa. Panował nad sobą, póki mógł, potem pojechał do Paryża. Jego nagłe zjawienie się w Cite Pigalle wzmogło jeszcze zamęt. Theo był błydy i wyczerpany. Vincent uspokajał go, jak mógł.

– Nie tylko o małego martwię się, Vincencie – przyznał wreszcie.

– A o co jeszcze, Theo?

– O moją posadę. Valadon zagroził, że zażąda, abym złożył rezygnację.

– Ależ Theo, to niemożliwe! Pracujesz u Goupilów od lat szesnastu.

– Wiem. Ale Valadon powiada, że zaniedbuję interes na korzyść impresjonistów. Z nich zaś sprzedają niewiele i po cenach niskich. Twierdzi, że moja galeria od roku pracuje ze stratą.

– Ale czy on doprawdy może ci wypowiedzieć?

– Oczywiście. Van Goghowie nie mają już żadnych udziałów w firmie.

– Co więc zrobisz, Theo? Czy otworzysz własny sklep?

– To wykluczone. Miałem co prawda niewielkie oszczędności, ale małżeństwo i dziecko pochłonęły wszystko.

– Gdybyś nie wydał tych tysięcy na mnie...

– Proszę cię, Vincencie, nie mów o tym. To nie ma nic do rzeczy. Wiesz przecież, że ja...

– Ale Theo, co teraz poczniesz? Masz przecie Joannę i maleństwo.

– Tak. Nie wiem jeszcze... W tej chwili drzę jedynie o dziecko.

Vincent pozostał kilka dni w Paryżu. Starał się przebywać poza domem, aby nie przeszkadzać dziecku. Paryż i dawni przyjaciele podniecali go. Czaiła się już w nim, wzmagająca gorączka. Skoro tylko mały miał się lepiej, Vincent powrócił do spokoju Auvers.

Ale nawet spokój niewiele mu pomógł; dręczyły go posępne myśli. Co się z nim stanie, gdy Theo straci posadę? Czy wyrzucą go na ulicę, jak nędznego żebraka? Co się stanie z Joanną i dzieckiem? A jeśli dziecko umrze... Co wtedy? Theo był zbyt wątłego zdrowia, aby przetrzymać podobny cios. I kto będzie dbał o nich wszystkich, gdy Theo będzie szukał nowego zajęcia? Zresztą skąd Theo weźmie siły na szukanie?

Godzinami siedział w ciemnej kawiarni. Przypominała mu małą „Cafe Lamartine” w Arles – tak samo pachniało tu zepsutym piwem i kiepskim tytoniem. Leniwie celował

bilardowym kijem w wyblakłe kule. Pieniądze skończyły się, nie miał za co pić, kupić farb ani płótna. W tym ciężkim położeniu nie mógł Thea o nic prosić. Najbardziej jednak prześladowała go myśl, że w czasie ataku lipcowego popełni coś przykrego i strasznego, obarczy brata dodatkowymi troskami i wydatkami.

Mimo to usiłował pracować. Ale pracować nie mógł. Namalował wszystko, co chciał namalować. Powiedział wszystko, co chciał powiedzieć. Natura przestała wyzwalać jego pasję twórczą. Wiedział, że zamarło w nim to, co najlepsze.

Mijały dni. Nadeszła pełnia lata, a z nią upały. Theo, któremu Valadon miał lada chwila wypowiedzieć, który zagryzał się o dziecko i nie mógł nadażać rachunkom lekarza, posłał mimo to bratu pięćdziesiąt franków. Vincent zapłacił panu Ravoux za pokój. Te pieniądze mogły mu wystarczyć najdalej do końca lipca. Ale co potem? Nie mógł przecie oczekiwać od brata więcej pieniędzy.

Pod gorącym słońcem leżał na wznak w zbożu obok cmentarza. Chodził nad brzegami Oise, wdychał woń chłodnej wody i zieleni. Jadał u Gacheta, pochłaniał potrawy, które mu nie smakowały i których jego żołądek nie znosił. Ilekroć doktor entuzjazmował się jego obrazami, Vincent myślał: „To niemożliwe, że on mówi o mnie – o moich obrazach. Nigdy nie namalowałem czegoś takiego. Nie poznaję nawet własnego podpisu na obrazie. Nie pamiętam ani jednego pociągnięcia pędzlem. Musiał to namalować ktoś inny”.

Leżąc w ciemności w swoim pokoju, powtarzał sobie: „A gdyby Theo nie stracił nawet posady... Przyjmijmy, że w dalszym ciągu będzie mi posyłał sto pięćdziesiąt franków miesięcznie. Co z tego? Przez ostatnie nędzne lata żyłem, ponieważ musiałem dać wyraz temu, co jak płomień paliło się we mnie. Ale teraz płomień wygasł, teraz jestem pustą łupiną. Mamże tak wegetować, jak ci biedacy w St. Paul, mam czekać na przypadek, który mnie zmiecie?”

Kiedy indziej zamartwiał się o Thea, Joannę i ich synka. „Jeśli nawet moja siła i chęć życia powrócą, jeśli poczuję w sobie znowu impuls do malowania – nawet w tym wypadku, jak mogę żądać jeszcze czegoś od Thea? On musi dbać o żonę i dziecko, nie powinien mi dawać więcej pieniędzy. Powinien za to wysłać swoją rodzinę na wieś, gdzie dziecko przysłoby do siebie. Już dziesięć lat siedzę mu na karku! Czy to nie dosyć? Czy nie czas, abym odszedł i zrobił miejsce małemu Vincentowi? Mego dzieła dokonałem, teraz na niego kolej”.

Ale u podstaw każdej sprawy czaił się przemożny lęk, co może się z nim wydarzyć podczas ataku. Teraz był jeszcze zdrow i normalny, był panem swojej woli. Ale może już najbliższy atak pograży go w obłądzenie? Sprowadzi stałe zaćmienie umysłu? Co wówczas pocnie biedny Theo? Czy każe go zamknąć w zakładzie dla nieuleczalnych szaleńców?

Podarował doktorowi jeszcze dwa obrazy i wyłudził od niego tajemnicę.

– Nie, Vincencie – oświadczył Gachet – pańskie ataki minęły na zawsze. Odtąd będzie pan zupełnie zdrow. Ale nie wszyscy epileptycy są tacy szczęśliwi.

– A co dzieje się z nimi ostatecznie, panie doktorze?

– Niekiedy, po przejściu szeregu ataków, tracą na zawsze świadomość.

– Czy nie ma wówczas dla nich żadnej nadziei?

– Mogą jeszcze wegetować parę lat w zakładzie, lecz do zdrowych zmysłów nie wrócą.

– A w jaki sposób można poznać, panie doktorze, czy chory przyjdzie do siebie po najbliższym ataku, czy też popadnie w obłąd?

– Tego nigdy przewidzieć nie można. Ale dlaczego mówimy o tak tragicznych rzeczach? Chodźmy lepiej do warsztatu, zrobimy parę akwafort.

Przez cztery dni nie opuszczał Vincent pokoju w gospodzie. Pani Ravoux przynosiła mu co wieczór posiłek.

„Teraz jestem jeszcze zdrów i przy pełnej świadomości – powtarzał sobie. – Jestem panem własnego losu. Ale może najbliższy atak rozsądzi mi mózg... nie będę już wówczas na tyle rozumny, aby się zabić... Będę stracony. O, Theo, Theo, co mam zrobić?”

Czwartego dnia po południu poszedł do Gacheta; zastał doktora w saloniku. Vincent skierował się od razu do małego pokoju, w którym przed pewnym czasem położył był nieoprawiony obraz Guillaumina. Podniósł go.

– Powiedziałem panu przecie, że obraz musi być oprawiony!

Doktor Gachet spojrział na niego zdumiony.

– Wiem, Vincencie. W przyszłym tygodniu zamówię ramę u stolarza.

– Musi być oprawiony teraz! Dzisiaj! Natychmiast!

– Ależ, Vincencie, to nonsens.

Vincent przeszył doktora groźnym wzrokiem, postąpił krok w jego stronę i wsunął rękę do kieszeni. Gachet miał wrażenie, że Vincent chwyta rewolwer i przez sukno marynarki mierzy do niego.

– Vincencie! – zawołał.

Vincent zadrżał. Spuścił oczy, wyjął rękę z kieszeni i wybiegł.

Następnego dnia wziął sztalugi i płótno, przewędrował długą drogę do stacji, wspiał się w górę, minął kościół i usiadł w polu wśród zboża, naprzeciw cmentarza.

Nadeszło południe. Rozgorzałe słońce paliło mu głowę. Nagle rój czarnych ptaków runął z niebios; wypełniły przestwór, przysłoniły słońce, objęły Vincenta gęstym całunem nocy, wikłały mu się we włosach, wpadały do oczu, nosa, ust, pogrzebały go w czarnej chmurze bijących skrzydeł.

Vincent pracował dalej. Malował ptaki nad żółtym łanem. Nie wiedział, jak długo prowadzi pędzel, ale gdy ujrzał, że obraz jest skończony, wpisał w rogu Pole ^ czarnymi ptakami, zaniósł płótno i sztalugi do gospody, rzucił się na łóżko i zasnął.

Na drugi dzień po południu wybiegł znowu w pola, tym razem z drugiej strony wsi. Wspiał się na wzgórze obok zamku. Chłop jakiś widział go siedzącego w konarach drzewa.

„To niemożliwe – powtarzał Vincent – to niemożliwe”.

Po pewnym czasie zsunął się z drzewa i pobiegł na zorane pole z tyłu za zamkiem. Teraz nadszedł kres... Wiedział o tym już po pierwszym ataku w Arles, ale wówczas nie czuł się na siłach, aby zrobić z sobą koniec.

Chciał się pożegnać. Mimo wszystko dobry był ten świat, w którym żył! Jak to mówił Gauguin? „Na każdą truciznę istnieje odtrutka”. Teraz, gdy odchodził, chciałby powiedzieć „żegnajcie” wszystkim przyjaciółom, którzy mogli mu nadać kształt swego życia: Urszuli, której wzgarda wyrwała go z konwencjonalnej egzystencji i uczyniła samotnym; Mendesowi da Costa, który natchnął go wiarą, że pewnego dnia odnajdzie samego siebie; Kay Vos, której: „Nie, nigdy”, wryło się palącymi zgłoskami na zawsze w jego duszę; madame Denis, Verneyowi i Decrucqowi, dzięki którym znalazł drogę do biednych i wydziedziczonych; dobremu pastorowi Pietersenowi, którego nie odepchnęły nędzna odzież i szorstkie maniery Vincenta; swojej matce i ojcu, którzy kochali go na swój

sposób; Krystynie, jedynej kobiecie, z jaką go sprzegnął los; Mauve'owi, który był jego mistrzem przez kilka szczęśliwych tygodni; Weissenbruchowi i de Bockowi, pierwszym przyjaciółom – artystom; swoim stryjom, Vincentowi, Janowi i Korowi oraz pastorowi Strickerowi, którzy uważali go za czarną owcę rodu van Goghów; Margot, jedynej kobiecie, która kochała go i dlatego chciała się zabić; swoim paryskim przyjaciółom: Lautrecowi, obecnie znów zamkniętemu w zakładzie, Seuratowi, ginącemu z przepracowania w trzydziestym pierwszym roku życia, Gauguinowi, który żył nędznie w Bretanii, Rousseau, marniejącemu w swojej norze obok Bastylji, Cezanne'owi, zgorzkniałemu samotnikowi na wzgórzach Aix, ojcu Tanguy i Roulinowi, którzy ukazali mu sól ziemi w prostych ludziach; Racheli i doktorowi Reyowi, którzy byli dlań dobrzy, gdy najbardziej potrzebował dobroci; Aurierowi i Gachetowi, jedynym ludziom, którzy uważali go za wielkiego malarza – i wreszcie dobremu bratu Theo, który przez niego tyle wycierpiał i tak go kochał – najlepszemu i najwierniejszemu z braci.

Ale słowa nie były nigdy jego mocną stroną. Musiałby namalować pożegnanie, a namalować pożegnania nie można.

Zwrócił twarz ku słońcu. Przyłożył rewolwer do boku i nacisnął spust. Upadł i twarzą zarył się w żyznym grząskim ile – proch wracający na łono matki.

IV

W cztery godziny potem chwiejnym krokiem powlókł się ku wsi; wszedł przez mroczną salę do swego pokoju. Pani Ravoux poszła za nim, ujrzała krew na marynarce. Natychmiast pobiegła po doktora.

– Vincencie, Vincencie, co pan zrobił! – jęknął lekarz, stanąwszy na progu pokoju.

– Spudłowałem, zdaje mi się; jak pan sądzi?

Doktor Gachet obejrzał ranę.

– Ach, Vincencie, drogi, biedny przyjacielu, jak bardzo musiał pan być nieszczęśliwy... Czemu nic nie przeczulem? Czemu chce nas pan opuścić, skoro wszyscy tak pana kochamy? Niech pan pomyśli o pięknych obrazach, które pan może jeszcze malować dla świata.

– Czy byłby pan tak dobry i podał mi fajkę z kieszeni kamizelki?

– Ależ tak, przyjacielu.

Doktor nabił fajkę tytoniem i wsunął ją Vincentowi między zęby.

– Ognia, jeśli łaska.

Vincent palił spokojnie fajkę.

– Vincencie, dziś jest niedziela, pańskiego brata nie ma w sklepie. Gdzie on mieszka?

– Tego nie powiem.

– Ależ, Vincencie, pan musi... Musimy go dziś jeszcze zawiadomić.

– Spokój Thea należy szanować. On jest zmęczony i ma dosyć trosk. Potrzeba mu wypoczynku.

Mimo próśb i błagań Vincent nie chciał zdradzić adresu w Cite Pigalle. Do późnej nocy Gachet opiekował się chorym. Potem poszedł do domu nieco wypocząć, jego syn z kolei czuwał nad Vincentem. Vincent leżał całą noc z otwartymi szeroko oczami i nie wymówił słowa. Bez przerwy tylko palił fajkę.

Nazajutrz z rana Theo zastał u Goupilów depezę doktora. Pierwszym pociągiem pojechał do Pontoise, stamtąd dorożką pospieszył do Auvers.

– No cóż, Theo – przywitał go Vincent.

Theo upadł na kolana obok łóżka i wziął Vincenta w ramiona jak dziecko. Mówić nie mógł.

Gdy doktor nadszedł, Theo wyprowadził go do sieni. Gachet potrząsnął ze smutkiem głową.

– Nie ma nadziei, przyjacielu. Nie mogę go operować, aby wyjąć kulę, na to jest za słaby. Gdyby nie jego żelazny organizm, umarłby już tam w polu.

Przez cały długi dzień siedział Theo przy łóżku i trzymał rękę Vincenta w swojej. Gdy noc zapadła i zostali sami, zaczęli rozmawiać spokojnie o swym dzieciństwie w Brabancji.

– Pamiętasz młyn w Ryswyk, Vincencie?

– To był piękny, stary młyn, prawda, Theo?

– Nieraz przechadzaliśmy się tam nad brzegiem strumienia i układaliśmy plany na przyszłość.

– A w czasie żniw bawiliśmy się w wysokim zbożu... Trzymałeś mnie za rękę jak teraz, pamiętasz, Theo?

– Tak, Vincencie.

– Gdy byłem w szpitalu w Arles, myślałem nieraz o Zundert. Mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo, ty i ja, Theo. Jakie miłe były nasze zabawy z tyłu za kuchnią, w cieniu akacji. A matka piekła nam ciastka z serem na śniadanie.

– Wydaje mi się, że to tak dawno temu, Vincencie.

– ... Tak... życie jest długie... Theo, z miłości do mnie, proszę, uważaj na siebie. Musisz myśleć o Jo i o synku. Zawieź ich oboje na wieś, aby byli silni i zdrowi. I nie pozostawaj u Goupilów, Theo! Oni zabrali ci całe życie... i nic nie dali w zamian.

– Otworzę własną, niewielką galerię, Vincencie. Na pierwszej wystawie pokażę obrazy tylko jednego jedyne go malarza, dzieło życia Vincenta van Gogh... Tak jak ty sam, własnymi rękami, pokazałeś je w moim mieszkaniu.

– ... Moje dzieło... dla niego narażałem życie... dla niego omal nie postradałem rozumu.

Głęboka cisza wiejskiej nocy zapanowała w pokoju.

Niedługo po godzinie pierwszej w nocy Vincent odwrócił lekko głowę i szepnął:

– Chciałbym teraz umrzeć, Theo.

Po paru minutach zamknął oczy.

Theo poczuł, że brat odszedł na zawsze.

V

Rousseau, ojciec Tanguy, Aurier i Emil Bernard przybyli z Paryża na pogrzeb.

Drzwi kawiarni Ravoux były zamknięte, żaluzje spuszczone. Na ulicy czekał mały karawan zaprzężony w czarne konie.

Ustawili trumnę Vincenta na stole bilardowym. Theo, doktor Gachet, Rousseau, ojciec Tanguy, Aurier, Bernard i Ravoux zebrali się dokoła stołu. Nikt nie mógł mówić. Nikt nie śmiał spojrzeć drugiemu w oczy. Nie przyszło nikomu na myśl wezwać pastora.

Wóznicza karawanu zapukał do drzwi.

– Już czas, panowie!

– Na miłość boską, tak nie możemy go puścić! – zawołał Gachet.

Przyniósł wszystkie obrazy z pokoju Vincenta i posłał syna do domu po resztę.

Sześciu ludzi rozwiesiło obrazy na ścianach. Theo pozostał sam przy trumnie.

Przepojone słońcem obrazy Vincenta przeistoczyły ponurą kawiarnię w jaśniejącą katedrę.

Po raz wtóry otoczyli prowizoryczny katafalk. Jeden tylko Gachet mógł przemówić.

– Nie rozpaczajmy – rzekł – my, którzy kochaliśmy Vincenta. On nie umarł. On nigdy nie umrze. Jego miłość, geniusz, cudowne piękno, które stworzył, będą żyć wiecznie i wzbogacać świat. Nie mija nigdy godzina, abym nie patrzył na jego obrazy i nie znajdował w nich nowej wiary, nowego sensu życia. Był olbrzymem... wielkim malarzem... wielkim filozofem... zginął jako męczennik za sztukę.

Theo usiłował podziękować doktorowi. Łzy nie pozwoliły mu mówić.

Zamknięto wieko trumny.

Sześciu przyjaciół wzięło ją na barki i wyniosło z gospody. Ustawili ją ostrożnie na wozie. I szli za czarnym karawanem, po zalanej słońcem drodze, obok chat krytych strzechą i małych domków.

Koło stacji wóz skręcił w lewo, wjechał powoli na zbocze wzgórza, po czym minawszy kościół katolicki, skręcił raz jeszcze w żółte pola.

Zatrzymał się przed bramą cmentarną.

Sześciu ludzi poniosło trumnę do grobu. Theo sam jeden szedł za nią.

Na miejsce wiecznego spoczynku wybrał Gachet skrawek ziemi, z którego Vincent oglądał pierwszego dnia zieloną dolinę Oise.

Raz jeszcze próbował Theo mówić. Daremnie.

Spuszczono trumnę do grobu. Zrzucano łopatami ziemię i ubito ją w mały kopczyk.

Potem wszyscy opuścili cmentarz i zeszli na dół do wsi.

Po paru dniach doktor Gachet zasadził dokoła świeżego grobu słoneczniki.

Theo wrócił do domu, do Cite Pigalle. Ale dniem i nocą nie opuszczał go miazdzący ból na myśl o bracie.

W końcu nerwy jego nie wytrzymały. Joanna musiała zawieźć go do sanatorium dla nerwowo chorych w Utrechcie – tego samego, w którym swego czasu przebywała Margot.

Pół roku po śmierci Vincenta, tego samego niemal dnia w miesiącu, zmarł Theo. Pochowano go w Utrechcie.

W jakiś czas potem, gdy Joanna czytała Biblię szukając w niej pocieszenia, natknęła się w księdze Samuela na następujący wiersz:

„I w śmierci nie byli rozłączeni...”

Przywiozła zwłoki Thea do Auvers i pogrzebała je obok Vincenta.

Gdy blask gorącego słońca spływa na mały cmentarz pośród żółtych pól, Theo spoczywa w cieniu płomiennych słoneczników Vincenta.

KONIEC

POSŁOWIE

Gdy Vincent van Gogh zamieszkał w 1885 roku u swego brata w Paryżu, przybył temu miastu – niewątpliwej stolicy świata artystycznego – jeszcze jeden malarz-nowator, szukający własnych, oryginalnych środków wypowiedzi plastycznej. Sytuacja takiego artysty była wówczas bardzo trudna. Nie mógł on liczyć na to, że jego dzieła będą kupowane, że znajdzie uznanie i zrozumienie poza wąskim kręgiem swych kolegów.

Przyczyny tego były rozmaite. Wskażemy na najważniejsze. Głównym odbiorcą sztuki XIX wieku była nowa klasa, burżuazja, której przedstawiciele pozbawieni byli na ogół tradycji artystycznej. Wielki rozwój przemysłu i związany z nim upadek rzemiosła sprawił, iż klasa ta zaspokajała swe potrzeby artystyczne masową produkcją taniego, lichego towaru, któremu starano się nadać pozory dzieł sztuki. To właśnie było – obok innych – przyczyną pogłębiającego się coraz bardziej w ciągu XIX wieku rozdźwięku między artystą a odbiorcą. W życiu artystycznym Francji, a przede wszystkim Paryża, powstała zgubna dwutorowość: utwierdził się podział na sztukę nową, tworzoną przez naprawdę wybitnych malarzy-nowatorów, sztukę, o której dziś czytamy w historiach malarstwa europejskiego, oraz na sztukę oficjalną, schlebującą mieszczańskim gustom, wysoko cenioną wówczas przez burżuazyjnego odbiorcę, dziś – nie znaną nikomu poza specjalistami.

DYKTATURA AKADEMII

Ostoją sztuki konserwatywnej i wykładnikiem przeciętnego smaku była Akademia paryska (w pełnym brzmieniu Academie des Beaux-Arts, założona w 1795 roku przez połączenie Academie Royale de Peinture et de Sculpture, istniejącej od roku 1648, oraz Academie d'Architecture, założonej w 1671 roku). Była ona instytucją o nieograniczonym prawie wpływie na kształtowanie się życia artystycznego, a w każdym razie jego oficjalnego nurtu. W ścisłym z nią związku pozostawała Ecole des Beaux-Arts, gdzie kształciła się młodzież; profesorami tej szkoły byli członkowie Akademii, oni stanowili jury wystaw i decydowali o przyjęciu lub odrzuceniu rzeźby czy obrazu.

Akademicy licząc się ze smakiem publiczności jednocześnie wpływali na kształtowanie się tego smaku, urabiając młodych artystów i dopuszczając do wystawienia dzieła tylko tych twórców, którzy podporządkowywali się panującemu gustowi. Poza zaklętym kręgiem sztuki „oficjalnej” młody artysta nie mógł mieć nadziei na zyskanie sukcesu, sławy, na zrobienie „kariery”. Dlatego też wszystkie nieledwie wybitniejsze jednostki w sztuce XIX wieku skazane były na przymieranie głodem – w każdym razie przez dużą część życia – chyba, że wyniesiona z rodzicielskiego domu zamożność umożliwiła im bardziej dostatnią egzystencję.

Jakiż był sposób nauczania w Szkole Sztuk Pięknych i jak miały wyglądać obrazy zaspokajające wymagania oficjalnego smaku? Czemuż budziły one aż tak wielką niechęć u młodych, pełnych energii i sił twórczych malarzy – a wśród nich van Gogha – iż gotowi byli przeżyć całe życie w nędzy, byle tylko nie poddać się owemu systemowi?

„Zaczynano – opisuje jeden z uczniów paryskiej szkoły – pokazując studentom tzw. sylwetki, to znaczy rysunki konturowe i nakazywano im mechaniczne kopiowanie. Oko

zaczynało od razu nabierać złego przyzwyczajenia: nie brać pod uwagę trójwymiarowości oglądanego przedmiotu, interpretować tylko płaską powierzchnię obwiedzioną konturem". Dalsza nauka w Ecole des Beaux-Arts ograniczała się do „kopiowaniu tego, co pospolicie zwane było «akademią», tzn. aktu męskiego, oświetlonego zawsze tym samym światłem, w takim samym otoczeniu i w wymuszonej pozie; można by powiedzieć, że była to dla modela tortura płacona stawką godzinową..." Dopiero po kilku latach takich studiów pozwalano uczniom malować; historyczne tematy, które musieli podejmować, były im obce, nie miały nic wspólnego z ich własnym doświadczeniem wzrokowym, z prawdziwym życiem. Młodzi artyści mieli spaczony pogląd na sztukę, spaczony sposób widzenia przedmiotów, indywidualność ich była złamana. Dlatego też w cytowanych wyżej słowach brzmi to samo oburzenie, z jakim van Gogh cisnął o ziemię gipsową nogę, którą otrzymał od kuzyna jako model do rysowania.

PRZECIW TYRANII AKADEMIKÓW: ROMANTYCY I REALIŚCI

Van Gogh jednak nie był – jak wiemy od Stone'a – bynajmniej pierwszym buntownikiem przeciw tyranii akademików. Pierwsi przeciwstawili im się romantycy, których wodzem i najwybitniejszym przedstawicielem był Eugene Delacroix (1798-1863); jego dzieła były – obok impresjonistów – największym „odkryciem” van Gogha po przybyciu do Paryża.

Co pociągało van Gogha w sztuce Delacroix?

Zarówno jego środki malarskie, jak stosunek do pracy, żywiołowy, drapieżny. „Gdy Delacroix maluje, to jest tak, jak gdyby lew pożerał kawał mięsa” – pisze van Gogh w jednym z listów. Cenił w nim wszystko to, co gniewało akademików. Ci nie mogli wybaczyć, że Delacroix „porzucił doskonały typ postaci, że zarzucił systematyczne wprowadzanie aktu, że nie uznał bezwzględnej wyższości antycznych draperii, że podawał w wątpliwość recepty akademickie”. Na domiar złego Delacroix entuzjasmował się walką Grecji o wolność i rewolucyjną walką Paryża, był zaangażowany uczuciowo w sprawy polityczne po stronie tych, którzy walczyli o wolność narodową i społeczną. Obrazy Delacroix o tematyce, która nieraz wyraźnie określała ludzkie ideały autora (*Rzeź na wyspie Chios*, *Wolność prowadząca lud na barykady*), były pełne ruchu i dynamiki; nie czysta linia spokojnego konturu, lecz nasycone, gorące barwy cechowały jego kompozycje.

Mimo że Delacroix często wspominany bywa w listach do Thea, nie on jednak, jak wiemy, był artystycznym ideałem Vincenta. Na ogół biorąc także i Delacroix czerpał swe kompozycje z wyobraźni, nie przedstawiał w nich konkretnego wycinka z natury, sceny ujrzanej własnymi oczami. Chociaż więc zarówno środki artystyczne wielkiego romantyka, jak i postawa wobec tematu odpowiadały Vincentowi, różnił się on zasadniczo od Delacroix, gdyż nie uznawał malowania czegokolwiek, czego nie można było obejrzyć oczami. Z satysfakcją cytował Courbetta (1819-1877), głównego przedstawiciela i najbardziej programowego bojownika realizmu w połowie XIX wieku: „Malować anioły? Ale któż kiedykolwiek widział anioła?” Dlatego nie romantyk Delacroix, ale realista z pokolenia Courbetta, rozmiłowany w tematyce tak bliskiej van Goghowi, „malarz chłopów” Millet (1814-1875) był jego ukochanym mistrzem. Zarówno zainteresowania tematyczne Milleta, który malował ludzi pracujących, jak też jego stosunek do przedstawianych ludzi – nie opisowo-objektywny, lecz współczujący i jakby

solidaryzujący się z nimi – sprawiały, że van Gogh jego właśnie uważał za ojca nowoczesnego malarstwa. „Nie Manet – pisał – lecz Millet jest dla mnie prawdziwie nowoczesnym malarzem, tym, który dla wielu otwiera horyzonty”. Nic w tym dziwnego, zarówno świat przedstawiany przez Milleta (pracujący chłopci, życie wsi) bliższy był Vincentowi niż paryskie środowisko, którego malarzem był Edouard Manet, jak też ów szczególny, angażujący się moralnie stosunek Milleta do pracy artystycznej i do przedstawianych tematów bardziej musiał odpowiadać van Goghowi niż obiektywny, obserwatorski sposób, w jaki Manet traktował własną twórczość malarską. Z tych samych też względów co Milleta wspomina van Gogh z szacunkiem nazwisko Daumiera (1808-1879).

Ani Daumier, ani Millet nie cieszyli się uznaniem; także Courbet walczył o nie bez powodzenia, chyba że w pragnieniu aplauzu odchodził od swej koncepcji realistycznej i poniżał się do schlebiania gustom mieszczańskiej publiczności. Twierdza Akademii, wspierana przez smak burżuazyjnych odbiorców sztuki – stała niewzruszona.

W 1857 roku romantycy zostali jak z łaski uznani przez Akademię w momencie, gdy ruch ich utracił już rewolucyjną świeżość, gdy na arenę wystąpił nowy wróg: realisci. Po nich – nowy atak na nie zdobytą wciąż twierdzę Akademii podjął Edouard Manet (1832-1883). Jego twórczość nie tylko spotkała się z niezrozumieniem, ale wywołała skandale, jakimi poszczycić się później mogły jedynie obrazy impresjonistów. Jego *Śniadanie na trawie*, a może bardziej jeszcze *Olympia* wzbudziły oburzenie nie swymi tematami – bo od aktów kobiecych rożyły się obrazy akademików – lecz sposobem ujęcia, techniką, kolorem. Manet pierwszy odważył się dać prawdziwy obraz paryżan w swym malarstwie, odważył się przedstawić w sposób realistyczny ładną i bezczelną modelkę, leżącą nago na kanapie, zamiast uświęconego tradycją, odbarwionego i przesłodzonego aktu nierealnej bogini Venus. Odważył się też zastosować swobodną technikę malarską, której uczył się od starych mistrzów, Halsy i Velasqueza, zamiast gładkiej, wylizanej powierzchni, jaką nadawali swym obrazom akademicy; zamiast łagodnego światłocienia operował ostrym, kontrastowym przeciwstawieniem jasnych i ciemnych części przedmiotów. Manet nie poszedł jednak tak daleko, jak jego następcy, impresjoniści. Malował bowiem w pracowni, nie w plenerze, nie w pełnym świetle słońca – na dworze. Tę metodę zastosowali dopiero twórcy impresjonizmu, równocześnie jednak zwiężając znacznie tematykę malarstwa.

IMPRESJONIŚCI

Była to grupa malarzy, którzy stowarzyszili się na gruncie wspólnych dążeń, wspólnego zainteresowania naturą i jej prawdziwymi barwami. Poza Pissarrem (ur. 1830), najstarszym z grupy, inni byli prawie rówieśnikami: Claude Monet (1840), Auguste Renoir (1841), Alfred Sisley (1839), Cezanne (1839).

Już Manet próbował wyzwolić się z konwencjonalnego sposobu patrzenia na świat i przedstawiania przedmiotów. Wiedział, że wrażenia wzrokowe dają nam często obraz odmienny od tego, co wiemy o przedmiotach. Barwa ich bowiem zależna jest od ich otoczenia, od kontrastu, od światła: cienie obserwowane na śniegu przy silnym słońcu zabarwiają się na przykład niebiesko, twarz oświetlona ostrym światłem na ciemnym tle wydaje się pozornie płaska, choć wiemy przecież, że śnieg jest biały, a twarz – bryłowata. Tę dążność do malowania oglądanego wycinka rzeczywistości w sposób jakby naiwny,

oddający bezpośrednio wrażenie, te próby przedstawienia pejzażu, przedmiotów, postaci ludzkiej nie tak, jak nam o nich mówi nasza wiedza o świecie, ale tak, jak się one przedstawiają malarzowi w danym momencie, w danym oświetleniu – tę właśnie dążność do uchwycenia zmienności, „impresji” natury – podjęli i rozwinęli impresjoniści. Malarstwo ich było zaskakujące dla publiczności przyzwyczajonej do obrazów akademickich, a nawet do obrazów Courbета czy Moneta. Dzieła impresjonistów pełne były światła słonecznego, sprawiały często wrażenie ujęć przypadkowych, były bezpośrednim odbiciem wrażeń wzrokowych odbieranych przez malarzy pracujących w plenerze, nad brzegiem rzeki czy ustawiających sztalugi na paryskich bulwarach.

W momencie gdy Van Gogh przybył do Paryża „rewolucja” impresjonistyczna miała już za sobą swój okres burzliwy. Około piętnastu lat minęło od chwili, kiedy zaczęły powstawać pierwsze obrazy impresjonistyczne. Kierunek ten nie tylko zdołał sobie zdobyć uznanie, lecz także wywołać pierwsze zjawisko reakcji.

Z IMPRESJONIZMEM I PRZECIWKO IMPRESJONIZMOWI

Ześrodkowanie uwagi na wrażeniu, na zmiennych przemijających aspektach rzeczywistości, brak zainteresowania sprawami głębszymi, zwężenie zakresu tematów do pejzaży czy scen z podparyskich letnisk – wszystko to sprawiało, że artyści pokolenia, do którego należał van Gogh, dostrzegali w dziełach impresjonistów brak czegoś istotnego.

Zainteresowania impresjonistów spowodowały nie tylko, że sprawy ludzkie przestały być istotną treścią ich dzieł, ale że nawet przedmioty i kształty rzeczywiste zacierały się nieraz w mgławicowych oparach barwnych.

Nic dziwnego, że człowiek, który tak wiele miał do powiedzenia, jak van Gogh, nie mógł się pomieścić w ramach zakreślonych przez impresjonistów. Zaczął przecież swą karierę jako malarz przede wszystkim ludzi, a temat ludzki pozostał dla niego najważniejszy do końca życia. Vincent rozpoczął swe wykształcenie od rysunku, o który impresjoniści nie dbali jako o umiejętność mało przydatną dla celów artystycznych. Zanim zdecydował się zostać malarzem, rysował przygodnie. Wraz z decyzją rozpoczął planowe, zadziwiająco konsekwentne samokształcenie. Potwierdza to lektura jego listów, świadcząca o niezwyklej samowiedzy i wielkiej trafności autoanalizy. „Nigdy chyba artysta nie badał sam siebie tak ostro, nie kontrolował własnych błędów i osiągnięć tak ostrym spojrzeniem” – pisał o van Goghu jeden z krytyków francuskich. Vincent chciał malować człowieka pracującego: „Pokazać postać chłopca przy pracy – wiem i powtarzam: to jest właśnie nowoczesne, to jest sercem sztuki nowoczesnej, nie uczynił tego ani Renesans, ani dawni Holendrzy, ani Grecy”. Wiedział jednak, że – aby malować taki temat – musi nauczyć się zasad anatomii, poznać proporcje ciała ludzkiego i reguły perspektywy. Wiedział, że musi zapanować nad tymi umiejętnościami tak, aby brak ich nie krępował go w swobodnym tworzeniu. Osiągnął to zarówno ucząc się z książek, jak i uczęszczając do szkół akademickich (gdzie jednak nie dał narzucić sobie zasad akademickiego rysunku).

Potem wrócił na wieś i tam długie miesiące z uporem studiował postać chłopca i chłopki, wykonywujących odwieczne prace na roli; jednocześnie poznawał ich życie, uczył się ich rozumieć. Praca duszpasterska nauczyła go poznawać ludzi, zbliżać się do nich z pełnym współczuciem zainteresowaniem. Okres ten, podobnie jak poprzedni – pracy w handlu dziełami sztuki – wzbogacając Vincenta-człowieka nie był bynajmniej stracony dla

Vincenta-malarza. Przez dwa lata rysował i malował chłopów w Nuenen, zżywając się z nimi i poznając ich życie, zanim przystąpił do opracowania swych *Jedzący kartofle*. „Chciałem postarać się o to – pisze w liście – by w sposób świadomy przekazać myśl, że ci ludzie, którzy tam pod lampą spożywają kartofle, biorąc je z miski rękami – uprawiali również ziemię, i by obraz mój mówił także o owej pracy rąk i o strawie, którą ci ludzie tak pracowicie sami sobie zdobywali”. „Chciałem – pisał dalej – by obraz ten przywiódł na myśl inny zupełnie sposób życia niż nasz, ludzi cywilizowanych. Dlatego też nie pragnę bynajmniej, żeby wszyscy uznali ten obraz za piękny czy dobry”. W innym liście pisał: „Wydaje mi się, że obowiązkiem malarza jest starać się wprowadzić do swej pracy jakąś ideę”. Z zacytowanych słów wyraźnie wynika, jak świadomie pragnął van Gogh, by sztuka jego nie tylko radowała wzrok, lecz również przekazywała ludziom pewne myśli i idee o wielkiej doniosłości. Ta postawa, odróżniająca go od większości malarzy jemu współczesnych, towarzyszyła mu przez całe życie.

Claude Monet (1840-1926), najbardziej konsekwentny z impresjonistów, malował w późnym okresie swego życia cykle obrazów, których tematem był ten sam wycinek natury oglądany tego samego dnia w różnym oświetleniu, w świetle poranka, południa, popołudnia i wieczoru. Cel tego rodzaju twórczości był oczywisty: uchwycenie tego, co zmienne – przemian światła, barwy powietrza, jego wilgotności, świadome całkowite poddanie się naturze w jej przypadkowości, w jej chwilowym wyglądzie. Ponieważ zainteresowanie malarza-impresjonisty koncentrowało się wyłącznie na obserwowanych efektach kolorystycznych, u artystów o mniej poznawczych skłonnościach tendencja ta prowadziła prawie wyłącznie do poszukiwania coraz to nowych, piękniejszych, subtelniejszych czy bogatszych zestawień kolorów.

Van Gogh był niewątpliwie rasowym malarzem, dla którego sprawa formy obrazu posiadała wielką wagę, był świetnym kolorystą. Ze znanstwem smakosza rozkoszował się zestawieniami barw, roztaczanymi przez naturę przed oczyma ludzi, radował się też układami barwnymi przedmiotów ustawionych własną ręką i z głęboką estetyczną radością przenosił te zestawienia na płótno; opisywał je w listach do brata używając słów tak „barwnych”, że nie widziane – stają przed naszymi oczami. „Jeszcze jeden pejzaż – zachodzące słońce, wschodzący księżyc? W każdym razie letni wieczór – fioletowe miasto, żółte gwiazdy, zielononiebieskie niebo, zboże we wszystkich odcieniach: starego złota, miedzi, zielonawego złota, czerwonego złota, żółtego złota, żółtego brązu, zielone, czerwone. Malowałem to przy silnym wietrze północnym”. Radość koloru w całym jego bogactwie bije z tego opisu. Jaki był jednak stosunek van Gogha do sprawy koloru, mówi dosadnie fragment listu, będący odpowiedzią na pierwszy, entuzjastyczny artykuł o jego malarstwie napisany przez paryskiego krytyka Auriera: „Artykuł Auriera zachęciłby mnie, gdybym sobie pozwolił na ryzyko uczynienia z koloru czegoś w rodzaju muzyki tonów... Lecz prawda nazbyt mi jest droga – zbyt ważne jest dla mnie, aby to, co robię, było również prawdziwe; jestem wreszcie przekonany, że lepiej być szewcem niż muzykantem kolorów”.

Van Gogh był głęboko przekonany, że między podjętym tematem a fakturą i kolorytem obrazu musi panować zgodność. Ciężkich chłopów brabantkich świadomie malował grubą, „ciężką” techniką. (O Millecie pisał: „Jego chłop wygląda, jakby był malowany tą samą ziemią, w którą rzuca ziarno”). Natomiast malując wiosenny sad van Gogh korzystał

z lekcji impresjonistów; starał się przejąć wibrującą fakturę ich obrazów, aby oddać pełen zwiewnego uroku nastrój kwitnących drzew. Gdy chciał przedstawić dramatyczny krajobraz prowansalski, postępował jeszcze inaczej: cyprysy w pejzażu wstrząsanym mistralem zarysowane są grubym, niespokojnym konturem.

Z przeświadczenia, że środki artystyczne muszą być dostosowane do tematu, rozwinęła się w okresie arlezyjańskim teoria o „kolorze sugestywnym”, kolorze, którego zadaniem miało być budzenie w widzu określonych uczuć. „Nie jest to – pisał do brata – kolor realistyczny we właściwym sensie, jako iluzja, ale wyraża on jakieś określone odczucie, namiętność uczucia...”

Droga, jaką van Gogh szedł konsekwentnie od początku swej kariery artystycznej, mogła co najwyżej skrzyżować się z drogą impresjonistów; nie mogła – nawet na krótko – biec równolegle. Zarówno bowiem cele sztuki Vincenta, jak jej środki artystyczne miały zasięg daleko przekraczający horyzonty impresjonizmu.

VAN GOGH – CZŁOWIEK I MYŚLICIEL

„Rzadko karmił artysta swe dzieło tak bardzo własnym sercem i własną krwią” – powiedział o van Goghu pewien malarz holenderski. A oto słowa doktora Gachet: „Jego stosunku do sztuki nie można nazwać miłością. Wiara w sztukę – trzeba by o nim powiedzieć, wiara – aż do męczeństwa”.

Nie bez racji w podobnie emocjonalny sposób ustosunkowuje się do van Gogha wielu jego entuzjastów. Jest on dla nich człowiekiem wielkiej namiętności, żarliwym w służbie sprawy, której się poświęca aż do samozatrącenia; człowiekiem gwałtownym, dzikim niemal – mimo ukrytych w nim skarbów miłości – działającym spontanicznie, irracjonalnie, instynktownie, poza zasięgiem świadomości.

Dla innych zaś – nie mających kontaktu z jego sztuką – van Gogh to gwałtowny, przykry, despotyczny dziwak, wariat, który obciął sobie ucho; a podobnej myśli lub wypowiedzi towarzyszy odruch zgrozy i wstrętu, nie pozbawiony w takiej sytuacji uzasadnienia.

Poglądy te, pierwszy w większym, drugi w mniejszym stopniu, ogarniają jakąś część bogatej osobowości van Gogha; wiele, bardzo wiele fragmentów z jego listów, liczne znane fakty jego burzliwego życia ukazują takiego właśnie Vincenta. Ale van Gogh, choćby i taki, jakim go widzą przedstawiciele „emocjonalnego” stosunku, byłby godny pamięci i miłości – jest w istocie kimś więcej; jest człowiekiem pod każdym względem pełniejszym. Dlatego był tak wielkim artystą, że „nic, co ludzkie, nie było mu obce”. Raz jeszcze sprawdziła się w jego życiu ta banalna wręcz prawda.

Jako młody człowiek, pracując przez siedem lat w handlu dziełami sztuki, pokochał świat obrazów, nie wiedząc jeszcze, że tak bardzo kiedyś ten świat wzbogaci. W okresie tych siedmiu lat van Gogh to nie urzędnik – najpierw dobry i sumienny, a potem zły – ale człowiek, który żył w stałym kontakcie ze światem artystów dawnych i twórców jemu współczesnych. Czyż mogłaby inaczej przemawiać do nas z kart jego listów tak głęboka i wszechstronna wiedza o sztuce? Już w okresie szkolnym robił rysunki według reprodukcji znanych obrazów. Wszystkie te kontakty sprawiły, że van Gogh znał i rozumiał nie tylko tych artystów, których tendencje bliskie były jego własnym; że przemawiało do niego zarówno malarstwo Giotta, jak sztuka Dürera czy Bruegla.

Van Gogh przekazał swe myśli i przeżycia w obfitej korespondencji. Pisał przede wszystkim do brata, ale znane są także jego listy do dwóch malarzy: von Rapparda, z którym przyjaźnił się w Brukseli w 1888-1891, oraz Emila Bernard, poznanego w Paryżu, do którego pisał wiele z Arles. Listy te są kapitalnym dokumentem, pokazują nam życie van Gogha niemal dzień po dniu, odsłaniając pasjonujący obraz jego bogatej, wszechstronnej natury, budzą wzruszenie, zmuszają do myślenia. Uzupełniają one wymowę jego obrazów i ułatwiają ich zrozumienie.

Van Gogh pisał w swych listach o malarzach – a nie tylko o malarstwie. W dziełach ich widział nie tylko dobre obrazy, z których można się czegoś nauczyć, nie tylko ciekawą „fakturę” malarską, którą można naśladować, ale cały świat twórcy, jego otoczenie, jego kraj. O wielkim malarzu holenderskim XVII wieku, Fransie Halsie, pisał: „Malował łaźników, roześmianych uliczników, muzykantów i grubą kucharkę. Nie znał nic innego [poza portretem], ale to [co malował] równe jest *Rajowi* Dantego, arcydziełom Michała Anioła i Rafaela, a nawet Grekom. Jest tak piękne jak Zola, tylko zdrowsze i weselsze, ale tak samo prawdziwe. Bo jego epoka była zdrowsza i nie tak smutna”. Ten urywek z listu, do którego podobnych wiele da się znaleźć, świadczy, że malarza van Gogha interesowała w obrazie nie – ale w każdym razie nie tylko – strona estetyczno-techniczna, ale cały świat ludzki w dziele sztuki zawarty.

Fragment ten, gdzie nazwiska twórców dzieł plastycznych splecione są z imionami pisarzy, świadczy również o tym, jak bliska była mu dziedzina słowa pisanego. Van Gogh sam pisze świetnie; jego wyobrażenia i bogactwo myśli znajdują piękny wyraz literacki w listach do brata i przyjaciół. Czytanie, książki – to obok malarstwa jego wielka pasja: „Mam nieodpartą pasję do książek, pragnę nieustannie uczyć się, studiować, tak samo jak pragnę pożywienia”. Wizerunek człowieka czytającego był dla niego typowym obrazem człowieka współczesnego; ta myśl dawała mu radość. „Stary człowiek czytający żółtą książkę, a obok niego róża i kilka pędzli akwarelowych w szklance z wodą... To są rzeczy, które pocieszają, pozwalają widzieć życie współczesne tak jasnym, mimo jego nieuniknionych smutków”. Żółta książka była dla van Gogha symbolem współczesnej mu literatury francuskiej, którą kochał i której zawdzięczał szerokie horyzonty myślowe, wyzwolenie z ciasnego kalwinizmu domu rodzinnego: „Gdy ojciec widzi mnie czytającego francuską książkę Micheleta czy Victora Hugo, myśli o podpalaczach, mordercach i wszelkiego rodzaju niemoralności” – pisał Vincent.

Książki więc, które często spotykamy w martwych naturach czy portretach van Gogha, mają znaczenie nie tylko jako pewien kształt, jako określona plama barwna, mają one także głęboki sens treściowy. Nieraz czytelne są ich tytuły i nazwiska autorów: ukochany Zola, bracia Goncourt, Maupassant, nawet podręcznik medycyny (po powrocie ze szpitala).

Książka urasta do znaczenia symbolu – nie tylko zresztą książka. Wielokrotnie, od okresu holenderskiego począwszy, podejmował van Gogh temat siewcy. Postać siewcy wśród rozległego, bezkresnego pola, nad którym promienieje tarcza słoneczna – tak widział ten temat w późniejszym okresie. Motyw ten był dla artysty symbolem natury i jej twórczych sił żywotnych.

Takich przedmiotów, obrazów, które, będąc wycinkiem natury widzianym przez malarza, są jednocześnie obdarzone głębszym, przenośnym znaczeniem – znajdujemy w

twórczości Vincenta więcej: rozdarte przez burzę samotne drzewo z okresu haskiego, będące odpowiednikiem jego własnej walki z przygniatającymi go warunkami zewnętrznymi; kwitnące sady w Arles, które malował odradzając się wewnętrznie w słońcu Południa; puste krzesło, opuszczone przez przyjaciela Gauguina po katastrofalnym zajściu, a przedtem – słoneczniki, symbole przyjaźni, którymi ozdobił dom na powitanie towarzyszy-malarzy.

Pejzaże van Gogha – podobnie jak przedstawiane w martwych naturach przedmioty – nie robią nigdy wrażenia przypadkowego wycinka natury, mają zawsze głębszy sens, mają wyrażać jakiś nastrój albo wydobywać odrębny charakter malowanego krajobrazu, jego najbardziej istotne cechy. Tak na przykład w swym ostatnim obrazie przedstawiającym łąny pszenicy, nad którymi leci stado kruków, chciał wyrazić „smutek i ostateczną samotność”.

*

Wśród wielkich rocznic świat pokoju obchodził jubileusz van Gogha (ur. 30.03.1853). Jednym ze zleceń Światowego Kongresu Pokoju było: „Życzymy sobie, aby wielcy synowie ludzkości byli czczeni i wspominani we wszystkich krajach na świecie”. Van Gogh zyskał sobie ogromną sławę, tak wielką, jak żaden chyba ze współczesnych mu artystów. On i jego sztuka stały się bliskie tysiącom ludzi.

Dużą rolę w spopularyzowaniu postaci artysty odegrała książka Stone'a, której nowe, uzupełnione i poprawione wydanie oddaje się w ręce czytelników.

Ta niezwykła „popularność” książki Stone'a jest jej niewątpliwą zasługą, ale i zarazem słabością. Autor, korzystając z listów, włączając często całe ich fragmenty do tekstu książki, dokonał wyboru, pokazał nam tylko w części skomplikowaną osobowość Vincenta van Gogha, w części najłatwiejszej do przyswojenia dla laika, najłatwiejszej do ujęcia powieściowego – zewnętrzne koleje jego życia, stosunki z ludźmi i życie uczuciowe. Natomiast słabo widzimy Vincenta – wnikliwego znawcę sztuki, Vincenta – myśliciela o aktywnym, świadomym stosunku do przeszłości i teraźniejszości, a nade wszystko zbyt słabo widzimy Vincenta-malarza. W książce Stone'a van Gogh często wykonuje funkcję malowania, ale mimo to niewiele dowiadujemy się o istotnych problemach jego malarstwa.

Ten, kto zechce lepiej poznać wielkiego artystę, niechaj zwróci się do jego listów i obrazów.

Jolanta Maurin-Białostocka